

# Klasyka literatury



**e-tekst.pl**  
*twoja czytelnia*

# PRZEZ PUSTYNIĘ

Karol May

## TRUP W UEDZIE TARFAUI

— Czy to prawda, sihdi, że chcesz pozostać giaurem, niewiernym, bardziej pogardzanym niż pies i większą wzbudzającym odrazę niż szczur, który żywi się wyłącznie padliną?

— Tak.

— Sihdi, nienawidzę niewiernych i życzę im, żeby po śmierci znaleźli się w dżehennie, gdzie diabeł mieszka. Ciebie jednak chciałbym uratować od wiecznego potępienia, które cię nie minie, jeśli się nie nawrócisz na ikrar bi'l-lisan, czyli świętą wiarę. Jesteś taki dobry i tak bardzo różnisz się od panów, którym służyłem, i dlatego pragnę cię nawrócić, czy tego chcesz, czy nie.

Tak przemawiał do mnie Halef, mój służący i przewodnik, z którym włóczyłem się po rozpadlinach i wąwozach gór Aures. Potem zeszedliśmy na płaskowyż Dra el Haua, żeby poprzez Dżebel Tarfaui dotrzeć do miejscowości: Seddada, Kriz i Dgasze, skąd przez osławiony szot Al Dzarid prowadzi droga do Felnassy i Kebilli.

Halef był dziwnym człowiekiem. Był tak mały, że sięgał mi zaledwie do pach, a przy tym tak szczupły i piaski, że sprawiał wrażenie, jakby przez całe dziesięciolecie przeleżał między kartkami zielnika. Jego niewielka twarz tonęła niemal całkowicie w turbanie z tkaniny półmetrowej średnicy, a jego niegdyś biały burnus przeznaczony był zapewne dla kogoś o wiele wyższego, tak że kiedy zsiadając z konia chciał zrobić krok, musiał swój burnus podnosić niczym dama spódnicę do konnej jazdy. Pomimo tak niepozornej postaci, budził szacunek. Odznaczał się niezwykłą bystrością, odwagą i zręcznością oraz wytrwałością, które to cechy pozwalały mu przezwyciężać największe trudności. A ponieważ mówił wszelkimi narzeczeniami, jakie rozbrzmiewają na terytorium między siedzibą plemienia Uelad Bu Seba a ujściami Nilu, można sobie wyobrazić, że mogłem być z niego całkowicie zadowolony i traktowałem go raczej jak przyjaciela niż jak służącego.

Halef miał wprawdzie dziwną cechę charakteru, która z czasem mogła się stać dla mnie dość niewygodna; był fanatycznym muzułmaninem i z miłości ku mnie postanowił nawrócić mnie na islam. Właśnie teraz przedsięwziął znów bezowocne próby w tej sprawie i śmiać mi się chciał zo, bo tak komicznie przy tym wyglądał.

Jechałem na małym, półdzikim berberyjskim ogierze, powłócząc przy tym prawie stopami po ziemi; Halef natomiast, chcąc dodać sobie powagi, wybrał dla siebie starą, zabiedzoną, lecz bardzo postawną klacz rasy Hessi-Ferdszan i siedział tak wysoko, że mógł na mnie spoglądać z góry. Podczas rozmowy był nadzwyczaj ożywiony. Wywijał nogami, którymi nie dosięgał strzemion, wymachiwał swymi chudymi, brązowymi rączkami w powietrzu, a jego słowom towarzyszyły tak groźne miny, że z trudem opanowywałem śmiech.

Kiedy nie odpowiedziałem na jego ostatnie słowa, kontynuował:

— Czy wiesz sihdi, co czeka giaurów po śmierci?

— No co?

— Po śmierci wszyscy ludzie, czy to muzułmanie, czy chrześcijanie, żydzi, czy jacykolwiek inni, znajdą się w barsachu. — Czy to jest stan pomiędzy śmiercią a zmartwychpowstaniem?

— Tak sihdi. Z tego stanu zbudzą ich kiedyś dźwięki trąb w Al-Jaum al-Achir, tj. w Dniu Sądu Ostatecznego, kiedy nadejdzie al-achira, czyli koniec świata. Wtedy wszystko zginie za wyjątkiem el kurs, tronu boskiego, er ruh, Ducha Świętego, el lauh, el mafus i el kalam, tj. tablicy i pióra boskiej predestynacji.

— Nic więcej nie będzie istniało?

— Nie.

— A raj i piekło?

— Sihdi, ty jesteś rozumny i mądry, od razu zauważyłeś o czym zapomniałem i dlatego wielka szkoda, że chcesz pozostać przeklętym giaurem. Ale przysięgam na swoją brodę, że cię nawrócę, czy tego chcesz, czy nie!

Na czole Halefa, gdy to mówił, ukazało się sześć głębokich zmarszczek. Skubał przy tym siedem włosów na swoim podbródku oraz osiem włosów po prawej i dziewięć po lewej stronie nosa, stanowiących razem coś w rodzaju brody; dyndał nogami, wyrzucając je energicznie w górę, a wolną ręką tak mocno wczepił się w grzywę klaczy, jakby była diabłem, któremu miałem zostać wyrwany.

Zwierzę, któremu tak okrutnie zakłócono spokój, próbowało stanąć dęba, przypomniało sobie jednak natychmiast powagę swego wieku i powróciło dumnie do stanu obojętności. Halef jednak kontynuował-;

— Tak, dzanna, raj, i dżehenna, piekło, także muszą pozostać; gdzież by w przeciwnym razie mieli się podziąć zbawieni i potępieni? Przedtem jednak zmartwychpowstali muszą przejść przez most Ssiret, przerzucony nad Halahk, przepaścią śmierci i zguby, tak wąski i ostry jak świeżo wyszlifowane ostrze miecza.

— Zapomniałeś jeszcze o czymś — zauważyłem.

— O czym?

— O pojawieniu się daddżala.

— Rzeczywiście sihdi, znasz Koran i wszystkie święte księgi, a nie chcesz się nawrócić na prawdziwą wiarę! Ale nie martw się, już ja z ciebie zrobię prawdziwego muzułmanina! A więc przed Sądem Ostatecznym pojawi się daddżal, którego giaurowie zwaą antychrystem, nieprawdaż sihdi?

— Tak.

— Wówczas otwarta zostanie El Kitab, księga, w której zapisane są wszystkie dobre i złe uczynki człowieka, i zacznie się ich ocena, która trwać będzie ponad pięćdziesiąt tysięcy lat, czas, który dobrym ludziom przejdzie jak chwila, złym natomiast wyda się wiecznością. To jest el hukm, czyli odważanie wszystkich ludzkich czynów.

— A potem?

— Potem zapadnie wyrok. Ludzie, u których przeważać będą dobre uczynki, pójdą do raj, niewierzący grzesznicy do piekła, podczas gdy grzeszni muzułmanie ukarani zostaną tylko na krótki czas. Widzisz więc sihdi, co cię czeka, nawet jeśli będziesz miał więcej dobrych niż złych uczynków na swoim koncie; ale zostaniesz uratowany i znajdziesz się ze mną w raj, gdyż ja cię nawrócę, czy tego chcesz, czy nie!

Mówiąc to, mój towarzysz wywijał znów tak energicznie nogami, że stara klacz strzygła uszami ze zdumienia i zerknęła na swego jeźdźca z boku szeroko rozwartymi oczami.

— A co czeka mnie w waszym piekle? — zapytałem.

— W dżehennie płonie wieczny ogień, płyną strumyki, które tak śmierdzą, że potępiony pomimo swego okropnego pragnienia wzbrania się ugasić je tą wodą; rosną tam straszliwe drzewa, a pomiędzy nimi grozę budzące drzewo zakkum, na którym rosną diabelskie głowy.

— Brrrrrrrr!

— Tak sihdi, to jest okropne! Piekłem włada upadły anioł, Thabek. Dzieli się ono na siedem oddziałów, do których prowadzi siedem bram. W pierwszym oddziale pokutować muszą muzułmanie, dopóki nie zostaną oczyszczeni ze swych występków; ladha, drugi oddział jest dla

chrześcijan; huthama, trzeci dla żydów; sair, czwarty, dla Sabejczyków; sakar, oddział piąty, dla kuglarzy i czcicieli ognia, a gehim, szósty — dla wszystkich, którzy czczą bożków i fetysze. Zaoviat natomiast, czyli oddział siódmy, zwany również derk asfal, najgłębszy i najstraszniejszy, przeznaczony jest dla obłudników. We wszystkich tych oddziałach dziewiętnastu złych duchów przeciąga potępionych przez ogniste strumienie, przy czym potępieni muszą z drzewa zakkum zjadać diabelskie głowy. Te następnie przegryzają i rozszarpują im wnętrzności. O sihdi, nawróć się na wiarę Proroka, żebyś tylko krótko przebywał w dżehennie!

— To znajdę się w naszym piekle, które jest tak samo okropne jak wasze — odparłem.

— Nie sądź tak sihdi, klęę się na Proroka i wszystkich kalifów, że pójdziesz do raju. Czy mam ci go opisać?

— No więc, jakżeż tam jest?

— Dżanna rozciąga się ponad siedmiu sferami nieba, a prowadzi doń osiem bram. Najpierw dotrzesz do wielkiej studni, hawus kewser, z której pić może równocześnie sto tysięcy zbawionych; woda z tej studni jest bielsza od mleka, a zapach jej jest wspanialszy od woni piżma i mirry, zaś na obrzeżu studni stoją miliony złotych czar do picia, wysadzanych diamentami i innymi drogimi kamieniami. Potem znajdziesz się w miejscu, gdzie zbawieni spoczywają na poduszkach haftowanych złotem. Nieśmiertelni młodzieńcy i wiecznie młode hurysy podają im wyśmienite potrawy i napoje. Uszy spoczywających pieczęcią bezustannie zachwycające śpiewy anioła Israfila oraz dźwięki zawieszonych na drzewach dzwonków, stale poruszanych wiatrem, wiejącym od boskiego tronu. Każdy ze zbawionych ma sześćdziesiąt łokci wysokości i nigdy nie przekracza wieku trzydziestu lat. Ponad wszystkie drzewa wyrasta drzewo szczęśliwości, et tuba, którego pień zakorzeniony jest w pałacu Proroka, a gałęzie sięgają do mieszkań wszystkich zbawionych. Gałęzie te obwieszane są tym wszystkim, co potrzebne jest ludziom do szczęścia. Z korzeni drzewa tuba wypływają wszystkie rzeki, i to rzeki mleka, wina, kawy i miodu.

Muszę stwierdzić, że Muhammad, mimo iż przedstawił tak zmysłowe wyobrażenie raju, przykłady zaczerpnął z pojęć chrześcijańskich i przekształcił je na użytek swojego koczowniczego ludu. Halef utkwiał teraz wzrok w mojej twarzy. We wzroku tym wyraźnie malowało się oczekiwanie, że opis raju zrobił na mnie imponujące wrażenie.

— No i co ty na to? — dopytywał się, kiedy milczałem.

— Szczerze mówiąc, nie uśmiecha mi się sześćdziesiąt łokci wzrostu. Nie obchodzą mnie również hurysy, gdyż jestem wrogiem wszystkich kobiet.

— Dlaczego? — spytał mały ze zdziwieniem.

— Ponieważ Prorok powiada: „Głos niewiasty jest jak śpiew słowika, lecz jej język jest jadowity jak język żmii.” Czy tego jeszcze nie czytałeś?

— Czytałem.

Mój towarzysz opuścił głowę; pobitem go słowami Proroka. Potem już mniej pewnie zapytał:

— Czy nasza szczęśliwość mimo wszystko nie jest piękna? Nie musisz przecież przypatrywać się hurysom!

— Pozostanę chrześcijaninem!

— Nietrudno jest przecież powiedzieć: la ilaha ill-Allah wa-Muhammad rasul Allah!

— A czy trudniej jest modlić się: ja abana allazi fi-s-samawati, jatakaddas ismuka?

Halef spojrzał na mnie ze złością.

— Wiem, że modlitwy tej nauczył was Isla ben Mariam, którego zwiecie Jezusem. Nazywacie ją „Ojciec Nasz”. Ciągłe myślisz o nawróceniu mnie na twoją wiarę, ale niech ci się nie zdaje, że zdołasz ze mnie zrobić odszczepieńca tauhidu, wiary w Allaha.

— A więc zostaw mi moją wiarę, tak jak ja ci pozostawiam twoją — odparłem.

Niejednokrotnie już usiłowałem jego próbom nawrócenia mnie przeciwstawić swoje próby nawrócenia jego. Przekonałem się o bezcelowości moich poczynań, lecz był to jedyny sposób, żeby zamknąć Halefowi usta. Ta metoda okazała się teraz również skuteczna. Halef mruknął coś pod nosem i zrzędził:

— A ja cię jednak nawrócę, czy chcesz czy nie! Cokolwiek raz postanowiłem, to przeprowadzę, gdyż jestem Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah!

— Więc jesteś synem Abula Abbasa, syna Dawuhda al Gossaraha?

— Tak.

— I obydwaj byli pielgrzymami według przepisów waszej wiary?

— Tak.

— I ty także jesteś hadzi?

— Tak.

— To wszyscy trzej byliście w Mekce i widzieliście świętą Kaabę?

— Dawuhd al Gossarah tam nie był.

— Co ty mówisz?! A jednak nazywasz go pielgrzymem?

— Oczywiście, bo nim przecież był. Mój dziadek mieszkał opodal Dżebel Szur Szum i jako młodzieniec udał się na pielgrzymkę. Szczęśliwie przebył oazę Al Dżof, zwaną brzuchem pustyni, potem jednak rozchorował się i musiał się zatrzymać przy źródle Trasah. Tam się ożenił i zmarł, kiedy mu się urodził syn Abul Abbas. Czyż nie należy go uważać za pielgrzymą?

— Hm! A Abul Abbas był w Mekce?

— Nie.

— A twojego ojca także uważasz za pielgrzymą?

— Tak. Wyruszył w pielgrzymkę i dotarł do równiny Admar, gdzie musiał się zatrzymać.

— Dlaczego?

— Abul Abbas ujrzał tam Amareh, perłę tej okolicy, i zakochał się w niej. Amareh stała się jego żoną i urodziła mu Halefa Omara, którego tu widzisz. Potem Abul Abbas umarł. Czyż więc mój ojciec nie był pielgrzymem?

— Hm! A ty sam byłeś w Mekce?

— Nie.

— I mimo to uważasz się za pielgrzymą?

— Tak. Kiedy moja matka zmarła, udałem się na pielgrzymkę. Szedłem na wschód i zachód, na południe i na północ, i poznałem wszystkie oazy pustyni i wszystkie miejscowości Egiptu. Nie byłem co prawda jeszcze w Mekce, ale dojdę tam. Czyż więc nie jestem pielgrzymem?

— Hm! Sądzę, że tylko ten, kto już był w Mekce może się uważać za pielgrzymą.

— Właściwie tak. Ale ja jestem przecież w drodze do Mekki!

— Możliwe! Przypuszczam jednak, że i ty znajdziesz po drodze piękną niewiastę i zostaniesz przy niej, a twojemu synowi też się to przydarzy, gdyż, jak się zdaje, jest to waszym przeznaczeniem, a po stu latach twój prawnuk powie prawdopodobnie: „Jestem Hadzi Mustafa ben Hadzi Ali ibn Hadzi Halef Omar ibn Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah”, i nikt z tych siedmiu rzekomych pielgrzymów nie zobaczy zapewne Mekki i nie stanie się prawdziwym pielgrzymem. Nieprawdaż?

Halef przyjął moją małą złośliwość z uśmiechem. Wielu mahometan udaje wobec obcokrajowców pielgrzymów do Mekki, mimo że nigdy. Kaaby nie widziało, nie odbyło biegu między Safą i Meruą, nie było nigdy w Arafah ani nie poddało się ostrzyżeniu i goleniu w Minah.

Mój poczciwy Halef uznał się za pokonanego, zniósł to jednak cierpliwie.

— Sihdi — spytał speszony — czy nie wygadasz się przed nikim, że jeszcze nie byłem w Mekce?

— Powiem o tym, jeśli znowu zaczniesz mnie nawracać na islam. Poza tym będę milczał. Ale spójrz tylko, czy to nie ślady w piasku?

Dawno już skręciliśmy w ued Tarfau i teraz doszliśmy do miejsca, gdzie wiatr pustynny nawiał lotnego piasku poprzez wysokie skalne brzegi. W piasku wyraźnie uwidaczniały się ślady.

— Tędy przejeżdżali konno ludzie — zauważył Halef beztrosko.

— Zsiądziemy więc z koni, żeby zbadać te ślady. Mój towarzysz spojrzał na mnie zdziwiony.

— Sihdi, to przecież zbędne. Po cóż chcesz zbadać ślady kopyt końskich?

— Zawsze dobrze wiedzieć, kogo się ma przed sobą.

— Jeśli chcesz badać wszystkie ślady, jakie znajdziesz po drodze, to do Seddady nie dotrzemy przed upływem dwóch miesięcy. Co cię obchodzą jeźdźcy, którzy jadą przed nami?

— Bywałem w dalekich krajach, gdzie są rozległe pustkowia i gdzie życie ludzkie zależy od dokładnej obserwacji wszystkich dróg i śladów po to, aby się dowiedzieć, czy się napotka przyjaciela, czy wroga

— Tu nie napotkasz wroga, sihdi.

— Nie wiadomo.

Zsiadłem z konia i rozpoznałem ślady trzech zwierząt, jednego wielbłąda i dwóch koni. Wielbłąd był w każdym razie wierzchowcem, poznałem to po śladach jego kopyt. Podczas dokładnego oglądania śladów, podpadła mi pewna osobliwość, pozwalająca przypuszczać, że jeden z koni ma wadliwy chód. Zdziwiło mnie to, gdyż znajdowałem się w kraju, który ze względu na bogactwo koni umożliwiał każdemu człowiekowi posiadanie rumaka bez jakichkolwiek wad. Właściciel chorego zwierzęcia musiał więc nie być Arabem lub też był człowiekiem bardzo ubogim.

Halefa śmieszyła staranność, z jaką badałem piasek i kiedy się podniosłem, zapytał:

— No i co zobaczyłeś sihdi?

— Były tu dwa konie i jeden wielbłąd.

— Dwa konie i jeden wielbłąd! Niech Allah błogosławi twój wzrok! Zauważyłem to również, nie zsiadłszy ze swojego wierzchowca. Uchodzisz za uczonego, a robisz rzeczy, z których uśmiełby się poganiacz osła. Na cóż ci się teraz przyda skarbnica wiedzy, z której tu zaczerpnąłeś?

— Wiem przede wszystkim, że ci trzej jeźdźcy przejeżdżali tędy mniej więcej przed czterema godzinami.

— Co ci przyszło z tej wiedzy? Wy z Europy jesteście dziwnymi ludźmi!

Mówiąc to, Hadzi stroił miny, z których można było wyczytać głęboką litość; wolałem jednak milcząco ruszyć w dalszą drogę. Jechaliśmy śladami chyba godzinę, aż tuż za zakrętem uedu mimo woli wstrzymaliśmy nasze konie. Ujrzeliśmy trzy sępy, które siedziały niedaleko od nas, za wydumą, a kiedy nas zobaczyły, uniosły się w powietrze z ochryplym wrzaskiem.

— Orłosępy brodate — zawyrokował Ilalef. — Gdzie one się pokazują, tam na pewno znajduje się jakieś ścierwo.

— Zapewne padło tam jakieś zwierzę — odrzekłem, podążając za Halefem.

Mój towarzysz wysforował się naprzód, pozostałem więc za nim w tyle. Zaledwie Ilalef dotarł do wydmy, wstrzymał raptownie swego wierzchowca i wydał okrzyk przerażenia:

— Maszallah! Co to jest? Czy tu nie leży człowiek, sihdi? Halef miał rację. Tam istotnie leżał człowiek, na którego zwłokach ucztowały już sępy. Szybko zeskoczyłem z konia i uklęknąłem przy trupie. Ubiór nieżyjącego porozdzierany był pazurami ptaków. Dotykając zmarłego stwierdziłem, że jego śmierć musiała nastąpić niedawno.

— Allah kerim! Dobry Boże! Sihdi, czy ten człowiek zmarł śmiercią naturalną? — spytał Halef.

— Nie. Czy nie widzisz rany na jego szyi i dziury w potylicy? Został zamordowany.

— Allah niech ześle zagładę na tego, kto to zrobił! A może zmarły poległ w uczciwej walce?

— Co nazywacz uczciwą walką? Może jest ofiarą wendety. Przeszukajmy jego ubranie!

Halef pomógł mi przy tej czynności. Nie znaleźliśmy nic. Wreszcie wzrok mój padł na rękę zmarłego. Na jednym z jego palców zauważyłem zwykłą złotą obrączkę, przypominającą nasze obrączki ślubne. Ściągnąłem ją z palca nieboszczyka. Na jej wewnętrznej stronie wyryte było małymi lecz wyraźnymi literami i cyframi: EP 15C juillet 1830.

— Co znalazłeś? — zainteresował się Halef.

— Ten człowiek nie jest Arabem — odparłem.

— A kim jest?

— Francuzem,

— Frankiem, chrześcijaninem? Po czym to poznajesz?

— Kiedy chrześcijanin się żeni, wymienia ze swoją narzeczoną obrączki, to znaczy nie ozdobione kamieniami pierścionki. Na wewnętrznej stronie pierścionka często wyryty zostaje dzień zawarcia ślubu.

— I to jest taki pierścień?

— Tak.

— Ale po czym poznajesz, że ten zmarły należał do narodu Franków? Równie dobrze mógłby przecież być Anglikiem albo Niemcem, którym i ty jesteś.

— Znaki, które odczytałem na pierścieniu, są francuskie.

— Mimo to zmarły mógł być przecież innej narodowości. Czy nie sądzisz sihdi, że pierścionek można znaleźć albo ukraść?

— To prawda. Ale przyjrzyj się koszuli, którą zmarły ma pod ubraniem. To koszula Europejczyka.

— Kto go zabił?

— Jego dwaj towarzysze. Czyż nie widzisz zrytej ziemi, co świadczy o walce, która się tu odbyła? Nie zauważyłeś, że...

Przerwałem w pół zdania. Podniosłem się z klęczek, żeby zbadać grunt i niedaleko miejsca, w którym leżał trup, znalazłem początek szerokiego krwawego śladu, biegnącego w bok, pomiędzy skały. Podążyłem tym śladem z karabinem gotowym do strzału, gdyż mordercy mogli się jeszcze znajdować w pobliżu. Nie uszedłem daleko, gdy nagle z głośnym łopotem skrzydeł wzbił się w powietrze sęp, a na miejscu, z którego się poderwał, ujrzałem wielbłąda. Zwierzę było martwe; w jego piersi ziała głęboka rana. Halef załamał ręce.

— Popielaty wielbłąd, popielaty wielbłąd tuaregowski, a ci mordercy, te dranie, te psy, zabili go!

Było jasne, że mój towarzysz bardziej żałował wspaniałego zwierzęcia niż zamordowanego Francuza. Jak prawdziwy syn pustyni, dla którego najbłaższy przedmiot może mieć wartość, schylił się i obejrzał dokładnie siodło na wielbłądzie. Nic nie znalazł. Torby były puste.

— Mordercy już wszystko zabrali, sihdi. Oby się wiecznie smażyli w piekle. Nic, zupełnie nic nie pozostawili prócz wielbłąda i papierów, które leżą tam w piasku.

Tymi słowami Halef zwrócił moją uwagę na rzucony opodal zwitek papierów, zapewne niepotrzebnych mordercom. Podszedłem, żeby je podnieść, przypuszczając, że mogą stanowić dla mnie jakiś punkt zaczepienia dla wyjaśnienia sprawy. Było to kilka arkuszy gazet. Wygładziłem pogniecione strzępy, złożyłem je i otrzymałem w ten sposób dwie stronicie czasopisma „Vigie



algerienne" i tyleż stronic czasopisma „L'Independant" oraz czasopisma „Mahouna".

Pierwsze z wymienionych pism wychodzi w Algierze, drugie w Konstantynie, trzecie w miejscowości Guelma. Mimo że czasopisma te wydano w różnych miejscowościach, podpadła mi ich jednolita treść: wszystkie trzy zawierały bowiem informację o zamordowaniu bogatego francuskiego kupca z Blidy. Podejrzany o popełnienie morderstwa był armeński handlarz, niejaki Hamd el Amasad, który uciekł i ścigany był listem gończym.

Z jakiego powodu zmarły, do którego należał wielbłąd, miał te gazety przy sobie? Czy ten wypadek interesował go osobiście? Czy był krewnym kupca z Blidy, czy jego mordercą, a może policjantem, który był na tropie przestępcy?

Zatrzymałem gazety, obrączkę wsadziłem sobie na palec i razem z Halefem powróciłem do zwłok. Nad nimi uporczywie unosiły się sępy, które po naszym oddaleniu się do padliny wielbłąda, znów się tutaj zlatywały.

— Co zamierzasz teraz zrobić, sihdi? — spytał Halef.

— Nie pozostaje nam nic mnego, jak pogrzebać nieboszczyka.

— Chcesz go zakopać w ziemi?

— Nie, do tego brak nam narzędzi. Ułożymy nad nim stos kamieni; wówczas żadne zwierzę nie będzie miało doń dostępu.

— I naprawdę sądzisz, że był giaurem?

— Był chrześcijaninem.

— Możliwe jednak, że się mylisz, sihdi; mógł być również prawowiernym. Dlatego mam prośbę. Połóżmy go tak, żeby twarzą był zwrócony do Mekki!

— Nie mam nic przeciwko temu, gdyż w ten sposób będzie również zwrócony twarzą ku Jerozolimie, gdzie cierpiał i zmarł Zbawiciel świata. Do dzieła więc!

Smutne to było dzieło, którego dokonywaliśmy w głębokiej samotności. Kiedy stos kamieni, kryjący nieszczęśnika, był tak wysoki, że zapewniał zwłokom całkowitą ochronę przed zwierzętami pustynnymi, dodałem jeszcze tyle kamieni, żeby kopiec przyjął kształt krzyża; potem złożyłem ręce do modlitwy. Gdy skończyłem się modlić, Halef zwrócił się twarzą ku wschodowi, aby rozpocząć sto dwunastą surę Koranu:

— W imię Boga bezgranicznie miłosiernego! Mów: Bóg jest jedynym i wiekuistym Bogiem. Nie tworzy i nie jest tworzony; i żadna istota nie jest mu równa. Człowiek kocha upływające życie i nie troszczy się o przyszłe. Nadszedł jednak dzień twojego odejścia i teraz znajdziesz się przed obliczem twego pana, który cię wskrzesi do nowego życia. Oby wówczas liczba twych grzechów była nieduża, a liczba twoich dobrych uczynków tak wielka jak piasek, na którym zasnęłaś w pustyni!"

Po odmówieniu tej modlitwy Halef spojrział najpierw w prawo, potem w lewo i powiedział:

— Oby Allah obdarzył go spokojem!

W końcu schylił się, aby oczyścić piaskiem ręce, które pobrudził, niosąc trupa.

— Tak sihdi, teraz jestem znów tahir — rzekł — i wolno mi dotykać wszystkiego co czyste i święte. Co teraz zrobimy?

— Pospieszmy za mordercami, żeby ich dogonić.

— Chcesz ich zabić?

— Nie jestem ich sędzią. Porozmawiam z nimi i dowiem się, dlaczego zabili tego człowieka. Wtedy będę wiedział, co zrobić.

— To nie mogli być mądrzy ludzie — stwierdził Halef. — W przeciwnym razie nie zabiliby wielbłąda, który jest zapewne więcej wart od ich koni.

— Może ten wielbłąd byłby ich zdradził. Tu widać ich ślady. Naprzód! Wyprzedzają nas o pięć

godzin. Może spotkamy ich jutro, zanim dojadą do Seddady.

Galopowaliśmy mimo nieznośnego upału i trudnego kamienistego gruntu z taką szybkością, jakbyśmy chcieli upolować gazelę i wykluczone było, żeby przy tym rozmawiać. Mój dobry Halef nie mógł jednak długo wytrzymać tego milczenia.

— Sihdi — rozległ się za mną jego głos. — Sihdi, czy chcesz mnie opuścić?

Odwrociłem się:

— Opuścić?

— Tak. Moja klacz ma starsze nogi niż twój berberyjski ogier. Istotnie, stara klacz hessiferdzsańska skąpana była w pocie, a z pyska ciekła jej wielkimi płatami piana.

— Ale dziś nie możemy odpoczywać, jak zwykle czynimy to podczas największego upału — wtrąciłem — lecz musimy jechać aż do nocy. W przeciwnym razie nie dogonimy tych dwóch.

— Ko się zanadto spieszy sihdi, także nie dociera do celu wcześniej niż człowiek rozważny, gdyż — Allah akbar, spójrz tam w dół!

Znajdowaliśmy się przed stromym zboczem uedu i może w odległości kwadransa jazdy konnej zobaczyliśmy w dole dwóch mężczyzn, którzy siedzieli przed małą kałużą słonej wody. Ich konie skubały suche kolczaste mimozy, rosnące w pobliżu.

— Ach, to oni!

— Tak sihdi, to są ci mordercy! Im także było za gorąco i postanowili poczekać, aż minie największy żar.

— A może zatrzymali się, żeby podzielić łup. Cofnij się Halef, cofnij, żeby cię nie zauważyli. Opuścimy dolinę i skręcimy trochę na zachód, aby upozorować, że jedziemy od szotu Rharsa.

— Dlaczego sihdi?

— Nie powinni domyślić się, że znaleźliśmy zwłoki zamordowanego.

Nasze konie wspięły się na zbocze doliny i pojechaliśmy szybko na zachód, w głąb pustyni. Potem, zatoczywszy łuk, jechaliśmy znów w kierunku miejsca, w którym ci dwaj się zatrzymali. Mordercy nie mogli nas widzieć, kiedyśmy nadjeżdżali, gdyż siedzieli na dnie doliny, musieli nas jednak usłyszeć, kiedyśmy się zbliżyli.

Rzeczywiście, gdy dotarliśmy do krawędzi niecki, wstali i chwycili za strzelby. Udałem, że jestem tak samo zdziwiony jak oni, iż w głuszy pustyni napotkaliśmy nagle ludzi; nie uważałem jednak za konieczne sięgnąć po swój sztucer.

— Es selam 'alejku! — zawołałem, wstrzymując konia.

— We 'alejku es selam! — odpowiedział starszy. — Kim jesteście?

— Jesteśmy spokojnymi jeźdźcami.

— Skąd jedziecie? — Z zachodu.

— A dokąd?

— Do Seddady.

— Z jakiego jesteście plemienia? Wskazałem na Halefa.

— On pochodzi z równiny Admar, a ja należę do plemienia Beni Sachsa. Kim wy jesteście?

— Jesteśmy członkami słynnego plemienia Uelad Hamalek.

— Plemię Uelad Hamalek to dobrzy jeźdźcy i dzielni wojownicy. A skąd jedziecie?

— Z Gafsy.

— To macie długą podróż za sobą. Dokąd się udajecie?

— Do bir Saudidi, gdzie mamy przyjaciół.

Zarówno to, że jadą z Gafsy, jak też, że zdążają do źródła Saudidi, było kłamstwem; udałem jednak, że wierzę ich słowom i pytałem dalej:

— Czy pozwolicie, że zatrzymamy się przy was na odpoczynek?

— Zostaniemy tu do wczesnego rana — brzmiała odpowiedź, która mogła oznaczać zarówno przyzwolenie, jak odmowę.

— My także mamy zamiar odpocząć tu do wschodu słońca — oznajmiłem. — Jest tu dość wody dla nas wszystkich, a także dla koni. Czy możemy zostać z wami?

— Pustynia należy do wszystkich. Witajcie!

Mimo zaproszenia, z twarzy tych dwóch mężczyzn można było wyczytać, że nasze towarzystwo bynajmniej ich nie cieszy. Nie przejęliśmy się tym jednak, zjechaliśmy w dół po stoku i zsiadłszy z koni, ulokowaliśmy się beztrąsko koło wody.

Twarze obu podróżnych, które teraz swobodnie mogłem obserwować, nie wzbudzały zaufania. Starszy, który dotychczas zabierał głos, był wysoki i szczupły. W swym burnusie wyglądał jak strach na wróble. Spod brudnego turbanu wзираły niesamowicie małe, przenikliwe oczy. Wąskie bezkrwiste wargi okalała rzadka nędzna broda. Spiczasty podbródek miał tendencję do zadzierania się w górę, a nos, tak, ten nos przypominał mi sępy, które niedawno spłoszyłem przy zwłokach zamordowanego. To nie był nos orli ani krogulczy: ten nos miał naprawdę kształt sępiego dzioba.

Drugi podróżny był młodym człowiekiem, o rzucającej się w oczy pięknej powierzchowności, lecz występki zamgliły jego wzrok, osłabiły nerwy i pokryły jego czoło i policzki przedwczesnymi zmarszczkami. Nie można było tego człowieka darzyć zaufaniem.

Starszy mówił językiem arabskim o takiej barwie dźwięku, jaką można usłyszeć nad Eufratem, a wymowa młodszego pozwalała się domyślać, że nie jest człowiekiem Wschodu, lecz Europejczykiem. Konie podróżnych, stojące w pobliżu, były nędzne i wyraźnie zmęczone. Odzież jeźdźców była mocno podniszczona, ich broń natomiast wspinała. Tam, gdzie poprzednio siedzieli, leżały rozmaite przedmioty, jakie na ogół rzadko spotyka się na pustyni i zapewne dlatego tylko znajdowały się na widoku, gdyż ci dwaj poróżni nie mieli czasu ich schować. Były to: jedwabna chusteczka, złoty zegarek z łańcuszkiem, kompas, wspinały rewolwer i notes oprawny w skórę.

Udałem, że nie zauważyłem tych rzeczy, wyjąłem z torby u siodła garść daktyli i zacząłem je spożywać z obojętną miną.

— Co macie do załatwienia w Seddadzie? — zapytał mnie wysoki.

— Nic, jedziemy dalej.

— Dokąd?

— Przez szot Al Dżarid do Fetnassy i Kebilli

Spojrzenie, jakie longinus rzucił ukradkiem na swojego towarzysza, pozwalało mi się domyślać, że ci dwaj jadą w tym samym kierunku.

Longinus pytał dalej:

— Czy masz jakieś interesy do załatwienia w Fetnassie lub Kebilli?

— Tak.

— Chcesz tam zapewne sprzedać trzodę?

— Nie.

— Lub też swoich niewolników?

— Nie.

— A może towar, który sprowadzasz z Sudanu?

— Nie.

— To co w takim razie?

— Nic. Plemię, do którego należę, nie uprawia handlu z Fetnassą.

— A może chcesz sobie stamtąd wziąć kobietę?

Udałem gniew.

— Czy nie wiesz, że obrażasz mężczyznę, mówiąc do niego o jego kobiecie? Może jesteś gjaurem, skoro lekceważysz ten zakaz?

Mężczyzna wyraźnie się przestraszył, na skutek czego zacząłem podejrzewać, że zgadłem. Zastanowiło mnie, że właściwie nie miał wyglądu Beduina, jego twarz przypominała mi raczej twarzę mężczyzny pochodzenia armeńskiego i — ach, czy to przypadkiem nie jest ten armeński handlarz, co zamordował kupca w Blidzie i za którym rozesłano listy gończe, z których jeden noszę w kieszeni? Gdy ta myśl strzeliła mi nagie do głowy, wzrok mój padł ponownie na rewolwer. Na jego rękojeści znajdowała się srebrna płytką, na której wytrawione było nazwisko.

— Pozwól mi obejrzeć!

Mówiąc to, sięgnąłem po broń i przeczytałem: „Paweł Galingre, Marsylia”. Nie było to zapewne nazwisko producenta, lecz właściciela broni. Nie zdradziłem jednak swych podejrzeń najmniejszą zmianą wyrazu twarzy, tylko zapytałem od niechcenia:

— Co to za broń?

— Broń — broń — bębenkowa.

— Czy chciałbyś mi pokazać, jak się z tego strzela?

Szczupły mężczyzna wyjaśnił mi. Przysłuchiwałem się uważnie, a potem powiedziałem:

— Nie jesteś z plemienia Uelad Hamalek, lecz gjaurem. — Dlaczego?

— Widzisz, że zgadłem! Gdybyś był wyznawcą Proroka, zastrzeliłbyś mnie za to, że nazwałem cię gjaurem. Tylko niewierni posiadają broń bębenkową. W jaki sposób ta broń mogła się dostać w ręce członka plemienia Uelad Hamalek. Czy jest prezentem?

— Nie.

— A więc kupiłeś ją?

— Nie.

— No to ją zdobyłeś? Na kim?

— Na pewnym Franku.

— Z którym walczyłeś?

— Tak.

— Gdzie?

— Na polu walki.

— Na jakim?

— Pod El Guerara.

— Kłamiesz!

Teraz wreszcie Armeńczyk stracił cierpliwość. Wstał i sięgnął po rewolwer. . "

— Coś powiedział? Ja kłamię? Czy mam cię zastrzelić, jak...

— ...jak tego Franka tam w dolinie Tarfaui? — przerwałem mu. Ręka trzymająca rewolwer opadła i oblicze mężczyzny pokryło się bledością, Opanował się jednak i zapytał z groźbą w głosie:

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Sądzę, że na pewno nie jesteś z plemienia Uelad Hamalek. Twoje nazwisko jest mi znane; brzmi ono: Hamd el Amasad.

Mężczyzna wlepił we mnie przestraszony wzrok.

— Skąd mnie znasz?

— Znam cię; to wystarczy.

— Nie, nie znasz mnie — odparł zdenerwowany. — Nie nazywam się tak, jak mówiłeś. Jestem z plemienia Uelad Hamalek.

Zaprzeczyłem, robiąc niedbały ruch ręką i spytałem:

— Czyje są te rzeczy?

— Moje.

Sięgnąłem szybko po chusteczkę. Były na niej wyszyte litery „PG”. Otwarłem kopertę zegarka i na jej wewnętrznej stronie znalazłem te same litery.

— Skąd masz ten zegarek?

— To nie twoja sprawa. Połóż go z powrotem.

Nie usłuchałem wezwania Armeńczyka, lecz otworzyłem również notes. Na pierwszej stronie przeczytałem: „Paweł Galingre”; poniżej nazwiska treść była stenografowana, a ja niestety nie umiem stenografować ani odczytywać stenogramu.

— Odłóż ten notes, mówię ci! — zagroził i wytrącił mi go z ręki.

Notes wpadł do kałuży. Podniosłem się, chcąc go uratować, napotkałem teraz jednak podwójny opór, gdyż młodszy mężczyzna stanął między mną a kałużą.

Ilalef przysłuchiwał się dotychczas naszej wymianie zdań z pozorną obojętnością, widziałem jednak, że trzymał palec na kurku swojej długiej fuzji. Wystarczył tylko znak z mej strony, żeby pociągnął za spust. Schyliłem się również po kompas.

— Nie ruszaj, to wszystko moje! Oddaj te rzeczy! — zawołał przeciwnik.

Dla podkreślenia ważności swych słów, chwycił mnie za ramię. Ja natomiast najspokojniej jak tylko mogłem powiedziałem:

— Siadaj! Mam z tobą do pomówienia.

— Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego!

— Ale ja chcę z tobą porozmawiać. Siadaj, jeśli ci życie miłe! Moja groźba, której towarzyszyło znaczące spojrzenie na Halefą, odniosła skutek. Hamd el Amasad usiadł, a ja zrobiłem to samo. Potem wyjąłem swój rewolwer.

— Przypatrz się, ja też mam taką broń bębenną! Schowaj swoją, bo w przeciwnym razie moja wystrzeli!

Zaskoczyło to Hamd el Amasada i położył rewolwer powoli obok siebie, był jednak gotów sięgnąć po broń w każdej chwili.

— Jesteś synem plemienia Uelad Hamalek? — ponowiłem pytanie. .

— Jestem.

— Jedziesz z Gawsy?

— Jadę stamtąd.

— Jak długo jedziesz już doliną Tarfaui?

— Co cię to obchodzi?

— Bardzo mnie obchodzi. Tam w górze leży trup człowieka, którego zamordowałeś.

Grymas złości przemknął przez twarz Armeńczyka.

— A gdybym to istotnie zrobił, to czemu to ciebie wzrusza i co cię to obchodzi?

— Niewiele, mam tylko kilka pytań. Kim był ten człowiek? — Nie znam go.

— Dlaczego zabiłeś go oraz jego wielbłąda?

— Bo mi się tak podobało.

— Czy był prawowiernym? — Nie. Był obcym.

— Zabrałeś mu wszystko, co miał przy sobie? — Czy miałem to zostawić przy nim?

— Nie, ponieważ musiałeś to zachować dla mnie.

— Dla ciebie...? Nie rozumiem.

— Zaraz mnie zrozumiesz. Zmarły był chrześcijaninem. Ja także nim jestem i będę mścicielem

zabitego.

— Chcesz dokonać wendety?

— Nie. Gdybym chciał być wykonawcą wendety, już byś nie żył. Znajdujemy się na pustyni, gdzie liczy się tylko prawo silniejszego. Nie chcę próbować, kto z nas jest silniejszy: to należy do Boga, Wszechwiedzącego i Wszechmocnego, który wszystko widzi i nie pozostawia żadnego czynu bez odpłaty. Ale jednego żądam od ciebie: oddasz wszystko, co zabrałeś zmarłemu.

Hamd el Amasad uśmiechnął się wyniośle.

— Naprawdę sądzisz, że to zrobię? — Tak sądzę.

— To weź sobie to, co chcesz!

Poruszył ręką, żeby sięgnąć po rewolwer. Byłem jednak szybszy i wycelowałem w niego lufę swojej broni.

— Nie ruszaj się, bo strzelę!

Położenie, w jakim się znalazłem, było dziwaczne. Zachowywałem się tak, jak bym miał wszystkie atuty w ręku, a przecież wcale tak nie było. Na szczęście mój przeciwnik był bardziej podstępny niż odważny. Cofnął rękę i zdawał się wahać.

— Co chcesz zrobić z tymi rzeczami? — zapytał.

— Zwrócę je krewnym zmarłego.

Na twarzy mojego przeciwnika ukazał się niemal współczujący uśmiech.

— Kłamiesz — powiedział wyniośle. — Chcesz je sobie przywłaszczyć.

— Ja nie kłamię.

— A co przedsięweźmiesz przeciwko mnie?

— Teraz nic. Ale strzeż się ponownego spotkania ze mną!

— Czy naprawdę udajesz się stąd do Seddady?

— Tak.

— A jeśli ci oddam te rzeczy, to pozwolisz mi i mojemu towarzyszowi podróżować dalej bez przeszkód do bir Saudidi?

— Tak.

— Przyrzekasz mi to?

— Tak.

— Przysięgnij!

— Nie przysięgam w tak błahych sprawach; rnoje słowa i bez przysięgi są prawdziwe.

— Masz, weź rewolwer, zegarek, kompas i chustkę!

— Co jeszcze zamordowany miał przy sobie?

— Nic.

— Zapewne miał pieniądze.

— Te zatrzymam sobie.

— Nie mam nic przeciwko temu. Daj mi jednak sakiewkę lub portmonetkę, w której znajdowały się pieniądze.

— Bardzo proszę.

Hamd el Amasad wyciągnął zza pasa sakiewkę wyszywaną perłami, którą podał mi, uprzednio ją opróżniwszy.

— Czy niczego więcej ten człowiek nie miał przy sobie? — ponowiłem pytanie.

— Nie. Czy chcesz mnie zrewidować?

— Nie.

— Możemy więc odejść?

— Tak.

Wydawało się, że odetchnął z ulgą. Jego towarzysz sprawiał wrażenie jeszcze bardziej bojaźliwego człowieka, który teraz bardzo się ucieszył z takiego zakończenia sprawy. Zebrali swoje manatki i dosiedli koni.

— Es selam 'alejkum!

Nie odpowiedziałem. Wkrótce mordercy znikli za stokiem, wznoszącym się ponad doliną. Halef dotychczas nie odezwał się ani słowem; teraz przerwał milczenie.

— Sihdi!

— Co?

— Czy mogę coś powiedzieć? Czy znasz ptaka strusia?

— Tak.

— Wiesz jaki on jest?

— No jaki?

— Głupi, bardzo głupi.

— Mów dalej!

— Wybacz mi sihdi, lecz wydajesz mi się jeszcze gorszy od strusia.

— Dlaczego?

— Bo pozwoliłeś umknąć tym łotrom.

— Nie mogę ich zatrzymać ani zabić.

— Dlaczego nie? Gdyby byli zamordowali prawowiernego, to zapewniam cię, że posłałbym ich do szejtana. Ponieważ jednak zmarły był giaurem, jest mi obojętne, czy jego mordercy zostaną ukarani, czy też nie. Ty jednak jesteś chrześcijaninem, a godzisz się, żeby zabójcy chrześcijanina uciekli?

— Kto ci powiedział, że uciekną?

— Przecież ci szubrawcy już odjechali, dotrą do bir Saudidi, a stamtąd do miejscowości Debila i El Ued, żeby zniknąć na obszarze wydm.

— Tego nie zrobią.

— Więc dokąd sio udadzą? Opowiadali przecież, że idą do bir Saudidi.

— Kłamali. Pojadą do Seddady.

— Kto ci to powiedział? — Moje oczy.

— Niech Allah błogosławi twoje oczy, którymi obserwujesz ślady w piasku. Tak jak ty może postępować tylko niewierny. Ale ja cię nawrócę na prawdziwą wiarę, możesz być tego pewien, czy chcesz czy nie.

— Wówczas uważać się będę za pielgrzyma, pomimo że nie byłem w Mekce. '

— Sihdi! Przecież mi obiecałeś, że już nigdy o tym nie wspomnisz.

— Owszem. Tak długo, dopóki nie zaczniesz mnie nawracać.

— Jesteś moim panem — westchnął mały — muszę się więc z tym pogodzić. Powiedz jednak, co teraz zrobimy?

— Wpierw zadbamy o własne bezpieczeństwo. Tutaj bowiem łatwo nas może osiągnąć jakaś rewolwerowa kulka. Musimy się upewnić, czy tych łotrów rzeczywiście już nie ma w pobliżu.

Wspiąłem się na skraj wąwozu i istotnie zobaczyłem tych dwóch jeźdźców już dość daleko, kierujących się na południowy zachód. Halef podjechał do mnie.

— Tam jadą — zauważył. — To jest kierunek na bir Saudidi.

— Kiedy się dostatecznie oddalą, sądząc, że już ich nie widzimy, zawrócą na wschód.

— Gdyby to zrobili, wpadliby z powrotem w nasze ręce.

— Ci złoczyńcy przypuszczają, że my dopiero jutro wyruszymy w dalszą podróż, i są pewni, że nas znacznie wyprzedzą.

— To są twoje domysły, niekoniecznie musisz mieć rację.

— Tak sądzisz? Czyż tam u góry nie powiedziałem ci, że jeden z ich koni ma wadę chodu?

— Tak, powiedziałeś i zauważyłem to również, kiedy odjeżdżali

— To i teraz dobrze zgaduję, twierdząc, że mordercy kierują się do Seddady.

— Dlaczego więc nie jedziemy za nimi natychmiast?

— Wyprzedzilibyśmy ich, ponieważ jedziemy prostą drogą; natrafiliby wówczas na nasze ślady i mieliby się przed nami na baczności.

— Masz rację — oznajmił. — Wracajmy więc nad wodę i odpoczywajmy do czasu wyruszenia w dalszą drogę!

Zsiedliśmy więc ponownie z koni. Wyciągnąłem się na swoim kocu, naciągnąłem sobie koniec chusty turbanu na twarz jak welon i przymknąłem oczy, nie żeby spać, lecz żeby się zastanowić nad naszą przygodą. Któż jednak potrafi w tym okropnym żarze Sahary myśleć przez dłuższy czas o takiej niejasnej sprawie? Mimo woli zasnąłem i obudziłem się po przeszło dwu godzinach. Udaliśmy się w dalszą podróż.

Dolina Tarfaui dochodzi do szotu Rharsa. Musieliśmy ją teraz opuścić, jeśli kierując się na wschód, chcieliśmy dotrzeć do Seddady. Po upływie godziny napotkaliśmy ślady dwóch koni, prowadzące z zachodu na wschód.

— No i co Halefie, czy rozpoznajesz te ślady?

— Rzeczywiście, miałeś rację sihdi! Te łotry jadą do Seddady. Zsiadłem z konia i przyjrzałem się śladom.

— Przejeżdżali tędy zaledwie pół godziny temu. Jedźmy powoli, w przeciwnym razie zobaczą nas.

Odnogi gór Tarfaui obniżały się stopniowo, przechodząc w równinę, i kiedy słońce zaszło, a wkrótce potem na niebo wyhynał księżyc, zobaczyliśmy u naszych stóp Seddadę.

— Zjedziemy w dół? — spytał Halef.

— Nie. Przenocujemy pod oliwkami tam na stoku góry. Zboczyliśmy trochę z drogi i wśród oliwek znaleźliśmy wspaniałe miejsce na nocleg. Ponieważ obaj byliśmy przyzwyczajeni do szczekania szakala i ujadania pustynnego lisa oraz do niskiego głosu skradającej się hieny, to te nocne odgłosy nie przerywały nam snu. Pierwszą moją czynnością po przebudzeniu się było ponowne odnalezienie śladów. Zdawałem sobie sprawę z tego, że tu, w pobliżu zamieszkałej miejscowości, ślady nie będą miały znaczenia, lecz ze zdumieniem odkryłem, że nie prowadzą one do Seddady, a zbaczają na południe.

— Dlaczego ci złoczyńcy nie zjechali tutaj w dół? — spytał Halef.

— Żeby ich nikt nie widział. Ścigani mordercy muszą być ostrożni — wyjaśniłem mu.

— Ale dokąd właściwie chcą się udać?

— W każdym razie do Kriz, aby przejechać przez Szott al Dżarid. Wtedy będą już poza Algierią i jako tako bezpieczni.

— Przecież jesteśmy już w Tunezji. Granica przebiega od bir El Khalla do bir Saudi przez szot Rharsa.

— Takim ludziom jak ci dwaj to jeszcze nie wystarczy. Założę się, że pojedą przez Fessan do oazy Kufra, gdyż tam dopiero będą zupełnie bezpieczni.

— Tu także są bezpieczni, jeśli mają bujuruldu sułtana.

— Niewiele by im ten dokument pomógł wobec konsula lub urzędnika policyjnego.



— Tak sądzisz? Nie radziłbym nikomu nie doceniać potężnego giolgeda padiszanun.

— Mówisz tak, mimo że uważasz się za wolnego Araba?

— Tak. W Egipcie widziałem, jaką władzę posiadał sułtan, lecz na pustyni się go nie boję. Czy zatrzymamy się teraz w Seddadzie?

— Tak, żeby kupić trochę daktyli i napić się wreszcie dobrej wody. Potem jednak pojedziemy dalej.

— Do Kriz?

— Do Kriz.

Już w kwadans później zaopatrzyliśmy się we wszystkie potrzebne rzeczy i wjechaliśmy na drogę prowadzącą z Seddady do Kriz. Po naszej lewej stronie lśniła w dole tafla jeziora Szott al Dżarid. Był to widok, którym nie mogłem napatrzeć się do syta.

## II.

### ŚMIERTELNA WYPRAWA

Sahara jest wielką, ciągle jeszcze nie rozwiązaną zagadką. Już od roku tysiąc osiemset czterdziestego piątego istnieje plan przekształcenia części pustyni w morze, a przeto przyległych terenów w urodzajną glebę, żeby w ten sposób przybliżyć również postęp cywilizacji mieszkańcom tej krainy. Można by się jeszcze spierać, czy to przedsięwzięcie jest rzeczywiście wykonalne i czy zostałyby uwieńczone powodzeniem.

U podnóża południowych stoków gór Aures i wschodniego przedłużenia tego łańcucha górskiego, a więc gór Dra el Haua, Dżebel Tarfau, Dżebel Situna i Dżebel Hadifa, rozciąga się nieprzejrzana, gdzieniegdzie lekko pofałdowana równina, której zagłębienia pokryte są słoną skorupą i zwietrzeliną, jako pozostałościami wielkich niegdyś wód śródlądowych. Te słone jeziora zwą się na terytorium algierskim szotami, a na tunezyjskiej części sobhami lub sebchami.

Granicą tej dziwnej równiny tworzą na zachodzie górskie odnogi płaskowyżu Beni-Msab, na wschodzie przesmyk Gabes, a na południu obszar wydm w obrębie Ssuf i Nifsaua oraz wydłużony grzbiet górski Tebaga. Ta kotlina mogła być kiedyś zatoką Triton, o której wspominał już ojciec dziejopisarstwa Herodot.

Poza licznymi mniejszymi solniskami na tym obszarze znajdują się trzy większe słone jeziora; licząc od zachodu na wschód są to szoty: Melghir, Rharsa i Dżarid, z których ostatni nosi również nazwę El Kebir. Te trzy zbiorniki wodne tworzą strefę, której zachodnia połowa, leży niżej niż Morze Śródziemne przy Gabes w czasie odpływu.

Niecka obszaru szotów zasypana jest dziś w większej części piaskiem pustynnym i tylko pośrodku poszczególnych zagłębień znajdują się pokaźne masy wody, porównywane przez arabskich pisarzy i podróżnych to do dywanu z kamfory lub kryształowej osłony, to do srebrnej płyty lub powierzchni stopionego metalu. Wygląd ten szoty zawdzięczają skorupie soli, którą są pokryte, a której grubość bywa bardzo różna, oscylując między dziesięcioma a maksymalnie dwudziestoma centymetrami. Tylko w niektórych miejscach można się odważyć wejść na tę skorupę, nie ryzykując utraty życia. Biada temu, kto choćby na szerokość ręki zejdzie z wyznaczonej wąskiej ścieżki. Skorupa wówczas pęka i otchłani niezwłocznie połyka ofiarę. Bezpośrednio nad głową nieszczęsnego skorupa się zamyka. Wąskie ścieżki, prowadzące przez jeziora, szczególnie w porze deszczowej stają się bardzo niebezpieczne, ponieważ deszcz splukuje piasek, odsłaniając skorupę.

Woda szotów jest zielona i gęsta, i o wiele bardziej słona od wody morskiej. Próba zmierzenia głębi otchłani, z uwagi na właściwość terenu nie dałaby rezultatu, można jednak przyjąć, że żadne z tych słonych bagnisk nie ma więcej niż pięćdziesiąt metrów głębokości. Główne niebezpieczeństwo zarywania się skorupy soli pochodzi od ruchliwego piasku, który przesuwa się pod jasnozieloną warstwą wody, nawiewany samumem od tysięcy lat.

Już najstarsi arabscy badacze, jak Ibn Dżubajr, Ibn Battuta, Al-Bakri, Al-Istachri oraz Ibn al-Wardi, zgodni są w swej ocenie niebezpieczeństwa szotów. Jezioro Dżarid pochłonęło już tysiące wielbłądów i ludzi; zarówno ludzie jak i zwierzęta zniknęli w jego otchłani bez śladu. W roku tysiąc osiemset dwudziestym szóstym musiała przejść przez to słone bagnisko karawana licząca ponad tysiąc jucznych wielbłądów. Nieszczęśliwy wypadek spowodował, że wielbłąd kroczący na przedzie zboczył z wąskiej ścieżki. Utonął w otchłani szotu, a za nim wszystkie pozostałe zwierzęta. Ledwie karawana zniknęła w bagnisku, pokrywa soli przybrała swój poprzedni kształt i najmniejsza zmiana

na powierzchni jeziora nie zdradziła owego strasznego nieszczęścia. Takie zdarzenie wydaje się prawie niemożliwe, jeśli człowiek nie uświadomi, sobie, że każdy wielbłąd jest przyzwyczajony stąpać ślepo za krocącym przed nim zwierzęciem, z. którym przeważnie jest połączony sznurem i że ścieżka biegnąca przez szot często jest tak wąska, iż ewentualne zawrócenie z niej jest dla zwierzęcia, a tym bardziej dla całej karawany, niewykonalne.

Wygląd tych podstępnych tafli, pod którymi czai się śmierć, przypomina niekiedy lśniące niebieskawo powłoki stopionego ołowiu. Skorupa jest czasem twarda i przezroczysta jak szkło butelki i dźwięczy przy każdym kroku niczym solfatary pod Neapolem; przeważnie jednak tworzy miękką, ciastowatą masę, która wydaje się wytrzymała, posiada natomiast tylko tyle twardości, aby móc utrzymać lekki nalot piasku.

Tu i ówdzie nagromadzone kupki drobnych kamieni służą przewodnikom za drogowskazy. Tych kupek, zwanych „gmair”, nie ma w miejscach, w których na dłuższej przestrzeni woda sięga koniom zaledwie do piersi. Dawniej na szocie El Kebir znaczone drogę również gałęziami palm. Gałąź palmy daktylowej nazywa się dżarid; tej okoliczności zawdzięcza to jezioro swoją nazwę.

Skorupa, szotu nie jest zresztą jednolitą, płaską równiną; przeciwnie — ukazuje fale, które osiągają nawet trzydzieści metrów wysokości. Grzywy tych fal stanowią ścieżkę, po której posuwają się karawany, a między ścieżkami w głębiej położonych miejscach czyha zguba. Już przy umiarkowanym wietrze powłoka solna zaczyna się kołysać i z niektórych jej szczelin i tworów wydobywa się woda z siłą wybijającego się na powierzchnię źródła.

A więc ta przyjemnie lśniąca, lecz zwodnicza płaszczyzna jeziora rozciągała się po lewej stronie, kiedy jechaliśmy w kierunku Kriz, skąd przez szot prowadzi ścieżka do Fetnassy, leżącej po przeciwnej stronie półwyspu Nifsaua. Halef wskazał wyciągniętą ręką w dół.

— Czy widzisz ten szot sihdi? Przeszedłeś go już kiedyś?

— Nie.

— To podziękuj Allahowi, w przeciwnym razie byłbyś już może u swoich przodków. A my naprawdę chcemy przejść na drugą stronę?

— Oczywiście.

— B'sm illah, w imię Boże! Mój przyjaciel Sadek zapewne jeszcze żyje.

— Kto to jest?

— Sadek jest najslawniejszym przewodnikiem przez Szott al Dżarid. Należy do plemienia Merasig i urodził się w Mui Hamed, mieszka jednak w Kriz wraz ze swoim synem, który jest dzielnym młodzieńcem. Zna on szot jak nikt inny i tylko jemu chciałbym się powierzyć, sihdi. Czy pojedziemy prosto do Kriz?

— Jak daleko jest do tej miejscowości?

— Trochę ponad godzinę.

— To zboczmy teraz na zachód. Musimy zobaczyć, czy znajdziemy ślady morderców.

— Naprawdę sądzisz, że pojechali do Kriz?

— W każdym razie i oni obozowali pod gołym niebem, i będą już przed nami, ażeby przejść jezioro.

Zjechaliśmy z dotychczasowej drogi i obraliśmy kierunek na zachód. W pobliżu drogi znaleźliśmy dużo śladów, które trzeba było ominąć, wkrótce jednak śladów zaczęło ubywać, aż urwały się całkowicie. Wreszcie tam, gdzie ścieżka dla wierzchowców prowadzi do El Hamma. ujrzałem w piasku ślady dwóch koni. Po ich dokładnym zbadaniu doszedłem do wniosku, że jesteśmy na właściwym tropie. Jechaliśmy tymi śladami aż w pobliże Kriz, gdzie zgubiły się na szerszej drodze.

Halef zamyślił się.

— Czy mam ci coś powiedzieć sihdi? — Co takiego?

— To jednak dobrze, gdy się umie czytać w piasku.

— Ładnie, że to przyznajesz. Lecz oto jesteśmy już w Kriz! Gdzie znajduje się mieszkanie twojego przyjaciela Sadeka?

— Jedź za mną!

Objechaliśmy miejscowość, składającą się z kilku namiotów i chat stojących w cieniu wysokich palm, i zatrzymaliśmy się przy grupie migdałowców. Okalały one szeroki, niski domek, z którego wyszedł na nasze powitanie Arab, zmierzając radośnie ku Halefowi.

— Sadek, bracie mój, ulubieńcze Proroka!

— Halefie, przyjacielu mój, błogosławiony przez Proroka! Potem Arab zwrócił się do mnie.

— Witaj! Wchodźcie do mojego domu; jest waszym domem!

Skorzystalismy z zaproszenia Sadek był sam i częstował nas różnymi orzeźwiającymi napojami, które piliśmy z przyjemnością. Halef uważał, że nadszedł czas, aby mnie przedstawić swemu przyjacielowi.

— To jest Kara ben Nemsy, wielki alim z Zachodu, umiejący rozmawiać z ptakami i czytać w piasku. Dokonaliśmy już wspólnie wielu wielkich czynów. Ja jestem jego przyjacielem i służącym, i mam go nawrócić na prawdziwą wiarę.

Halef zapytywał mnie kiedyś o moje imię i dlatego zapamiętał słowo Karol. Ponieważ jednak nie potrafił go wymowie, przekręcił je szybko i zdecydowanie na: Kara i dodał: ben Nemsy, co znaczy: potomek Niemców. Gdzie rozmawiałem z ptakami, nie mogłem sobie jednak niestety przypomnieć. W każdym razie to stwierdzenie miało mnie postawić w równym rzędzie z kilkoma bohaterami wschodniej sagi, według której posiadali oni dar rozmawiania ze zwierzętami. O wielkich czynach, których rzekomo dokonaliśmy, także nic nie wiedziałem, chyba tylko to, że gdy kiedyś zawisłem w krzakach i wygodnie zesunąłem się ze swojego konia, ten wykorzystał okazję i uciekł, a ja musiałem się za nim uganiać. Jednak punktem kulminacyjnym przemowy Halefa było twierdzenie, że chcę się dzięki niemu nawrócić. Za to należało mu się skarcenie, więc zapytałem Sadeka:

— Czy znasz pełne nazwisko twojego przyjaciela Halefa?

— Tak.

— Jak ono brzmi?

— Hadzi Halef Omar.

— To nie wystarczy; brzmi ono: Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah. Widzisz więc, że pochodzi on z pobożnej, wielce zasłużonej rodziny, której wszyscy członkowie byli pielgrzymami, mimo że...

— Sihdi — przerwał Halef z przerażoną miną — nie mów o zasługach twojego sługi! Wiesz, że zawsze będę skory cię słuchać.

— Mam nadzieję, Halefie. Nie masz mówić o sobie ani o mnie! Spytaj lepiej swojego przyjaciela Sadeka, gdzie się znajduje jego syn, o którym mi opowiadałeś!

— Czy on rzeczywiście o nim mówił, efendi? — zaciekał się Arab. — Niech cię Allah błogosławi, Halefie, za to, że pamiętasz o ludziach, którzy cię kochają. Mój syn Omar poszedł przez jezioro do Sefimi i ma jeszcze dzisiaj wrócić.

— My też zamierzamy przejść przez szot i ty masz nas poprowadzić — oświadczył Halef.

— Wy macie przejść? Kiedy?

— Natychmiast.

— Dokąd, efendi?

— Do Fetnassy. Jakie jest przejście na drugą stronę jeziora?

— Bardzo niebezpieczne. Istnieją tylko dwie pewne ścieżki na tamten brzeg, mianowicie El Toserija między Toser i Fetnassą oraz Es Suida między Neftą i Sarsin. Jednakże droga stąd do Fetnassy jest zła i tylko dwie osoby znają ją dokładnie, mianowicie ja i Arfan Rakedim w Kriz.

— Czy twój syn także zna tę drogę?

— Tak.

— Jeśli wyruszymy w południe, to kiedy dojdziemy do Fetnassy? .

— Przed świtem, o ile masz dobre wierzchowce.

— Rzykujesz więc przejście przez szot nawet nocą?

— Przy księżycu, tak. Jeśli jednak jest ciemno, nocuje się na jeziorze. Istnieją miejsca, gdzie skorupa solna jest tak gruba, że można na niej rozbić obóz.

— Czy zechcesz nas poprowadzić?

— Chętnie, efendi.

— To pozwól mi wpierw przyjrzeć się jezioru.

— Nie przeszedłeś dotychczas żadnego szotu? — Nie.

— No to chodź! Zobaczysz bagnisko śmierci, miejsce zguby, morze milczenia, przez które cię bezpiecznie przeprowadzę.

Opuściliśmy chatę i ruszyliśmy na wschód. Po przekroczeniu szerokiego, bagnistego pasa, dotarliśmy do właściwego brzegu szotu, którego wody, z uwagi na skorupę soli pokrywającą jego powierzchnię, nie było widać. Przebiłem słoną powłokę nożem i stwierdziłem, że ma ona czternaście centymetrów grubości. Sól była przy tym tak twarda, że mogła utrzymać człowieka średniego wzrostu. Pokrywała ją cienka, warstwa lotnego piasku. W kilku miejscach, w których wiatr zwiął piasek, sól przebłyskiwała niebieskawo-białym lśnieniem.

Podczas gdy się jeszcze przypatrywałem temu zjawisku, odezwał się za nami głos:

— Es selam alejkum!

Odwróciłem się. Przed nami stał szczupły Beduin o krzywych nogach, który na skutek jakiejś choroby, a może otrzymanego postrzału, utracił także nos.

— We 'alejkum es selam! — odparł Sadek. — Co sprowadza do szotu mojego przyjaciela Arfana Rakedima? Masz na sobie ubiór podróżny. Czy zamierzasz przeprowadzić przez Sobhę turystów?

— Tak — odrzekł zapytany. — Dwóch mężczyzn, którzy tu zaraz przyjdą.

— Dokąd się wybierają?

— Do Fetnassy.

Człowiek rozmawiający z Sadekiem nazywał się Arfan Rakedim, był więc tym drugim przewodnikiem, o którym uprzednio mówił Sadek. Wskazał teraz na mnie i Halefa.

— Czy ci dwaj obcy także chcą przejść przez szot?

— Tak.

— Dokąd się wybierają?

— Także do Fetnassy. Ja mam ich przeprowadzić.

— Mogą pójść zaraz ze mną; oszczędzisz sobie wtedy fatygi.

— To przyjaciele, którzy nie sprawią mi żadnego trudu.

— Rozumiem, jesteś chciwy i nie życzysz mi niczego dobrego. Czy nie przechwytywałeś zawsze najbogatszych podróżnych?

— Nie wyłapuję nikogo; przeprowadzam tylko tych, którzy przychodzą do mnie dobrowolnie.

— Nie gadaj! Dlaczego twój syn Omar stał się także przewodnikiem? Zabieracie mi chleb przemocą, żebym umarł z głodu. Allah was jednak ukarze i tak pokieruje waszymi krokami, że wasz szot pochłonie.

Być może, że konkurencja zrodziła wrogość między obu przewodnikami, lecz nie podobał mi się wzrok Arfana Rakedima i byłem pewny, że niechętnie powierzyłbym się jego opiece. Arian Rakedim odwrócił się i szedł brzegiem na spotkanie dwóch jeźdźców, którzy ukazali się na horyzoncie. Byli to ci dwaj ludzie napotkani przez nas na pustyni, których tropiliśmy.

— Sihdi — zawołał Halef — znasz tych łotrów? Czy mamy im pozwolić spokojnie odjechać?

Halef podnosił już fuzję do strzału. Powstrzymałem go jednak.

— Zostaw! Nie umkną nam!

— Kim są ci mężczyźni? — zapytał nasz przewodnik.

— Mordercami — odpowiedział Halef.

— Czy zabili kogoś z twojej rodziny, czy z twojego plemienia?

— Nie.

— Czy masz z nimi porachunki z tytułu wendety?

— Nie.

— No to zostaw ich w spokoju! Niedobrze jest mieszać się do cudzych sporów.

Sadek mówił jak prawdziwy Beduin. Nie uważał nawet za potrzebne rzucić okiem na osobników, nazwanych mordercami. Oni nas także zauważyli i poznali. Widziałem, jak się spieszyli, żeby wejść na solną powłokę jeziora. Kiedy się na niej znaleźli, usłyszeliśmy ich pogardliwy śmiech, po czym odwrócili się do nas plecami.

Wróciliśmy do chaty i wypoczywaliśmy jeszcze do południa, potem zaopatrzyliśmy się w potrzebną żywność i ruszyliśmy w niebezpieczną podróż.

Jeździłem zimą na łyżwach całymi milami po obcych, nieznanach rzekach i każdej chwili musiałem być przygotowany na to, że lód pode mną się zarwie, nigdy jednak przy tym nie miałem tego uczucia, które mnie opanowało teraz, kiedy wstąpiłem na zdradziecki szot. Było to mniej więcej uczucie linoskoczka, który nie wie na pewno, czy lina, na której ma tańczyć, jest należycie umocowana. Zamiast lodu, pokrywa solna — to była ta niezwykłość. Specyficzny dźwięk, barwa, ukształtowanie skorupy — wszystko to wydało mi się zanadto obce, żebym się mógł czuć bezpieczny. Każdym krokiem, badałem i wyszukiwałem oznaki stałości skorupy. Miejscami była ona tak twarda i gładka, że można było po niej jeździć na łyżwach, potem jednak znów wykazywała brudną, luźną konsystencję stopniałego śniegu, niezdolną utrzymać najmniejszego ciężaru.

Dopiero kiedy cośkolwiek przywykłem do tej osobliwości, dosiadłem konia, ażeby powierzyć się przewodnikowi i instynktowi mojego zwierzęcia. Mój mały ogier zdaje się nie po raz pierwszy odbywał taką drogę. Po bezpiecznym gruncie stąpał śmiało, a z miejsc, które budziły w nim obawy, schodził z wielkim upodobaniem na ścieżkę ledwie na stopę szeroką, wyczuwając tam miejsca bezpieczniejsze. Strzygł uszami to w przód, to w tył, obwąchiwał grunt, prychał jakby wąpił lub się zastanawiał, i często badał jakiś niepewny kawałek podłoża, opukując go kilkakrotnie przednim kopytem.

Przewodnik szedł na przedzie, ja za nim, a za mną jechał Halef. Droga tak nas absorbowwała, że mówiliśmy bardzo mało. Szliśmy już trzy godziny, kiedy Sadek zwrócił się do mnie z przestrogą.

— Uważaj, efendi! Zbliża się najgorsze miejsce na naszej drodze. Ścieżka prowadzi często nad głęboką wodą i na dość długim odcinku staje się tak wąska, że można ją zakryć dwiema rękami.

— A skorupa soli pozostaje dość mocna?

— Nie wiem tego dokładnie. Wytrzymałość skorupy solnej jest bardzo często zmienna.

— Wobec tego zsiądę z konia, żeby rozłożyć ciężar.

— Nie rób tego efendi! Twój koń stąpa pewniej od ciebie.

Tutaj przewodnik był panem i mistrzem. Usłuchałem go więc i pozostałem w siodle. Jednakże

dziś jeszcze wspominam ze strachem owe dziesięć minut, które nastąpiły po słowach przewodnika; dziesięć minut tylko, które w takich okolicznościach zdają się wiecznością! Doszliśmy do obszaru kotlinek i pagórków. Wyniesienia w kształcie zastygłych fal składały się z twardej, mocnej powłoki soli, kotlinki natomiast z lepkiej, papkowatej masy, przecinanej tylko nielicznymi wąskimi pasmami, po których człowiek i zwierzę mogli się poruszać z najwyższą uwagą i największym niebezpieczeństwem. Przy tym, mimo iż siedziałem w siodle, zielona woda sięgała mi często aż do łydek. Miejsc możliwych do przejścia trzeba więc było szukać dopiero pod wodą. A najgorsze było to, że przewodnik, a za nim zwierzęta, musieli najpierw te miejsca zbadać, zanim odważyli się na nie wejść całym ciężarem. Poza tym ta podpora była tak nikła i zdradliwa, że nie można się było na niej dłużej zatrzymywać, jeśli się nie chciało utonąć. — To było straszne!

Teraz dotarliśmy do okolicy, przez którą, przypuszczalnie na długości dwudziestu metrów, przebiegała jako tako pewna ścieżka, ledwie pięćdziesiąt pięć centymetrów szeroka.

— Efendi, uwaga! Stoimy w obliczu śmierci! — zawołał przewodnik.

Sadek, posuwając się naprzód po omacku, zwrócił się twarzą ku wschodowi i modlił się, wypowiadając świętą Fatihę, czyli pierwszą surę Koranu:

— W imię miłosiernego Boga. Cześć i chwała Bogu, panu świata, Bogu najlitościwyszemu, który sądzić będzie w Dniu Sądu Ostatecznego. Tobie chcemy służyć i ciebie błagać, abys nas prowadził właściwą drogą, drogą tych, którzy cieszą się twoją łaską, nie zaś drogą tych, którzy błądzą...

Halef, idący za mną, przyłączył się do modlitwy. Nagle jednak obaj zamilkli. Z niecki pomiędzy dwoma następnymi pagórkami padł strzał. Przewodnik wyrzucił w górę ramiona, krzyknął, potknął się i znikł pod solną powłoką, która natychmiast się nad nim zawarła.

W takich momentach siła ludzkiego ducha potrafi w sekundach sformułować myśli i wnioski, do wyciągnięcia których w normalnych warunkach potrzeba człowiekowi kwadransów, a nawet godzin. Jeszcze nie przebrzmiał odgłos strzału i Sadek nie pogrążył się całkowicie w topieli, a już wszystko wiedziałem. Obydwaj mordercy chcieli się pozbyć swych oskarżycieli. Do zrealizowania tego planu pozyskali tym łatwiej swojego przewodnika, że zazdrościł on naszemu powodzenia. Nie potrzebowali nam wyrządzać żadnej krzywdy. Wystarczyło zabić naszego przewodnika, żebyśmy byli niechybnie zgubieni. A więc zaczęli się tu, w najniebezpieczniejszym miejscu całej drogi, i zastrzelili Sadeka. Teraz mogli się już tylko przyglądać, jak się potopimy.

To że Sadek ugodzony został kulą w głowę, zauważyłem mimo szybkości, z jaką się wszystko odbyło. Nie wiadomo, czy kula drasnęła mojego konia, czy też zwierzę zlekło się hukowi wystrzału. Mały berberyjski ogier drgnął stracił grunt pod tylnymi nogami i wpadł do bagniska.

— Sihdi! — wrzasnął za mną Halef w niewypowiedzianym strachu.

Byłbym zgubiony, gdyby mnie nie uratowała przytomność umysłu. Jeszcze gdy koń tonął i przednimi kopytami daremnie szukał możliwości uczepienia się solnej skorupy, oparłem się obydwoma rękami o kulę u siodła, wyrzuciłem nogi do tyłu i fiknąłem kozła ponad głową biednego zwierzęcia, które przy tym oczywiście zostało niemiłosiernie wduszone w płynną sól. W tym momencie, kiedy przelatywałem ponad tonącym koniem. Bóg wysłuchał mojej żarliwej modlitwy.

Poczułem stały grunt, który jednak zaraz mi się usuwał spod nóg. Zanurzony już do połowy w topieli znów złapałem grunt, ponownie wynurzając się na powierzchnię. Zapadałem się i wznosiłem, potykałem się, spadałem z właściwej drogi, a jednak znajdowałem znów grunt pod stopami. Wciągała mnie grząska topiel, a mimo to posuwałem się naprzód i nie utonąłem. Nic już nie słyszałem, nic nie czułem i nie widziałem nic prócz trzech mężczyzn, stojących za pagórkiem, z których dwóch czekało na mnie z fuzjami, gotowymi do strzału.

Wreszcie miałem pod nogami twardy grunt, mocny, twardy grunt, co prawda tylko sól, lecz można

się było na niej utrzymać bezpiecznie. Huknęły dwa strzały — Bóg chciał widocznie, żebym pozostał przy życiu. Potknąłem się, upadłem i kulki przeleciały, gwizdząc nade mną. Swoje fuzje miałem jeszcze na plecach. Był to prawdziwy cud, że ich nie zgubiłem. Jednak nie myślałem teraz ani o sztucerze, ani o drugim, karabinie, lecz rzuciłem się na opryszków z zaciśniętymi pięściami. Nie podjęli walki. Arfan Rakedim uciekł, a Hamd el Amasad wiedząc, że bez przewodnika zginie, pogalopował za nim. Złapałem tylko młodszego łajdaka. Wyrwał mi się i rzucił się do ucieczki; biegłem tuż za nim. Jego oczy przesłaniał strach, moje natomiast gniew. Nie zwracaliśmy uwagi, dokąd biegniemy — nagle krzyknął przeraźliwie, a ja natychmiast rzuciłem się wstecz. On znikł w słonym bagnie, a ja stałem zaledwie metr przed jego zdradzieckim grobem.

Wtem zabrzmiało za moimi plecami wołanie pełne trwogi:

— Sihdi, ratunku, pomocy!

Odwróciłem się. Właśnie w tym miejscu, w którym "udało mi się znaleźć mocny grunt pod nogami, Halef walczył ze śmiercią. Był już zanurzony, trzymał się jednak mocno solnej skorupy, która na szczęście była tam bardzo twarda. Przyskoczyłem do Halefa, zerwałem z pleców swój karabin, rzuciłem się płasko na twardą skorupę i wyciągnąłem ku tonącemu ciężką strzelbę.

— Uchwycić się rzemienia!

— Trzymam go sihdi! O Allah!

— Wyrzuć nogi w górę. Ja nie mogę się bliżej podczołgać. Ale trzymaj rzemień mocno!

Halef zrobił ostatni wysiłek, żeby wyskoczyć z błota, ja równocześnie mocno pociągnąłem karabin ku sobie i udało się — Halef leżał na bezpiecznej powłoce bagna. Ledwie zaczerpnął tchu, ukląkł i odmówił sześćdziesiątą czwartą surę Koranu:

— Wszystko co w niebie i na ziemi czci Boga; jego jest świat i jemu należy się chwała, gdyż on panuje nad wszystkim!

On, muzułmanin, modlił się; ja natomiast, chrześcijanin, nie mogłem się modlić, nie mogłem znaleźć słów, przyznaję to szczerze. Za mną leżało to straszne słone jezioro, spokojne, nieruchome, błyszczące, a przecież pochłonęło obydwaj nasze zwierzęta i naszego przewodnika, a w niewielkiej odległości przed nami uciekał morderca, który to wszystko spowodował. Każdy nerw we mnie dygotał i minęła dobra chwila, zanim się uspokoiłem.

— Sihdi, czy jesteś ranny? — spytał Halef.

— Nie. Ale powiedz mi, w jaki sposób się uratowałeś?

— Zeskoczyłem z konia, tak samo jak ty sihdi. Poza tym nic nie wiem. Myśleć mogłem znów dopiero wówczas, kiedy zawisłem tam nad głębiną. Ale jesteśmy teraz i tak zgubieni!

— Dlaczego?

— Nie mamy przewodnika. O Sadeku, przyjacielu mojej duszy, twój duch mi przebaczy, że jestem winien twojej śmierci. Ale ja cię pomszczę, przyrzekam ci to; pomszczę cię, jeśli tutaj nie zginę.

— Nie zginiesz Halefie.

— Zginiemy z głodu i z pragnienia.

— Będziemy mieli przewodnika: Omara, syna Sadeka.

— Jak nas tu znajdzie?

— Czy nie słyszałeś, że poszedł do Seftim i dziś jeszcze ma wracać?

— Omar mimo to nas nie znajdzie.

— Znajdzie nas. Czyż Sadek nie mówił, że droga do Seftimi i Fetnassy jest w dwóch trzecich ta sama?

— Sihdi, przywracasz mi nadzieję i nowe życie. Tak, poczekamy tu na Omara.



— Będzie miał szczęście, jeśli nas znajdzie. W przeciwnym razie zginąłby tutaj, gdyż dawna ścieżka zniknęła, a on o tym nie wie.

Położyliśmy się obok siebie. Słońce tak grzało, że nasza odzież wyschła w ciągu kilku minut, ale w miejscach, które były bardzo przemoczone, pokryła się słoną skorupą.

## PRAWA WSCHODU

Jakkolwiek byłem niemal pewien, że syn zamordowanego przewodnika nadejdzie, to jednak istniała przecież możliwość, że zamiast wracać przez jezioro, okrąży je. Czekaliśmy więc w napięciu i niepokoju, Minęło popołudnie i brakowało zaledwie dwóch godzin do zapadnięcia zmroku, kiedy ujrzeliśmy postać, zbliżającą się powoli od wschodu do miejsca, w którym obozowaliśmy. Nadchodzący człowiek także nas zobaczył.

— Hamdulillah! to Omar ben Sadek — stwierdził Halef, przyłożył ręce do warg niczym tubę i zawołał:

— Omarze, przybywaj!

Zawołany przyspieszył kroku i stanął wkrótce przed nami. Poznał przyjaciela swego ojca.

— Witaj Halefie Omarze! — pozdrowił.

— Hadzi Halefie Omarze! — poprawił go Halef.

— Wybacz! Radość ze spotkania ciebie jest winna, że popełniłem ten błąd. Przyszedłeś do Kriz odwiedzić mego ojca?

— Tak — odrzekł Halef.

— Gdzie on jest? Skoro jesteś na szocie, to i on musi być w pobliżu.

— Jest blisko — wyjaśnił Halef uroczyście.

— Gdzie mianowicie?

— Omarze ben Sadeku, wierny powinien być silny, jeśli go spotka kismet.

— Mów Halefie, mów! Czy stało się nieszczęście?

— Tak. Z woli Allaha twój ojciec przeniósł się do wieczności! Młodzieniec stał przed nami niezdolny wydobyć słowa. Patrzył na

mówiącego z przerażeniem i z pobladłą twarzą. Nareszcie odzyskał mowę; powiedział jednak coś całkiem innego, niż przypuszczałem. — Kim jest ten mężczyzna? — zapytał, mając mnie na myśli.

— To jest Kara ben Nemsy, którego przyprowadziłem do twojego ojca. Ścigaliśmy dwóch morderców, którzy przechodzili przez szot.

— Mój ojciec miał was prowadzić?

— Tak, on nas prowadził. Mordercy przekupili Arfę Rakedima i urządzili tutaj zasadzkę. Zastrzelili twojego ojca, który utonął w jeziorze wraz z końmi, nas jednak Allah uratował.

— Gdzie są ci mordercy?

— Jeden z nich zginął w topieli, drugi poszedł z chabirem do Fetnassv.

— To ta ścieżka tutaj już nie istnieje?

— Właśnie. Nie możesz z niej korzystać.

— Gdzie utonął mój ojciec?

— Tam. Trzydzieści kroków stąd!

Omar szedł tak szybko, jak wytrzymała skorupa, patrzył przez chwilę przed siebie, a potem zwrócił się ku wschodowi:

— Allahu, Boże wszechmocy i sprawiedliwości, usłysz mnie Muhammedzie, proroku Najwyższego, usłysz mnie. Kalifowie i męczennicy wiary, wysłuchajcie mnie. Ja, Omar ben Sadek, nie zetnę brody i nie odwiedzę meczetu wcześniej, nim morderca mojego ojca nie znajdzie się w piekle! Przysięgam!

Byłem wstrząśnięty tą przysięgą, nie mogłem jej jednak zapobiec. Teraz Omar usiadł przy nas i poprosił z niemal nienaturalnym spokojem:

— Opowiedzcie mi wszystko!

Halef spełnił jego życzenie. Kiedy skończył opowiadać, młodzieniec wstał. .

— Chodźcie!

Wyrzekł tylko to jedno słowo, potem wyszedł do przodu, by nas przeprowadzić do Fetnassy.

Już przedtem minęliśmy najgroźniejsze miejsca. Nie musieliśmy się więc obawiać większego niebezpieczeństwa, mimo że szliśmy nocą.

Rankiem dotarliśmy na brzeg półwyspu Nifsaua. Fetnassa leżała przed nami.

— Co teraz? — spytał Halef.

— Chodźcie za mną! — odrzekł Omar.

Były to pierwsze słowa, jakie usłyszałem z ust Omara od poprzedniego dnia. Kierował się do chaty, stojącej najbliżej jeziora. Siedział przed nią stary mężczyzna.

— Es selam 'alejkum! — pozdrowił go Omar.

— We 'alejkum es selam! — podziękował starzec.

— Czy ty jesteś Abdullah el Hamis, który waży sól?

— Tak.

— Czy widziałeś chabira Arfana Rakedima z Kriz?

— Wyszedł na ląd wkrótce przed świtem z jakimś obcym mężczyzną.

— Co robili?

— Chabir odpoczął u mnie i potem poszedł do bir Rekeb, aby stamtąd powrócić do Kriz. Obcy natomiast kupił konia u mojego syna i pytał mnie o drogę do Kebilli.

— Dziękuję ci, Abu'l milh!

Omar szedł dalej milcząc i zaprowadził nas do chaty, gdzie mogliśmy zjeść trochę daktyli i wypić po filiżance lagmi. Potem przechodziliśmy przez miejscowości Beszni; Negua i Mansurah. Z otrzymanych po drodze informacji wynikało, że depczemy poszukiwanemu przez cały czas po piętach. Z Mansurah do wielkiej oazy Kebilli jest niedaleko. Urzędował tam wówczas jeszcze turecki wekil, który zarządzał półwyspem Nifsaua pod nadzorem beja Tunezji. Do dyspozycji miał dziesięciu żołnierzy.

Wpierw udaliśmy się do kawiarni. Omar był jednak niespokojny. Opuścił nas i wrócił dopiero po godzinie.

— Widziałem go — zameldował.

— Gdzie? — zapytałem.

— U wekila. Jest gościem namiestnika i jest wspaniale ubrany. Jeśli chcecie z nim rozmawiać, musicie się pospieszyć, gdyż teraz jest właśnie czas przyjąć.

Wiadomość ta pobudziła w najwyższym stopniu moją ciekawość. Poszukiwany listem gończym morderca gościem wielkopańskiego namiestnika? Dziwne!

Omar poprowadził nas przez pusty dziedziniec do niskiego kamiennego domu, w którego murze obwodowym nie było w ogóle okien. Przed drzwiami stali żołnierze, których musztrował onbaszy, a przyglądał się temu oparty o bramę tabbal, Wpuszczono nas od razu i jakiś Murzyn zapytał, czego sobie życzymy. Zaprowadził nas do selamliku, czyli izby o gołych ścianach, której jedyne wyposażenie stanowił stary dywan, rozesłany w jednym z kątów. Na dywanie siedział mężczyzna o niewyraźnej fizjonomii i ćmił starą perską hukę.

— Czego chcecie? — zapytał.

Nie podobał mi się ton, jakim to pytanie zostało zadane. Odpowiedziałem więc na nie również

pytaniem:

— Kim jesteś?

Wytrzeszczył na mnie oczy ze zdziwienia.

— Wekilem! — wymknęło mu się.

— Chcemy rozmawiać z gościem, który przybył do ciebie dziś lub wczoraj.

— Kim jesteś?

— Tu jest mój paszport!

Podąłem Turkowi dokument. Rzucił nań okiem, złożył i wsadził do kieszeni swoich szerokich szarawarów.

— Kim jest ten mężczyzna? — pytał dalej, wskazując Halefa.

— Moim służącym.

— Jak się nazywa?

— Nazywa się Hadzi Halef Omar.

— Kim jest ten drugi?

— To przewodnik Omar ben Sadek. — A kim jesteś ty?

— Czytałeś przecież.

— Nie przeczytałem.

— Moje nazwisko wypisane jest w moim paszporcie.

— Paszport napisany jest znakami niewiernych. Skąd go masz?

— Od francuskiego namiestnika w Algierze.

— Francuski namiestnik w Algierze tutaj nic nie znaczy. Twój paszport ma więc wartość czystej kartki papieru. Kim więc jesteś?

Postanowiłem posłużyć się nazwiskiem, które nadał mi Halef.

— Nazywam się Kara ben Nemsy.

— Jesteś synem Niemców? Nie znam ich, gdzie oni mieszkają?

— Począwszy od zachodnich granic Turcji aż po kraje Francuzów i Anglików.

— Czy oaza, którą zamieszkują, jest duża, czy też składa się z kilku małych oaz?

— Zamieszkują jedną jedyną oazę, która jest jednak tak duża, że mieści się na niej pięćdziesiąt milionów ludzi.

— Allah akbar, Bóg jest wielki! Istnieją oazy, w których się roi od stworzeń. Czy w tej oazie są również potoki?

— Ma ona pięćset rzek i miliony strumieni. Wiele rzek jest tak szerokich i głębokich, że pływają po nich statki, które mieszczą więcej ludzi niż Basma lub Rahmat ma mieszkańców.

— Allah kerim, Boże litościwy! Co by to było za nieszczęście, gdyby te wszystkie statki w jednej godzinie zostały pochłonięte przez te rzeki! W jakiego Boga wierzą Niemcy?

— Wierzą w twój Boga, ale nie nazywają go Allahem, lecz Ojcem.

— To pewnie nie są sunnitami, lecz szyitami?

— Są chrześcijanami.

— Aby cię Bóg spalił! Zatem i ty jesteś chrześcijaninem?

— Tak.

— Giaurem? I masz czelność mówić z wekilem Kebilli? Jeśli mi zaraz nie znikniesz z oczu, każę ci wymierzyć bastonadę!

— Czy uczyniłem coś, co nie jest zgodne z prawem lub ciebie obraca?

— Tak. Żadnemu giaurowi nie wolno mi się pokazywać na oczy. A teraz dalej! Jak się nazywa twój przewodnik?

— Omar ben Sadek.

— Dobrze! Omarze ben Sadeku, jak długo służysz temu Niemcowi?

— Od wczoraj.

— To niedługo. Będę więc dla ciebie łaskawy i każę ci wymierzyć tylko dwadzieścia uderzeń w podeszwy.

Zwróciwszy się do mnie, kontynuował:

— A jak nazywa się twój służący?

— Allah akbar, Bóg jest wielki, ale pamięć dał ci bardzo nikłą, skoro nie możesz zapamiętać nawet dwóch nazwisk! Mój służący, jak ci już powiedziałem, nazywa się Hadzi Halef Omar.

— Chcesz mnie znieważyć, giaurze? Za chwilę wydam wyrok na ciebie. Więc Halefie Omarze, jesteś pielgrzymem a służysz niewiernemu? To wymaga podwójnej chłosty. Jak długo już jesteś u niego?

— Pięć tygodni.

— Otrzymasz więc sześćdziesiąt batów w podeszwy, a potem przez pięć dni nie dostaniesz nic do jedzenia ani do picia. A teraz wracam do ciebie; jak się nazywasz?

— Kara ben Nemsy.

— Dobrze, Kara ben Nemsy, popełniłeś trzy wielkie przestępstwa.

— Jakie, sihdi?

— Nie jestem żadnym sihdi; masz mnie tytułować „dzenabinis” lub „hasretinis”, a więc „Jaśnie Wielmożny Panie” lub „Wasza Wysokość”. Twoje przewinienia są następujące: po pierwsze sprowadziłeś na złą drogę dwóch prawowiernych, żeby ci służyli. Za to zasłużyłeś na piętnaście kijów; po drugie miałeś czelność zakłócić mój odpoczynek w porze obiadowej — znowu piętnaście kijów; po trzecie powątpiewałeś w sprawność mojej pamięci, za co należy ci się dwadzieścia kijów, razem stanowi to więc pięćdziesiąt kijów w podeszwy. A ponieważ za każdy wyrok sędziowski mam prawo pobierać opłatę, więc wszystko, co masz przy sobie, będzie od tej chwili należało do mnie; konfiskuję wszystkie twoje rzeczy.

— O wielki władco, podziwiam cię. Twoja sprawiedliwość jest wzniosła, twoja mądrość bardzo wzniosła; twoja łaska Jeszcze wznioślejsza, a twoja roztropność i chytryść najwznioślejsza. Proszę cię, szlachetny beju Kebilli, pozwól nam zobaczyć się z twoim gościem, zanim otrzymamy cięgi.

— Czego chcesz od niego?

— Przypuszczam, że jest moim znajomym i chciałbym się nacieszyć ze spotkania z nim.

— Mój gość nie jest twoim znajomym. Jest on bowiem wielkim wojownikiem, wiernym poddanym sułtana, którego niech Allah błogosławi, przestrzegającym ściśle przepisów Koranu; nie był więc nigdy znajomym niewiernego. Jednakże sprowadzę go, żeby się dowiedział, jak wekil Kebilli karze przestępstwa. Nie ty będziesz się rozkoszował widokiem jego oblicza, lecz on będzie się delektował batami, które otrzymacie. On wiedział, że przybędziecie!

— Ach, a skąd to wiedział?

— Przeszliście przedtem obok niego, nie zauważywszy jego osoby, a on natychmiast złożył u mnie na was doniesienie. Gdybyście sami nie przyszli, poleciłbym was sprowadzić.

— On złożył na nas doniesienie? Dlaczego?

— O tym jeszcze usłyszycie. Czeka was wówczas dodatkowa i sroższa kara.

Dziwnie zaiste przebiegało przyjęcie nas przez tego urzędnika. Wekil z dziesięcioma żołnierzami w peryferyjnej oazie — w każdym razie nie mógł być kiedyś niczym więcej niż czausem lub mulasimem, a posiadający te stopnie służbowe byli wówczas w Turcji najwyżej pucybutami lub

upychaczami fajek swoich przełożonych. Posłano tego poczciewca do Kebilli, żeby mu dać okazję do pewnej samodzielności, a potem oczywiście o nim zapomniano. Zresztą bej Tunezji wygnał już wszystkich tureckich żołnierzy z kraju, a plemiona Beduinów pozostawały pod opieką sułtana o tyle tylko, że posyłał on ich przywódcom co roku zawarowane im zaszczytne burnusy, podczas gdy oni okazywali mu swą wdzięczność, zapominając o jego istnieniu. Poczciewy wekił, zdany więc sam na siebie, korzystał przy różnych okazjach z uprawiania szantażu w stosunku do podróżujących przez terytorium, którym zarządzał. Ponieważ wymuszanie pieniędzy i rzeczy na krajowcach zawsze mogło być niebezpieczne, to spotkanie takiego obcego jak ja musiało mu być bardzo na rękę. Nie wiedział nic o Niemczech, nie znał ważności i kompetencji konsulatów, mieszkał wśród bandyckich nomadów, uważał mnie za bezbronnego, przypuszczał więc, że może bezkarnie robić ze mną, co mu się podoba.

Zdawałem sobie sprawę, że byłem zdany tylko na siebie samego, mimo to ani myślałem bać się „Jego Wysokości”. Przeciwnie, bawiło mnie, że tak bezczelnie chciał nas uszczęśliwić bastonadą. Równocześnie byłem ciekaw, czy jego gość rzeczywiście był poszukiwanym przez nas Armeńczykiem. Domyślałem się, o co nas obwinił. W każdym razie był dawnym znajomym wekiła i wykorzystał *tą* okoliczność, żeby nas w jakiś sposób unieszkodliwić.

Namiestnik klasnął w dłonie i natychmiast zjawił się czarny służący, który padł przed wekiłem na ziemię, jak przed sułtanem. Wekił szepnął mu kilka słów, w następstwie czego Murzyn się oddalił. Po jakimś czasie otworzyły się drzwi i weszło dziesięciu żołnierzy, którymi dowodził onbaszy. Żołnierze przedstawiali opłakany widok w swoich ubraniach, sporządzonych z różnych łachmanów. Ubrania te niczym nie przypominały mundurów. Większość żołnierzy była boso, a wszyscy posiadali karabiny, które nadawały się do wszystkiego, tylko nie do strzelania. Padli w nieładzie na ziemię przed wekiłem. Obrzucił ich w pierw władczy wzrokiem, a następnie rozkazał:

— Żołnierze wstać!

Żołnierze powstali, a onbaszy dobył z pochwy swoją ciężką szablę.

— W szeregu zbiórka! — ryknął.

Żołnierze ustawili się w szeregu, trzymając w swych brązowych rękach karabiny, jak się komu podobało.

— Szilah omusa — na ramię broń! — rozkazał onbaszy. ' Karabiny wzbiły się w górę, uderzając o siebie, o ścianę lub o głowy wspaniałych bohaterów; po jakimś czasie znalazły się jednak szczęśliwie na barkach ich właścicieli.

— Salam dur — prezentuj broń!

Karabiny zbiły się znowu w beładny kłęb i nie można się dziwić, że od jednej fuzji odpadła przy tym lula. Żołnierz schylił się powoli, podniósł fuzję, obejrzał ją ze wszystkich stron, aby się upewnić czy otwór z którego się strzela jest jeszcze na miejscu, potem wyciągnął z kieszeni sznur z palmowego Włókna i przywiązał lufę ostrożnie do oprawy karabinu. Wreszcie z zadowoloną miną doprowadził naprawioną broń do położenia zgodnego z ostatnim rozkazem.

— Rahat durun! Laf etmejnin — stać cicho i nie gadać!

Po tym rozkazie żołnierze zacisnęli wargi z całej siły i zamrugali poważnie oczyma na znak, że jest, ich niezbitą wolą nie pisać ani słówka. Zmiarkowali, że posłano po nich, aby pilnowali trzech przestępców. Chodziło im więc o to, żeby wyrzucić na nas wrażenie.

Musiałem sobie zadać naprawdę wiele trudu, żeby podczas tego dziwaczego przedstawienia zachować powagę. Zauważyłem, że mój pogodny nastrój dodawał otuchy moim dwom towarzyszom.

I znów otworzyły się drzwi. Wszedł oczekiwany. Był nim Hamd el Amasad.

Nie obdarzywszy nas ani jednym spojrzeniem, podszedł do dywanu, usiadł obok wekiła i wziął fajkę z rąk Murzyna, który pojawił się razem z nim. Potem dopiero podniósł głowę i obrzucił nas

wzrokiem pełnym pogardy.

Teraz zabrał głos namiestnik, zwracając się do mnie z zapytaniem:

— Czy to jest ten człowiek, którego chcieliście zobaczyć? Czy on jest twoim znajomym?

— Tak.

— Masz rację, on jest twoim znajomym. To znaczy, ty go znasz. Ale nie jest twoim przyjacielem.

— Dziękuję za takich przyjaciół. Jak on się nazywa? — Nazywa się Abu en Nassr.

— To nieprawda. Jego nazwisko brzmi Hamd el Amasad.

— Giaurze, nie śmieję po raz drugi zarzucić mi kłamstwa, w przeciwnym razie otrzymasz o dwadzieścia cięgów więcej. Mój przyjaciel istotnie nazywa się Hamd el Amasad. Wiedz jednak, ty psie, kiedy jeszcze byłem mirałajem w Stambule, pewnej nocy zostałem napadnięty przez greckich bandytów. Wówczas nadszedł Hamd el Amasad, porozmawiał z nimi i ocalił mi życie. Od tej nocy nazywa się Abu en Nassr, gdyż nikt nie potrafi mu się oprzeć, nawet grecki bandyta.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie parsknąć śmiechem.

— Twierdzisz, że byłeś w Stambule mirałajem, a wice pułkownikiem? W jakiej jednostce wojskowej?

— W gwardii, synu szakala.

Zrobiłem krok do przodu i podniosłem prawicę.

— Jeśli się jeszcze raz odważysz obrzucić mnie wyzwiskami, otrzymasz taki policzek, że jutro twój nos będzie wyglądał jak minaret! Ty miałbyś być pułkownikiem? Taką bajeczkę możesz opowiadać tutaj, swoim bohaterom oazy, ale nie mnie! Zrozumiano?

Namiestnik wstał nadszpodziejanie szybko. To mu się jeszcze nigdy nie zdarzyło, to przechodziło wszelkie pojęcie! Wlepił we mnie wzrok, jakbym był upiorem, a potem, nie wiadomo, czy ze złości czy z zakłopotania, wyjąkał:

— Giaurze, mogłem zostać nawet liwa-paszą, gdyby mi stanowisko tutaj, w Kebilli, nie było miłsze.

— Tak, jesteś wzorem odwagi i męstwa. Walczyłeś z bandytami, których twój przyjaciel pokonał samymi słowami. Czy słyszysz? Słowami! Był więc w każdym razie ich dobrym znajomym albo nawet członkiem ich bandy. Hamd el Amasad popełnił w Algierze morderstwo rabunkowe; w uedzie Tarfaui zabił człowieka, na szocie Al Dżarid zastrzelił mojego przewodnika, ojca tego młodzieńca, ażeby mnie zgubić. Ścigałem go aż do Kebilli, a teraz znajduję tego łotra w roli przyjaciela człowieka, który twierdzi, że był kiedyś pułkownikiem w służbie sułtana! Oskarżam go o popełnienie mordu i żądam, żebyś go uwięził!

Teraz wstał również „ojciec zwycięstwa”.

— Ten człowiek jest giurem! — zawołał. — Opił się wina i nie wie, co mówi. Niech się wpierw prześni i wytrzeźwieje, a potem odpowie za swoje czyny.

Tego było mi już za wiele. W mig chwyciłem Armeńczyka, podniosłem go w górę i rzuciłem o ziemię. Podniósł się i wyciągnął nóż.

— Ty psie, targnąłeś się na prawowiernego, musisz umrzeć.

Mówiąc to, rzucił się na mnie z całym impetem. Ja jednak wymierzyłem mu pięścią tak mocny cios w skroń, że upadł i leżał bez ruchu.

— Brać go! — rozkazał wekil swoim żołnierzom, wskazując na mnie.

Oczekiwałem, że mnie zaraz pochwyca, ale ku mojemu zdziwieniu, stało się inaczej. Kapral stanął mianowicie przed swoimi podwładnymi i wydał rozkaz:

— Silahlari jere kojyn — odłóżcie karabiny!

Wszyscy schylili się równocześnie, położyli broń na ziemi i wrócili do poprzedniej postawy.

— Sagha don — w prawo zwrot!

Dzielni wojownicy zrobili pół obrotu w prawo i stali teraz w rzędzie jeden za drugim.

— Adamy ortaja alynys, koszynys — otoczyć ' tego człowieka, marsz!

Jak na placu ćwiczeń żołnierze podnieśli lewą nogę; skrzydłowy podał komendę: soi — sagha — soi — sagha! — maszerowali wokół mnie i kiedy utworzyli krąg, stanęli na rozkaz kaprała.

— Tutunus — brać go!

Dwadzieścia rąk z setką brązowych, brudnych palców wyciągnęło się z tyłu i z przodu, z prawa i z lewa w moim kierunku i chwyciło mnie za burnus. Sytuacja była zbyt komiczna, ażebym mógł zrobić jakiś ruch w celu oswobodzenia się.

— Bei hasretlerim, herifi tuttuk — Wasza Wysokość, mamy tego człowieka! — zameldował dowódca dzielnych wojaków.

— Bir daha kojwermejın — nie puszczajcie go! — nakazał namiestnik ze srogą miną.

Sto palców wczepiło się jeszcze mocniej niż przedtem w mój burnus i właśnie cała ta sztywna wschodnia powaga, z którą się to wszystko odbywało, spowodowała, że głośno się nie roześmiałem.

Tymczasem Abu en Nassr znowu się podniósł. Jego oczy iskrzyły się ze złości i żądz zemsty, kiedy rzekł do wekila:

— Każ go rozstrzelać!

— Tak, zostanie rozstrzelany. Przedtem jednak go przesłucham, gdyż jestem sprawiedliwym sędzią i nie chcę nikogo skazać bez przesłuchania. Przedłóż swoje oskarżenie!

— Ten giaur — rozpoczął morderca — szedł z przewodnikiem i swoim służącym przez szot. Spotkał nas tam i wtrącił mojego towarzysza do bagna, tak że mój przyjaciel musiał nędznie utonąć.

— Dlaczego to zrobił?

— Z zemsty.

— Za co chciał się zemścić?

— W uedzie Tarfauı zabił człowieka. My przechodziliśmy tamtędy i chcieliśmy go ująć, lecz on nam uciekł.

— Czy możesz przysiąc, że tak było?

— Na brodę Proroka!

— To starczy. Czy słyszałeś oskarżenie? — zwrócił się teraz do mnie.

— Tak.

— Co ty na to?

— Że oskarżyciel jest szubrawcem. On był mordercą i w swojej opowieści zamienił po prostu osoby.

— Abu en Nassr przysiągł, a ty jesteś giaurem. Nie wierzę tobie, lecz jemu.

— Zapytaj mojego służącego, Hadzi Halefa. On jest moim świadkiem.

— Służy niewiernemu; jego słowa nic nie znaczą. Każę zwołać wielką radę oazy. Rada wysłucha moich słów i zadecyduje o twoim losie.

— Nie chcesz mi wierzyć, ponieważ jestem chrześcijaninem, a mimo to darzysz zaufaniem niewiernego. Ten Hamd el Amasad lub jak wolisz Abu en Nassr jest bowiem Armeńczykiem, a więc także nie muzułmaninem, lecz chrześcijaninem.

— Mój przyjaciel przysiągł na Proroka.

— To nیکczemność i grzech, za co spotka go kara Boska. Jeśli nie chcesz dać mi wiary, wnioś skargę do rady oazy.

— Giaur nie może zaskarżyć wiernego, a rada oazy nic by mu nie mogła zrobić, ponieważ mój przyjaciel posiada bujuruldu, a tym samym znajduje się pod opieką sułtana.



— A ja jestem pod opieką swojego króla. Rozporządzam także ważnym paszportem. Masz go w kieszeni.

— Jest napisany w języku giaurów; zabrudziłbym się, gdybym go czytał. Twoja sprawa zostanie jeszcze dziś zbadana. Przedtem jednak zostaniecie poddani bastonadzie: ty otrzymasz pięćdziesiąt kijów, twój służący sześćdziesiąt, a twój przewodnik dwadzieścia uderzeń w podeszwy. Wyprowadzić ich na podwórze; ja przyjdę tam później!

— Alykojun alleri — cofnijcie ręce! — rozkazał kapral. Sto palców puściło mój burnus.

— Tufenkleri kaldyrynys — podnieście karabiny! Bohaterowie pozbierali swoje karabiny z ziemi.

— Ortaja alyn her utsunu — otoczcie wszystkich trzech! Okrążyli natychmiast Halefa, Omara i mnie. Wyprowadzono nas na podwórze, pośrodku którego znajdowała się podobna do ławki kłoda. Jej wygląd wskazywał na to, że służyła do umieszczania na niej tych, którzy mieli być poddani bastonadzie.

Ponieważ zachowywałem się spokojnie, moi towarzysze poszli za mną bez oporu, ale czytałem w ich oczach, że czekają tylko na mój znak, żeby zakończyć tę farsę.

Kiedy przez chwilę staliśmy przy kłocu, zjawił się wekil z Abu el Nassrem. Murzyn niósł przed nim dywan, rozłożył go na ziemi i kiedy usiedli wskazał na mnie.

— Elli dajak wurun ona — dajcie mu pięćdziesiąt! Teraz był najwyższy czas!

— Czy masz mój paszport jeszcze w kieszeni? — spytałem namiestnika.

— Tak.

— Daj mi go!

— Nigdy go nie otrzymasz.

— Dlaczego?

— Żaden wierny nie powinien się nim zabrudzić.

— Chcesz naprawdę rozkazać, żeby mnie bito? — Oczywiście.

— To ja ci pokażę, jak postępuje Niemiec, kiedy jest zmuszony wymierzyć sobie sam sprawiedliwość!

Małe podwórze, na którym się znajdowaliśmy, okalał z trzech stron wysoki mur, a z czwartej strony budynek. Na ulicę prowadziła tylko jedna brama, przez którą weszliśmy. Widzów brakowało. Było nas więc trzech przeciwko- trzynastu. Broń pozostawiono nam zgodnie z rycerskim obyczajem pustyni. Wekil, także bez broni, był zupełnie nieszkodliwy, jego żołnierze również, tylko Abu el Nassr mógł się stać niebezpieczny. Przede wszystkim jego trzeba było uczynić niezdatnym do walki.

— Czy masz jakiś sznur? — zapytałem cicho Omara.

— Tak, sznur mojego burnusa.

— Odwiąż go!

A Halefowi przykazałem:

— Pobiegnij do bramy i nie wypuść nikogo! Wekil odpowiedział tymczasem na moją groźbę:

— Wymierz sobie więc sprawiedliwość!

— Zaraz to zrobię!

Mówiąc to, skoczyłem nagle poza kordon żołnierzy, dopadłem Abu el Nassra, ściągnąłem mu ramiona na plecy tak, że w pozycji siedzącej, w jakiej się znajdował, nie mógł się ruszyć.

— Zwiąż go! — powiedziałem do Omara.

Ten rozkaz był właściwie zbędny, gdyż Omar w mig mnie zrozumiał i już zakładał sznur na ramiona Armeńczyka. Morderca był skępowany, zanim ktokolwiek się ruszył. Mój nieoczekiwany atak zaskoczył w pełni wekila i jego straż przyboczną. Teraz prawą ręką wyciągnąłem swój nóż, a

lewą chwycił namiestnika za kark. Namiestnik z przerażenia wyciągnął przed siebie ręce i nogi, jakby był nieżywy. Tym więcej jednak życia wstąpiło w żołnierzy.

— Koszun, imdad arajyn — sprowadźcie pomoc! — wrzasnął onbaszy, który pierwszy odzyskał mowę.

Jego szabla zaczęła mu zawadzać, więc ją odrzucił i pobiegł do wyjścia. Żołnierze poszli za jego przykładem. Przy bramie stał już jednak mój dzielny Halef z karabinem gotowym do strzału.

— Geri, burada duradszakssynys — z powrotem! Zostaniecie tutaj! — zawołał do nadbiegających.

Dzielni wojownicy zdziwili się, zawrócili i rozproszyli po całym podwórzu, szukając schronienia w załomach muru.

Omar również wyciągnął nóż i stał z ponurym wzrokiem, gotów wbić ostrze w serce Abu el Nassra.

— Czy jesteś martwy? — zapytałem wekila.

— Nie. Ale ty mnie zabijesz?

— To zależy od ciebie, ty uosobienie wszelkiej sprawiedliwości i dzielności! Pozwól sobie powiedzieć, że twoje życie wisi na cienkim włosku.

— Czego żądasz ode mnie?

Jeszcze zanim zdążyłem odpowiedzieć, rozległ się pełen trwogi głos niewieści. Podniosłem wzrok i zauważyłem małą, grubą postać kobiecą, która, jak było widać, z dużym wysiłkiem toczyła się od wejścia w naszym kierunku.

— Dur — stój! — zawołała piszczącym głosem. — Oldirme onu; benim kodsam dir — nie zabijaj go; jest moim mężem!

A więc okrążyła dama, która w gęstej osłonie z sukien zmierzała w moim kierunku prawdziwie podobnymi do pływania ruchami, była wielmożną panią namiestnikową. W każdym razie spoza krat okna pokoju dla kobiet chciała przypatrywać się wykonaniu kary i z przerażeniem musiała zauważyć, że przedmiotem egzekucji miał się teraz stać jej mąż. Zadałem pytanie zbliżającej się kobiecie:

— Kim jesteś?

— Wekilin karisyjim — jestem żoną wekila — odrzekła.

— Ewet, awretimdir, Kbillinin gulu — tak, ona jest moją żoną, różą Kebilli — potwierdził namiestnik, jęcząc.

— Jak ma na imię?

— Adym Aisza — mam na imię Aisza — oznajmiła.

— Ewet, ady Aisza — tak, zwie się Aisza — rozległo się echo z ust Turka.

A więc była to „róża Kebilli”, Aisza. W stosunku do tak delikatnej istoty musiałem być pobłażliwy.

— Jeśli ukazesz mi zorzę poranną swego oblicza, o kwiecie oazy, puszcę jego kark — powiedziałem.

Natychmiast zdjęła jaszmak, czyli welon, z twarzy. Widocznie już długo żyła wśród Arabów, których kobiety chodzą z odsłoniętymi twarzami, i dlatego była mniej powściągliwa od Turczynek, które obowiązkowo noszą zasłony. Zresztą chodziło tu, jak zapewne sądziła, o drogocenne życie jej małżonka.

Spojrzałem na bezbarwną, o zamazanych rysach kobiecą twarz, tak nalaną, że prawie nie było w niej widać oczu ani perkatego noska. Pani Aisza mogła mieć czterdzieści lat, próbowała jednak uchodzić za młodszą, czerniąc brwi i malując wargi na czerwono. Czarne kropki, i to po jednej na każdym policzku, nadawały jej twarzy egzotyczny wygląd i kiedy teraz odsłoniła przedramiona,

zauważyłem, że nie tylko paznokcie, lecz całe ręce umalowane ma henną na czerwono.

— Dziękuję ci, ty słońce Dzaridu — pochlebilem jej. — Jeśli mi przyrzekniesz, że wekil będzie siedział spokojnie, nie stanie mu się żadna krzywda.

— Kaladszak, Sana ssos weririm — będzie siedział spokojnie. Przyrzekam ci to.

— Niech więc podziękuje twojemu urokowi, że go nie zgmiotę jak indszir, która leży w prasie, czekając na suszenie. Twój głos podobny jest do dźwięku fletu, twoje oko błyszczy jak oko słońca, a twoja postać równa jest postaci Szeherazady. Tylko przez wzgląd na ciebie, daruję mu życie.

Zdjąłem rękę z karku namiestnika. Jęknął z ulgą, siedział jednak posłusznie dalej. Aisza obejrzała mnie uważnie od stóp do głów i spytała potem uprzejmie:

— Kim jesteś?

— Jestem Kara ben Nemsy, cudzoziemcem, którego ojczyzna leży daleko za morzem.

— Czy wasze kobiety są ładne?

— Są ładne, nie dorównują jednak urodą kobietom nad szotem El Kebir.

Pani Aisza uśmiechnęła się zadowolona i widać było, że znalazłem łaskę w jej oczach.

— Niemcy są ludźmi bardzo mądrymi, bardzo dzielnymi i bardzo uprzejmymi, często o tym słyszałam — stwierdziła. — Witamy cię w naszym domu! Powiedz jednak, dlaczego związałeś tego człowieka? Dlaczego nasi żołnierze przed tobą uciekli i dlaczego chciałeś zabić tego możnego namiestnika?

— Związałem tego człowieka, ponieważ jest mordercą. Wasi żołnierze uciekli przede mną, gdyż zmiarkowali, że ich wszystkich pokonani. A wekila związałem dlatego bo chciał mi wymierzyć karę chłosty, a potem może nawet skazać na śmierć, nie oddając mi sprawiedliwości.

— Sprawiedliwości stanie się zadość.

Nasunęła mi się mimo woli myśl, że pantofel niewieści w krajach Wschodu ma taką sarną czarodziejską moc jak na Zachodzie. Wekil w przeświadczeniu, że jego autorytet został zagrożony, próbował go znowu odzyskać.

— Jestem sprawiedliwym sędzią i...

— Sen sus — milcz! — nakazała mu.

— Wiesz, że znam tego człowieka, który zwie się Abu en Nassr, czyli ojcem zwycięstwa; powinien się raczej nazywać Abu el Jan, to znaczy ojcem kłamstwa. On był winien temu, że cię wysiano do Algieru, właśnie wtedy kiedy miałeś zostać podporucznikiem. On był winien, że cię przeniesiono do Tunezji i tu na tym pustkowiu zostałeś zagrzebany, a ilekroć zjawił się tutaj u ciebie, musiałeś zrobić coś, co ci przynosiło szkodę. Nienawidzę go i nie mam nic przeciwko temu, żeby go ten cudzoziemiec zabił.

— Abu en Nassr nie może być zabity; znajduje się pod opieką padyszacha.

— Tut aghysi — milcz! On jest pod opieką padyszacha, ten obcokrajowiec natomiast jest pod opieką żony namiestnika, pod moją opieką! Słyszysz? A nad kim ja roztaczam opiekę, tego twoja porywczosć nie zgubi. Wstań i chodź ze mną!

Namiestnik podniósł się z krzesła. Aisza zwróciła swoje kroki ku domowi, a jej małżonek zamierzał podążyć za nią. Nie było to jednak po mojej myśli.

— Stój! — rozkazałem, chwytając go ponownie za kark. — Ty tu zostaniesz!

Wówczas pani Aisza się odwróciła.

— Czy nie powiedziałaś, że chcesz go uwolnić? — zapytała.

— Tak, jednak tylko pod warunkiem, że zostanie na swoim miejscu.

— Przecież nie może siedzieć tu wiecznie.

— Masz rację, o różo Kebilli, ale może przynajmniej pozostać tu tak długo, dopóki moja sprawa

nie zostanie załatwiona.

— Ta już jest załatwiona.

— W jaki sposób?

— Czy ci nie mówiłam, że jesteś naszym gościem i że jesteśmy ci radzi?

— To prawda.

— Jesteś więc naszym gościem i możesz wraz z twoimi towarzyszami mieszkać u nas jak długo zechcesz.

— A Abu en Nassr, którego nazwałaś Abu el Jalan?

— On pozostanie tutaj, jest twój i możesz z nim zrobić, co ci się podoba.

— Czy to prawda wekilu?

Turek zwlekał z odpowiedzią, lecz surowe spojrzenie jego żony zmusiło go do mówienia.

— Tak — zapewnił posłusznie. — Przysięgasz?

— Przysięgam.

— Na Allaha i jego Proroka?

— Czy muszę? — zwrócił się z pytaniem do madame, róży Ke billi.

— Musisz. — Odrzekła Aisza zdecydowanie.

— Przysięgam więc na Allaha i jego Proroka!

— Czy teraz może pójść ze mną? — spytała mnie.

— Może — odpowiedziałem.

— Przyjdź za chwilę, zjesz z nami baraninę z kuskusem.

— Czy masz jakieś pomieszczenie, w którym mógłbym umieścić Abu en Nassra, mając pewność, że nie ucieknie? — spytałem Aiszę.

— Niestety nie. Przywiąż go do pnia palmy tam przy murze! Nie ucieknie ci, gdyż każę go pilnować naszym żołnierzom.

— Sam go będę pilnował — odezwał się Omar w moim zastępstwie. — Nie umknie ci, lecz zapłaci śmiercią za życie mojego ojca. Mój nóż będzie tak ostry, jak bystry jest mój wzrok.

Morderca nie powiedział jeszcze ani słowa od chwili, kiedy go obezwładniłem. Jego oczy płonęły jednak niesamowitą złością, kiedy musiał z nami pójść w kierunku palmy, gdzie go przywiązaliśmy. Nie było moim zamiarem pozbawić go życia, ale groziła mu wendeta i wiedziałem, że żadne wstawiennictwo nie było w stanie skłonić Omara do tego, żeby go ułaskawił. Eddem bi'ddem lub jak Turek powiada: kan kanu oder — za krew płaci się krwią. Najbardziej byłbym mimo wszystko zadowolony, gdyby mu się udało uciec bez mojej wiedzy, chociaż on na pewno by mnie nie oszczędził, gdybym miał pecha wpaść w jego ręce.

Zostawiłem więc Hamd el Amasada pod strażą Omara i wraz z Halefem udałem się do selamlika. Po drodze Ilalef spytał:

— Sihdi, zaznaczyłeś, że ten człowiek jest armeńskim chrześcijaninem, a musisz przecież przyznać, że jest złym człowiekiem. Czy przekonałeś się teraz, że chrześcijanie są złymi ludźmi? Musisz się nawrócić na prawdziwą wiarę, jeśli nie chcesz przez wieki smażyć się w piekle.

— Ty sam się tam będziesz smażył.

— Dlaczego?

— Czy nie opowiadałeś mi, że w derk asfal, to jest w siódmym, najgłębszym piekle muszą się smażyć wszyscy kłamcy i obłudnicy i zjadać głowy diabelskie z drzewa „zakkum”?

— Tak, ale co ja mam z tym wspólnego?

— Jesteś kłamcą i obłudnikiem!

— Ja, sihdi? Mówię prawdę, a w moim sercu nie ma fałszu. Kto mnie tak nazywa, jak ty mnie

nazwałeś, temu posłę kulkę.

— Kłamiesz, że widziałeś Mekkę i udajesz pielgrzyma. Czy mam o tym powiedzieć wekilowi?

— Aman, aman — przebacz mi. Tego nie zrobisz Halefowi Omarowi, najwierniejszemu słudze, jakiego mogłeś znaleźć.

— Nie, nie zrobię tego, ale znasz warunek, pod jakim będą milczał.

— Znam go i będę się miał na baczości, ty jednak staniesz się jeszcze kiedyś prawdziwym wiernym, czy chcesz czy nie, sihdi!

Weszliśmy do pokoju przyjęć, gdzie już czekał na nas wekil. Przyjął nas z niezbyt uprzejmą miną.

— Usiądź! — wskazał mi miejsce.

Czyniąc zadość jego wezwaniu, usiadłem tuż obok niego, podczas gdy Halef zajął się fajkami, przygotowanymi tymczasem w jednym z narożników pokoju.

— Dlaczego chciałeś zobaczyć oblicze mojej żony? — zaczął namiestnik rozmowę.

— Ponieważ jestem Frankiem, przyzwyczajonym patrzeć w twarz tego, z kim rozmawiam.

— Macie złe obyczaje! Nasze kobiety zasłaniają się, wasze natomiast pozwalają się oglądać. Nasze niewiasty ubierają się w suknie, sięgające górą po szyję, a dołem krótkie, wasze natomiast noszą ubiory górą mocno wycięte, a dołem długie; często także górą mocno wycięte i dołem krótkie. Czy widzieliście kiedy choćby jedną z naszych kobiet u was? Wasze dziewczyny natomiast przychodzą do nas. Dlaczego? Z ciekawości! Aib — o wstydzie!

— Wekilu, czy to ma być przyrzeczona przez was gościnność? Od kiedyż to panuje zwyczaj obrażania gości? Nie trzeba mi ani twojej baraniny, ani twojego kuskusu. Zejdę znów na podwórze. Chodź ze mną!

— Efendi, wybacz mi! Chciałem ci tylko powiedzieć co myślę, lecz nie miałem zamiaru cię obrażać.

— Kto nie chce obrażać, nie zawsze może mówić to co myśli. Gadatliwy człowiek podobny jest do pękniętego garnka, z którego nikt nie ma pożytku, bo wszystko zeń wycieka.

— Usiądź — poprosił — i opowiedz mi, gdzie spotkałeś Abu en Nassra.

Zdałem mu dokładne sprawozdanie z naszej przygody. Przysłuchiwał się milcząco, a w końcu z wyrazem niedowierzania na twarzy zapytał:

— Sądziś więc, że zamordował kupca w Blidzie?

— Tak.

— Ale nie byłeś przy tym?

— Wysnuwam wnioski.

— Tylko Allah może wnioskować; jest wszechwiedzący. Myśl ludzka natomiast jest jak zły jeździec, niesiony przez nieposłusznego konia do celu, do którego nie miał zamiaru jechać.

— Tylko Allah może wyciągać wnioski, ponieważ jest wszechwiedzący? O wekilu, twój duch zmęczył się dużą ilością baraniny z kuskusem, którą spożyłeś! Właśnie dlatego, że Allah jest wszechwiedzący, nie potrzebuje wyciągać wniosków. Kto wnioskuje, poszukuje wyniku swoich spostrzeżeń, nie znając go przedtem.

— Stwierdzam, że jesteś alimem, uczonym, który ukończył wiele szkół, gdyż używasz słów dla nikogo nie zrozumiałych. I sądziś także, że Abu en Nassr zabił człowieka w uedzie Tarfaui.

— Tak.

— Byłeś przy tym?

— Nie.

— Powiedział ci to może ten nieboszczyk?

— Wekilu, barany które spożyłeś wiedziałyby zapewne, że nieżywy człowiek mówić nie może.

— Efendi, teraz ty jesteś nieuprzejmy. Więc nie byłeś przy tym, a zmarły nie mógł ci tego powiedzieć. Skąd w takim razie wiesz, że Abu en Nassr jest mordercą?

— Tropiłem jego ślad, a kiedy go spotkałem, przyznał się do morderstwa.

— To że znalazłeś jego ślad, to jeszcze nie jest żaden dowód, że jest mordercą, gdyż przy pomocy śladu jeszcze nikt człowieka nie zabił. A że przyznał ci się do popełnienia mordu, nie jest w stanie mnie zwieść; on jest szakadzi, żartownisiem, który lubi sobie zadrwić z kogoś.

— Z morderstwa się nie żartuje.

— Ale z człowieka tak. I w końcu wierzysz także w to, że on zastrzelił chabira Sadeka?

— Tak.

— Byłeś przy tym? — Oczywiście.

— I widziałeś to?

— Nawet bardzo wyraźnie. Świadkiem był również Hadzi Halef Omar.

— No dobrze, przyjmijmy, że Abu en Nassr zastrzelił Sadeka, ale czy naprawdę dlatego chcesz twierdzić, że jest mordercą?

— Naturalnie.

— Efendi, niech Allah wpłynie na twój sposób myślenia, gdyż zaraz będziesz musiał przyznać, że człowiek nie powinien wyciągać wniosków.

— Jak to?

— Będąc świadkiem, że Abu. en Nassr zastrzelił przewodnika, wnioskujeś, że Abu en Nassr jest mordercą?

— Oczywiście. Przecież to jasne.

— Wnioskujesz błędnie. A gdyby to była wendeta? Czy w twoim kraju nie istnieje prawo do rodowej zemsty?

— Nie.

— To przyjmij do wiadomości, że krwawy mściciel bynajmniej nie jest mordercą. Żaden sędzia go za to nie skarże. Tylko krewni zabitego mają prawo ścigać zabójcę.

— Sadek jednakże nie obraził niczym twojego gościa.

— Ale mogło go obrazić plemię, do którego Sadek należał.

— Także nie, wekilu. Ten Abu en Nassr, który właściwie nazywa się Hamd el Amasad, a przedtem zapewne nosił armeńskie nazwisko, zastrzelił przewodnika Sadeka, którego syn Omar jest tutaj i tenże Omar ma, jak przed chwilą sam wyjaśniłeś, prawo do życia mordercy. Załatw to z Omarem, ale postaraj się także o to, żeby mi ten „ojciec zwycięstwa” nigdy więcej nie wszedł w drogę, w przeciwnym razie ja się z nim rozprawię. Zresztą oddaj mi najpierw mój paszport. Będę go jeszcze gdzie indziej potrzebował.

— Efendi, teraz twoja mowa ocieka mądrością. Masz tu swój paszport. Zaraz porozmawiam z Omarem, żeby puścił wolno Abu en Nassra. Ty natomiast bądź moim gościem, jak długo zechcesz.

Namiestnik wstał i wyszedł na podwórze. Z góry wiedziałem, że wszelkie próby przekonania Omara, żeby odstąpił od zemsty, będą bezskuteczne. Rzeczywiście po jakimś czasie wekil wrócił z ponurą miną, milczał nawet, kiedy wnoszono baraninę na rożnie, przyrządzoną zapewne milutkami, umalowanymi henną paluszkami „róży Kebilli”, Halef i ja nie daliśmy się długo prosić i zajadaliśmy smacznie. Wekil właśnie powiedział mi, że Omarowi zostanie zanieśiona kolacja na podwórze, gdyż nie można go nakłonić, żeby choć na chwilę odszedł od swojego więźnia, kiedy na zewnątrz rozległ się głośny krzyk. Nadstawiłem ucha. Krzyk się powtórzył.

— Breh, efendina — na pomoc!

To wołanie skierowane było do mnie. Jednym skokiem dopadłem drzwi i znalazłem się na

podwórzu. Omar leżał na ziemi i szamotał się z żołnierzami, więźnia natomiast nie było. Przy bramie prowadzącej na ulicę stał Murzyn i szczyrzył do mnie zęby w szyderczym uśmiechu.

— Uciekł, sihdi! — tam galopuje!

Wybiegłem na ulicę i zobaczyłem, jak Abu en Nassr znika między palmami. Jechał na szybkim wielbłądzie, który zdaje się miał wyborny chód. Odgadłem wszystko. Wekilowi nie udało się przekonać Omara, chciał jednak uratować Abu en Nassra. Wydał Murzynowi rozkaz trzymać w pogotowiu wielbłąda, a żołnierzom polecił obezwładnić Omara i odciąć więźnia od palmy. Tych jedenastu dzielnych bohaterów rzuciło się odważnie na osamotnionego i w ten sposób podstęp wekila się udał.

Naturalnie żołnierze drogo opłacili swoje zwycięstwo. Omar użył swojego noża i kiedy udało mi się rozdzielić walczących, stwierdziłem, że wielu krwawiło.

— Uciekł, efendi! — wykrztusił młody przewodnik, sapiąc ze złości i wysiłku.

— Widziałem.

— Dokąd?

— W tamtym kierunku — wskazałem ręką.

— Ukarz tych ludzi efendi, ja natomiast ruszę w pościg za uciekinierem.

— Uciekinier wyjechał na szybkim wielbłądzie — powiedziałem Omarowi, żeby się zastanowił.

— I tak go dogonię.

— Nie masz wierzchowca.

— Efendi, mam tu przyjaciół, którzy dadzą mi dobrego wierzchowca i zaopatrzą mnie w daktyle i gumowe węże z wodą. Zanim morderca mojego ojca zniknie na skraju horyzontu, będę na jego tropie. A ty znajdziesz mój ślad, jeśli zechcesz podążyć za mną.

Omar ben Sadek oddalił się spiesźnie.

Halef był świadkiem tego, co się stało i pomógł mi przy oswobodzeniu Omara z rąk żołnierzy Pałał złością.

— Dlaczego uwolniliście tego człowieka, wy psy, plemię myszy i szczurów... — zwrócił się do żołnierzy.

Rozgniewany Halef byłby zapewne kontynuował swoją perorę, gdyby na podwórzu nie zjawiała się żona wekila. Była znowu w kwefie.

— Co się stało? — spytała.

— Twoi ludzie napadli na mojego przewodnika...

— Szubrawcy, łajdaki! — zawołała Aisza, tupiąc nogą i wyplątując swoje czerwone pięści spod okrywającej ją szaty.

— ... i uwolnili więźnia...

— Szelmy, oszuści! — kontynuowała róża Kebilli z wściekłością i wydawało się, że chciała obić żołnierzy.

— Na rozkaz wekila — dodałem.

— Na rozkaz wekila? Ten robak nieposłuszny, nie nadający się do niczego uparciuch! Ja mu pokażę i to zaraz, natychmiast!

Aisza odwróciła się rozgniewana i wymachując rękami odpłynęła do selamlika.

O uszczęśliwiający królestwo pantoflarzy. Twoje berło niczym się nie różni na północy, jak j na południu, na wschodzie i na zachodzie!

Halef przybrał bardzo zadowoloną minę i stwierdził:

— Tu ona jest wekilem, a on wekilową i my znajdujemy się tu pod lepszą opieką pani namiestnikowej, niż gdybyśmy byli w posiadaniu bujuruldu i chronił nas sam sułtan. Dzięki niech

będą Allahowi, że nie mam szczęścia być wekilem przy boku pani namiestnikowej!



# IV.

## W MOCY ABRAHIMA MAMURA

Było to w czasie, kiedy promienie słoneczne całym swym żarem padają na ziemię leżącą nad Nilem i każdy kogo konieczność nie wygnała pod gołe niebo, ucieka pod ochronę swego dachu, szukając spokoju i ochłody.

Ja także spoczywałem na miękkiej sofie wynajętego mieszkania, piłem powoli aromatyczną kawę i rozkoszowałem się wonią wyborczego dżebeli wydobywającą się z mojej fajki. Mocne, bezokienne mury nie przepuszczały słonecznego żaru, a porowate naczynia gliniane, przez których ścianki parowała woda czerpana z Nilu, czyniły atmosferę tak znośną, że niewiele dało mi się we znaki zmęczenie, które ludzie w tych krajach zazwyczaj odczuwają.

Wtem na dworze rozległ się besztający kogoś głos mojego służącego, Halefa agi.

Halef aga? Tak, mój dobry, mały Halet stał się agą, czyli panem. A kto go nim zrobił? Zabawne pytanie! Któż by, jak nie on sam!

Przez Trypolitanię i oazę Kufarah przybyliśmy do Egiptu. Nasze przeżycia na tej długiej trasie mogą pominąć, ponieważ nie mają bezpośredniego związku z wydarzeniami tej podróży. Opowiem o nich później w osobnej książce.

Zwiedziliśmy Kair, zwany przez Egipcjan po prostu stolicą, lub jeszcze chętniej El Kahira, to znaczy „miasto zwycięskie”, popłynęliśmy w górę Nilu, jak dalece moje ograniczone środki mi na to pozwoliły i w końcu w miejscowości Kertassi wynajęliśmy mieszkanie, w którym czułbym się zupełnie dobrze, gdyby w mojej kanapie i wszystkich dywanach nie gnieździły się owe skaczące i kłujące stworzonka, o których stary, dobry Fischart napisał w jakimś wierszu: "Coś mnie gryzie, co to może być", i z których poza wielkookim pulex canis i czerwonym pulex musculi znane są jeszcze powszechnie lubiane pchły: pulex irritans oraz wściekła pulex penetrans. Niestety muszę powiedzieć, że Egipt nie jest obszarem łowieckim pchły zwanej pulex irritans, lecz pchły pulex penetrans, a więc nie pchły „drażniącej” lecz tej, która przenika przez skórę. Nie potrzebuję więc dodawać, że mój kef, to znaczy moja sjesta południowa, niezupełnie był wolny od zakłóceń i przykrości.

A więc głos mojego Halefa agi, besztający kogoś przed domem, zbudził mnie ze snu.

— Co? Jak? Kogo?

— Twojego efendi — słyhać było nieśmiałą odpowiedź.

— Mojego efendi? Chcesz zakłócić spokój temu wielkiemu panu i mistrzowi?

— Muszę z nim rozmawiać.

— Co? Musisz? Teraz podczas sjesty? Czy diabeł — niech mnie Allah przed nim strzeże! — napełnił ci głowę szlamem z Nilu, że nie możesz pojąć, co znaczy efendi, lekarz, człowiek, którego Prorok karmi mądrością tak, że wszystko może, nawet wskrzesić nieżyjących, jeśli mu tylko powiedzą, na co zmarli!

Ach tak, muszę przyznać, że mój Halef bardzo się zmienił w Egipcie. Stał się teraz niezwykle dumny, ogromnie bezczelny i okropnie się przechwalał, a to w tych krajach bardzo się opłaca.

Na Wschodzie każdego Niemca uważa się za wielkiego ogrodnika, a każdego innego obcokrajowca za dobrego strzelca albo wybitnego lekarza. Nieszczęśliwym trafem przejąłem w Kairze na własność od Willmara Schwabego starą, do połowy zaopatrzoną w leki, aptekę homeopatyczną. Tu i ówdzie, bądź to u kogoś obcego, bądź też znajomego, wypróbowałem działanie

rozcieńczonej laktozy. Pięć ziarenek cukru mlekowego rozcieńczałem trzydziestokrotnie, potem podczas podróży po Nilu podawałem swoim żeglarzom przeciwko wszelakim możliwym, wmawianym sobie przez nich, dolegliwościom. Szybko zyskałem sławę lekarza, który pozostaje wzmowie z diabłem, ponieważ przy pomocy kilku ziarenek afrykańskiego prosa może zmarłych przywrócić życiu.

Ta opinia rozbudziła w głowie mojego Halefa lekki rodzaj megalomanii, co mu jednak na szczęście nie przeszkadzało służyć mi nadal uważnie i wiernie. Z tego co wyżej wzmiankowałem wynika, że on sam najbardziej przyczynił się do ugruntowania mojej sławy. Popadł w haniebny nałóg barona von Münchhausena, a przy tym próbował popisywać się niegrzecznością i zachodziła obawa, że nieuprzejmość stanie się jego nawykiem.

Między innymi kupił sobie ze swoich minimalnych dochodów szpicrutę ze skóry hipopotama i nosił ją zawsze przy sobie. Znał Egipt już wcześniej i był zdania, że nie można się tam obyć bez bicza. Szpicrutą można według niego więcej osiągnąć niż grzecznością i pieniędzmi, których w każdym razie dużo nie miałem.

— Niech ci Bóg zachowa mowę sihdi — usłyszałem znowu proszący głos obcego — ale ja muszę naprawdę zobaczyć się z twoim panem, tym wielkim lekarzem z Frankistanu, i rozmawiać z nim.

— Teraz nie.

— To jest konieczne, w przeciwnym razie mój pan by mnie nie przysłał.

— Kto jest twoim panem?

— Bogaty i potężny Abraham Mamur, oby Allah dał mu tysiąc lat życia.

— Abraham Mamur? Któż to jest Abraham Mamur i jak się nazywał jego ojciec? Kto był ojcem jego ojca, a kto ojcem ojca jego ojca? Kto go zrodził i gdzie mieszkają ci, którym zawdzięcza swoje nazwisko?

— Tego nie wiem sihdi, lecz jest on możliwym panem, o czym świadczy choćby jego nazwisko.

— Jego nazwisko? Co przez to rozumiesz?

— Abraham Mamur. Mamur znaczy urzędnik. Był urzędnikiem, starostą powiatowym.

— Był. A więc już nim nie jest?

— Nie.

— Tak też myślałem. Nikt go nie zna, nawet ja, Halef aga, dzielny przyjaciel i opiekun mojego pana, nigdy o nim nie słyszałem i nigdy nie widziałem tarbusza jego turbanu. Odejdź, mój pan nie ma czasu!

— To powiedz mi przynajmniej, co muszę zrobić, żeby się do niego dostać!

— Czy nie znasz prawdy o srebrnym kluczu, który otwiera wszystkie drzwi?

— Mam ten klucz przy sobie.

— To użyj go!

Słuchałem z napiętą uwagą, usłyszałem cichy dźwięk monet, a potem znów głos Halefa:

— Jeden piastr? Ty sknero, powiem ci, że otwór tego zamka jest większy od twojego klucza. Ten się nie nadaje, jest za mały.

— To muszę użyć większego.

Znowu dał się słyszeć dźwięk podobny do brzęku drobnych, srebrnych monet. Nie wiedziałem, czy się śmiać czy gniewać. Halef agą stał się jak widać nadzwyczaj szczwanym odźwiernym!

— Trzy piastry? — wyrzekł właśnie. — Dobrze, za to mogę przynajmniej zapytać, jaką masz sprawę do załatwienia z moim panem.

— Ma przybyć do mojego pana z czarodziejskim lekiem.

— Ty nędzny robaku! Co ty sobie wyobrażasz! Za trzy piastry mam namówić mojego pana do wydania leku, dostarczanego mu przez białą czarodziejkę pierwszej nocy każdego nowiu?

— Czy to prawda?

— Mówi ci to Hadzi Halef Omar aga ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd el Gossarah. Osobiście widziałem tę wieszczkę, a jeśli nie wierzysz, to ci tu zaraz tym korbaczem ze skóry hipopotama wygarbuję grzbiet.

— Wierzę w to, co powiedziałeś.

— To twoje szczęście.

— I dam ci jeszcze dwa piastry.

— Dawaj je! Kto właściwie jest chory w domu twojego pana?

— To tajemnica, którą może poznać tylko efendi.

— Tylko efendi? Ty draniu, czy ja też nie jestem efendi, który widział czarodziejkę? Wynos się! Halef aga nie pozwoli się obrażać.

— Wybacz efendi! Zdradzę ci tę tajemnicę.

— Teraz już nie jestem jej ciekawy. Zabieraj się stąd!

— Ależ proszę cię...

— Wynocha!

— Czy mam ci dać jeszcze jednego piastra?

— Nie wezmę więcej jednego piastra!

— Efendi! — Lecz dwa!

— O efendi, twarz twoja jaśnieje dobrocią. Weź proszę te dwa piastry.

— Pięknie! A więc kto jest chory? — Żona mojego pana.

— Żona twojego pana? — zapytał Halef zdziwiony. — Która z żon?

— Ma tylko jedną.

— I on był naczelnikiem powiatu?

— Abraham Mamur jest tak bogaty, że mógłby mieć sto żon, lecz on kocha tylko tę jedną.

— Co jej dolega?

— Nikt tego nie wie, ale jej ciało jest chore, a jej dusza jeszcze bardziej.

— Allah kerim, Bóg jest łaskawy, lecz ja nie! Biczem ze skóry hipopotama, który trzymam w ręku, trzasnąłbym cię chętnie przez plecy. Na brodę Proroka, wypowiadasz taką nedorzecznosc, jakbyś tracił rozum. Czy nie wiesz, że kobieta nie ma duszy i dlatego też nie może się dostać do nieba? Jakżeż więc dusza kobiety może być chora?

— Tak mi powiedziano. Wpuść mnie do twojego pana!

— Nie wolno mi tego zrobić.

— Dlaczego?

— Mój pan pogardza kobietami. Najpiękniejsza perłą wśród kobiet jest dla niego niczym skorpion w piasku. Ręka mojego pana nie dotknęła dotychczas odzienia żadnej kobiety. Nie wolno mu kochać żadnej ziemskiej niewiasty, w przeciwnym razie wieszczka by go więcej nie odwiedziła.

Z minuty na minutę rosło moje uznanie dla zręczności Halefa, mimo to miałem wielką ochotę, dać mu zakosztować razów własnego bicza.

— Musisz wiedzieć — usłyszałem odpowiedź posłańca — że nie dotknie jej szat ani nie ujrzy jej postaci. Ma z nią rozmawiać tylko przez kratę.

— Podziwiam roztropność twoich słów i mądrość twojej mowy. Czy nie rozumiesz, że wielki hekim właśnie przez kratę nie może z nią rozmawiać?

— Dlaczego?

— Ponieważ zdrowie, które efendi ma jej przywrócić, nie dotarłoby wówczas do kobiety, lecz zawisłoby na kracie. Odejdź więc!

— Nie wolno mi odejść, gdyż otrzymałbym sto batów w podeszwy, gdybym nie przyprowadził ze sobą twojego mądrego pana.

— Podziękuj więc swojemu dobremu panu, ty niewolniku Egipcjanina, że darzy twoje stopy taką łaską! Nie chcę cię pozbawić twojego szczęścia. Allah niech będzie z tobą i niech ci tych sto uderzeń wyjdzie na zdrowie.

— To pozwól mi powiedzieć jeszcze coś, dzielny ago! Pan naszego domu posiada w swoim skarbcu więcej worków pełnych kosztowności niż mógłbyś policzyć. Poleciał mi cię także przyprowadzić i otrzymasz bakszysz, a więc podarunek, jakiego nie dałby ci nawet kedyw Egiptu.

Teraz dopiero posłaniec zmądrzał i zastosował wobec mojego Halefa mocniejszy chwyt, którego należy użyć w stosunku do każdego człowieka Orientu, chcąc go usposobić życzliwie. Mały dozorca mojego domu zmienił też natychmiast ton i odpowiedział o wiele uprzejmiej:

— Allah niech błogosławi twoje usta, mój przyjacielu! Jednak jeden piastr w mojej ręce jest mi miłszy niż dziesięć worków w obcej.

Twoja ręka jest niestety tak chuda, jak szakal w pętli lub jak pustynia Biszarin.

— Posłuchaj rady twego serca mój bracie.

— Ja twoim bratem! Ty robaku, pamiętaj, że jesteś niewolnikiem, podczas gdy ja jako wolny człowiek towarzyszę swojemu panu i dbam o jego bezpieczeństwo. Nie będę się radził swojego serca. Jak może pole przynosić plony, jeśli tak nieliczne krople rosy spadają na nie z nieba!

— Masz tu jeszcze trzy krople!

— Jeszcze trzy? Pójdę zobaczyć, czy mogą przeszkodzić swojemu panu, pod warunkiem, że od twojego pana naprawdę otrzymam bakszysz, o jakim mówiłeś.

— Otrzymasz.

— To poczekaj!

Teraz nareszcie Halef uznał, że może mi przeszkodzić; ten chytry lis! Postępował zresztą zgodnie ze złym obyczajem Orientu, tak że poniekąd był usprawiedliwiony, zwłaszcza że za swoje usługi otrzymywał ode mnie zaledwie odrobinę, o której nie warto nawet mówić.

Co mnie jednak w tej całej sprawie dziwiło, to okoliczność, że wzywano mnie do chorej kobiety. Muzułmanin, pomijając wędrowne plemiona nomadów, ukrywa mieszkanki swojego haremu przed oczyma obcego mężczyzny, a w każdym razie chodziło tu o kobietę już niemłodą, która być może przymiotami serca i umysłu zachowała miłość Abrahima Mamura.

Ilalef wszedł do pokoju.

— Czy śpisz, sihdi?

Ten hultaj! Tu nazywał mnie „sihdi”, a na dworze kazał siebie tak tytułować.

— Nie — odpowiedziałem. — Czego chcesz?

— Na dworze stoi człowiek, który chciałby z tobą mówić. Przyszedł po ciebie i twierdzi, że ja także muszę pójść z tobą.

Spryciarz zrobił końcową uwagę, ażeby zapewnić sobie przyobiecany napiwek. Nie chcąc go wprawiać w zakłopotanie, udałem, że nie słyszałem jego rozmowy z posłańcem.

— Dlaczego przyszedł po mnie?

— Ktoś jest chory.

— Czy to nagła sprawa?

— Bardzo, sihdi. Duch chorej ma już zamiar opuścić ten świat. Dlatego musisz się spieszyć, jeśli go jeszcze chcesz zatrzymać.

Hm, Halef był jak widać niezłym pośrednikiem.

— Wpuść tego człowieka!

Ilalef wyszedł i wepchnął posłańca do pokoju. Mężczyzna się skłonił aż do ziemi. Zgodnie z miejscowym zwyczajem zostawił swoje sandały na zewnątrz i pokornie czekał, aż do niego przemówią.

— Podejdź bliżej! — poprosiłem.

— Es salm' alejkum! — Niech zdrowie ci sprzyja panie — pozdrowił mnie. — Niech Allah skłoni twoje uszy do pokornej prośby najniższego z twoich sług!

— Kim jesteś?

— Jestem Hamid, sługa wielkiego Abrahima Mamura, który mieszka w górze rzeki.

— Co mi masz powiedzieć?

— Wielka żałość zapanowała w domu mojego pana, gdyż Guzela, korona jego serca, zmierza do krainy cieni. Żadnemu lekarzowi, ani fakirowi, ani też świętemu, nie udało się opanować jej choroby. Wtedy mój pan..., oby go Allah pocieszyopan, usłyszał o tobie i twojej sławie, i że śmierć ucieka na dźwięk twego głosu. Pan mój wysłał mnie do ciebie i polecił mi powiedzieć: „Przybądź i zdejm rosę śmierci z mojego kwiatu, a wdzięczność moja będzie słodka i tak promienna jak lśnienie złota!”

Korona serca! Kwiat! Güzela, znaczy piękna! Te określenia w odniesieniu do leciwej kobiety wydały mi się przesadne.

— Nie wiem, gdzie mieszka twój pan. Czy to daleko stąd?

— Mój pan mieszka na wybrzeżu i posyła ci łódź. Za godzinę będziesz na miejscu.

— Kto mnie odwiezie z powrotem?

— Ja.

— Dobrze, przyjadę. Poczekaj na dworze!

Hamid wyszedł. Wstałem, zmieniłem ubranie i wziąłem ze sobą skrzynkę, zawierającą zioła i medykamenty, między innymi akonid, siarkę, jeden z gatunków jaskrów oraz wszystkie te środki, które winny znajdować się w podróźnej apteczce. Już po pięciu minutach siedzieliśmy w czółnie, sterowanym przez czterech wioślarzy: ja, pogrążony w myślach, Halef natomiast dumny jak pasza lub właściciel co najmniej trzech końskich ogonów. Za pasem miał obite srebrem pistolety, które mu podarowano w Kairze, i ostry błyszczący sztylet, w ręku natomiast dzierżył bicz ze skóry hipopotama. Z biczem tym się nigdy nie rozstawał, uważając go za najlepszy środek do zapewnienia sobie wśród Egipcjan poważania, szacunku i względów.

Upał co prawda dokuczał, lecz jazda czółnem pod prąd była przyjemna z uwagi na chłodzący powiew.

Jakiś czas płynęliśmy wzdłuż rozmaitych pasmowo ciągnących się plantacji, w tym również palm daktylowych i innych gatunków egipskich palm, dostarczających jadalnych owoców. Palmy te odznaczały się widlastymi gałęziami i wspaniałymi wachlarzowymi koronami. Mijaliśmy też niewielkie miejscowości, w których znajdowały się ruiny z czasów starożytnych. W ścianach skalnych po obu stronach Nilu przeblyskiwał granit. Dolina zwężyła się i na pewnym odcinku można było zobaczyć fale na katarakcie. Był to ciągnący się kilka kilometrów przesmyk, zwany Bab el Kalabszeh. Tam gdzie przesmyk się rozpoczynał, wznosił się czworokątny mur, pozornie bez otworu na przejście.

Kiedyśmy przybyli pod tę ścianę, zauważyłem, że pod murem prowadzi wąski kanał, dostarczający mieszkańcom znajdującego się za murem domu wodę, żeby nie musieli wychodzić ze swoich mieszkań. Hamid szedł przed nami, poprowadził nas wokół dwóch węglów rnu i po przeciwnej stronie rzeki dał znak, po czym brama się otworzyła.

Jakiś Murzyn wyszczerzył do nas zęby w uśmiechu. Odpowiedzieliśmy krótko na jego pełne uszanowania powitanie. Nie oczekiwałem tu żadnego architektonicznego piękna, toteż nie zaskoczyła mnie surowa i bezokienna fasada domu. Warunki atmosferyczne wywarły niszczący wpływ na mury domu, tak że uznałem go za całkiem nieodpowiedni na mieszkanie dla delikatnej, chorej kobiety.

Kiedyś przestrzeń między zewnętrznym murem a domem obsadzona była ozdobnymi roślinami, co zapewne cieszyło oczy mieszkańców; rośliny jednak dawno zwiędły i uschły. Dokąd wzrok sięgał, nie było nic prócz surowej, gołej pustki i tylko chmara jaskółek gnieźdzących się w licznych szczelinach i załomach budynku wносиła poniekąd trochę życia i ruchu w ten martwy krajobraz.

Idący przodem posłaniec przeprowadził nas przez ciemny, niski wjazd na małe podwórze, którego środek zajmował zbiornik wodny. A więc aż dotąd prowadził kanał, który poprzednio zauważyłem. Budowniczy tego ustronnego domu zadbał oczywiście o to, żeby siebie i swoich najbliższych dostatecznie zaopatrzyć w wodę, co przy upale panującym w tej okolicy jest niezbędne. Za okratowaniami okien znajdowały się niewątpliwie pomieszczenia mieszkalne. Nie mogłem jednak wszystkim sprawom poświęcić teraz zbyt dużo czasu, lecz skinąłem na Halefą, polecając mu, by zaczekał na zewnątrz z apteczką, którą miał przewieszoną przez ramie, a sam podążyłem za posłańcem do selamliku.

Był to mroczny, obszerny pokój, przez którego zakratowane otwory okienne sączyło się przytłumione, dobroczynne światło. Dywany i rozmaite ozdoby ścienne nadawały pomieszczeniu przytulny wygląd, a stojące w niszach pojemniki z wodą wytwarzały dość przyjemny chłód. Balustrada dzieliła pokój na dwie części, przednią dla służby, tylną dla pana domu i jego gości. W głębi na podwyższeniu stała szeroka sofa, sięgająca od jednego narożnika pokoju do drugiego. Na niej siedział Abraham Mamur, „właściciel wielu worków kosztowności”.

Kiedy wszedłem, podniósł się z kanapy, lecz zgodnie z miejscowym zwyczajem stał, nie ruszając się z miejsca. Ponieważ nie miałem na nogach tradycyjnego obuwia, tylko wysokie buty do konnej jazdy, nie mogłem ich zdjąć, lecz beztrąsko kroczyłem po kosztownych dywanach i usiadłem przy boku pana domu. Służący wnieśli nieodzowną kawę i jeszcze bardziej niezbędne fajki i teraz dopiero mogła się zacząć rozmowa.

Najpierw skierowałem wzrok na fajkę Abrahama Mamura. Każdy znawca Orientu wie, że według wartości fajki ocenia się na Wschodzie stan materialny jej właściciela. Długi, wonny i gęsto oprzędzony pozłacanym srebrnym drutem cybuch kosztował zapewne przynajmniej tysiąc piastrów. Jeszcze droższy musiał być jednak bursztynowy ustnik, składający się z dwóch części, między którymi błyszczał pierścień, wysadzany drogimi kamieniami. Właściciel tej fajki zdawał się naprawdę posiadać „wiele worków skarbów”, tylko że to bynajmniej mnie nie onieśmiało, ponieważ niejedynemu posiadacz fajki, wartości choćby dziesięciu tysięcy piastrów, zgromadził swoje bogactwo, zdobywając je ograbianiem i ciemieniem swoich poddanych, lub je po prostu nakradł. Lepiej więc spojrzeć uważnie w oblicze właściciela tej drogiej fajki.

Gdzie ja już kiedyś tę twarz widziałem, te piękne, delikatne, a w swojej dysharmonii jednak tak diabelskie rysy? Badawczy, ostry, kłujący, niemal przeszywający wzrok tych małych, bezręcych oczu utkwiał w moim spojrzeniu, a potem odwrócił się zimny i jakby uspokojony. Zapewne silne, osłabiające nerwy namiętności wyrwały na tym obliczu głębokie ślady. Miłość, nienawiść, mściwość, chorobliwa ambicja potęgowały się i wzajemnie przeniknęły, by wspaniale zapowiadającą się naturę ludzką pogrążyć w błocie występku i nadać wyglądowni tego człowieka coś nieokreślonego, co dla innych jest pewnym znakiem ostrzegawczym.

Gdzie ja tego człowieka spotkałem? Widziałem go na pewno, muszę sobie tylko przypomnieć gdzie. A czuję, że nie było to w przyjemnych okolicznościach.

— Neharak sa'id — obyś miał szczęśliwy dzień! — pozdrowiłem go.

— Neharak sa'id we mubarak — oby dzień twój był szczęśliwy i błogosławiony! — usłyszałem słowa powoli wypowiedane spod pełnej, wspaniałej, lecz na czarno ufarbowanej brody. Ten głos był zimny, bezdźwięczny, bez życia, pozbawiony jakichkolwiek uczuć; dźwięk tego głosu przejmował lękiem. — Oby Allah sprawił, żeby ślady twoich stóp pokryły się balsamem, a z twych palców kapał kropelkami miód, by moje serce nie słyszało więcej głosu zmartwienia!

— Niech Bóg da ci pokój i pozwoli mi znaleźć truciznę, która zatruwa twoje życie — odpowiedziałem na jego pozdrowienie, gdyż nawet lekarzowi nie wolno zapytać o żonę muzułmanina, jeśli nie chce uchybić grzeczności i dobrym obyczajom.

— Słyszałem, że jesteś mądrym lekarzem. Jaką ukończyłeś medresę? — kontynuował Abraham Mamur.

— Żadnej. Jestem Niemcem!

— Niemcem! Och, wiem, że Niemcy są mądrymi ludźmi. Znają kamień filozoficzny i abrakadabry, która przepędza śmierć.

— Nie ma żadnego kamienia filozoficznego ani żadnej abrakadabry.

Egipcjanin obrzucił mnie zimnym spojrzeniem.

— Przede mną nie musisz udawać. Wiem, że lekarze nie mówią o swoim, kunszcie i nie chcą wydobyć od ciebie twojej tajemnicy, masz mi jedynie pomóc. Czym wypędzasz choroby z człowieka, słowami czy talizmanem?

— Ani słowami, ani talizmanem, lecz lekarstwami.

— Nie kryj się przede mną! Wierzę w ciebie, gdyż masz szczęśliwą rękę, jakby ją pogłogostawił Prorok, chociaż nie jesteś muzułmaninem. Znajdziesz chorobę i zwyciężysz ją.

— Tylko Bóg jest wszechmocny, on może uratować lub zniszczyć i jemu tylko należy się cześć i chwała. Jeśli jednak mam pomóc, to mów o co chodzi!

Wezwanie de odsłonięcia przed obcym choćby mało ważnej tajemnicy swojego domu dotknęło Abrahima nieprzyjemnie, jakkolwiek musiał być na to przygotowany. Usiłował jednak natychmiast ukryć swoje niezadowolenie i rozpoczął pytaniem:

— Jesteś z kraju niewiernych, gdzie nie jest hańbą mówić o tej, która jest córką swej matki?

Bawił mnie sposób, w jaki Abraham próbował obejść temat, żeby wprost nie mówić o swojej żonie; zachowałem jednak powagę i odpowiedziałem spokojnie:

— Chcesz, żebym ci pomógł, a wymyślasz mi?

— Pod jakim względem?

— Nazywasz moją ojczyznę krajem niewiernych.

— Jesteście przecież niewiernymi.

— Wierzymy w tego samego Boga co wy, tylko nie nazywamy go Allahem. Ze swojego punktu widzenia uważasz mnie za niewiernego; z mojego punktu widzenia miałbym takie samo prawo ciebie tak określić. Nie robię tego jednak, bo my, Niemcy, nigdy nie przekraczamy praw uprzejmości.

— Nie mówmy o religii! Muzułmaninowi nie wolno mówić o swojej żonie; pozwolisz jednak, że będę mówił o kobietach Frankistanu?

— Pozwalam.

— Kiedy żona Franka zachoruje...

Abraham spojrział na mnie, jakby oczekiwał jakiejś uwagi z mej strony. Skinąłem tylko głową na znak, żeby mówił dalej.

— ...a więc jeśli jest chora i nie przyjmuje żadnego posiłku...

— Mów dalej!

— ...oczy jej tracą blask i policzki się zapadają..., jeśli jest zmęczona, a mimo to nie może zaznać snu...

— Dalej!

— ...jeśli może stać tylko opierając się o coś, a chodzi powoli, powłócząc nogami, na przemian drży z zimna i pali ją gorączka...

— Słucham cię. Mów!

— ...przy każdym szmerze wzdryga się ze strachu..., jeśli niczego nie pragnie, niczego nie lubi, niczego nie nienawidzi i boi się bicia własnego serca...

— Mów dalej!

— ...jeśli jej oddech podobny jest do oddechu małego ptaka..., jeśli się nie śmieje, nie płacze, nie mówi, jeśli się niczym nie cieszy ani żadnym słowem się nie skarży i już nawet własnych westchnień nie słyszy..., jeśli nie chce już widzieć światła słonecznego, a noce spędza bezsennie, siedząc w kucki w narożniku pokoju...

Egipcjanin znów spojrzał na mnie, a z jego niespokojnych oczu wyzierał strach, który zdawał się powiększać z każdym wymienionym objawem choroby. Musiał widocznie kochać chorą ostatnim wielkim uczuciem swojego spopieliałego serca i niechcący zdradził mi swój stosunek do niej.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego! — wezwałem go do dalszych wyznań.

— ...jeśli czasami nagle zakrzyknie, jakby jej wbijano sztylet w pierś..., jeśli bezustannie szepce obce słowo...

— Jakie słowo?

— Czyjeś imię.

— Dalej!

— ...jeśli kaszle, a potem krew cieknie jej po bladych wargach...

Abraham wlepił we mnie wzrok pełen strachu i stało się dla mnie jasne, że moja diagnoza będzie dla niego wyrokiem ocalającym lub zgubnym. Nie zwlekałem z jasną odpowiedzią:

— ...to umrze — powiedziałem.

Abraham siedział najpierw przez chwilę otępiały, jakby tknięty apopleksją, potem jednak raptownie wstał z sofy i stanął przede mną. Czerwony fez zesunął mu się z ogolonej głowy, fajka wypadła mu z ręki; mięśnie jego twarzy drgały, wyrażając całą gamę przeciwstawnych sobie uczuć. Była to twarz osobliwa i straszna. Przypominała fizjonomię diabła, jaką kunsztownie potrafił narysować Dore, diabła bez ogona, kopyta końskiego i rogów, lecz o sylwetce w najwyższym stopniu proporcjonalnej. Każdy rys twarzy jego szatana był piękny, a jednak to oblicze miało w sobie coś odpychającego, szpetnego — diabelskiego. Abraham wbił we mnie wzrok pełen przerażenia, które z wolna przeradzało się w gniew, a w końcu w groźbę.

— Giaurze! — wrzasnął.

— Co powiedziałaś? — spytałem zimno.

— Powiedziałem „Giaurze!” Śmiesz mi zakazać nazywać cię tak, ty psie? Bicz cię nauczy kim jestem i że masz robić, co ci każę. Jeśli ona umrze, to i ty umrzesz. Jeżeli ją natomiast uzdrowisz, wolno ci będzie odejść i możesz zażądać, czego tylko zechcesz.

Podniosłem się również z kanapy powoli i majestatycznie, stanąłem przed Abrahamem, i wyprostowując się zapytałem:

— Czy wiesz, co jest największą hańbą dla muzułmanina?

— Co?

— Popatrz na swój fez! Abrahamie Mamurze, co mówi Prorok i co O tym pisze Koran, gdy muzułmanin bezwstydnie pokazuje odkrytą głowę chrześcijaninowi?



Egipcjanin natychmiast nakrył głowę i, purpurowy z wściekłości na twarzy, wyszarpnął sztylet zza szarfę swojego pasa.

— Musisz umrzeć, giaurze! Odmów swoją ostatnią modlitwę!

— Umrę, kiedy się Bogu spodoba, a nie, kiedy ty zechcesz, Abrahamie Mamurze — odparłem tak spokojnie jak przedtem. — Polowałem na niedźwiedzia, słonie słyszały moje strzały, a moja kula trafiła lwa, który jest postrachem trzody. Podziękuj Allahowi, że jeszcze żyjesz i proś go, żeby uspokoił twoje serce. Sam się nie opanujesz, jesteś na to za słaby i umrzesz, jeśli natychmiast nie pohamujesz swojej złości!

To była ciężka obraza. Abraham wykonał tygrysi skok, chcąc mnie chwycić, cofnął się jednak natychmiast, gdy w mojej ręce błysnęła broń, z którą w tych krajach nie wolno się nigdy rozstawać. Staliśmy naprzeciwko siebie zupełnie sami, ponieważ Abraham zaraz po wniesieniu przez służbę kawy i fajek, odprawił ją, nie chcąc, by ktokolwiek był świadkiem naszej rozmowy.

Będąc w towarzystwie dzielnego Halefa, nie miałem najmniejszego powodu obawiać się mieszkańców tego starego domu. W razie potrzeby my dwaj trzymalibyśmy w szachu tych niewielu mieszkających tu mężczyzn, ażeby ujść cało. Ale nie miałem takiego zamiaru. Domyślałem się już, jaki los spotkał chorą. Musiałem się z nią zobaczyć i zamienić choćby kilka słów.

— Chcesz strzelać? — spytał Egipcjanin rozżłoszczony, wskazując na mój rewolwer.

— Oczywiście.

— Tu, w moim domu?

— Dlaczego nie, jeśli zostanę zmuszony, żeby się bronić?

— Ty psie, to prawda, o czym zaraz pomyślałem, kiedy tylko wszedłeś!

— Co jest prawdą Abrahamie Mamurze?

— Że ciebie już kiedyś widziałem.

— Gdzie?

— Nie wiem, ale to pewne, że nie było to w sprzyjających mi okolicznościach.

— Tak jak dzisiaj; dziwiłbym się bowiem, gdyby nasze dzisiejsze spotkanie skończyło się dobrze. Nazwałś mnie psem i przyjmij do wiadomości, że moja kula utkwi w twoim mózgu, gdy tylko jeszcze raz wypowiesz to wyzwisko. Zapamiętaj to sobie dobrze, Abrahamie Mamurze!

— Wezwę służbę!

— Zawołaj swoich służących, jeśli chcesz zobaczyć ich trupy, aby potem twoje zwłoki spoczęły obok nich.

— Oho, nie jesteś Bogiem!

— Ale Niemcem. Czy poczułeś już kiedyś rękę Niemca na sobie? Egipcjanin uśmiechnął się pogardliwie.

— Uważaj, żebyś jej kiedyś nie poczuł! — ostrzegłem go. — Moja ręka nie jest kąpana w wodzie różanej jak twoja. Ale nie będę więcej zakłócał spokoju twojego domu. Żegnaj! Nie chcesz, żebym zwyciężył śmierć, a więc niech się spełni twoje życzenie. Rabbena chaliak, niech Pan się nad tobą zlituje.

Schowałem rewolwer i zmierzałem ku drzwiom.

— Zostań! — zawołał Abraham. Mimo to szedłem dalej.

— Zostań! — krzyknął jeszcze głośniejszym głosem. Doszedłem niemal do drzwi i nie obróciłem się.

— To giń, giaurze!

Obróciłem się błyskawicznie i zdążyłem jeszcze uskoczyć w bok, Jego sztylet przeleciał koło mnie i utkwił głęboko w boazerii ściany.

— Teraz jesteś mój!

Mówiąc to, doskoczyłem do niego, chwyciłem, podniosłem i cisnąłem nim o ścianę.

Abraham Mamur leżał kilka sekund, zerwał się jednak znowu. Oczy miał szeroko otwarte, żyły na czole nabrzmiały, a jego wargi były sine z wściekłości. Wycelowałem weń rewolwer, więc stał przede mną zastraszone.

— Teraz poznałeś rękę Niemca — powiedziałem. — Nie waż się zdenerwować mnie ponownie!

— Giaurze!

— Tchórze! Bo jak inaczej nazwać, kogoś, kto prosi lekarza o pomoc, a potem obrzuca go wyzwiskami i w końcu chce mu zdradziecko wbić sztylet w plecy? Religia, która ma takich wyznawców, nie może być wiele warta!

— Czarnoksiężniku!

— Czarnoksiężniku? Dlaczego?

— Gdybyś nim nie był, mój sztylet byłby cię na pewno trafił i nie miałbyś siły rzucić mną jak piłką o ścianę.

— No dobrze! Jeśli jestem czarodziejem, to mogłem również utrzymać przy życiu twoją żonę, Guzela.

Wymówiłem to imię rozmyślnie i wywarło to pożądaną skutek.

— Kto ci podał to imię? — wybuchnął Abraham Mamur.

— Twój posłaniec, Hamid!

— Niewiernemu nie wolno wymawiać imienia prawowiernej!

— Wypowiadam tylko imię kobiety, która jutro może już nie żyć. Abraham obrzucił mnie znowu lodowatym spojrzeniem, potem jednak zasłonił sobie twarz rękami.

— Czy to prawda, lekarzu, że Guzela już jutro może umrzeć?

— Prawda.

— Czy nie można jej uratować?

— Być może.

— Nie mów może, lecz powiedz: na pewno! Czy jesteś skłonny mi pomóc? Jeśli ona wyzdrowieje, możesz zażądać, czego tylko chcesz!

— Jestem gotów ci pomóc.

— To daj mi twój talizman lub twoje lekarstwo!

— Nie posiadam żadnego talizmanu, a lekarstwa teraz jeszcze dać ci nie mogę.

— Dlaczego?

— Lekarz może tylko wówczas leczyć chorego, jeżeli go uprzednio zobaczy. Chodźmy więc do niej.

Cofnął się jak ugodzony ciosem.

— Zwariowałaś? Chyba duch pustyni wypalił ci mózg, skoro nie wiesz, czego żadasz. Przecież kobieta, na której spoczęło oko obcego mężczyzny, skazana jest na śmierć!

— Guzela jeszcze prędzej umrze, jeżeli nie będzie mi wolno jej zobaczyć! Muszę zmierzyć jej puls i spytać ją o wiele spraw, dotyczących jej choroby. Tylko Bóg jest wszechwiedzący i nie potrzebuje żadnych informacji.

— Naprawdę nie leczysz przy pomocy talizmanu?

— Nie.

— Ani słowami?

— Nie.

— A może modlitwą?

— Modłę się za cierpiących, lecz Bóg dal nam lekarzom środki leczenia.

— Co to są za środki?

— Są to kwiaty, metale i ziemia, z których wyciągamy ich soki i moc.

— A nie przypadkiem trucizny?

— Ja nie truję chorych.

— Więc musisz z nią rozmawiać?

— Muszę zapytać o jej chorobę i o wszystko, co ma związek z jej niedomaganiem.

— Czy nie będziesz z nią mówić o tym, na co ci nie mogę zezwolić?

— Niech i tak będzie!

— A musisz również dotknąć jej ręki?

— Tak.

— Pozwalam ci dotykać jej ręki przez całą minutę. Czy musisz także widzieć jej twarz?

— Nie, chora może pozostać zawoalowana. Musi jednak kilkakrotnie przejść się po pokoju.

— Dlaczego?

— Ponieważ po chodzie i postawie chorego można rozpoznać wiele symptomów choroby.

— I na to ci pozwalam. Pójdę teraz po chorą.

— Nie rób tego!

— Dlaczego?

— Muszę ją zobaczyć tam, gdzie mieszka, i przyjrzeć się pomieszczeniom, z których korzysta.

— Z jakiego powodu?

— Ponieważ istnieją choroby, które powstają tylko w nieodpowiednich mieszkaniach, a to może zauważyć jedynie oko lekarza.

— Chcesz więc wejść do mojego haremu?

— Oczywiście.

— Na to nie pozwolę!

— To niech umiera. Allah jekun ma'ak — niech cię Bóg ma w swej opiece!

Skierowałem się do wyjścia. Chociaż z wyliczonych mi przez Abrahima objawów choroby zorientowałem się już, że Guzela cierpi na ciężką melancholię, udałem, że wierzę w dolegliwości fizyczne jej organizmu. Właśnie dlatego, że podejrzewałem, iż jej cierpienie jest następstwem przemocy, na skutek której dostała się pod władzę tego człowieka, chciałem dowiedzieć się wszystkiego możliwie dokładnie. Abraham zawrócił mnie z drogi, wołając:

— Stój, hekimie, zostań. Możesz wejść do komnat haremu!

Odwróciłem się i podszedłem do niego, nie dając poznać, że sprawiło mi to satysfakcję. Zwyciężyłem i byłem zadowolony z poczynionych przez Abrahima ustępstw. Miłość Egipcjanina i związana z nią troska musiała być niebywale głęboka, skoro zgodził się spełnić moje warunki. Naturalnie z jego miny mogłem wyczytać zawzięte rozgoryczenie i złość na mnie, niepożądanego intruza w świętych pomieszczeniach jego domu, i byłem przekonany, że nawet w wypadku szczęśliwego wyzdrowienia chorej kobiety pozostanie on moim nieprzejednanym wrogiem.

Egipcjanin oddalił się teraz, żeby osobiście przygotować wszystko co konieczne, gdyż żadnemu ze służących nie wolno się było nawet domyślać, że zezwolił obcemu mężczyźnie wejść do swojego sanktuarium.

Abraham wrócił dopiero po dłuższym czasie. Twarz jego, o zaciśniętych wargach, wyrażała mocne, harde zdecydowanie, i spojrzawszy na mnie wzrokiem pełnym nienawiści, oznajmił:

— Możesz iść do niej...

— Już mi to przyrzekłeś.

— ...i zobaczyć jej komnaty...

— Oczywiście.

— ...ją także.

— Zawołowaną i zasłoniętą.

— ...I wolno ci z nią rozmawiać. — To jest konieczne.

— Pozwalam ci na bardzo wiele, cudzoziemcze. Ale na rajską szczęśliwość i piekielne męki, z chwilą kiedy wymówisz choć słowo, którego sobie nie życzę, lub zrobisz coś, na co nie otrzymałeś mojego zezwolenia, zabiję Guzełę. Ty jesteś silny i uzbrojony — dlatego nie zasztyletuje ciebie, lecz ją. Przysięgam na wszystkie sury Koranu i na wszystkich kalifów, aby Allah błogosławił pamięć o nich!

A więc jednak zorientował się już i stwierdził, że z takim zapewnieniem będę się bardziej liczył niż z chętlivymi groźbami, miotanymi pod moim adresem. Zresztą wcale mi przez myśl nie przeszło, żeby lekceważyć jego prawa. Postępowanie Abrahima nasunęło mi jednak przypuszczenie, że w jego stosunku do chorej istnieje jakiś ciemny punkt.

— Czy możemy teraz iść? — zapytałem.

— Chodź!

Egipcjanin szedł przodem, ja za nim.

Najpierw przechodziliśmy przez zaniedbane pomieszczenia, w których grasowały zapewne wszelkiego rodzaju nocne zwierzęta. Potem przeszliśmy przez izbę, która prawdopodobnie była przedpokojem, i dopiero teraz znaleźliśmy się w pomieszczeniu, będącym najwidoczniej właściwym mieszkaniem kobiet. Leżały tu porozrzucane najrozmaitsze drobiazgi, chętnie używane przez niewiasty.

— To są pokoje, które chciałeś obejrzeć. Przypatrz się dobrze, czy możesz w nich znaleźć załączki choroby! — rzekł do mnie Abraham Mamur z nieco drwiącym uśmiechem.

— A ten pokój obok?

— W nim znajduje się chora. Zobaczysz go także, muszę się tylko przedtem przekonać, czy moje słońce zasłoniło twarz przed wzrokiem obcego; Nie śmieć mi towarzyszyć, lecz poczekaj, aż wrócę.

Abraham wyszedł, zostałem sam.

A więc za tymi drzwiami znajduje się Guzeła. Całe dotychczasowe zachowanie się Abrahima zachwiało moim poprzednim przypuszczeniem, że chodzi tu o starszą kobietę.

Powiodłem wzrokiem po pokoju. Był tak samo urządzony, jak pokój pana domu: balustrada, sofa i nisza z chłodzącymi naczyniami.

Abraham zjawił się znów po krótkim czasie.

— Zbadałeś pomieszczenia? — spytał.

— Tak.

— No i...

— Nie mogę niczego powiedzieć, dopóki nie byłem u chorej.

— Więc chodź! Ale jeszcze raz cię ostrzegam!

— Dobrze! Wiem dokładnie, co mam robić.

Weszliśmy do sąsiedniej komnaty. Pod tylną ścianą stała kobieta, otulona szerokimi szatami i mocno zawołowana. Niczego z tej postaci nie można było dojrzeć, poza małymi stopami, tkwiącymi w aksamitnych pantoflach.

Zacząłem stawiać pytania pełne umiaru, co widocznie zadowalało Egipcjanina, poleciłem chorej, żeby się poruszyła i wreszcie poprosiłem, żeby mi podała rękę. Mimo poważnej sytuacji omal nie wybuchnąłem głośnym śmiechem: ręka kobiety była mianowicie owinięta grubą chustą, tak że

niemożliwe było rozpoznać położenia lub kształtu choćby jednego palca. Nawet ramię było w ten sposób osłonięte. Zwróciłem się więc do Abrahima:

— Te bandażę trzeba usunąć.

— Dlaczego?

— Nie mogę wyczuć przez nie pulsu.

— Zdejmij te chusty! — nakazał Abraham kobiecie. Wyciągnęła ramię poza osłony i pokazała delikatną rączkę. Na jej serdecznym palcu zobaczyłem wąską obrączkę, ozdobioną perłą. Abraham obserwował moje ruchy z napiętą uwagą. Podczas gdy kładłem trzy palce na przegubie kobiecej ręki, schyliłem głowę, jakbym chciał puls niewiasty nie tylko wyczuć, lecz także osłuchać i... nie pomyliłem się... poprzez welon powiały ku mnie ciche, niemal niesłyszalne słowa:

— Senitzaji kurtar — ratuj Senicę!

— Skończyłeś badanie? — spytał Abraham, podchodząc.

— Tak.

— Co jej dolega?

— Zapadła na wielką, poważną chorobę, największą jaka istnieje, ale — ja ją uratuję!

Te trzy ostatnie słowa skierowałem, wolno je akcentując, bardziej do niej niż do niego.

— Jak się zwie ta dolegliwość?

— Ma ona obcą nazwę, którą rozumieją tylko lekarze.

— Jak długo potrwa, zanim wyzdrowieje?

— Może to nastąpić bardzo szybko, ale także bardzo późno, w zależności od tego, jak będziecie wypełniać moje polecenia.

— Jak mamy je wypełniać?

— Musisz regularnie podawać jej moje lekarstwo.

— Będę to robił.

— Poza tym musi pozostawać sama, a przede wszystkim trzeba ją strzec przed wszelkimi przykrościami.

— Tak będzie.

— Muszę mieć możliwość rozmawiania z nią codziennie.

— Dlaczego?

— Aby dawkować lekarstwa zgodnie z samopoczuciem chorej.

— Będę ci każdorazowo meldował, jak się chora czuje.

— Nie możesz tego robić, ponieważ nie potrafisz określić samopoczucia chorego człowieka.

— O czym więc będziesz z nią rozmawiał?

— Tylko o tym, na co mi zezwolisz.

— A gdzie ma się odbywać rozmowa?

— Tutaj, w tym pokoju, tak samo jak dzisiaj.

— Powiedz dokładnie, jak często będziesz musiał przychodzić.

— Jeśli będziecie się stosować do moich poleceń, to od dziś za pięć dni twoja żona będzie zdrowa!

— Daj jej to lekarstwo!

— Ma je mój służący, który czeka na dole w podwórzu.

— No to chodź!

Obróciłem się ku chorej, by pożegnać się z nią milcząco. Ona natomiast uniosła ręce pod zakrywającymi je szatami, jakby proszącym gestem i odważyła się wypowiedzieć trzy sylaby:

— Eww' Allah — z Bogiem! Egipcjanin odwrócił się gwałtownie.

— Milcz! Masz tylko wtedy mówić, kiedy będziesz pytana!

z pytan Abrahamie Mamurze! — upomniałem go. — Czy nie mówiłem ci, że twoją żonę trzeba chronić przed wszelkimi przykrościami? Tak się nie mówi do chorej, bliskiej śmierci.

— To niech wpierw sama zadba o to, żeby się nie potrzebowała martwić. Ona wie, że nie ma nic mówić. Chodź!

Wróciliśmy do pokoju przyjęć, skąd posłałem po Halefa, który zaraz zjawił się z apteczką. Wyszukałem nasionko kulczyby, dołączywszy przepis lekarski, i szykowałem się do drogi powrotnej.

— Kiedy przyjdiesz jutro? — O tej samej porze.

— Przyślę ci znowu czółno. — Ile ci się należy za dzisiejszą wizytę?

— Nic. Jak chora wyzdrowieje, możesz mi dać, co uznasz za stosowne.

Abraham sięgnął mimo to do kieszeni, wyciągnął bogato wyszywaną sakiewkę, wyjął z niej kilka sztuk złota i wręczył je Halefowi.

— Weź ty!

Dzielny Halef aga przyjął monety z taką miną, jakby wyświadczał Egipcjaninowi wielką łaskę i chowając bakszysz, nie spojrzawszy nań nawet, do kieszeni, powiedział:

— Abrahamie Mamurze, twoja ręka jest otwarta i moja także. Nie zamykam jej przed tobą, ponieważ Prorok mówi, że otwarta ręka jest pierwszym stopniem na drodze do krainy błogosławionych. Niech Allah będzie z tobą i ze mną!

Wyszliśmy, odprowadzani przez Egipcjanina aż do ogrodu, gdzie jeden ze służących otworzył nam drzwi w murze. Kiedy zostaliśmy sami, Halef wydobył bakszysz z kieszeni, żeby zobaczyć co otrzymał.

— Trzy cekiny, sihdi! Oby Prorok błogosławił Abrahama Mamura i sprawił, by jego żona chorowała jak najdłużej!

— Halefie! — powiedziałem karcąco.

— Sihdi, czy nie życysz mi kilku złotych monet?

— Owszem. Jeszcze bardziej jednak należy choremu życzyć zdrowia.

— Jak często tu jeszcze będziesz przychodził, zanim ta kobieta wyzdrowieje?

— Może jeszcze pięć razy.

— Pięć razy trzy to daje piętnaście monet. Jak ta niewiasta Wyzdrowieje, to może dostanę jeszcze piętnaście, a więc razem będzie to trzydzieści monet. Będę się dowiadywał, czy tu nad Nilem nie ma więcej chorych niewiast.

## CUDOWNE ZRZĄDZENIE LOSU

Doszliśmy do łodzi, gdzie czekali już na nas wioślarze. Nasz przewodnik Hamid siedział przy sterze i kiedyśmy wsiedli, łódź szybko ruszyła z prądem, tak że już po półgodzinie dopłynęliśmy do Kertassi.

Przybiliśmy do brzegu w pobliżu dahabii, która tu zarzuciła kotwicę podczas naszej nieobecności. Liny łodzi były przymocowane, jej żagle zwinięte i zgodnie z pobożnym, mahometańskim zwyczajem reis, czyli kapitan statku, wzywał swoją załogę do modlitwy:

— Haj' ala's-sala — przygotujcie się do modlitwy!

Odchodziłem już, odwróciłem się jednak ponownie. Ten głos wydawał mi się znajomy. Czy dobrze słyszałem? Czyżby to naprawdę był stary Hassan, którego nazywano Abu er Reisan, ojcem prowadzących statki. Halef i ja spotkaliśmy się z nim w Kufarah, gdzie odwiedzał swojego syna. Polubiliśmy się wzajemnie i byłem przekonany, że Hassan bardzo się ucieszy z naszego ponownego spotkania. Dlatego odczekałem, aż się modlitwa zakończy i zawołałem:

— Abu er Reisan, czy to ty?

Natychmiast ukazało się jego stare, dobre, brodate oblicze i usłyszałem pytanie:

— Allah akbar — Bóg jest wielki! Czy to nie mój syn, efendi Kara Nemsy?

— Tak jest, reisie Hassanie.

— Chodź na górę mój synu, muszę cię uściskać.

Wszedłem na pokład i zostałem przez Hassana serdecznie powitany.

— Co tu robisz? — zapytał mnie.

— Odpoczywam po podróży. A ty?

— Prowadzę swój statek z Dongoli, gdzie wzięłem na pokład ładunek senesowych liści, lecz statek został uszkodzony i musiałem przybić tu do brzegu.

— Jak długo tu zostaniesz?

— Jeszcze tylko jutro. Gdzie mieszkasz?

— Tam na prawo, w tym samotnie stojącym domu.

— Czy masz dobrego gospodarza?

— Jest to szajch al beled, z którego jestem zadowolony. Czy odwiedzisz mnie dziś wieczorem, reisie Hassanie?

— Jeśli twoje fajki się jeszcze nie połamały, to przyjdę.

— Mam tylko jedną. Musisz więc przynieść ze sobą swoją fajkę. Ale skosztujesz dżebeli, najwspanialszego tytoniu, jaki kiedykolwiek istniał.

— Przyjdę na pewno. Długo tu pozostaniesz?

— Nie. Chcę wracać do Kairu.

— To jedź ze mną! Zatrzymuję się w Bulaku. Jego propozycja nasunęła mi pewną myśl.

— Reisie Hassanie, nazwałś mnie swoim przyjacielem.

— Jesteś nim. Żądaj ode mnie czego chcesz, a otrzymasz, jeśli to posiadam lub mogę się o to postarać.

— Chciałbym cię prosić o coś wielkiego.

— O co chodzi?

— Powiem ci wieczorem, przy kawie.

— Przyjdę i..., jednakże synu mój zapomniałem, że jestem już zaproszony.

— Gdzie?

— W domu, w którym mieszkasz. — Przez sołtysa?

— Nie, przez człowieka ze Stambułu. Człowiek ten jechał ze mną dwa dni i tu wysiadł. W domu, w którym mieszkasz, wynajął pokój dla siebie i miejsce dla swojego służącego.

— Kim on jest?

— Nie wiem; nie powiedział mi tego, ale jego służący mógłby cię poinformować.

Kapitan zaśmiał się, co się rzadko zdarzało.

— Ten służący to szelma, który miał okazję słyszeć wiele języków, lecz żadnego nie opanował. Przez cały dzień pali tytoń, gwizdże i śpiewa, a na pytania udziela odpowiedzi, które dziś mogą być prawdziwe, a jutro nieprawdziwe. Przedwczoraj był na przykład Turkiem, wczoraj Czarnogórcem, dzisiaj jest Druzem i Allah wie, kim będzie jutro lub pojutrze.

— To pewnie nie przyjdiesz do mnie?

— Przyjdę po wypaleniu fajki z tamtym. Niech cię Allah ma w swej opiece! Teraz mam jeszcze robotę.

Halef zszedł z dahabii już przede mną. Podążyłem za nim i wyciągnąłem się w swoim pokoju na kanapie, aby uporządkować w myślach dzisiejsze przeżycia. Nie udało mi się to jednak, gdyż już po chwili wszedł do mnie mój gospodarz.

— Neharak said we mubarak. — Efendi, przychodzę, ażeby uzyskać twoją zgodę.

— Na co?

— Zjawił się u mnie przyjezdny i poprosił o mieszkanie, które mu też wynająłem.

— Gdzie się znajduje to mieszkanie?

— Nad pana mieszkaniem.

— To przecież wcale mi ten człowiek nie będzie przeszkadzał. Postąp więc według swego uznania, szajchu.

— Ale ty potrzebujesz spokoju, a ten cudzoziemiec ma służącego, który zdaje się dużo gwizdać i śpiewać.

— Jeśli mi się nie będzie podobało, to mu zabronię. Zatroškany gospodarz oddalił się i byłem znów sam; nie mogłem jednak skupić myśli, gdyż usłyszałem kroki. Ktoś szedł od podwórza, a ktoś z zewnątrz. Ludzie ci spotkali się właśnie przed drzwiami mojego mieszkania.

Po głosie rozpoznałem w jednej z tych osób Halefa.

— Powiedz mi najpierw, kim jesteś i co robisz w tym domu! — zapytał ten drugi.

— Ja? Mieszkam tu! — oznajmił Halef oburzony.

— Ja także!

— Czego tu chcesz, kim jesteś? — usłyszałem znów głos tego drugiego człowieka.

— A kim ty jesteś?

— Jestem Hamsad el Dżerbaja.

— A ja jestem aga Hadzi Halef Omar.

— Jesteś agą?

— Tak. Jestem towarzyszem i opiekunem swego pana.

— Kim jest twój pan?

— Wielkim lekarzem, który tutaj mieszka.

— Wielkim lekarzem? Co leczy?

— Wszystko.

— Wszystko? Nie dam sobie tego wmówić! Jest tylko jeden jedyny człowiek, który potrafi



zajmować się wszystkim i zna się na wszystkim. Tym człowiekiem jestem ja.

— Jesteś więc także lekarzem?

— Nie. Jestem, tak jak ty, opiekunem swojego pana.

— Kim jest twój pan?

— Nie wiadomo. Dopiero co wprowadziliśmy się do tego domu. — Mogliście się nie wprowadzać.

— Oho! A to dlaczego?

— Bo jesteście nieuprzejmi i nie odpowiadacie na pytania. Powiesz mi wreszcie, kto jest twoim panem?

— Tak.

— No więc?

— On jest... on jest... moim panem, a nie twoim.

— Nicponiu!

Wydało mi się, że Halef, wypowiedziawszy to słowo, oddalił się, urażony. Drugi mężczyzna stał nadal przed wejściem do domu i gwizdał. Potem zaczął sobie po cichu mruczeć pod nosem. Po krótkiej przerwie zanucił półgłosem piosenkę.

Z radosnego zdziwienia byłbym nieomal skoczył na równe nogi, gdyż tekst dwóch zwrotek w języku arabskim, którym śpiewak się posługiwał, był taki:

*Fid-dagle ma tera jekun? Chammin hu Nabuliun, Ma baluhu jedub hena? Kussuhu, ja fitjanena!*

*Gem'a homr el-elbise Wast el-chala muntasibe. Ma bal'hadalik wakifin? Halluna nenzor musri'in!*

Arabskie wiersze, które się nawet wspaniale rymowały, były zaś zgodne z tekstem znanej niemieckiej piosenki:

*Kto to tak w krzakach łązi tam? Sądzę, że to Napolion sam. Jakim tu prawem kręci się? Gońmy go stąd, bo będzie źle! Czerwone spodnie w pola tle. Któż mógłby tam ustawić je? Po co tam one mają stać? Trzeba je, kumple, precz stąd gnać!*

Nawet melodia była ta sama, nuta w nutę. Kiedy skończyła się druga zwrotka, skoczyłem do drzwi, otworzyłem je i przypatrzyłem się śpiewakowi. Miał na sobie szerokie niebieskie szarawary, kurtkę tego samego koloru, skórzane buty i fez; stanął przede mną zuchwale i spytał:

— Czy podoba ci się ta pieśń, efendi?

— Bardzo! Skąd znasz tę piosenkę?

— Sam ją napisałem.

— Możesz to powiedzieć komuś innemu, lecz nie mnie! A skąd wzięłeś melodię?

— Także sam skomponowałem!

— Oszuście!

— Efendi! Jestem Hamsad el Dżerbaja i nie pozwolę się obrzucać wyzwiskami.

— Nazywasz się Hamsad el Dżerbaja, a mimo to jesteś wielkim łobuzem! Znam tę piosenkę.

— To pewnie ktoś ją śpiewał lub gwizdał, usłyszawszy ją ode mnie.

— A ty od kogo ją zapożyczyłeś?

— Od nikogo.

— Jesteś niepoprawny, jak widać. To jest melodia niemieckiej pieśni.

— Efendi, cóż ty wiesz o Niemczech?

— Ta piosenka brzmi: „Kto to tak w krzakach łązi tam? Sądzę, że to...”

— Chryste Panie! Czy ja dobrze słyszę? — przerwał mi radośnie, kiedy wypowiadałem te słowa.

- Czyżby pan był Niemcem?
- Tak. Jestem Niemcem.
- Naprawdę? Niemieckim efendi? Skąd pan pochodzi, jeśli wolno zapytać?
- Z Saksonii.
- Saksończyk! Ależ to można by skakać z radości! I został pan zapewne Turkiem?
- Nie. Pan jest Prusakiem?
- Rozumie się. Prusakiem z Jüterborga.
- Jak pan się tu znalazł?
- Podróżowałem koleją, statkami, konno, na wielbłądach, a także pieszo.
- Kim pan jest z zawodu?
- Balwierzem. Nie podobało mi się w ojczyźnie, więc wybrałem się w daleki świat, wędrowałem to tu, to tam, aż znalazłem się tutaj w Egipcie.
- Będzie mi pan musiał dokładniej o wszystkim opowiedzieć. Czy jest pan teraz w czyjejś służbie?
- Tak. Pan, u którego służę, jest synem konstantynopolitańskiego kupca i nazywa się Isla ben Maflei. Jest bardzo bogaty.
- Co tu robi?
- Czy ja wiem? Czegoś lub kogoś szuka.
- Mianowicie czego?
- Prawdopodobnie kobiety.
- Kobiety? To byłoby co najmniej dziwne.
- Zdaje się jednak, że tak jest.
- O jaką kobietę chodzi?
- Jest to jakaś Czarnogórka, jakaś Senicza lub Senica, czy jak się to imię właściwie wymawia.
- Co-o-o? Na imię jej Senica?
- Tak.
- Czy pan jest tego pewny?
- Najzupełniej! Po pierwsze ma jej fotografię; po drugie ciągle... przepraszam, mój pan klaszcze u góry, chce mnie widzieć; muszę biec do niego.
- Zamknąłem drzwi, nie kładłem się już jednak. Nie miałem spokoju. Chodziłem po izbie tam i z powrotem. Już ten balwierz z Jüterborga o tak dźwięcznym brzmiącym nazwisku Hamsad el Dżerbaja wydawał mi się jakiś niepospolity, a poza tym obudziło się we mnie współczucie dla jego pana, który tu nad Nilem poszukiwał Czarnogórki o imieniu Senica. Na nieszczęście przyszło do mnie teraz kilku fellachów z bólem głowy, czy też bólem brzucha. Ci pacjenci byli przekonani, że usunę ich dolegliwości przy pomocy moich czarodziejskich ziarenek. Zgodnie ze wschodnim zwyczajem siedzieli u mnie godzinę, zanim mogłem się dowiedzieć, co im dolega, a kiedy ich zbadałem i przepisałem lekarstwa, pozostali jeszcze tak długo, dopóki sami nie uznali wizyty za zakończoną.
- Nadszedł wieczór. Wrócił kapitan statku i poszedł na górę. Po półgodzinie usłyszałem jednak jego człapiące kroki ponownie na schodach i niebawem wszedł do mnie. Halef podał nam tytoń i kawę, i oddalił się. Krótco potem dało się słyszeć, że kłóci się znów z juterborskim Turkiem.
- Czy naprawiłeś już statek? — spytałem Hassana.
- Jeszcze nie. Dziś udało mi się tylko zapchać dziurę i wypompować wodę. Allah ześle nam jutro nowy dzień.
- A kiedy masz zamiar odpłynąć?
- Pojutrze rano.

— Zabrałbyś mnie ze sobą?

— Moja dusza ucieszyłaby się z twojej obecności na moim statku.

— A gdybym przyprowadził jeszcze kogoś?

— Na statku jest jeszcze dużo miejsca. O kogo chodzi?

— O kobietę.

— Chcesz zabrać ze sobą kobietę? Czy kupiłeś sobie niewolnicę, efendi?

— Nie. To jest kobieta innego mężczyzny. — Który także zabierze się z nami?

— Nie.

— Odkupiłeś ją od niego?

— Nie.

— Podarował ci ją?

— Także nie. Ja mu ją zabiorę.

— Allah kerim, Boże zlituj się! Chcesz mu ją zabrać wbrew jego woli?

— Być może.

— Efendi, czy wiesz, co to jest?

— Oczywiście. Ichtitaf.

— Za to grozi kara śmierci. Czy twój duch doznał zaćmienia i twoja dusza pogrążyła się w mroku, że chcesz swojej zguby?

— Ależ nie! Ta cała sprawa nie jest jeszcze pewna. Wiem, że jesteś moim przyjacielem i umiesz milczeć. Opowiem ci więc wszystko.

— Otwórz podwoje twego serca, mój synu. Słucham cię. Zdałem mu sprawozdanie ze swojej dzisiejszej przygody. Kiedy skończyłem, rzekł do mnie:

— Wstań, mój synu, weź swoją fajkę i chodź ze mną!

— Dokąd?

— Zaraz zobaczysz.

Przeczuwałem, co zamierza i poszedłem z nim. Zaprowadził mnie na górę, do mieszkania kupca. Służącego kupca nie było, weszliśmy więc po uprzednim zaanonsowaniu się przez lekkie zaskrobanie w drzwi.

Mężczyzna, który nas powitał, był jeszcze młody. Mógł mieć dwadzieścia sześć lat. Kosztowny turecki cybuch jego fajki świadczył o tym, że Jüterborczyk, mówiąc o bogactwie swego pana, miał zapewne rację. Kupiec odznaczał się ujmującym sposobem bycia i już na początku zdałem sobie sprawę, że mogę obdarzyć go swoją życzliwością. Stary Hassan przedstawił nas wzajemnie:

— To jest kupiec hurtownik Isla ben Maflei ze Stambułu, a to efendi Kara ben Nemsi, mój przyjaciel, którego kocham.

— Witajcie obaj i zajmijcie miejsca! — odparł młody mężczyzna. Na twarzy Turka malowało się oczekiwanie, musiał bowiem zdać

sobie sprawę, że kapitan miał zapewne ważny powód, żeby mnie tak bez ceregieli wprowadzić.

— Czy chcesz mi wyświadczyć przysługę, Isla ben Maflei? — zapytał stary.

— Chętnie. Powiedz mi, co mam zrobić!

— Opowiedz temu panu historię, z którą mnie przedtem zapoznałeś.

Wyraz zdziwienia i niezadowolenia przemknął przez oblicze kupca.

— Reisie Hassanie, przyrzekłeś mi, że będziesz milczał, a jednak już się wygadałeś!

— Spytaj mojego przyjaciela, czy powiedziałem choćby jedno słowo.

— Dlaczego więc przyprowadzasz go i życzysz sobie, żebym również jemu zdradził swoją tajemnicę?

— Powiedziałeś mi, żebym podczas rejsu, przybijając wieczorami do brzegu, miał oczy otwarte i dowiadywał się o to, co ci zginęło. Postąpiłem zgodnie z twoim życzeniem i przyprowadzam ci człowieka, który być może będzie ci mógł służyć pewną informacją.

Isla odrzucił fajkę i skoczył na równe nogi.

— Czy to prawda? Mógłbyś mi udzielić informacji?

— Mój przyjaciel Hassan nie powiedział mi ani słowa i dlatego też nie wiem, o czym bym cię mógł poinformować — wyjaśniłem. — Mów najpierw ty!

— Efendi, jeśli mi możesz powiedzieć, o czym pragnę usłyszeć, to wynagrodzę cię hojniej, niż by to zrobił pasza.

— Nie żądam żadnej zapłaty. Mów!

— Szukam niewiasty, której na imię Senica.

— Znam kobietę o takim imieniu.

— Gdzie, gdzie ona jest efendi? Mów szybko!

— Czy nie zechciałbyś mi wpierw opisać tej niewiasty?

— Och, ona jest piękna jak róża i wspaniała jak jutrzienka! Rozsiewa wokół woń rezedy, a jej głos dźwięczy jak śpiew hurysy. Jej włosy podobne są do ogona konia Gilja, a jej nóżki do nóżek Dalili, która oczarowała Samsona. Z jej ust płyną słowa dobroci, a jej oczy...

Przerwałem mu ruchem ręki.

— Isla ben Maflei, to nie jest opis, jakiego oczekuję. Nie mów z zachwytem zakochanego, lecz słowami rozumu! Kiedy ją utraciłeś?

— Przed dwoma miesiącami.

— Czy nie miała przy sobie czegoś, po czym ją można rozpoznać?

— Na przykład co?

— Może coś z biżuterii, pierścionek lub łańcuszek...?

— Pierścionek, ależ tak! Dałem jej złoty pierścionek z cienkiej jak papier blaszki. W pierścionku osadzona była piękna perła.

— Widziałem ten pierścień.

— Gdzie efendi? Och, powiedz szybko! I kiedy?

— Dziś, niedawno.

— Gdzie?

— W pobliżu tej miejscowości, nie dalej niż godzinę temu. Młody człowiek ukląkł przede mną i ze zdenerwowania położył mi obie swoje ręce na barkach.

— Czy to prawda? Mówisz prawdę? Nie mylisz się?

— To prawda. Nie mylę się.

— To wstań! Musimy iść do niej!

— To niemożliwe.

— Musi być możliwe! Dam ci tysiąc piastrów, dwa, trzy tysiące piastrów, jeśli mnie do niej zaprowadzisz.

— Gdybyś mi dał nawet sto tysięcy piastrów, to nie mogę cię dzisiaj do niej zaprowadzić.

— A kiedy? Jutro, jutro wcześniej rano?

— Weź swoją fajkę, zapal ją ponownie i usiądź. Kto za szybko działa, ten działa powoli. Trzeba się naradzić!

— Efendi, nie mogę! Moja dusza drży cała.

— Zapal fajkę!

— Nie mam na to czasu, muszę...

— Dobrze! Jeśli nie masz czasu na spokojną rozmowę, to sobie pójdę.

— Zostań! Zrobię wszystko, co zechcesz.

Turek usiadł i wyjął z misy żarzący się węgielek, aby zapalić nim tytoń w fajce.

— Jestem gotów. Teraz mów — zwrócił się do mnie.

— Dzisiaj przysłał po mnie bogaty Egipcjanin, abym przybył do niego, gdyż jego żona jest chora....

— Jego żona...?

— Tak powiedział posłaniec.

— Kim jest ten bogaty Egipcjanin?

— Nazywa się Abraham Mamur i mieszka nad brzegiem Nilu, jadąc stąd w górę rzeki, w na pół zapuszczonym domu.

— Czy ten dom jest otoczony murem?

— Tak.

— Kto to mógł przypuszczać! Przetrzęsnałem wszystkie miasta, wioski i obozy nad Nilem, lecz nie sądziłem, że ten dom jest zamieszkały. Czy ona jest naprawdę jego żoną?

— Tego nie wiem, ale nie sądzę. — I jest chora? — Bardzo.

— Wallahi, na Boga, zapłaci mi za to, jeśli jej się stanie coś złego. Na co choruje?

— Jej choroba umiejscowiła się w sercu. Nienawidzi Abrahama Mamura, ginie z pragnienia, żeby się wyzwolić z jego mocy i umrze, jeśli to rychło nie nastąpi.

— On ci to powiedział, czy ona?

— Sam to zaobserwowałem.

— Widziałeś ją?

— Tak. On zaprowadził mnie do haremu, żebym mógł porozmawiać z chorą.

— On sam? Niemożliwe!

— On ją kocha...

— Niech go Allah ukarze!

— Mamur obawiał się, że ona umrze, jeśli nie zostaną do niej dopuszczony,

— To z nią także rozmawiałeś?

— Tak, lecz tylko o tym, na co mi Mamur zezwolił. Ona jednak znalazła odpowiednią chwilę, żeby mi szepnąć: „Ratuj Senicę!” Nosi więc to imię, chociaż on ją nazywa Güzelą.

— Co jej odpowiedziałeś?

— Że ją uratuję.

— Efendi, kocham cię, moje życie należy do ciebie! Ten Abraham Mamur porwał mi Senicę i uprowadził. Chodź, efendi, jedźmy tam!

Muszę przynajmniej zobaczyć dom, w którym jest uwięziona!

— Zostaniesz tu. Jutro znowu udam się do niej i...

— Wybiorę się z tobą!

— Zostaniesz tu! Czy Senica zna pierścień, który nosisz na palcu?

— Zna go bardzo dobrze.

— Czy chciałbyś mi go powierzyć? — Chętnie. Ale po co?

— Jutro znowu będę z nią rozmawiał i postaram się, żeby przy tej okazji zobaczyła pierścień.

— Wspaniale! Ona się zaraz domyśli, że jestem w pobliżu. A co potem?

— Opowiedz mi wpieryw wszystko, o czym muszę wiedzieć!

— Chętnie opowiem efendi! Nasze przedsiębiorstwo jest jednym z największych w Stambule. Jestem jedynakiem i podczas, gdy mój ojciec zarządza bazarem i nadzoruje pracę personelu, ja muszę

przedsiębrać konieczne podróże handlowe. Bywałem często w Skutari w Albanii i poznałem Senicę, kiedy z przyjaciółką odbywała przejażdżkę po jeziorze. Później widziałem ją ponownie. Jej ojciec nie mieszka w Skutari, lecz w Czarnogórze. Senica czasami schodziła z gór, aby odwiedzić przyjaciółkę. Kiedy przed dwoma miesiącami znów znalazłem się nad jeziorem, nad którym ją poznałem, nie zastałem tam już ani jej przyjaciółki, ani jej ojca, ani też Senicy. Zniknęli!

— Dokąd się udali?

— Nikt mi nie mógł nic powiedzieć.

— Jej rodzice także nie?

— Nie. Jej ojciec opuścił Czarnogórę, aby szukać swego dziecka, choćby na końcu świata. Ja natomiast musiałem jechać do Egiptu po towar. Na Nilu napotkałem statek parowy płynący, w górę rzeki. Kiedy mijala go nasza wąska łódź turecka, na której się znajdowałem, usłyszałem, że ktoś na statku wymawia moje imię. Rzuciłem okiem na statek i ujrzałem Senicę, która zdjęła z twarzy zasłonę. Stojący obok niej piękny, lecz posępny mężczyzna, zarzucił jej momentalnie zasłonę ponownie na głowę. Więcej nic już nie widziałem. Od tej chwili szukam Senicy wszędzie.

— Nie wiesz, czy opuściła swoją ojczyznę dobrowolnie, czy też pod przymusem?

— Dobrowolnie na pewno nie.

— Czy znałeś tego mężczyznę, który stał obok niej?

— Nie.

— A nie sądzisz, że mogłeś się omylić? Może to była inna osoba, podobna do Senicy.

— Czyż obca osoba wołałaby moje imię i wyciągała do mnie ręce, efendi?

— Istotnie.

— Więc obiecałeś jej, że ją uratujesz?

— Tak.

— Czy dotrzymasz słowa?

— Dotrzymam. Mam nadzieję, że kobieta więziona przez Abrahima Mamura jest naprawdę tą, której szukasz.

— Nie chcesz mnie zabrać ze sobą, jak więc możesz poznać czy to ona?

— Twój pierścień mi to wyjaśni.

— A jak ją wydostaniesz z domu?

— Powiem ci, w jaki sposób możesz ją stamtąd zabrać. — Zabiorę ją, tego możesz być pewien.

— A potem? Reisie Hassanie, czy byłbyś skłonny przyjąć ją na swoją dahabiję?

— Chętnie, jakkolwiek nie znam człowieka, u którego znajduje się ta niewiasta.

— Ten człowiek nazywa się Mamur i podobno zarządzał prowincją.

— Jeśli rzeczywiście był tak wpływową osobą, to jest dość potężny, żeby nas zniszczyć — orzekł kapitan z poważną miną. — Urowadzenie karze się śmiercią. Mój przyjacielu, Kara ben Nemsu, będziesz musiał postępować jutro bardzo rozsądnie i ostrożnie.

Kapitan miał rację. Myślałem jednak nie tyle o niebezpieczeństwie, ile o przygodzie. W każdym razie byłem pewny, że nie ruszyłbym nawet palcem, gdyby się okazało, że Abrahim Mamur ma jakąś podstawę, żeby dochodzić swoich praw do chorej.

Długo jeszcze omawialiśmy oczekujące nas przedsięwzięcie, a potem rozstaliśmy się, żeby pójść na spoczynek. Przekonany byłem jednak, że Isla przez całą noc nie zmruży oka.

# VI.

## UPROWADZENIE

Ponieważ poprzedniego dnia poszliśmy spać bardzo późno, nie zdziwiłem się wcale, że następnego ranka obudziliśmy się również dość późno. Byłbym może spał jeszcze dłużej, gdyby mnie nie wyrwał ze snu śpiew cyrulika. Stał na dworze, oparty o bramę, i zdawało się, że ma zamiar wyśpiewać na moją cześć cały swój repertuar niemieckich pieśni.

Poprosiłem go do siebie na małą pogawędkę, podczas której stwierdziłem, że jest dobrodusznym, lecz lekkomyślnym młodzieńcem, na którego, mimo że rodak, nie zamieniłbym z całą pewnością mojego poczciwego Halefa. Nie przeczuwałem wówczas, że z owym balwierzem spotkam się jeszcze później, i to w niezbyt przyjemnych okolicznościach.

Przed południem odwiedziłem Abu er Reisana na jego statku, i ledwie zdążyłem zjeść obiad, przybyła po mnie łódź. Halef wypatrywał jej pilnie już od dłuższego czasu.

— Sihdi, czy zabierzesz mnie z sobą? — zapytał.

— Nie będziesz mi dziś potrzebny — zażartowałem. — Co? Nie potrzebujesz mnie? A gdyby cię spotkało coś złego? — zaniepokoił się mały aga.

— Cóż by mnie mogło spotkać?

— Możesz wpaść do wody.

— No to popłynę.

— Albo Abraham Mamur może cię zabić. Zauważyłem, że nie jest ci przychylny.

— Wówczas także nie mógłbyś mi pomóc.

— Nie mógłbym! Przyjmij do wiadomości, sihdi, że aga Halef jest człowiekiem, na którym zawsze możesz polegać.

— No to chodź!

Halefowi zależało naturalnie bardzo na bakszyszu, który spodziewał się otrzymać od Abrahama Mamura.

Przebyliśmy tę samą drogę, co poprzedniego dnia, lecz dzisiaj zwracałem baczniejszą uwagę na wszystko, co mogło mi być w jakikolwiek sposób przydatne. W ogrodzie, przez który musieliśmy przejść, leżało sporo grubych, dość długich żerdzi. Zarówno zewnętrzna, jak i wewnętrzna brama zamykane były na szerokie, drewniane zasuwki, których rozmieszczenie i sposób działania dokładnie sobie zapamiętałem. Psa nigdzie nie zauważyłem, a od Hamida dowiedziałem się, że poza jego panem, chorą i starą dozorczynią przebywa w domu jedenastu fellachów, którzy tam również nocują. Pan domu sypiał w selamliku na sofie.

Kiedy wszedłem do komnaty, Abraham Mamur powitał mnie uprzejmiej, niż mnie pożegnał poprzedniego dnia.

— Witaj, efendi, jesteś wybitnym lekarzem!

— Czyżby?!

— Chora już wczoraj zaczęła jeść.

— No proszę!

— Rozmawiała nawet z dozorczynią.

— W pogodnym nastroju?

— Pogodnie i dużo.

— To dobrze. Być może, że Güzela wyzdrowieje jeszcze przed upływem pięciu dni.

— A dziś rano nawet trochę śpiewała.

— To jeszcze lepiej. Czy już dawno jest twoją żoną? Oblicze Egipcjanina natychmiast się zasepiło.

— Lekarze niewiernych są bardzo ciekawscy.

— Tylko żądni wiedzy, a ta żądza wiedzy ratuje życie lub zdrowie wielu ludziom, którym wasi lekarze nie umieliby pomóc.

— Czy twoje pytanie było naprawdę konieczne?

— Oczywiście.

— To muszę ci wyznać, że ona ma dopiero zostać moją żoną.

— W takim razie moja pomoc przyniesie skutek.

Abraham zaprowadził mnie znów do pokoju, w którym mi wczoraj polecił czekać, i zostawił mnie samego. Rozejrzałem się dokładniej po izbie. Okien w naszym pojęciu nie było; zauważyłem natomiast zakratowane otwory świetlne. Drewniane kraty były tak założone, że można je było otwierać, usunąwszy długie cienkie pręty zasuwek. Zdecydowałem się szybko, wyciągnąłem jeden z prętów i zatknąłem go za karate w ten sposób, żeby nie był widoczny. Ledwie się z tym uporałem, zjawił się Abraham w towarzystwie Senicy.

Podszedłem do niej i zadając jej pytania, bawiłem się, niby to zaaferowany sprawą, pierścionkiem, który mi dał Isla. W pewnej chwili wypuściłem pierścionek z rąk, a on potoczył się do stóp Senicy. Schyliła się szybko i podniosła go. Pomimo że wszystko odbyło się błyskawicznie, Senica zdołała rzucić okiem na pierścionek i poznała go. Upewniło mnie o tym jej zachowanie się. Drgnęła i odruchowo skierowała rękę ku sercu. To mi na razie wystarczało.

Abraham zapytał mnie o stan zdrowia Senicy.

— Bóg jest dobry i wszechmocny — odparłem. — Często zsyła swoim wiernym pomoc, zanim go o to poproszą. Jeśli zechce, chora już jutro może być zdrowa! Niech zażywa lekarstwo, które jej przepiszę i czeka ufnie na moje ponowne przybycie.

Dziś Senica nie miała odwagi obdarzyć mnie ani jednym słowem. W selamliku czekał już Halef z apteczką. Tym razem dałem chorej tylko sproszkowany cukier, za co mały aga otrzymał jeszcze większy bakszys od wczorajszego. Potem udałem się z nim z powrotem do Kertassi.

Kapitan oczekiwał mnie już u kupca.

— Czy widziałeś Senicę? — przywitał mnie Isla.

— Tak.

— Czy poznała mój pierścień?

— Poznała go.

— A więc wie, że jestem w pobliżu?

— Twoja narzeczona domyśla się tego. I jeśli pojęła sens moich słów, oczekuje, że dzisiejszej nocy zostanie uwolniona.

— Ale w jaki sposób?

— Reisie Hassanie — zapytałem. — Czy załatałeś już dziurę w statku?

— Do wieczora skończę robotę.

— Czy zechcesz nas przyjąć na statek i zawieźć do Kairu?

— Tak.

— To posłuchajcie! Do domu Abrahama Mamura prowadzą dwie bramy, które jednak zamyka się od wewnątrz na rygle; nie możemy więc wedrzeć się do środka przez te wrota. Istnieje natomiast jeszcze inna droga, chociaż trudna. Czy umiesz pływać, Islo ben Maflei?

— Tak.



— To dobrze. Pod murem otaczającym dom wiedzie kanał, który doprowadza wodę Nilu do zbiornika, usytuowanego pośrodku podwórza. Krótco po północy, kiedy mieszkańcy domu będą pogrążeni we śnie, znajdziemy się pod murem, a ty przedostaniesz się przez kanał i zbiornik wodny na podwórze. Odsuniesz rygiel od drzwi prowadzących do ogrodu. Przeszedłszy przez ogród, otworzysz następne drzwi, podobnie zamknięte. Ja wejdem, skoro tylko drzwi zostaną otwarte. Przyniesiemy z ogrodu żerdź i oprzemy ją o mur, aby wspiąć się po niej do kraty, za którą znajdują się komnaty kobiet. Kratę już otwarłem od środka.

— A co potem?

— Potem będziemy działać stosownie do okoliczności. Podpłyniemy łódką do łodzi Mamura i zatopimy ją, żeby nas nie mógł ścigać. Reis Hassan przygotowuje tymczasem statek do odpłynięcia.

Na kartce papieru narysowałem ołówkiem plan budynku Abrahima Mamura, żeby Isla ben Maflei mógł się zorientować w rozkładzie pomieszczeń, kiedy znajdzie się wieczorem na podwórzu. Dzień upłynął na przygotowaniach, zapadł wieczór i kiedy nadszedł czas, dałem Halefowi odpowiednie wskazówki, dotyczące przygody, jaka nas czekała.

Halef szybko spakował nasz dobytek. Czysz za mieszkanie został już naprzód zapłacony.

Udałem się do Hassana, a Halef wkrótce przybył tam za mną z bagazem. Statek był gotowy do drogi; wystarczyło go tylko odczepić od brzegu. Niebawem zjawił się również Isla ze swoim służącym, który został przez niego wtajemniczony w czekające nas przedsięwzięcie, i wszyscy razem wsiedliśmy do długiej, wąskiej łódki, należącej do wyposażenia statku Hassana. Obaj służący musieli wiosłować, a ja zająłem się sterem.

Była to jedna z tych nocy, kiedy przyroda spoczywa w tak głębokim spokoju, jakby na całym globie ziemskim nie istniało najmniejsze niebezpieczeństwo, nie było żadnych walk, żadnych sporów. Ustały lekkie powiewy wiatru, które igrały z cieniami zapadającego zmierzchu, gwiazdy Południa uśmiechały się przyjaźnie z ciemnobłękitnego nieba, a wody dostojnej rzeki płynęły bezgłośnie w jej szerokim łożysku. I w sobie czułem głęboki spokój.

Oczywiście to, czego chcieliśmy dokonać, nie było łatwe, lecz człowiek lęka się tylko przyszłych wydarzeń. Kiedy natomiast przygoda już jest w toku, można i należy postępować bez zdenerwowania.

Uprowadzenie nocą nie było może konieczne. Mogliśmy raczej zaatakować Abrahima Mamura sądownie. Nie wiedzieliśmy jednak dokładnie, jak się cała sprawa przedstawia i jakimi środkami prawnymi może posłużyć się Mamur, żeby móc zatrzymać Senicę. Jedyne ona mogła nas poinformować o wszystkim, co powinniśmy wiedzieć, by mieć możliwość wystąpienia przeciwko uwodzicielowi; a w tym celu musieliśmy ją wpierw wydostać od niego.

Po niespełna godzinie ujrzeliśmy ciemne zarysy budynku, odbijające się od szarego, kamienistego tła okolicy. Dobiliśmy do brzegu niedaleko muru. Wsiadłem wpierw sam, żeby się rozejrzeć w sytuacji. Wokół domu nie zauważyłem najmniejszego śladu życia i w obrębie murów także zdawał się panować głęboki spokój. Przy kanale dostrzegłem łódź Abrahima z wiosłami. Wsiadłem do niej i podprowadziłem ją do naszej łódki.

— To jest jego łódź — powiedziałem do obu służących. — Zepchnijcie ją trochę w bok, napełnijcie kamieniami, wybijcie w niej dziurę i zatopcie! Wiosła jednak mogą się nam przydać. Włóżmy je do naszej łodzi, którą potem odcumujecie i trzymać będziecie w pogotowiu, żebyśmy w razie konieczności mogli natychmiast odpłynąć. Islo ben Maflei, chodź ze mną!

Oddaliliśmy się od łodzi i skradając się, podeszliśmy do kanału, którego woda nie wyglądała zbyt kusząco. Wrzuciłem weń kamień i stwierdziłem, że kanał nie jest głęboki. Isla zrzucił odzienie i zanurzył się. Woda sięgała mu do podbródka.

— Czy można będzie kanał przejść? — zapytałem go.

— Łatwiej go będzie przepłynąć. Jest tu tyle mułu, że brodę w nim po kolana.

— Decydujesz się więc przepłynąć?

— Tak. Weź moją odzież i podejdź z nią do bramy. Śmiało naprzód!

Młodzieniec dał nura i znikł w otworze pod murem.

Nie odszedłem zaraz, lecz czekałem jeszcze chwilę, gdyż mogło się przecież zdarzyć coś nieprzewidzianego, co wymagałoby mojej, obecności w tym miejscu. Okazało się, że moje obawy były słuszne, gdyż w momencie, kiedy już miałem się odwrócić, w otworze ukazała się głowa pływaka.

— Wracasz? — spytałem.

— Niestety. Nie mogłem płynąć dalej. Kanał jest zamknięty.

— Czym?

— Mocną drewnianą kratą.

— Nie mogłeś jej usunąć?

— Cały mój wysiłek okazał się daremny.

— Jak daleko stąd znajduje się ta przeszkoda?

— Krata musi się znajdować tuż przy murze zewnętrznym..

— Sprawdzę to. Ubierz się, trzymaj moją odzież i czekaj tu na mnie.

Zdjąłem tylko wierzchnie ubranie i wszedłem do wody. Popłynąłem na plecach. Kiedy według moich obliczeń powinienem był osiągnąć mur zewnętrzny, uderzyłem się o kratę. Była tak szeroka i wysoka jak kana, ud, składała się z mocnych, dobrze przylegających żerdzi drewnianych, przytwierdzonych do muru żelaznymi klamrami. Urządzenie to miało zapewne na celu chronić basen wodny, znajdujący się na podwórzu, przed inwazją szczurów i innych zwierząt. Szarpnąłem kratę. Nie ustąpiła. Zrozumiałem, że w całości nie da się usunąć. Chwyciłem jeden z prętów obydwoma rękami, zaparłem się z całej siły wysoko podciągniętymi kolanami z obydwóch stron o mur — pociągnąłem pręt ze wszystkich sił i żerdź się złamała. Zrobił się więc w kracie wyłom i w przeciągu dwóch minut wyrwałem jeszcze cztery pręty. Powstał otwór, przez który mogłem się przecisnąć.

Czy miałem zawrócić, by resztę przedsięwzięcia pozostawić Isli? Nie, gdyż byłoby to marnotrawieniem czasu. Zresztą byłem już w wodzie, a poza tym znałem teren lepiej od Isli. Przelazłem więc przez otwór, powstały po wyrwaniu przeze mnie prętów, i popłynąłem dalej kanałem, którego woda na skutek zmacenia mułu stała się gęsta i mętna. Kiedy według moich obliczeń powinienem się znajdować mniej więcej pod wewnętrznym podwórzem domu, sklepienie kanału obniżyło się nagle niemal do powierzchni wody, z czego mogłem wnioskować, że znajduję się w pobliżu basenu. Kanał od tego miejsca upodobił się do rury, tak wypełnionej wodą, że nie było czym oddychać. Ostatni odcinek kanału trzeba więc było przeleźć pod wodą, lub przepłynąć nurkując, co nie tylko było bardzo niewygodne i męczące, lecz groziło także wielkim niebezpieczeństwem. Co by się bowiem stało, gdyby jeszcze jakaś inna nieprzewidziana przeszkoda stanęła mi na drodze, a mnie nie udałoby się już zawrócić i dobrnąć do miejsca, w którym mógłbym zaczerpnąć powietrza? Albo gdybym, wynurzając się z basenu, został zauważony? Mogło się przecież zdarzyć, że ktoś właśnie kręciłby się po podwórzu. Nie wolno mi było jednak zbijać się z tropu takimi przypuszczeniami. Nabrałem w płuca powietrza, dałem nurka pod wodę i posuwałem się, to płynąc, to idąc, możliwie szybko naprzód.

Przebyłem w ten sposób pokaźny odcinek drogi i już zaczynałem odczuwać brak powietrza, gdy ręka moja napotkała nową przeszkodę. Była to blacha perforowana, wypełniająca całą wewnętrzną średnicę rury kanału i mająca zapewne służyć do filtrowania zamulonej, mętnej wody.

Odkrycie tego urządzenia napędziło mi śmiertelnego strachu.

Cofnąć się już nie mogłem, gdyż zanim osiągnąłbym miejsce, gdzie większa średnica kanału pozwoliłaby mi wynurzyć się z wody i zaczerpnąć powietrza, byłbym się już udusił. Sito, znajdujące się przede mną wydawało się mocno przytwierdzone. Istniały tylko dwie możliwości: przedostaną się lub nędznie utoną. Nie było chwili do stracenia!

Oparłem się o blachę — ani drgnęła! Naciskałem na nią z całej siły, jednak bez rezultatu. A gdyby mi się nawet udało usunąć sito, to i tak byłbym zgubiony, jeśliby zbiornik wodny nie znajdował się tuż za blachą. Powietrza starczało mi tylko jeszcze na sekundę. Czułem się tak, jakby jakaś straszna siła zamierzała mi rozsadzić płuca i całe ciało. Jeszcze jeden ostatni, najostatniejszy wysiłek: — Panie Boże, który jesteś w niebie, pomóż, żeby mi się udało! — Czuję, jak śmierć mokrą, lodowatą ręką sięga po moje ręce. Czuję, jak zwierza wokół niego swą okrutną, bezlitosną pięść. Tętno moje słabnie, świadomość zanika. Dusza moja wzdraga się przed tą okropnością. Kurczowe, śmiertelne napięcie rozciąga drętwiejące ścięgna i mięśnie — słyszę trzask — w rozpaczliwej walce ze śmiercią odniosłem zwycięstwo; sito ustąpiło; wypłynąłem.

Zaczerpnąłem powietrza pełną piersią, co mnie natychmiast ożywiło, potem znów dałem nura pod wodę. Ktoś przecież mógł być na podwórzu i zauważyć moją głowę, która właśnie wychynęła pośrodku niewielkiej powierzchni wodnej zbiornika. Za chwilę wynurzyłem się ponownie przy ocembrowaniu basenu i rozejrzałem się wokoło.

Księżyc nie było, lecz gwiazdy Południa dawały dość światła, by móc rozpoznać wszystkie przedmioty na podwórzu. Wyszedłem z basenu i miałem zamiar podkraść się ostrożnie pod mur, kiedy usłyszałem ciche skrzypnięcie. Spojrzałem w górę ku kratom, za którymi mieściły się komnaty niewiast. Nieco na prawo nade mną znajdowało się miejsce, gdzie usunąłem rygiel z zasuwki na kracie okiennej, a trochę bardziej w lewo od tego miejsca zauważyłem szparę w okratowaniu okna pokoju, do którego mnie nie wpuszczono. Była to sypialnia Senicy. Czyżby czuwała, oczekując mnie? Czy skrzypnięcie, jakie doszło moich uszu, pochodziło stąd, że uchyliła kraty okiennej swojego pokoju? Jeśli tak, to musiała widzieć, jak wychodziłem z basenu i zapewne stała jeszcze za oknem. Podszedłem bliżej muru i zwinąwszy dłonie w trąbkę wokół ust, zawołałem szeptem:

— Senica!

Szpara w kracie rozszerzyła się i w otworze okiennym pojawiła się ciemna główka dziewczyny. — Kim jesteś? — wyszeptała.

— Lekarzem, który cię odwiedził.

— Przychodzisz, żeby mnie uratować?

— Tak. Czy domyśliłaś się tego i zrozumiałaś moje aluzje?

— Tak. Czy jesteś sam?

— Isla ben Maflei czeka przed bramą. — Och! Zabiją go.

— Kto go zabije?

— Abraham. On nie sypia w nocy; czuwa. A dozorczyńni śpi w pokoju obok mojej komnaty. Cicho, słuchaj! Och, uciekaj szybko!

Za drzwiami prowadzącymi do selamlika dał się słyszeć jakiś szmer. Szpara w okiennej kracie znikła, a ja pobiegłem natychmiast z powrotem do zbiornika wodnego. Było to jedyne miejsce, w którym mogłem się schronić. Wśliznąłem się do basenu ostrożnie, żeby nie zburzyć lustra wody, gdyż fale na jej powierzchni mogłyby mnie zdradzić.

Ledwie ukryłem się w zbiorniku, w drzwiach domu ukazał się Abraham i obszedł powoli cały dziedziniec, omiatając go przenikliwym spojrzeniem. Stałem w wodzie po usta, a moja głowa schowana była za ocembrowaniem, tak, że Egipcjanin nie mógł mnie spostrzec. Upewnił się, że brama jest zamknięta i ukończywszy obchód, zniknął w selamliku.

Wyszedłem ponownie z wody, podpełzłem do bramy, odsunąłem rygiel i otwarłem ją. Znalazłem się w ogrodzie. Szybko przebiegłem go na przelaj, aby otworzyć bramę w murze. Miałem zamiar skrócić za węgiel, żeby sprowadzić Isle ben Maflei, gdy tymczasem on wyłonił się sam z ciemności i stanął przede mną.

— Hamdulillah, Bogu dzięki, efendi! Udało ci się!

— Tak. Lecz walczyłem ze śmiercią. Daj mi moje ubranie!

Moje spodnie i kamizelka ociekały wodą. Narzuciłem na siebie tylko marynarkę, żeby nie być skrepowanym w ruchach i powiedziałem mu:

— Rozmawiałem już z Senicą. Oczekuje nas.

— No to chodź! Szybko, szybko!

— Bądź cierpliwy!

Zawróciłem do ogrodu po żerdź, którą tam zauważyłem podczas mojej drugiej bytności w tym domu. Potem weszliśmy na podwórze. Szpara w okratowaniu okiennym była znów szersza.

— Senico, żrenico mych oczu, moja... — zawołał Isla zduszonym głosem, patrząc w kierunku, który mu wskazałem. Przerwałem mu:

— Błagam cię, zamilknij! Nie ma teraz czasu na miłosne wyznania. Pozwól, że teraz tylko ja będę mówił!

Potem zwróciłem się do Senicy z zapytaniem:

— Czy jesteś gotowa pójść z nami? — Tak, oczywiście!

— Przejście przez pokoje jest zapewne niemożliwe?

— Istotnie. Lecz tam, za drewnianymi kolumnami leży drabina.

— Idę po nią.

Nie potrzebowaliśmy więc ani żerdzi, ani sznura przyniesionych z sobą. Znalazłem drabinę. Była mocna. Oparłem ją o mur, a Isla wspiął się po niej w górę. Ja tymczasem podkradłem się pod drzwi selamlika, żeby nasłuchiwać, czy nie grozi nam stamtąd niebezpieczeństwo.

Po jakimś czasie ujrzałem postać dziewczyny. Schodziła po drabinie, a Isla jej przy tym pomagał. Kiedy obydwójce znaleźli się na dole, drabina, lekko pchnięta, zachwiała się i upadła z wielkim hałasem.

— Uciekajcie! Szybko do łodzi! — zawołałem ostrzegawczo. Pobiegli do bramy, a ja postyszałem kroki za drzwiami selamlika.

Hałas wywabił Abrahima na dziedziniec. Musiałem ubezpieczać uciekających, wobec czego wycofywałem się wolno i Egipcjanin zauważył mnie. Zobaczył także przewróconą drabinę i otwartą kratę okienną.

Donośnym krzykiem wezwał wszystkich mieszkańców domu.

— Złodziej, rabuś, łapać go! Ludzie! Wszyscy do mnie! Na pomoc! Pobiegł za mną, rycząc z wściekłości. Ponieważ na Wschodzie nie śpi się w pościeli, jak u nas, a przeważnie w ubraniach, mieszkańcy domu, obudzeni wrzaskiem, zjawili się niemal natychmiast.

Egipcjanin doganiał mnie. Przy zewnętrznej bramie obejrzałem się. Abrahima dzieliło ode mnie zaledwie dziesięć kroków, a przy bramie wewnętrznej pojawił się już drugi prześladowca.

Poza murami stwierdziłem, że Isla ben Maflei ucieka z Senicą w prawo; skrzyłem więc w lewo. Abraham dał się zwieść. Widział tylko mnie i biegł za mną. Skoczyłem w kierunku rzeki za róg powyżej domu, podczas gdy nasza łódź czekała poniżej budynku. Skręciwszy teraz za drugi róg, pobiegłem wzdłuż brzegu.

— Stój hultaju, bo będę strzelał! — rozległ się za mną krzyk Abrahima. Biegiem dalej bez wstąpienia.

Ścigający mnie miał więc przy sobie broń. Gdyby mnie trafiła kula, zginąłbym albo by mnie pojmano, gdyż, jak można było wnioskować z krzyków, za Abrahamem pędzili jego słudzy. Rozległ się strzał. Abraham celował w biegu, więc nie trafił; kula przeleciała koło mnie. Udałem, że zostałem trafiony i padłem na ziemię.

Abraham przebiegł koło mnie, ponieważ zauważył łódź, do której właśnie wsiadali Isla i Senica. Zerwałem się natychmiast na równe nogi, w kilku skokach dopadłem Egipcjanina, chwyciłem go za kark i powaliłem.

Tuż za mną rozległ się wrzask fellachów. Byli bardzo blisko, gdyż straciłem trochę czasu na zatrzymanie Abrahama. Dotarłem jednak do łodzi i wskoczyłem do niej. Halef natychmiast odbił od brzegu, od którego byliśmy już oddaleni o kilka długości łodzi, kiedy nasi prześladowcy zjawili się nad rzeką.

Abraham zerwał się z ziemi i rozejrzał w sytuacji.

Zebrał domowników i wszyscy udali się w stronę kanału, gdzie zazwyczaj przycumowana była łódź. Abraham dotarł tam pierwszy. Wrzasnął ze złości, stwierdziwszy jej brak.

My tymczasem opuściliśmy spokojne wody przybrzeżne i popłynęliśmy z wartkim nurtem. Halef i balwierz z Jüterborgu wiosłowali. Ja również chwyciłem jedno z wiosł zabranych z łodzi Abrahama, a Isla drugie. Wiosłowaliśmy więc w czwórkę. Na skutek tego nasza łódź sunęła szybko z prądem rzeki.

Nie padło ani jedno słowo; byliśmy w takim nastroju, którego nie da się opisać.

Nasza przygoda pochłonęła sporo czasu, tak że niebo zaczęło już różowieć, mgły się rozwiały i można było objąć wzrokiem znaczny odcinek Nilu. Ciągle jeszcze widzieliśmy Abrahama i jego ludzi stojących nad brzegiem, a nieco za nimi ukazał się na rzece żagiel, połyskujący w porannej zorzy.

— Sanda! — stwierdził Halef.

Tak, była to długa, spiczasto zakończona, ożaglowana i obsadzona liczną załogą barka turecka, która tak szybko pruje wodę, że mogłaby współzawodniczyć ze statkiem parowym.

— Abraham posłuży się tą łodzią, żeby nas doścignąć — powiedział Isla.

— Miejmy nadzieję, że barka należy do kupca, który nie musi usłuchać wezwania Abrahama.

— Jeśli Abraham zaofiaruje kapitanowi barki odpowiednią sumę, to ten nie odmówi jego prośbie.

— Nawet w tym wypadku mielibyśmy duże wyprzedzenie. Zanim bowiem barka przybije do brzegu i jej kapitan zakończy pertraktacje z Abrahamem, upłynie trochę czasu. Poza tym Abraham, zanim wsiądzie na statek, będzie się przecież musiał zaopatrzyć we wszystko, co potrzebne do dłuższej podróży, nie może bowiem przewidzieć, jak długo nas będzie ścigać.

Żaglowiec zniknął nam z oczu, a my popłynęliśmy tak szybko, że po niespełna półgodzinie ujrzeliśmy przed sobą statek, którym mieliśmy płynąć dalej.

Stary kapitan Abu er Reisan stał oparty o balustradę pokładu. Zauważył w naszej łodzi niewiastę, wywnioskował więc, że nasze przedsięwzięcie się udało.

— Przybijajcie! — zawołał. — Trap jest opuszczony! Weszliśmy na pokład, a nasza łódź została przymocowana na rufie

statku. Podniesiono kotwicę i rozpięto żagle. Statek odbił od brzegu, wiatr wzdał żagle i zdążaliśmy ku środkowi rzeki, płynąc teraz z jej biegiem.

Podszedłem do kapitana.

— Jak się wam powiodło? — zapytał mnie.

— Bardzo dobrze. Opowiem ci o wszystkim. Powiedz mi jednak przedtem, czy dobra żaglowa barka turecka mogłaby dogonić twój statek.

— Ścigają nas?

— Nie jestem pewny, ale to możliwe.

— Mój statek jest doskonały, lecz dobra turecka barka żaglowa dogoni każdy statek.

— No to życzymy sobie, żeby nas nikt nie ścigał! Opowiedziałem kapitanowi o przebiegu naszej przygody, a potem

zszedłem do kajuty, żeby się przebrać w suchą odzież. Kajuta składała się z dwóch części, mniejszej i większej. Mniejszą przeznaczaliśmy dla Senicy, a większą zajęliśmy w trójkę: kapitan, Isla ben Maflei i ja.

Minęły może dwie godziny, odkąd wyruszyliśmy w drogę, kiedy za naszym statkiem ujrzałem wierzchołek żagla, który rósł po prostu w oczach. Kiedy ukazał się kadłub żaglowca, poznałem, że była to owa barka turecka, zauważona przez nas wcześniej rano.

— Czy widzisz ten statek? — zapytałem kapitana.

— Allah akbar, Bóg jest wielki, a twoje pytanie mnie dziwi — odrzekł. — Jestem kapitanem statku i miałbym nie widzieć żaglowca, który płynie tak blisko za nami!

— Czy to statek kedywa?

— Nie.

— Z czego to wnosisz?

— Znam dokładnie ten żaglowiec. Jest własnością kapitana Chalida ben Mustafy.

— A kim jest ten Chalid?

— Nie jesteśmy przyjaciółmi.

— Dlaczego?

— Uczciwy człowiek nie może być przyjacielem nieuczciwego.

— Hm, no to mam złe przeczucie...

— Mianowicie?

— ...że Abrahim Mamur znajduje się na pokładzie tamtego statku.

— Wkrótce się przekonamy.

— Co zrobisz, jeśli żaglowiec zechce nas zatrzymać?

— Będę się musiał na to zgodzić. Prawo tego wymaga.

— A jeśli ja się nie zgodzę?

— Jak byś to chciał zrobić? Kapitanem statku jestem ja i muszę postępować zgodnie z przepisami.

— A ja jestem kapitanem swojej woli.

Podszedł do nas Isla. Nie chciałem mu zadawać niedyskretnych pytań, lecz on zaczął sam:

— Kara ben Nemsy, jesteś moim przyjacielem, najlepszym, jakiego mogłem znaleźć. Czy mam ci opowiedzieć, w jaki sposób Senica dostała się w ręce tego Egipcjanina?

— Chętnie bym posłuchał twojego opowiadania, lecz do tego potrzeba spokoju i skupienia, czego obecnie nie mamy.

— Jesteś niespokojny? Dlaczego?

Isla ben Maflei nie zauważył jeszcze statku za nami.

— Obróć się i przypatrz temu żaglowcowi! — rzekłem. Isla spojrzał wstecz, zobaczył statek i zapytał:

— Czy Abrahim jest na pokładzie?

— Nie wiem, lecz to bardzo możliwe, gdyż kapitan tamtego statku jest draniem, który łatwo da się przekupić Abrahamowi.

— Skąd wiesz, że jest draniem?

— Powiedział mi to kapitan Hassan.

— Tak — potwierdził stary. — Znam tamtego kapitana i jego statek. Nawet gdyby był bardziej od nas oddalony, poznai jebym go po żaglu trzykrotnie naprawianym i połatanym.

— Co zrobimy? — zapytał Isla.

— Najpierw sprawdzimy, czy Abraham znajduje się na pokładzie żaglowca.

— A jeżeli tak?

— To nie wpuścimy go do nas.

Nasz kapitan oszacował szybkość żaglowca, potem naszego statku i oznajmił:

— Zbliża się do nas coraz bardziej. Rozwinę jeszcze mały żagiel. Niewiele to jednak pomogło. Już po kilku minutach oceniłem, że nie unikniemy spotkania, możemy je tylko nieco opóźnić. Odległość między obu statkami malała bezustannie. Na barce opuszczono jeden żagiel, żeby zmniejszyć jej szybkość. Na pokładzie zobaczyliśmy Abrahima Mamura.

— Jest tam! — oznajmił Isla.

— W którym miejscu stoi? — zapytał kapitan.

— Z przodu. Blisko dziobu.

— To on? Kara ben Nemsi, co robimy? Jeśli nas zaczepią, muszę im odpowiedzieć.

— Kto, według prawa, musi odpowiedzieć?

— Ja jako właściciel statku.

— Uważaj, co ci powiem, kapitanie Hassanie! Czy jesteś skłonny wydzierżawić mi swój statek stąd aż do Kahiry?

Kapitan spojrzał na mnie zdziwiony, pojął jednak natychmiast do czego zmierzam.

— Tak — odpowiedział.

— Jestem więc właścicielem statku?

— Tak.

— A ty, jako kapitan, musisz się podporządkować mojej woli?

— Tak.

— I za nic nie odpowiadasz?

— Nie.

— Dobrze. Zwołaj swoich ludzi!

Na rozkaz kapitana zjawiała się cała załoga. Oznajmił wszystkim, co następuje:

— Przyjmijcie do wiadomości, że ten efendi, który nazywa się Kara ben Nemsi wydzierżawił ten statek stąd do Kahiry. Czy tak? — zwrócił się do mnie.

— Tak jest — potwierdziłem.

— Czy możecie więc zaświadczyć, że nie jestem już właścicielem statku? — spytał zebranych.

— Zaświadczamy.

— Wracajcie więc do pracy! Musicie jednak wiedzieć, że w dalszym ciągu kieruję statkiem, gdyż zlecił mi to obecny właściciel, Kara ben Nemsi.

Załoga rozeszła się, najwidoczniej zaskoczona tą dziwną informacją.

Tymczasem turecka barka zrównała się z naszym statkiem. Jej kapitan, wysoki, szczupły mężczyzna, z piórem strusim na tarbuszu, stanął przy burcie i zawołał:

— Hej, wy tam na statku! Kto jest kapitanem? Wychyliłem się i odrzekłem:

— Kapitan Hassan.

— Hassan, zwany Abu er Reisan?

— Tak.

— Pięknie, znam go — odpowiedział tamten, uśmiechając się złośliwie. — Czy macie na statku

kobietę?

— Tak.

— Wydajcie ją!

— Zwariowałeś chyba, Chalidzie ben Mustafu!

— Zobaczymy. Przybijemy do waszego statku.

— Udaremnimy to.

— W jaki sposób?

— Zaraz ci pokażę. Zwróć uwagę na pióro przy twoim tarbuszu! Szybko podniosłem do oka

sztucer, trzymany dotąd w ukryciu, wycelowane i strzeliłem. Pióro spadło z tarbusza. Nawet największe nieszczęście nie mogłoby tak zdenerwować dostojnego Chalida, jak ten strzał ostrzegawczy. Podskoczył, jak na nogach z gumy, złapał się oburącz za głowę i schował się za masztem.

— Wiesz teraz jak strzelam, Chalidzie — zawołałem. — Jeśli twoja barka, choćby tylko jeszcze przez minutę, popłynie obok naszego statku, dobiore się do twojej skóry; tego możesz być pewien!

Ta groźba podziałała natychmiast. Chalid pobiegł do steru, wydarł go z rąk sternika i zwolnił szybkość żaglowca. W przeciągu dwóch minut turecka barka znalazła się w należytej odległości od naszego statku.

— Teraz jesteśmy chwilowo bezpieczni — stwierdziłem.

— Chalid nie zbliży się tak szybko ponownie — zgodził się ze mną Hassan. — Ale nie spuści nas z oczu i skorzysta z sytuacji, kiedy się gdzieś zatrzymamy. Zażąda wówczas pomocy zgodnie z prawem, jakie mu przysługuje. Teraz naturalnie nie obawiam się przepisów prawnych, nie będąc właścicielem statku; boję się natomiast czegoś innego.

— Czego?

— Tego tam!

Abu er Reisan wskazał ręką na burzące się w dali wody rzeki, a my zrozumieliśmy natychmiast, co miał na myśli.

Już od dłuższego czasu obserwowaliśmy, że fale Nilu silniej i szybciej pędzą naprzód i że brzegi rzeki stają się coraz bardziej skaliste i zdają się schodzić ze sobą. Zbliżaliśmy się bowiem do jednej z katarakt. Takie progi wodne są dla nawigacji na Nilu prawie nie do pokonania. Teraz musiała zniknąć wszelka wrogość między ludźmi, aby wszyscy mogli skupić uwagę na groźącym niebezpieczeństwie. Na pokładzie rozległ się donośny głos kapitana:

— Ludzie, podnieście wzrok, zbliżamy się do katarakty! Zejdźcie się i odmawiajcie świętą Fatihe!

Zebrani zwrócili się twarzą w kierunku Mekki.

— W imię Wszechmiłosiernego! — rozpoczął kapitan modlitwę. Podjęli ją wszyscy i odmawiali Fatihe, pierwszą surę Koranu. Muszę przyznać, że ta modlitwa zrobiła na mnie wielkie wrażenie.

Nie rozbudziła we mnie strachu przed niebezpieczeństwem, lecz cześć dla głęboko w sercach zakorzenionej wiary tych na pół dzikich ludzi, którzy nie przedsięwzięją niczego, nie zwróciwszy się wprzód do Wszechmocnego.

— Teraz śmiało naprzód, dzielni bohaterowie, każdy na swoje miejsce! — rozkazał kapitan. — Prąd nas porywa!

Kierowanie statkiem na Nilu nie przebiega tak spokojnie, jak na statku europejskim. W żyłach ludzi Południa płynie gorąca krew, powodując, że w niebezpieczeństwie przerzucają się od przesadnej nadziei do najgłębszego przygnębienia i rozpacz. Wszyscy krzyczą, wołają, ryczą, wyją, modlą się lub złorzeczą w chwilach opresji, by natychmiast, kiedy te minęły, wydawać radosne



okrzyki, śpiewać i tiumfować. Przy tym każdy pracuje, wyężdżając wszystkie siły. Kapitan statku natomiast biega od jednego do drugiego członka załogi, udziela napomnień opieszającym, używając wyrazów, które tylko Arab potrafi wymyślić, dzielnych natomiast obdarza najtkliwszymi, wśród których najczęściej powtarza się słowo „bohater”.

Hassan, znając Nil, przygotował się na konieczność przepłynięcia katarakty i wziął na statek rezerwową załogę. Do każdego wiosła przydzielił dwóch ludzi, a przy sterze ustawił trzech sterników, którzy tu na tym niebezpiecznym odcinku rzeki znali każde jej miejsce.

Ze strasznym hukiem przewalały się teraz fale nad wystającymi z wody głazami, spadały na pokład, obmywając go pianistymi jęzorami, grzmot wodospadu zagłuszał słowa komendy. Statek jęczał i trzeszczał we wszystkich spojeniach, wiosła stały się nieprzydatne i żaglowiec pędził przez wodną kipieli, nie słuchając steru.

Nagle przed nami wyrosły czarne, błyszczące skały, zdając się zwierać ze sobą, pozostawiając zaledwie przejście na szerokość statku. Fale dosłownie przeciskały się przez ten otwór i potężnym strumieniem waliły się do rzecznej kotliny, najeżonej ostrymi, spiczastymi jak igły głazami.

Z ogromną szybkością mknął nasz statek wprost na szczelinę. Wciągnęliśmy wiosła. Już znaleźliśmy się w strasnej bramie między skalnymi ścianami, których można by było dotknąć rękoma. Szalona siłą prądu, przerzuciła nasz statek przez pieniające się grzbiety fal i rzuciła go w topiel wodną. Wokół nas szalała kipieli, hucząc, rycząc i grzmiąc. Znowu porwał nas prąd, spychając w dół z nieprzepartą siłą po skośnie opadającej tafli wodnej, której powierzchnia wydawała się gładka i przyjazna. Ale właśnie pod tą gładzią krył się najniebezpieczniejszy, zdradziecki podstęp, gdyż statek nasz nie płynął, lecz spadał w dół z ogromną szybkością i...

— Allah kerim. Boże zmiłuj się nad nami! — rozległ się przeraźliwy krzyk Hassana. Wszyscy go usłyszeli.

— Allah w'Allah, do wiosła, ludzie, do wiosła, bohaterowie, tygrysy, pantery, lwy! Śmierć przed wami. Nie widzicie tego? Do roboty, na miłość boską, wy psy, wy tchórze, wy koty i dranie! Pracujcie, pracujcie, wy dzielni i dobrzy, niezrównani bohaterowie, wypróbowani i wybrani!

Pędziliśmy wprost na nożyce skalne, rozwierające się właśnie przed nami, które za chwilę mogły nas zmiażdżyć. Brzegi skał były tak ostre, a prąd rzeczny tak rwący, że z naszego statku ostałaby się zaledwie garść drewna.

— Zachowaj nas, Boże, pomóż! W lewo, w lewo, wy psy, wy sępy, szczurożercy, pozeracze padliny! W lewo, w lewo ster, wy waleczni, wspaniali, ojcowie bohaterów! Allah, Allah, ma sza Allah! Bóg czyni cuda, niech mu będzie chwała!

Dzięki nadludzkim wysiłkom załogi statek uniknął rozbicia. Po chwili znaleźliśmy się na spokojnych wodach i wszyscy odetchnęli, dziękując Wszechmogącemu.

— Esz hetu inu la ilaha ill' Allah! — wołali ludzie na pokładzie. — Istnieje tylko jeden Bóg! Ześlij nam, Boże, swoje błogosławieństwo!

Nagle coś wyprysnęło za nami, niczym wystrzelone z łuku. Był to turecki żaglowiec, który przeszedł przez te same, co nasz statek, niebezpieczeństwa. Jego szybkość była teraz znowu większa od naszej i dlatego nas wyprzedzał. Otwarty tor wodny był jednak tak wąski, że tylko z trudem mogliśmy zejść z drogi i żaglowiec otarł się niemal burtą o burtę naszego statku. Abraham Mamur stał oparty o maszt żaglowca, chowając za sobą prawą rękę. Właśnie naprzeciwko mnie wyciągnął teraz zza pleców długą, arabską strzelbę i składał się do strzału — rzuciłem się na deski pokładu — kula przeleciała nade mną, i w następnej chwili żaglowiec znikł nam z oczu.

Wszyscy byli świadkami zajścia, lecz nikt nie miał czasu na zdziwienie lub gniew, gdyż prąd rzeki pochwycił nas znowu i znosił na podwodne skały.

Wtem rozległ się przed nami przeraźliwy krzyk. Turecka barka została siłą prądu na katarakcie wyrzucona na skałę; żeglarze wparli wiosła w nurt i barka szczęśliwie znalazła się ponownie w wodzie. Lekko tylko uszkodzona, pomknęła dalej, niesiona falami. Przy zderzeniu ze skałą, wypadł jednak za burtę człowiek. Wisząc w wodzie, uczeplił się rozpaczliwie podwodnego głązu. Chwyliłem jeden z walających się na pokładzie powrozów z daktylowcowego łyka, podbiegłem do burty i rzuciłem sznur zagrożonemu. Był to — Abraham Mamur!

Skoro tylko znalazł się szczęśliwie na pokładzie, otrząsnął się z wody i ruszył w moim kierunku z zaciśniętymi pięściami.

— Ty psie, jesteś rabusiem i oszustem! — wykrztusił. Oczekiwałem go ze spokojem. Moja postawa spowodowała, że zatrzymał się przede mną, nie puszczając pięści w ruch.

— Abrahamie Mamurze, zachowaj się przyzwoicie, gdyż nie jesteś w swoim domu! — ostrzegłem go. — Jeśli powiesz jeszcze choćby tylko jedno słowo, które mi się nie spodoba, każę cię przywiązać do masztu i wychłostać.

Największą obrazą dla Araba jest uderzenie go lub grożenie mu chłostą. Abraham uczynił ruch, jakby się chciał na mnie zamierzyć, opanował się jednak.

— Masz na statku moją żonę! — krzyknął.

— Nie.

— Nie mówisz prawdy!

— Mówię prawdę, gdyż niewiasta znajdująca się na tym statku nie jest twoją żoną, lecz narzeczoną młodzieńca, który stoi obok ciebie.

Egipcjanin rzucił się ku kajucie, lecz Halef zastąpił mu drogę.

— Abrahamie Mamurze, jestem Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah. Oto dwa pistolety, z których cię zastrzelę, jeśli spróbujesz wtargnąć do kajuty.

Egipcjanin poznał po minie mojego małego Halefa, że ten nie żartuje i gotów jest swoją groźbę spełnić. Odwrócił się więc ze złością i oznajmił:

— Zaskarżę was, jak tylko zejdziecie na ląd, żeby wysadzić rezerwowych żeglarzy.

— Zrób to! — odpowiedziałem spokojnie. — Do tego czasu jednak nie będę cię traktował jak wroga, lecz jak swego gościa, dopóki się będziesz zachowywał pokojowo.

Niebezpieczne miejsca katarakty przepłynęliśmy szczęśliwie, i mogliśmy ze spokojem zająć się naszą sprawą.

— Czy zechciałbyś nam teraz opowiedzieć, w jaki sposób Senica dostała się w ręce tego człowieka? — spytałem Isłę.

— Pójdę po nią — odrzekł. — Niech wam sama o tym opowie.

— Nie — sprzeciwiłem się. — Niech twoja narzeczona pozostanie w kajucie, gdyż jej widok rozgoryczyłby Egipcjanina jeszcze bardziej i rozdrażnił go do ostateczności. Powiedz nam przede wszystkim, czy jest muzułmanką, czy chrześcijanką!

— Jest chrześcijanką.

— Jakiego wyznania?

— Tego, które nazywacie greckim.

— Czy Senica nie poszła z Egipcjaninem dobrowolnie?

— On ją kupił.

— Ach! Czyż to możliwe?

— Tak. Zaistniały bowiem szczególne okoliczności. Czarnogórzanki nie chodzą zawoalowane. Abraham zobaczył Senicę w Skutari, wyznał jej swoją miłość i chciał, by została jego żoną. Senica go jednak wysmiała. Abraham udał się potem do jej ojca w Czarnogórze i ofiarował mu pokazną

sumę pieniędzy za córkę. Ojciec Senicy nie zgodził się. Wówczas Abraham przekupił ojca przyjaciółki Senicy, którą to przyjaciółkę Senica często odwiedzała. Transakcja została zawarta

— Jakżeż to było możliwe?

— Ten szubrawiec, ojciec przyjaciółki Senicy, doręczył Abrahamowi Mamurowi akt sprzedaży, w którym Senica wymieniona została jako czerkieska niewolnica.

— Ach, to dlatego ta przyjaciółka Senicy tak nagle się ulotniła wraz ze swoim ojcem!

— Tak. Tylko dlatego. Abraham wsiadł potem z Senica na statek i pojechał z nią najpierw na Cypr, a potem do Egiptu. Dalszy ciąg znacie.

— Jak się nazywał człowiek, który sprzedał Senicę Abrahamowi? — zapytałem mimo woli.

— Barud el Amasad.

— El Amasad... El Amasad... to nazwisko wydaje mi się znajome. Gdzie ja je słyszałem? Czy ten człowiek był Turkiem?

— Nie, Armeńczykiem.

Armeńczykiem... ach, teraz sobie przypomniałem! Hamd el Amasad, to ów Armeńczyk, który nastawał na nasze życie na szocie Al Dżarid, a potem uciekł z Kebilli! Czyżby to był ten sam człowiek?... Nie, gdyż czas się nie zgadza.

— Nie wiesz — spytałem Isłę — czy ten Barud el Amasad ma brata?

— Nie. Senica też tego nie wie. Wypytałem ją dokładnie o tę rodzinę.

Wtem podszedł do mnie służący Hamsad el Dżerbaja:

— Efendi, chcę panu coś powiedzieć. — Proszę mówić!

— Jak się nazywa ten egipski nicpoń?

— Abraham Mamur.

— I on się podaje za urzędnika?

— Tak. Był ponoć nawet zarządcą prowincji.

— Niech pan w to nie wierzy, gdyż znam tego człowieka lepiej niż on mnie.

— Któż to więc jest?

— Widziałem go, kiedy otrzymywał chłostę w podeszwy, a ponieważ była to pierwsza bastonada, której byłem świadkiem, zasięgnąłem o karanim szczegółowych informacji.

— No więc kim on jest i czym się zajmuje?

— Był attache, czy czymś podobnym, poselstwa perskiego w Konstantynopolu i zdradził jakąś tajemnicę, czy coś w tym rodzaju. Miał ponieść karę śmierci, ponieważ jednak miał protektorów, skończyło się na tym, że został złożony z urzędu i ukarany chłostą. Nazywa się Dawuhd Arafim.

Było zdumiewającym zbiegiem okoliczności, że balwierz z Jüterborga znał tego człowieka, i teraz, kiedy dopomógł mojej pamięci, jakby mi nagle łuski z oczu spadły. Istotnie widziałem już tego podejrzanego osobnika w Konstantynopolu, kiedy go stamtąd wydalano jako więźnia. On mnie również widział i teraz zapewne przypominał to sobie.

— Dziękuję panu, Hamsadzie, za tę informację. Proszę jednak, by pan zechciał tę wiadomość zachować na razie dla siebie!

Teraz już wcale się nie bahowaem, że Abraham mnie zaskarży. Nie wiem dlaczego, lecz podejrzewałem, że Abraham znał Baruda el Amsada zanim kupił od niego Senicę. W każdym razie miał niejasną przeszłość — teraz występował pod nazwiskiem Mamur i był zamożnym człowiekiem. Te okoliczności dawały mi do myślenia.

Informację cyrulika wolałem na razie zatrzymać dla siebie. Abraham nie powinien zauważyć, że został rozpoznany.

W najbliższym porcie trzeba było wysadzić na ląd marynarzy, wziętych na statek przed kataraktą

Nilu, dlatego tuż przed Asuanem zaczęliśmy kierować się do brzegu.

— Czy zarzucimy kotwicę? — spytałem kapitana.

— Nie, zawrócę statek natychmiast, gdy żeglarze go opuszczą.

— Dlaczego?

— Aby uniknąć spotkania z policją.

— A co z Abrahamem?

— Wysadzimy go na brzeg razem z marynarzami.

— Ja się nie obawiam policji.

— Ty jesteś obcy w tym kraju i pozostajesz pod opieką swojego konsula. Nic ci więc nie grozi.

Ja jednakże... — nie dokończył zdania i wskazał przed siebie. — Popatrz tam!

Okrzyk ten kapitan wydał na widok łodzi, w której siedzieli uzbrojeni i ponuro spoglądający mężczyźni. Byli to policjanci.

— Chyba teraz nie zawrócisz — powiedziałem do Hassana.

— Zawrócę, jeśli rozkażesz. Mam obowiązek słuchać tylko ciebie.

— Nie wydam takiego rozkazu, chciałbym bowiem poznać tutejszą policję.

Łódź policyjna podpłynęła do naszego statku i policjanci weszli na jego pokład, zanim dobił do brzegu. Turecka barka zatrzymała się tu wcześniej od nas, a jej załoga poinformowała władze portu, że Abraham utonął na katarakcie i że na naszym statku znajduje się porwana przez nas niewiasta. Stary kapitan barki, Chalid ben Mustafa — jak dowiedzieliśmy się później — natychmiast udał się do prokuratora i oskarżył mnie, przedstawiając jako niewiernego, mordercę, prowodyrę, rozbójnika i wichrzyciela, tak że właściwie Winieniem być zadowolony, jeśliby mnie skazano na śmierć przez powieszenie lub utopienie, związanego w worku.

Ponieważ organom sprawiedliwości w tamtych krajach nieznanym był jeszcze doniosły wynalazek zakładania i gromadzenia stosów akt sądowych, postępowanie w sądach odbywało się szybko i zwięźle.

— Kto jest kapitanem tego statku? — spytał dowodzący grupą policjantów.

— Ja — odpowiedział Hassan.

— Jak się nazywasz?

— Hassan Abu er Reisan.

— Czy masz na statku lekarza, który jest „niewiernym”?

— Stoi obok mnie. Nazywa się Kara ben Nemi.

— A czy na statku jest również kobieta, której na imię Güzela?

— Jest w kajucie.

— A więc jesteście wszyscy moimi więźniami i pójdziecie ze mną do prokuratora, a statek pozostanie pod strażą moich ludzi!

Nasz statek przybił do brzegu i cała załoga, łącznie z pasażerami, została wysadzona na ląd. Senicę, starannie zakwefiona, umieszczono w lekyce, którą niesiono za naszym orszakiem stale się powiększającym, gdyż kto żywy, młody czy stary, duży czy mały, dołączał się do niego. Za mną szedł balwierz, Hamsad el Dżerbaja, gwizdząc wesoło do taktu swych kroków melodię często przez siebie śpiewanej piosenki, zaczynającej się od słów: „Muss i denn, muss i denn zum Städtele 'naus...”

Komisarz policji oczekiwał nas już w towarzystwie protokolanta. Z dystynkcji na mundurze komisarza wywnioskowałem, że jest on w randze bimbaszy, czyli majora, i dowodzi oddziałem tysiąca ludzi; mimo to nie miał wyglądu ani wojowniczego, ani też zbyt uduchowionego. On również, tak jak cała załoga żaglowca, był pewien, że Abraham Mamur utonął. Zmartwychwstałego przyjął z oznakami szacunku, wręcz przeciwnymi temu, co kryło się w jego wzroku, którym nas obrzucił.

Ustawiono nas w ten sposób, że po jednej stronie sali stała załoga żaglowca z Abrahamem i kilkoma jego służącymi, kt.

— Czy życzysz sobie fajkę, panie? — spytał komisarz rzekomego Mamura.

— Każ mi ją podać!

Abrahimowi przyniesiono fajkę i dywanik, żeby mógł na nim usiąść. Potem wszczęto rozprawę.

— Wasza wysokość zechce mi podać swoje przez Allaha błogosławione nazwisko!

— Brzmi ono Abraham Mamur.

— Jesteś więc urzędnikiem.

— Tak. Byłem namiestnikiem prowincji.

— Której prowincji?

— En Nasar.

— Jesteś oskarżycielem. Mów! Wysłucham cię i wydam wyrok.

— Oskarżam tego giaura, który jest lekarzem, o uprowadzenie kobiety. O to samo oskarżam człowieka stojącego obok niego, a kapitana statku o współudział w porwaniu. Jak dalece służy tych dwóch mężczyzn i marynarze statku zamieszani są w tę sprawę, osądź sam, bimbaszy.

— Opowiedz, w jaki sposób odbyło się porwanie kobiety!

Abrahim opisał przebieg porwania. Po Abrahamie przesłuchani zostali jego świadkowie, w następstwie czego zostałem przez kapitana tureckiego żaglowca, Chalida ben Mustafę, oskarżony dodatkowo o usiłowanie zabójstwa.

Oczy przesłuchującego rozbłysły gniewem:

— Jak się nazywasz, giaurze?

— Kara ben Nemsy.

— Jak się zwie twoja ojczyzna? — Almanian.

— Gdzie leży ta pięć ziemi?

— Pięć? Hm, bimbaszy, nazywając Niemcy garstką ziemi, przyznajesz się do swojej niewiedzy.

— Łotrze! — krzyknął komisarz. — Co chcesz przez to powiedzieć?

— Almanian jest wielkim krajem i liczy dziesięć razy więcej mieszkańców niż cały Egipt. Ty jednak nie znasz tego kraju i w ogóle nie znasz geografii. Dlatego pozwalasz się okłamywać przez Abrahima Mamura.

— Jeśli jeszcze raz ośmielisz się użyć podobnych słów pod moim adresem, każę cię za ucho przygwoździć do ściany!

— Ośmielam się! Abraham twierdzi, że był namiestnikiem prowincji En Nasar. Namiestnicy prowincji są tylko w Egipcie...

— Czyż En Nasar nie leży w Egipcie, giaurze? Byłem tam osobiście i znam Mamura jak rodzzonego brata, ba, jak siebie samego.

— Kłamiesz!

— Przybijcie go do ściany! — rozkazał komisarz, Dobyłem rewolweru, a Halef wyciągnął swoje pistolety.

— Bimbaszy, przyjmij do wiadomości — zagroziłem mu — że wpierw zastrzelę tego, kto mnie dotknie, a potem ciebie. Kłamiesz, powtarzam. En Nasar jest małą oazą między wyżynami Hammada el Hamra a Tinghartem w Trypolitanii. Tam nie ma żadnego namiestnika, jest tylko biedny szejk; nazywa się Mamra ibn Alef Abuzin, i ja go znam. Mógłbym przedłużyć tę farsę i pozwolić ci na dalsze zadawanie mi pytań, lecz nie chcę przeciągać sprawy. Pytam z kolei ciebie, jak to się dzieje, że każesz stać oskarżycielom, podczas gdy oskarżonemu, a więc przestępcy, pozwalasz siedzieć i w dodatku częstujesz go fajką?

— Jak to rozumiesz, giaurze? — spytał nieco zdetonowany komisarz.

— Ostrzegam cię! Nie używaj w stosunku do mnie tego obelżywego słowa! Mam paszport, a także „gidisz izini”, czyli dokument wystawiony przez wicekróla Egiptu. Mój towarzysz natomiast pochodzi ze Stambułu; posiada „bujuruldu”, czyli paszport i pozostaje pod pieczęcią sułtana.

— Pokażcie te dokumenty!

Podaliśmy mu swój paszport i Isla także przedłożył swoje dokumenty.

Komisarz przejrzał nasze papiery i oddał nam je z zakłopotaną miną.

— Mów dalej!

To wezwanie dowodziło, że urzędnik nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Zabrałem więc ponownie głos:

— Jesteś szefem policji na terytorium Asuanu w randze bimbaszy, a nie wiesz, co jest twoją powinnością. Czytając odręczne pismo sułtana, powinieneś je przedtem przytknąć do czoła, oczu i ust i wszystkich obecnych wezwać do złożenia ukłonu, tak jakby jego wysokość sułtan był tu obecny. Opowiem kedywowi i wielkiemu wezyrowi w Stambule, jaki im okazujesz szacunek.

Takiego obrotu sprawy szef policji się nie spodziewał. Był tak przestraszony, że otworzył szeroko oczy i rozdziawił usta, nie mogąc wymówić słowa. Ja natomiast kontynuowałem:

— Chciałeś wiedzieć, dlaczego nazwałem tamtego oskarżonym. To ja oskarżam, a muszę stać, podczas gdy oskarżonemu wolno siedzieć.

— Ty oskarżasz?

— Nie tylko ja. My wszyscy.

Abraham udał zdziwionego, jeszcze się nie odzywał.

— O co go oskarżacie? — spytał szef policji.

— O uprowadzenie, to znaczy o to samo przestępstwo, które on nam chciał przypisać.

Zauważyłem, że Abraham stał się niespokojny. Komisarz policji polecił mi mówić dalej.

— Żal mi ciebie, bimbaszy, że czeka cię takie zmartwienie.

— Zmartwienie? Dlaczego?

— Że będziesz musiał zasądzić człowieka, którego znasz tak dobrze jak własnego brata. U którego nawet byłeś w En Nasar i wiesz na pewno, że był tam namiestnikiem prowincji. Ja jednak znam go również. Nazywa się Dawuhd Arafim, w Konstantynopolu został zdemaskowany jako zdrajca i ukarany bastonadą.

Teraz Abraham wstał.

— Kłamco, zapewne straciłeś rozum! — zawołał.

— Wysłuchaj mnie do końca! — zwróciłem się z prośbą do komisarza. — Wówczas się okaże, po czyjej stronie jest słuszność, a kto zasłużył na karę!

— Mów!

— Ta niewiasta jest chrześcijanką i to wolną chrześcijanką z Karadagh. Dawuhd Arafim, który podaje się za Abrahama Mamura, porwał ją i uprowadził przemocą do Egiptu. Mój przyjaciel, Isla ben Maflei jest jej prawowitym narzeczonym. Przybył do Egiptu i odebrał więzioną przez Abrahama dziewczynę. Nas znasz, gdyż czytałeś nasze paszporty, o przestępcy jednak nic nie wiesz. Jest oszustem i ma na sumieniu uprowadzenie kobiety. Sprawdź jego dokumenty, w przeciwnym razie poinformuję kedywa, w jaki sposób wymierzysz sprawiedliwość w ramach urzędu, który ci powierzył. Kapitan tureckiej barki oskarżył mnie o usiłowanie zabójstwa. Spytaj tych ludzi. Oni wszyscy słyszeli, że postanowiłem zestrzelić pióro z jego tarbusza, co też zrobiłem. Nic poza tym. Ten człowiek jednak, który każe się nazywać Mamurem, strzelał do mnie rozmyślnie. Oskarżam go o to. Rozstrzygnij teraz, kto winien być ukarany!

Komisarz znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Nie wypadało mu przecież odwołać własnych słów, mimo że był przeświadczony o mojej racji. Znalazł wyjście typowe dla człowieka Orientu.

— Ludzie niech opuszczą budynek i rozejdą się do domów! — rozkazał. — Zastanowię się nad tą sprawą i wyrok ogłoszę po południu. Wy wszyscy jesteście jednak moimi więźniami.

Policjanci wypędzili widzów z budynku przy pomocy kijów. Potem wyprowadzono uwięzionego Mamura oraz załogę żaglowca. W końcu i nam polecono wyjść na dziedziniec, gdzie wolno nam się było poruszać bez żadnych przeszkód. Kilku policjantów stało przy wyjściu dla pozorów. Po kwadransie jednak zniknęli.

Przejrzałem zamiar szefa policji. Podszedłem do Isli, który siedział obok Senicy przy studni.

— Czy sądzisz — spytałem go — że wygramy dzisiaj nasz proces?

— O niczym nie myślę; wszystko pozostawiam tobie — odrzekł.

— A jeśli wygramy, co stanie się z Abrahamem?

— Nic. Znam tych ludzi. Abraham da urzędnikowi pieniądze lub jeden z kosztownych pierścieni, których ma pełno na palcach, i komisarz puści go wolno.

— Czy życzysz sobie jego śmierci?

— Nie. Znalazłem Senicę i to mi wystarcza.

— A co o tym myśli twoja narzeczona? Senica odpowiedziała sama:

— Efendi, byłam bardzo nieszczęśliwa, lecz teraz jestem wolna! Nie będę więcej o nim myśleć.

To mnie zadowoliło. Należało tylko jeszcze zapytać o zdanie starego Hassana. Ten oświadczył mi bez ogrzoty wdek, że cieszy się, iż wyszedł cało z tej opresji. Wobec powyższego postanowiłem rozejrzeć się spokojnie w sytuacji.

Wyszedłem przez bramę na ulicę. Była gorąca pora roku, nie zobaczyłem więc nikogo. Nie miałem wątpliwości. Szef policji życzył sobie, żebyśmy zwiali, nie czekając na jego wyrok. Wróciłem więc na dziedziniec, podzieliłem się swymi spostrzeżeniami z moimi towarzyszami i wezwałem ich, żeby poszli za mną. Wyszliśmy na ulicę i nikt nam nie zaszedł drogi.

Kiedy dotarliśmy do naszego statku, okazało się, że policjantów już na nim nie było. Przygodny amator liści senesowych, które stanowiły ładunek, mógł bez przeszkód statek ukraść.

Nie zobaczyliśmy również przy brzegu tureckiego żaglowca. Znikł bez śladu. Dostojny Chalid ben Mustafa zapewne wcześniej od nas przejrzał zamiar sędziego i ulotnił się ze swoją barką i załogą.

Gdzie natomiast znajdował się Abraham Mamur?

Zależało nam, żeby się o tym dowiedzieć, gdyż można było przypuszczać, że będzie nas miał na oku. Ja przynajmniej przeczuwałem, że prędzej czy później znów go spotkam. Na razie musieliśmy się zadowolić faktem, że znikł nam z oczu.

Nasz statek podniósł kotwicę i ruszyliśmy w dalszą podróż z błogim uczuciem, że wydostaliśmy się szczęśliwie z niebezpiecznej sytuacji.

# VII.

## NAD JEZIOREM FARAONA

„Anioł Boży, który szedł na przedzie wojsk izraelskich, zmienił miejsce i szedł na tyłach. Słup obłoku również przeszedł z przodu i zajął ich tyły, stając między wojskiem egipskim a wojskiem izraelskim. I tam był obłok ciemnością, tu zaś oświecał noc. I nie zbliżyli się jedni do drugich przez całą noc. Mojżesz wyciągnął rękę nad morze, a Jahwe cofnął wody gwałtownym wiatrem wschodnim, który wiał przez całą noc i uczynił morze suchą ziemią. Wody się rozstały, a synowie Izraela szli przez środek morza po suchej ziemi, mając mur z wód po prawej i po lewej stronie. Egipcjanie ścigali ich, Wszystkie konie faraona, jego rydwany i jeźdźcy ciągnęli za nimi w środek morza. O świcie spojrzął Jahwe ze słupa ognia i ze słupa obłoku na wojsko egipskie i zmusił je do ucieczki. I połamał koła ich rydwanów, tak że z wielką trudnością mogli się naprzód posuwać. Egipcjanie krzyknęli: „Uciekajmy przed Izraelem, bo Jahwe walczy za nim z Egipcjanami”. A Jahwe rzekł do Mojżesza: „Wyciągnij rękę nad morze, aby wody zalały Egipcjan, ich rydwany i jeźdźców”. Wyciągnął Mojżesz rękę nad morze, które o brzasku dnia wróciło na swoje miejsce. Egipcjanie uciekając, biegli naprzeciw falom, i pogrążył ich Jahwe w pośrodku morza. Powracające fale zatopiły rydwany i jeźdźców całego wojska faraona, które weszło w morze, ścigając synów Izraela. Nie ocalał z nich ani jeden. Synowie zaś Izraela szli po suchym dnie morskim, mając mur z wód po prawej i po lewej stronie. W tym to dniu wybawił Jahwe Izraela z rąk Egipcjan. I widzieli Izraelici martwych Egipcjan na brzegu morza. Gdy Izraelici widzieli wielkie dzieło, którego dokonał Jahwe wobec Egipcjan, lękali się Jahwe i uwierzyli Jemu oraz jego słudze Mojżeszowi...”

Ten fragment z drugiej księgi Mojżesza (rozdział czternasty, wiersze od dziewiętnastego do trzydziestego pierwszego) przyszedł mi na myśl, kiedy zatrzymałem swego wielbłąda w dolinie, aby rzucić okiem na błyszczące w słońcu fale Morza Czerwonego. Odczułem również coś niecoś z owego lęku, jaki swego czasu wzbudził widok tego morza w sercach dzieci Izraela. Nie była to obawa przed żywiołem, w którym niestety ciągle jeszcze można utonąć, lecz obleciał mnie ów święty, nabożny strach, jaki odczuwa każdy wierzący, kiedy znajdzie się w miejscu, w którym, jak głosi historia biblijna, spoczęła stopa Wiekuistego i Jego ręka kierowała losami ludzkimi. Zdawało mi się, że słyszę głos, rozkazujący synowi Amrama i Jochabedy: „Mojżeszu, Mojżeszu! Nie zbliżaj się, lecz zdejm sandały z nóg, gdyż miejsce, na którym stoisz, jest święte!”

Za mną leżał więc kraj Ozyrysa i Izydy, kraj piramid i sfinksów, kraj, w którym lud Boży dźwigał ciężkie jarzmo niewoli i taszczył z kamieniołomów głązy na budowę owych cudownych dzieł, które dziś jeszcze wzbudzają podziw podróżujących wzdłuż Nilu. W trzcinie starej, dostojnej rzeki królewska córka znalazła chłopię, które powołane zostało, żeby wyprowadzić naród z niewoli i dać temu narodowi prawa, zawarte w dziesięciu przykazaniach boskich, prawa, które jeszcze po tysiącach lat stanowią podstawę wszelkich praw i nakazów.

Przede mną, u moich stóp, lśniły w słonecznym żarze wody zatoki, stanowiącej północno-zachodnią odnogę Morza Czerwonego, Te wody, posłuszne niegdyś głosowi Jahwe, rozstały się, tworząc dwie ściany, między którymi uciemiężeni mieszkańcy kraju Goszen znaleźli drogę do wolności, podczas gdy naród ich gnębieli i prześladowców poniósł okropną porażkę. Były to te same fale morskie, w których później omal nie zginął Napoleon Bonaparte, zwany przez Arabów sułtanem „el Kebir”.

A naprzeciwko Birket Faraun, czyli jeziora Faraona, jak Arabowie zwą miejsce, w którym fale



morskie pochłonęły Egipcjan, wznosi się skała Synaju, najświętszej góry świata, opierającej się działaniu czasu tak potężnie, jak potężnie niegdyś z jej szczytu rozległy się słowa: „Ja jestem Jahwe, twój Bóg; nie będziesz miał innych bogów przede mną!”

Właśnie historia związana z tym miejscem tak bardzo raną wstrząsnęła. Jakżeż często siedziałem zasłuchany, wstrzymując oddech, na kolanach mojej starej, dobrej, pobożnej babki, kiedy opowiadała mi o stworzeniu świata, o grzechu pierworodnym, o bratobójstwie, potopie, Sodomie i Gomorze, i o ustanowieniu praw na górze Synaj. Składała moje małe ręce jak do modlitwy, ażeby z należnym nabożeństwem powtarzał za nią dziesięciokrotne „nie będziesz”. Teraz ziemską powłoka mojej dobrej babki od dawna już spoczywała w ziemi, a ja oglądałem miejsca, które zostały mi przez nią tak barwnie opisane, chociaż widziała je tylko oczyma swojej duszy. Przyszły mi na myśl słowa poety:

*Całkiem inaczej brzmią te święte dane, co w księdze ksiąg zostały opisane, gdzie w każdym słowie płonie Boży duch. Im tylko możesz prawdziwie zawierzyć, głębię ich czaru własnym sercem zmierzyć, gdyż tchnieniem swoim przenika je Bóg.*

Najdumniejsza myśl ludzka nie jest w stanie zrodzić głębszego przekonania od tego, jakie niesie z sobą głęboka wiara. To było to, co w owej chwili tak żywo odczuwałem i siedząc na wielbłądzie mógłbym jeszcze długo, pogrążony w myślach, patrzeć w stronę Synaju, gdyby głos dzielnego Halefa nie wyrwał mnie z zadumy.

— Hamdulillah, Bogu niech będą dzięki, że pustynia została poza nami! Sihdi, tu jest woda! Zsiądź z wielbłąda i zażyj rozkoszy kąpieli, tak jak ja to teraz zrobię!

Słyszac to, jeden z Beduinów, którzy byli naszymi przewodnikami, podszedł do mnie i podniósł ostrzegawczo rękę:

— Nie rób tego, efendi!

— Dlaczego?

— Ponieważ tu mieszka melek el mot, anioł śmierci. Kto tutaj wejdzie do wody, ten albo Utonie, albo wchłonie zarodek śmierci. Każda kropla tego morza jest łzą Egipcjanina. Łzy popłynęły z oczu setek, tysięcy Egipcjan, którzy tu zginęli, gdyż chcieli ścigać Mojżesza i jego lud. To miejsce omijają łodzie i statki, zostało ono bowiem przez Allaha przeklęte.

— Chciałem tu poczekać na jakiś statek.

— Czy masz zamiar dostać się do Suezu? Nie musisz tam płynąć statkiem. Będziemy nadal twoimi przewodnikami i na naszych wielbłądach dotrzesz do celu wcześniej niż statkiem.

— Nie chcę jechać do Suezu, lecz do Tur.

— W takim razie musisz skorzystać z drogi wodnej. Ale tu nie zawinie żaden statek. Pozwól, żebyśmy ci towarzyszyli jeszcze kawałek drogi na południe, aż dojedziemy do miejsca, gdzie nie mieszkają żadne duchy i gdzie każdy statek chętnie się zatrzyma, żeby cię wziąć na pokład.

— Jak długo więc jeszcze musimy jechać na wielbłądach?

— Niecałe trzy godziny!

— Wobec tego naprzód!

Żeby dotrzeć do Morza Czerwonego, nie obrałem zwykłej drogi z Kairu do Suezu. Przestrzeń między tymi miastami od dawna już nie zasługuje na miano pustyni. Kiedy jeszcze nią była, bano się jej, gdyż była całkowicie pozbawiona wody, a poza tym grasowały na niej bandy zbójceckich Beduinów. Teraz jest inaczej i to było powodem, że wolałem się kierować bardziej na południe. Jazda na wielbłądzie przez pustkowia ma dla mnie więcej uroku, niż podróż po utartych drogach. Dlatego też teraz wolałem również ominąć Suez, mógłby mi bowiem zaofiarować tylko to, co już widziałem i poznałem.

Niebawem wyłoniły się przed nami dwa łyse wzgórza: Dżekem i Da Ad, a kiedy na prawo od nas ukazał się wysoki szczyt góry Gharib, mieliśmy już. poza sobą grób faraona. Po naszej lewej stronie Morze Czerwone tworzyło zatokę, w której stał na kotwicy statek.

Była to jedna z owych barek, które na Morzu Czerwonym zwa „sambukami”. Barka miała mniej więcej osiemnaście metrów długości i pięć metrów szerokości, a na jej małym tylnym pomoście znajdowała się przegroda z wydzielonym miejscem dla kapitana lub wytwornych pasażerów. Sambuk jest wyposażony poza wiosłami — gdyż może się poruszać także przy ich pomocy — w dwa trójkątne żagle, z których jeden umieszczony jest tak daleko od drugiego, że kiedy przedni żagiel wydmie wiatr, płachta żaglowa wznosi się nad całą przednią częścią statku, tworząc coś w rodzaju półkolistego balonu, jak to widać na antycznych monetach i starych freskach. Można przypuszczać, że w tej części morza statki pod względem budowy, napędu i osprzętu są jeszcze takie same, jakich tu używano w zamierzchłych czasach i że dzisiejsi marynarze zakotwiczą je w tych samych zatokach i miejscach, które służyły temu celowi już wtedy, kiedy Dionizos odbywał swą słynną podróż do Indii. Statki żeglugi przybrzeżnej na Morzu Czerwonym są zazwyczaj budowane z owego indyjskiego drewna, które Arabowie nazywają „sadż”, a które z biegiem czasu tak twardnieje w wodzie, że nie można weń wbić gwoźdź. To drewno nie podlega również gniciu i dlatego można jeszcze napotkać łodzie-sambuki, które mają prawie dwieście lat.

Żegluga w Zatoce Sueskiej jest bardzo niebezpieczna. Dlatego nie uprawia się tutaj nawigacji nocą, lecz przed zmierzchem każdy statek szuka bezpiecznego miejsca do zarzucenia kotwicy.

Wspomniany statek także tak uczynił. Był zakotwiczony i przymocowany linami stał przy nabrzeżu bez załogi. Marynarze tego statku biwakowali nad małą zatoką. Jeden z żeglarzy siedział nieco z boku na macie. Minę miał ważną i nadętą. Był to zapewne kapitan lub właściciel statku. Zorientowałem się od razu, że nie był Arabem, lecz Turkiem. Na sambuku powiewała bandera sułtana, a ludzie z załogi mieli na sobie tureckie mundury.

Nikt z biwakujących nie ruszył się z miejsca, kiedyśmy się do nich zbliżali. Podjechałem do domniemanego przywódcy, podniosłem prawicę do piersi i pozdrowiłem go nie po turecku, lecz po arabsku:

— Niech Bóg cię ma w swojej opiece! Czy jesteś kapitanem tego statku?

Turek podniósł na mnie dumny wzrok, zmierzył mnie od stóp do głów i w końcu odpowiedział:

— Jestem nim.

— Dokąd udaje się twój statek?

— We wszystkie strony.

— Jaki wiesz ładunek?

— Rozmaity.

— Czy przewozisz także podróżnych?

— Tego nie wiem.

Jego odpowiedzi były nie tylko lakoniczne, ale i bezczelne.

Nie oburzyłem się jednak, lecz zdjęty litością dla niego, powiedziałem:

— Jesteś jednym z tych nieszczęśliwych, których Koran poleca miłosierdziu wiernych. Żal mi ciebie.

Spojrzał na mnie na pół gniewnie, na pół zdziwiony.

— Żal ci mnie? Nazywasz mnie nieszczęśliwym? Dlaczegoż to?

— Allah obdarzył cię mową; lecz twoja dusza jest niema. Skieruj się twarzą w stronę Mekki i proś Boga, żeby wrócił mowę twojej duszy, w przeciwnym razie nie będzie się mogła dostać do raju.

Kapitan uśmiechnął się pogardliwie i położył rękę na pasie, w którym tkwiły dwa pistolety.

— Milczenie jest lepsze od paplaniny — odezwał się z naganą. — Jesteś paplą; gümrükszi-baszi Murad Ibrahim woli jednak milczeć.

— Gümrükszi-baszi? Główny poborca cła? Jesteś wielkim i znanym człowiekiem, ale mimo to odpowiesz na moje pytania.

— Ty mi grozisz? Widzę, że moje domysły były słuszne. Jesteś Arabem z plemienia Džeheine.

Arabowie z tego plemienia są znani nad Morzem Czerwonym jako przemytnicy i rabusie. Poborca cła wziął mnie za takiego rozbójnika. To było powodem jego niegrzecznego zachowania się wobec mnie.

— Boisz się Džeheinów? — zapytałem.

— Czy się boję? Murad Ibrahim jeszcze się nigdy nie bał.

Jakkolwiek jego oczy błyszczały przy tych słowach dumą, to jednak wyraz jego twarzy pozwalał mi wątpić w jego odwagę.

— A gdybym był członkiem tego plemienia?

— Nie obawiałbym się ciebie.

— Możliwe. Masz dwunastu marynarzy i ośmiu celników, podczas gdy nas jest tylko czterech. Ale ja nie należę do plemienia Džeheine i w ogóle nie jestem Arabem, lecz pochodzę z Zachodu.

— Z Zachodu? Masz na sobie ubiór Beduina i mówisz po arabsku! — Czy to zabronione?

— Nie. Jesteś Francuzem lub Anglikiem?

— Jestem Niemcem.

— Niemcem! — powtórzył z lekceważącą miną. — Jesteś więc ogrodnikiem lub kupcem?

— Ani jednym, ani drugim Jestem pisarzem.

— Pisarzem? Biada, a ja miałem cię za dzielnego Beduina! Kim jest pisarz? Pisarz to nie mężczyzna. Pisarz to człowiek, który zjada pióra i pije atrament. Pisarz nie ma krwi ani serca, ani odwagi, ani...

— Dość! — przerwał mu Halef. — Muradzie Ibrahimie, czy widzisz, co trzymam w ręce?

Mały Halef zsiadł z wielbłąda i stanął przed Turkiem z biczem w ręku. Turek ściągnął groźnie brwi, odpowiedział jednak:

— Szpicrutę.

— Właśnie. Jestem Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn, Hadzi Dawuhd al Gossarah. Ten efendi to Kara ben Nemsy, który nikogo się nie boi. Przewędrowałem z nim Saharę i cały Egipt. Razem dokonaliśmy wielkich bohaterских czynów. Będzie się o nas opowiadać we wszystkich kawiarniach świata i jeśli się odważysz powiedzieć choćby tylko jeszcze jedno słowo, które się memu panu nie spodoba, to zakosztujesz tego bicza, pomimo że jesteś gümrükszi--baszi i masz przy sobie wielu ludzi!

Ta groźba poskutkowała nadspodziewanie szybko. Dwaj Beduini, którzy mi dotąd towarzyszyli, przerażeni śmiałością Halefa, cofnęli się o kilka kroków. Marynarze i pozostałe osoby, towarzyszące Turkowi, wszyscy skoczyli na równe nogi, chwytając za broń. Poborca cła podniósł się równie szybko. Sięgnął po swój pistolet, lecz Halef przyłożył mu już do piersi lufę swojej broni.

— Bierzcie go! — rozkazał poborca ceł. Sam jednak z ostrożności opuścił swój pistolet ku ziemi. Jego ludzie zachowali co prawda groźne miny, lecz nikt nie odważył się podnieść ręki na Halefa.

— Czy wiesz, co to znaczy grozić batem urzędnikowi, a w dodatku głównemu poborcy cła? — spytał Turek.

— Wiem — odparł Halef. — Grozić biczem głównemu poborcy ceł znaczy, że istotnie sprawi mu się lanie, jeśli się odważy nadal używać obraźliwych słów. Jesteś Turkiem, niewolnikiem sułtana. Ja natomiast jestem wolnym Arabem!

Tymczasem doprowadziłem swojego wielbłąda również do kłęku, zsiadłem i pokazałem Muradowi mój paszport.

— Muradzie Ibrahimie — rzekłem — widzisz, że my się jeszcze mniej was boimy, niż wy nas.

Popełniłeś wielki błąd, gdyż obraziłeś osobę pozostającą pod pieczęcią sułtana!

— Pod opieką sułtana? Którego oby Aliah błogosławił. Kogo masz na myśli?

— Siebie.

— Jak to siebie? Jesteś Niemcem, a więc giaurem...

— Znowu mnie łżysz! — przerwałem mu.

— Jesteś niewiernym, a o giurach napisane jest w Koranie: „O wierni, nie zawierajcie przyjaźni z takimi, którzy nie wyznają waszej religii. Oni nie zaniechają nakłaniać was do złego i życzą sobie waszej zguby!” Jak więc może niewierny pozostawać pod opieką sułtana, opiekuna wszystkich wiernych?

— Znam słowa, które zacytowałeś — odrzekłem. — zapisane są w trzeciej surze Koranu, zwanej Al Imran, czyli „Rodzina Imrana”. Ze inną sprawą przedstawia się inaczej. Otwórz oczy i złóż w pokorze ukłon przed bujuruldu padyszacha. Oto ten dokument!

Murad wziął papier do ręki, przyłożył do czoła, oczu i piersi, ukłonił się aż do ziemi i przeczytał.

Jak otrzymałem bujuruldu? Czytelnik przypomina sobie zapewne, że w Tunezji, ani też w Egipcie, takiej legitymacji nie posiadałem. W Kairze natomiast udało mi się wyświadczyć pewnemu wpływowemu egipskiemu urzędnikowi małą przysługę. Chciał mi się odwdziaczyć i poprosił, bym wyraził jakieś życzenie, które by mógł spełnić. Ponieważ w swojej dotychczasowej podróży miałem niejednokrotnie okazję zauważyć, jak korzystne jest posiadanie bujuruldu, poprosiłem o nie. Już następnego dnia miałem ten dokument w ręku...

— Dlaczego mi zaraz nie powiedziałaś, że jesteś podopiecznym sułtana? Wówczas nie nazwałbym cię giaurem, chociaż jesteś niewiernym. Witaj, efendi!

— Witasz mnie, a równocześnie źle się wyrażasz o mojej wierze? — spytałem karcąco. — My, chrześcijanie, znamy prawa uprzejmości i gościnności lepiej od was. Nie nazywamy was giurarni, mimo że nasz Bóg jest ten sam, którego wy zwiecie Allahem.

— To nieprawda. Mamy tylko Allaha, wy natomiast macie trzech bogów: ojca, syna i ducha.

— Ależ mamy tylko jednego Boga, gdyż ojciec, syn i duch stanowią jedność. Wy mówicie: „La ilaha ill 'Allah”, czyli: „Nie ma żadnego Boga prócz Boga!” A nasz Bóg powiada: „Jestem mocnym, jedynym Bogiem”. Wasz Koran w drugiej surze głosi: „On jest żywy, wieczny; nie potrzebuje snu ani drzemki; jego jest wszystko, co jest w niebie i na ziemi”. W naszej Biblii, czytamy: „Bóg jest od wieczności do wieczności; wszystko jest otwarte i odkryte przed jego oczami; on stworzył ziemię i niebiosy”. Czyż to nie to samo?

— Tak, wasza księga jest dobra, lecz wasza wiara jest zła.

— Mylisz się. W Koranie jest napisane: „Sprawiedliwość nie polega na tym, żebyście się zwracali twarzą na Wschód czy na Zachód (podczas modlitwy), lecz ten jest sprawiedliwy, który wierzy w Boga, w Sąd Ostateczny, w aniołów, w pismo święte i proroków, i z miłością daje ze swojego majątku krewnym, sierotom, biednym, pątnikom i każdemu, kto go o to prosi. Ten jest sprawiedliwy, kto uwalnia uwięzionych, odmawia modlitwy, dotrzymuje umów, cierpliwie znosi biedę i nieszczęścia. Ten jest sprawiedliwy, ten jest prawdziwie bogobojny”. Nasza święta księga nakazuje nam: „Kochaj Pana Boga nade wszystko, a bliźniego twego jak siebie samego”. Czyż nasza wiara nie nakazuje tego samego, co wasza?

— Do Biblii przepisaliście to dopiero z Koranu.

— Jakże by to było możliwe, skoro nasza Biblia jest mniej więcej o pięćset lat starsza od

waszego Koranu? .

— Jesteś efendim, a efendi zawsze musi znaleźć przyczyny i dowody, nawet kiedy nie ma racji — zakończył Murad Ibrahim tę część rozmowy i zapytał:

— Skąd przybywasz?

— Z kraju Myssyr, z Zachodu.

— A dokąd się udajesz?

— Do Tur, po tamtej stronie.

— A potem?

— Do klasztoru na górze Synaj.

— Musisz się więc przeprawić przez morze.

— Tak. Dokąd płyniesz?

— Także do Tur.

— Zabrałbyś mnie?

— Jeśli dobrze zapłacisz i jako „nieczysty” zadbasz o odpowiednią izolację od nas.

— Bądź spokojny! Ile żądasz za przewiezienie? — Za wszystkich czterech i wielbłądy?

— Tylko za mnie i mojego sługę, Hadzi Halefa. Pozostali dwaj udadzą się ze swoimi wielbłądami w drogę powrotną.

— Czym chcesz zapłacić? Pieniędźmi lub czymś innym?

— Pieniędźmi.

— Czy chcesz brać od nas żywność?

— Nie. Dacie nam tylko wodę.

— To zapłacisz za siebie dziesięć, a za Hadzi Halefa osiem massri. Wybuchnąłem śmiechem. Było to bowiem typowe dla Turka, żeby za tak krótką podróż przez zatokę i kilka łyków wody żądać osiemnaście massri, a więc prawie dwadzieścia cztery talary.

— Czy dopłyniesz przez jeden dzień mniej więcej do zatoki przy Ras Nayaset, gdzie na noc zakotwiczysz statek? — zapytałem.

— Tak.

— To w południe będziemy w Tur?

— Tak. Dlaczego pytasz?

— Bo ci za tę krótką trasę nie dam osiemnastu massri.

— To będziesz musiał tu pozostać i zapłacisz kapitanowi innego statku jeszcze więcej.

— Ani nie pozostanę, ani też nie pojedę innym statkiem. Pojadę twoim.

— W takim razie dasz mi kwotę, jakiej zażądałem.

— Nie — sprzeciwiłem się. — Posłuchaj, co ci powiem! Ci dwaj mężczyźni wypożyczyli mi swoje zwierzęta i towarzyszyli mi pieszo z Kairu za cztery tereziańskie talary. Podczas pielgrzymki do Mekki przewozi się każdego pątnika przez morze za jednego tereziańskiego talara. Dam ci za mojego służącego i za siebie trzy talary. To zupełnie wystarczy.

— To pozostaniesz tutaj. Mój sambuk nie jest statkiem towarowym; jest własnością sułtana. Moim zadaniem jest zbierać sakat i nie wolno mi brać na statek żadnych podróży.

— Ale za osiemnaście massri to ci wolno? Właśnie dlatego, że twój sambuk jest własnością sułtana, będziesz mnie musiał zabrać. Przeczytaj jeszcze raz moje bujuruldu! Jest tam wyraźnie napisane: „her new'imdadda bulunmak — emnietine dykkat etmek — bedelssis olssa bile”, co znaczy: „udzielić wszelkiej pomocy, dbać o bezpieczeństwo, nawet bez zapłaty”. Zrozumiałeś? Kapitanowi prywatnego statku musiałbym zapłacić, urzędnikowi płacić nie potrzebuję. Daję ci dobrowolnie trzy talary. Jeśli ci to nie odpowiada, będziesz musiał przewieźć mnie za darmo.

Starszy poborca podatkowy, zapędzony w kozi róg, zaczął obniżyć swoje żądania. Wreszcie po długich targach wyciągnął do mnie rękę:

- Niech tak będzie. Jesteś pod opieką sułtana i przewiozę cię za trzy talary. Daj mi je!
- Zapłacę ci, opuszczając statek w Tur.
- Efendi, czy wszyscy chrześcijanie są tacy skąpi jak ty?
- Nie są skąpi, lecz ostrożni. Pozwól, że udam się na pokład! Nie będę spał na lądzie, lecz na statku.

Zapłaciłem należność swoim przewodnikom, dając im poza tym bakszysz. Dosiedli wielbłądów i mimo późnej pory udali się w drogę powrotną. Wszedłem razem z Halefem na statek, gdyż nie miałem namiotu. Podróżując przez pustynię, cierpi się bowiem podczas dnia od upału, a w nocy od wielkiego zimna. Kogo nie stać na namiot, przytula się nocą do swojego wielbłąda czy konia, żeby odpoczywając trochę się ogrzać ciepłem zwierzęcia. Nie miałem już wielbłąda, a ponieważ chłód nocy bardziej się dawał we znaki nad wodą niż w głębi lądu, wolałem schronić się przed zimnem na statku, gdzie ulokowałem się na rufie za przepierzeniem.

— Sihdi — spytał mnie Halef — czy dobrze zrobiłem grożąc temu poborcy podatkowemu szpicrutą?

- Nie zganię cię za to.
- Ale dlaczego wszystkim mówisz, że jesteś niewiernym?
- Czy należy się bać prawdy?

— Nie. Ale przecież jesteś już w drodze do miejsca, w którym staniesz się wiernym. Znajdujemy się na morzu, które Francuzi nazywają Morzem Czerwonym. Tam leży Medyna, a nieco dalej w prawo Mekka, miasta Proroka. Odwiedzę je obydwaj, a ty... co będziesz robił?

Halef wypowiedział pytanie, które sam sobie skrycie zadawałem przez ostatnie dni podróży. Chrześcijaninowi, który waży się przestąpić próg przybytku w Mekce lub w Medynie, grozi śmierć; tak napisano w księgach. Czy jednak rzeczywiście istnieje takie niebezpieczeństwo? Czy zaszedłszy tam, trzeba koniecznie powiedzieć, że się jest chrześcijaninem? Czy nie ma różnicy między okresem spokoju a owymi dniami, w których przybywają tam karawany pielgrzymów i żarliwość religijna dochodzi do zenitu? Wielokrotnie czytałem, że niewiernemu nie wolno wchodzić do meczetu, a później bywałem bez przeszkód w różnych meczetach. Czyż z wejściem do świętych miast nie może być podobnie? Miałem sposobność przekonać się, że ludzie Wschodu pod wieloma względami są zupełnie inni, a zwłaszcza trzeźwiej myślący, niż to sobie człowiek Zachodu zazwyczaj wyobraża, i nie mogłem wprost uwierzyć, żeby krótki, może tylko godzinny pobyt w Mekce, mógł być naprawdę tak bardzo niebezpieczny. Turek wszak wziął mnie za Beduina; było więc prawdopodobne, że inni też tak pomyślą. Tak sobie wmawiałem, a mimo to nie mogłem się zdecydować.

Toteż na pytanie Halefa odpowiedziałem:

- Tego jeszcze nie wiem.
- Udasz się ze mną do Mekki, sihdi, a przedtem w Dziddzie przyjmiesz prawdziwą wiarę.
- Nie, tego nie zrobię.

Wołanie z lądu przerwało naszą rozmowę. Turek wzywał załogę statku do wieczornej modlitwy.

— Sihdi — rzekł Halef — słońce zachodzi. Pozwól mi się modlić! Ukłęknał i oddał się modłom. Jego głos mieszał się z monotonną modlitwą Turków. Ledwie przebrzmiały modły marynarzy, gdy dał się słyszeć inny głos. Dochodził z skały, zamykającej widok na północną stronę morza.

— Allah daje nam wszystko i jest wspaniały, ten nasz obrońca. Nie ma mocy i potęgi poza jego potęgą i mocą. O panie nasz, ia Allah, o ty, który chętnie przebaczasz, o litościwy, ia Allah, Allah hu! Te słowa zostały raczej wyśpiewane niż wypowiedziane głębokim basem, tylko imię Allaha

modlący się wypowiadał za każdym razem głosem o kwintę wyższym. Te słowa i ten ton były mi znane; tak modlą się płaczący derwisze. Turcy wstali z klęczek i patrzyli w kierunku, z którego dochodził głos. Tam ukazała się mała tratwa, zaledwie dwumetrowej szerokości. Na niej klęczał mężczyzna, który do taktu zanurzanych wiosł wyśpiewywał swoją modlitwę. Na głowie wokół czerwonego tarbusza owinięty miał biały turban i biała była także jego odzież. Oznaczało to, że był członkiem zakonu Kadirów, do którego należą tutaj przeważnie rybacy i żeglarze. Zakon ten założył Abdel-kadir le Dżilani. Kiedy człowiek na tratwie zobaczył nasz statek, zawahał się chwilę, potem jednak zawołał:

— La ilaha illa-Llah, czyli: Nie ma boga prócz Allaha!

— Ill' Allah! — odpowiedzieli wszyscy chórem. Derwisz skierował swoją tratwę do sambuka i znalazłszy się przy jego burcie, wszedł na pokład. Poza mną i Halefem znajdował się na statku również sternik. Przybysz zwrócił się do niego:

— Niech Bóg cię ma w swojej opiece!

— Mnie i ciebie! — brzmiała odpowiedź.

— Jak się miewasz? — Tak dobrze jak ty.

— Do kogo należy ten sambuk?

— Do jego wysokości sułtana, ulubieńca Allaha.

— Kto jest kapitanem statku?

— Nasz efendi, starszy poborca podatku, Murad Ibrahim.

— A co wieziecie?

— Nie mamy żadnego ładunku; płyniemy od miejscowości do miejscowości i inkasujemy podatek dla biednych.

— Czy wierni byli hojni?

— Nikt nie odmówił, gdyż kto daje jałmużnę, temu Allah za to podwójnie odplaca.

— Dokąd stąd płyniecie?

— Do Tur.

— Nie dopłyniecie tam jutro.

— Przybijemy do lądu mniej więcej przy Ras Nayaset. — A ty dokąd się wybierasz?

— Do Dżiddy.

— Na tej tratwie?

— Tak. Złożyłem ślubowanie, że dojadę do Mekki na kolanach.

— Ale zastanów się; progi, rafy, głębie, złe wiatry, które tu hulają i rekiły które mogą otoczyć twoją tratwę!

— Allah jest potężny, on mnie ochroni. Kim są ci dwaj?

— Jeden z nich jest giau... Niemcem, a drugi jego służącym.

— Niewierny? Dokąd chce jechać? — Do Tur.

— Pozwól, że posilę się tutaj swoimi daktylami! Potem popłynę dalej.

— Czy nie zechciałbyś u nas przenocować?

— Muszę płynąć dalej.

— To jednak bardzo niebezpieczne.

— Wierny nie ma się czego obawiać. Jego życie i jego śmierć zapisane są w Księdze.

Usiadł i wydobyl z zanadrza garść daktyli.

Wejście za przepierzenie zastałem zaryglowane. Stałem więc na pokładzie, wychylając się przez balustradę. Ponieważ dwóch rozmawiających dzieliła ode mnie pewna odległość, a ja udawałem, że pilnie wpatruję się w wodę, mogli przypuszczać, że nie słyszę, o czym mówią. Derwisz zapytał:

— Ten człowiek jest Niemcem? Czy jest bogaty?

— Nie.

— Skąd to wiesz?

— Daje tylko szóstą część tego, co zażądaliśmy za przewóz. Ale posiada bujuruldu sułtana.

— To zapewne jest jakąś dostojną osobą. Czy ma dużo bagażu?

— Żadnego, ale ma dobrą broń.

— Nie widziałem jeszcze żadnego Niemca, lecz słyszałem, że członkowie tego narodu są usposobieni pokojowo. Ten człowiek nosi zapewne broń tylko po to, żeby się nią pysznić. Skończyłem posiłek; pojedę dalej. Podziękuj swemu panu, że pozwolił biedakowi wejść na jego statek!

W kilka chwil później derwisz klęczał znów na swojej tratwie. Ujął wiosła i poruszał nimi w takt śpiewanego przez siebie: „ia Allah, Allah hu!”

Człowiek ten wywarł na mnie dziwne wrażenie. Dlaczego wszedł na statek, a nie przybił po prostu do brzegu? Dlaczego pytał, czy jestem bogaty i przez cały czas rozmowy lustrował baczenie pokład? Nie miałem podstaw do jakichkolwiek obaw, a jednak ten osobnik wydał mi się podejrzany. Mógłbym przysiąc, że nie jest derwiszem.

Kiedy już gołym okiem nie można było dostrzec tratwy, skierowałem w jej kierunku swoją lunetę. Jakkolwiek w tych stronach szybko zapada zmierzch, było jeszcze dość jasno, żeby przez szkła powiększające zobaczyć oddalającą się tratwę. Derwisz nie klęczał już na niej, zgodnie ze swoim rzekomym ślubowaniem, lecz siedział wygodnie, wiosłując ku przeciwległemu brzegowi. Coś tu się w każdym razie nie zgadzało.

Halef, obserwując mnie, starał się odgadnąć moje myśli.

— Czy widzisz jeszcze tego fakira, sihdi? — zapytał.

— Tak.

— Myśli zapewne, że my go już nie widzimy i steruje w kierunku lądu?

— Tak jest istotnie. Dlaczego tak przypuszczasz?

— Tylko Allah jest wszechwiedzący, lecz Halef też ma bystre oczy.

— I cóż te oczy odkryły?

— Że ten człowiek nie jest fakirem.

— Czyżby?

— Tak, sihdi. Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby derwisz zakonu Kadirów odmawiał i śpiewał litanie płaczących derwiszy?

— Masz rację. Ale dlaczego miałby się podawać za fakira, skoro nim nie jest?

— Postarajmy się rozwiązać tę zagadkę, sihdi. Powiedział, że będzie płynął także nocą. Dlaczego tego nie robi?

Naszą rozmowę przerwał sternik. Zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Gdzie będziesz spał, efendi?

— Położę się za przepierzeniem. — To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Ponieważ tam przechowuje się pieniądze.

— W takim razie przynieś nam dywany, którymi się owiniemy! Będziemy spali na pokładzie.

— Dam ci dywany. Powiedz jednak, co byś zrobił, gdyby do statku zbliżyli się wrogowie?

— Jakich wrogów masz na myśli?

— Rabusiów.

— Czy tu grasują rozbójnicy?



— W pobliżu mieszkają Arabowie z plemienia Dżeheine. Są powszechnie znani jako najwięksi złodzieje i żaden statek ani człowiek nie jest od nich bezpieczny.

— Sądzę, że wasz pan, starszy poborca podatków, Murad Ibrahim jest dzielnym mężczyzną, który nie boi się nikogo?

— Jest rzeczywiście dzielny i odważny. Cóż jednak nawet razem z nami wszystkimi jest w stanie począć przeciwko Abu Seifowi, zwanemu „ojcem szabli”, który jest niebezpieczniejszy i straszniejszy od lwa w górach lub od rekina w morzu?

— Abu Seif? Nie znam go; nigdy o nim nie słyszałem.

— Ponieważ jesteś tu obcy. W okresie wypraw Arabowie Dżeheine lokują swoje stada na dwóch wyspach Libua i Hassani, pozostawiając przy zwierzętach tylko kilku pasterzy. Wszyscy inni w tym czasie trudnią się rozbojem. Napadają na statki, zabierając wszystko, co na nich znajdują, lub wymuszają wysoki okup. Abu Seif jest ich przywódcą.

— A rząd ich nie zwalcza?

— Jaki rząd?

— Czy nie władza tutaj padyszach?

— Jego władza tak daleko nie sięga. Arabowie Dżeheine są wołanymi Arabami, których chroni wielki szeryf Mekki.

— No to sami sobie poradzcie! Złapcie tych rabusiów!

— Efendi, mówisz jak Francuz, który nie zna tutejszych stosunków. Kto może złapać i zabić Abu Seifa?

— Przecież jest też tylko człowiekiem.

— Ale Abu Seif jest w zмовie z szatanem. Przy jego pomocy może się stać niewidzialny; może się wzbic w powietrze i przelecieć morze; nie zrani go ani nóż, ani kula, natomiast jego szabla jest zaczarowana. Abu Seif przenika przez zamknięte drzwi i mury, i jednym ciosem przecina stu i więcej wrogów.

— Chciałbym go zobaczyć!

— Biada, nie życz sobie tego, efendi! Diabeł mu powie, że go pragniesz widzieć i wtedy możesz być pewien, że się zjawi. Idę teraz po dywany dla ciebie. Połóż się spać, lecz przedtem pomódl się do swojego Boga, żeby cię chronił przed groźącymi ci niebezpieczeństwami!

— Dziękuję ci za radę; zawsze się modłę przed nocnym spoczynkiem.

Sternik przyniósł nam koce. Okryliśmy się nimi i wkrótce zmorzył nas sen, gdyż po długiej jeździe na wielbłądach byliśmy zmęczeni. Przez całą noc kilku marynarzy pilnowało zarówno śpiących na lądzie, jak i pieniędzy na statku. Rankiem zebrali się wszyscy na pokładzie. Podniesiono kotwicę, statek odcumowano, rozwinięto żagle i sambuk ruszył w kierunku południowo-wschodnim.

Płynęliśmy już mniej więcej trzy kwadransy, kiedy zauważyliśmy przed nami łódź, podążającą w tym samym kierunku co nasz statek. Zbliżywszy się do łodzi, stwierdziliśmy, że siedzą w niej dwaj mężczyźni i dwie zawoalowane kobiety.

Łódź zatrzymała się wkrótce i znajdujący się w niej mężczyźni dali znak, że chcą z nami nawiązać kontakt. Sternik opuścił żagle, zmniejszając tym samym szybkość naszego statku. Jeden z dwóch wiosłarzy w łodzi wstał i zawołał:

— Dokąd płynie wasz sambuk?

— Do Tur.

— My także tam podążamy. Czy chcecie nas wziąć na pokład?

— Zapłacicie?

— Chętnie.

— To wchodźcie!

Łódź dobiła do statku i została wzięta na hol, a cztery osoby weszły na pokład, po czym sambuk ruszył w dalszy rejs:

Kapitan statku udał się do kajuty, aby przygotować miejsce dla kobiet, które niebawem znikły nam z oczu. Musiały przejść koło mnie. Jako Europejczyk nie musiałem się odwracać, kiedy przechodziły i ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie szedł od nich najmniejszy powiew wonności; kobiety Wschodu zazwyczaj używają wonnych zapachów w takiej ilości, że się je czuje już na znaczną odległość. Zaatakował mi natomiast nozdrza ciągnący się za nimi jak niewidzialny ogon dobrze znany każdemu człowiekowi Wschodu zapach, którym nasiąka odzienie ludzi stykających się z wielbłędami, a poza tym woń niesfermentowanego, ostrego tytoniu, który pali wielu Beduinów. Tytoń ten drażni nerwy powonienia i smaku w ten sposób, jak kiedyś zawartość francuskich materacy 7, trawy morskiej, którą podczas wojny niemiecko-francuskiej w latach tysiąc osiemset siedemdziesiąt i siedemdziesiąt jeden niemal każdy niemiecki wojak napychał swoją fajkę. Odniosłem wrażenie, że przeszli koło mnie dwaj poganiacze wielbłędów. Pewne było w każdym razie, że sławny perski poeta Hafis nie zastosowałby do tych dwóch piękności strof swojego wiersza: „Gdy przyjemny zapach twoich włosów owionie mój grób, to tysiąc kwiatów na nim wyrośnie...” Obserwowałem te niewiasty uważnie, dopóki nie zniknęły za drzwiami przepierzenia, jednak nic szczególnego nie udało mi się zauważyć. Może miały za sobą długą podróż na wielbłędach i niełatwo im było wywietrzyć odzież po wielbłędzich wyziewach.

Dwaj towarzysze niewiast rozmawiali najpierw dłuższy czas ze sternikiem i poborcą podatków. Potem jeden z przybyłych zwrócił się do mnie:

— Słyszę, że jesteś Frankiem, efendi?

— Tak.

— To nie jesteś tu znany?

— Prawie nie.

— Jesteś Niemcem?

— Tak.

— Czy Niemcy mają także padyszacha?

— Owszem.

— A paszów?

— Także.

— Ty chyba nie jesteś paszą?

— Nie.

— Ale sławnym człowiekiem?

— Bardzo sławnym!

— Umiesz pisać?

— Jeszcze jak!

— Strzelać także? — Jeszcze lepiej!

— Zapewne jedziesz do Tur?

— Tak.

— A potem udajesz się jeszcze dalej na południe?

— Tak.

— Czy masz znajomych Anglików?

— Tak.

— Masz wśród nich przyjaciół?

— Tak.

— To bardzo dobrze. Czy jesteś silny?

— Strasznie — jak lew! Czy mam ci to udowodnić?

— Nie, efendi.

— A jednak mam na to ochotę, gdyż twoja ciekawość przerasta ludzką cierpliwość. Wynos się i nie waz mi się więcej pokazywać na oczy.

Chwyciłem tego człowieka, odwróciłem i pchnąłem tak, że wylądował na brzuchu, daleko na pokładzie. Wstał jednak natychmiast.

— Biada ci! — krzyknął. — Obraziłeś wiernego, musisz więc umrzeć!

Wyszarpnął z zanadrza handźar i rzucił się z nim w moim kierunku. Jego towarzysz spieszył mu z pomocą, także z dobytą bronią. Szybko wyciągnąłem Halefowi zza pasa jego bicz, aby nim powitać napastników. Nie doszło jednak do starcia, gdyż nagle otworzyły się drzwi przepierzenia, a w nim pojawiła się jedna z kobiet. Podniosła milcząco rękę i zaraz się cofnęła. Arabowie zatrzymali się i odeszli na bok bez słowa. Jednakże ich spojrzenia mówiły, że nic dobrego mnie z ich strony nie czeka...

Turcy przyglądali się zajściu obojętnie. Gdyby ktoś na statku został zabity, przyjęliby to jako kismet.

Rozsierzdziły mnie wścibskie, niepotrzebne pytania. Czy jednak naprawdę były takie zbędne? Czy nie krył się w nich jakiś cel? Człowiek Wschodu bywa na ogół powściągliwy w stosunku do obcych, a tym bardziej w stosunku do nieznanego, o którym wie, że jest giałrem.

Rozgniewany, podałem się za sławnego człowieka i doborowego strzelca. Dlaczego ten człowiek chciał wiedzieć, czy jestem paszą, znaną-osobistością, pisarzem, dobrym strzelcem? Jaką mógł mieć korzyść z wiadomości, czy jadę dalej na południe i czy mam przyjaciół wśród Anglików? Dlaczego, kiedy odpowiedziałem twierdząco na to ostatnie pytanie, powiedział: „to bardzo dobrze” i w jakim celu dowiadywał się, czy jestem silny? A poza tym stawiał pytania jak sędzia śledczy obwinionemu. Najwięcej jednak podejrzeń wzbudziło we mnie natychmiastowe posłuszeństwo, jakie zarówno on jak i jego towarzysz okazali kobiecie, która wyszła z za przepierzenia i skinęła im ręką. Tu, gdzie kobieta w hierarchii społecznej stała o wiele niżej od mężczyzny, a w życiu publicznym nie posiadała żadnych praw, było to zapewne niezwykle, nawet podejrzan.

— Sihdi — zwrócił się do mnie Halef, który mnie nie odstępował — czy ją widziałeś?

— Kogo lub co?

— Brodę, którą miała ta kobieta?

— Kobieta? Ta kobieta miała brodę?

— Miała twarz zasłoniętą nie podwójnym jak przedtem, lecz pojedynczym paszmakiem, przez który było widać brodę.

— Może to były wąsy?

— Nie. Bujna, pełna broda. To nie jest kobieta, to jest z całą pewnością mężczyzna. Czy mam to powiedzieć poborcy cła?

— Zrób to, lecz tak, żeby poza nim nikt tego nie słyszał.

Halef poszedł poszukać Murada Ibrahima. W każdym razie na pewno się nie mylił. Wiedziałem, że mogłem zaufać jego bystremu wzrokowi i mimo woli skojarzyłem odkrycie Halefa z poprzednim pojawieniem się derwisza. Widziałem, jak Halef rozmawia z Muradem Ibrahimem Ten kręcił głową i śmiał się. Widocznie nie wierzył Halefowi. Halef odwrócił się od niego zagniewany i powrócił do mnie.

— Sihdi, ten poborca podatków jest tak ograniczony, że nawet mnie uważa za głupiego.

— Jak to?

— A ciebie ma za jeszcze głupszego.

— Coś podobnego!

— Twierdzi, że kobieta nigdy nie nosi brody, a mężczyzna nie Włożyłby nigdy szat kobiecych.

Sihdi, co myślisz o tych brodatych kobietach? Może to Arabowie z plemienia Džeheine?

— Tak przypuszczam.

— Musimy więc czuwać i mieć oczy na wszystko otwarte.

— To jest w każdym razie wskazane. Poza tym musimy się starać nie okazywać naszej nieufności i zainteresowania tymi osobami. Trzymaj się z dala ode mnie, lecz tak byśmy w każdej chwili mogli sobie pospieszyć z pomocą.

Halef oddalił się, ja natomiast usiadłem na dywanie. Zająłem się pisaniem dziennika, nie spuszczać jednak przy tym oka z przepierzenia i obydwóch Arabów na pokładzie. Czułem się tak, jakby mnie w każdej chwili miało spotkać coś nieprzyjemnego. Dzień jednak przeszedł i nie zdarzyło się nic godnego uwagi.

# VIII.

## „OJCIEC SZABLI”

Zapadał już zmierzch, kiedy rzuciliśmy kotwicę w małej zatoce, utworzonej przez zakrzywioną w kształcie podkowy ścianę góry Nayaset, będącej częścią granitowego górskiego łańcucha Synaju.

Wybrzeże było bardzo wąskie, ponieważ zaledwie kilka kroków od brzegu morza wznosiły się strome skały, poprzecinane głębokimi szczelinami. Miejsce zakotwiczenia zabezpieczało więc statek od wiatru, nie wiadomo jednak, czy chroniło również przed innymi niespodziankami. Byłbym chętnie zbadał kilka najbliższych szczelin skalnych, lecz niestety już się ściemniło, zanim Turcy zeszli na ląd, by jak zwykle rozpalić ognisko.

Al-maghrib, a w godzinę później al-asza, obie modlitwy wieczorne rozbrzmiewały uroczyście wśród stromych górskich ścian. Ktokolwiek byłby tu ukryty, musiał nas słyszeć, nawet gdyby nie zauważył naszego ogniska. Wolałem tak jak wczoraj spędzić noc na statku i umówiłem się z Halefem, że będziemy czuwać na zmianę. Później znów kilku marynarzy weszło na statek, żeby pełnić straż, i wówczas zza przepierzenia wyszły również obie kobiety, aby odetchnąć świeżym powietrzem na pokładzie. Miały teraz podwójne zasłony na twarzy. Mogłem to zauważyć, gdyż gwiazdy Południa świeciły tak jasno, że można było objąć wzrokiem cały pokład. Kobiety weszły jednak wkrótce z powrotem do pomieszczenia za przegrodą, której drzwi mogłem obserwować, chociaż tym razem miałem legowisko na dziobie statku.

Halef spał w odległości mniej więcej pięciu kroków ode mnie. O północy zbudziłem go po kryjomu i szepnąłem:

— Czy już odpocząłeś?

— Tak, sihdi, Spij ty teraz!

— Czy mogę na tobie polegać?

— Jak na samym sobie.

— Obudź mnie, jeśli będziesz miał najmniejszy powód do niepokoju!

— Tak zrobię, sihdi.

Owinąłem się mocniej dywanem, przymknąłem oczy i starałem się zasnąć; nie udawało mi się to jednak. Powtarzałem w myśli tabliczkę mnożenia — nie pomogło. Wówczas zastosowałem środek rzekomo sprowadzający sen z całą pewnością. Zamkniętymi oczami przewracałem w ten sposób, że źrenice znalazły się na górnej krawędzi gałek ocznych i starałem się o niczym nie myśleć. Zapadłem w drzemkę i nagle — co to było?

Wymotałem głowę z koca i zerknąłem w stronę Halefa. Coś widocznie także musiało zwrócić jego uwagę, gdyż usiadł i zaczął nadśluchiwać. Nie usłyszałem już nic więcej, lecz kiedy przyłożyłem ucho do desek pokładu, które były lepszym przewodnikiem dźwięku niż powietrze, do moich uszu doszedł znowu dziwny szmer, który mnie obudził, mimo iż był bardzo cichy.

— Czy słyszysz coś, Halefie? — wyszeptałem.

— Tak, sihdi. Co to jest?

— Nie wiem. Słuchaj!

Od rufy sambuka dochodził nas cichy plusk. Na lądzie ognisko już wygasło.

— Halefie, pójdę teraz na kilka minut na tylny pokład. Pilnuj mojej broni i odzieży!

Z trzech Turków, którzy powrócili z lądu, dwóch spało, leżąc na podłodze. Trzeci siedział w kucki i spał także. Być może, że z kajuty mnie obserwowano; musiałem więc zachowywać się bardzo

ostrożnie. Zostawiłem na miejscu fuzję i sztucer oraz zdjąłem turban i płaszcz, których biel mogła mnie zdradzić. Przywarłem potem do podłogi pokładu, doczołgałem się do burty i posuwałem się wzdłuż niej powoli do miejsca, skąd prowadziły schodki w rodzaju drabinki dla kur aa dach przepierzenia i do steru. Wspiąłem się po tych schodkach w górę cicho jak kot.

Podpełzłem aż do steru. Dziwny szmer, jaki przedtem słyszeliśmy, został wyjaśniony. Łódź, która przywiozła obie kobiety i którą wzięto na hol sambuka, została przez kogoś znajdującego się za przegrodą podprowadzona tak blisko statku, że teraz kołysała się na falach tuż pod oknem szerokiej rufy sambuka. W chwili, kiedy ostrożnie spojrzałem w dół, z luku spuszczano właśnie na linie mały, lecz dość ciężki przedmiot. Jego tarcie o brzeg luku wywoływało ów szmer, słyszalny w każdym razie tylko wtedy, kiedy się przyłożyło ucho do desek podłogi na pokładzie. W łodzi znajdowało się trzech mężczyzn, którzy ten przedmiot odebrali, a następnie czekali, aż lina zostanie podciągnięta z powrotem i następny pakunek zjedzie na niej w dół.

Wszystko stało się dla mnie jasne. To co do łodzi ładowano, to były pieniądze, które poborca cła zebrał z tytułu podatku dla biednych. Nie miałem już jednak czasu przyglądać się dalej całemu procederowi.

— Spójrzcie w górę, jesteście odkryci! — rozległ się głęboki głos z wysokiego brzegu, skąd można było obserwować pokład statku. Równocześnie padł strzał i kula utkwiała tuż przy mnie, w piance. Ujrzałem rozbłyski drugiego i trzeciego strzału. Kule szczęśliwie przeleciały obok mnie; nie mogłem się jednak dłużej narażać. Widziałem jeszcze tylko, że odcinano holowniczą linę i że łódź odpłynęła. Zeskoczyłem na pokład.

W tym momencie otwarły się drzwi kajuty i zauważyłem kilku obcych mężczyzn, którzy prawdopodobnie weszli na statek niepostrzeżenie. Kobiet nie dojrzałem, lecz nagle rzuciło się na mnie dziewięciu mężczyzn.

— Halefie, na pomoc! — zawołałem głośno.

Nie miałem czasu wydobyć broni. Trzech napastników objęło mnie wespół, więc nie mogłem sięgnąć do pasa, trzech dalszych wybiegło przeciw Halefowi, a pozostałych trzech starało się uchwycić moje pięści, którymi się broniłem. Z lądu dochodziły strzały, przekleństwa i wołanie o pomoc oraz rozkazy, wydawane owym głębokim basem, który już przedtem poznałem: był to głos derwisza.

— To jest ów Niemiec. Nie zabijajcie go, lecz nie puszczajcie! — nakazał jeden z tych, którzy mnie trzymali.

Starałem się wyrwać. Nie udało się. Sześciu przeciwko jednemu! W pobliżu rozległ się strzał z pistoletu.

— Na pomoc sihdi, jestem ranny! — usłyszałem wołanie Halefa. Szarpnąłem się gwałtownie, porywając ze sobą kilku moich prześladowców.

— Ogłuszcie go! — rozległ się zdyszany głos.

Objęto mnie mocniej i mimo, że rozpaczliwie się broniłem, otrzymałem kilka uderzeń w głowę, które mnie powaliły. Huczało mi w uszach jak podczas gwałtownego przyboju. Poprzez grzmoty kipieli słyszałem trzaskanie karabinów i ludzkie głosy; potem wydało mi się, że związano mi ręce i nogi, i gdzieś mnie wleczono. Wreszcie nie czułem już nic.

Kiedy odzyskałem przytomność, poczułem niesamowity, kłujący ból w potylicy i dopiero po dłuższym czasie przypomniałem sobie, co się wydarzyło. Wokół mnie było ciemno, lecz głośno, wyraźne ssanie pozwalało mi przypuszczać, że znajduję się w zębie szybko płynącego statku. Ręce i nogi miałem tak mocno związane, że nie mogłem nimi poruszać. Co prawda więzy nie wrzynały mi się w ciało, gdyż nie były to sznury ani rzemienie, lecz chusty; nie pozwalały mi jednak odpędzać

szczurów, które po mnie łąziły.

Upłynęło sporo czasu, a w mojej sytuacji nic się nie zmieniało. Nareszcie usłyszałem odgłos kroków, niczego jednak nie mogłem zobaczyć. Zdjęto mi więzy i jakiś głos nakazał:

— Wstań i chodź z nami!

Podniosłem się. Z zęzy prowadzono mnie przez mroczny międzypokład w górę. Po drodze sprawdziłem, zdziwiony, ale i uspokojony, że poza bronią niczego mi nie odebrano.

Wstępując na pokład, zauważyłem, że znajduję się na małej barce, mocno osadzonej na kilu, posiadającej dwa żagle trójkątne i jeden w kształcie trapezu. Tego rodzaju takielunek na morzu bogatym w rafy, mielizny i otchłanie, na morzu, nad którym często harują szkwały i przewalają się sztormy, wymagał od kapitana statku, aby znał się pierwszorzędnie na swoim rzemiośle i posiadał tyleż odwagi co zimnej krwi. Statek miał trzykrotnie silniejszą załogę, niż to było potrzebne, a na jego dziobowym pokładzie znajdowała się armata, tak jednak zastawiona skrzyniami, belami i beczkami, że z innego statku nie mogła być widoczna. Załoga składała się z opalonych na słońcu i wietrze wilków morskich, z których każdy miał za pasem broń palną, sieczną i kłującą. Na tylnym pokładzie siedział mężczyzna w czerwonych spodniach, białym turbanie i niebieskim kaftanie. Jego długa kamizelka była bogato wyszywana złotem, a w basryjskim szalu, który zastępował mu pas, błyszczała drogocenna broń. Poznałem w nim od razu derwisza. Obok niego stał Arab, którego na sambuku rzuciłem na ziemię. Zaprowadzono mnie przed nich. Mój wczorajszy przeciwnik obdarzył mnie wzrokiem żądnym zemsty, derwisz natomiast obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem.

— Czy wiesz, kim jestem? — spytał mnie.

— Nie, lecz się domyślam.

— No więc kim jestem?

— Jesteś Abu Seif.

— Jestem nim. Uklęknij przede mną, giaurze!

— Co ci strzeliło do głowy? Czy w Koranie nie jest napisane, że cześć należy oddawać tylko Allahowi?

— To ciebie nie dotyczy, gdyż jesteś niewiernym. Rozkazuję ci uklęknąć, aby mi okazać szacunek.

— Nie wiem jeszcze czy zasługujesz na szacunek, a nawet gdybym się o tym dowiedział, dałbym ci dowód swego poważania w zupełnie inny sposób.

— Giaurze, uklęknieś albo zetnę ci głowę!

Pirat wstał i chwycił swoją krzywą szablę. Zbliżyłem się jeszcze o krok do niego.

— Zetniesz mi głowę? Czy ty naprawdę jesteś Abu Seifem, czy też raczej katem?

— Jestem Abu Seifem i dotrzymuję słowa. Na kolana albo położę ci twoją głowę pod twoje nogi!

— Strzeż swojej własnej głowy!

— Giaurze!

— Tchórze!

— Co? — zasyczał. — Nazywasz mnie tchórzem?

— Oczywiście. Jesteś nim. Dlaczego napadłeś na sambuk nocą? Dlaczego odziałeś swoich szpiegów w szaty kobiece? Dlaczego pokazujesz odwagę tu, gdzie jesteś otoczony swoimi ludźmi i przez nich strzeżony? Gdybyś stał sam naprzeciw mnie, mówiłbyś ze mną inaczej.

— Jestem Abu Seifem, ojcem szabli, i dziesięciu mężczyzn twojego pokroju nie oparłoby się jej ostrzu.

— Brawo! Tak mówi każdy, kto się boi działać.

— Boi się działać? Gdzie masz tych dziesięciu? Gdyby tu byli, udowodniłbym ci natychmiast, że mówiłem prawdę.

— Nie potrzeba dziesięciu, wystarczy jeden.

— Czyżbyś ty chciał nim być?

— Ba, nie zgodziłbyś się na to!

— Dlaczego?

— Ponieważ się boisz, Zabijasz gadaniem, a nie szablą.

Oczekiwałem, że te słowa wywołają u Abu Seifa silniejszy wybuch gniewu, pomyliłem się jednak. Rozbójnik ukrył wściekłość pod maską zimnego, śmiertelnego spokoju, wyciągnął swojemu sąsiadowi szablę zza pasa i podał mi ją..

— Masz tu szablę i broń się! Zapewniam cię jednak, nawet gdybyś sprawnością i siłą dorównywał herosom, po moim trzecim cięciu będziesz trupem.

Przyjąłem szablę.

Sytuacja, w której się znalazłem, była dziwaczna. W pojęciu ludzi Wschodu — „ojciec szabli” uchodził zapewne za wytrawnego szermierza. Wiedziałem jednak, że mieszkańcy Orientu są przeważnie tak samo złymi szermierzami, jak strzelcami. W wychwalaniu biegłości i siły plemiennych mistrzów było chyba dużo przesady. Nie skrzyżowałem jeszcze broni z żadnym szermierzem ze Wschodu według reguł fechtunku i chociaż nie znałem rodzaju podanej mi szabli, która w miejscu parowania ciosu była cienka a na całej swojej długości mocna i ciężka, to jednak miałem wielką ochotę zmierzyć się z „ojcem szabli” i przekonać go o wyższości europejskiej sztuki walki szermierczej.

Cała załoga zjawiała się na pokładzie, a z twarzy zebranych można było wyczytać przekonanie, że naprawdę po trzecim ciosie Abu Seifa będę nieboszczykiem.

Natarł na mnie w sposób tak dziki i beładny, że nie miałem ani chwili na zajęcie odpowiedniego stanowiska. Odparowałem jego nieczystą kwartę i próbowałem natychmiast wykorzystać odkrycie się przeciwnika. Ku mojemu zdumieniu przeszedł jednak wspaniale przy moim kolistym ciosie pod klingą szpady. Uskoczył w bok i wykonał fintę; nie udała mu się jednak. Teraz ja tak samo zrobiłem unik i zastosowałem cięcie, zwane espadonem. Mój cios trafił, jakkolwiek nie miałem zamiaru zranić przeciwnika. Rozsierzony tym Abu Seif stracił nad sobą panowanie, cofnął się i w skoku zaatakował mnie ponownie kwartą. Zrobiłem krok do przodu, odbiłem cios z całej mocy i — wytrąciłem mu z ręki szablę, która zatoczywszy łuk, wpadła przez burtę do wody.

Wokół rozległ się krzyk. Cofnąłem się i opuściłem szablę.

Abu Seif stał przede mną bezbronny i wlepił we mnie wzrok.

— Abu Seifie — odezwałem się — jesteś bardzo zręcznym szermierzem!

Te słowa ocuciły go. Wbrew oczekiwaniu nie zauważyłem w jego twarzy złości, lecz tylko zaskoczenie.

— Franku, jesteś niewiernym, a jednak zwyciężyłeś Abu Seifa! — wykrzyknął.

— Ułatwiłeś mi zadanie, gdyż twoja szermierka nie jest ładna ani rozważana — odrzekłem. — Mój drugi cios cię zranił, a trzeci wytrącił ci broń z ręki. Właściwie nawet do trzeciego cięcia nie doszedłem, podczas gdy twój trzeci cios miał mnie zabić. Masz tu swoją szablę; jestem w twoim ręku!

To — oczywiście odważne — powołanie się na szlachetność Araba z plemienia Dzeheine okazało się skuteczne.

— Tak, jesteś w mojej mocy, jesteś moim więźniem — potwierdził Abu Seif — lecz los twój spoczywa w twoich rękach.



— Jak to mam rozumieć?  
— Jeżeli zrobisz to, czego od ciebie zażądam, zostaniesz wkrótce uwolniony.  
— Co mam zrobić?  
— Będziesz się ze mną bił na szable.  
— Chętnie.

— I nauczysz mnie szermierki, jaką uprawiają Niemcy.

— Zgoda.

— Tak długo, jak będziesz na moim statku, nie pokażesz się nikomu obcemu?

— Dobrze!

— I natychmiast opuścisz pokład przy zbliżaniu się innego statku?

— Tak

— Nie zamienisz ani słowa ze swoim służącym.

— Gdzie on jest?

— Tu, na statku.

— W więzach?

— Nie, jest chory.

— Czy Halef Omar jest ranny?

— Tak, w ramię. Poza tym ma złamaną nogę. Nie może więc chodzić ani stać.

— Wobec tego nie mogę złożyć żadanego przez ciebie przyrzeczenia. Mój służący jest moim przyjacielem, którym się muszę opiekować. Zezwolisz mi na to!

— Nie zezwalam, lecz przyrzekam ci, że będzie miał troskliwą opiekę.

— To mi nie wystarcza. Jeśli ma złamaną nogę, muszę mu ją złożyć. Tu zapewne nie ma nikogo, kto się na tym zna.

— Ja to potrafię. W tych sprawach jestem prawie jak chirurg; opatrzyłem ranę twojego służącego i włożyłem jego nogę w łupki. Nie cierpi już bólu i jest ze mnie zadowolony.

— Muszę to usłyszeć z jego ust.

— Przysięgam na Allaha i Proroka. A jeśli mi nie przyrzekniesz, że nie będziesz z nim mówił, to postaram się, żebyś go w ogóle nią zobaczył. Poza tym muszę zażądać od ciebie jeszcze czegoś więcej.

— Jesteś chrześcijaninem, więc będziesz się wystrzegał zarazić kogokolwiek z nas swoją wiarą?

— Dobrze.

— Czy masz przyjaciół wśród Anglików?

— Mam.

— Czy to wybitni ludzie?

— Są wśród nich paszowie.

— To cię wykupią?

Pytanie to było dla mnie niespodzianką! A więc on nie chciał mnie zabić, lecz oczekiwał za mnie okupu.

— Ile żadasz? — spytałem.

— Masz przy sobie niewiele złota i srebra, nie możesz się więc sam wykupić, lecz mimo to nie wykręcisz się tanim kosztem.

A więc rabuś jednak przeszukał moje kieszenie i rzeczy. Tego, co było zaszyte w rękawach mojej tureckiej kurtki, widocznie nie znalazł. Byłoby tego i tak za mało na wykupienie się z niewoli. Odpowiedziałem więc:

— Nie mam nic. Nie jestem bogaty.

— Wierzę, chociaż masz wspaniałą broń i przedmioty, których nie znam Jesteś jednak dostojnym i sławnym człowiekiem.

— Czyżby!

— Powiedziałeś to sam temu człowiekowi na sambuku.

— Żartowałem.

— Nie, mówiłeś to poważnie. Kto jest tak silny i tak umie władać szablą jak ty, nie może być nikim innym jak wysokiej rangi oficerem, za którego pasza chętnie zapłaci dobry okup.

— Mój król nie zapłaci pieniędzmi za moją wolność. Zażąda jej od ciebie za darmo.

— Nie znam króla Niemców. Jak więc chce ze mną rozmawiać i zmusić mnie, żebym ci zwrócił wolność?

— Zrobi to przez swojego posła.

— Tego także nie znam. Nie ma żadnego posła niemieckiego w tej okolicy.

— Poseł jest w Stambule u sułtana. Mam bujuruldu, znajduję się więc pod opieką sułtana.

Abu Seif roześmiał się.

— Tutaj padyszach nic nie znaczy, tu rządzi tylko wielki szeryf Mekki, a ja jestem potężniejszy od nich obydwóch. Nie będę pertraktował w twojej sprawie ani z twoim królem, ani z jego posłem.

— A z kim?

— Z Anglikami.

— Dlaczego z nimi?

— Ponieważ powinni wymienić ciebie za mojego brata, który znajduje się w ich ręku. Mój brat napadł z załogą swojej barki na jeden z ich statków i został wzięty do niewoli. Zawieźli go do Adenu i chcą go zabić Teraz jednak będą go musieli wypuścić w zamian za ciebie.

— Może się mylisz. Anglicy nie są zainteresowani moją osobą. Zostawią mnie pewnie w twoich rękach, a twojego brata zgładzą.

— Wówczas ty umrzesz także. Umiesz pisać. Wystosujesz więc do Anglików list, który im dostarczę. Jeżeli napiszesz ten list mądrze, to cię wymienią; jeśli go natomiast napiszesz niezbyt przekonująco, to sam sobie będziesz winien. Zastanów się więc nad treścią listu bardzo dokładnie! Masz jeszcze wiele dni przed sobą.

— Ile?

— Mamy złą drogę morską, popłynę jednak, jeśli to tylko będzie możliwe, nawet nocą. Przy sprzyjającym wietrze, zawiniemy do Dżiddy za cztery dni. Stamtąd do Sany, w okolicy której mam zamiar ukryć swój statek, jest prawie tak daleko, jak stąd do Dżiddy. Będziesz więc miał cały tydzień na obmyślenie treści listu, gdyż wyślę go dopiero z Sany przez posłańca.

— Dobrze. Napiszę ten list.

— I przyrzekniesz mi, że nie będziesz próbował ucieczki?

— Tego ci nie mogę przyrzec.

Abu Seif patrzył mi przez chwilę poważnie w oczy.

— Allah akbar, Boże wielki, a ja nie wierzyłem, że wśród chrześcijan też są uczciwi ludzie. A więc chcesz mi uciec?

— Skorzystam z każdej okazji do ucieczki.

— Nie będziemy więc również uprawiać szermierki. Mógłbyś mnie przecież zabić i skoczyć do wody, żeby się uratować, odpływając. Umiesz pływać?

— Tak.

— Weź pod uwagę, że tu jest dużo rekinów, które by cię pożarły! — Wiem o tym.

— Każę cię pilnować. Człowiek, który stoi koło mnie, będzie stale u twego boku. Obraziłeś go;

nie spuści cię z oczu, dopóki nie będziesz wolny lub martwy.

— Co w obydwóch wypadkach stanie się z moim służącym?

— Jego nie spotka nic złego. Co prawda popełnił wielki grzech, godząc się na służbę u niewiernego, lecz nie jest ani Turkiem, ani giaurem; odzyska wolność wraz z tobą lub po twojej śmierci. Teraz możesz pozostać na pokładzie. Każdorazowo jednak kiedy twój strażnik tego zażąda, zejdziesz na dół i zostaniesz zamknięty w kajucie!

Po tych słowach Abu Seif odwrócił się ode mnie. Mogłem się oddalić.

Zszedłem z pokładu dziobowego i przespacerowałem się wzdłuż relingu. Wreszcie, poczuwszy zmęczenie, położyłem się na kocu. Strażnik pozostawał ciągle w pobliżu, mniej więcej pięć do sześciu kroków ode mnie. Było to zbędne i dla mnie nieprzyjemne. Poza tym nikt się o mnie nie troszczył i nikt do mnie słowa nie przemówił. Podawano mi milcząco wodę do picia, kuskus i po kilka daktyli. Skoro tylko zbliżał się jakiś statek, musiałem schodzić do kajuty, przed drzwiami której strażnik stał do chwili, kiedy mi wolno było wyjść znowu na pokład. Wieczorem drzwi mojego pomieszczenia zamykano na rygle oraz tarasowano różnymi rupieciami.

## MÓJ WIERNY HALEF

Tak minęły trzy dni. Odczuwałem więcej niepokoju o rannego Halefa niż o siebie, lecz wszelkie moje starania, żeby się do niego dostać, byłyby daremne. Na pewno znajdował się tak samo jak ja pod pokładem, lecz próba skontaktowania się z nim poza plecami mojego strażnika mogłaby tylko zaszkodzić nam obu.

Ponieważ nasz statek, nie natrafiając na żadne przeszkody, płynął bardzo szybko, znalazł się wkrótce w okolicy między górą Ejub i górą Kelaya. Stąd aż do Dziddy brzegi morskie stają się coraz niższe i bardziej płaskie. Zapadał zmierzch. W północnej stronie nieba pojawiła się, co było rzadkością pod tą szerokością geograficzną, maleńka i lekka niczym welon chmurka. Abu Seif obserwował ją z niepokojem. Ściemniło się całkiem i musiałem zejść pod pokład. Tu było duszniej niż zazwyczaj i duszność wznagała się z minuty na minutę. O północy jeszcze nie spałem. Nagle usłyszałem z dala grzmot i szum oraz głucho dudnienie. Sztorm zbliżał się z ogromną szybkością i dopadł naszego statku. Czułem, że jego dziób zanurzał się głęboko w falach, to znów wznosił się, a potem statek ze zdwojoną szybkością pędził do przodu jak strzała, trzeszcząc i jęcząc we wszystkich spojeniach. Trzeszczały również maszty w miejscach zaklinowań, a na pokładzie załoga biegła tam i z powrotem, biadając, modląc się i wydając żalosne okrzyki.

Wśród tego rozgardiaszu słyhać było głośnie i rozważne rozkazy kapitana statku. Zachowanie przez niego zimnej krwi było konieczne. Według moich obliczeń zbliżaliśmy się do wzniesienia Rabigh, zwanego przez Arabów Rabr, a od tego miejsca w kierunku południowym morze obfituje w rafy i ławice koralowe, które nawet za dnia są dla żeglugi niebezpieczne. Tam leży również wyspa Ghauat, a między nią i miejscowością Ras Hatiba sterczą dwie koralowe rafy. Przepłynięcie między nimi nawet w pełnym świetle dnia i przy pięknej pogodzie grozi rozbiciem statku. Dlatego żeglarze, zbliżając się do tego miejsca, zazwyczaj się modlą. Miejsce to nosi nazwę Omm el Hablein, czyli „matka obydwóch lin”, co wskazuje na sposób, w jaki się dawniej starano ustrzec przed niebezpieczeństwem.

Orkan gnał nas z szaloną szybkością wprost na to groźne przejście. Wylądowanie przed nim było niemożliwe.

Wstałem ze swojego barłogu. Gdyby jednak statek najechał na rafę, byłbym i tak zgubiony, gdyż moja kajuta była zamknięta.

Nagle wydało mi się, że wśród potężnego szumu sztormu słyszą jakiś szmer za drzwiami kajuty. Podszedłem pod drzwi i nasłuchiwałem. Nie myliłem się. Usunięto barykadę i otwarto drzwi.

— Sihdi!

— Kto tu?

— Hamdulillah! Niech będą dzięki Bogu, który mi pozwolił od razu znaleźć właściwe miejsce!

Czy nie poznajesz głosu twojego wiernego Halefa?

— Halef? Niemożliwe! To nie on, gdyż nie może chodzić.

— Dlaczego?

— Ponieważ jest ranny i ma złamaną nogę.

— Tak, ranny jestem, sihdi, ale tylko lekko draśnięty kulą w ramię. Nogi natomiast nie mam złamanej.

— W takim razie Abu Seif okłamał mnie.

— Nie, to ja go wprowadziłem w błąd. Musiałem udawać, ażeby mieć możliwość przyjscia z pomocą mojemu dobremu panu. Trzy dni leżałem pod pokładem z nogą w łupkach, a nocą wychodziłem po kryjomu na zwiad.

— Pocziwy Halefie, nigdy ci tego nie zapomnę!

— Dowiedziałem się, sihdi, różnych rzeczy.

— Na przykład?

— Abu Seif wyląduje w pewnej odległości przed Dżiddą, aby odbyć pielgrzymkę do Mekki. Chce się tam modlić o to, żeby jego brat odzyskał wolność. Kilku członków załogi ma mu towarzyszyć.

— Może wtedy uda nam się stąd umknąć.

Rozejrzę się w sytuacji. Zobaczymy, co będzie jutro. Twoja broń jest w kajucie Abu Seifa.

— Czy przyjdiesz znów jutro wieczorem, jeśli tej nocy nie utoniemy?

— Przyjdę, sihdi.

— Grozi ci jednak niebezpieczeństwo, Halefie!

— Dziś jest tak ciemno, że nikt mnie nie mógł zauważyć. Zresztą Dżeheini nie mają teraz czasu zajmować się nami. Jutro natomiast pomoże nam Allah.

— Czy boli cię rana?

— Nie.

— Co się stało z sambukiem? Leżałem nieprzytomny i nic nie, wiem.

— Zrabowali wszystkie pieniądze, które teraz znajdują się w kajucie kapitana, a załogę związali i zostawili na sambuku. Tylko nas dwóch zabrali z sobą, gdyż masz pomóc w uwolnieniu brata Abu Seifa.

— Wiesz o tym?

— Podśluchałem rozmowy.

— A skąd się wzięła ta barka tamtej nocy?

— Stała na kotwicy niedaleko sambuka, za rafami. Dobranoc, sihdi!

— Dobranoc!

Halef wymknął się z kajuty, zasunął za sobą rygiel na drzwiach i zabarykadowa z k je ponownie.

Podczas wizyty Halefa zapomniałem prawie o burzy, która teraz oddalała się równie szybko, jak nadeszła. I jakkolwiek morze długo jeszcze mocno falowało, o czym wnioskowałem z silnego kołysania się statku, to jednak przypuszczałem, że niebo jest już jasne. Gdyby tak było istotnie, zmniejszyłoby to niebezpieczeństwo rozbicia się statku. Z tą myślą spokojnie zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, stwierdziłem, że statek nie płynie. Drzwi mojej kajuty były otwarte, lecz przed nimi stał mój strażnik.

— Czy chcesz wyjść na pokład? — zapytał.

— Owszem.

— Możesz pozostać na górze tylko do południowej modlitwy.

Wyszedłem na pokład. Nie było już na nim ani śladu sztormu. Statek stał na kotwicy w wąskiej, głęboko wrzynającej się w ląd zatoce. Żagle były zdjęte, a ruchome maszty zostały tak ułożone, że niełatwo było zobaczyć statek ani z morza, ani z lądu. Zresztą wybrzeże tutaj zdawało się puste i bezludne.

Prawie do południa przebywałem na pokładzie i nic szczególnego w tym czasie nie zaszło. Wreszcie Abu Seif wezwał mnie do siebie. Znajdował się w swojej kajucie, na ścianach której spostrzegłem swoją broń. Była tu też puszką z nabojami, a poza tym zauważyłem na podłodze kilka dużych worków z kozłej skóry, wypełnionych prochem strzelniczym, oraz otwartą skrzynię, którą Abu

Seif natychmiast zamknął, kiedy wchodziłem. Mimo to zdołałem dostrzec, że za\wierza Iriane woreczki, w których prawdopodobnie znajdowały się pieniądze zrabowane na sambuku.

— Niemce, chciałbym z tobą porozmawiać — odezwał się Abu Seif.

— Więc mów!

— Czy jeszcze wciąż nie chcesz mi przyrzec, że nie będziesz próbował uciec?

— Nie jestem kłamcą. Mówię ci więc otwarcie, że ucieknę, jak tylko nadarzy mi się sposobność.

— Nie będziesz miał żadnej okazji. Swoim oświadczeniem jednak zmuszasz mnie do tego, bym postępował z tobą bardziej surowo, niżbym chciał. Nie będzie mnie dwa dni na statku. W tym czasie nie wolno ci będzie opuszczać kajuty i będziesz w niej przebywać ze związanymi rękami.

— To przykre.

— Tak, ale sam jesteś sobie winien.

— Muszę się z tym pogodzić.

— Możesz więc odejść. Zapamiętaj jednak, że wydam rozkaz, żeby cię natychmiast zabito, gdybyś próbował pozbyć się więzów. Jeślibyś był prawowiernym, prosiłbym cię, żebyś został moim przyjacielem. Jesteś niestety gjaurem. Mimo to nie żywię do ciebie nienawiści ani tobą nie pogardzam. Byłbym zawierzył twojej obietnicy. Nie chcesz mi jej jednak dać i dlatego musisz ponosić konsekwencje. Zejdź teraz na dół!

Zaprowadzono mnie pod pokład i zamknięto w kajucie. Męczarnią było leżeć w więzach w tym upale, jaki panował pod pokładem. Dostosowałem się jednak do warunków, chociaż mój strażnik mścił się na mnie w ten sposób, że nie przynosił mi nic do jedzenia ani do picia. Pokładałem nadzieję w Halefie, oczekując go z trwożną niecierpliwością. Moje położenie pogorszyło się przez to, że siedziałem w ciemności. Odprawiono już modły: al-ásr, al-maghrib i al-asza. Potem upłynęło sporo czasu i musiało już być dobrze po północy, kiedy przed drzwiami mojej kajuty usłyszałem cichy szmer.

Wytężyłem słuch, lecz żaden dźwięk nie doszedł już moich uszu. Zdałem sobie sprawę, że nie wolno mi się odezwać. Mógł to przecież być tylko szczur.

Przez chwilę panowała cisza, potem usłyszałem zbliżające się kroki, a następnie szum, jaki powstaje, kiedy na podłodze rozkłada się dywan lub materac. Co to mogło być? Prawdopodobnie strażnik postanowił spędzić resztę nocy pod moimi drzwiami. A więc koniec z moją nadzieją, bo gdyby Halef jednak jeszcze przyszedł, to — ale co to? Do mojego wyostrzonego słuchu dotarł szmer przesuwającej się wolniutko drewnianej zasuwy na drzwiach pomieszczenia, w którym byłem zamknięty. Kilka sekund później usłyszałem jakieś głucho uderzenie — szmer, jakby ktoś chciał wstać z podłogi a nie mógł — krótki, stłumiony jęk, a potem półgłosem wypowiedziane słowa:

— Chodź, sihdi! Mam go! Był to głos Halefa.

— Kogo masz? — spytałem.

— Twojego strażnika.

— Nie mogę ci pomóc, mam związane ręce.

— Czy jesteś przywiązany do ściany?

— Nie. Mogę wyjść do ciebie.

— Więc wychodź, drzwi są otwarte.

Wyszedłszy stwierdziłem, że Arab leży na podłodze w konwulsyjnych drgawkach, a Halef klęczy na nim i zaciska mu rękami szyję.

— Sprawdź, sihdi, czy w jego pasie nie ma noża!

— Jest! Poczekaj!

Mimo mocno związanych w kostkach rąk, wyciągnąłem Arabowi nóż zza pasa, ująłem jego

trzonek zębami i przeciąłem swoje więzy.

— Udało ci się, sihdi?

— Tak, teraz mam wolne ręce. Dzięki Bogu, że strażnik jeszcze żyje!

— Sihdi, on zasłużył na śmierć.

— Mimo to niech żyje. Zwiążemy go, zakneblujemy i położymy w mojej kajucie.

— To będzie jęczał przez nos i nas zdradzi.

— Rozwiążę jego turban i owinę mu twarz chustą. Rozluźnij trochę uścisk, żeby mógł złapać oddech! Tak, tu jest knebel, a tu jego pas do związania mu rąk i nóg! Puść jego szyję, a trzymaj nogi

— tak, gotowe! Teraz do kajuty z nim!

Odetchnąłem głęboko, kiedy zaryglowawszy drzwi za więźniem zatrzymałem się z Halefem na schodach.

— Co teraz, sihdi? — spytał mnie.

— Opowiedz mi wpieryw, jak się wszystko odbyło! Jak tu dotarłeś i jak zaskoczyłeś strażnika?

— Och, bardzo prosto! — odparł mój dzielny Halef. — Wyczołgałem się spod pokładu i nadstawiłem uszu. Dowiedziałem się, że „ojciec szabli” udał się wraz z dwunastoma członkami załogi do Dżiddy. Zabrał ze sobą dużo pieniędzy, żeby je wręczyć wielkiemu szeryfowi w Mekce. Potem podsłuchałem, że Dżeheine, który ciebie pilnuje, będzie spał pod twoimi drzwiami. On cię nienawidzi i dawno by cię zabił, gdyby się nie bał Abu Seifa. Chcąc się do ciebie dostać, musiałem go wyprzedzić. Przeczolgałem się więc przez pokład, nie zauważony przez nikogo. Nauczyłeś mnie tej sztuki na pustyni. Ledwie znalazłem się na miejscu, zjawił się strażnik.

— Więc to byłeś ty! Słuch mnie nie zmylił.

— Kiedy strażnik położył się, chwyciłem go za szyję. Dalszy ciąg jest ci znany, sihdi.

— Dziękuję ci, Halefie! Jak wygląda sytuacja na statku?

— Bardzo dobrze. Kiedy czolgałem się po pokładzie, Dżeheini przygotowywali się do palenia haszyszu. Szefa nie ma, więc mogli się na to odważyć.

— Zabierz broń tego człowieka. Jest lepsza od twojej. Teraz chodź; pójdę przodem!

Kiedy skradaliśmy się na pokład, mimo woli musiałem się uśmiechnąć na myśl, że Abu Seif chce wielkiemu szeryfowi ofiarować część mienia uprzednio mu zrabowanego. Kiedy wystawiłem głowę z luku, poczułem ową charakterystyczną woń, która rozchodzi się w pobliżu palaczy haszyszu. Mężczyźni leżeli bez ruchu na pokładzie. Nie można było orzec, czy spali, czy też w tym bezruchu oczekiwali działania odurzającej trucizny. Na szczęście droga do kajuty kapitana była wolna. Skradaliśmy się do niej, kucając tuż przy podłodze, i bez przeszkód dobrnęliśmy do drzwi kajuty. Dzięki wschodniej beztrosce, nie było w nich zamka, a zawiasy nie mogły skrzypieć, gdyż składały się po prostu z kawałków skóry, przybitych gwoździami dołem i górą do węgarów.

Otwarłem drzwi tylko tak szeroko, żeby się można było wśliznąć do pomieszczenia, a kiedy znaleźliśmy się w środku, zamknąłem je. Poczułem się teraz pewny i wolny jak u siebie w domu. Wisiała tu moja broń, a jakieś pięć kroków dalej była burta statku. Wystarczyło z niej skoczyć, żeby się dostać na ład. Zegarek, busolę i pieniądze miałem przy sobie.

— Co mam zabrać? — spytał Halef.

— Jeden z koców, które zauważyłem w narożniku. Ja też wezmę jeden. Będziemy ich potrzebowali.

— Poza tym nic?

— Nic.

— Podsłuchałem, że tu znajduje się dużo pieniędzy.

— Leżą tam w skrzyni. Nie tkniemy ich, gdyż nie należą do nas.

— Co ty mówisz, sihdi? Chcesz zostawić tym rabusiom pieniądze, których nam tak bardzo potrzeba?

— Czyżbyś chciał zostać złodziejem?

— Ja? Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah złodziejem? Sihdi, niechby mi to śmiał ktoś inny powiedzieć! Czyż sam nie kazałeś zabrać broni temu człowiekowi na dole? Czy nie poleciłeś mi wziąć koców?

— To nie jest kradzież. Przez rozbójników utraciliśmy nasze koce i twoją broń, mamy więc prawo do odszkodowania. Naszych pieniędzy nam jednak nie zabrano.

— Nie, sihdi. Moje pieniądze mi wzięto.

— Miałeś ich dużo?

— Hm, byłem na najlepszej drodze, żeby przez oszczędność stać się zamożnym człowiekiem. Pomyśl o bakszyszu, jaki dostałem od Abrahima Mamura! Czy od ciebie nie otrzymywałem co dwa tygodnie trzech tereziańskich talarów? Nic z nich nie wydałem. Teraz ich nie mam i wobec tego wezmę sobie tylko to, co jest moją własnością.

Podszedł do skrzyni. Czy miałem mu przeszkodzić w odzyskaniu pieniędzy? Właściwie miał rację. Stosując się do okoliczności, jakie tu panowały, musieliśmy sami strzec swoich praw. Gdzie moglibyśmy Abu Seifa zaskarżyć o zwrot zrabowanych nam przez niego pieniędzy? Nigdzie. A ja byłbym nadto zmuszony bardzo oszczędzać, żeby z własnej kieszeni zwrócić swojemu służącemu należności, zabrane mu przez rozbójnika. Poprzestałem więc na wygłoszeniu uwagi:

— Skrzynia jest zapewne zamknięta. Kalef obejrzał ją i rzekł:

— Tak, wisi na niej kłódka i brakuje kluczyka, lecz ja i tak ją otworzę.

— Nie zrobisz tego! — zaoponowałem. — Jeśli wyłamiesz zamek, spowodujesz hałas, który nas zdradzi.

— Masz rację, sihdi. — stwierdził. — Nie będę jednak mógł odebrać swoich talarów. Chodźmy!

Kiedy słuchałem, w jak minorowej tonacji Halef wymawia te słowa, zrobiło mi się prawie żal, że musiał zrezygnować z odszkodowania. Inny Arab by się na to nie zdobył. Skłoniło mnie to do przyrzeczenia:

— Halefie, otrzymasz ode mnie te utracone tereziańskie talary!

— Naprawdę, sihdi?

— Na pewno!

— No to chodźmy! Teraz jestem spokojny.

Opuściliśmy kajutę i dotarliśmy szczęśliwie do burty statku. Odstęp między nią a lądem był jednak znaczny, jak to można było zauważyć przy blasku gwiazd.

— Przeskoczysz, Halefie? — spytałem zatroskany. Wiedziałem, że dobrze skacze; tu jednak nie można było wziąć żadnego rozbiegu.

— Patrz, sihdi!

Halef postawił nogę na relingu i w następnej chwili znalazł się na brzegu. Podążyłem szybko za nim.

— Hamdulillah, Bogu dzięki! Teraz jesteśmy wolni — cieszył się Halef. — Ale co dalej?

— Pójdziemy do Dżiddy. — Znasz drogę?

— Nie.

— A może masz mapę?

— Także nie. Ale wystarczy, że skierujemy się na południe. Abu Seif chciał tam zajść na piechotę; najlepszy dowód, że to miasto leży niedaleko stąd. Obejrzyjmy przede wszystkim naszą



broń!

Ukryliśmy się za krzakiem wilczomleczu, który nas wystarczająco osłaniał, gdyż nie był to mały arabski gatunek tego krzewu, lecz wysoki, wschodnioindyjski. Moje fuzje były nabite. Widocznie nie umiano się obchodzić z moimi rewolwerami ani sztucerem i zapewne dziwiono się bardzo, że jest taki ciężki. Arabowie są przyzwyczajeni do długich, lekkich fuzji. Istnieją jeszcze plemiona posługujące się strzelbami najstarszego typu i najdziwaczniejszego rodzaju.

Przekonawszy się, że nie zauważono naszej ucieczki, ruszyliśmy w drogę. Aby nie zabłądzić, musieliśmy, jak dalece to było możliwe, trzymać się brzegu morskiego. Wybrzeże posiada liczne zatoki, które trzeba było obejść. Posuwaliśmy się więc naprzód bardzo powoli. W dodatku grunt, mimo bliskości morza, zarośnięty był kolokwintami oraz aloesami, utrudniającymi poruszanie się. Wreszcie zaczęło świtać i szło się nieco łatwiej. Wzrokiem można było objąć znaczną przestrzeń przed sobą i zdecydować, jaki obrać kierunek, aby skrócić drogę, omijając większe obejścia. Było może około ósmej rano, kiedy ujrzeliśmy minarety jakiegoś miasta, otoczonego wysokim, dobrze utrzymanym murem. — Zapytamy, czy to Dżidda, sihdi? — spytał Halef.

Już od godziny spotykaliśmy podróżnych, nie nawiązując jednak z nimi kontaktu.

— Nie — odpowiedziałem na pytanie Halefa. — To na pewno jest Dżidda.

— Co tam będziemy robić?

— Najpierw obejrzę miasto.

— Ja także. Czy wiesz, że tam znajduje się grób Ewy, pramatki ludzi?

— Tak.

— Pochowawszy ją, Adam opłakiwał jej śmierć przez czterdzieści dni i nocy; potem udał się na wyspę Selan Dib, gdzie umarł i został pogrzebany. Selan Dib jest wyspą, o której tylko prawdziwi wierni coś wiedzą.

— Mylisz się, Halefie. Tę wyspę jej mieszkańcy nazywali Sinhala Dvipa, z czego w waszym języku zrobiono Selan Dib. Sinhala Dvipa znaczy „wyspa lwów”. Wyspa ta należy do chrześcijan, mianowicie do Anglików. Byłem tam.

Halef spojrział na mnie zdziwiony.

— Ale przecież nasi uczeni mówią, że każdy niewierny, który wkroczy na wyspę Adama, musi umrzeć!

— Czy umarłem?

— Nie. Ty jesteś ulubieńcem Allaha, mimo że nie wyznajesz prawdziwej wiary.

— Przytoczę ci jeszcze jeden przykład, który świadczy, że wasi uczeni nie zawsze mają rację. Prawda, że każdego niewiernego, który znajdzie się w świętych miastach Mekce i Medynie czeka śmierć?

— Tak.

— Żyją jednak chrześcijanie, którzy tam byli. Udawali, że są muzułmanami.

— To musieli znać nasz język i nasze zwyczaje.

— Znali je.

Halef spojrział na mnie ze strachem.

— Sihdi, ty także znasz przecież nasz język i nasze zwyczaje. Nie zamierzasz przypadkiem udać się do Mekki?

— Zabrałbyś mnie z sobą?

— Nie, sihdi; gdyż za to musiałbym się smarzyć na samym dnie piekła.

— Czy zdradziłbyś mnie, gdybyś mnie zobaczył w Mekce?

— Sihdi, nie wprawiaj mnie w zakłopotanie! Powinienbym zdradzić twoją obecność, a może

bym tego nie mógł zrobić. Nie potrafiłbym już wówczas dalej żyć.

Wyczytałem z twarzy Halefa, że mówił prawdę i byłoby okrucieństwem wystawiać go dłużej na próbę i niepokoje

— Halefie, czy ty mnie lubisz? — zapytałem.

— Bardziej niż siebie samego, sihdi! Wierz mi.

— Wierzę! Jak długo chcesz jeszcze ze mną podróżować?

— Jak długo zechcesz. Pójdę z tobą choćby na koniec świata, chociaż jesteś chrześcijaninem.

Wierzę jednak, że jeszcze przejdiesz na prawdziwą wiarę, gdyż ja cię nawrócę, nawet wbrew twojej woli.

— Halefie, pamiętaj, że odbywasz pielgrzymkę do Mekki!

— Sihdi, ja naprawdę wkrótce zostanę pielgrzymem. Przed nami Dżidda, gdzie odwiedzę grób Ewy. Potem udam się do Mekki. Po drodze zatrzymam się w Arafah, w Minah dam się ogolić i poddam się wszystkim świętym obrzędom. Czy zaczekasz na mnie w Dżiddzie?

— Jak długo będziesz w Mekce?

— Siedem dni.

— Znajdziesz ranie w Dżiddzie. Powiedz mi jednak, czy twoja pielgrzymka jest ważna, skoro nie odbywasz jej w wyznaczonym miesiącu?

— Jest ważna. Popatrz, przed nami brama. Ciekaw jestem, jak się nazywa?

— To zapewne jest północna brama. Zwie się „Bab el Medina”. Czy mogę cię obarczyć pewną prośbą?

— Tak, gdyż jestem pewien, że nie zażadasz nic, czego mi nie wolno.

— Nie powiesz więc nikomu tutaj, że jestem chrześcijaninem i będziesz się do mnie odnosił jak do muzułmanina!

— Zastosuję się do twojego życzenia. Ale czy spełnisz teraz również moją prośbę?

— Wyjaw mi swoje życzenie!

— Muszę sobie w Mekce kupić „asis kumasz” oraz rozdać podarunki i jałmużnę.

— Bądź spokojny, otrzymasz swoje talary jeszcze dzisiaj.

— Te mi się chyba nie przydadzą, gdyż są wybite w kraju niewiernych.

— Dam ci więc równowartość w piastrach.

— A masz piastry?

— Jeszcze nie, ale będę je miał. Pójdę po nie do kantoru wymiany pieniędzy.

— Dziękuję ci, sihdi. Czy będę miał tyle piastrów, żebym mógł zaisć również do Medyny?

— Sądzę, że tak, jeśli będziesz oszczędny. Podróż w tamtym kierunku nie będzie cię nic kosztować.

— Dlaczego?

— Pojadę tam z tobą.

— Do Medyny, sihdi? — spytał Halef tonem pełnym powątpiewania.

— Tak. Przecież to nie zabronione.

— Droga do tego miasta jest otwarta dla każdego, lecz do środka nie wolno ci wejść.

— A gdybym na ciebie zaczekał w Dżanbo?

— Dobrze, sihdi, to jest możliwe.

— Więc uzgodniliśmy wszystko?

— A dokąd chcesz się udać potem?

— Najpierw do Medain Salih.

— Sihdi, tam czeka cię śmierć! Czy nie wiesz, że to jest miasto duchów, które nie znoszą pośród

siebie żywych ludzi?

— Mnie będą musiały ścierpieć. Medain Salih jest miejscem tajemniczym. Krążą o nim zadziwiające opowieści, dlatego chcę to miasto zwiedzić.

— Nie zobaczysz tego miasta, gdyż duchy zamkną ci dostęp do niego. Ale ja cię nie opuszczę, nawet gdybym miał umrzeć razem z tobą. Stanę się wówczas prawdziwym pielgrzymem do Mekki, dla którego niebo stoi zawsze otworem. A dokąd chcesz wyruszyć następnie, jeśli ci się uda opuścić szczęśliwie Medain Salih?

— Bądź to przez Synaj do Jerozolimy i Sztambułu, bądź też do Basry i Bagdadu.

— Czy zabierzesz mnie tam również ze sobą?

— Tak.

Tymczasem doszliśmy do bramy. Przed murami widać było wiele rozproszonych, pojedynczych chat, zbudowanych ze słomy i liści palmowych. Zamieszkiwali je biedni robotnicy lub jeszcze biedniejsi sprzedawcy drewna i warzyw. Jakiś oberwaniec zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Czy jesteś zdrow, efendi? Jak ci się powodzi i jak się czujesz? Zatrzymałem się. Na Wschodzie trzeba zawsze znaleźć czas, żeby odpowiedzieć na pozdrowienie

— Dziękuję ci. Jestem zdrow. Wiedzie mi się dobrze i czuję się wspaniale. A jak ty się czujesz, synu twego dzielnego ojca i jak ci się wiedzie w interesach, o spadkobierco wszelkich cnót najpobożniejszego plemienia muzułmanów?

Celowo wyraziłem się tak kwieciście, gdyż na jego twarzy zauważyłem znaki uprzywilejowanych mieszkańców świętych miast, zwane „m'eszaleh”. Dzidda, choć od niedawna wolno ją zwiedzać chrześcijanom, uchodzi za święte miasto, a mieszkańcy takich miast korzystają z przywileju noszenia specjalnych znaków. Cztery dni po przyjściu na świat dziecka, robi mu się na każdym policzku po trzy i na każdej skroni po dwa cięcia, po których blizny pozostają na całe życie. Te znaki — to właśnie: m'eszaleh.

— Twoje słowa są jak aszar; pachną jak benat el dženet — rzekł mój rozmówca. — Mnie także wiedzie się dobrze i jestem zadowolony z interesów, jakie prowadzę. Tobie mogą się również przydać.

— Czym się trudnisz?

— Wynajmuję zwierzęta. Moi synowie są poganiaczami osłów, a ja im pomagam.

— Czy trzymasz zwierzęta w domu?

— Tak, efendi. Czy mam ci przyprowadzić dwa osły?

— Jakiej żądasz zapłaty?

— Dokąd chcesz się udać?

— Jestem tu obcy i chcę sobie poszukać mieszkania.

Arab zmierzył mnie osobliwym wzrokiem. Obcy i pieszo; to musiało mu się wydać dziwne.

— Efendi — spytał — czy chcesz się dostać tam, dokąd zaprowadziłem twoich braci?

— Jakich braci?

— Wczoraj, podczas al-maghribu przybyło tu piechotą, tak jak ty, trzynastu mężczyzn. Zaprowadziłem ich do wielkiego hanu.

Był to zapewne Abu Seif ze swoimi ludźmi.

— To nie byli moi bracia — wyjaśniłem. — Nie chcę mieszkać w żadnym hanie ani w żadnej lokandzie, lecz w domu prywatnym.

— Co za szczęście! Znam dom, gdzie możesz znaleźć mieszkanie, którego by się nawet sam książę nie powstydział.

— Ile zażadasz, jeśli tam pojedziemy na twoich osłach?

— Dwa piastry.

To było mniej więcej po dwanaście fenigów na osobę.

— Przeprowadź zwierzęta!

Oddalił się pełen godności i zza ogrodzenia wyprowadził dwa osły, które były tak małe, że mogły mi omal przejść między nogami.

— Czy nas uniosą? — spytałem.

— Efendi — zapewnił właściciel osłów — jeden z nich udźwignąłby nas wszystkich trzech!

Na pewno było w tym twierdzeniu dużo przesady, lecz mój osioł istotnie nie okazywał bynajmniej, że jestem dla niego za ciężki. Przeciwnie, natychmiast, kiedy go dosiadłem, zaczął biec żwawym kłusem, który wszakże zaraz gdy wjechaliśmy do miasta został przerwany.

— Dur — odezwał się zniecka jakiś charczący głos z boku — dur, aktsze werinis — stójcie, dajcie pieniądze!

Na prawo ode mnie, w na pół rozwalonym murze ziała czworokątna dziura. W tej dziurze zauważyłem głowę, na twarzy której tkwiły okropne okulary, a w nich było tylko jedno szkiełko. Pod tym szkiełkiem ujrzałem olbrzymi nos, a pod nim duży otwór, z którego prawdopodobnie wydobyły się usłyszane przed chwilą słowa.

— Kto to jest? — zapytałem naszego przewodnika.

— Bawwal. Pobiera podatki dla sultana.

Popchnąłem swego osiołka przed samą dziurę w murze i z ciekawości, jak strażnik na to zareaguje, wyjąłem z kieszeni swój paszport.

— Czego chcesz? — zapytałem.

— Pieniądzy!

— Przypatrz się temu!

Pod oko, które nie było uzbrojone szkiełkiem, podsunąłem mu pieczęć sultana.

— Przepraszam waszą wysokość!

Otwór pod nosem strażnika zamknął się, twarz zniknęła i zaraz potem ujrzałem chudą postać, uskakującą w bok poprzez kilka walających się na ziemi cegieł. Osobnik ten miał na sobie stary wytarty mundur janczarski, szerokie modre szarawary, czerwone pończochy, zieloną marynarkę. Głowę okrywała mu biała czapka ze zwisającym mieszkem.

— Dlaczego on ucieka? — spytałem przewodnika.

— Posiadasz bujuruldu, nie potrzebujesz więc nic płacić. Żądając pieniędzy, obraził cię zatem i obawia się twojej zemsty.

Pojechaliśmy dalej i po pięciu minutach znaleźliśmy się przed bramą domu, który — co jest rzadkością w krajach mahometańskich — miał cztery duże zakratowane okna od ulicy.

— To jest ten dom! — oznajmił mi przewodnik. — Do kogo należy?

— Do jubilera Tamaru. Działam na jego zlecenie. — Czy zastanę teraz właściciela domu?

— Tak.

— W takim razie możesz wracać. Masz tu jeszcze bakszysz.

Przewodnik zasypał mnie słowami podziękowania, wsiadł na jednego ze swych osłów i odjechał. Wszedłem z Halefem do domu. Powitał nas Murzyn i poprowadził do ogrodu, gdzie w tym czasie bawił jubiler. Przedłożyłem mu sprawę, a on natychmiast udał się z nami do domu i pokazał nam kilka pokoi. Wynająłem dwa na okres tygodnia. Cena wynajmu wynosiła dwa talary, co było dość dobrą zapłatą. Toteż jubiler uznał za stosowne o nic mnie nie pytać. Wymieniłem tylko nazwisko, nadane mi przez Halefa.

Po południu wyszedłem obejrzeć miasto.

Dżidda jest ładnym miastem i chyba słusznie tak się nazywa. Dżidda znaczy bowiem „bogate”. Z trzech stron otaczają miasto grube mury z wieżami. Przed murami znajduje się głęboka fosa. Od strony morza strzegą miasta fort i kilka jednostek artyleryjskich. W murze znajdują się trzy bramy. „Bab el Medina”, „Bab el Jemen” i „Bab el Mekka”. Ta ostatnia jest najładniejsza, zwieńczona dwiema wieżami i ażurowymi blankami. Miasto dzieli się na dwie części: syryjską i jemeńską. Przecinają je dość szerokie, niezbyt brudne ulice i liczne ładne place. Wiele domów ma okna od ulicy. Domy są przeważnie kilkupiętrowe, solidnie zbudowane, z łukowymi drzwiami, balkonami i tarasami. Bazar ciągnie się przez całe miasto, równoległe do morza i sięga w głąb licznych bocznych ulic. Na bazarze można spotkać Arabów, Beduinów, fellachów, handlarzy z Basry, Bagdadu, Maskatu i Makalli, poza tym: Egipcjan, Nubijczyków, Abisyńczyków, Turków, Syryjczyków, Greków, Tunezyjczyków, Trypolitańczyków, Żydów, Hindusów i Malajów, a wszystkich w narodowych strojach. Czasami można się też natknąć na chrześcijanina. Za murami Dżiddy, a tak jak przeważnie za wszystkimi miastami Arabii, rozpoczyna się natychmiast pustynia. Na jej skraju rozsiane są chaty ludzi, dla których nie ma miejsca w mieście.

Niedaleko koszar, usytuowanych w pobliżu bramy Bab el Medina, znajduje się cmentarz z rzekomym grobem pramatki Ewy. Grób ten ma sześćdziesiąt metrów długości. Na jego środku wznosi się mały meczet.

Nie można się dziwić, że w Dżiddzie roi się od żebraków. Najwięcej dostarczają ich Indie. Podczas gdy biedni pielgrzymi z innych krajów poszukują pracy, aby zarobić na podróż powrotną, Hindusi są na to za leniwi. Gdyby człowiek chciał wesprzeć każdego żebrzącego, wkrótce stałby się sam żebrakiem.

Opuściwszy cmentarz, skierowałem się do portu, idąc powoli wzdłuż morskiego brzegu. Myślałem o tym, czy mi się uda zwiedzić Mekkę i zatopiony w myślach nie zauważyłem, że zapuszczam się w miejsce odludna. Nagle — czy to możliwe? — doleciały mnie od morza słowa piosenki:

*Jetzt geh i zum Soala  
und kaf ma an Strick  
bind's Diandl am Buckl,  
trog's überall mit.*

Piosenka z ojczyzny! Tu w Dżiddzie! Obejrzałem się i zobaczyłem łódkę, w której siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był tubylcem, o czym świadczyły zarówno barwa jego skóry, jak i jego ubiór. Łódka była zapewne jego własnością. Drugi mężczyzna stał w łodzi i przedstawiał dziwne zjawisko. Na głowie miał biały turban, odziany był w czerwone tureckie szarawary i w europejską marynarkę o nieco niemodnym kroju. Szyję miał przewiązaną żółtą jedwabną chustą, spod której z obu stron sterczały końce, zwane tutaj „dżebelpampuk-besi”, z gatunku, który w ojczyźnie zwie się „Vatermörder”. Szerokie biodra mężczyzny opinał pas, z którego zwisała tak obszerna pochwa, że mogłaby pomieścić aż trzy szable.

To on śpiewał. Zauważył, że zatrzymałem się zaskoczony i zapewne sądził, iż jestem lubiącym śpiewać Beduinem, gdyż przytknąwszy dla lepszej słyszalności lewą rękę do ust, zwrócił się jeszcze bardziej w prawo i zaintonował:

*Und der Türk und der Russ  
die zwoa gehn mi nix o'*

wann noa mit der Gret  
I koan Kriegshandel ho'!

Ta piosenka sprawiła mi jeszcze większą radość, niż zasłyszana w Kertassi nad Nilem, którą śpiewał Hamsad el Dżerbaja z Jüterborga. Przyłożyłem również dłoń do ust i zawołałem po turecku:  
— Türküje dewam et — proszę śpiewać dalej!

Nie wiem, czy gruby śpiewak mnie zrozumiał, w każdym razie natychmiast śpiewał dalej:

*Zwischen deiner und meiner  
is weite Gass'n;  
Bua, wennst mi nöt magst,  
kannst es bleibenlass'n!*

Korciło mnie, żeby się też popisać jodłowaniem:

*Zwischen deiner und meiner  
is a enge Gass'n;  
Bua, wennst mi gern magst,  
kannst herrudern lass'n!*

Słyszac to, nieznajomy wydał radosny okrzyk, zerwał z głowy turban, wyciągnął szablę z pochwy i wywijał nad głową zarówno szablą, jak i turbanem. Potem ulokował obydwie rzeczy na swoim miejscu i skierował łódź do brzegu.

Wyszedłem mu naprzeciw. Wskoczył na ląd, zatrzymał się jednak trochę zmieszany, kiedy mi się lepiej przyjrzał.

— Turek, mówiący po niemiecku? — spytał z powątpiewaniem.

— Nie — odparłem. — Niemiec, który mówi trochę łamanym tureckim językiem.

— A więc jednak! Nie chciałem wierzyć własnym uszom. Ale pan naprawdę wygląda jak człowiek Wschodu. Czy wolno mi spytać, czym się pan zajmuje?

— Jestem pisarzem. A pan?

— Jestem, hm, skrzypkiem, komikiem, kucharzem okrętowym, prywatnym sekretarzem, księgowym, małżonkiem, wdowcem, rencistą, a teraz podróżnym w drodze do domu.

Mój rodak powiedział to z tak ogromną godnością, że musiałem się roześmiać.

— W każdym razie nabył pan wiele umiejętności! I teraz chce pan wracać do domu?

— Tak, do Triestu, jeśli jeszcze przypadkiem w drodze nie zmienię postanowienia. A pan dokąd się udaje?

— Ja zobaczę swoją ojczyznę zapewne dopiero po kilku miesiącach. Co pan robi tutaj w Dziddzie?

— Nic. A pan?

— Także nic. Czy chcemy sobie wzajemnie pomagać?

— Naturalnie, jeżeli to panu odpowiada. — Oczywiście. Czy ma pan mieszkanie?

— Tak, już od czterech dni.

— A ja od mniej więcej tylu godzin.

— To jeszcze się pan nie urządził. Czy mogą więc zaprosić pana do siebie?

— Naturalnie! Kiedy?

— Teraz. Proszę ze mną! To całkiem niedaleko.

Triesteńczyk sięgnął do kieszeni i zapłacił żeglarzowi za przejazdzkę. Zawróciliśmy pieszo do portu. Wymieniając w drodze tylko ogólne uwagi, wkrótce znaleźliśmy się przed jednopiętrowym domkiem. Triesteńczyk wprowadził mnie do środka. Korytarz dzielił domek na dwie części. Właściciel domu otworzył drzwi po prawej stronie i weszliśmy do małego pokoju. Jedyнным meblem, jaki znajdował się w tym pomieszczeniu, była drewniana rama w kształcie tapczanu, okryta długą matą.

— To jest moje mieszkanie — rzekł mój nowy znajomy. — Witam pana u siebie! Proszę zająć miejsce!

Usiadłem na macie, podczas gdy gospodarz udał się do sąsiedniego pokoju i otworzył stojącą tam dużą skrzynię.

— Mając takiego gościa — zawołał — nie mogę nie poczęstować pana swoimi wspaniałościami. Proszę się im przypatrzeć!

Były to rzeczywiście same delikatesy.

— Oto garnek z plasterkami jabłek, ugotowanymi wczoraj wieczorem w ekspresie do kawy. To najlepsze, czym się można delektować podczas takiego upału. A tu dwa pączki, upieczone w skrzynce od tytoniu — dla każdego z nas po jednym. Tu jeszcze resztkę angielskiego pszennego chleba — trochę już czerstwego, ale da się jeszcze zjeść. Ma pan dobre zęby, jak widzę. W tej butelce jest prawdziwy stary koniak; chociaż to nie wino, zawsze jednak lepszy od wody. Szklanki nie mam, ale właściwie nie jest nam potrzebna. Potem w tej skrzyneczce — zażywa pan tabaki?

— Niestety nie.

— Szkoda! Ten tytoń jest wyśmienity. Ale pan pali?

— Chętnie.

— Tu są cygara! Jest ich już tylko jedenaście. Podzielimy je. Pan weźmie dziesięć, a ja jedno.

— Albo na odwrót.

— Nie zgadzam się.

— Zobaczymy. A co pan przechowuje w tamtej blaszanej puszcze?

— Niech pan zgadnie!

— Proszę mi ją podać!

Mój krajan spełnił moje życzenie, a ja przytknąłem puszkę do nosa.

— Ser! — zawołałem.

— Zgadł pan! — zaśmiał się. — Niestety nie mam masła. Proszę się częstować. Nóż pan chyba nosi przy sobie. A tu jest widelec.

Zabraliśmy się do sera z ochotą.

— Jestem Saksończykiem — rzekłem i wymieniłem swoje nazwisko. — Pan urodził się w Trieście?

— Tak. Nazywam się Martin Albani. Mój ojciec był szewcem. Ja miałem zostać kimś lepszym, mianowicie kupcem. Wolałem jednak poświęcać czas skrzypcom niż liczbom i innym sprawom. W dodatku miałem macochę — no, zapewne zdaje pan sobie sprawę, jak się wtedy człowiekowi życie układa. Ojca bardzo kochałem, poznałem jednak towarzystwo harfiarzy z Pressnitz i przyłączyłem się do tych ludzi. Zawędrowaliśmy do Wenecji, Mediolanu i głębiej w terytorium Włoch, a wreszcie dotarliśmy do Konstantynopola. Zna pan ten rodzaj ludzi?

— Oczywiście. Często podróżują daleko za morze.

— Zgadza się — przytaknął Albani. — Najpierw grałem na skrzypcach, potem awansowałem na komika. Spotkało nas jednak nieszczęście i musieliśmy zaniechać dalszej wędrówki. Byłem rad, że dostałem pracę na statku handlowym z Bremy. Tym statkiem dostałem się później do Londynu, skąd z

pewnym Anglikiem pożeglowałem do Indii. W drodze zachorowałem i w Bombaju umieszczono mnie w przytułku. Zarządca tegoż był dobrym człowiekiem, lecz nie umiał pisać ani rachować. Kiedy wyzdrowiałem, zatrudnił mnie jako pisarza. Później objąłem posadę księgowego u pewnego kupca. Wkrótce umarł na malarię, a ja poślubiłem wdowę po nim. Nasze małżeństwo było bezdzietne, lecz szczęśliwe. Niestety nieubłagana śmierć zabrała mi żonę. Teraz zżera mnie tęsknota za ojczyzną...

— Stęsknił się pan za ojcem?

— On także już nie żyje. Chwała Bogu, nie cierpiał biedy. Od kiedy mi się lepiej powodziło, często pisywaliśmy do siebie. Teraz sprzedałem swój sklep i powoli zdążam ku ojczyźnie.

Podobał mi się ten człowiek. Zachowywał się naturalnie. Nie można go było nazwać bogatym, robił jednak na mnie wrażenie człowieka który posiada tyle, ile mu potrzeba i zupełnie się tym zadowala.

— Dlaczego nie jedzie pan wprost do Triestu? — spytałem.

— W Maskacie i w Adenie miałem kilka rachunków do uregulowania.

— A więc jednak zaprzyjaźnił się pan z cyframi?

— Oczywiście — roześmiał się. — A teraz nie mam pilnych spraw, jestem sam sobie panem, cóż więc szkodzi, jeśli po drodze obejrzę sobie Morze Czerwone? Przecież pan też to robi.

— Istotnie. Jak długo pan tu pozostanie?

— Dopóki nie pojawi się jakiś odpowiedni statek. Ale niech mi pan powie, czy słysząc jak śpiewam, nie pomyślał pan, że mogę być Bawarczykiem lub mieszkańcem Tyrolu?

— Owszem. Nie jestem tym jednak bynajmniej rozczarowany; jesteście przecież mimo wszystko rodakami i cieszymy się, żeśmy się spotkali.

— A jak długo się pan tutaj zatrzyma?

— Hm! Mój służący odbywa pielgrzymkę do Mekki. Będę więc musiał chyba tydzień na niego poczekać.

— Cieszy mnie to. Będziemy więc dłużej razem.

— To prawda. Przez dwa dni będziemy się jednak musieli obyć bez siebie.

— Dlaczego?

— Miałem ochotę raz też zajrzeć do Mekki.

— Pan? O ile mi wiadomo, jest to chrześcijanom zabronione.

— Istotnie. Ale czy ktoś mnie zna?

— Racja. Czy mówi pan po arabsku?

— Trochę; wystarczająco, żeby się porozumieć w zasadniczych sprawach.

— Czy wie pan również, jak pielgrzymi powinni się zachowywać?

— Owszem, wiem. Z pewnością jednak moje zachowanie nie byłoby identyczne z zachowaniem pielgrzymów muzułmańskich. Gdybym bowiem zastosował się do ich zwyczajów i postępował zgodnie z nakazami Koranu, a może nawet modlił się do Allacha i wzywał jego Proroka, zgrzeszyłbym przeciwko naszej religii.

— W duchu myślałby pan jednak inaczej.

— To nie zmniejszyłoby mojej winy.

— Czyż nie wolno ponieść ofiary dla nauki i wiedzy?

— Owszem, lecz nie w tym wypadku. Zresztą nie jestem naukowcem. Gdybym kiedykolwiek dostał się do Mekki, miałoby to tylko takie znaczenie, że widziałem to miasto i że mógłbym o nim opowiedzieć swoim znajomym. Jestem przekonany, że można zwiedzić miasto Proroka, nie zapierając się swojej chrześcijańskiej wiary.

— Chyba nie.



— Czy pan sądzi, że do Mekki dostają się tylko pielgrzymi?

— Należy oczywiście przypuszczać, że i kupcy tam wchodzi. Ci jednak zapewne zwiedzają też święte miejsca i modlą się tam.

— I wątpię, żeby ich ktoś śledził. Liczę, że stąd do Mekki jest mniej. Więcej szesnaście godzin drogi. W siodle można by ją przebyć nawet w osiem godzin. Na szybkim wielbłądzie dotarłbym na miejsce i w ciągu czterech. Przybywam do miasta, wynajmuję pokój w jakimkolwiek zajęździe, powoli i z powagą chodzę po ulicach i zwiedzam święty przybytek. Potrzeba mi na to zaledwie kilku godzin. Każdy mnie będzie uważał za muzułmanina i spokojnie będę mógł wrócić.

— To przedsięwzięcie, jak je pan przedstawia, wydaje się całkiem bezpieczne, lecz mimo to jest ryzykowne. Czytałem, że chrześcijaninowi wolno dojść najwyżej na dziewięć mil przed miastem.

— W takim razie nie wolno by nam było również przebywać w Dżiddzie, gdyby w zakazie nie pomyślano oczywiście o milach angielskich. Przy drodze do Mekki znajduje się chyba jedenaście kawiarni. Odważę się wchodzić aż do dziewiątej z nich włącznie, mówiąc, że jestem chrześcijaninem, i przekonany jestem, że nic mi się nie stanie. Dużo się bowiem zmieniło. Obecnie nie wolno chrześcijanom wchodzić tylko do miasta. Ja się jednak odważę i wejść.

Mówiąc, tak się do tej sprawy zapaliłem, że teraz już ostatecznie postanowiłem wybrać się do Mekki. Z tą myślą wszedłem do swojego mieszkania, zasnąłem z nią i obudziłem się również z tym postanowieniem. Halef podał mi kawę. Pottrzymałem słowa i poprzedniego dnia wypłaciłem mu jego pieniądze.

— Sihdi, kiedy pozwolisz mi wyruszyć do Mekki? — zapytał.

— Czy Dżiddę zwiedziłeś już dokładnie?

— Jeszcze nie, ale wkrótce zakończę zwiedzanie tego miasta.

— Jak odbędziesz pielgrzymkę? Z delilem?

— Nie, to za drogo. Poczekam, aż się zbierze więcej pielgrzymów. Wynajmiemy wtedy wielbłądy.

— Możesz wyjechać stąd, kiedy zechcesz.

Delile, to urzędnicy, których obowiązkiem jest prowadzić pielgrzymów i zwracać uwagę na to, żeby ci nie zaniedbali żadnych przepisów obowiązujących podczas pielgrzymki. Za swoje usługi delii żąda odpowiedniej zapłaty, oczywiście dość wysokiej.

Ledwie Halef zamknął za sobą drzwi, usłyszałem pytanie skierowane do niego w języku niemieckim:

— Czy twój pan jest w domu?

— Mów po arabsku! — odrzekł Halef.

— Po arabsku? Nie znam tego języka, mój chłopcze. Mógłbym ci służyć kilkoma tureckimi słowami. Ale poczekaj, zaraz się sam zamelduję twojemu panu! W każdym razie wiem, że twój pan znajduje się za tymi drzwiami.

Był to głos Albaniego. Zaraz też zaśpiewał:

*Juchheirassassa! Und wenn d'willst, will i a, und wenn d'willst, so mach auf, denn desweg'n bin i da!*

Jak widać, mój rodak dopasował tekst swojej zaimprovizowanej czterowierszowej piosenki do okoliczności. Halef zapewne stał przed drzwiami osłupiały ze zdziwienia. Przez wzgląd na niego nie odpowiedziałem Albaniemu natychmiast. Niechby sobie mój mały jeszcze trochę posłuchał. I rzeczywiście Triesteńczyk za chwilę kontynuował:

*Soldat bin i gern,*

*und da kenn i mi aus,  
doch steh i nit gern Schildwach  
in fremder Leut Haus.*

Kiedy i to delikatne upomnienie nie odniosło skutku, Albani zagroził w następnej zwrotce:

*Und a frische Bua bin i,  
drum lass dir mal sag'n:  
Wenn d'itzt nit glei aufmachst,  
tua i's Türerl zerschlag'n!*

Do tego nie mogłem przecież dopuścić. Wstałem więc z krzesła i otworzyłem mu.

— Acha — zaśmiał się — pomogło. Myślałem przez chwilę, że pan już wybrał się do Mekki.

— Pst! Mój służący nie śmie o tym wiedzieć.

— Przepraszam! Niech pan zgadnie, z jaką przychodzę prośbą!

— Domaga się pan odwzajemnienia pańskiej wczorajszej gościnności? Bardzo mi przykro. Mogę panu służyć amunicją, w razie gdyby pan jej potrzebował, lecz nie posiadam środków żywnościowych, a zwłaszcza tak rzadkich, jakie wczoraj były w pańskim jadłospisie.

— Ba! Ale ja mam naprawdę prośbę, a raczej pytanie.

— Proszę, niech pan mówi!

— Wspominaliśmy wczoraj o pańskich przeżyciach i przygodach. Przypuszczam, że pan jest jeźdźcem.

— Owszem, trochę jeżdżę wierzchem.

— Tylko konno, czy na wielbłądach też?

— Dosiadam obu tych zwierząt; nawet osła, do czego właśnie wczoraj zostałem zmuszony.

— Nigdy jeszcze nie siedziałem na wielbłądzie. Dziś rano dowiedziałem się, że w pobliżu mieszka dewetszi wypożyczający wielbłądy. Można więc za niewielką opłatą zabawić się w Beduina...

— Ach, więc chce pan odbyć przejażdżkę na wielbłądzie? — Właśnie.

— Nabawi się pan jednak pewnego rodzaju choroby morskiej.

— Liczę się z tym. Ale zjeździć wybrzeże Morza Czerwonego, nie siedząc ani razu na wielbłądzie! To przecież niesłychane! Czy mogę poprosić, żeby mi pan towarzyszył w tej przejażdżce?

— Owszem, mam czas. Dokąd chce pan jechać?

— Obojętnie. Może powłóczyć się wokół Dżiddy?

— Zgoda. Kto postara się o wielbłądy? Pan czy ja?

— Naturalnie, ja. Czy zechce pan zabrać ze sobą także swojego służącego?

— To zależy od pana. W tym kraju nigdy nie wiadmo, co się człowiekowi może przydarzyć, a służący w Oriencie zawsze się może przydać.

— Wobec tego pojedzie z nami.

— Kiedy mam przyjść po pana? — Za godzinę.

— Dobrze. Ale niech mi pan pozwoli na pewną uwagę. Zanim pan dosiądzie wielbłąda, proszę dokładnie obejrzyć siodło i koc. Taka ostrożność jest zawsze wskazana, bowiem w przeciwnym razie można bardzo łatwo zapoznać się z sześcionożnymi żyjątkami, które Turek określa mile brzmiącą nazwą „bit”.

— Bit? Nie znam języków orientalnych.

— Ale z łaciną miał pan chyba trochę do czynienia? — Oczywiście.

— Mam na myśli stworzonko, którego niemiecka nazwa brzmi tak, Jak po łacinie niemieckie słowo „chwała”.

— A więc „laus”! Czy rzeczywiście zdarzają się siodła i koce tak bardzo zawzione?

— Czasem tak. Na Węgrzech nazywa się te pasożyty górnicy, a to dlatego że zachowują się jak górnicy w szybach kopalń, wędrując od góry do dołu. Podczas przejażdżki oblażą człowieka zarówno „górnicy” wielbłądów, jak i „górnicy” ich właścicieli. Na szczęście wszy Arabów wykazują rozczulającą wierność dla swoich panów, gardząc, zgodnie z miejscowym zwyczajem, giaurami. Niech pan w związku z tym podłoży sobie jeszcze własny koc, który po przejażdżce odda pan za niewielką opłatą najbliższemu piekarzowi do spalenia w piecu piekarskim.

— Nieźle. Czy zabierzemy ze sobą broń?

— Oczywiście. Ja na przykład jestem zmuszony do ostrożności, ponieważ w każdej chwili mogę napotkać wrogów tutaj lub w okolicy.

— Pan?

— Tak, ja! Znajdowałem się bowiem w niewoli u pewnego pirata, z której dopiero wczoraj rano uciekłem. Ten rabuś wybrał się do Mekki i niewykluczone, że mógł zatrzymać się w Dżiddzie.

— Ależ to niezwykle! Czy on jest Arabem?

— Tak. Nie mogę go nawet zaskarżyć, mimo że nikt nie dałby choćby złamanego szeląga za moje życie, gdyby ten rabuś stanął znów na mojej drodze.

— I nic mi pan wczoraj o tym nie powiedział?

— A po cóż miałbym o tym mówić? Słszy się i czyta teraz bardzo czysto, że życie staje się bezbarwne i nie ma w nim miejsca na przygodę. Przed kilkoma zaledwie tygodniami rozmawiałem z pewnym uczonym, który zwiedził znaczną część kuli ziemskiej. Twierdził on, że można przejść przez świat od Hammerfestu po Kapsztad i od Anglii do Japonii, nie znalazłszy ani śladu tego, co się zwie przygodą. Nie oponowałem, lecz jestem przekonany, że tylko od samego podróżnika zależy, czy spotka go w drodze jakaś przygoda, czy też nie. Podróż z biletem w rękę będzie bardzo spokojna, nawet gdyby prowadziła na wyspę Celebes lub do Ziemi Ognistej. Ja wolę konia i wielbłąda od dyliżansu i kolei, czołno od statku parowego i strzelbę od paszportu, opatrzonego całym szeregiem wiz. Poza tym chętniej podróżuję do Timbaktu lub Tobolska, niż do Nicei czy na wyspę Helgoland. Nie korzystam z usług tłumaczy ani nie posługuję się bedekerem. Na podróż do Mursuka dysponuję mniejszą kwotą pieniężną, niż potrzebna by była komuś, kto chciałby pojechać tylko z Pragi do Wiednia i zwiedzać przez tydzień to cesarskie miasto; i — nigdy nie skarżyłem się na brak przygód. Kto zapuszcza się w kraje, przez które ciągną się górskie łańcuchy Atlasu, lub wędruje przez zachodnie stany Ameryki Północnej, temu posiadane zasoby pieniężne tylko przeszkadzają. Kto natomiast wybierze się tam z niezbyt ciężką kieszenią, ten będzie szukał gościnności u Beduinów, ofiarując im w zamian swoje usługi, a na Dzikim Zachodzie będzie musiał sam upolować sobie zwierzynę na pieczeń i walczyć z niezliczonymi niebezpieczeństwami; nigdy nie zabraknie mu przygody. Czy założy się pan, że podczas przejażdżki spotka nas przygoda, choćby tylko mała? Bohaterowie dawnych czasów wybierali się w świat, żeby szukać przygód. Dzisiaj ludzie podróżują jako kupcy, turyści, letnicy, kuracjusze lub wczasowicze. Przeżywają swoje przygody pod parasolami, przy wspólnym stole w restauracjach i pensjonatach, u przebranych pasterek alpejskich, w kasynach gry i na ślizgawce.

— Pan mnie naprawdę zaciekawia — stwierdził Albani.

— Niech się pan stara mnie dobrze zrozumieć! — odparłem. — Pan, być może, nazwie przygodą

obserwację w dżungli dwóch tygrysów walczących ze sobą na śmierć i życie. Dla mnie taką samą wielką przygodą będzie, jeśli na skraju lasu natknę się na dwie gromady mrówek, których starcie ze sobą nie tylko ze względu na odwagę i wysiłek można przyrównać do walki Hunów lub Gotów, ale które daje nam również takie przykłady poświęcenia, posłuszeństwa i strategicznych przewidywań, że ogarnia nas wprost podziw i zdziwienie. Wszchemoc Boska wspanialej przejawia się w tych niepozornych zwierzątkach niż w owych dwóch tygrysach, które tylko dlatego wydają się panu godniejsze uwagi, że się ich pan boi. Ale teraz niech pan już idzie załatwić wypożyczenie wielbłądów, abyśmy w czasie największego upału zdążyli znaleźć źródło z pitną wodą.

— Idę. Ale niech pan również dotrzyma słowa w sprawie przygody.

— Dotrzymam słowa.

Albani oddalił się. Powiedziałem mu to wszystko umyślnie, gdyż uważam, że pierwsza przejażdżka na wielbłądzie winna odbywać się koniecznie w nieco romantycznym nastroju.

## U PLEMENIA ATEIBEHÓW

Kiedy po upływie trzech kwadransów wkraczałem z Halefem do mieszkania Albaniego, ten czekał już na nas, uzbrojony od stóp do głów.

— Chodźmy! Dewetszi już na nas czeka. A może byśmy przedtem coś przekąsili? — zwrócił się do mnie z zapytaniem.

— Nie.

— To weźmiemy prowiant ze sobą. Mam tu pełną torbę.

— Pan chce przeżyć przygodę, a zabiera pan ze sobą pożywienie? Precz z tym! Jak będziemy głodni, to poszukamy jakiejś wioski. Tam znajdziemy daktyle, mąkę, wodę, a może nawet trochę tszekiru.

— Tszekiru? Cóż to jest?

— Ciasto, upieczone z mielonej szarańczy.

— Pfe!

— Ba, to nawet smaczne! Kto jada ostrygi, ślimaki winniczki, ptasie gniazda, żabie udka, kwaśne mleko i serowy roztocz, dla tego Szarańcza musi być przysmakiem. Czy wie pan, kto przez dłuższy czas żywił się szarańczą i miodem prosto z barci?

— Zapewne była to jakaś biblijna postać?

— Oczywiście, a mianowicie pewien wielki i święty człowiek. Przejdźmy jednak do naszej sprawy. Ma pan koc?

— Owszem, proszę.

— Dobrze, Na jak długo wynajął pan wielbłądy?

— Na cały dzień.

— Czy właściciel wielbłądów lub ktoś z jego ludzi będzie nam towarzyszył?

— Nie.

— To dobrze. Co prawda, w tej sytuacji musiał pan dać gwarancję, ale za to jadąc bez przewodnika będziemy mieli więcej swobody. Chodźmy więc!

Wynajmujący wielbłądy mieszkał w następnym domu. Poznałem natychmiast, że nie był on Arabem, lecz Turkiem. W podwórzu jego domostwa stały trzy wielbłądy, tak nędzne, że można było nad nimi zapłakać.

— Gdzie jest stajnia? — zapytałem go.

— Tam.

Wskazał na mur, który dzielił podwórze na dwie części.

— Otwórz bramę! — poleciłem. — Dlaczego?

— Ponieważ chcę zobaczyć, czy w stajni są jeszcze jakieś wielbłądy.

— Owszem są.

— Pokaż mi je!

Chociaż Turek niezbyt mi ufał, otworzył jednak bramę stajni i pozwolił mi rzucić okiem do środka. W wydzielonej części stajni leżało osiem przepięknych wielbłądów wierzchowych. Podszedłem do nich i obejrzałem je.

— Dewetszi, ile ci jego wysokość bej płaci za wielbłądy, które nam osiodłałeś?

— Piąt mahbub cekinów za wszystkie trzy.

— I za taką cenę otrzymujemy te juczne zwierzęta z okaleczonymi nogami? Ich boki są tak zapadnięte, że można je przejrzeć na wskroś, ich wargi zwisają, jak twój podarty rękaw od kabata, a ich garby — one przecież w ogóle nie mają garbów! Widać po nich, że przebyły daleką drogę. Są tak wychudzone i słabe, że ledwie mogą unieść siodła. A jak wyglądają te siodła! Przypatrz się, dewetszi! Co łązi po tym kocu? Pospiesz się i daj nam inne wielbłądy i inne koce, i siodła.

Właściciel stajni spojrział na mnie na pół podejrzliwie, na pół gniewnie.

— Kim jesteś, że śmiesz wydawać takie rozkazy?

— Przypatrz się temu! — odrzekłem ostrym tonem. — Widzisz to bujuruldu sułtana? Czy mam mu powiedzieć, że jesteś oszustem i zamęczasz swoje zwierzęta na śmierć? Szybko, osiodłaj tamte trzy wielbłądy, te brązowe po prawej stronie i tego siwego z narożnika, w przeciwnym razie poczęstuję cię biczem!

Beduin na takie słowa byłby chwycił za pistolet lub nóż; ten człowiek był jednak Turkiem. Natychmiast uczynił zadość mojemu żądaniu i niebawem trzy jego najlepsze wielbłądy, wyposażone w czyste siodła z przyborami, leżały przed nami na kolanach. Zwróciłem się teraz do Halefa.

— Pokaż temu efendi, jak się dosiada wielbłąda!

Podczas gdy Halef tłumaczył Albaniemu zasady wsiadania na wielbłąda, ja nastąpiłem zwierzęciu na jego podkurczone przednie nogi.

— Proszę uważać! Z chwilą, kiedy pan dotknie siodła, wielbłąd podniesie się z klęczek i stanie najpierw na tylne nogi. Rzuci panem wtedy do przodu. Potem zwierzę wyprostuje przednie nogi i wów-

czas przechyli się pan gwałtownie do tyłu. Obydwa wstrząsy musi pan zneutralizować ruchami swego tułowia, przechylając się w kierunku przeciwnym do ruchów wielbłąda.

— Spróbuję.

Albani chwycił uzdę i wskoczył na siodło. Zwierze natychmiast wstało, mimo że nie odjąłem stopy z jego nóg. Śpiewak improwizujący żartobliwe piosenki rzucony został do przodu, nie spadł jednak, gdyż trzymał się mocno uzdy. Teraz wielbłąd poderwał się raptownie z przednich nóg. Ponieważ Albani wypuścił uzdę z rąk, wyleciał z siodła jak z procy i upadł za zwierzęciem na piasku.

— Do stu piorunów, to wcale nie takie łatwe! — zrzędził, wstając i rozcierając sobie bark, którym uderzył o ziemię.

— Mimo to muszę dosiąść wielbłąda. Proszę doprowadzić zwierzę do ponownego klęku!

— Rrree!

Ma to wołanie wielbłąd natychmiast się położył. Druga próba utrzymania się w siodle udała się Albaniemu, jakkolwiek musiał przetrzymać dwa mocne wstrząsy. Ja natomiast byłem zmuszony udzielić właścicielowi wielbłądów jeszcze jednej nagany,

— Dewetszi, czy umiesz jeździć na wielbłądzie?

— Tak, panie.

— Prowadzić wielbłąda także?

— Oczywiście.

— Nie, nie umiesz, gdyż nawet nie wiesz, że do tego potrzebny jest metrek.

— Przepraszam, panie!

Turek dał znak swoim ludziom i pręciki zostały przyniesione. Wreszcie ja także dosiadłem wielbłąda.

Teraz oczywiście wyglądaliśmy okazale. Nie byłoby tak, gdybyśmy się zadowolili przygotowanymi dla nas pierwotnie wynędzniałymi zwierzętami. Nasze obecne siodła były

ozdobione pięknymi frędzlami i kolorowymi haftami, a koce były tak obszerne, że okrywały zwierzęta całkowicie. Wyjechaliśmy na ulicę.

— Dokąd się udamy? — spytałem Albaniego.

— Panu pozostawiam decyzję.

— Dobrze. Wyjedziemy więc bramą Bab el Medina!

Mój nowy znajomy ścierał na siebie spojrzenia przechodniów; jego ubiór był bowiem ekscentryczny. Zboczyliśmy więc z głównego traktu i jadąc bocznymi uliczkami, wydostaliśmy się szczęśliwie okrężną drogą za mury miasta. Teraz jechaliśmy stępą przez osady Nubijczyków i Abisyńczyków, a minawszy je, znaleźliśmy się na pustyni, której nie odgradza od miasta żaden pas roślinności. Pustynia rozciąga się bezpośrednio między wszystkimi miastami Arabii Saudyjskiej.

Albani trzymał się dotychczas w siodle nie najgorzej. Teraz jednak wielbłądy swoim zwyczajem zaczęły biec truchtem, co dawało nowicjuszowi możliwość poznania morskiej choroby, mimo że nie widział kropli słonej morskiej wody. Z początku Albani śmiał się sam z siebie. Nie był na tyle zręczny, żeby własnymi ruchami łagodzić wstrząsy, powodowane charakterystycznym biegiem zwierzęcia. Triesteńczyk chwiał się raz w jedną, raz w drugą stronę, raz w tył i raz w przód. Jego długa fuzja zawadzała mu, a olbrzymia szabla obijała z brzękiem boki wielbłąda. Wziął ją więc między nogi, przytknął palcami i zaśpiewał:

*Szabla ma brzęczy, szabla ma dzwoni, dużo kłopotu z nią mam, a wielbłąd się chwieje, jak łódź na toni, wielbłąd to zwierzę, jak diabeł sam.*

Dałem swojemu wielbłądowi lekkiego prztyczka w nos. Wyprostował się i pognął naprzód, aż się za nim piasek wzbijał tumanami. Dwa pozostałe wielbłądy natychmiast także przyspieszyły bieg i śpiew się urwał. Albani zaciskał pręcik w lewej a strzelbę w prawej pięści i wzniosłszy ramiona w górę wywijał obydwojma przedmiotami w powietrzu, chcąc utrzymać równowagę. Przedstawiał więc pocieszny widok.

— Niech pan przewiesi fuzję przez plecy i trzyma się rękami siodła! — zawołałem.

— Przewie... hopp!... przewie... och, prr, ach! Przewiesić! Nie mam przecież cza..., au! Czasu na to! Niechżeż pan zatrzyma to swoje prze... — hopsa, och, prr! To swoje przekłete bydlę!

— Dlaczego? Przecież ja sobie z nim radzę.

— Pan solne radzi, lecz ja cierpię. Mój wiel..., och, prr, och! Mój pędzi za pańskim jak opę... hu, hop! ... jak opętany!

— Niech go pan zatrzyma!

— Czym go mam zatrzymać? — Nogą i cugłami.

— Nogi. nie mogę wcale... hopsal... nie mogę wcale podnieść, a cugle... stój... och, stój, och!... dawno wypadły mi z rąk.

— To musi pan poczekać, aż wielbłąd sam się zatrzyma.

— Ale mnie już przecież... — prr, och!... brak tchu.

— Niech więc pan otworzy usta, powietrza jest dosyć! Odwróciłem się, nie słuchając już dalszych biadań i lamentów Albaniego. Był przecież pod dobrą opieką, gdy Halef jechał obok niego.

Wkrótce minęliśmy niewielkie wzniesienie. Przed nami rozciągała się teraz otwarta równina. Albani powoli przyzwyczajał się do siodła, nie skarżył się już. W godzinę przejechaliśmy mniej więcej piętnaście kilometrów, kiedy nagle pojawiła się przed nami postać samotnego jeźdźca. Jechał, jak się zdawało, na wspaniałym wielbłądzie, gdyż przestrzeń między nim a nami błyskawicznie malała. Po niespełna dziesięciu minutach zatrzymaliśmy się naprzeciw siebie.

Obcy miał na sobie ubiór zamożnego Beduina. Kaptur burnusa zakrywał mu większą część twarzy. Jego wielbłąd był więcej wart od naszych trzech razem wziętych.

— Es selam' alejkum! — pozdrowił mnie, odsłaniając rękę, aby odchylić kapuzę.

— We' alejkum es selam! — odpowiedziałem. — Dokąd prowadzi cię twoja droga tu na pustyni?

Głos nieznanego zabrzmiał miękko, niemal jak głos kobiety.

Jego ręka była co prawda brązowa, lecz mała i delikatna, a kiedy teraz zesunął z głowy kaptur, ujrzałem twarz bez zarostu, z której patrzyło na mnie dwoje dużych, brązowych oczu: nie ulegało wątpliwości, to nie był mężczyzna, to była kobieta.

— Moja droga jest wszędzie — odparła. — Skąd prowadzi cię twoja?

— Przybywam z Dżiddy, chcę się przejechać na wielbłądzie i wrócić do miasta.

Twarz nieznanego spochmurniała; z jej oczu wyjrzała nieufność.

— Mieszkasz w Dżiddzie?

— Nie. Jestem tam obcym człowiekiem.

— Czy jesteś pielgrzymem?

Co miałem odpowiedzieć? Moim pierwotnym zamiarem było uchodzić tutaj za muzułmanina. Ponieważ jednak zostałem zapytany wprost, nie wypadało mi odpowiedzieć kłamstwem. — Nie — przyznałem się — nie jestem pielgrzymem.

— Jesteś obcym w Dżiddzie i nie przybywasz tu, żeby udać się do Mekki? Albo więc już byłeś kiedyś w świętym mieście, albo nie jesteś prawowiernym.

— Nie byłem jeszcze w Mekce, gdyż moja wiara nie jest waszą wiarą.

— Jesteś żydem?

— Nie. Jestem chrześcijaninem.

— A ci dwaj?

— Ten jest chrześcijaninem jak ja, a ten drugi jest muzułmaninem, który chce się wybrać do Mekki.

Twarz niewiasty nagle się rozjaśniła.

— Gdzie jest twoja ojczyzna, cudzoziemcze? — z tym pytaniem zwróciła się do Halefa.

— Na zachodzie, daleko stąd, za wielką pustynią.

— Czy jesteś żonaty?

Zarówno Halefa jak i mnie zdziwiło to pytanie, na Wschodzie nie uchodzi bowiem pytać mężczyznę o jego kobiety

— Nie — odrzekł Halef, nie okazując swego zdziwienia.

— Czy jesteś przyjacielem, czy służącym tego efendi?

— Jestem jego służącym i przyjacielem. Wówczas kobieta zwróciła się znów do mnie:

— Efendi, zechciej mi towarzyszyć!

— Dokąd?

— Nie ufasz mi. A może boisz się kobiety?

— Jedźmy więc!

Nieznaną zawróciła i jechała z powrotem po śladach swego wierzchowca. Trzymałem się jej boku, a moi towarzysze podążali za nami.

— No co? — zapytałem, odwracając się do Albaniego. — Czy nie miałem racji, obiecując panu przygodę?

Albani odpowiedział śpiewem:

*Dziewczyna jest ładna  
od stóp do głów,  
nieco tylko jej szyjkę*



Kobieta co prawda nie była już pierwszej młodości. Promienie pustynnego słońca opaliły jej twarz, a trudy i niedostatki poryły to oblicze zmarszczkami. Musiała być jednak kiedyś ładną niewiastą; to jeszcze teraz było widoczne. Czego szukała samotnie na pustyni? Dlaczego jechała do Dziddy, a spotkawszy nas zawróciła i chce jechać z nami? Dlaczego ucieszyła się słysząc, że Halef wybiera się do Mekki i dlaczego nie powiedziała, dokąd ma zamiar nas zaprowadzić? — Ta kobieta była dla mnie zagadką. Przez ramię miała przewieszoną fuzję, a u pasa jatagan. W rzemieniu siodła jej wielbłąda tkwiła dzida, która w ręku zręcznego Araba bywa bardzo niebezpieczna. Nieznajoma zrobiła na mnie wrażenie nieustraszonej amazonki. Było to chyba najodpowiedniejsze określenie jej osoby. Takie bowiem wojownicze kobiety można było w niektórych rejonach Wschodu spotkać częściej niż na Zachodzie, gdzie kobieta na ogół cieszy się przecież większą swobodą.

— Co to za język? — spytała Arabka, wysłuchawszy śpiewki Albaniego.

— To mowa Niemców — wyjaśniłem.

— To ty jesteś Niemcem? — Tak

— Niemcy muszą być dzielnymi ludźmi.

— Na jakiej podstawie to stwierdzasz?

— Najdzielniejszym człowiekiem był przecież sułtan Wielkiego Ergu, a mimo to pokonali go Niemcy, Austriacy i Rosjanie. Czyż nie było tak? Dlaczego na mnie patrzysz tak przenikliwie?

Ta kobieta słyszała więc o Napoleonie i o wyniku prowadzonych przez niego wojen, co mnie bardzo zdziwiło. Zapewne miała ciekawą przeszłość.

— Wybacz, jeśli moje spojrzenie cię obraziło! — odparłem. — Nie zwykłem jednak spotykać w twoim kraju kobiet podobnych do ciebie.

— Chciałeś powiedzieć: kobiety uzbrojonej? Kobiety zabijającej mężczyzn? Kobiety, która nawet wśród swoich jest przywódcą? Czy nie słyszałeś o Ghalije?

— Ghalije? — spytałem zastanawiając się. — Czy to nie była królowa plemienia?

— Widzę, że ją znasz.

— Ghalije była szejkiem plemienia. W bitwie pod Tarabą pobiła wojska Muhammada Alego, którymi dowodził Tussun bej.

— Tak jest. Widzisz więc, że kobieta także może zachowywać się jak mężczyzna?

— A co na to Koran?

— Koran? — spytała Arabka z gestem lekceważenia. — Koran jest książką. Oto mój jatagan, moja strzelba i moja dzida. W co wierzysz, w książkę, czy w broń?

— W broń, oczywiście. Widzisz więc, że nie jestem niewiernym, gdyż myślę tak jak ty.

— Czy wierzysz także w swoją broń?

— Owszem. Ale bardziej w świętą księgę chrześcijan.

— Tej nie znam, doceniam jednak twoją broń.

Pochlebiała mi tym stwierdzeniem, gdyż Arab zwykł oceniać człowieka według jego uzbrojenia.

— Kto zabił więcej wrogów — indagowała amazonka — ty, czy twój przyjaciel?

Biorąc pod uwagę rodzaj i jakość broni, Albani musiałby w każdym razie być o wiele dzielniejszy ode mnie. Jednakże byłem przekonany, że poczciwy Triesteńczyk nikomu jeszcze nie wyrządził krzywdy swoją ciężką szablą. Mimo to odpowiedziałem wymijająco:

— Nie rozmawiałem z nim jeszcze na ten temat.

— Ile razy dokonałeś zemsty rodowej?

— Jeszcze nigdy. Moja wiara zabrania mi zabijać nawet wroga. Karę wymierza się na mocy

prawa.

— A gdyby teraz pojawił się tu Abu Seif i zaatakował ciebie?

— Broniłbym się i w razie konieczności zabiłbym go, gdyż w obronie własnej jest to dozwolone.

Mówisz o „ojcu szabli”. Czy go znasz?

— Znam go. Wymieniłeś jego przydomek. Czy słyszałeś o nim? — Nie tylko o nim słyszałem, lecz go także widziałem.

Amazonka zwróciła się raptownie w moją stronę.

— Widziałeś go? Kiedy?

— Zaledwie przed kilku godzinami.

— Gdzie?

— Ostatnio na jego statku. Byłem jego więźniem i wczoraj mu uciekłem.

— Gdzie jest jego statek?

Wskazałem kierunek, gdzie moim zdaniem winien się znajdować.

— Stoi tam w zatoce.

— Czy Abu Seif znajduje się na statku?

— Nie. Wybrał się do Mekki, żeby zanieść podarunek wielkiemu szeryfowi.

— Wielkiego szeryfa nie ma w Mekce, jest w Taifie. Zawdzięczam ci ważną wiadomość. Jedźmy prędzej!

Przynagliła swego wielbłąda do szybszego biegu i skręciła w prawo, skąd widać było na horyzoncie jakieś wzniesienia. Kiedy podjechaliśmy bliżej, zauważyłem, że to pasmo wzgórz składa się z tego samego szarego granitu, jaki później odkryłem w pobliżu Mekki. W kotlinie stało kilka namiotów. Niewiasta wskazała na nie i oświadczyła:

— Tam mieszkają beni kufr z plemienia Ateibeh.

— O ile mi wiadomo, plemię Ateibeh mieszka w Es Sallaleh, Taleh i w pustynnej dolinie En Nobejat?

— Jesteś dobrze poinformowany. Ale chodź! Dowiesz się wszystkiego.

Przed namiotami leżało chyba z trzydzieści wielbłądów i stało kilka koni. Kiedyśmy się zbliżali, gromada mizernych, kudłatych psów pustynnych zaczęła wściekle ujadać, co wywołało mieszkańców z ich namiotów. Chwycili za broń i wyglądali wojowniczo.

— Zaczekajcie tu! — nakazała nam amazonka.

Doprowadziła swego wielbłąda do pozycji klęku, zeskoczyła z siodła i podeszła do mężczyzn. Mojej uprzedniej rozmowy z nią nie słyszał ani Albani, ani Halef.

— Sihdi — spytał Halef — do jakiego plemienia należą ci ludzie?

— Do plemienia Ateibeh.

— Słyszałem o tym plemieniu. Są to najdzielniejsi ludzie pustyni i żadna karawana pielgrzymów nie jest bezpieczna od ich kul. Plemię Ateibeh jest wrogiem plemieniu Džeheine, do którego należy Abu Seif. Czego ta kobieta chce od nas?

— Nie wiem jeszcze.

— Więc musimy się dowiedzieć. Ale trzymaj swoją broń w pogotowiu, sihdi! Nie ufam tym ludziom, gdyż są to wygnańcy i prze-kicci.

— Po czym to poznajesz?

— Czy nie wiesz, że Beduini, którzy mieszkają w pobliżu Mekki, zbierają ściekające ze świec krople wosku, popiół ze spalonego drewna kadzidlanego, kurz z progu świątyni Kaaby w Mekce i tym wszystkim nacierają sobie czoła? Ci tutaj mają czoła czyste. Nie wolno im wejść do Mekki, a tym bardziej do świątyni, są przekłęci.

— Z jakiego powodu mogli stać się wygnańcami?

— Tego chyba dowiemy się od nich samych.

Tymczasem kobieta zamieniła kilka słów z mężczyznami, po czym jeden z nich podszedł do nas. Był to starzec o dostojnym wyglądzie.

— Niech Allah błogosławi wasze przybycie! Zsiądźcie z wielbłądów i wejdźcie do namiotów. Jesteście naszymi gośćmi!

To zapewnienie przekonało mnie, że ze strony tych ludzi nic złego nam nie grozi. Jeżeli Arab raz nazwie przybysza „musafir”, czyli gościem, to można mu w pełni zaufać. Zsiedliśmy więc z naszych zwierząt. Wprowadzono nas do namiotów i poczęstowano skromnym posiłkiem.

Podczas jedzenia nie padło ani jedno słowo. Potem jednak podano każdemu z nas fajkę „bery” i podczas palenia perskiego, przyjemnie pachnącego tytoniu, rozpoczęła się rozmowa.

Fakt, że dano nam tylko fajki „bery”, dowodził, iż nasi gospodarze nie byli bogaci. W okolicy świętego miasta używa się bowiem trzech rodzajów fajek. Pierwszym i najkosztowniejszym gatunkiem fajki jest „chedra”. Spoczywa zazwyczaj na trójnogu, wykonana jest z czystego srebra i pięknie ozdobiona rytymi ornamentami. Zaopatrzona jest w długi wąż, zwany „lejjehem”, który w zależności od dobrobytu właściciela fajki wysadzany bywa drogimi kamieniami lub pokryty jest innymi ozdobami. W fajce „chedra” pali się przeważnie najprzedniejszy tytoń z Sziras. Drugi rodzaj fajki to „sziszeh”. Ta fajka jest bardzo podobna do chedry, tylko nie taka duża i jest mniej kosztowna. Trzeci typ fajki — najpospolitszej — to „bery”. Składa się ze skorupy orzecha kokosowego, napełnionej wodą. Do skorupy przymocowana jest główka fajki oraz cybuch zamiast węża.

W namiocie znajdowało się przeszło dwudziestu mężczyzn. Starzec, który nas powitał, zabrał głos:

— Jestem panem tego obozu i chciałbym z tobą porozmawiać, efendi. Zwyczaj zabrania męczyć gościa pytaniami, ja jednak będę musiał zapytać cię o kilka spraw. Czy mi pozwolisz?

— Pozwalam.

— Należysz do chrześcijan?

— Tak, jestem chrześcijaninem.

— Co robisz tutaj; w kraju wiernych?

— Chcę poznać ten kraj i jego mieszkańców. Szejk spojrzał na mnie nieufnie.

— A jeśli już poznasz ten kraj, to co będziesz robił?

— Powrócę do swojej ojczyzny.

— Allah akbar, Bóg jest wielki, a myśli chrześcijan są nieodgadnione. Jesteś moim gościem i będę wierzył w to, co mówisz. Czy ten człowiek jest twoim służącym?

Wskazał przy tym na Halefa.

— Halef Omar jest moim służącym i moim przyjacielem.

— Nazywam się Malek. Rozmawiałeś z Amszą, córką szejka Maleka. Powiedziała mi, że twój służący chce się udać do Mekki, aby stać się pielgrzymem.

— Dobrze cię poinformowała.

— Czy będziesz na niego czekał, aż wróci?

— Tak.

— Jesteś obcokrajowcem, lecz znasz język wiernych. Czy wiesz, kto to jest delii?

— Delil jest przewodnikiem, który za opłatą pokazuje pielgrzymom święte miejsca i rzeczy godne widzenia w Mekce.

— Tak jest istotnie. Ale delil trudni się poza tym innymi sprawami. Kobietom niezamężnym nie wolno wejść do świętego miasta. Jeśli więc niezamężna niewiasta chce się dostać do Mekki, udaje

się do Dziddy i formalnie zawiera związek małżeński z delilem. Ten wprowadza ją do Mekki jako swoją małżonkę, gdzie ona poddaje się wymaganym obrzędom. Z chwilą, kiedy to się stało, delil zwraca słowo poślubionej i ona staje się znowu wolną kobietą. Delil za tę przysługę pobiera odpowiednią zapłatę.

— O tym również wiem.

Cały ten wstęp starca rozbudził moją ciekawość. Jakie mógł mieć zamiary, łącząc pielgrzymkę Halefa z urzędem delila? Miałem się o tym niebawem dowiedzieć, gdyż zwrócił się do mnie wprost:

— Pozwól Halefowi Omarowi być delilem podczas jego pielgrzymki!

Zaskoczył mnie tą prośbą.

— W jakim celu? — spytałem.

— Wyjaśnię ci, kiedy zgodzisz się spełnić moją prośbę.

— Nie wiem, czy Halef ma takie uprawnienia. Delile są bowiem urzędnikami, w każdym razie wyznaczanymi przez organa władzy.

— Któż mógłby zabronić Halefowi Omarowi poślubić dziewczicę i zwrócić jej wolność po odbyciu pielgrzymki?

— To prawda. Jeśli o mnie chodzi, nie odmawiam, skoro uważasz, że moja zgoda jest w ogóle potrzebna. Halef Omar jest wolnym człowiekiem. Musisz się zwrócić bezpośrednio do niego.

Prawdziwą uciechę sprawiło mi obserwowanie twarzy dobrego Halefa. Widać było na niej ogromne zmieszanie.

— Czy chcesz uczynić zadość naszemu życzeniu? — spytał go starzec.

— Czy mógłbym wpierw zobaczyć tę niewiastę? — odpowiedział Halef pytaniem na pytanie.

Szejk Malek nieznacznie się uśmiechnął.

— Dlaczego chcesz ją przedtem widzieć? Stara czy młoda, ładna czy brzydka, jest obojętne; przecież po pielgrzymce i tak przestanie być twoją żoną.

— Czy córkom Arabów, tak jak Turczynkom, nie wolno odsłaniać oblicza?

— Córy arabskie nie muszą zasłaniać swoich twarzy. Zobaczysz dziewczynę.

Na znak szejka jeden z obecnych wstał i opuścił namiot. Po krótkim czasie wszedł z dziewczęciem, którego podobieństwo do amazonki pozwalało się domyślać, że jest córką tej dziwnej kobiety.

— To jest ta dziewczica, przypatrz się jej! — rzekł szejk.

Halef skorzystał z tego wezwania w całej pełni. Ta może piętnastoletnia, lecz już całkowicie dorosła, ciemnooka piękność zdawała mu się podobać.

— Jak ci na imię? — zapytał.

— Hanneh — odparła dziewczyna.

— Twoje oczy błyszczą jak światło księżyca, twoje policzki są promienne jak kwiaty, twoje wargi płoną jak owoc granatu, a twoje rzęsy rzucają cień jak liy cŭcie akacji. Nazywam się Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah i jeśli będę mógł, spełnię twoje życzenie.

Oczy mojego Halefa lśniły również nie tylko jak blask księżyca, lecz jak samo słońce. Jego mowa była kwiecista. Być może stał właśnie nad brzegiem tej samej przepaści, która niegdyś pochłonęła nadzieje jego ojca i dziadka. Zarówno bowiem ojciec Halefa, Abul Abbas, jak też dziadek, Dawuhd al Gossarah, ożenili się w drodze do świętego miasta i do celu pielgrzymki nie dotarli. Utonęli w otchłani miłości i związków małżeńskich.

Dziewczyna oddaliła się, a szejk zapytał Halefa:

— Co zdecydowałaś?

— Zapytaj mojego pana. Jeśli on mi nie odradzi, spełnię twoje życzenie.

— Twój pan już powiedział, że udzieli ci zezwolenia.

— Tak jest — potwierdziłem. — Powiedz nam jednak — zwróciłem się do szejka — dlaczego ta dziewczyna wybiera się do Mekki i czemu nie szuka sobie delila w Dżiddzie?

— Czy znasz paszę Achmeta Izzeta? — spytał szejka.

— Namiestnik Mekki?

— Tak. Musisz go znać, gdyż każdy obcokrajowiec, który zawita do Dżiddy, przedstawia mu się, żeby uzyskać jego opiekę.

— Pasza Achmet Izzet mieszka w Dżiddzie? Nie byłem u niego. Niepotrzebna mi opieka Turka.

— Jesteś co prawda chrześcijaninem, lecz życzliwość namiestnika Mekki jest każdemu potrzebna. Opiekę paszy można uzyskać tylko za wysoką opłatą. Pasza nie mieszka w Mekce, gdzie właściwie stale powinien być, lecz w Dżiddzie, ponieważ tam znajduje się port. Pensja namiestnika wynosi przeszło milion piastrów, lecz on umie pomnażać swoje dochody pięciokrotnie. Każdy musi mu płacić, nawet przemytnicy i piraci, i dlatego ma swoją siedzibę w Dżiddzie. Mówiono mi, że widziałeś Abu Seifa?

— Istotnie.

— Ten rozbójnik jest dobrym znajomym paszy.

— Niemożliwe!

— Dlaczego nie? Co jest korzystniejsze: zabić złodzieja, czy pozwolić mu żyć, żeby pobierać od niego rodzaj renty? Abu Seif należy do plemienia Dżeheinów, ja jestem synem Ateibeha. Te dwa plemiona nienawidzą się śmiertelnie. Mimo to „ojciec szabli” miał czelność zakraść się do naszego duaru i uprowadzić moją córkę Amszę. Zmusił ją, by stała się jego żoną. Amszy udało się w końcu uciec od niego. Przyproceedziła ze sobą swoją córkę, Hanneh. Od tego czasu poszukuję Abu Seifa, żeby się z nim rozprawić. Kiedyś znalazłem go w seraju. namiestnika. Ten wysoki urzędnik chronił rabusia i pozwolił mu uciec, podczas gdy ja czatowałem na zbója przed bramą pałacu. Pewnego razu szejka mojego plemienia wysłał mnie z ludźmi, których tu widzisz, do Mekki, abyśmy złożyli ofiarę w świątyni. Rozłożyliśmy się obozem niedaleko bramy ér Ramah. Wtem spostrzegłem Abu Seifa, który nadchodził z kilkoma swoimi ludźmi; zmierzał do świątyni. Owładnął mną gniew. Chwyciłem go, chociaż w pobliżu Kaaby wzbronione są wszelkie gwałty i potyczki. Nie chciałem zabić uwodziciela, lecz zmusić go jedynie do wyjścia ze mną z miasta, ażeby tam stoczyć z nim walkę. Abu Seif bronił się, a jego towarzysze pomagali mu. W czasie walki nadbiegli strażnicy świątyni i uwięzili mnie i moich ludzi, pozostawiając Abu Seifa z jego bandą na wolności. Za karę zabroniono nam bywać w świętych miejscach. Całe nasze plemię zostało wyklęte. Zwolnienie od klątwy uzależniono od wykluczenia nas ze wspólnoty plemiennej. Zostaliśmy więc wypędzeni przez współplemienców. Jesteślny banitami. Zemścimy się jednak i opuścimy to terytorium. Ty byłeś więźniem Abu Seifa?

— Tak.

— Opowiedz o tym. Opisałem krótko swoją przygodę.

— Czy znasz dokładnie miejsce, w którym ukryty jest statek Abu Seifa?

— Trafiłbym tam nawet nocą.

— Czy zechcesz nas tam zaprowadzić?

— A wy zabijecie Dżeheinów?

— Oczywiście.

— W takim razie nie mogę być waszym przewodnikiem, gdyż moja wiara nie pozwala zabijać.

— Nie wolno ci się nawet mścić?

— Nie. Nasza religia nakazuje nam kochać nawet naszych wrogów. Tylko kompetentna władza ma prawo wymierzać sprawiedliwość, a wy nie jesteście sędziami.

— Twoja religia jest dobra. My jednakże nie jesteśmy chrześcijanami i ukarzymy wroga sami, gdyż sędzia mógłby go wziąć w obronę. Podałeś Amszy w przybliżeniu miejsce ukrycia statku, więc znajdę go i bez twojej pomocy. Przynajmniej mi tylko, że nie ostrzeżesz Džeheinów.

— Nie ostrzegę ich, gdyż nie mam ochoty wpaść ponownie w ich ręce.

— No to uzgodniliśmy sprawę. Kiedy Halef odbędzie pielgrzymkę do Mekki?

— Jutro, jeśli mi pozwolisz, sihdi — wyręczył mnie Halef w odpowiedzi.

— Możesz jutro wyruszyć.

— W takim razie pozwól Halefowi zatrzymać się u nas do jutra — poprosił szejka. — Będziemy mu towarzyszyć, jak daleko nam będzie wolno zbliżyć się do miasta, a po odbyciu przez niego pielgrzymki, przyprowadzimy ci go z powrotem.

Strzeliła mi do głowy myśl, którą natychmiast głośno wypowiedziałem.

— Czy mogę wybrać się z wami i u was poczekać na Halefa? Zauważyłem, że moje życzenie sprawiło ogólną radość.

— Efendi, widzę, że nie pogardzasz wygnańcami — odrzekł szejka. — Będziemy ci radzi. Zostaniesz u nas już teraz i pomożesz nam wieczorem przy zawieraniu przez oblubieńców związku małżeńskiego

— Nie mogę zaraz pozostać. Muszę wrócić do Dziddy, żeby pozajątwić swoje sprawy. Poza tym mój gospodarz winien wiedzieć, gdzie przebywam.

— Odprowadzę cię w takim razie do bram miasta. Do Dziddy wejść nie mogę, gdyż zalicza się ją także do miejsc świętych. Kiedy chcesz jechać?

— Natychmiast, jeśli ci to odpowiada. Niedługo tam zabawię. Czy mam ci zamówić kadiego lub mułę do wieczornego obrzędu zaślubin?

— Nie potrzeba kadiego ani muły. Jestem szejkiem w tym obozie i wszystko, co się dzieje w mojej obecności, jest ważne i prawomocne. Możesz mi natomiast przywieźć pergamin lub papier, na którym spíše umowę. Pieczęć i lak posiadam.

Wielbłądy były niebawem gotowe do drogi. Dosiedliśmy ich. Nasz mały oddział składał się poza nami trzema z szejka, jego córki Amszy i pięciu innych członków plemienia Ateibeh. Zabraliśmy ze sobą również dwa rezerwowe wielbłądy na powrotną drogę dla Halefa i dla mnie. Podążyłem za starcem bez sprzeciwu, jakkolwiek zauważyłem, że nie jechał prostą drogą, lecz zboczył z niej w prawo ku morzu. Albani nie miał już tyle trudności, co przedtem, żeby utrzymać się w siodle, i wielbłądy swymi długimi nogami pokonywały przestrzeń w błyskawicznym tempie.

Nagle szejka zatrzymał się i wskazał ręką w bok.

— Czy wiesz, efendi, co się znajduje po tamtej stronie?

— Co?

— Zatoka, w której ukryty jest statek tego pirata. Czy zgadłem?

— Myśl, co chcesz, lecz nie pytaj mnie.

Szejka Malek był na właściwym tropie i milczał. Jechaliśmy dalej. Po jakimś czasie na horyzoncie ukazały się dwa małe punkty. Widać było, że nie przesuwały się ku nam, lecz w kierunku, który wiódł do wspomnianej zatoki. Przez lunetę stwierdziłem, że byli to dwaj piesi. Tu, na pustyni, było to dziwne i nasuwało myśli, że mogą to być ludzie Abu Seifa. Zapewne strażnicy ze statku zameldowali kapitanowi moją i Halefa ucieczkę. Ci dwaj mogli być powracającymi posłańcami.

Malek także ich zauważył i bacznie ich obserwował. Potem zwrócił się do swoich ludzi i wydał im szeptem jakieś polecenie. Trzech z nich zawróciło natychmiast w kierunku, z którego przyszliśmy.

Przejrzałem zamiar Maleka. Przypuszczał to samo co ja i chciał tych piechurów dostać w swoje ręce. W tym celu musiał im zagrozić drogę do zatoki, i to tak, żeby tego nie zauważyli. Dlatego nie polecił wybranej trójce jechać naprzód na ukos, lecz dla pozorów z powrotem, a potem zatoczyć łuk z chwilą, gdy znikną tamtym z oczu. Podczas gdy my, pozostali, kontynuowaliśmy jazdę, Malek zwrócił się do mnie zapytaniem:

— Efendi, czy chcesz chwilę na nas poczekać, czy też udasz się wprost do miasta, gdzie nas później znajdziesz przy bramie?

— Wiem, że chcesz porozmawiać z tymi piechurami, a ja zostanę przy tobie do końca tej rozmowy.

— To mogą być ludzie z plemienia Dżeheine.

— Ja też tak sędzę. Trzech twoich wojowników, których wysiałoś, odetnie im drogę do statku. Ty jedź ku nim na przełaj, a ja z Halefem pojedę w dotychczasowym kierunku, żeby im nie przyszło na myśl uciec z powrotem do Dżiddy.

— Twoja rada jest dobra. Naprzód więc!

Malek zmienił kierunek jazdy, a ja dałem znak Allbaniemu, żeby do niego dołączył. Chciałem w ten sposób ułatwić Albaniemu jazdę, gdyż ja z Halefem musieliśmy się puścić ostrym galopem. Mknęliśmy jak gnani wichrem i po zrównaniu się z pieszymi, zatrzymaliśmy się tuż za ich plecami. Dopiero teraz spostrzegli nasz manewr i wahali się przez chwilę, co robić. Za sobą mieli mnie i Halefa, z boku nadjeżdżał Malek i tylko przed nimi droga zdawała się jeszcze wolna. Ruszyli nią ze zdwojoną szybkością, lecz nie uszli daleko, kiedy przed nimi wyłonili się trzej wojownicy z plemienia Ateibehów. Nie mogąc z tej odległości jeszcze nikogo z nas rozpoznać, musieli jednak przypuszczać, że jesteśmy ich wrogami, próbowali więc jak najprędzej umknąć przed nami. Byli uzbrojeni. Gdyby się rozdzielili, musielibyśmy zrobić to samo. Wówczas pieszemu, celującemu dokładnie i z zimną krwią nie byłoby trudno walczyć z dwoma lub trzema jeźdźcami. Oni jednak bądź to nie wpadli na ten pomysł, bądź też nie mieli odwagi w ten sposób postąpić. Pozostali razem i zostali przez nas otoczeni. Poznałem ich natychmiast. Byli to istotnie marynarze ze statku Abu Seifa.

— Skąd idziecie? — spytał ich szejk.

— Z Dżiddy — odrzekł jeden z nich.

— Dokąd się udajecie?

— Na pustynię, szukać trufli.

— Szukać trufli? Nie. macie przecież żadnych zwierząt ani koszy przy sobie.

— Chcemy wpiery sprawdzić, czy te grzyby tu rosną; potem pójdziemy po kosze.

— Z jakiego jesteście plemienia?

— Mieszkamy w mieście.

To już było w każdym razie bezczelnym kłamstwem, gdyż musieli przecież wiedzieć, że ich znam. Halefa także zgniewała ta zuchwałość. Sięgnął po swój bicz i zwrócił się do nich ze słowami:

— Sądzicie może, że ja i ten efendi oslepliśmy? Jesteście łajdakami i kłamcami! Jesteście z plemienia Dżeheine i należycie do Abu Seifa. Jeśli się nie przyznacie, że tak jest, to mój bicz nauczy was mówić prawdę.

— Co was obchodzi, kim jesteśmy?

Zeskoczyłem z wielbłąda, nie czekając nawet aż uklęknie, i wzięłem bicz z ręki Halefa.

— Nie bądźcie śmieszni! Słuchajcie, co wam powiem! Nie obchodzi mnie, jakie pretensje mają do was wojownicy z plemienia Ateibeha. Mnie jednak odpowiecie na kilka pytań. Uczyniwszy to, niczego się więcej z mej strony nie potrzebujecie obawiać; jeśli jednak na moje pytania nie odpowiecie, to was tak naznaczę tym biczem, że nie będziecie się mogli żadnemu wolnemu i

dzielnemu Arabowi pokazać na oczy.

Grożenie Beduinowi biczem jest jak wiadomo największą dla niego obrazą. Toteż obaj mężczyźni chwycili momentalnie za swoje noże.

— Zabilibyśmy cię, zanim być zdążył nas uderzyć — ostrzegł mnie jeden z nich.

— Zapewne nie doświadczyliście jeszcze, jak potężny jest bicz ze skóry hipopotama w rękę Niemca! — odparłem. — Tnie tak ostro

jak jatagan, uderza mocniej niż maczuga i jest szybszy od kul z waszych pistoletów. Czyż nie widzicie, że strzelby wszystkich tych ludzi skierowane są na was? Zostawcie więc wasze noże za pasem i odpowiadajcie! Wysłano was do Abu Seifa?

— Tak — odrzekli piraci z wahaniem, gdyż przekonali się, że nie uda im się zwiąć.

— Gdzie spotkaliście się z nim?

— W Mekce.

— W jaki sposób tak szybko przebyliście drogę do Mekki i z powrotem.

— W Dżiddzie wynajęliśmy wielbłądy.

— Jak długo Abu Seif zatrzyma się w świętym mieście?

— Będzie tam krótko, wybiera się bowiem do At Taifu, gdzie rezyduje emir.

— Tyle tylko chciałem się od was dowiedzieć.

— Sihdi, chcesz uwolnić tych rozbójników? — zawołał Halef. — Zastrzelę ich, żeby już nikomu nie mogli szkodzić.

— Dałem im słowo. Ty musisz je także uszanować. Chodź!

Dosiadłem znów wielbłąda i oddaliłem się. Halef podążył za mną. Albani natomiast pozostał jeszcze na miejscu. Trzymał w rękę obnażoną szablę, lecz byłem pewien, że ta jego wojownicza postawa nikomu nie przyniesie szkody. Istotnie siedział nadal spokojnie w siodle, kiedy ludzie Ateibeha zeskoczyli z wielbłądów, żeby obezwładnić Dżeheinów. Udało im się to po wymianie kilku nieszkodliwych pchnięć nożem. Jeńców przywiązano pojedynczo do wielbłądów i dwaj jeźdźcy zawrócili, żeby pojmanych zawieźć do obozu plemienia Ateibeha. Pozostali jeźdźcy dołączyli do nas.

— Ułaskawiłeś ich, sihdi, ale oni i tak zginą — odezwał się Halef.

— Ich los nie jest moją ani twoją sprawą. Pomyśl, kim masz dzisiaj zostać. Pan młody winien być usposobiony pokojowo.

— Sihdi, czy byłbyś także skłonny podjąć się roli delila dla tej Hanneh?

— Owszem, gdybym był muzułmaninem.

— Jesteś, sihdi, chrześcijaninem, Niemcem, z którym można mówić o tych sprawach. Czy wiesz, czym jest miłość?

— Tak. Miłość jest jak kolokwinta. Kto jej zakosztuje, dostaje kolki.

— Ależ, sihdi, jak możesz przyrównywać miłość do środka przeczyszczającego! Oby Allah oświecił twój umysł i rozgrzał twoje serce! Dobra żona jest jak fajka z jaśminu i jak kapciuch, w którym nigdy nie brak tytoniu. A miłość do dziewicy jest jak... jest jak turban na gołej głowie i jak słońce na niebie w pustyni.

— Tak. I kogo dosięgną promienie tego słońca, dostaje udaru słonecznego. Zdaje się, że już go dostałeś, Halefie! Niech Allah się nad tobą zlituje!

— Sihdi, wiem, że ty nigdy nie zechcesz się ożenić. Ja jednakże jako narzeczony mam obecnie serce wrażliwe i podatne na uczucie miłości.

Musieliśmy zakończyć tę krótką rozmowę, gdyż pozostali dogonili nas tymczasem. Nie poruszaliśmy już sprawy napotkanych Dżeheinów. Kiedy na horyzoncie ukazało się miasto, szejek polecił zatrzymać wielbłądy.



— Tu będę czekał, efendi — rzekł Malek. — Ile czasu upłynie do twojego powrotu z Halefem?

— Wróć, zanim słońce przesunie się na niebie o długość twojej lancy.

— A nie zapomnisz o pergaminie lub papierze?

— Nie zapomnę. Przywiozę także atrament i pióro.

— Doskonale. Niech Allah ma cię w swej opiece i do szybkiego zobaczenia!

Ludzie Ateibeha przykucnęli obok swoich wielbłądów, a my wyruszyliśmy w kierunku miasta.

— No i co? Czy to nie była przygoda? — zapytałem Albaniego.

— Faktycznie — potwierdził. — I w dodatku jaka! Przecież o mało co nie doszło do ostrej rozprawy. Byłem naprawdę gotów do walki.

— Tak. Wyglądał pan istotnie jak „szalony Roland”, z którym lepiej nie zadzierać. Jak się panu jechało?

— Hm, z początku kłus pańskiego wielbłąda był zbyt ostry, potem jednak przyzwyczałem się do tej szybkości. Oczywiście wolę dobrą niemiecką kanapę! — Pan chce jechać z tymi Arabami? To już pewnie się nie zobaczymy.

— Prawdopodobnie, bo pan przecież chce skorzystać z najbliższej okazji, żeby stąd wyjechać. Miałem jednakże w życiu już tyle niespodziewanych spotkań, że nie wykluczam możliwości naszego ponownego zetknięcia się.

Moje przypuszczenie miało się później istotnie sprawdzić. Teraz jednak, odprowadziwszy wielbłądy do ich właściciela, pożegnaliśmy się tak serdecznie, jak przystało rodakom, którzy spotkali się daleko od ojczyzny. Potem udałem się z Halefem do naszego mieszkania, aby spakować rzeczy i pożegnać się z gospodarzem. Nie sądziłem, że tak rychło opuścę jego dom w Dziddzie. Wyjechaliśmy z miasta na wynajętych osłach. Za murami przesiedliśmy się na wielbłądy i wraz z ludźmi Ateibeha wyruszyliśmy do ich obozu.

W drodze mówiono niewiele. Amsza w ogóle milczała. Jej oczy płonęły złowieszczym blaskiem, a kiedy spoglądała w lewo, gdzie za linią horyzontu widziała myślami statek Abu Seifa, sięgała do rękojeści handzaru lub do kolby długiej strzelby, leżącej w poprzek jej siodła.

Kiedy zbliżaliśmy się do obozu, Halef wyjechał mi naprzeciw.

— Sihdi — zapytał — jakie zwyczaje panują w twoim kraju?

Czy narzeczony obdarowuje swoją przyszłą żonę jakimś prezentem?

— Robi to chyba każdy, tak u nas, jak i u was.

— Tak, taki zwyczaj istnieje na Półwyspie Arabskim i na całym Wschodzie. Ponieważ jednak Hanneh ma być tylko pozornie i zaledwie przez kilka dni moją żoną, nie wiem, czy w tym wypadku podarunek jest wymagany.

— Prezenty są uprzejmością, która zawsze wywołuje przyjemne uczucia. Na twoim miejscu byłbym uprzejmy.

— Ale co jej mam ofiarować? Jestem biedny i bynajmniej nieprzygotowany do zawarcia związku małżeńskiego. Czy sądzisz, że mógłbym jej podarować swoją zapalniczkę?

Halef kupił sobie w Kairze małą tekturową puszkę na zapalaki. Pudełko to miało dla niego dużą wartość, ponieważ zapłacił za nie handlarzowi dwadzieścia razy więcej, niż było warte. Miłość skłoniła go do powzięcia decyzji wyrzeczenia się tej „kosztowności”.

— Daj to dziewczynie! — odparłem z powagą.

— Dobrze, podaruję Hanneh zapalniczkę! Czy jednak zwróci mi ją, kiedy przestanie być moją żoną?

— Zatrzyma ją.

— Allah kerim, Bóg jest łaskawy; nie pozwoli, bym stracił cokolwiek ze swojego mienia. Co

robić?

— Jeśli zapalniczka jest ci tak droga, to daj dziewczynie coś innego.

— Ale co? Nic poza tym nie mam. Przecież nie mogę dać Hanneh ani swojego turbanu, ani strzelby, ani też bicz z skóry hipopotama!

— To nie dawaj jej niczego.

Przyszły małżonek pokręcił głową w zakłopotaniu.

— To nie uchodzi, sihdi. Hanneh jest moją narzeczoną i coś musi otrzymać ode mnie. Co by o tobie pomyśleli ludzie Ateibeha, gdyby twój służący pojął za żonę niewiastę, niczym jej nie obdarowując.

Ach tak! Ten szczywany lis uznał za wskazane odwołać się do mojej ambicji, a wobec tego także do mojej kiesy.

— Chwała Allahowi, który oświeca twój umysł, Halefie! — roześmiałem się. — Ja jednakże jestem w podobnej co ty sytuacji. Nie mogę twojej narzeczonej podarować swojego haiku ani kurtki, ani żadnej z moich fuzji.

— Allah jest sprawiedliwy i miłosierny, sihdi; za każdy dar odpłaca tysiąckrotnie. Czyż na twoim wielbłądzie nie znajduje się skórzany woreczek, w którym przechowujesz przedmioty, mogące wprawić w zachwyt pannę młodą?

— A gdybym ci coś z tego dał, czy dostałbym to z powrotem, kiedy Hanneh przestanie być twoją żoną?

— Musiałbym tego zażądać.

— Takiego zwyczaju u nas Franków nie ma. Ponieważ jednak obiecujesz mi odpłacić zawiązka, otworzę później ten woreczek i zobaczę, czy nie znajdzie się w nim coś odpowiedniego dla ciebie.

Halef wyprostował się w siodle wielce uradowany.

— Sihdi, jesteś najmądrzejszym i najlepszym panem, jakiego Allah stworzył. Twoja dobroć jest bardziej rozległa niż Sahara, a twoja dobroczynność przekracza długość Nilu. Twój ojciec był najślawniejszym, a ojciec twego ojca najdostojniejszym człowiekiem ze wszystkich ludzi w królestwie „Nemsistanu”. Twoja matka była najpiękniejszą z róż, a matka twojej matki najpowabniejszym kwiatem Zachodu. Obyś miał tylu synów, co gwiazd na niebie, tyle córek, ile ziarenek piasku na pustyni, a dzieci twoich dzieci były tak liczne jak krople wody w morzu!

Na szczęście dojechaliśmy do obozu, w przeciwnym razie wdzięczność Halefa uczyniłaby mnie jeszcze prawdopodobnie protoplastą całego narodu. Mój skórzany woreczek, o którym Halef wspomniał, zawierał istotnie różne rzeczy, nadające się na podarunki dla beduińskiej dziewczyny. Kiedy po odbyciu wspólnej podróży statkiem po Nilu żegnałem się w Kairze z kupieckim synem Islą ben Maflei, tenże wyposażył mnie w różne przedmioty, które w dalszych wędrówkach mogły mi posłużyć do zjednywania sobie przychylności napotykanym ludzi. Były to rzeczy nie zajmujące dużo miejsca, niezbyt wielkiej wartości, które jednak przez mieszkańców krajów pustynnych były najbardziej pożądane.

Podczas naszej nieobecności opróżniono jeden z namiotów i urządzono go dla mnie. Kiedy się w nim rozlokowałem, rozwiązałem swój skórzany woreczek i wyjąłem z niego wisiołek, pod którego szklaną pokrywką poruszał się mały diabełek. Medalion zrobiony był podobnie jak spinki do mankietów ze sztucznymi żółwiami i wisiał na łańcuszku ze szklanych paciorków, które przy świetle lub w blasku ognia skrzyły się wszystkimi barwami tęczy. Ten „klejnot” nie kosztowałby w Paryżu zapewne więcej niż dwa franki. Pokazałem go Halefowi.

Mały rzucił nań okiem i cofnął się przerażony.

— Ależ to diabeł, którego oby Bóg przeklął! Sihdi, jak ci się udało ujarzmić diabła? La ilaha

illa'llah wa-Muhammad rasullah! Strzeż nas, Panie, przed dziewięciokrotnie ukamienowanym szatanem, gdyż nie jemu, lecz tobie chcemy służyć!

— Szatan nic ci nie może zrobić, gdyż jest zamknięty — zapewniłem Halefa.

— Czy możesz mi przysiąc na twoją brodę, że nie wyjdzie z zamknięcia?

— Zapewniam cię uroczyście, że nie wyjdzie.

— W takim razie, pokaż mi to, sihdi! Jeżeli mu się jednak uda wyjść, będę zgubiony, a ty będziesz miał moją biedną duszę na sumieniu!

Halef ujął łańcuszek ostrożnie koniuszkami palców, położył medalion na podłodze i uklęknął, żeby mu się dokładnie przyjrzeć.

— Na Allaha, to szatan! Widzisz, jak rozdziawia gębę i pokazuje język? Wywraca oczyma i porusza rogami. Kręci ogonem, grozi pazurami i tupie nogami! Biada, jeśli rozdepcze puzderko, w którym tkwi!

— Nie może tego zrobić. Jest przecież tylko sztucznie wykonaną figurką.

— Sztuczną figurką, wykonaną ludzkimi rękami? Sihdi, oszukujesz mnie, żebyś nabrał odwagi. Kto może wykonać diabła? Żaden człowiek, żaden prawowierny, żaden chrześcijanin, ani żaden żyd. Jesteś największym lekarzem i najodważniejszym bohaterem pod słońcem, gdyż ujarzmiłeś szatana i zamknąłeś go w tym ciasnym więzieniu! Bogu dzięki, gdyż świat został teraz uwolniony od szatana i jego duchów i wszyscy prawowierni mogą się weselić i cieszyć z męczarni, jakie musi znosić w tym więzieniu. Dlaczego pokazujesz mi ten łańcuszek, sihdi?

— Żebyś go podarował swojej narzeczonej.

— Ja...?! Ten przedmiot, kosztowniejszy od wszystkich diamentów na tronie wielkiego mogola? Posiadacz tego wisiorka stanie się sławny pośród wszystkich synów i córek prawowiernych, wyznawców Allaha. Chcesz naprawdę podarować ten klejnot?

— Tak.

— W takim razie pozwól mi go zatrzymać dla siebie! Dziewczynie wolę jednak podarować swoją zapalniczkę.

— O nie, Hannah dasz ten łańcuszek z wisiorkiem. Obstawiam przy tym.

— Muszę więc być posłuszny. Powiedz mi jednak, gdzie ukrywałeś ten klejnot i inne przedmioty, zanim je wczoraj włożyłeś do woreczka?

— Okolica, począwszy od Kairu aż do miejsca, w którym się znajdujemy, jest niebezpieczna. Roi się od złodziei. Dlatego nosiłem te kosztowności przy sobie, w nogawkach moich szarawarów.

— Sihdi, twoja mądrość i ostrożność przewyższają chytryść diabła, którego zmusiłeś, żeby mieszkał w twoich szarawarach. Kiedy mam wręczyć Hanneh ten prezent?

— Z chwilą, kiedy zostanie twoją żoną.

— Ona stanie się najślawniejszą pośród arabskich kobiet. Wszystkie plemiona będą o niej opowiadać i chwalić ją za to, że trzyma szatana na uwięzi. Czy mogę także zobaczyć inne skarby?

Nie doszło jednak do ich oglądania, gdyż szejek poprosił nas do siebie. Wszystkich członków plemienia Ateibeh. zastaliśmy zgromadzonych w namiocie szejka. Niektórzy oczekiwali nas przed namiotem.

— Czy przywiozłeś pergamin, efendi? — spytał mnie Malek.

— Mam papier, który jest równie dobry, jak pergamin.

— Czy zechcesz spisać umowę?

— Naturalnie, jeżeli sobie tego życzysz.

— Możemy więc zacząć?

Halef, do którego zostało skierowane to pytanie, wyraził swą gotowość. Natychmiast wstał jeden

z obecnych i zaczął zadawać mu pytania:

— Jak brzmi twoje pełne nazwisko?

— Nazywam się Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah.

— Z jakiego pochodzisz kraju?

— Z zachodu, gdzie słońce zapada za wielką pustynią.

— Do jakiego należysz plemienia?

— Ojciec mojego ojca, oby ich obu Allah błogosławił, należał do plemienia Uled Selim, które mieszkało w górach Szur Szum.

Krewny panny młodej, po uzyskaniu odpowiedzi od Halefa, zwrócił się do szejka:

— Wszyscy cię znamy, o mężny i zacny, o mądry i sprawiedliwy! Jesteś Hadzi Malek ibn Achmed Chalid ben Abul Ali Abu Abdola-tif el Hanifi, szejkiem dzielnego plemienia „Beni Ateibeh”. Ten oto mąż jest bohaterem z plemienia Uled Selim, które mieszka w górach, sięgających nieba, noszących nazwę Szur Szum. Jego nawisko brzmi: Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah. Jest przyjacielem naszego gościa wielkiego efendi z Frankistanu. Ty masz wnuczkę imieniem Hanneh. Jej włosy są jak jedwab, jej skóra lśni jak oliwa, a cnotami swymi zaćmiewa płatki śniegu, unoszące się w górach. Halef Omar chce ją pojąć za żonę. Wyjaw nam, szejku, co w tej sprawie masz do powiedzenia? Szejk udał pełną godności zadumę i odrzekł:

— Przyjąłem do wiadomości, co powiedziałaś, mój synu. Usiądź i wysłuchaj teraz, co powiem! Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah jest bohaterem, którego sława dotarła do nas już przed laty. Siła jego ramienia jest nie do pokonania, szybki jest jak gazela, a jego wzrok jest bystry jak u orła. Rzuca oszczepem na odległość kilkuset kroków, kule jego fuzji zawsze trafiają do celu, a jego szabla przelała już krew wielu wrogów. Poza tym jest znawcą Koranu, a udzielane przez niego rady odznaczają się mądrością i doświadczeniem. Nadto, ten bawiący u nas, potężny bej Franków uznał go za godnego swojej przyjaźni — dlaczego zatem ja nie miałbym mu oddać na żonę swojej wnuczki, jeśli zgodzi się na moje warunki?

— Jakie stawiasz warunki? — spytał krewny panny młodej.

— Dziewczyna jest wnuczką możnego szejka, nie można jej więc wydać za mąż za niską cenę. Żądam więc: jednej klaczy, pięciu wielbłądów pod wierzch, dziesięciu wielbłądów pociągowych oraz pięćdziesięciu owiec.

Halefowi zrzęda mina. Skąd miałby wziąć te zwierzęta? Na szczęście szejk mówił dalej:

— Za to ja daję Hanneh wiano w postaci: jednej klaczy, pięciu wielbłądów pod wierzch, dziesięciu wielbłądów pociągowych i pięćdziesięciu owiec. Wasza mądrość — zwrócił się szejk do rzecznika — zrozumie zapewne, że przy tak świetnych wzajemnych stosunkach nie zachodzi potrzeba wymieniania ceny i wiana. Wymagam jednak, żeby Halef Omar jutro podczas porannej modlitwy rozpoczął pielgrzymkę do Mekki i zabrał ze sobą swoją małżonkę. Tam wypełnią obowiązki, związane ze zwyczajowymi obrzędami, i natychmiast tu wrócą. Halef winien traktować Hanneh jak dziewczicę i po powrocie z pielgrzymki zwrócić ją rodowi. Za przysługę otrzyma wielbłąda i worek daktyli. Jeśli jednak skorzysta z praw małżeńskich, nie dostanie nic i zostanie zgładzony. Wszystkich tu biorę za świadków, że tak postanowiłem.

Rzecznik zwrócił się do Halefa:

— Słyszałeś wszystko. Jaka jest twoja odpowiedź?

Można było zauważyć, że z jednego punktu umowy Halef nie był zadowolony, mianowicie, że ma zwrócić poślubioną niewiastę nietkniętą. Był jednak na tyle roztropany, żeby się zastosować do aktualnych okoliczności i odrzekł:

— Przyjmuję warunki.

— Sporządź więc umowę, efendi! — poprosił szejka. — Wykonaj ją w dwóch egzemplarzach; jednym dla mnie a drugim dla Halefa Omara.

Uczyłem zadość prośbie szejka i odczytałem potem głośno to, co napisałem. Szejk wyraził zadowolenie i po podpisaniu umowy wraz z Halefem, kapnął na dokumenty trochę wosku, przykładając zamiast pieczęci głowicę swego sztyletu.

Tym samym formalnościom stało się zadość i mogła się rozpocząć nieodzowna uroczystość weselna. Ponieważ w tym wypadku chodziło o pozorne małżeństwo, była ona bardzo skromna. Zabito i upieczono barana. Podczas gdy obracano go na rożnie nad ogniem, stoczono markowaną potyczkę; ze zrozumiałych względów jednak nie strzelano.

Kiedy zapadł wieczór, rozpoczęła się uczta weselną. Jedli tylko mężczyźni i dopiero kiedy się nasycili, resztki pożywienia otrzymały kobiety. Przy tej okazji pojawiła się również Hanneh. Skorzystał z tego Halef. Wstał, żeby jej wręczyć wspomniany upominek ślubny Sceny, jaka teraz się rozegrała, nie da się opisać. Diabeł zamknięty w kapsułce był dla ludzi Ateibeha zjawiskiem graniczącym z cudem. Wszelkie moje usiłowania, żeby im wytłumaczyć, że jest to dziełem ludzkich rąk, spaliły na panewce. Nie wierzyli mi przede wszystkim dlatego, że szatan się poruszał, a więc w ich mniemaniu musiał być żywy. Wychwalano mnie jako największego bohatera i czarodzieja, a koniec był taki, że Hanneh wcale nie otrzymała tego prezentu. Uwięziony szatan był tak wielkim i ważnym cudem, że tylko szejka został uznany za godnego przechowywania tej niezwyklej kosztowności; naturalnie dopiero wtedy, kiedy zapewniłem Maleka uroczyście, że szatanowi nigdy nie uda się wyjść z zamknięcia i szerzyć zła.

Dochodziła północ, kiedy wróciłem do swojego namiotu, żeby się przespać. Halef towarzyszył mi.

— Sihdi, czy muszę spełnić wszystko, co zapisałeś w umowie? — zapytał.

— Tak, przyrzekłeś przecież.

Po dłuższej chwili Halef znów zaczął niepewnie:

— Czy zwróciłbyś dobrowolnie swoją przepisowo zaślubioną żonę jej rodzinie?

— Nie.

— A mimo to twierdzisz, że muszę dotrzymać przyrzeczenia?

— Oczywiście. Jeśli bym pojął niewiastę za żonę, nie przyrzekłbym, że ją oddam z powrotem.

— O sihdi, dlaczego mi nie powiedziałeś, że mam postąpić tak samo?

— Czy jesteś nieletnim chłopcem, potrzebującym opiekuna? Poza tym jak może chrześcijanin pouczać muzułmanina w sprawach, dotyczących ożenku! Zdaje mi się, że chcesz Hanneh zatrzymać przy sobie.

— Zgadłeś.

— Zatem chcesz mnie opuścić?

— Ciebie, sihdi...? Och...!

Halef chrząkał zakłopotany, nie znalazł jednak odpowiedzi.

Usłyszałem tylko niezrozumiałe pomruki, a potem kilka westchnień. Przewracał się z boku na bok. Było jasne, że dziewczyna mu się spodobała i że jego sympatia dla niej walczy o lepsze z przywiązaniem do mnie. Nie odzywałem się, zdając sobie sprawę, że sam musi się z tym problemem upora. Wkrótce zasnąłem.

## W ŚWIĘTEJ MEKCE

Spałem tak mocno, że obudziło mnie dopiero głośnie stąpanie wielbłądów. Wstałem i wyszedłem przed namiot. Niebo na wschodzie zaczęło się już rozjaśniać, a nad zatoką zalane było czerwonym blaskiem. Szalał tam pożar. Przypuszczenie, jakie mnie ogarnęło na ten widok, potwierdził ożywiony ruch w obozie. Mężczyźni wyprawiali się gdzieś nocą i teraz powracali, a ich wielbłądy obładowane były łupem. Amsza, córka szejka, brała również udział w wyprawie. Kiedy zsiadała z wielbłąda, zauważyłem, że jej odzież poplamiona była krwią. Malek pozdrowił mnie i wskazując na łunę, powiedział:

— Widzisz, że znaleźliśmy statek? Dżeheini spali, kiedyśmy tam dotarli. Wszyscy marnie zginęli.

— Zabiłeś ich i obrabowałeś statek?

— Obrabowałem? Co przez to rozumiesz? Czyż mienie zwyciężonego nie należy do zwycięzcy?

Któż mógłby zakwestionować nasze prawo do tego, cośmy zdobyli?

— Zakat, który przywłaszczył sobie Abu Seif, należy do szeryfa emira.

— Do szeryfa emira, który nas wypędził? Nawet gdyby te pieniądze były jego własnością, nie otrzymałby ich z powrotem. Czy naprawdę wierzysz w to, że pochodziły z danin dla biednych? Okłamano cię. Tylko szeryf ma prawo zbierać podatki i nigdy by tej czynności nie zlecił Turkowi. Turek, którego uważałeś za poborcą podatków, był albo przemytnikiem, albo celnikiem baszy Egiptu. Oby Allah zesłał zagładę na baszę.

— Nienawidzisz go?

— Każdy wolny Arab go nienawidzi. Czy nie słyszałeś o zbrodniach, które popełniono tu za czasów wahabitów? Jest mi obojętne, czy te pieniądze należą do baszy, czy szeryfa; nie oddam ich. Ale zbliża się pora modlitwy. Przygotuj się, żeby jechać z nami. Nie możemy tutaj pozostać dłużej.

— Gdzie chcesz rozbić obóz?

— Rozłożę się obozem w takim miejscu, skąd będzie można obserwować drogę między Mekką a Dziddą. Abu Seif nie może mi umknąć.

— Czy pomyślałeś także o niebezpieczeństwie, jakie ci przy tym zagraża?

— Sądzisz, że Arab z plemienia Ateibehów cofa się przed niebezpieczeństwem?

— Nie, lecz nawet najodważniejszy człowiek musi być zarazem ostrożny. Jeśli Abu Seif wpadnie ci w ręce i zabijesz go, będziesz musiał natychmiast opuścić tę okolicę. Być może utracisz także wówczas dziecko twojej córki, które w tym czasie przebywać będzie z Halefem w Mekce.

— Powiem Halefowi, gdzie ma nas w takim wypadku szukać. Hanneh musi udać się do Mekki, zanim stąd odejdziemy. Moja wnuczka jest jedyną osobą w naszym plemienu, która jeszcze nie była w świętym mieście, a później może już nie mieć okazji, żeby się tam wybrać. Dlatego od dawna rozglądałem się za delilem dla niej.

— Czy powzięłeś już decyzję, dokąd stąd pojedziecie?

— Udamy się na pustynię Ad Dahna w kierunku Maskatu nad Zatoką Omańską, a stamtąd wyślemy potem może posłańca nad Euftrat do plemienia Beni Szammar z prośbą, żeby nas przyjęli do siebie.

Po krótkotrwałym świcie wstawał dzień. Słońce wychyliło się zza horyzontu i Arabowie, przesiąknięci jeszcze zapachem krwi, zwrócili się twarzami ku Mekce — do modlitwy porannej. Wkrótce potem zwinięto obóz i karawana ruszyła w drogę. Teraz dopiero, kiedy się całkiem

rozwidniło, zobaczyłem, jaki ogrom wszelakiego dobra Ateibehowie zabrali ze statku. Przez ten napad stali się od razu ludźmi zamożnymi. Z tego powodu panowało też wśród nich niezwykle ożywienie. Trzymałem się na uboczu. Byłem w złym humorze, gdyż uważałem, że to ja stałem się mimo woli przyczyną zagłady Dżeheinów. Nie miałem co prawda podstawy do robienia sobie wyrzutów, wypadało jednak zapytać sumienia, czy nie powinienem postąpić inaczej. Świadomość bliskości Mekki również nie dawała mi spokoju. Owo "święte", zakazane miasto leżało niemal przede mną! Czy miałem je ominąć, czy też odważyć się je zwiedzić? Coś mnie ciągnęło do tego miejsca nieodparcie, a jednak dręczyły mnie wątpliwości, czy rzeczywiście tak bardzo zależy mi na wejściu do sanktuarium. Cóż bowiem osiągnę, jeśli mi się uda wejść do Mekki? Po prostu będę mógł się pochwalić, że byłem w Mekce — nic więcej. A jeśli by mnie odkryto, groziłaby mi śmierć, i to jaka! Wszelkie jednakże rozważania do niczego nie prowadziły i postanowiłem zdać się na okoliczności. Postępowałem już nieraz w ten sposób i zwykle dobrze na tym wychodziłem.

Szejk prowadził karawanę okrężną drogą, żeby spotykać jak najmniej ludzi. Nie zezwolił na odpoczynek aż do wieczora. Jechaliśmy wąskim parowem, po obu stronach którego wznosiły się strome, granitowe ściany. Wkrótce dotarliśmy do kotliny, z której, zdawało się, nie było innego wyjścia. Zsiedliśmy z wielbłądów. Rozstawiono namioty i rozpalono ogniska. Dziś był obfity i urozmaicony posiłek, pochodzący z okrętowej kuchni Abu Seifa. Potem nastąpił oczekiwany przez wszystkich podział łupu.

Ponieważ nie miałem z tym nic wspólnego, wybrałem się na obchód kotliny. W pewnym miejscu wydało mi się, że można będzie jednak wdrapać się na górę. Udało mi się, gdyż gwiazdy świeciły jasno. Mniej więcej po kwadransie stałem na szczycie wzniesienia. Przed moimi oczami roztaczał się widok na wszystkie strony. W dole, na południu, rozprzestrzeniał się rząd jakby łąsych wzgórz, nad którymi unosił się blask mleczny, jaki wypromieniowują wieczorem światła większych miast. Tam leżała Mekka.

Z dna kotliny dochodził mnie zgiełk głosów. To Ateibehowie kłócili się o poszczególne części łupu. Nie spieszyłem się z powrotem. Kiedy zszedłem, shejk powitał mnie słowami:

— Efendi, dlaczego nie zostałeś przy podziale łupu? Z wszystkiego, cośmy znaleźli na statku, musisz otrzymać swoją część.

— Ja? Mylisz się. Nie brałem udziału w zdobywaniu statku i dlatego nic mi się nie należy.

— To się nie zgadza, efendi! Czyż znaleźlibyśmy Dżeheinów, gdybyśmy ciebie nie spotkali? Byłeś mimo woli naszym przewodnikiem, więc i dla ciebie przeznaczona została część zdobyczy.

— Niczego nie przyjmę.

— Efendi, przypuszczam, że odmawiasz ze względu na swoją wiarę. Za mało znam tę religię i nie śmiem jej krytykować, gdyż jesteś moim gościem. Błędem jednakże jest, jeśli zabrania ci ona brać udział w łupach. Wrogowie nie żyją, a ich statek jest zniszczony. Czy mamy te rzeczy, które są nam tak potrzebne, spalić lub zniszczyć?

— Nie sprzecajmy się. Zostawcie całą zdobycz dla siebie!

— Pozwól zatem, że twoją część damy twojemu towarzyszowi Halefowi, chociaż on już swoją otrzymał!

— Dajcie mu ją!

Mały Halef był w siódmym niebie. Nie wiedział, jak mi dziękować. Przypadła mu w udziale rozmaita broń oraz odzież, a poza tym sakiewka srebrnych monet. Nie dał mi spokoju — musiałem obejrzeć i ocenić jego skarb, abym się mógł przekonać, że stał się bogatym człowiekiem. Jego udział wynosił w każdym razie około ośmiuset piastrów i wystarczał, żeby uszczęśliwić biednego Araba.

— Tymi pieniędzmi możesz pokryć więcej niż pięćdziesiąt razy wydatki, jakie będziesz miał w

Mekce — stwierdził szejk.

— Kiedy mam się wybrać do świętego miasta? — spytał Halef.

— Jutro rano, a najpóźniej w południe.

— Jak się tam muszę zachowywać?

— Powiem ci. Obowiązkiem każdego pielgrzyma jest niezwłocznie po przybyciu do Mekki udać się do wielkiego meczetu. Podjedziesz więc do Bożego domu, zostawisz przed nim wielbłądy i wejdiesz. Znajdziesz tam na pewno przewodnika, który cię poinformuje, co masz dalej robić. Musisz tylko przedtem zapytać o cenę jego usług, w przeciwnym razie mógłby cię oszukać. Z chwilą, kiedy ujrzysz Kaabę, rzucisz się dwukrotnie na ziemię i odmówisz przepisane modlitwy w podzięce za to, że dotarłeś szczęśliwie do świętego przybytku. Potem podejdiesz do minbaru i zdejmiesz obuwie. Pozostanie tam pod opieką; w wielkim meczecie nie jest bowiem dozwolone trzymanie obuwia w rękę jak w innych meczetach. Następnie obchodzi się Kaabę siedmiokrotnie.

— W którym kierunku?

— W prawo, tak żebyś miał Kaabę stale po swojej lewej stronie. Pierwszych trzech okrążeń dokonuje się szybko, niemal biegiem.

— Dlaczego?

— Przez pamięć na Proroka. Kiedy bowiem rozeszła się wieść, że poważnie zachorował, dla zdementowania tej pogłoski, obiegił Kaabę szybko trzykrotnie. Następne okrążenia pielgrzymi odbywają powoli.

Po każdym okrążeniu całuje się kamień. Po ostatnim przyciśniesz pierś do drzwi Kaaby, rozłożysz ramiona i głośno będziesz prosił Allaha o odpuszczenie ci wszystkich twoich grzechów.

— To wszystko?

— Nie. Teraz musisz skrócić w bok, żeby dojsć do el madszem i przed mekam-Ibrahim złożyć dwa pokłony. Następnie zajdziesz do świętej studni Zemzem i po krótkiej modlitwie napijesz się z niej do woli. Weźmiesz z sobą kilka pustych butelek, które napełnisz; świętą wodą. Ta woda jest środkiem przeciwko wszelkim chorobom ciała i duszy.

— To jest ceremoniał odprawiany przy Kaabie. Co następuje potem?

— Potem przechodzi się z dzielnicy Safa do dzielnicy Marwa. Na pagórku w dzielnicy Safa stoją trzy kamienne łuki. Tam zatrzymasz się, zwrócisz twarz ku świątyni, wzniesiesz ręce ku niebu i będziesz prosił Allaha o pomoc w odbyciu świętej pielgrzymki. Potem zrobisz sześćset kroków ku altanie w dzielnicy Marwa. Po drodze zobaczysz cztery kamienne słupy, koło których musisz przebiec w podskokach. W dzielnicy Marwa odmówisz znowu modlitwę. Potem sześciokrotnie odbędziesz tę samą drogę.

— Na tym chyba kończą się wszystkie obowiązujące obrzędy?

— Nie, gdyż teraz musisz się dać ostrzyc, a potem udać się do miejscowości Umrah, leżącej tak daleko poza świętym miastem, jak daleko my teraz znajdujemy się od Mekki. Dopiero z tą chwilą wszystkie święte czynności można będzie uważać za spełnione i będziesz mógł wyruszyć w drogę powrotną. W miesiącu wielkiej pielgrzymki prawowierni muszą wykonać o wiele więcej czynności i stracić na nie dużo czasu, ponieważ wtedy zjeżdżają się i cisną zewsząd tysiące pielgrzymów. Ty natomiast wszystko załatwisz w dwóch dniach, a na trzeci będziesz już z nami.

Temu instruktazowi towarzyszyły poza tym różne wskazówki co do sposobu postępowania, które dla mnie były bezwartościowe, gdyż dotyczyły przeważnie tylko Halefa. Udałem się więc na spoczynek. Kiedy Halef wreszcie się zjawił, nadśluchiwał, czy już śpię. Zauważył, że jeszcze nie zasnąłem i zapytał:

— Sihdi, kto cię będzie obsługiwał podczas mojej nieobecności?



— Sam się obsłużę. Nie martw się o mnie, Halefie! Powiedz mi raczej, czy chcesz mi oddać przysługę?

— Oczywiście. Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko, co mogę i co nie jest zabronione.

— Szejkowi masz przynieść świętej wody ze źródła Zemzem. Przynieś dla mnie także butelkę tej wody!

— Sihdi, żądaj wszystkiego, czego chcesz, tylko nie tego; nie mogę tego zrobić. Z tego źródła wolno pić tylko prawowiernym. Gdybym ci przyniósł tej wody, nic by mnie nie uratowało od piekła.

Halef powiedział to z takim przekonaniem, że więcej nie nalegałem. Po chwili zapytał:

— Czy nie zechciałbyś sam sobie przynieść świętej wody?

— Przecież mi nie wolno.

— Będzie ci wolno, jeśli nawrócisz się na prawdziwą wiarę.

— Tego nie zrobię. — A teraz chodźmy spać.

Następnego ranka Halef, jako pełen godności małżonek, wybrał się ze swoją żoną w drogę. Przypomniano mu jeszcze przedtem, żeby w razie potrzeby podawał się za przybysza z dalekich krajów i broń Boże nie zdradził, że jego małżonka, która się zresztą na drogą zawoalowała, pochodzi z plemienia Ateibehów. Pojechał z nimi jeden z wojowników, który miał im towarzyszyć na pewnym odcinku drogi i obserwować trasę między Mekką a Dżiddą. U wejścia do naszego obozu rozstawiono strażę.

Pierwszy dzień minął bez szczególnych wydarzeń. Drugiego dnia rano poprosiłem szejka, żeby mi zezwolił na mały wypad w okolice. Szejk dał mi wielbłąda, prosząc tylko, żebym był ostrożny, aby nasza obecność w kotlinie nie została odkryta. Miałem nadzieję odbycia rekonesansu w pojedynkę, lecz kiedy już zamierzałem dosiąść wierzchowca, podeszła do mnie Amsza i spytała:

— Efendi, czy mogę jechać z tobą?

— Możesz — odrzekłem, gdyż było mi po prostu trudno jej odmówić.

Kiedy wyjechaliśmy z parowu, obrałem kierunek na Mekkę. Sądziłem, że moja towarzyszka zechce mnie odwieść od tego zamiaru. Ona jednak trzymała się przy moim boku, nie mówiąc ani słowa. Po kwadransie skręciła nieco w prawo i poprosiła:

— Efendi, jedź za mną!

— Dokąd?

— Chcę się przekonać, czy nasz wartownik jest na posterunku. Po kilku minutach zobaczyliśmy go. Siedział na wzniesieniu i bezustannie spoglądał na południe.

— Nie trzeba, żeby nas widział — rzekła Amsza. — Chodź, efendi, zaprowadzę cię tam, dokąd się wybierasz!

Co Amsza miała na myśli? Zboczyła w lewo, patrząc przy tym na mnie z uśmiechem. Potem puściła wierzchowca cwałem naprzód i zatrzymała się dopiero w wąskiej kotlinie, gdzie zsunęła się z wielbłąda i usiadła na ziemi.

— Siądź przy mnie i porozmawiajmy — rzekła.

Ta kobieta była dla mnie coraz większą zagadką. Zastosowałem się jednak do jej życzenia.

— Czy uważasz swoją wiarę za jedyną prawdziwą? — rozpoczęła Amsza tę dziwną rozmowę.

— Oczywiście — odpowiedziałem.

— Ja także — stwierdziła Amsza ze spokojem.

— Ty także? — spytałem zdziwiony, gdyż po raz pierwszy zdarzyło mi się usłyszeć z ust mułmanina takie wyznanie.

— Tak, efendi, wiem, że tylko twoja religia jest prawdziwa.

— Skąd o tym wiesz?

— Z własnych przemyśleń. Pierwszym miejscem, w którym pojawili się ludzie, był raj. Wszystkie stworzenia żyły tam obok siebie, nie wyrządzając sobie żadnej krzywdy Tak chciał Allah. Dlatego religia, głosząca te same zasady, musi być prawdziwa. Zasady zgodnego współżycia wszystkich stworzeń głosi właśnie religia chrześcijan.

— Czy znasz ją tak dokładnie, że możesz wydawać o niej sąd? — Nie, lecz pewien stary Turek opowiadał nam kiedyś o religii chrześcijańskiej. Powiedział, że modlicie się następująco: „...i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Czy to prawda?

— Tak.

— I że w waszej świętej księdze jest napisane: „Bóg jest miłością i kto w miłości żyje, pozostaje w Bogu, a Bóg w nim”. Powiedz mi, czy to się także zgadza!

— To także się zgadza.

— A więc macie prawdziwą religię. Czy wolno chrześcijaninowi uprowadzić dziewczę?

— Nie. Gdyby to zrobił, poniósłby za to srogą karę.

— Widzisz, że wasza religia jest lepsza od naszej? U was Abu Seifowi nie wolno by było uprowadzić mnie i zmusić do małżeństwa. Czy znasz historię naszego kraju?

— Znam.

— To wiesz zapewne, jak Turcy i Egipcjanie srożyli się przeciwko nam, pomimo że wyznajemy tę samą religię. Hańbili nasze matki, a naszych ojców wbijali tysiącami na pale, ćwiartowali, palili, obcinali im ręce. i nogi, nosy i uszy, wykluwali oczy, dzieci rozbijali o mur lub rozdzierali. Nienawidzę tej religii, lecz muszę ją zachować.

— Dlaczego musisz ją nadal wyznawać? Wolno ci przecież każdej chwili...

— Zamilcz! — przerwała mi Amsza szorstko. — Powierzam ci swoje myśli, lecz nie waz się mnie pouczać! Sama wiem, co robić. Zemszczę się, zemszczę się na wszystkich, którzy mnie obrazili.

— A mimo to twierdzisz, że prawdziwą religią jest religia miłości?

— Tak. Ale czy tylko ja mam kochać i przebaczać? Zemszczę się nawet za to, że nie wolno nam, Ateibehom, wejść do świętego miasta. Zemszczę się. Zgadnij, w jaki sposób to zrobię?

— Powiedz mi!

— Czyż nie jest twoim najskrytszym życzeniem zwiedzić Mekkę?

— Kto tak twierdzi?

— Odpowiedz mi!

— W każdym razie chętnie bym zobaczył to miasto.

— To bardzo niebezpieczne. Ale ja się chcę zemścić i dlatego cię tu przywiodłam. Czy poddałbyś się wszystkim obrzędom, będąc w Mekce?

— Cieszyłbym się, gdybym tego mógł uniknąć.

— Nie chcesz się sprzeniewierzyć swojej religii, to ci się chwali. Idź do Mekki! Ja tu na ciebie poczekam.

Czyż to nie było dziwne? Amsza chciała się w ten sposób zemścić na islamie, że godziła się na to, by najświętsze miejsce jego religijnego kultu sprofanowała noga niewiernego. Gdybym był misjonarzem, mógłbym, choć zapewne z dużym wysiłkiem i stratą czasu, wytknąć Amszy niestosowność jej postępowania. Jako „obieżyświatowi” nie wypadało mi podjąć się tego zadania.

— Kiedy wdrapiasz się na tę górę i znajdziesz się po jej przeciwnej stronie, zobaczysz w dolinie przed sobą święte miasto.

— Dlaczego mam iść piechotą, a nie dojechać tam na wielbłądzie?

— Jeśli zajedziesz tam na wierzchowcu, wszyscy wezmą cię za pielgrzyma i zainteresują się twoją osobą. Jeżeli natomiast wejdiesz do Mekki pieszo, każdy zapewne pomyśli, że już byłeś w

mieście i wyszedłeś tylko na krótką przechadzkę.

— A ty naprawdę chcesz tu czekać na mnie?

— Tak.

— Jak długo?

— Cztery godziny.

— To bardzo krótko.

— Weź pod uwagę, że łatwo możesz zostać odkryty, jeśli zabawisz dłużej. Możesz tylko raz przejść przez miasto i zwiedzić Kaabę. To wystarczy.

Amsza miała rację. Dobrze się stało, że postanowiłem jechać w kierunku Mekki. Wstałem. Amsza wskazała na moją broń.

— Wyglądasz jak człowiek z tych stron, tym bardziej że zmieniłeś nawet obuwie, zwyczajem tubylców, na sandały, ale — i czy Arab nosi taką broń? Zostaw tu swoje fuzje, a zamiast nich weź moją strzelbę!

Żądanie Amszy w pierwszej chwili wzbudziło moją podejrzliwość, która się jednak zaraz rozviała, gdyż nie miałem do niej najmniejszych podstaw. Wymieniłem więc swoje fuzje na długą strzelbę córki szejka i zacząłem wspinać się na górę. Gdy stanąłem na jej szczycie, ujrzałem przed sobą Mekkę w odległości mniej więcej pół godziny drogi od miejsca, w którym się znajdowałem. Miasto leżało w kotlinie, między nagimi, pozbawionymi roślinności wzniesieniami. Rozpoznałem fortyfikacje na górach Szad i Dżijad. Główny meczet, el Haram, znajdował się w południowej części miasta. Tam skierowałem najpierw swoje kroki. Czułem się jak żołnierz, który brał już co prawda udział w drobnych potyczkach, nagle jednak usłyszał grzmoty wielkiej bitwy.

Dotarłem szczęśliwie do miasta. Ponieważ zapamiętałem położenie meczetu, nie potrzebowałem pytać o drogę. Domy, między którymi przechodziłem, były z kamienia, a ulice wysypane piaskiem pustyni. Wkrótce znalazłem się przed wielkim prostokątem świątyni i obszedłem ją wolno dookoła. Jej cztery boki składały się z rzędów kolumn, ponad którymi wznosiło się siedem minaretów. Naliczyłem dwieście czterdzieści kroków wzdłuż i dwieście pięć w poprzek meczetu. Z uwagi na to, że fasadzie chciałem się przyjrzeć dopiero później, wszedłem do meczetu przez jedną z jego siedemnastu bram. W bramie siedział mekkańczyk, który handlował miedzianymi, butelkami.

— Es selam alejkum! — pozdrowiłem go z godnością.

— Ile kosztuje taka butelka?

— Dziesięć piastrów.

— Niech Allah błogosławi twoich synów i synów twoich synów, gdyż ceny twoje są niskie. Masz tu dziesięć piastrów i biorę butelkę.

Ukryłem butelkę pod odzieniem i wszedłem między kolumny. Znalazłszy się w pobliżu kazalnicy, zdjąłem sandały i rozpocząłem zwiedzanie świątyni. Kaaba znajduje się mniej więcej pośrodku dziedzińca wielkiego meczetu. Okryta całkowicie czarnym, jedwabnym materiałem, przedstawia dziwny widok. Prowadzi do niej siedem brukowanych ścieżek, pomiędzy którymi rozciąga się tyleż trawników. Obok Kaaby spostrzegłem święte źródło Zemzem, z którego kilku urzędników rozdzielało pielgrzymom wodę. Cała świątynia nie wywarła na mnie bynajmniej wrażenia świętości. Tragarze kufrow i lektyk biegali tam i z powrotem, pisarczyki siedzieli pod kolumnami, ba, widać tu było nawet sprzedawców owoców i pieczywa. Błądząc wzrokiem między rzędami kolumn, zauważyłem przed jedną z bram wielbłąda, który właśnie przykłękał, żeby pozwolić zsiąść swemu panu. Właściciel wielbłąda, zwrócony do mnie plecami, przywoływał gestem jednego ze sług świątyni, zlecając mu pilnowanie zwierzęcia. Widziałem to wszystko mimochodem; idąc do źródła. Chciałem napełnić wodą źródlaną swoje butelki, musiałem jednak czekać w kolejce. Dałem potem

wydzielającemu wodę mały podarunek, zamknąłem naczynie i schowałem je znów do kieszeni. Odwróciwszy się, zobaczyłem nagle niecałe dziesięć kroków przed sobą Abu Seifa.

Strach mnie obleciał, lecz na szczęście nie sparaliżował moich ruchów. W takich chwilach człowiek myśli i działa zazwyczaj dziesięciokrotnie szybciej niż w normalnych sytuacjach. Nie uciekałem, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, lecz wydłużałem jak tylko mogłem swe kroki, kierując się ku bramie, przed którą spoczywał wielbłąd Abu Seifa. Tylko to zwierzę mogło mnie uratować. Był to jeden z tych bułanych wielbłądów, jakie spotyka się w górach Szammaru.

Moje sandały były stracone. Nie miałem czasu iść po nie, ponieważ już usłyszałem za sobą wołanie:

— Giaur, giaur! Strażnicy świątyni łapcie go!

To wezwanie wywołało po prostu piorunujący skutek. Nie miałem czasu spojrzeć za siebie, zresztą nie było to wcale konieczne. I tak wiedziałem, w jakiej znalazłem się sytuacji, słyszałem bowiem za sobą huk wodospadu, wycie burzy, ciężki i głośny tupot jakby ogromnego stada bawołów. Musiałem zrezygnować z równomiernego odmierzenia kroków. Przebiegłem plac niemal w podskokach, potem kryjąc się między kolumnami, skoczyłem po trzech schodach w górę i znalazłem się przed wielbłądem, który na szczęście nie był spętany. Pięścią odrzuciłem na bok strażnika i w następnej chwili siedziałem w siodle z rewolwerem w ręku. Ale — czy zwierzę mnie usłucha?

— E... o ...ach! E ... o ...ach!

Bogu dzięki! Na to znane zawołanie wielbłąd poderwał się dwoma nagłymi szarpnięciami i ruszył błyskawicznie z miejsca. Za mną rozległy się strzały. Nie zwracałem na to uwagi. — Tylko naprzód, naprzód! Gdyby wielbłąd, którego dosiadłem, był zwierzęciem upartym, byłbym zgubiony.

W niespełna trzy minuty znalazłem się za miastem i dopiero teraz, będąc już w połowie góry, odważyłem się obejrzeć. U stóp góry roilo się od jeźdźców, którzy mnie ścigali. Pielgrzymi bowiem natychmiast pobiegli do najbliższych postojów karawan po znajdujące się tam wierzchowce.

W którym kierunku miałem uciekać? Czy tam, gdzie znajdowała się Amsza? Zdradziłbym wówczas jej obecność. A jednak musiałem ją ostrzec przed niebezpieczeństwem! Poganiałem swego wielbłąda nieustannie. Mknął jak błyskawica. Na szczycie góry obejrzałem się ponownie i stwierdziłem, że jestem już właściwie bezpieczny. Tylko jeden ze ścigających mnie jeźdźców wysforował się nieco do przodu. Był to Abu Seif. Właśnie jemu udało się zdobyć wyjątkowo szybko konia.

Błyskawicznie zjechałem w dół po zboczu góry. Córa Maleka dostrzegła mnie. Widząc, że siedzę na wielbłądzie i pędzę z taką szybkością, od razu odgadła w czym rzecz. Wskoczyła natychmiast na swojego wielbłąda, a drugie zwierzę, na którym ja poprzednio siedziałem, wzięła za uzdę.

— Kto cię odkrył? — zawołała.

— Abu Seif.

— Wielki Allahu! Ten łotr cię ściga?

— Dogania mnie.

— Czy jest z nim wielu innych?

— Owszem, lecz pozostali daleko w tyle.

— To nie zbliżaj się do mnie i pędź prosto przed siebie. — Dlaczego?

— Dowiesz się niebawem.

— Muszę jednak podjechać do ciebie po moją broń! Przejeżdżając obok siebie, wymieniliśmy fuzje, po czym córa pustyni pozostała na miejscu i ukryła się za występem skalnym. Pojąłem zamiar Amszy. Chciała, aby Abu Seif znalazł się między nią a mną. Wkrótce ukazał się na szczycie góry. Umyślnie pohamowałem nieco bieg swego zwierzęcia. Zauważyłem, że Abu Seif z kolei zwiększył

szybkość swego wierzchowca. Podczas gdy mój wielbłąd wspinał się na zbocze następnej góry, Abu Seif pędził na swoim koniu w dół zboczem poprzedniej, a potem na ukos przez zagłębienie terenu, nie zwracając przy tym uwagi na ślady, z których mógłby się zorientować, że nie byłem tu sam. Znalazłszy się na szczycie następnej góry, ujrzałem na wierzchołku poprzedniej jeszcze kilku ścigających mnie, a głęboko w dole moja towarzysząca także już galopowała na swoim wielbłądzie. Jej zamiar się spełnił. Abu Seif znajdował się między nami, a ponieważ Amsza nie trzymała już drugiego zwierzęcia za uzdę, lecz pozwoliła mu biec luzem, Abu Seif, gdyby się obejrzał, zapewne wziąłby ją za jeźdźca, należącego do grupy ścigających mnie.

Nic mi już nie zagrażało; moi prześladowcy pozostali daleko w tyle, należało więc całą uwagę skoncentrować na tym, żeby nam Abu Seif nie umknął. Starłem się więc wydostać z pagórkowatego terenu na równinę, jednak w kierunku przeciwnym do miejsca, w którym znajdował się obóz Ateibehów. Coraz bardziej przy tym hamowałem bieg wielbłąda.

Tak przedstawiała się sytuacja mniej więcej przez trzy kwadransy, do chwili kiedy wypadłem na otwartą przestrzeń pustyni. Starłem się teraz utrzymać taki dystans, aby pędzący za mną Abu Seif znajdował się zawsze poza zasięgiem strzału. Amsza dotarła właśnie do podnóża pasma pagórków. Wtem na grzbiecie ostatniego wzgórza pojawił się jeździec, który musiał mieć ręcznego wielbłąda, gdyż zbliżał się do nas z wielką szybkością. Jego zwierzę było znacznie szybsze od wierzchowca Abu Seifa.

Zaczynałem się już obawiać, co prawda nie o siebie, lecz o moją towarzyszkę. Ze zdziwieniem zauważyłem wówczas, że jeździec zbacza, jakby chciał zatoczyć łuk i w ten sposób nas wyprzedzić. Przyjrzałem mu się uważniej. Czy to możliwe? Mały człowiek na pędzącym wielbłądzie podobny był do Halefa. Jak zdobył takiego wierzchowca i jak dostał się między moich prześladowców? Osadziłem swojego wielbłąda w miejscu, żeby jeszcze raz dokładnie przyjrzeć się jeźdźcowi. Tak, nie był to nikt inny, lecz właśnie Halef. Chcąc, żebym go rozpoznał, wywijał w powietrzu ramionami, jakby zamierzał łapać jaskółki.

Siedziałem spokojnie w siodle i sięgnąłem po fuzję. Abu Seif znalazł się w zasięgu mojego głosu. — Rrrrreee, „ojcze szabli!” — zawołałem. — Trzymaj się z dala, w przeciwnym razie poślę ci kulkę!

— Ty psie! — krzyknął. — Mam się trzymać z dala? Złapię cię żywcem i zawiozę do Mekki, hańbicielu świątyni!

Nie mogłem zrobić nic innego: wycelowałem i oddałem strzał. Nie miałem zamiaru strzelać do człowieka, więc wycelowałem w pierś jego konia. Zwierzę padło, grzebiąc pod sobą je ktądźca, przetoczyło się po nim kilkakrotnie i skonało. Oczekiwałem, że Abu Seif szybko się podniesie, lecz tak się nie stało. Albo doznał obrażeń, albo tylko udawał, żeby mnie zwabić ku sobie. Podjechałem ostrożnie i stanąłem równocześnie z Amszą przy leżącym. Oczy miał zamknięte i nie ruszał się.

— Efendi, twoja kulka wyprzedziła moją — żaliła się kobieta.

— Strzelałem tylko do konia. Moja kula nie trafiła ojca szabli. Mógł jednak skrócić sobie kark lub uszkodzić inną część ciała. Sprawdzę to.

Zsiadłem z wielbłąda i obejrzałem leżącego. Jeśli nie doznał obrażeń wewnętrznych, to był tylko ogłuszony. Córa Ateibehów dobytego miecza. — Co zamierzasz? — spytałem szybko.

— Wziąć sobie jego głowę.

— Nie zrobisz tego, gdyż i ja mam z nim porachunki.

— Moje są wcześniejsze.

— Moje natomiast większe. To ja go powaliłem.

— Czy go zabijesz?

- Co zrobisz, jeśli go nie zabiję, lecz puszczę wolno lub po prostu tu zostawię?
- Zrezygnujesz tym samym z prawa porachowania się z nim, a ja dojdę swego.
- Nie zrezygnuję.
- Wobec tego zabierzemy rozbójnika do obozu. Tam się rozstrzygnie, co zrobić z jeńcem.

Nadjechał Halef.

— Na Allaha! Sihdi, co uczyniłeś?

— Powiedz mi lepiej, jak się tu znalazłeś? — Pojechałem za tobą.

— To widzę. Oczekuję dokładniejszej informacji!

— Sihdi, wiesz, że mam sporo pieniędzy. Po cóż mam je nosić w kieszeni? Chciałem sobie kupić wielbłąda i udałem się do handlarza, który mieszka w południowej części miasta. Hanneh była ze mną. Podczas gdy oglądałem zwierzęta, między którymi to tutaj było najlepsze, doszedł do moich uszu wielki hałas z zewnątrz. Wybiegłem wraz z kupcem na ulicę i usłyszałem, że jakiś giaur sprofanował świątynię i uciekł. Pomyślałem natychmiast o tobie, sihdi, i rzeczywiście chwilę później zobaczyłem, jak pędziłeś pod górę. Wszyscy pchali się na dziedziniec kupca, by zdobyć wierzchowce do ścigania ciebie. Zrobiłem tak samo i wziąłem tego wielbłąda. Poleciwszy Hanneh, żeby pojechała do obozu i opowiedziała szejkowi o tym, co się stało, kupcowi, który chciał się dalej targować, rzuciłem pod nogi taką sumę, jaka dotychczas została ustalona i pogalopowałem za tobą, żeby cię schwytać. Inni pozostali w tyle. Mam cię więc, a także wielbłąda.

— Przypuszczam, że kupiłeś go tanio.

— O tym nie mówmy teraz, sihdi. Trwa jeszcze pogoń za nami; nie możemy tu pozostać. Co zrobimy z tym „ojcem szabli i oszustwa”?

— Przywiążemy go do wolnego wielbłąda i zabierzemy ze sobą. Zapewne odzyska przytomność.

— A dokąd uciekniemy?

— Znam takie miejsce — odpowiedziała Amsza. — Ty także je znasz, Halefie, gdyż mój ojciec wskazał ci je na wypadek, gdybyś nas już nie zastał w obozie.

— Czy myślisz o jaskini Atafrah?

— Tak, Hanneh byłaby cię tam zaprowadziła. Tę jaskinię znają tylko Ateibehowie. Pomóżcie mi związać jeńca!

Trzem parom rąk nie było trudno wsadzić Abu Seifa na wielbłąda, który poprzednio niósł mnie z obozu w pobliże Mekki. Wszystko, co jeńiec miał przy sobie, zabrała córka Maleka. Potem dosiedliśmy znów naszych wierzchowców i popędziliśmy na południowy wschód.

Tak więc szczęśliwie uszedłem pogoni. Nie przypuszczałem, że zobaczę jeszcze kiedyś Mekkę. Ponieważ to jednak nastąpiło, zostawiam opis miasta z jego osobliwościami na później.

Halef zasypał mnie po drodze zarzutami.

— Sihdi — twierdził — czy ci nie mówiłem, że niewiernemu nie wolno wejść do świętego miasta? Omal nie straciłeś życia.

— To dlaczego nie chciałeś mi przynieść wody ze świętego źródła?

— Bo nie wolno mi było spełnić twojej prośby.

— Więc sam poszedłem po tę wodę.

— Byłeś przy świętym źródle?

— Popatrz! Oto woda ze źródła Zemzem!

— Allah kerim, sihdi! On przemienił cię w prawowiernego, a nawet w pielgrzyma. Giaurowi nie wolno wejść do miasta. Lecz kto ma wodę ze źródła Zemzem, ten jest pielgrzymem, a zatem także prawdziwym muzułmaninem. Czy nie mówiłem ci zawsze, że się kiedyś nawrócisz, czy tego chcesz czy nie?

Była to równie śmieszna, jak śmiała interpretacja stanu sprawy. Miała jednak przynajmniej ten skutek, że uspokoiła muzułmańskie sumienie Halefa. Nie widziałem na razie potrzeby wyprowadzania go z błędu.

Okolica wokół Mekki jest uboga w wodę, a jeśli gdzieś znajduje się jakieś źródło, to jest ono zapewne ośrodkiem wioski lub obozowiska. Trzeba więc było omijać te miejsca, i dlatego mimo wielkiego upału nie zatrzymywaliśmy się nigdzie podczas dnia, dopóki nie dotarliśmy do okolicy bogatej w skalne załomy. Córa Atejbehów prowadziła nas przez zwirowiska i piargi oraz pomiędzy potężnymi blokami skalnymi, aż dotarliśmy do szczeliny, rozwartej u podstawy mniej więcej na szerokość ciała wielbłąda.

— To jest ta jaskinia — oznajmiła nam nasza przewodniczka. — Zwierzęta też będą mogły przejść przez ten otwór, jeśli zdejmemy z nich siodła.

— Czy tu zostaniemy? — zapytałem.

— Tak, do nadejścia szejka.

— Przyjdzie tu?

— Na pewno. Hanneh go zawiadomiła. Jeśli kto z Ateibehów nie wróci do obozu, to można go znaleźć w tej jaskini. Zsiądźcie z wielbłądów i chodźcie za mną!

Abu Seif odzyskał przytomność, lecz przez całą drogę nie odezwał się ani słowem i nie otworzył oczu. Wprowadzono go pierwszego do jaskini.

Szczelina, przez którą przechodziliśmy, rozszerzała się w głąb jaskini, tworząc w końcu komnatę, mogącą pomieścić czterdzieści do pięćdziesięciu osób i tyleż zwierząt. Główna wartość tej kryjówki polegała na zasobie wody, nagromadzonej w jej wnętrzu. Po ulokowaniu więźnia i wielbłądów, wyszliśmy, żeby poszukać specjalnej, rosnącej w kształcie kiści, trawy, mającej tę właściwość, że paliła się równie dobrze, kiedy była świeża, jak i kiedy była suszona. Ta trawa miała nam służyć nocą, gdyż w dzień nie mogliśmy rozpałać ogniska, dym mógł bowiem łatwo zdradzić miejsce naszego schronienia.

Nie potrzebowaliśmy się zresztą obawiać, że nas ktoś odkryje. Droga do tego miejsca wiodła przeważnie przez grunt kamienisty, a więc nasze ślady były niewidoczne.

Zrobiłem ciekawe odkrycie. W kieszeni siodła na wielbłądzie Abu Seifa znalazłem znaczną sumę pieniędzy.

Nasze zwierzęta były zmęczone i my tak samo. Więzy, jakie nałożyliśmy jeńcowi były mocne, więc mogliśmy spać spokojnie. Czuwałem jednak na zmianę z Halefem. Wypada mi jeszcze nadmienić, że dawno już włożyłem z powrotem swoje długie buty, które przechowywałem w kocu na grzbiecie wielbłąda, wypożyczonego od Ateibehów.

Ostatnie godziny dnia minęły spokojnie. Zapadła noc. Wartę miałem o świcie. Nagle zwrócił moją uwagę odgłos zbliżających się kroków. Wyrzłem przez szparę i zobaczyłem skradającego się mężczyznę. Poznałem w nim jednego z Ateibehów i wyszedłem z pieczary.

— Allahowi niech będą dzięki, że cię widzę, efendi! — pozdrowił mnie. — Szejk posłał mnie, żebym wybadał, czy tu jesteście. Jeśli do niego nie wrócę, będzie to oznaczało, że was tu zastałem.

— Jak przypuszczasz, kto tu jeszcze jest poza mną?

— Sądzę, że twój służący, Halef, córka szejka, a może nawet Abu Seif w charakterze jeńca.

— Z czego wnosisz, że mogą tu być wymienione przez ciebie osoby?

— To nietrudno odgadnąć, efendi. Hanneh przybyła do obozu sama z dwoma wielbłądami. Opowiedziała, że byłeś w Mekce i uciekłeś stamtąd. Córka Maleka wyjechała z tobą i na pewno cię nie opuściła, chociaż popełniłeś wielki grzech. Halef pojechał za tobą, a za wzgórzami nasi zwiadowcy znaleźli zastrzelonego konia Abu Seifa, natomiast jego samego tam nie było. Z tego

wniosek, że mieliście go przy sobie.

— Kiedy przybędzie szejk? — zapytałem.

— Być może nawet przed upływem godziny. — Wejdz więc do jaskini.

Wojownik nie obdarzył jeńca nawet spojrzeniem i natychmiast ułożył się do snu. W zapowiedzianym czasie przybyła przed pieczarę mała karawana. Z wielbłądów zdjęto ładunki i wniesiono je do środka jaskini. Oczekiwałem ze strony szejka zarzutów, lecz pierwsze pytanie, które do mnie skierował, brzmiało:

— Czy ująłeś Dżeheina?

— Tak.

— Czy jest tutaj?

— Oczywiście. W dodatku cały i zdrowy.

— Będziemy go więc sądzić.

Zanim uporządkowano przywiezione rzeczy, nadeszło południe. Teraz miał się odbyć sąd nad Abu Seifem. Przedtem jednakże miałem z Kalefem osobliwą rozmowę.

— Sihdi — zwrócił się do mnie Halef — pozwól, że cię o coś zapytam!

— Pytaj, proszę!

— Zapewne pamiętasz jeszcze wszystko, co napisałeś o mnie i o Hanneh.

— Wszystko pamiętam.

— Kiedy muszę Hanneh zwrócić rodzinie?

— Z chwilą, gdy ukończysz pielgrzymkę. — Ale ja jej jeszcze nie zakończyłem.

— Czego jeszcze brakuje do zakończenia?

— Według przepisów niczego. W Mekce wykonałem przewidziane obrzędy, gdyż wszystko odbyło się sprawnie i szybko. Chciałbym jednak zatrzymać żonę. Przyszło mi na myśl, że do pełnej pielgrzymki należy również zwiedzenie Medyny.

— To prawda. A jakie jest zdanie Hanneh?

— Sihdi, ona mnie kocha. Wierz mi — sama mi to powiedziała.

— A ty ją także kochasz?

— Bardzo. Czyż nie napisano, że Allah wyjął Adamowi żebro i stworzył z niego Ewę? Pod żebrem znajduje się serce, a więc serce mężczyzny będzie stale przy kobiecie.

— Co jednak powie na to szejk Malek?

— To właśnie napełnia mnie troską, sihdi.

— Innych trosk nie masz?

— Nie.

— A ja? Nie obchodzi cię, co ja na to powiem?

— Och, ty udzielisz mi swego zezwolenia, gdyż ja cię nie opuszczę, jak długo zechcesz zatrzymać mnie przy sobie.

— Kobieta jednak nie mogłaby wędrować z nami. Pomyśl o tym!

— Hanneh nie musi z nami wędrować. Zawiozę ją do jej plemienia. Tam pozostanie do czasu, kiedy będę mógł do niej wrócić.

— Halefie, nie wymagam od ciebie takiej ofiary. Ponieważ jednak kochacie się wzajemnie, staraj się zrobić wszystko, co w twojej mocy, żeby Hanneh zatrzymać. Może uda ci się uprosić szejka i nie będziesz jej musiał oddać.

— Sihdi, nie zwrócę jej, nawet gdybym był zmuszony z nią uciec. Och, ona wie, że jestem Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah i poszedłby ze mną na koniec świata.



Wygłosiwszy to zdanie z wielką powagą i pewnością siebie, Halef oddalił się. Tymczasem utworzył się krąg, pośrodku którego umieszczono Abu Seifa. Poproszono mnie, żebym wziął udział w rozprawie. Usiadłem obok szejka Maleka.

— Efendi — zaczął szejk — słyszałem, że rościsz sobie pretensje do tego człowieka, i wiem, że to prawda. Czy chcesz go nam odstąpić, czy też chcesz razem z nami zdecydować o jego losie?

— Dołączymy się do was, ja i Halef, gdyż i on pała chęcią zemsty wobec Abu Seifa.

— Zdejmijcie więc jeńcowi więzy!

Abu Seifa rozwiązano. Leżał jednak nadal bez ruchu, jakby był martwy.

— Abu Seifie, stań przed tymi mężami, aby się usprawiedliwić! — rozkazał szejk.

Więzień leżał nadal bez ruchu z zamkniętymi powiekami.

— Stracił mowę, jesteście tego świadkami, mężowie. Po cóż mamy zresztą z nim rozmawiać? Abu Seif wie, co zrobił, i my też wiemy. Cóż by nam dały słowa i pytania? Stwierdzam, że musi umrzeć, ażeby jego ścierwo stało się pastwą szakali, hien i sępów. Kto podziela moje zdanie?

Wszyscy wyrazili zgodę. Tylko ja chciałem zgłosić sprzeciw, lecz przeszkodziło mi w tym nieprzewidziane wydarzenie. Przy ostatnich słowach szejka więzień zerwał się nagle z ziemi, przebiegł błyskawicznie między dwoma Ateibehami i skoczył ku wyjściu z jaskini. Rozległ się krzyk oburzenia, potem wszyscy rzucili się w pogoń za uciekinierem, jedynie ja pozostałem na miejscu. To prawda, że Abu Seif popełnił niejedną niegodziwość i według praw pustyni zasłużył w pełni na karę śmierci, jednak trudno mi było głosować za tą karą. Może mu się uda ująć pościgowi. W takim wypadku nie moglibyśmy ani godziny pozostać w pieczarze.

Długo byłem sam. Pierwszy powrócił stary szejk. Nie nadążał za młodszymi.

— Dlaczego nie pobiegłeś za uciekinierem, efendi? — spytał.

— Ponieważ twoi dzielni wojownicy schwytają go i bez mojej pomocy. Czy nie wierzysz, że przyprowadzą go z powrotem?

— Nie wiem. Abu Seif jest sławnym biegaczem. Kiedy wyskoczyliśmy przed pieczarę, już go nie było widać. Jeśli go nie dogonimy, musimy stąd uciekać, gdyż zna teraz naszą kryjówkę.

Ścigający powoli wracali. Nikt z nich nie widział uciekającego „ojca szabli” ani nie znalazł jego śladów. Później wrócił Halef, a na końcu Amsza. Zauważyłem, jak jej nozdrza drżały z gniewu. Z krótkiej wymiany zdań wynikało, że nikt nie zauważył uciekiniera. Oburzenie, które w pierwszej chwili sparaliżowało Ateibehów, i okoliczność, że w wąskim przejściu przez szczelinę skalną mogła za nim podążać tylko jedna osoba, ułatwiły Abu Seifowi wydostanie się z jaskini, a na zewnątrz, na kamienistym gruncie, nie można było odkryć śladów jego stóp.

— Słuchajcie mężowie — odezwał się szejk Malek. — On zdradzi naszą kryjówkę! Czy zaraz opuścimy to miejsce, czy też jeszcze raz obejdziemy teren i spróbujemy go schwytać? Jeśli objedziemy okolicę wokoło, uda nam się może go wypatrzeć.

— Nie będziemy uciekać, lecz odszukamy go — oświadczyła gniewnie córka szejka.

Wszyscy się z nią zgodzili.

— Dalej więc — rzekła Amsza — bierzcie wielbłądy i jedźcie za mną! Kto dostarczy uciekiniera martwego lub żywego — otrzyma wysoką nagrodę.

Wtem wysunął się naprzód Halef.

— Zasłużyłem już na tę nagrodę. Przed pieczarą leży „ojciec szabli”. Martwy!

— Martwy? — zawołał szejk uradowany. — Czy to znaczy, że ty go zabiłeś?

— Tak jest — odparł Halef z dumą.

— Gdzie go dogoniłeś? Opowiedz!

— Musisz wiedzieć, szejku, że mój pan jest mistrzem w walce oraz w odnajdywaniu wszelkich

śladów. Nauczył mnie znajdować ślady w piasku, w trawie i na skalistym gruncie. Pouczył mnie również, jak należy myśleć i rozważać wszelkie możliwości przy poszukiwaniu uciekającego człowieka. Wyszedłem pierwszy za Abu Seifem z jaskini, lecz już go nie zobaczyłem. Pobiegnęłam w lewo w górę, potem w prawo w dół, a ponieważ go nie dostrzegłem, pomyślałem, że mógł być przecież tak sprytny i ukryć się zaraz przy wyjściu z pieczary. Zajrzałem więc za kamienie i znalazłem go. Po krótkiej walce wbiłem mu nóż w serce. Pokażę wam jego zwłoki.

Pozostałem znów w jaskini, podczas gdy inni wyszli z Halefem, żeby zobaczyć trupa Abu Seifa.

Wkrótce wrócili rozradowani.

— Jakiej żądasz nagrody? — spytał szejk Malek mojego dzielnego Halefa.

— Pochodzę z dalekiego kraju, do którego już pewnie nie powrócę — odpowiedział Halef. —

Jeśli uznasz mnie godnym, to przyjmij mnie do swojego klanu!

— Chcesz zostać Ateibehem? Jak się na to zapatruje twój pan?

— Na pewno się zgodzi. Prawda, sihdi?

— Tak — potwierdziłem — i również o to proszę.

— Osobiście wyraziłbym zgodę natychmiast — oświadczył szejk. — Muszę jednak zapytać wszystkich tu obecnych członków plemienia. Przyjęcie na członka plemienia obcego człowieka jest ważną sprawą, która wymaga czasu. Czy masz krewnych w pobliżu?

— Niestety.

— Czy ciąży na tobie obowiązek wendety?

— Nie.

— Czy należysz do sunnitów, czy do szytów?

— Jestem zwolennikiem sunny.

— Czy rzeczywiście nie miałeś jeszcze żony ani dzieci?

— Nie.

— Jeśli tak się sprawa przedstawia, to możemy zaraz rozpocząć obrady.

— To włącz do obrad zarazem jeszcze jedną sprawę — poprosił szybko Halef.

— Jaką mianowicie?

— Sihdi, czy nie zechciałbyś przemówić w moim imieniu? Wstałem przybierając możliwie pełną godności postawą, i zacząłem swoje przemówienie.

— Posłuchaj moich słów, o szejku, i niech Allah otworzy twoje serce, ażebyś zechciał me słowa przyjąć łaskawie. Nazywam się Kara ben Nemsu. Jestem emirem między uczonymi i bohaterami Niemiec. Przybyłem do Afryki i do tego kraju, aby poznać jego mieszkańców i dokonać wielkich czynów. Potrzebny był mi służący, znający wszystkie narzecza Zachodu i Wschodu, mądry i roztropny, który nie boi się ani lwa, ani pantery, ani żadnego, człowieka. Nawinał mi się Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah. Byłem z niego dotychczas ze wszech miar zadowolony. Jest silny jak odyniec, wierny jak chart, mądry jak fenek i szybki jak antylopa. Walczyliśmy razem nad otchłanią szotu, tafla soli załamała się pod nami, a myśmy się jednak uratowali. Pokonaliśmy zwierzęta pól i pustyni, stawiliśmy czoła groźnemu samumowi, ba, dotarliśmy nawet do granicy Nubii i wyswobodziliśmy z niewoli uprowadzoną niewiastę. Następnie przybyliśmy do bilad el Arab i wiecie, cośmy tu przeżyli, gdyż poniekąd byliście tego świadkami. Halef udał się potem z twoją wnuczką Hanneh do Mekki. Zawarł z nią formalnie związek małżeński, zobowiązując się pisemnie zwrócić ją jej rodzinie. Allah jednak tak pokierował ich sercami, że wzajemnie się pokochali i nie chcieliby się rozstać. Ty jesteś Hadzi Malek ibn Achmed Chalid ben Abul Ali Abu Abdolatif il Ilanifi, mądry i dzielny szejk plemienia Ateibehów. Zapewne zdajesz sobie sprawę, że z takim towarzyszem, jakim jest Halef, nie rozstaję się chętnie. Pragnę jednak, żeby

był szczęśliwy i dlatego proszę cię, abyś go przyjął do społeczności Ateibehów i podarł kontrakt, którym ci przyrzekł zwrócić formalnie przez siebie zaślubioną niewiastę. Jestem pewny, że spełnisz moją prośbę, a ja, powróciwszy do swojej ojczyzny, chwalić będę ciebie i twoje plemię na całym Zachodzie!

Wszyscy przysłuchiwali mi się pilnie. Malek natomiast odpowiedział:

— Efendi, wiem, że jesteś sławnym bohaterem Niemców, chociaż nazwisko twoje jest tak krótkie, jak ostrze niewieściego sztyletu.

Wyruszyłeś w świat niczym sułtan, który incognito dokonuje wielkich czynów i jeszcze dzieci naszych dzieci opowiadać będą o twoim bohaterstwie. Hadzi Halef Omar jest u ciebie jakby wezyrem, którego życie należy do sułtana. Przybyliście razem do naszych namiotów, czyniąc nam tym wielki zaszczyt. Polubiliśmy zarówno ciebie, jak i Halefa. Zjednoczymy nasze głosy, żeby go przyjąć na syna naszego plemienia. Pomówię również z Hanneh i jeśli zechce zostać przy nim, podrę kontrakt, jak prosiłeś; Hadzi Halef Omar jest bowiem dzielnym wojownikiem, który zabił złodzieja i rozbójnika, Abu Seifa. Teraz jednak pozwól nam przygotować biesiadę ku uczczeniu śmierci wroga, a potem w godny sposób kontynuować naradę. Jesteś naszym przyjacielem i bratem, mimo że wyznajesz inną niż my wiarę.

# XII.

## NAD TYGRYSEM

„Strasznym dla nich okaże się Jahwe, bo sprawi, że znikną wszystkie bóstwa ziemi i kłaniać mu się będą mężowie i każdy z miejsca swego, wszystkie wyspy narodów. I wyciągnie swą rliškę na północ i zniszczy Asyrię i obróci Niniwę w pustkowie, w suchy step, jak pustynię. I będą się wylegiwać w jej obrębie stada, wszelkie zwierzęta narodów: tak pelikan, jak jeź zanocują na głowicach jej kolumn. Głos zaświszcze w otworze okna, a na progu zalegnie rumowisko, bo cedrowe obicie zostanie zerwane. Oto huczne miasto, które bezpiecznie mieszkało, które mówiło w sercu swym: Ja i nic więcej! — Jakże stało się pustkowie, legowiskiem dzikich zwierząt? Każdy, kto mimo przechodzić będzie, syknie i ręką potrząśnie”.

O tych słowach proroka Sofoniasza (rozdział 2, wiersz 11—15) myślałem, kiedy przy gasnącym blasku dnia łódź nasza przybijała do prawego brzegu Tygrysu. Cała okolica po prawej i lewej stronie rzeki jest jednym grobem, ogromnym, strasznym cmentarzyskiem. Ruiny starożytnych miast Rzymu i Aten oświeśla słońce, a pomniki starego Egiptu sterczą w niebo jak gigantyczne postacie. Tam głoszą one w widoczny sposób potęgę, bogactwa i artyzm narodów, które je wzniosły i stworzyły. Tu natomiast nad Eufratem i Tygrysem leżą tylko opustoszałe zwaliska gruzów, obok których przejeżdżają Beduini, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi, nie przypuszczając nawet, że pod kopytami ich wierzchowców pogrzebane zostały okrzyki radości i westchnienia tysiącleci. Gdzież jest ta wieża, którą w krainie Senaar wznosili ludzie, zachęcając się wzajemnie słowami: „chodźcie, zbudujemy miasto i wieżę, której szczyt dosięgnie nieba, abyśmy zdobyli sławę!” — Zbudowali miasto i wieżę, lecz to miejsce zostało spustoszone. Pragnęli, by o nich mówiono w całym świecie, lecz imiona narodów, które to miasto po kolei zamieszkiwały i w wieży do różnych bożków odprawiały nabożeństwa a także imiona książąt i namiestników, którzy tu pławili się w złocie i krwi milionów niewolników — zostały zapomniane. Z trudem udaje się je odgadnąć najlepszym badaczom przeszłości.

Jak się jednak znalazłem nad Tygrysem?

Z Ateibehami zapuściłem się aż na pustynię Ad Dahna, gdyż po ucieczce z Mekki nie miałem odwagi pokazywać się na zachodzie kraju. Ponieważ znalazłem się w pobliżu portowego miasta Maskat, nie potrafiłem oprzeć się pokusie zwiedzenia go. Udałem się tam bez towarzystwa, obejrzałem mury z wieżami, ufortyfikowane ulice, meczety i portugalskie kościoły, podziwiałem także beludzystańską gwardię imama, a potem zaszedłem do jednej z kawiarni, otwartych na ulicę, żeby się napić kawy, zwanej tu keszrek. Ten napój przyrządza się z łupinek ziaren kawy, przyprawiając go cynamonem i goździkami. Nagie zasłoniła mi widok jakaś postać, która stanęła w wejściu do kawiarni. Podniosłem wzrok i zobaczyłem mężczyznę, godnego dłuższej obserwacji.

Jego chudą, długą i niemal łysą głowę nakrywał wysoki, popielaty cylinder. Bardzo szerokie usta o wąskich wargach rozciągały się pod nosem cienkim i długim, a mimo to zdradzającym tendencję do przedłużenia się jeszcze aż do podbródka. Z szerokiego, wykładnego i starannie wyprasowanego kołnierza koszuli sterczała chuda, sucha szyja. Dalszy ubiór tego człowieka stanowiły: popielaty krawat w kratkę i tegoż koloru kamizelka, marynarka i spodnie. Getry i buciki też były popielate. Człowiek ten, tkwiący niemal cały w materiale z szarej kraty, trzymał w prawej ręce przedmiot podobny do motyki, a w lewej dubeltówkę. W kieszeni jego marynarki tkwiła złożona gazeta.

— Werin kahwe — dajcie kawę! — powiedział charczącym głosem, przypominającym świergot

wróbli.

Zamiast na krzesło, usiadł na jednym ze stolików. Kiedy przyniesiono mu kawę, opuścił nos nad trunek, wciągnął w nozdrza aromat, wylał kawę na ulicę i postawił próżną filiżankę na podłodze.

— Werin tütüun — dajcie tytoń! — rozkazał z kolei.

Otrzymał zapaloną fajkę, pociągnął z niej, wypuścił dym przez nos, splunął i rzucił fajkę obok filiżanki.

— Werin — namyślał się, lecz nie mógł wpaść na tureckie słowo, a arabskiego być może wcale nie znał. Zacharczał więc po prostu: — werin roastbeef!

Kahwedzi nie rozumiał, o co chodzi.

— Roastbeef! — powtórzył nieznajomy, pokazując gestami ust i rąk, że chce mu się jeść.

— Kebab! — podpowiedziałem usłudźnie oberżycie, który natychmiast zniknął za drzwiami, aby przyrządzić potrawę. Składała się ona z małych, czworokątnych kawałków mięsa, pieczonych na rożnie.

Szary w kratkę zainteresował się teraz moją osobą. — Arab? — spytał mnie.

— Nie.

— Turek?

— Nie.

Podniósł wąskie brwi i spytał z nadzieją w głosie:

— Anglik?

— Nie. Jestem Niemcem.

— Niemcem? Co tu robić?

— Pić kawę.

— Very well! Co być?

— Jestem pisarzem!

— Ach! Co tu chcesz w Maskat?

— Zwiedzić!

— A potem?

— Jeszcze nie wiem.

— Mieć pieniądze?

— Tak.

— Jak się nazywać?

Wymieniłem swoje nazwisko. Nieznajomy otworzył usta. Jego wąskie wargi rozwarły się, tworząc kwadrat, pozwalający zobaczyć szerokie, długie zęby. Brwi nieznajomego podjechały jeszcze bardziej w górę niż poprzednio, a koniec jego nosa kręcił się w obie strony, jakby chciał się dowiedzieć, co ten otwór pod nosem ma do powiedzenia. Potem szary jegomość sięgnął do kieszeni surduta, wyciągnął z niej notes, wertował w nim jakiś czas, a następnie wstał, zdjął kapelusz i grzecznie mi się uklonił:

— Witam sir! Znam pana!

— Pan mnie zna? Czy wolno zapytać, skąd?

— Jestem przyjacielem sir Emery Bothwella, członka Klubu Podróżników, Londyn, Near Street

47.

— Naprawdę? Pan zna sir Emery Bothwella? Gdzie on teraz przebywa?

— W podróży — tu i tam — nie wiem. Pan był z nim w Algierze?

— Istotnie.

— Polowaliście na lwy?

— Tak.

— Potem na rozbójników pustyni?

— Tak jest.

— Mieć pan czas?

— Hm! Dlaczego pan o to pyta?

— Czytałem o Babilonie, Niniwie, wykopaliskach, czcicielach szatana. Chcę tam pojechać, także wykopywać, wydobyć fowlingbulls, podarować je Muzeum Brytyjskiemu. Nie znam języka arabskiego — chciałbym wynająć myśliwych. Niech się pan do mnie przyłączy — zapłacę dobrze, bardzo dobrze!

— Czy zechciałby mi pan podać swoje nazwisko?

— Lindsay, Dawid Lindsay — tytuł niepotrzebny — mówić do mnie: sir Dawid Lindsay.

— Czy pan naprawdę zamierza znaleźć się nad Eufratem i Tygrysem?

— Tak. Mam statek, popłynę w górę rzeki, wysiądę, statek będzie czekał, lub wróci do Bagdadu, kupię konie i wielbłądy — podróżować, polować, wykopywać zabytki, podarować wszystko Muzeum Brytyjskiemu, opowiedzieć przygody w Klubie Podróżników. Czy pan iść ze mną?

— Najchętniej podróżuję sam.

— Rozumiem. Może mnie pan opuścić, kiedy zechce, dobrze zapłacę, bardzo dobrze zapłacę — tylko jechać ze mną.

— Kto jeszcze ma wziąć udział w podróży?

— Tyle osób, ile pan zechce, lecz wolałbym, żeby był tylko pan, ja i dwóch służących.

— Kiedy pan chce wyruszyć?

— Pojutrze, jutro, dzisiaj — zaraz!

Ta propozycja bardzo mi odpowiadała. Nie namyślałem się więc długo i wyraziłem zgodę. Przewornie postawiłem warunek, że w każdej chwili będę mógł pójść własną drogą. Sir Dawid zaprowadził mnie do portu, w którym stał przepiękny, mały statek, i już po upływie pół godziny zdałem sobie sprawę, że lepszego towarzysza podróży, niż ten Anglik, nie mogłem sobie życzyć. Chciał polować na lwy i rozmaite dzikie zwierzęta, odwiedzić czcicieli szatana i koniecznie wykopać fowlingbull, jak nazywał posąg skrzydlatego byka, aby go podarować Muzeum Brytyjskiemu. To były romantyczne plany, obiecujące przygody, i właśnie dlatego je zaaprobowałem. W swoich wędrówkach po świecie napotkałem jeszcze zabawniejszych dziwaków od Dawida Lindsaya.

Niestety nie pozwolił mi już wrócić i pożegnać się z Ateibehami. Wysłał do nich po moje rzeczy posłańca, któremu polecił poinformować zarazem Halefa, dokąd się udaje. Posłaniec opowiedział mi po powrocie, że Halef wybiera się w towarzystwie jednego z wojowników Ateibeha drogą lądową do Arabów z plemienia Szammar, aby podjąć pertraktacje dotyczące wcielenia Ateibehów do ich szczepu. Halef ma zamiar zabrać ze sobą mojego wielbłąda i odnaleźć mnie.

Ucieszyłem się tą wiadomością. Powierzenie tak ważnej misji Halefowi było dowodem, że szejk darzył go szczególnym zaufaniem. Wyruszyliśmy z Zatoki Perskiej, po drodze zwiedziliśmy Basrę i Bagdad, a potem, jadąc pod prąd rzeką Tygrys, dotarliśmy do miejsca, gdzie dzisiaj zarzuciliśmy kotwicę.

Powyżej miejsca, w którym zatrzymaliśmy się, wpadała do Tygrysu rzeka Zab el Asfal. Obydwa brzegi zarośnięte były dżnglą bambusową. Tymczasem zapadła już noc. Mimo to Lindsay uparł się, żeby zejść na ląd i rozbić namioty. Nie byłem z tego zadowolony, zgodziłem się jednak, nie chcąc zostawić Lindsaya samego. Załoga statku liczyła cztery osoby. Statek miał o świcie wracać do Bagdadu. Wbrew mojej radzie, żeby przenocować na statku, Anglik powziął decyzję, aby wszystko,

nawet cztery konie, które kupił w Bagdadzie, wyładować przed świtem.

— Byłoby lepiej, sir Dawidzie, gdybyśmy tego zaniechali — ostrzegałem.

— Dlaczego?

— Ponieważ łatwiej byłoby nam dokonać tego jutro, w świetle dnia.

— Równie dobrze da się to zrobić nocą — dobrze zapłacę!

— Statek jest jednak w nocy bezpieczniejszym miejscem zarówno dla nas, jak dla koni.

— Czyżby tu byli złodzieje, rozbójnicy, mordercy?

— Arabom nigdy nie można ufać. Nie jesteśmy jeszcze przygotowani na ewentualne niespodzianki.

— Nie będziemy im ufać. Przygotujemy się na wszelki wypadek — mamy przecież strzelby.

Każdy łotr zostanie zastrzelony.

Lindsay nie dał się odwieść od swojego postanowienia. Dopiero po dwóch godzinach ukończyliśmy pracę. Rozbiliśmy dwa namioty.

Pomiędzy nimi a brzegiem rzeki przywiązaliśmy do palików konie. Po kolacji poszliśmy spać. Ja miałem pierwszą wachtę, dwaj służący drugą i trzecią, a Lindasy czwartą. Noc było piękna. Przed nami szumiała rzeka, a za nami widać było szczyt góry Khanuke. Poświata rozgwieżdżonego nieba oświetlała okolicę wystarczająco, lecz ziemia, na której stałem, była mimo to zagadką. Jej przeszłość można by przyrównać do fal Tygrysu, znikających dołem w cieniu dżungli. Myślałem o Asyrii, Babilonii i Chaldei, ich olbrzymich miastach i narodach, które je zamieszkiwały, lecz wspomnienia te podobne były do snu, którego szczegóły zatarły się w pamięci.

Kiedy czas mojej warty się skończył, obudziłem jednego ze służących i udzieliłem mu odpowiednich rad i wskazówek. Miał na imię Bill, był Irlandczykiem i sprawiał wrażenie, jakby siła jego mięśni przewyższała trzydziestokrotnie jego zdolności umysłowe. Słuchając moich rad, uśmiechał się chytrze, a potem zaczął się przechadzać tam i z powrotem. Zasnąłem.

Obudziło mnie szarpanie za rękaw. Przede mną stał Lindsay w swoim popielatym garniturze w kratkę, którego postanowił nie zdejmować nawet na pustyni.

— Sir, niech się pan obudzi! Skoczyłem na równe nogi i spytałem:

— Czy coś się stało?

— Hm, tak!

— Co?

— Przykro!

— Ale co takiego?

— Konie znikły!

— Konie? Urwały się z kołków?

— Nie wiem.

— Czy były jeszcze, kiedy pan obejmował wartę?

— Były!

— Ale pan ich przecież pilnował?

— Naturalnie!

— W którym miejscu pan się ulokował?

lokował Tam.

Sir Dawid wskazał samotny pagórek, dość odległy od naszych namiotów.

— Tam? Dlaczego tam?

— To wzgórze kryje zapewne ruiny — poszedłem tam, myśląc o fowlingbullu.

— A kiedy pan wrócił, fowlingbulls nie było.

— Właśnie.

Poszedłem sprawdzić paliki. Wisiały na nich jeszcze końce sznurów; zwierzęta zostały po prostu odcięte.

— Nie zerwały się same, lecz je bez wątpienia skradziono — wyjaśniłem.

Lindsay ułożył wargi w czworobok i roześmiał się wesoło.

— Kto je skradł? — Złodzieje.

Na twarzy Anglika rozlała się radość.

— Bardzo dobrze, złodzieje, gdzie oni są? Jak się nazywają?

— Czyżbym to mógł wiedzieć?

— No, ja także nie, pięknie, bardzo ładnie. Oto przygoda!

— Od chwili kradzieży nie upłynęła jeszcze nawet godzina. Poczekajmy mniej więcej pięć minut, wówczas będzie już dość jasno, żeby można było odnaleźć ślady rabusiów.

— Pięknie, wybornie! Pan był przecież myśliwym na prerii, znaleźć ślady, jechać za złodziejami, zastrzelić. Wspaniała rozrywka, dobrze zapłacę, bardzo dobrze!

Lindsay wszedł do swojego namiotu, żeby się przygotować do drogi. Wkrótce, w bladym świetle brzasku, odkryłem ślady sześciu ludzi. Powiadomiłem o tym Anglika.

— Sześciu? Nas ilu?

— Tylko dwóch. Dwie osoby muszą zostać przy namiotach, a statek też przecież pozostaje na przystani do naszego powrotu.

— Dobrze! Rozkazać i zaraz ruszamy!

— Czy pan dobrze biega, czy mam zabrać ze sobą Billa?

— Po co Billa? Dlaczego ja przybyć nad Tygrys? Przygody! Biegam dobrze, biegam jak jeleni!

Po wydaniu przez nas zarządzeń, Lindsay zarzucił sobie na ramię swoją zagadkową motykę wraz z fuzją i pospieszył za mną. Należało dogonić złodziei, zanim połączą się z większą grupą rabusiów. Zaproponowałem więc, żebyśmy pobiegli zwawym kłusem. Długie nogi mojego towarzysza w kraciastych spodniach trzymały się dzielnie obok mnie. Było prawdziwą przyjemnością biec z nim.

Była wiosna. Grunt nie przypominał więc pustyni, lecz łąkę, na której kwiaty rosły bujnie całymi pękami, a nawet w kształcie krzaczków. Przebiegliśmy zaledwie mały kawałek drogi, a już nasze nogawki pokryły się żółtym pyłkiem kwiatowym. Dzięki takiej wysokości roślin, można było wyraźnie rozpoznać ślady. Zaprowadziły nas one nad jeden z dopływów Tygrysu. Rzeczka brała swój początek w obrębie góry Khanuke i płynęła dość wartkim nurtem. Ślady, którymi podążaliśmy, doprowadzały nas do miejsca stratowanego końskimi kopytami. Po dokładnym zbadaniu tego miejsca okazało się, że dalej szły już ślady nie czterech, lecz sześciu koni. Dwóch z sześciu osobników musiało zatem biec do tego miejsca i dopiero stąd wszyscy odjechali konno. Tutaj widocznie ukryte były konie. Lindsay był rozczarowany.

— Marnie, można się wściec!

— Z jakiego powodu?

— Uciekną nam!

— Dlaczego?

— Wszyscy mają teraz konie; my jesteśmy skazani na własne nogi.

— Ba! Dogonimy ich, jeżeli pan wytrzyma. Ale to nawet nie jest konieczne. Nie wystarczy śledzić i obserwować, trzeba również myśleć.

— Dobrze. Niech pan więc myśli.

— Jak pan sądzi, czy ci ludzie przypadkowo trafili do naszego obozowiska?

— Hm.



— Może tak, a może i nie. Wydaje mi się, że ta banda koniokradów towarzyszyła łądem naszemu statkowi, który co wieczór przybijał do brzegu. Jeśli przyjmiemy, że tak było, to ich ślady tylko chwilowo prowadzą na zachód, ponieważ muszą przepłynąć się przez te rzekę, a przy wysokim stanie wody nie mają odwagi wprowadzić w nurt nieznanymi sobie koni.

— A więc oni muszą iść okrężną drogą?

— Zapewne poszukają brodu lub jakiegoś lepszego przejścia i zawrócą w kierunku, w jakim podążali poprzednio.

— Pięknie, dobrze, bardzo dobrze!

Sir Dawid zrzucił z siebie ubranie i stanął nad brzegiem rzeki.

— Ależ sir Dawidzie, czy pan tak dobrze pływa?

— Tak.

— To wcale nie jest takie bezpieczne, jeśli się chce zachować ubiór i broń w suchym stanie. Niech pan skręci ze swego ubrania turban i owinie go sobie wokół kapelusza.

— Dobrze, bardzo dobrze, tak zrobię.

Ja również zwinąłem swoje ubranie i okręciłem je sobie wokół głowy. Weszliśmy do wody. Anglik był naprawdę równie dobrym pływakiem, jak wytrzymałym biegaczem. Przedostaliśmy się szczęśliwie na drugi brzeg rzeki i włożyliśmy z powrotem nasze ubrania.

Lindsay podporządkował się całkowicie mojemu przewodnictwu. Biegliśmy jeszcze mniej więcej dwie mile angielskie na południe, potem zoczyliśmy na zachód, gdzie ze wzgórz można było wzrokiem sięgnąć daleko. Weszliśmy na jedną z gór i rozejrzeliśmy się wokoło. Jak daleko okiem sięgnąć, nie było widać żywego ducha.

— Nothing! Nic, nikogo, marnie.

— Hm, ja także nic nie widzę.

— Mamy zawsze jeszcze możliwość złapania złodziei nad rzeczką. Nie zawrócę prędzej, dopóki nie odzyskam swoich czterech koni.

— Musimy je znaleźć. Ale pan musi pilnować swojego mienia.

— Mojego mienia? Ba! Jeśli zginie, ja kupię nowe, przygodę chętnie płacić, bardzo dobrze.

— Uwaga! — przerwałem Lindsayowi. — Czy tam coś się nie porusza?

— Gdzie?

Wskazałem ręką kierunek. Lindsay rozwarł szeroko oczy, rozdziawił usta i stanął w rozkroku. Jego nozdrza poruszały się. Wyglądało, jakby jego nos posiadał dar widzenia lub przynajmniej przeczuwania czegoś na odległość.

— Rzeczywiście — powiedział — ja także widzę.

— Coś się ku nam zbliża.

— Tak. Jeśli są, to wszystkich zastrzelę.

— Sir Dawidzie, to przecież ludzie!

— Złodzieje! Muszą być martwi, koniecznie martwi!

— To bardzo mi przykro, lecz muszę pana opuścić.

— Opuścić? Dlaczego?

— Bronię się, jeśli mnie ktoś zaatakuje, ale nie morduję nikogo bez potrzeby. Sądzę, że pan jest Anglikiem?

— Tak! Anglikiem! Nie będę zabijał, tylko zabiorę konie.

— Zdaje się, że to naprawdę te koniokrady.

— Tak. Widać dziesięć punktów na horyzoncie — zgadza się.

— Czterech pieszych i sześciu konno.

— Hm! Pan dobry myśliwy prerii. Miał rację. Sir Emery dużo opowiadał. Zostać przy mnie, ja dobrze płacić, bardzo dobrze!

— Czy pan dobrze strzela, sir Dawidzie?

— Hm, dość dobrze.

— To chodźmy stąd, żeby nas nie zauważyli. Musimy ich zaskoczyć między tą górą a rzeką. Posuńmy się jeszcze dziesięć minut dalej na południe; wzgórze podchodzi tam tak blisko do rzeki, że przeciwnikom nie uda się stamtąd uciec.

Zbiegliśmy szybko z góry i wkrótce dotarliśmy do miejsca, które wskazałem. Brzeg rzeki zarośnięty był sitowiem i bambusami, a u stóp góry rosły mimoza i wysokie krzaki piołunu. Mieliśmy więc dogodne warunki, żeby się ukryć.

— Co teraz? — spytał Anglik.

— Pan się schowa w trzcinie i przepuści złodziei. U wylotu tego przewężenia wejdę za mimozy, a kiedy złodzieje znajdą się pomiędzy nami, obaj wyjdziemy równocześnie z ukrycia. Tylko ja będę strzelał, bo może lepiej umiem zastosować się do okoliczności, a pan użyje broni jedynie na mój rozkaz, lub wtedy, kiedy pańskie życie zostanie poważnie zagrożone.

— Dobrze, dobrze, bardzo dobrze, wspinała przygoda!

Sir Dawid znikł w sitowiu, a ja się również ukryłem. Wkrótce usłyszeliśmy odgłosy kopyt końskich. Nie podejrzewając zasadzki, złodzieje minęli Lindsaya, nie obejrzawszy się nawet. Anglik wynurzył się z trzciny, wyszedłem więc również z ukrycia. Arabowie osadzili konie. Fuzję miałem przewieszoną przez ramię i tylko sztucer trzymałem w ręku.

— Es selam 'alejkum! — odezwałem się.

To przyjazne pozdrowienie zbiło złodziei z tropu.

— Alejk... — odrzekł jeden z nich. — Co tu robisz?

— Czekam na swoich braci, którzy mają mi pomóc.

— Pomóc? W czym?

— Widzisz, że jestem bez konia. Jakżeż mam przejść pustynię? Ty masz cztery zwierzęta zbędne. Czy nie zechciałbyś mi sprzedać jednego z nich?

— Nie sprzedajemy tych koni.

— Jesteś wyznawcą i ulubieńcem Allaha. Więc tylko dlatego nie chcesz mi sprzedać konia, bo twoje dobre serce nakazuje ci podarować mi go.

— Niech Allah uleczy twój rozum! Ani mi się śni, darować ci konia.

— O wzorze miłosierdzia! Będiesz kiedyś zażywał czterokrotnie więcej rajskich rozkoszy, gdyż chcesz mi, jak mniemam, ofiarować nie tylko jednego, lecz cztery konie, bo tyle potrzebuję.

— Allah kerim! Allah jest łaskawy! Ten człowiek chyba naprawdę zwariował,

— Pomyśl, mój bracie, że wariaci biorą sobie po prostu to, czego im się nie daje dobrowolnie. Obejrzyj się! Może tamtemu oddasz, czego mi odmawiasz.

Teraz dopiero, ujrzawszy Anglika, Arabowie zorientowali się w sytuacji. Nastawili lance.

— Czego chcecie? — padło pytanie.

— Nasze konie, które ukradliście nam o świcie.

— Ty naprawdę oszalałeś! Gdybyśmy wam te konie zabrali, to nie moglibyście nas dogonić piechotą.

— Tak sądzisz? Dobrze wiecie, że te cztery konie są własnością Franków, którzy przybyli statkiem. Jak możecie przypuszczać, że Frankowie dadzą się bezkarnie okraść i że nie są od was sprytniejsi! Wiedziałem, że nad rzeką będziecie musieli nadłożyć drogi, przepłynęliśmy więc rzekę i wyprzedziliśmy was. Wy natomiast daliście się zwieść. Pragnę uniknąć przelewu krwi, dlatego

proszę was, żebyście nam dobrowolnie oddali nasze konie. Potem możecie odejść w spokoju, dokąd chcecie. Złodziej roześmiał się.

— Was jest dwóch, a nas sześciu.

— Dobrze! Niech więc każdy postąpi według swojej woli! — Zejdź z drogi! — zagroził Arab.

Nastawił przy tym lancę, ozdobioną strusimi piórami, i natarł na mnie koniem. Podniosłem sztucer. Padł strzał; jeździec runął wraz z wierzchowcem na ziemię. Nie potrzebowałem nawet minuty, żeby jeszcze pięciokrotnie wycelować i pociągnąć za spust. Dalszych pięć koni leżało na ziemi i tylko nasze, które sprzęgnięto, były nie uszkodzone. Arab, który je poprzednio trzymał, wypuścił linę z rąk. Skorzystaliśmy z zamieszania, dosiedliśmy koni i oddaliliśmy się galopem.

Za nami słychać było wściekłe krzyki Arabów. Nie przejmowaliśmy się tym. Zadowoleni z wyniku spotkania, doprowadziliśmy uprzęż koni do porządku.

— Znakomicie, wspaniale, co za piękna przygoda, warta stu funtów! Nas dwóch, ich sześciu — oni nam zabrali cztery konie, my im sześć. Wyśmienicie. Fantastycznie! — cieszył się Lindsay.

— Mamy szczęście, że tak się zakończyła ta przygoda, sir Dawidzie. Gdyby nasze konie się spłoszyły, to by nam się nie udało tak szybko umknąć i łatwo mogły nas dosięgnąć kule tych zbójów.

— Pojedziemy okrężną drogą, czy prosto?

— Prosto. Znamy nasze konie. Przeprowa przez rzekę musi się udać.

Dotarliśmy dość szybko do namiotów i wkrótce po naszym powrocie statek odbił od brzegu, kierując się do Bagdadu. Pozostaliśmy sami na pustyni.

Lindsay chciał zabrać ze sobą spory bagaż i dużo żywności, lecz odwiodłem go od tego zamiaru. Kto chce poznać jakiś kraj, musi się zadowolić tym, co ten kraj posiada. Byliśmy zresztą wystarczająco zaopatrzeni w broń i amunicję, co było najważniejsze, a poza tym Anglik rozporządzał takim zapasem pieniędzy, że wystarczyłoby ich na pokrycie kosztów kilku lat podróży.

— Teraz sami nad Tygrysem — stwierdził Lindsay. — Zaraz kopać w poszukiwaniu fowlingbulls i innych zabytków starożytności!

Pocziwiec naczytał się zapewne i nasłuchiwał o wykopaliskach pod takimi miejscowościami jak Khorsabad, Kara Kojunli, Hamman Ali, Nimrud, Eski Kusza i El Hadr, i dlatego wpadł na pomysł, żeby wzbogacić Muzeum Brytyjskie nowymi znaleziskami i zyskać w ten sposób sławę.

— Nie można tak po prostu zabrać się do kopania.

— Dlaczego nie? Mam ze sobą motykę.

— Tą motyką niewiele będzie pan mógł zrobić. Kto tutaj chce kopać, musi się wpięrw porozumieć z tutejszym rządem.

— Rządem? Jakim?

— Tureckim.

— Ba! Czy Niniwa należała do Turków?

— Oczywiście nie, gdyż wówczas nie było jeszcze mowy o Turkach. Jednak ruiny tego miasta należą teraz do tureckiego obszaru państwowego, chociaż ramię sułtana nie jest tu zbyt potężne. Właściwymi panami tego terytorium są arabskie plemiona nomadów i kto tutaj chce kopać, musi wpięrw z nimi nawiązać przyjazne stosunki, w przeciwnym razie nie będzie pewien ani swego mienia, ani swego życia. Dlatego też prosiłem, żeby pan zabrał ze sobą podarunki dla naczelników plemion.

— Te jedwabne szaty?

— Tak. Są tu najbardziej poszukiwane. Poza tym są lekkie i nie zajmują dużo miejsca w podręcznym bagażu.

— Dobrze. To nawiązać przyjazne kontakty — ale zaraz, natychmiast, dobrze?

— Zgadzam się. Pytanie tylko, któremu z szejków należy najpierw złożyć wizytę.

— Zgadnąć!

— Najpotężniejsze plemię na tym terytorium zwie się Esz Szammar. Ma ono swoje pastwiska daleko stąd, na południowych stokach gór Sindzar i na prawym brzegu północnej części uestu Tharthar.

— Jak daleko jest stąd do gór Sindzar?

— Dalej niż wynosi jeden cały stopień szerokości geograficznej. Prawie dwieście kilometrów.

— Bardzo daleko. Jacy Arabowie mieszkają tu poza tym?

— Obeidowie, Abu Selman, Abu Ferhan i inni. Nie można jednak dokładnie ustalić, gdzie tych hord szukać, ponieważ ciągle wędrują. Z chwilą, gdy ich trzody spasa jedno miejsce, zwija się namioty i wędruje dalej. Poszczególne plemiona często są do siebie wrogo usposobione. Muszą się więc wzajemnie omijać, a to w znacznej mierze przyczynia się do tego, że nigdzie długo nie zagrzewają miejsca.

— Piękne życie, dużo przygód, dużo ruin znaleźć, sporo wykopalisk. Wspaniale, znakomicie!

— Najlepiej będzie udać się na pustynię i pierwszego napotkanego Beduina zapytać o siedzibę najbliższego plemienia.

— Dobrze, dobrze, bardzo ładnie! Jechać zaraz i pytać.

— Dziś jeszcze możemy tu pozostać.

— Pozostać i nie kopać? Nie. Wykluczone. Zwinąć namioty i odjechać!

Nagiąłem się do woli Lindsaya, gdyż po namyśle doszedłem do wniosku, że lepiej opuścić jak najprędzej miejsce, w którym nas okradziono. Zwinęliśmy więc lekkie namioty i objuczyliśmy nimi konie naszych służących. Dosiedliśmy wierzchowców i wyruszyliśmy w kierunku jeziora Sabaka.

To była wspaniała jazda przez ukwiecony step. Każdy krok konia wzbijał całą gamę cudownych zapachów. Nawet najmiększej i najsoczystszej sawanny Ameryki Północnej nie można porównać z tą okolicą. Kierunek okazał się szczęśliwie przez nas obrany, gdyż już po godzinie ujrzeliśmy jeźdźców galopujących wprost na nas. Wyglądali wspaniale w swoich rozwianych płaszczach i powiewających strusich piórach. Zbliżali się z głośnym krzykiem.

— Oni wrzeszczą. Czy będą nas kłuć lancami? — spytał Anglik.

— Nie. To rodzaj powitania u Arabów. Kto przy tym okaże trwogę, uważany jest za tchórze.

— Dobrze. Nie będziemy tchórzami!

Lindsay dotrzymał słowa. Nie drgnęła mu nawet powieka, kiedy jeden z Arabów wycelował ostry koniec swojej lancy wprost w jego pierś i zboczył dopiero, ściągając koniowi lejce, kiedy ostrze dzidy dotykało niemal Anglika.

— Es selam 'alejkum! Dokąd się wybieracie? — pozdrowił nas jeden z Arabów.

— Marhaba! Witajcie! — odpowiedziałem. — Z jakiego jesteś plemienia?

— Z plemienia Haddedińów, które należy do wielkiego narodu Szammar.

— Jak się nazywa twój szejk?

— Mohammed Emin.

— Czy obozuje daleko stąd?

— Jeśli chcecie jechać do niego, będziemy wam towarzyszyć. Haddedińowie zawrócili i przyłączyli się do nas. Podczas gdy my — służący za nami — siedzieliśmy w siodłach, zachowując postawę pełną godności, Arabowie galopowali wokół nas, zataczając dalekie koła, aby się pochwalić swoją jeździecką sztuką. Ich główna umiejętność polega na osadzeniu konia w pełnym galopie. W ten sposób jednak męczą zwierzęta i szybko je zajeżdżają. Sądzę też, że Indianie na swoich mustangach przewyższają ich w sztuce jeżdżenia pod każdym względem. Anglikowi podobała

się popisowa jazda tych ludzi.

— Wspaniale! Hm, tak nie potrafię — skrzyłbym przy tym kark.

— Widziałem lepszych jeźdźców.

— Ach! Gdzie?

— Jazda na niepodkutym koniu w amerykańskiej puszczy, po zamrożonej rzece lub w kamienistym kanionie, jest jednak czymś zupełnie innym.

— Hm. Udam się także do Ameryki, jeździć konno przez puszcę, po skutej lodem rzece, przez kaniony, piękna przygoda, wybornie! Co mówili ci ludzie?

— Pozdrowili nas i pytali o cel naszej jazdy. Zaprowadzą nas do swojego szejka. Nazywa się Mohammed Emin i jest przywódcą Haddedihnow.

— Czy to dzielni ludzie?

— Ci mężczyźni uważają się wszyscy za dzielnych i są też nimi do pewnego stopnia. Zresztą to nie dziwota. Kobiety muszą się zajmować wszystkimi pracami, a mężczyźni nic nie robią, tylko jeżdżą konno, palą fajki, rabują, walczą, plotkują i leniuchują.

— Piękne życie, wspaniałe; chciałbym być szejkiem, dużo wykopywać, znaleźć niejednego fowlingbull i posłać do Londynu, hm!

Stopniowo napotykalismy grupki Arabów, których liczba przed nami stale rosła. Zbliżalismy się więc do Haddedihnow. Większa ich część była jeszcze w drodze. Niełatwo opisać widok, jaki przedstawia arabskie plemię, wędrujące do nowego miejsca wypasu. Przewędrowałem przedtem Saharę wzdłuż i wszerz oraz część Arabii i poznałem przy tym wiele plemion zachodnich Arabów. Tu jednak przedstawiał się moim oczom zupełnie inny obraz. Odmienność, cechującą oazy Sahary i „biblijnego kraju” Senaar, można zaobserwować w sposobach życia i we wszelkich stosunkach panujących wśród ich mieszkańców. Jechalismy tu niemal po bezkresnej łące, w niczym niepodobnej do oaz Zachodu. Był to raczej olbrzymi kobierzec sawanny, utkany z samych kwiatów. Nie szalał tu chyba nigdy straszny samum, nie było widać śladu wędrujących wydm, ani wyschniętych, poprzerzynanych rozpadlinami uedów i nie można sobie tutaj wyobrazić fatamorgany, zwodzącej zmęczonego, samotnego wędrowca. Cała rozległa równina okryta była wonną roślinnością i na ludziach również nie było znać owej chandry pustynnej, która na zachód od Nilu opanowuje niemal każdego podróżnika.

Odcień barwy, dominujący na powierzchni tego kolorowego łąnu, bynajmniej nie przypominał palącego, a przy tym krwistoburego i śmiercionośnego, światła wielkiej, pustyni.

Znajdowaliśmy się pośrodku stada, liczącego tysiące owiec i wielbłądów. Jak daleko okiem sięgnąć — na prawo i lewo, przed i za nami falowało morze pasących się i wędrujących zwierząt. Widzieliśmy długie rzędy wołów i osłów, objuczonych czarnymi namiotami, barwnymi dywanami, ogromnymi kotłami i rozmaitym sprzętem. Na szczytach stert wszelakiego dobra ulokowano starców, zarówno kobiety jak i mężczyzn, niezdatnych już do utrzymania się w siodle o własnych siłach. Niektóre zwierzęta niosły na grzbiecie małe dzieci w koszach, tak przymocowanych do siodła, że widać było tylko wystające dziecięce główki. Dla równowagi z drugiego boku zwierzęcia zwisał kosz z jagniętami i kozłętami, które becząc tak samo wyzierały z kosza. Za zwierzętami szły dziewczęta, odziane tylko w koszule, które na modłę arabską ciasno przylegały do ciała, matki z dziećmi na plecach, chłopcy popędzający trzody, mężczyźni, którzy siedząc na wielbłądach prowadzili swoje szlachetne konie, trzymając je za cugle, i wreszcie liczni jeźdźcy uzbrojeni w lance ozdobione pióropuszcami, zaganiający na równinie zwierzęta wybiegające z pochodu.

Dziwny widok przedstawiały wielbłądy, przeznaczone do noszenia wytwornych kobiet. Na Saharze często widywałem wielbłądy, niosące niewiasty w koszach podobnych do kołyski, lecz takiego urządzenia jak tutaj, nigdzie nie napotkałem. W poprzek grzbietu wielbłąda kładzie się dwa długie drągi, których zagięte końce związuje się skórzanymi paskami lub sznurami. Ta rama, ozdobiona różnobarwnymi wełnianymi frędzlami, obwieszona sznurami muszli i pereł, tak samo jak siodło i rzemienie, wystaje poza obydwie boki wielbłąda. Na garbie zwierzęcia znajduje się „domek” zbudowany z listew okrytych tkaniną, podobny do strażniczej budki, obwieszony również różnymi frędzlami. W tej wieży siedzi niewiasta. Cała konstrukcja osiąga znaczną wysokość i kiedy ukazuje się na widnokręgu, można by, na skutek kołyszącego chodu wielbłąda, wziąć ją za ogromnego motyla lub za monstrualną ważkę, podnoszącą i opuszczającą skrzydła.

Nasze pojawienie się wywoływało w każdej grupie, którą mijaliśmy, sensację. Ja może wzbudzałem mniej zainteresowania, natomiast z wyglądu sir Dawida Lindsaya i jego służących można było na pierwszy rzut oka domyślić się Europejczyków. Lindsay, w kraciastym garniturze, musiał zapewne bardziej rzucać się w oczy niż Arab, który znalazłby się w swoim malowniczym stroju na placu w Monachium czy w Lipsku. Przewodnicy, jadący przed nami, podprowadzili nas pod duży namiot, przed którym tkwiło w ziemi wiele dzid. Był to namiot szejka. Wokół tego namiotu rozbijano właśnie inne. Przed namiotem szejka jeźdźcy zeskoczyli z koni i weszli do środka. Wkrótce wyszli w towarzystwie czcigodnego starca, który miał postawę i wygląd prawdziwego patriarchy. Tak zapewne musiał wyglądać Abraham, kiedy wychodził ze swojego domu pod Hebronem, aby powitać przybyłych doń gości. Starzec, który wyszedł do nas z namiotu, miał śnieżnobiałą brodę, sięgającą mu aż do piersi, mimo to nie robił wrażenia człowieka osłabionego wiekiem, lecz wyglądał tak, jakby jeszcze każdej dolegliwości mógł mężnie stawić czoła. Czarne jego oczy lustrowały nas niezbyt uprzejmie. Wzniósł rękę do serca, pozdrawiając nas jednym słowem: Selam!

W ten sposób muzułmanin wita niewiernego, który do niego przybywa; natomiast każdego muzułmanina wita słowami: Es selam 'alejku.

— Alejku! — odpowiedziałem i zeskoczyłem z konia. Szejk spojrział na mnie badawczo i zapytał:

— Czy jesteś muzułmaninem, czy gjaurem?

— Od kiedy to syn szlchetnego plemienia Szammarów przyjmuje swoich gości takim pytaniem?  
— odparłem. — Czy w Koranie nie, jest powiedziane: „Nakarm obcego i ugaś jego pragnienie; pozwól mu spocząć, nie pytając go skąd przybywa, ani dokąd się udaje!” Niech ci Allah wybaczy, że witasz gości jak turecki policjant!

Szejk uczynił zaprzeczający ruch ręką i oświadczył:

— Szammarowie i Haddedihowie każdego przybysza chętnie widzą i serdecznie witają, prócz kłamców i zdrajców.

— Kogo masz na myśli? — spytałem.

— Ludzi, którzy przybywają z zagranicy, by podjudzać paszę przeciwko synom pustyni. Po co królowej angielskiej potrzebny jest wicekonsul w Mosulu?

— Ci trzej mężczyźni nie należą do konsulatu. Jesteśmy zmęczonymi wędrowcami i nie pragniemy niczego poza łykiem wody dla siebie i niewielką ilością daktyli dla naszych zwierząt.

— Jeśli nie należycie do konsulatu, otrzymacie wszystko, czego sobie życycie. Wejdźcie, serdecznie was witam!

Przywiązaliśmy nasze konie do dzid sterczących przed namiotem i weszliśmy do środka. Poczęstowano nas wielbłądzim mlekiem. Do jedzenia otrzymaliśmy tylko cienki, twarde i na pół spalony jęczmienny placek. Oznaczało to, że szejk nie uważa nas za gości. Podczas gdy posilaliśmy się tą skąpą strawą, szejk przyglądał się nam nieufnie, bez słowa. Musiał widocznie mieć ważne powody, żeby obcym nie ufać. Z jego twarzy można było jednak wyczytać, że chciałby się o nas czegoś bliższego dowiedzieć:

Lindsay rozejrzał się po namiocie i spytał mnie:

— Zły człowiek, prawda?

— Tak się zdaje.

— Wygląda tak, jakby nas chciał pożreć. Co powiedział?

— Szejk pozdrowił nas jak niewiernych. Nie jesteśmy jeszcze jego gośćmi i musimy się mieć na baczności.

— Nie jesteśmy jego gośćmi? Przecież jemy i pijemy u niego.

— Mohammed nie podał nam chleba własną ręką, a soli nie dał nam wcale. Wywnioskował, że pan jest Anglikiem, a on zdaje się Anglików nienawidzić.

— Dlaczego?.

— Nie wiem.

— Trzeba zapytać!

— Nie można. Byłoby to nieuprzejmie z naszej strony. Sądzę jednak, że sprawa się wyjaśni.

Kiedy spożyliśmy naszą skromną przekąskę, wstałem z miejsca.

— Dałeś nam jeść i pić, Mohammedzie Eminie. Dziękujemy ci i nie zapomnimy twojej gościnności. Będziemy ją chwalić wszędzie, dokąd zajedziemy. Bywaj zdrow! Allah niech błogosławi cię i twoich bliskich!

Tak szybkiego pożegnania szejk się nie spodziewał.

— Dlaczego chcecie mnie już opuścić? Zostańcie i wypocznijcie!

— Pójdziemy, gdyż nie przyświeca nam słońce twojej łaski.

— Mimo to jesteście bezpieczni w moim namiocie.

— Tak sądzisz? Nie jestem pewien bezpieczeństwa w namiocie Araba z plemienia Szammarów.

Mohammed Emin zrobił ruch ręką ku sztyletowi.

— Chcesz mnie obrazić?

— Nie. Chcę tylko wyjawić swoje myśli. Namiot Szammara nie jest pewnym schronieniem nawet

dla gościa, a co dopiero dla osób, których się za gości nie uważa.

— Czy mam cię przebić sztyletem? — zagroził szejk. — Czy zdarzyło się kiedykolwiek, żeby Szammar złamał zasady gościnności?

— Niestety, te zasady zostały złamane nie tylko wobec obcych, lecz nawet w stosunku do własnego plemienia.

To, co wypowiedziałem, było oczywiście okropnym oskarżeniem. Uważałem jednak, że nie muszę być grzeczny dla człowieka, który potraktował nas jak żebraków.

— Nie zabijesz mnie, szejku — kontynuowałem — gdyż po pierwsze powiedziałem prawdę, a po drugie mój sztylet trafiłby cię prędzej niż twój mnie.

— Udowodnij, że mówisz prawdę!

— Opowiem ci pewną historię. Wysłuchaj jej uważnie! Istniało duże, potężne plemię, w skład którego wchodziły mniejsze plemiona. Tym potężnym plemieniem rządził wielki, dzielny szejk, którego sercem owładnęły jednak chytrość i fałsz. Jego pobratymcy byli z niego niezadowoleni i zaczęli przechodzić do wodza jednego z mniejszych plemion. Wówczas wielki szejk zaprosił tego wodza przez posłańca na radę. Wódz jednak nie przybył. Szejk wysłał więc po niego własnego syna. Ten był odważny i lubił prawdę. Powiedział wodzowi: „Chodź ze mną! Przysięgam na Allaha., że będziesz bezpieczny w namiocie mego ojca. Ręczę ci za to swoim życiem!” Wódz odrzekł mu: „Nie poszedłbym do twojego ojca, nawet gdyby tysiącrotnie przysięgał, że mi włos z głowy nie spadnie. Tobie jednak wierzę i na dowód, że ci ufam, pójdę z tobą bez obstawy”. Wsiedli na konie i pojechali. Kiedy weszli do namiotu, było tam pełno wojowników. Gościa poproszono, by usiadł u boku wielkiego szejka. Przyjęto go poczęstunkiem i zapewnieniem o gościnności. Po uczcie jednak został napadnięty. Syna szejka, który chciał go ratować, obezwładniono. Stryj szejka pociągnął gościa ku sobie, zwalając go z nóg, i ścisnął mu głowę kolanami. Unieruchomionemu odcięto głowę nożami, jak owcy. Syn szejka rozdarł swoje szaty i robił ojcu gorzkie wyrzuty. Musiał jednak uciec z obozu, w przeciwnym razie zostałby zapewne również zamordowany. Czy znasz tę historię, szejku Mohammedzie Eminie?

— Nie znam. Taka historia nie mogła się zdarzyć.

— Zdarzyła się, i to w twoim plemieniu. Zdradzony nazywał się Nedszris, syn szejka — Ferhan, stryj — Hadszar, a zdradzieckim szejkiem był sławny szejk Sofuk z plemienia Szammarów.

— Skąd znasz te nazwiska? Nie należysz do Szammarów ani Obeidów, ani też do plemienia Abu Selman. Mówisz językiem zachodnich Arabów, a twoja broń niepodobna jest do broni ludzi zamieszkałych między Eufratem i Tygrysem. Od kogo dowiedziałeś się o tej sprawie?

— Hańba plemienia nabiera tak samo rozgłosu, jak sława narodu. Wiesz, że mówiłem prawdę. Jak mogę ci więc ufać? Jesteś Haddediennem, a Haddediennowie należą do Szammarów. Odmówiłeś nam gościny. Pójdziemy więc.

Szejk podniósł rękę na znak protestu.

— Ty jesteś wolny. Ci niewierni powinni jednak zapłacić dzisijeh, zanim odejdą.

— Nie zapłacą, gdyż znajdują się pod moją opieką.

— Oni nie potrzebują twojej opieki, gdyż tę roztacza nad nimi konsul. Oby go Allah zniszczył!

— Konsul jest twoim wrogiem?

— Jest moim wrogiem. Namówił namiestnika Mosulu, żeby uwięził mojego syna. Pasza podjudził plemiona Obeidów, Abu Hammed i Dżowari przeciwko mnie, aby mi zrabowali trzody i połączyli się celem zniszczenia całego mojego plemienia.

— To zwołaj resztę plemion Szammarów na pomoc!

— Nie mogą przybyć, gdyż namiestnik zebrał wojska, żeby zawojowały ich pastwiska u stóp gór



Sindzar. Jestem zdany na siebie samego Niech nas Allah ma w swej pieczy!

— Mohammedzie Eminie, słyszałem, że plemiona Obeidów, Abu Hammed i Dżowari są rozbójnikami. Nie darzę ich sympatią; jestem przyjacielem Szammarów. Są najszlachetniejszymi i najdzielniejszymi Arabami, jakich znam. Życzę ci, żebyś pokonał wszystkich swoich wrogów.

W moich słowach bynajmniej nic kryło się pochlebstwo; przeciwnie, byłem przekonany, że tak jest istotnie. Widocznie w moim głosie zabrzmiała nuta szczerości, gdyż zauważyłem, że moja wypowiedź wywarła na Eminie miłe wrażenie.

— Więc rzeczywiście jesteś przyjacielem Szammarów?

— Tak, i boleję nad tym, że posiano między nimi ziarno niezgody, na skutek czego ich potęga została niemal złamana.

— Złamana? Allah jest wielki, a Szammarowie są jeszcze dość dzielni, aby walczyć ze swoimi przeciwnikami. Kto ci o nas opowiedział?

— Czytałem i słyszałem o was już dość dawno. Ostatnią wiadomość zdobyłem jednak u Ateibehów.

— Co? — zapytał zdziwiony. — Byłeś u Ateibehów?

— Tak.

— Są liczni i potężni, lecz ciąży na nich klątwa.

— Masz na myśli szejka Maleka, który został wykluczony z plemienia?

Mohammed Emin zdumiał się posiadanyymi przeze mnie wiadomościami.

— Allah akbar, znasz Maleka, mojego przyjaciela i brata?

— Znam go i jego ludzi.

— Gdzie ich spotkałeś?

— Natknąłem się na nich w pobliżu Dżiddy i przemierzyłem z nimi Półwysep Arabski i pustynię Ad Dahna w kierunku Maskatu.

— Znasz ich więc wszystkich?

— Tak jest. Wszystkich.

— Czy znasz także — wybacz, że mówię o kobiecie, lecz ją należy uważać raczej za mężczyznę — Amszę, córkę Maleka?

— Znam ją. Była żoną Abu Seifa i zemściła się na nim.

— Dokonała więc swojej zemsty?

— Tak, Abu Seif nie żyje. Hadzi Halef Omar, mój sługa, zabił go i za to otrzymał Hanneh, córkę Amszy, którą poślubił.

— Twój sługa? To nie jesteś zwykłym wojownikiem?

— Jestem Niemcem i podróżuję przez liczne kraje, szukając przygód.

— Ach, teraz rozumiem. Postępujesz jak Harun al Raszid, jesteś szejkiem i wyruszyłeś w świat, żeby szukać przygód i okazji do potyczek. Twój sługa zabił potężnego „ojca szabli” Ty, jako jego pan, musisz więc być jeszcze większym bohaterem. Gdzie znajduje się ten zacy Hadzi Halef Omar?

Nie zamierzałem zaprzeczać pochlebnej opinii o sobie.

— Być może, że go wkrótce zobaczysz — wyjaśniłem. — Szejk Malek wysłał go do Szammarów z zapytaniem, czy byliby skorzy przyjąć wygnańców pod swoją opiekę.

— Będę im rad. Opowiedz mi o nich!

Uczyniłem zadość jego prośbie i opowiedziałem tylko o tym, co uważałem za konieczne. Kiedy skończyłem, szejk rzekł do mnie:

— Wybacz, że byłem dla ciebie nieuprzejmy, lecz tego wszystkiego nie wiedziałem. W twoim towarzystwie znajdują się ci Anglicy, a Anglicy są moimi wrogami. Teraz jednak będziecie moimi

gośćmi. Pozwól, że wyjdę zamówić coś do jedzenia!

Nie czułem się już zagrożony. Wydobyłem z zanadru butelkę ze „świętą wodą”.

— Czy chcesz zamówić posiłek u bint Amm? — zapytałem.

— Tak.

— To pokrop ją wodą z tego naczynia! Jest to woda ze źródła Zenzem. Niech Allah błogosławi twoją żonę!

— Efendi, jesteś bohaterem i szlachetnym człowiekiem! Chodź ze mną i pokrop moją żonę osobiście! Kobiety Szammarów nie wahają się odsłaniać swoich twarzy przed mężczyznami.

Słyszałem już przedtem, że kobiety i dziewczęta z plemienia Szammarów nie zasłaniają twarzy. Także podczas dzisiejszej podróży spotkałem wiele niezakwefionych niewiast.

Szejk wstał i dał mi znak, żebym podążył za nim. Wyszliśmy. W pobliżu namiotu szejka stał drugi namiot. Wszedłszy tam, ujrzałem trzy Arabki i dwie czarne dziewczyny. Dziewczęta te były zapewne niewolnicami, Arabki natomiast żonami Mohammeda Emina. Dwie z nich ucierały kamieniami jęczmień na mąkę, trzecia natomiast, siedząc na podwyższeniu, kierowała tą pracą. Była widocznie ochmistrzynią.

W jednym narożniku namiotu stało kilka worków, zawierających ryż, daktyle, kawę, jęczmień i fasolę. Na worki narzucony był drogocenny dywan. Całość wyglądała jak tron, na którym spoczywała ochmistrzyni. Była to kobieta młoda i szczupła, i miała nieco jaśniejszą karnację niż dwie pozostałe niewiasty. Rysy jej twarzy były regularne, oczy ciemne i błyszczące. Wargi miała umalowane na ciemnoczerwono, brwi uczernione. Jej czoło i policzki zdobiły muszki piękności, a na jej odkrytych ramionach i nogach widoczny był ciemnoczerwony tatuaż. Z uszu Arabki zwisały kolczyki w kształcie dużych złotych obręczy, a w jej nosie tkwił również duży złoty pierścień, połyskujący mnóstwem szlachetnych kamieni. Zapewne przeszkadzał jej w jedzeniu. Szyję niewiasty zdobiły rzędy pereł, koralu oraz asyryjskich błyskotek, a luźne srebrne pierścienie otaczały kostki jej stóp oraz ramiona i przeguby rąk. Inne kobiety nie miały na sobie tylu klejnotów.

— Selam! — pozdrowił je szejk. — Przyprawiam was wielkiego bohatera z plemienia Alamanów, który chce dla was uprosić błogosławieństwo Allaha przez pokropienie was świętą wodą ze źródła Zenzem.

Natychmiast wszystkie kobiety padły twarzą ku ziemi. Najwytworniejsza Arabka ześliznęła się również ze swojego tronu i uklękła. Nabrałem w dłoń trochę świętej wody i pokropiłem nią wszystkie niewiasty.

— Przyjmijcie błogosławieństwo, o kwiaty pustyni! Bóg wszystkich ludów niech was zachowa pełne wdzięku i radości, aby wasza woń krzepiła serce waszego pana!

Kiedy kobiety spostrzegły, że schowałem naczynie ze świętą wodą, podniosły się z ziemi i podziękowały mi. Szejk natomiast polecił:

— Teraz pospieszcie się i przygotujcie posiłek, godny tego człowieka! Zaproszę tylu gości, ilu zmieści mój namiot. Chcę, żeby wszyscy cieszyli się zaszczycem, jaki nam dzisiaj przypadł w udziale.

Wróciliśmy do namiotu szejka. Mohammed Emin zatrzymał się chwilę przed wejściem do namiotu, żeby wydać rozkazy kilku Beduinom.

— Gdzie pan był? — spytał mnie Dawid Lindsay.

— W namiocie kobiet.

— Ach! Niemożliwe!

— Ależ tak. Byłem tam.

— Te kobiety pozwalają się oglądać?

— Dlaczegoż by nie?

— Hm! Cudownie! Pozostać tu! Także oglądać kobiety!

— To zależy od okoliczności. Mnie uważają tu za pobożnego człowieka, ponieważ posiadam wodę ze źródła Zemzem, której kropla według wierzeń tych ludzi czyni cuda.

— Ach, szkoda, nie mam wody Zemzem!

— Nic by panu zresztą nie pomogła, gdyż nie mówi pan po arabsku!

— Czy tu są ruiny?

— Nie. Sądzę jednak, że nie musielibyśmy ich szukać zbyt daleko stąd.

— No to zapytać! My znaleźć ruiny, wykopać fowlingbull. Zresztą jedzenie było tu okropne.

— Będzie lepsze. Zaraz dostaniemy prawdziwie arabskie przysmaki.

— Ach! Chyba się tego po szejku nie można spodziewać.

— Zmienił o nas zdanie. Znam jego przyjaciela i dlatego nabyliśmy praw do jego gościnności. Niech pan jednak odprawi służących! Arabów mogłoby to obrazić, gdyby musieli przebywać z nimi w jednym pomieszczeniu.

Wkrótce po ponownym pojawieniu się szejka, zesli się goście. Było ich tak wielu, że ledwie starczyło miejsc w namiocie. Ulokowali się w krąg, według rangi zajmowanej w swej społeczności, podczas gdy szejk usiadł pośrodku między mną i Anglikiem. Zaraz też niewolnice wniosły do namiotu liczne dania, a rozносиło je kilku młodzieńców.

Najpierw rozłożono przed nami sufrę. Jest to rodzaj obrusa z garbowanej skóry, którego boki obramowane są kolorowymi pasami, frędzlami i innymi ozdobami. W tym obrusie znajdują się kieszenie i jeśli się go złoży, może być użyty jako worek na zapasy żywności. Potem wniesiono kawę. Każdy gość otrzymał po małej filiżance tego aromatycznego płynu. Następna potrawa zwała się „zalatah”. Było to orzeźwiające danie z zsiadłego mleka z plasterkami ogórków, trochę posolonych i przyprószonych pieprzem. Równocześnie postawiono przed szejkiem garnek. Zawierał czystą wodę, z której wystawały szyjki trzech butelek. W dwóch była rakija, a trzecia napełniona była wonnym płynem, którym gospodarz skrapiał nas po każdym daniu.

Następnie wniesiono ogromną misę topionego masła, zwanego tutaj „zamn”. Arabowie jedzą je lub piją ze szczególnym upodobaniem jako przystawkę lub deser, i w ogóle o każdej porze dnia. Potem podano daktyle w małych koszyczkach. Były to wyśmienite daktyle, zwane „esz szelebi”, pakowane mniej więcej tak, jak u nas figi lub suszone śliwki. Daktyle tego gatunku mają mniej więcej pięć centymetrów długości, drobne pestki oraz wspaniały zapach i smak. Spostrzegłem również rzadko spotykane daktyle „adszwa”. O nich to powiedział Prorok: „Kto przerwie post, jedząc dziennie sześć lub siedem daktyli adszwa, nie potrzebuje się lękać trucizny ani czarów.” Pojawiły się również inne gatunki, a mianowicie: „hilwa”, znane jako najśłodsze, „dzuseirije”, najbardziej zielone, oraz „el birni” i „es seihani”. Dla mniej dostojnych gości przeznaczono daktyle „balaah”, suszone na drzewach, jak również daktyle z gatunku „dzebeli” i „hilajeh”. Zauważyłem także daktyle „kelladat esz szarn”, czyli tak zwane syryjskie naszyjniki. Są to daktyle, które jeszcze w stanie niedojrzałym zanurza się we wrzątku, aby zachowały swój żółty kolor. Potem suszy się je na słońcu, nanizane na sznurki.

Po daktylach przyszła kolej na „kanufę”. Szejk wznosił teraz ręce w górę i wołając: „bismillah”, dał znak do rozpoczęcia uczty.

Palcami sięgał do poszczególnych naczyń, misek i koszyczków i wkładał wpierw mnie, potem Anglikowi do ust, co uważał za najlepsze. Byłbym oczywiście wołał posłużyć się własnymi palcami, lecz nie wypadało okazać niezadowolenia, byłoby to bowiem niewybaczalną obrazą gospodarza. Lindsay natomiast, kiedy mu szejk wepchnął pierwszą kluskę do ust, rozciągnął wargi swoim charakterystycznym sposobem w kształt prostokąta i siedział tak z rozwartymi ustami, aż go

upomniałem:

— Niech pan je, sir Dawidzie, jeśli nie chce pan tych ludzi śmiertelnie obrazić!

Anglik zamkowi usta, połknął kęs i oświadczył:

— Brr! Mam przecież przy sobie nóż i widelec.

— Niech pan nie wyjmuje sztuców! Musimy się stosować do zwyczajów tego kraju.

— Okropne!

— Co ten człowiek powiedział? — spytał szejka.

— Jest zachwycony twoją życzliwością. — Och, kocham was!

Mówiąc to, wsadził rękę do zsiadłego mleka i całą pacynę gęstego płynu przylepił Anglikowi pod jego długi nos. Lindsay, tak uszczęśliwiony, sapnął kilkakrotnie, żeby zaczerpnąć powietrza i nabrać odwagi. Potem próbował językiem zepchnąć ten dar życzliwości szejka spod nosa do otworu, będącego przedsionkiem systemu trawiennego.

— Straszne! — jęknął Anglik potem. — Czy naprawdę muszę to znosić?

— Niestety tak.

— Nie wolno mi się bronić?

— Nie! Może się pan natomiast zemścić.

— W jaki sposób?

— Proszę uważać, jak ja to zrobię!

Wyjąłem ręką z miski trochę makaronu i wepchnąłem go szejkowi do ust. Szejka nie zdążył go jeszcze przełknąć, a już Dawid Lindsay poczęstował go pełną garścią płynnego masła. Stało się coś, czego się ze strony szejka, jako muzułmanina, nie spodziewałem; przyjął mianowicie poczęstunek z rąk niewiernego bez oporu. Przypuszczalnie postanowił umyć się później i oczyścić poprzez dłuższy lub krótszy post.

Podczas gdy szejka karmił nas obu w ten sposób, ja podobnie podawałem jadło innym. Uważali to za wielki zaszczyt i nadstawiali usta z widocznym zadowoleniem. Wkrótce misy zostały opróżnione.

Teraz szejka głośno klasnął w dłonie. Wniesiono „zini”. Jest to duża miska, ozdobiona ornamentem i napisami, o ponad półtorametrowym obwodzie. Napełniona była potrawą, zwaną „birgani”, czyli mieszaniną ryżu z baraniną, pływającą w roztopionym maśle. Potem podano „wara maszi”, czyli baraninę w plastrach, mocno przyprawioną; następnie „kebab”, to jest małe kawałki pieczeni, nadziane na drewniane patyczki; potem „kima”, czyli gotowane mięso, marynowane jabłka granatu, owoce pigwy i wreszcie „raha”. Jest to rodzaj słodczy, jakie i my w Europie jadamy na deser.

Czyżby się ucza na tym skończyła? O nie! Kiedy sądziłem, że biesiada zakończona, wniesiono dopiero główne danie: barana, pieczonego na rożnie. Nie mogłem już jeść.

— El hamdulillah! — zawołałem więc, włożyłem ręce do naczynia z wodą i wytarłem je swoją wierzchnią szatą.

Oznaczało to, że nie będę więcej jadł. Mieszkańcy Wschodu nie znają natrętnego przymuszania gości do jedzenia. Jeśli ktoś przy biesiadnym stole wypowie „el hamd”, ma już spokój. Nikt go więcej niczym nie częstuje. Anglik to zauważył.

— El hamdulillah! — zawołał za moim przykładem i opłukał ręce w wodzie, patrząc potem na nie z zakłopotaniem.

Szejka to zauważył i wskazał na swój haik.

— Powiedz twojemu przyjacielowi — rzekł do mnie — żeby wytarł ręce w moją zarzutkę! Anglicy widocznie nie bardzo dbają o czystość, skoro nie noszą nawet szat, w które mogliby wycierać ręce po ich umyciu.

Wyjawilem Lindsayowi ofertę szejka, a Anglik skwapliwie z niej skorzystał.

Na koniec częstowano rakiją, a potem podano kawę i fajki. Dopiero teraz szejek zaczął mnie przedstawiać swoim współplemioncom.

— Słuchajcie, mężowie plemienia Haddedihn esz Szammar! Ten człowiek jest bohaterem z Zachodu. Nazywa się...

— Kara ben Nemsi — powiedziałem.

— Tak. To jest efendi Kara ben Nemsi. Jest największym wojownikiem w swoim kraju i najmądrzejszym uczonym swego narodu. Zwiedza obce kraje w poszukiwaniu przygód. Posłuchajmy, czy zechce z nami wyruszyć przeciwko naszym wrogom!

Przez to oświadczenie szejka znalazłem się w szczególnej i nieoczekiwanej sytuacji. Co miałem odpowiedzieć? Wszyscy bowiem oczekiwali mojego oświadczenia. Można to było odczytać z ich wzroku, skierowanego na mnie. Powziąłem natychmiastową decyzję.

— Walczę o wszystko, co słuszne i dobre, przeciwko wszystkiemu, co niesłuszne i fałszywe — odrzekłem. — Służę wam swoją osobą. Przedtem jednak muszę swojego przyjaciela zaprowadzić tam, dokąd obiecałem mu towarzyszyć.

— To znaczy dokąd?

— Muszę wam to wyjaśnić. Przed wielu tysiącami lat zamieszkiwał ten kraj naród, który zbudował tu wielkie miasta i wspaniałe pałace. Naród ten zginął, a jego miasta i pałace leżą przysypane gruzem pod ziemią. Kto się do nich dokopie, będzie mógł stwierdzić, jak tutaj żyli ludzie przed tysiącami lat. Tego właśnie pragnie mój przyjaciel. Chce on znaleźć w ziemi stare znaki i napisy, aby je odszyfrować i odczytać.

— Oraz znaleźć złoto, żeby je zabrać ze sobą — wtrącił szejek.

— Nie — odrzekłem. — Bej Lindsay jest zamożnym człowiekiem; ma tyle złota i srebra, ile mu potrzeba. Poszukuje tylko inskrypcji i zabytków. Pozostałe wykopaliska Anglik pozostawi mieszkańcom tego kraju.

— A jaka ma być w tym twoja rola?

— Mam go zaprowadzić do takiego miejsca, gdzie by mógł znaleźć to, czego szuka.

— Do tego nie jesteś mu potrzebny i możesz z nami iść na bój. Sami pokażemy mu miejsca, gdzie należy kopać. Cały kraj jest pełen ruin i gruzów.

— Ale nikt się z nim nie porozumie, jeśli nie będę przy nim. Wy nie rozumiecie jego mowy, a on waszej.

— To niech wpierw wyruszy z nami na wojnę, a potem my wam pokażemy dużo miejsc, gdzie będziecie mogli znaleźć napisy i podobne rzeczy.

Lindsay zorientował się, że o nim mowa.

— Co oni mówią? — zapytał.

— Zapytali mnie, po co pan tu przybył.

— Powiedział im pan?

— Tak.

— Jak zareagowali?

— Chcą panu pokazać zabytki. Ale mi nie pozwolą pozostać z panem.

— Co więc pan robić?

— Chcą, żebym z nimi jechał na wojnę. Mają mnie za wielkiego bohatera.

— Hm! Ale ja przecież nie znam języka tych ludzi. Nie będę się mógł z nimi porozumieć.

— Powiedziałem im to.

— Co oni odpowiedzieć?

— Żeby pan wziął udział z wszystkimi w wyprawie wojennej, a potem oni pokażą nam miejsca, gdzie się znajdują epigrafy i inne zabytki.

— Dobrze! Jedziemy z nimi!

— Przecież to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Narażamy się na niebezpieczeństwo. Co nas obchodzą nieprzyjazne stosunki obcych nam ludzi?

— Nic. Dlatego możemy stanąć po stronie każdego.

— Należy się nad tym dobrze zastanowić. — Czyżby się pan bał, sir?

— Nie.

— Myślałem. A więc my iść z nimi! Niech im pan to powie!

— Nie.

Lindsay odwrócił się do mnie bokiem. Był to niezawodny znak, że wyrzekł w tej sprawie swoje ostatnie słowo. Zwróciłem się więc znów do szejka:

— Oświadczyłem ci uprzednio, że walczę o to co słuszne i dobre. Czy wasza sprawa jest taka?

— Zapewne chciałbyś wiedzieć, o co chodzi?

— Tak.

— Czy słyszałeś o plemieniu Dzebeszów?

— Owszem. Jest to plemię, któremu nie można ufać; jest wiarołomne. Często sprzymierza się z plemionami Abu Selman oraz z Tai--Arabami, aby wspólnie napadać na sąsiadów i rabować ich mienie.

— A więc znasz sytuację. Plemię Dzebeszów napadło również na nas i zrabowało nam liczne trzody. Ruszyliśmy w pościg za rabusiami i odebraliśmy im naszą własność. Szejk Dzebeszów zaskarżył nas u namiestnika i przekupił go. Namiestnik przysłał do mnie posłańca z wezwaniem, żebym z najdostojniejszymi wojownikami mojego plemienia stawił się w Mosulu, celem rzekomego omówienia pewnych spraw. Byłem wtedy ranny i nie mogłem jechać wierzchem ani chodzić. Wysłałem więc swojego syna. Pasza uwięził go zdradziecko i wysłał z Mosulu. Dotychczas nie udało mi się ustalić miejsca, w którym go więzi, gdyż nikt z mojego plemienia nie ma odwagi udać się do Mosulu. Plemiona Szammarów są oburzone tą zdradą. W potyczkach Szammarowie zabili kilku żołnierzy namiestnika. Teraz namiestnik zbroi się i podjudza przeciwko nam równocześnie plemiona Obeidów, Abu Hammed i Dżowari, pomimo że te plemiona nie podlegają jego zwierzchnictwu, gdyż należą do Bagdadu.

— Gdzie twoi nieprzyjaciele rozbili swój obóz?

— Zbroją się dopiero.

— Czy nie masz zamiaru sprzymierzyć się z innymi plemionami Szammarów?

— Gdzie by się wtedy pały nasze trzody?

— Masz rację. Chcecie się podzielić i wywabić paszę na pustynię, aby go tam zniszczyć?

— Tak jest. On ze swoim wojskiem nie pokona Szammarów. Inaczej natomiast przedstawia się sprawa z innymi moimi wrogami. Czują się w pustyni jak u siebie, gdyż pustynia jest ich domem. Nie wolno mi dopuścić do tego, żeby znaleźli się w pobliżu moich pastwisk.

— Ilu wojowników liczy twoje plemię?

— Jedenaście setek.

— A ilu mają ich twoi przeciwnicy?

— Ponad trzy razy tyle.

— Ile trzeba czasu, żeby zebrać wojowników twojego plemienia?

- Wystarczy jeden dzień.
- Gdzie obozuje plemię Obeidów?
- Nad dolnym biegiem rzeki Zab el Asfal.
- A plemię Abu Hammed?
- W pobliżu miejscowości El Fatha, w miejscu, gdzie Tygrys przebija się przez góry Hamrin.
- Po której stronie gór?
- Po obu stronach.
- A gdzie ulokowało się plemię Dżowari?
- Pomiędzy górami Khernina a prawym brzegiem Tygrysu.
- Czy wysłałeś zwiadowców?
- Nie.
- Powinieneś był to zrobić.
- To niemożliwe. Każdego z moich ludzi można po tatuażu natychmiast rozpoznać, jako należącego do plemienia Szammarów. Gdyby napotkał wroga, byłby zgubiony. Ale...

Mohammed Emin nie dokończył zdania i przypatrzył mi się badawczo. Następnie kontynuował:

— Efendi, czy ty naprawdę jesteś przyjacielem Maleka, Ateibeha, i naszym?

— Tak.

— Chodź ze mną. Coś ci pokażę.

Mohammed Emin wyszedł z namiotu. Podążyłem za nim wraz z Anglikiem i obecnymi w namiocie Arabami. Podczas uczyty rozbito obok namiotu szejka mniejszy namiot dla naszych służących. Przechodząc obok tego namiotu, stwierdziłem, że ich również należycie ugoszczono. Poza namiotami, ustawionymi w kręgu, uwiązane były konie. Szejk prowadził nas do nich. Wszystkie były wspaniałe, dwoma jednak byłem wprost zachwycony. Jeden, to siwa klacz, najpiękniejszy koń, jakiego dotychczas widziałem. Miał długie, cienkie i przezrocyste uszy, wysoko umieszczone chrapy — rozdęte i ciemnoczerwone, grzywę i ogon jak z jedwabiu.

— Wspaniała klacz! — zawołałem mimo woli.

— Powiedz: masz'allah! — poprosił mnie szejk.

Arabowie są bowiem zabobonni. Boją się „zauroczenia”. Jeśli więc ktoś pochwali ich własność, musi zaraz powiedzieć „maszallah”, żeby odczynić urok.

— Maszallah! — zawołałem więc.

— Czy uwierzysz, że na tej klaczy zapędziłem na śmierć dzikiego osła?

— Niemożliwe!

— Na Allaha, to prawda! Wszyscy tu obecni mogą zaświadczyć!

— Zaświadczamy! — zawołał Arabowie chórem.

— Do końca życia nie pozbędę się tej klaczy — oświadczył Szejk. — Który koń poza tym jeszcze ci się podoba?

— Ten ogier. Co za budowa, szlachetna postawa i ta wyjątkowa maść, czerń wpadająca w granat.

— To jeszcze nie wszystko. Ten ogier posiada trzy najwyższe cnoty dobrego konia: chyżość, odwagę i długi oddech.

— Po czym to poznajesz?

— Włosie skręca mu się na zadzie. Oznacza to, że jest szybki. Skręca się również u nasady grzywy. To znak, że koń ma długi oddech. Skręcające się włosie pośrodku czoła dowodzi, że koń odznacza się ognistym, dumnym usposobieniem. Nie porzuca on nigdy swojego jeźdźca i niesie go śmiało przez środek szeregow wroga. Czy miałeś kiedyś takiego konia?

- Tak.
- O! To jesteś bardzo bogatym człowiekiem.
- Nic mnie nie kosztował — to był mustang.
- Co znaczy mustang?
- Dziki koń, którego trzeba wpierw złapać, a potem oswoić.
- Czy kupiłbyś tego ogiera, gdybym go chciał sprzedać, a ty byś mógł za niego zapłacić?
- Natychmiast!
- Możesz na niego zasłużyć.
- Niemożliwe.
- Ależ tak. Możesz go otrzymać w podarunku.
- Pod jakim warunkiem?
- Jeśli nam dostarczysz sprawdzonych wiadomości, gdzie się zamierzają połączyć plemiona Obeidów, Abu Hammed i Dżowari.

Omam nie wydałem radosnego okrzyku. Cena była wysoka, lecz koń był więcej wart.

Nie namyślając się długo, spytałem:

— W jakim terminie oczekujesz odpowiedzi?

— Kiedy będziesz nam jej mógł dostarczyć.

— A kiedy otrzymam konia?

— Jak wrócisz.

— Masz rację, nie mogę go żądać wcześniej. Ale w takim razie nie będę mógł wykonać twojego polecenia.

— Dlaczego?

— Bo być może wszystko zależy od tego, czy będę miał wierzchowca, na którym mogę polegać w każdej sytuacji.

Mohammed Emin wbił wzrok w ziemię.

— Czy wiesz, że przy takim przedsięwzięciu łatwo można konia utracić?

— Zdaję sobie z tego sprawę. Dużo jednak także zależy od jeźdźca. Jeśli będę siedział na takim koniu jak ten ogier, to nie wyobrażam sobie człowieka, który by mógł mnie, lub to zwierzę, schwytać.

— Czy jeździsz tak dobrze?

— Nie jeżdżę tak jak wy. Musiałbym konia Szammarów wpierw oswoić i odpowiednio wyćwiczyć.

— Mamy więc nad tobą przewagę.

— Przewagę? Czy jesteście dobrymi strzelcami?

— Potrafimy w galopie zestrzelić gołębia, siedzącego na szczycie namiotu.

— Dobrze. Pożycz mi tego ogiera i wyślij za mną dziesięciu jeźdźców! Nie oddalę się od obozu więcej niż o tysiąc długości lanc i pozwalam im strzelać do mnie, ile razy zechcą. Nie złapią mnie ani nie trafią.

— Żartujesz, efendi.

— Mówię poważnie.

— A jeśli cię wezmę za słowo?

— Bardzo proszę.

Oczy Arabów rozbłysły. Zapewne wszyscy byli wspaniałymi jeźdźcami. Pałali chęcią zmierzenia się ze mną. Czekali więc niecierpliwie, żeby szejek zgodził się na moją propozycję.

Mohammed Emin patrzył jednak przed siebie niezdecydowany.

— Wiem, szejku, jakie myśli cię nachodzą. Popatrz na mnie! Czy ktoś rozstaje się chętnie z taką



bronią jak moja?

— Nie.

— Patrz, kładę ją u twoich stóp jako zastaw, na dowód, że nie przybyłem, żeby ci ukraść ogiera. A jeśli ci to nie wystarcza, to niech moje słowo i mój przyjaciel będą dodatkową poręką.

Szejk uśmiechnął się, uspokojony.

— Niech będzie! Więc dziesięciu jeźdźców!

— Tak. Może ich być nawet dwunastu i piętnastu.

— I wszyscy mają do ciebie strzelać?

— Tak. Jeśli mnie zastrzelą, nie należy wysuwać przeciwko nim żadnych zarzutów. Wybierz swoich najlepszych jeźdźców i strzelców!

— Jesteś odważny aż do szaleństwa, efendi!

— Tak ci się wydaje.

— Czy wolno im posuwać się tylko za tobą?

— Twoi wojownicy mogą jechać jak i dokąd zechcą, żeby mnie schwytać lub osiągnąć swymi kulami.

— Allah kerim, to już teraz można cię uważać za martwego!

— Gra będzie zakończona z chwilą, kiedy zjawię się z powrotem na tym miejscu.

— Dobrze, sam tego chcesz. Ja pojedę na swojej klaczy, żeby móc wszystko obserwować.

— Pozwól mi wpierw wypróbować twojego ogiera! Osiodłałem go, dosiadłem i podczas gdy szejk wyznaczał ludzi, mających mnie schwytać, stwierdziłem, że mogę polegać na ogierze. Zeskoczyłem z konia i zdjąłem z niego siodło. Szlachetne zwierzę wyczuło, że zanosi się na coś niezwykłego. Oczy konia błyszczały, jeżył grzywę i przebierał nogami jak tancerka, chcąc się przekonać, czy posadzka sali jest wystarczająco nawoskowana. Zarzuciłem mu ramię wokół szyi i zawiązałem pętlę po jednej stronie mocno zaciągniętego popręgu.

— Usuwasz siodło? — zapytał szejk. — Po co te ramię?

— Zaraz zobaczysz. Czy wybrałeś już wojowników?

— Tak. Oto dziesięciu!

Wszyscy siedzieli już w siodłach. Inni Arabowie, znajdujący się w pobliżu, także dosiedli koni.

— Zaczynamy więc! — zawołałem. — Czy widzicie ten namiot, sześćset kroków stąd? Skoro tam tylko dojadę, możecie zacząć do mnie strzelać. Nie potrzeba mi również żadnego wyprzedzenia. Naprzód więc!

Wskoczyłem na konia. Pognał jak strzała. Dziesięć koni Haddedińców ruszyło za nim z kopyta. Mój wierzchowiec był wspaniały. Przebyłem zaledwie połowę wyznaczonej drogi, kiedy najbliższy z prześladowców pozostał już o pięćdziesiąt kroków w tyle.

Schyliłem się, żeby włożyć ramię za ramię na karku konia a nogę w pętlę. Tuż przed wyznaczonym namiotem obejrzałem się. Wszystkich dziesięciu wojowników trzymało swoje długie strzelby lub pistolety gotowe do strzału. Zawróciłem gwałtownie konia pod kątem prostym. Jeden z przeciwników osadził swego konia tak raptownie w miejscu, jak to tylko Arab potrafi. Zwierzę stało jak odlane ze spiżu. Arab podniósł strzelbę, rozległ się strzał, a równocześnie krzyk przerażenia. Sądono, że zostałem trafiony, gdyż zniknąłem z siodła. Zwyczajem Indian zesunąłem się z grzbietu zwierzęcia i wisiałem na rzemieniu i pętli u końskiego boku, odwróconego od ścigających mnie Arabów. Zerknąłem spod szyi wierzchowca i upewniwszy się, że nikt już nie celuje, wróciłem na siodło, skierowałem konia w prawo i popędziłem dalej.

Za mną rozległy się okrzyki zdziwienia. Poczciwi arabscy jeźdźcy nie potrafili wyjaśnić sobie tej sprawy.

Zwiększyli szybkość i ponownie podnieśli strzelby. Skierowałem konia w lewo, ześliznąłem się znów przy pomocy rzemienia i pętli z grzbietu na bok konia i przejechałem pod kątem ostrym przed wojownikami. Nie mogli strzelać, gdyż trafiliby konia. Pomimo że to polowanie groziło mi niebezpieczeństwem, to przy doskonałości wierzchowca było dla mnie zaledwie dziecięcą grą w łapanego. Gdybym miał Indian za przeciwników, nie odważyłbym się na to. Okrążyliśmy kilkakrotnie rozległy obóz w galopie; potem, wisząc ciągle u boku konia, dojechałem do miejsca, skąd rozpoczęła się jazda.

Zsiadłem. Po koniu nie było znać zmęczenia. Ani śladu potu, czy piany. To był istotnie bezcenny rumak. Stopniowo wracali arabscy wojownicy, którzy mnie ścigali. Ogółem oddali do mnie pięć strzałów, z których żaden mnie nie trafił. Stary szejek ujął moją rękę.

— Hamdulillah! Chwała Allahowi, że nie jesteś ranny. Niepokoiłem się o ciebie. U Szammarów nie ma takiego jeźdźca, jakim ty się okazałeś.

— Mylisz się. W twoim plemienu jest na pewno wielu, którzy lepiej jeżdżą od mnie, lecz nikt z nich nie wie, że jeździec może się ukryć za bokiem konia. Tego że nie trafiła mnie żadna kula, nie zawdzięczam sobie, lecz temu ogierowi. Czy pozwolisz, żebyśmy teraz zmienili reguły gry?

— W jaki sposób?

— Zasady mogą pozostać te same z tą różnicą, że ja teraz wziąłbym także broń ze sobą i mógłbym strzelać do twoich ludzi.

— Niech nas Allah uchwaja od takiego, nieszczęścia, gdyż zestrzeliłbyś chyba wszystkich z koni!

— Więc zapewne teraz wierzysz, że mając do dyspozycji tego rumaka, nie potrzebuję się obawiać ani Obeidów, ani plemion Abu Hammed, ani też Dżowari.

— Wierzę! — Widać było, że zmagają się ze sobą. W końcu rzekł:

— Efendi Kara ben Nemsy, jesteś przyjacielem mojego przyjaciela Maleka i ja ci ufam. Weź tego ogiera i jedź na wschód. Jeśli nie przywieziesz mi żadnej wieści, to rumak pozostanie moją własnością. Jeżeli jednak zdobędziesz wystarczające wiadomości, koń będzie twój. Zdradzę ci wówczas także jego tajemnicę.

Każdy koń arabski, będący lepszym od przeciętnego, ma swój sekret, to znaczy, że jest tak wyćwiczony, iż reaguje na specjalny znak. Rozwija wówczas największą szybkość, nie zmniejszając jej, dopóki nie padnie z wycieńczenia lub nie zostanie zatrzymany przez jeźdźca. Jeździec nie zdradza tego tajemnego znaku nawet przyjacielowi, nawet ojcu czy bratu, ani też synowi, ani swojej żonie, i korzysta z niego tylko wtedy, kiedy znajdzie się w największym niebezpieczeństwie.

— Chcesz mi zdradzić sekret konia dopiero kiedy wrócę? — odrzekłem. — A czy nie może się zdarzyć, że tylko dzięki znajomości tej tajemnicy mógłbym uratować siebie i rumaka?

— Masz rację, lecz nie jesteś jeszcze właścicielem tego konia.

— Będę nim! — zawołałem z przekonaniem. — A gdyby ogier nie przypadł mi w udziale, to zapomnę o jego tajemnicy i nikt się o niej ode mnie nie dowie.

— No to chodź!

Mohammed Emin odciągnął mnie na bok i powiedział szeptem:

— Jeśli koń ma lecieć jak sokół w powietrzu, to połóż mu rękę lekko między uszy i zawołaj głośno „Rih”!

— Czy „Rih” znaczy wiatr?

— Tak. Ten koń nosi to imię, gdyż jest jeszcze szybszy od wiatru; jest tak szybki, jak sztormowy wichur.

— Dziękuję ci, szejku. Wypełnię twoje polecenie tak, jakbym był synem plemienia Haddedińów lub tobą samym. Kiedy mam wyruszyć?

— Jutro o świcie, jeśli ci to odpowiada.

— Jakie daktyle wziąć na drogę dla twojego rumaka?

— Rih lubi tylko daktyle z gatunku „balahał”. Chyba nie muszę ci mówić, jak się należy obchodzić z tak drogocennym koniem?

— Nie musisz.

— Śpij dziś u jego boku i przytulony do jego nozdrzy wyrecytuj mu setną surę Koranu, w której mowa o galopujących rumakach. Koń cię wtedy polubi i będzie ci posłuszny do ostatniego tchu. Znasz tę surę?

— Znam.

— Wygłoś mi ją, proszę!

Szejk był naprawdę bardzo niespokojny o mnie i swojego konia. Uczyniłem więc zadość jego życzeniu.

„W mię Boga Miłosiernego, Litościwego!

Na galopujące, zadyszane, krzeszące iskry ognia, które ruszają do ataku rankiem, wzbijając tuman kurzu, i wdzierają się w sam środek gromadnie! Zaprawdę człowiek jest niewdzięczny względem swego Pana! I zaprawdę, on sam jest tego świadkiem! Zaprawdę, jego miłość do dóbr jest ogromna! Czyż on nie wie, że kiedy zostanie wywrócone to, co jest w grobach, i kiedy zostanie wydobyte na jaw to, co jest w piersiach — zaprawdę, tego Dnia, ich Pan będzie o nich doskonale powiadomiony”.

— Tak, znasz tę surę. Tysiące razy wygłaszałem ją nocami temu rumakowi. Rób to także, a on się zorientuje, że stałeś się jego panem! Teraz jednak wracajmy do namiotu!

Anglik był dotychczas milczącym widzem wszystkiego. Podeszedł teraz do mnie i spytał:

— Dlaczego oni do pana strzelać?

— Chciałem Arabom pokazać coś, czego jeszcze nie znają.

— Ach, piękny, wspaniały koń!

— Czy pan wie, sir Dawidzie, czyją jest własnością?

— Szejka.

— Nie, moją.

— Niech pan posłucha, sir, nazywam się Dawid Lindsay i nie dam sobie niczego wmówić. Niech pan to sobie zapamięta!

— Dobrze, to już nic więcej panu nie powiem.

— Co mianowicie?

— Że pana opuszczam jutro rano.

— Dlaczego?

— Wyjeżdżam na zwiad. Słyszał pan już o nieprzyjacielskich działaniach przeciwko naszym przyjaciom. Mam zdobyć informacje, kiedy i gdzie zbierają się wrogie plemiona, i za to, jeśli się dobrze sprawię, mam właśnie otrzymać tego rumaka.

— Szczęściarz z pana! Pojadę z panem i będę panu pomagał w przeprowadzaniu zwiadu.

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Pan mi się do niczego nie może przydać, lecz wręcz przeciwnie, mógłby mi pan tylko zaszkodzić. Pana ubiór...

— To przebiorę się za Araba!

— Nie rozumiejąc słowa po arabsku?

— Istotnie. Jak długo pan być nieobecny?

— Nie wiem jeszcze. Zapewne kilka dni. Muszę pojechać dość daleko poza rzekę Mały Zab, a to

jest kawał drogi stąd.

— Zła droga! Niedobrzy Arabowie!

— Będę się miał na baczości.

— Dobrze. Ja tu zostać, jeśli pan mi zrobić przysługę. — Jaką mianowicie?

— Pan dowiadywać się nie tylko o Beduinów.

— O cóż jeszcze?

— O ruiny. Muszę kopać, znaleźć fowlingbulls i posłać je do muzeum w Londynie.

— Będę się dopytywał o ruiny, może pan na mnie polegać. — To dobrze. Skończyłem.

Wchodźmy do namiotu!

Zajęliśmy nasze dawne miejsca i resztę dnia przysłuchiwaliśmy się opowiadaniom, które lubią Arabowie. Wieczorem muzykowano i śpiewano, używając tylko dwóch instrumentów, mianowicie „rubabali”, to jest rodzaju cytry o jednej strunie, oraz „tabl”, czyli małego kotła, który jednak w porównaniu z cichymi, jednostajnymi dźwiękami cytry, ogromnie hałasował. Potem odmówiono wieczorną modlitwę i udaliśmy się na spoczynek.

Anglik spał w namiocie szejka, ja natomiast poszedłem do ogiera, który spoczywał przed namiotem i położyłem się między jego nogami. Czy naprawdę wygłosiłem zwierzęciu setną surę Koranu w jego nozdrza? Zapewne! Nie powodowała mną przy tym bynajmniej wiara w zabobony! Koń był przyzwyczajony do tego obrzędu. Stałem mu się przez to bliższy. Wymawiając słowa sury, oddychałem tuż przy jego nozdrzach, i w ten sposób koń przyswajał sobie zapach swojego nowego pana. Leżałem między kopytami rumaka jak dziecko u nóg wiernego, rozumnego psa nowofundlandzkiego.

O świcie otwarł się namiot i wyszedł z niego Anglik.

— Spał pan? — zwrócił się do mnie z pytaniem.

— Tak.

— Ja nie. Bardzo ruchliwie w namiocie.

— Kto się tak ruszał, ci co spali?

— Nie. Pchły, wszy i komary! Musiałem się roześmiać.

— Do tych insektów przyzwyczai się pan wkrótce, sir Dawidzie— pocieszyłem go.

— Nigdy. Zresztą nie mogłem spać również dlatego, że myślałem o panu.

— Dlaczego pan myślał o mnie?

— Mógł pan przecież odjechać, bez uprzedniej rozmowy ze mną. — W każdym razie byłbym się z panem pożegnał.

— Mogło być za późno.

— Do czego za późno?

— Chcę panu zadać mnóstwo pytań.

— To proszę pytać!

Już ubiegłego wieczoru musiałem Lindsayowi udzielić rozmaitych informacji; teraz wyciągnął swój notatnik.

— Poproszę, żeby mnie zaprowadzono do ruin. Muszę więc mówić po arabsku. Pan powiedziec mi różne rzeczy. Jak się nazywa przyjaciel?

— Kabil.

— Wróg?

— Chassm.

— Muszę płacić. Jak nazywać „dolar”?

— Rijal fransz.

— A sakiewka?

— Himjan.

— Będę wykopywać kamienie. Jak nazywać „kamień”?

— Hadszar.

Sir Dawid pytał mnie jeszcze o wiele słów i notował ich arabskie nazwy. Wkrótce obóz się ożywił i musieliśmy wejść do namiotu szejka na śniadanie, podczas którego było jeszcze dużo spraw do omówienia.

Potem pożegnałem się, dosiadłem konia i opuściłem swoich nowych przyjaciół.

# XIV.

## NA ZWIADACH

Postanowiłem odwiedzić najpierw plemię Dżowari, obozujące najdalej na południu. Najwygodniej byłoby jechać wzdłuż uedu Ssarssar, który biegnie w tym kierunku, równoległe do Tygrysu. Należało jednak przypuszczać, że właśnie w tym uedzie można się najprędzej natknąć na kogoś niepożądanego, wolałem więc zboczyć nieco na zachód. Musiałem tak wytyczyć kierunek, żeby na kilka kilometrów od miejscowości Tekryt dotrzeć do Trygrysu. Wówczas trafiłbym na pewno do siedziby poszukiwanego plemienia.

W żywność byłem dobrze zaopatrzony, a wody dla konia nie potrzebowałem, gdyż wegetacja na pustyni była w pełni rozwoju. Nie miałem więc innej troski, jak tylko tę, żeby nie zboczyć z obranego kierunku i unikać spotkań z wrogami. Przed niebezpieczeństwem zmylenia drogi bronił mnie mój zmysł orientacyjny, obserwacja słońca i kompas, a drugiego niebezpieczeństwa mogłem uniknąć posługując się lunetą.

Dzień przeszedł bez żadnej przygody, a wieczorem ułożyłem się do snu za samotną skałą. Przed zaśnięciem pomyślałem, że byłoby lepiej podjechać aż do Tekrytu, gdyż tam, bez zwrócenia na siebie uwagi, mógłbym zdobyć potrzebne mi informacje. Te rozważania okazały się zbędne, o czym miałem się przekonać następnego ranka. Z głębokiego snu obudziło mnie ostrzegawcze parskanie mojego konia. Podniósłszy wzrok, ujrzałem pięciu jeźdźców, zbliżających się od północy właśnie do miejsca, w którym się znajdowałem. Byli tak blisko, że musieli mnie zauważyć. Nie miałem zamiaru uciekać, chociaż mój rumak uniósłby mnie na pewno szybko poza zasięg ich wzroku. Podniosłem się więc z ziemi, dosiadłem konia, żeby być na wszystko przygotowanym, i jakby od niechcienia wziąłem do ręki sztucer.

Jeźdźcy podjechali galopem i zatrzymali swoje konie kilka kroków przede mną. Ponieważ wyraz ich twarzy nie zdradzał wrogości, mogłem być na razie spokojny.

— Es selarn 'alejkum! — pozdrowił mnie jeden z nich.

— We 'alejkum es selam! — odpowiedziałem.

— Spałeś tej nocy tutaj?

— Tak.

— Czy nie masz namiotu, pod którym mógłbyś ułożyć głowę do snu?

— Nie mam. Allah rozdzielił swoje dary rozmaicie. Jednemu daje dach wojłokowy, a drugiemu sklepienie niebieskie nad głowę.

— Mógłbyś posiadać namiot, gdyż masz konia, który jest więcej wart niż sto namiotów.

— Ten koń jest wszystkim, co posiadam.

— Sprzedasz go?

— Nie.

— Zapewne należysz do plemienia obozującego niedaleko stąd. — Na jakiej podstawie tak sądzisz?

— Po twoim rumaku nie widać najmniejszego zmęczenia.

— Mimo to moje plemię mieszka wiele dni drogi stąd, daleko, za świętymi miastami na Zachodzie.

— Jak się nazywa to plemię?

— Uelad Alaman.

— Tak, na Zachodzie mówi się przeważnie „uelad”, zamiast „beni”. — Dlaczego oddalasz się tak bardzo od własnego kraju?

— Byłem w Mekce i chcę jeszcze poznać wioski i miasta leżące bliżej Persji, żebym mógł swoim ziomkom dużo opowiedzieć po powrocie do kraju.

— Dokąd się najpierw udajesz?

— Ciągle w kierunku wschodu słońca, dokąd mnie Allah poprowadzi.

— To możesz jechać z nami.

— Gdzie znajduje się cel waszej podróży?

— Powyżej skał Khernina, gdzie nasze trzody pasą się na brzegu i wyspach Tygrysu.

Hm! Czyżby ci napotkani byli przypadkiem ludźmi z plemienia Dżowari? Wypytywali mnie, nie będzie więc niegrzecznie, jeśli i ja ich o coś zapytam.

— Jakiego plemienia własnop>’cią są te trzody?

— Plemienia Abu Mohammed.

— Czy w pobliżu znajdują się też inne plemiona?

— Tak. Na południe stąd obozują Alabeidowie, którzy płacą podatki chanowi Kherniny, a na północ od plemienia Abu Mohammed ma swoje pastwiska plemię Dżowari.

— Komu to plemię płaci podatki?

— Widać, że przybywasz z dalekich krajów. Ludzie z plemienia Dżowari nikomu nie płacą podatków, wręcz przeciwnie, zabierają je. To są złodzieje i rozbójnicy, od których nasze trzody nie są ani chwili bezpieczne. Chodź z nami, jeśli chcesz z nimi walczyć!

— Przygotowujecie się do walki z nimi?

— Tak. Sprzymierzyliśmy się z Alabeidami. Jeśli chcesz się wsławić wielkimi czynami, to będziesz miał u nas okazję do tego i nie będziesz potrzebował spać tutaj pod wzgórzem lwa!

— Wzgórze lwa? Nie znam tego miejsca. Byłem zmęczony, więc ułożyłem się do snu tutaj, gdyż to miejsce wydawało mi się odpowiednie na spoczynek.

— Allah kerim — Bóg jest łaskawy! Jesteś chyba ulubieńcem Allaha, w przeciwnym razie dusiciel trzód byłby cię rozerwał. Nikt z Al-Dżaziry nie chciałby tu odpoczywać ani przez godzinę, gdyż przy tej skale schodzą się lwy.

— Nad Tygrysem są lwy?

— Tak, nad dolnym biegiem rzeki; dalej, na północy, spotyka się tylko leopardy. Czy chcesz jechać z nami?

— Owszem, jeżeli byście mnie uważali za swego gościa.

— Jesteś nim. Podaj mi swoją prawicę i wymieńmy z sobą daktyle!

Podaliśmy sobie dłonie, kładąc je płasko jedną na drugiej; potem od każdego z pięciu jeźdźców otrzymałem po jednym daktylu. Zaraz je zjadłem, a w zamian dałem pięć swoich daktyli, które również zostały natychmiast zjedzone z mojej ręki. Po tej ceremonii wyruszyliśmy w kierunku południowo-wschodnim. Niedługo potem przekroczyliśmy rzekę Tharthar. Teren, dotychczas płaski, przekształcał się w coraz bardziej górzysty.

Poznani przeze mnie Beduini okazali się uczciwymi nomadami.

Odwiedzili zaprzyjaźnione plemię z okazji odbywającej się tam uroczystości weselnej, a teraz wracali do swoich, zadowoleni z biesiady, w jakiej uczestniczyli.

Teren, przez który jechaliśmy, początkowo się wznosił, a potem nagle znów się obniżył. W dali, po prawej stronie widać było ruiny Starego Tekrytu, a po lewej, równie daleko, majaczyła góra Khernina. Przed nami rozpościerała się dolina Tygrysu. W przeciągu pół godziny dotarliśmy do rzeki. Była tu szeroka, mniej więcej na milę angielską, a jej nurt przedzielała duża, wydłużona, porośnięta

zielenią wyspa, na której ujrzałem liczne namioty.

— Przeprawisz się tam z nami! Nasz szejek będzie ci rad. — Jak się dostaniemy na wyspę?

— Zaraz zobaczysz, gdyż już nas zauważono. Podjedźmy trochę wyżej; tam przy brzegu stoi nasz kellek!

Kellek jest to tratwa, zwykle dwa razy dłuższa od swej szerokości. Składa się z napompowanych powietrzem bukłaków z kozłej skórki, przytrzymywanych poprzeczkami. Na te poprzeczki kładzie się belki lub deski, na których spoczywa ciężar. Poszczególne części związane są wikliną. Kieruje się tą tratwą przy pomocy dwóch sterów, których linki sporządzone są z rozszczepionych i ponownie związanych kawałków bambusa. Taka tratwa odbiła od brzegu wyspy. Była tak duża, że mogła unieść więcej niż sześciu jeźdźców. Przeniosła nas bez szwanku przez nurt rzeki na wyspę.

Tam powitało nas mnóstwo dzieci, kilka psów i stary Arab o czcigodnym wyglądzie, ojciec jednego z moich towarzyszy.

— Pozwól, że zaprowadzę cię do szejka! — powiedział ten, który przeważnie ze mną w drodze rozmawiał.

Dołączali do nas liczni mężczyźni, trzymając się jednak skromnie z tyłu i nie stawiając mi żadnych pytań. Ich wzrok zatrzymywał się z podziwem na moim koniu. Nasza droga nie była daleka. Skończyła się przed przestronną chatą, krytą bambusem, a wewnątrz wykładaną matami. Kiedy weszliśmy, z dywanu, na którym siedział, podniósł się silnie zbudowany mężczyzna, zajęty ostrzeniem noża na kamieniu.

— Es selam 'alejkum! — pozdrowiłem go.

— We 'alejkum es selam! — odpowiedział, baczenie mi się przyglądając.

— Pozwoliłem sobie, o szejku, przyprowadzić do ciebie tego człowieka — rzekł mój towarzysz. — Jest to dostojny wojownik, więc nie śmiałem mu zaoferować swojego namiotu.

— Każdy, kogo ty przyprowadzasz, jest przeze mnie mile widziany — brzmiała odpowiedź. — Siadaj, cudzoziemcze! Jesteś zmęczony i głodny, winienesz więc coś przekąsić i odpocząć. Najpierw jednak zajmę się twoim koniem!

Było to typowe zachowanie się Araba: wpierw koń, a potem dopiero człowiek. Kiedy szejek wrócił, poznałem natychmiast z wyrazu jego twarzy, że mój wierzchowiec zrobił na nim wrażenie, wzbudził jego podziw, a tym samym szacunek dla mnie.

— Na Allaha! Masz szlachetne zwierzę! Znam tego konia. Oby ci długo służył!

— Skąd go znasz? — zapytałem.

— Jest to najlepszy rumak Haddedihnów.

— Haddedihnów znasz także?

— Oczywiście. Ale ciebie nie znam.

— Czy znasz szejka Haddedihnów? — On cię do mnie przysłał?

— Nie, a jednak przychodzę do ciebie jako posłaniec.

— Wypocznij wpierw, zanim zaczniesz opowiadać!

— Nie jestem zmęczony, a to co ci chcę powiedzieć, jest tak ważne, że byłoby lepiej, gdybyś mnie zaraz wysłuchał.

— Mów więc!

— Słyszałem, że Arabowie z plemienia Dżowari są twoimi wrogami.

— Tak jest istotnie — potwierdził zaszepiając się.

— Czy wiadomo ci również, że sprzymierzili się z plemionami Abu Hammed i Obeidów, aby zaatakować Haddedihnów na ich pastwiskach?

— Wiem o tym.



— Słyszałem także, że sprzymierzyłeś się z Alabeidami, celem ukarania gwałcicieli pokoju?

— Istotnie.

— Przybywam do ciebie, by omówić szczegóły tej sprawy.

— W takim razie witam cię jeszcze raz serdecznie! Posil się i nie opuszczaj nas, dopóki nie zwołam rady plemiennej!

Po niespełna godzinie siedziało wokół mnie ośmiu mężczyzn. Wszyscy jedli, odrywając duże kawałki z pieczonego barana, którego nam podano na posiłek. Tych ośmiu stanowiło starszyznę plemienia Abu Mohammed. Opowiedziałem im, w jaki sposób znalazłem się u Haddediwnów i jak stałem się posłańcem ich szejka.

— Co nam chcesz zaproponować? — spytał szejka.

— Nic. Macie więcej doświadczenia ode mnie. Nie godzi się, żeby młodszy udzielał rad starszym

— Mówisz jak mędrzec. Głowę masz młodą, ale rozum dojrzały. Gdyby tak nie było, Mohammed Emin nie wyznaczyłby ciebie na swojego posłańca. Mów! Wysłuchamy cię, a potem zadecydujemy.

— Ilu wojowników liczy twoje plemię?

— Dziewięciuset.

— A ilu jest Alabeidów?

— Ośmiuset.

— Razem stanowiłoby to tysiąc siedmiuset wojowników. Dokładnie połowę wojowników przeciwnika.

— Ilu wojowników mogą wystawić Haddediwnowie?

— Tysiąc stu. Liczebność szeregów nie zawsze jest jednak najważniejsza. Czy wiadomo wam, kiedy plemię Dżowari ma zamiar zjednoczyć się z plemieniem Abu Hammed?

— W najbliższy jom es sabt.

— Czy wiesz to na pewno?

— Mamy wśród ludzi Dżowari wiernego sprzymierzeńca.

— Gdzie mają spotkać się te plemiona?

— Przy ruinach miejscowości Khan Khernina.

— A potem?

— Potem mają się połączyć z Obeidami.

— Wiadomo gdzie?

— Pomiedzy wirem El Kelab a południowym krańcem gór Khanuke.

— Czy wiesz kiedy?

— W jom et tnen.

— Jesteś, jak widzę, dobrze poinformowany. Dokąd udadzą się następnie?

— Na pastwiska Haddediwnów.

— A co chcieliście przedsięwziąć?

— Chcemy napaść na namioty, w których pozostawią kobiety i dzieci, i uprowadzić ich trzody.

— Czy to rozsądne?

— Dlaczego nie? Odbierzemy to, co zostało nam zrabowane.

— Słusznie. Ale Haddediwnowie mają tylko tysiąc stu, a przeciwnicy trzy tysiące wojowników. Należy się liczyć z tym, że zjednoczeni przeciwnicy zwyciężą i popędzą za wami, żeby nie tylko odebrać wam łup, lecz zabrać wszystko, co posiadacie. Czyż nie mam racji?

— Masz rację. Sądziliśmy, że Haddediwnowie otrzymają pomoc od innych plemion Szammarów.

— Szammarowie mają własną kłopoty. Atakuje ich pasza Mosulu.

— To niedobrze! Co nam radzisz? Czy nie byłoby najlepiej likwidować wrogów po kolei?

— Zwyciężylibyście jedno plemię, a ostrzegli tym samym pozostałe. Nie. Wszystkich wrogów trzeba zaatakować równocześnie, bezpośrednio po ich połączeniu się, a więc przy wirach El Kelab. Jeśli się na to zgodzicie, to Mohammed Emin zszedłby ze swoimi wojownikami w poniedziałek z gór Khanuke i napadłby na zgromadzonych wrogów, podczas gdy wy zaszlibyście nieprzyjaciół od południa i wpędzili ich w odmetę El Kelabu.

Ten plan został po dłuższej naradzie przyjęty, a następnie szczegółowo omówiony. Na tym zesła większa część popołudnia i zbliżał się wieczór. Postanowiłem więc pozostać jeszcze przez noc w gościnnym obozie. Następnego dnia, wczesnym rankiem, przewieziono mnie na brzeg rzeki i odjechałem w kierunku, z którego przybyłem.

Moje zadanie, zapowiadające się jako trudne, wykonałem więc łatwo i prosto. Było mi niemal wstyd o tym mówić. Tak tanio nie wypadało wprost zdobyć wspaniałego rumaka. Cóż jednak mogłem zrobić poza tym? Może byłoby dobrze zapoznać się zawczasu z polem przyszłej walki? Nie mogłem się już opędzić od tej myśli. Nie przeprowiłem się więc przez Tharthar, lecz pojechałem wzdłuż jego lewego brzegu w kierunku północnym, aby dojechać do gór Khanuke. Dopiero u schyłku dnia przyszło mi na myśl, że ued Dzehennem, gdzie bawiąc z Anglikiem natknęliśmy się na koniokradów, może być częścią tych gór. Nie byłem tego pewien, jechałem jednak dalej, zbaczając później nieco w prawo, aby dotrzeć w pobliże góry Mukehil.

Słońce kryło się już za horyzontem, kiedy na linii widnokręgu zauważyłem dwóch jeźdźców, podążających z wielką szybkością w moim kierunku. Spostrzegłszy mnie, zatrzymali się chwilę, potem jednak zbliżali się do mnie.

Okiełznałem konia i oczekiwałem ich.

Dwaj mężczyźni byli w sile wieku.

— Kim jesteś? — spytał jeden z nich, ogarniając pożądlivym wzrokiem mojego konia.

Nie spotkałem się dotychczas z tak niegrzecznym rozpoczęciem rozmowy u żadnego z Arabów.

— Obcy — odrzekłem lakonicznie.

— Skąd przybywasz?

— Z zachodu, jak widzicie.

— Dokąd się wybierasz?

— Tam, dokąd mnie zaprowadzi przeznaczenie.

— Jedź z nami! Będziesz naszym gościem!

— Dziękuję ci. Mam już gościnnego gospodarza, który dba o to, bym miał odpowiednie miejsce odpoczynku.

— Kogo?

— Allaha. Bądźcie zdrowi!

Moja beztroska nie wyszła mi na dobre, gdyż nie zdążyłem się jeszcze odwrócić, gdy jeden z jeźdźców sięgnął za pas i w następnej chwili jego pałka wylądowała na mojej głowie z taką siłą, że natychmiast ześliznąłem się z siodła. Moje omdlenie nie trwało co prawda długo, rozbójnikom jednak udało się związać mnie w tym czasie.

— Es selam 'alejcum — odezwał się jeden z nich drwiąco. — Nie byliśmy uprzednio zbyt uprzejmi, dlatego nasza gościnność nie przypadła ci do smaku. Kim jesteś?

Nie odpowiedziałem.

— Kim jesteś?

Milczałem, mimo że pytając, poczęstował mnie kopniakiem.

— Zostaw go! — powiedział drugi. — Allah sprawi cud i otworzy mu usta. Ma jechać czy iść

pieszo?

— Iść!

Rozluźnili mi trochę rzemienie, krępujące mi nogi, i przywiązali mnie do strzemienia jednego z koni. Potem chwycili mojego rumaka za uzdę i ruszyliśmy prosto na wschód. Mając tak dobrego wierzchowca, stałem się więźniem. Człowiek niestety zbyt często wierzy w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Teren stopniowo się wznosił. Posuwaliśmy się między górami. Wreszcie spostrzegłem światła wielu ognisk, rozbłyszłych gdzieś w dolinie, gdyż tymczasem zapadła noc. Skręciwszy w dolinę, przejechaliśmy koło licznych namiotów i zatrzymaliśmy się wreszcie przed namiotem, z którego właśnie wychodził młody człowiek. Spojrzał na mnie i... poznaliśmy się od razu.

— Maszallah! Kim jest ten więzień? — spytał.

— Schwytaliśmy go na równinie. To obcy. Nie czeka nas z jego powodu krwawa zemsta. Przypatrz się koniowi, na którym jechał!

— Allah akbar, to przecież rumak Mohammeda Emina, szejka Haddedińów! Zaprowadźcie tego człowieka do namiotu szejka, mego ojca, żeby go przesłuchał. Ja zwołam pozostałych mężczyzn.

— Co zrobimy z koniem?

— Zostanie przed namiotem szejka!

— A broń więźnia?

— Wnieście ją do namiotu!

Pół godziny później stałem znów przed zgromadzeniem — lecz tym razem przed sędziami. Milczenie nic by mi tu nie pomogło, postanowiłem więc mówić.

— Znasz mnie? — spytał najstarszy w namiocie.

— Nie.

— Czy wiesz, gdzie się znajdujesz?

— Nie.

— Czy znasz tego dzielnego młodzieńca?

— Tak.

— Gdzie go widziałeś?

— Przy górze Dzehennem. Skradł cztery konie, które mu z powrotem odebrałem.

— Nie kłam!

— Kim jesteś, że śmiesz tak mówić do mnie?

— Jestem Zedar ben Huli, szejka plemienia Abu Hammed.

— Zedar ben Huli, szejka koniokradów!

— Milcz! Ten młody wojownik jest moim synem.

— Możesz być z niego dumny!

— Po raz drugi ci mówię: milcz! W przeciwnym razie pożałujesz tego! Kto jest koniokradem? Ty nim jesteś! Do kogo należy zwierzę, na którym jechałeś?

— Do mnie.

— Nie kłam!

— Zedarze ben Huli, podziękuj Allahowi, że mam związane ręce. Inaczej — nigdy więcej nie nazwałbyś mnie kłamcą.

— Zwiążcie go mocniej! — polecił. — A jednak kłamiesz. Znam dobrze tego ogiera. Jest własnością Mohammeda Emina, szejka Haddedińów. Jak wszedłeś w posiadanie tego konia?

— Mohammed Emin podarował mi go.

— Kłamiesz! Żaden Arab nie daje w prezencie tak szlachetnego wierzchowca.

— Już ci powiedziałem, żebyś podziękował Allahowi, że nie mam wolnych rąk.

— Z jakiej racji miałby ci podarować tego rumaka?

— To jest sprawa między nim a mną. Was to nic nie obchodzi. — Musiałeś szejkowi Haddedińów wyświadczyć wielką przysługę, skoro cię obdarzył takim prezentem. Nie chcemy cię o to dalej pytać. Kiedy opuściłeś Haddedińów?

— Przedwczoraj rano.

— Gdzie pasą się ich trzody?

— Nie wiem. Trzody Araba są raz tu, raz tam.

— Czy mógłbyś nas tam zaprowadzić?

— Nie.

— Gdzie byłeś od przedwczoraj?

— Wszędzie.

— Dobrze. Nie chcesz odpowiadać, to zobaczysz, co się z tobą stanie. Wyprowadźcie go!

Zaprowadzono mnie do małego, niskiego namiotu i związano. Do pilnowania mnie wyznaczono dwóch Beduinów. Usiedli w kucki po jednym z każdego mojego boku i spali na zmianę. Sądziłem, że dowiem się o swoim losie jeszcze tego wieczoru. Myliłem się jednak, gdyż jak się później dowiedziałem, zebranie zakończono, nie informując mnie o postanowieniach, jakie powzięto. Zasnąłem.

Miałem niespokojny sen. Śniło mi się, że nie leżę w namiocie nad Tygrysem, lecz znajduję się w jednej z oaz Sahary. Jasno płoną obozowe ogniska, a ludzie podają sobie z ręki do ręki naczynie z sokiem z palmy daktylowej i opowiadają baśnie. Nagle rozlega się donośny grzmot, którego nikt nie potrafi zapomnieć, kto go raz usłyszał — przeraźliwy ryk lwa. Zbliża się assad bej, czyli dusiciel trzód, aby upolować sobie coś na kolację. Coraz bliżej i donośniej słychać jego ryk i... obudziłem się.

Czy to był sen? Obok mnie leżeli obaj moi strażnicy. Jeden z nich odmawiał Al Fatihę. Ryk rozległ się ponownie. To była rzeczywistość — wokół obozu krążył lew!

— Czy słyszycie ryk lwa? — spytałem.

— Tak. Dziś już po raz trzeci nachodzi nasz obóz i wybiera sobie poszczególne sztuki trzody.

— No to go zabijcie!

— Kto go ma zabić, tego potężnego, dostojnego pana śmierci?

— Tchorze! Czy lew wchodzi również do wnętrza obozu?

— Nie. W przeciwnym razie mężczyźni nie staliby przed namiotami, żeby wyraźnie słyszeć, jak ryczy.

— Idź do szejka i powiedz mu, że zastrzelę lwa, jeśli dostanę swoją ciężką fuzję!

— Chyba oszalałeś!

— Jestem przy zdrowych zmysłach. Idź!

Ogarnęło mnie ogromne podniecenie. Mógłbym rozerwać swoje pęta. Po kilku minutach wrócił strażnik i rozwiązał mnie.

— Idź za mną! — polecił.

Na dworze stało wielu mężczyzn z bronią w ręku; żaden jednak nie miał odwagi wyjść spoza namiotów.

— Chciałeś ze mną mówić. Czego chcesz? — zapytał Zedar ben Huli.

— Pozwól mi zastrzelić tego lwa.

— Nie uda ci się go zabić. Dwudziestu naszych wojowników nie starczy, żeby go upolować, a wielu przy tym straciłoby życie.

— Zabiją go sam. Nie będzie to pierwszy upolowany przez mnie lew.

— Dobrze. Zgadzam się, jeśli się przy tym upierasz. Allah daje życie i Allah je zabiera.

Wszystko zapisane jest w Księdze.

— Daj mi więc moją fuzję!

— Którą?

— Tę ciężką oraz mój nóż.

— Przynieście mu obie rzeczy! — rozkazał szejk.

Pocziwiec myślał zapewne, że zginę, a on wówczas bezsprzecznie odziedziczy mego konia. O to mu chodziło. Mnie natomiast zależało na lwie, na wolności, a zarazem na koniu. Wszystko to mogłem zdobyć, mając w ręku swoją fuzję.

Przyniesiono mi ją razem z nożem.

— Czy nie zechciałbyś, szejku, polecić, żeby mi rozwiązano ręce? — Czy naprawdę chcesz zabić tylko lwa? — zapytał.

— Tak. Z tej fuzji będę strzelał tylko do lwa.

— Rozwiążcie mu więc ręce!

Teraz byłem wolny. Moja pozostała broń znajdowała się w namiocie szejka, a przed tym namiotem stał mój rumak. Nie obawiałem się już niczego.

Była to pora, kiedy lew lubi krążyć wokół trzody, mianowicie tuż przed świtem. Sprawdziłem, czy mam w pasie woreczek z nabojami, potem podszedłem aż do pierwszego namiotu. Zatrzymałem się chwilę, aby przyzwyczać wzrok do ciemności. Przed sobą i po bokach zauważyłem kilka wielbłądów i liczne owce, zbite w gromadę. Psy, pilnujące trzód nocą, pochowały się w namiotach lub za nimi.

Położywszy się na ziemi, czołgałem się cicho i powoli naprzód. Wiedziałem, że prędzej poczuję lwa, niż go w ciemności zobaczę. Wtem — wydało mi się, jakby ziemia zadrżała pode mną i z boku rozległ się grzmiący pomruk lwa, a kilka chwil później usłyszałem głuchy odgłos, jakby dwa ciężkie ciała zderzyły się z sobą, potem zaś rozległy się jęki i trzask miażdżonych kości, i oto najwyżej dwadzieścia kroków przede mną rozbłyły dwie iskrzące się ogniste kule. Znałem ten zielonkawy blask. Szybko podniosłem strzelbę, wycelowałem mimo słabej widoczności najlepiej jak mogłem i pociągnąłem za cyngiel.

Okropny ryk przeszył powietrze. Błysk mego strzału ukazał lwu jego wroga. Ale ja także zobaczyłem rabusia, leżącego na grzbiecie wielbłąda i miażdżącego mu kark zębami. Czy trafiłem lwa? Duży, ciemny przedmiot przeleciał w powietrzu i runął zaledwie trzy kroki przede mną na ziemię. Zielony blask ślepiów pojawił się znowu.

Skok lwa był bądź to źle obliczony, bądź też zwierzę zostało jednak trafione. Klęczałem jeszcze z karabinem, gotowym do strzału, i wycelowałem po raz drugi, już nie między oczy, lecz prosto w jedno oko zwierzęcia. Potem błyskawicznie rzuciłem fuzję i chwyciłem za nóż. Ale lew mnie nie zaatakował; śmiertelny strzał odrzucił go wstecz. Mimo to cofnąłem się kilka kroków, aby ponownie załadować fuzję. Wokół panowała cisza. W obozie także nie było słyhać najmniejszego szmeru. Sądono zapewne, że nie żyję.

Skoro tylko blask budzącego się dnia wydobył z mroku rozciągnięte na ziemi cielsko lwa, podszedłem doń. Był martwy. Zabrałem się więc do ściągania z niego skóry. Miałem powody, żeby nie czekać z tą czynnością zbyt długo. Ani mi się śniło pozostawić komu innemu dowód mojego zwycięstwa. Wykonywałem tę pracę, kierując się bardziej wyczuciem niż wzrokiem, i ukończyłem ją, kiedy się już dobrze rozwidniło.

Przewiesiłem skórę przez plecy i wróciłem do obozu. Był to właściwie mały obóz, stanowiący

jakby filię głównego zbójckiego obozowiska plemienia Abu Hammed. Wszyscy, a więc mężczyźni, kobiety i dzieci, oczekiwali mnie przed swoimi namiotami. Ujrzawszy mnie, podnieśli ogromną wrzawę. Wzywali i chwalili Allaha wszelkimi jego przymiotami, a setki rąk wyciągnęły się po mój łup.

— Zabiłeś lwa? — zawołał Zedar ben Huli. — Naprawdę? Sam?

— Sam!

— To posiadasz talizman, przy pomocy którego możesz dokonywać takich czynów.

— Oczywiście.

— Gdzie go masz?

— Tutaj!

Podsunałem mu pod nos swoją fuzję.

— To nie to. Nie chcesz mi powiedzieć. Gdzie leży zabity lew?

— Na prawo, przed namiotami. Idźcie po niego!

Większość obecnych oddaliła się, biegnąc we wskazanym kierunku. O to mi chodziło.

— Do kogo należy skóra lwa? — spytał szejk, spoglądając na nią pożądliwie.

— O tym postanowimy w namiocie — rzekłem. — Wejdzmy! Szejk wszedł za mną do namiotu, a za nim starszyzna rodowa.

Ogółem znalazło się w środku zaledwie dziesięciu lub dwunastu mężczyzn. Wchodząc do namiotu, spostrzegłem swoją broń; wisiała na drewnianym gwoździu. Podeszedłem szybko, zerwałem ją, przerzuciłem sobie strzelbę przez plecy, a sztucer wziąłem w rękę. Lwia skóra z uwagi na jej wielkość i ciężar bardzo mi zawadzała, trzeba było jednak zaryzykować. W mig znalazłem się przy wyjściu z namiotu.

— Zedarze ben Huli, obiecałem ci, że z tej fuzji będę strzelać tylko do lwa, lecz nie powiedziałem, w jakim celu użyję innej broni.

— Ta broń jest teraz moją własnością. Oddaj ją!

— Miejsce mojej broni jest w mojej ręce, więc ją zatrzymam.

— On ucieknie — chwytajcie go! Podniosłem sztucer do strzału.

— Stójcie! Kto się odważy mnie zatrzymać, padnie od kuli! Zedarze ben Huli dziękuję ci za gościnne przyjęcie. Zobaczymy się jeszcze.

Wycofałem się tyłem z namiotu. Przez minutę nikt się nie odważył podążyć za mną. Wszystkich paraliżował strach przed zabójcą lwa. Ten krótki czas wystarczył mi, żeby dosiąść konia i położyć skórę lwa przed sobą. Kiedy namiot otwarto, galopowałem już u wylotu z obozu.

Za mną i z miejsca, gdzie leżał lew odarty ze skóry, rozległy się wściekłe okrzyki. Zauważyłem, że wszyscy biegli po broń i do koni. Opuściwszy obóz, jechałem stępą. Rumak się płoszył; nie mógł znieść zapachu lwiej skóry i parskał bojaźliwie na boki. Obejrzałem się i zobaczyłem, że moi prześladowcy ukazują się między namiotami. Puściłem konia kłusem i dopiero, kiedy najbliższy wojownik znalazł się w odległości strzału, miałem zamiar przyspieszyć bieg rumaka. Rozmyśliłem się jednak. Wstrzymałem wierzchowca, obróciłem się i wycelowałem. Padł strzał i koń wraz z jeźdźcem runął na ziemię. Tym koniokrądom należała się nauczka. Teraz dopiero pojechałem galopem, wprowadziwszy uprzednio nowy nabój do fuzji.

Kiedy się ponownie obejrzałem, stwierdziłem, że dwóch wojowników znowu mnie dogania. Ich strzały nie dosięgłyby mnie. Wstrzymałem jednak wierzchowca i wycelowałem. Rozległy się dwa strzały i dwa konie padły. Tego już było ścigającym za wiele. Przestraszyli się i zaniechali pościgu. Obejrzawszy się po dłuższym czasie ponownie, zobaczyłem ich daleko za sobą. Śledzili już tylko moje ślady.

Chcąc zwieść wojowników Abu Hammeda, pędziłem przez godzinę prosto na zachód. Potem, na kamienistym gruncie, na którym ślady kopyt końskich były niewidoczne, skręciłem na północ i już koło południa dotarłem do Tygrysu w miejscu, gdy od wschodu wpada doń rzeczka Zab el Asfal, czyli Mały Zab. W tym miejscu na zachodnim brzegu Tygrysu, góry Khanuke przechodzą w pasmo Mukehil. Są to pojedyncze wzniesienia, pomiędzy którymi rozciągają się głębokie, lecz niezbyt szerokie doliny. Najszerszą z nich w każdym razie obrali sobie wrogowie na przemarsz swoich hord. Starłem się więc zapamiętać możliwie dokładnie okolicę i dojścia do niej. Potem jechałem znów w kierunku rzeki Tharthar, przez którą przepравиłem się po południu. Tęskniłem do przyjaciół, nie chciałem jednak zanadto męczyć konia. Postanowiłem więc jeszcze jedną noc spędzić w terenie.

## PRZYBYCIE ATEIBEHÓW

Następnego dnia koło południa ukazała, się moim oczom jedna z trzód owiec Haddedińców. Pogalopowałem, w kierunku obozu, nie zważając na okrzyki, rozlegające się ze wszystkich stron. Słyszając ten hałas, szejk zorientował się, że dzieje się coś niezwykłego i wyszedł właśnie w momencie, kiedy zatrzymałem się przed jego namiotem.

— El hamdulillah, Bogu dzięki, że wróciłeś! — pozdrowił mnie. — Jak ci się powiodło?

— Dobrze.

— Dowiedziałeś się czegoś?

— Zwołaj starszycę! Zdam wam relację ze swojej wyprawy. Mohammed Emin dopiero teraz spostrzegł lwią skórę, którą zrzuciłem z konia.

— Maszallah, toż to lew! Jak zdobyłeś tę skórę? — Ściągnąłem ją z „pana grzmotu”.

— To rozmawiałeś z nim? Ilu myśliwych było przy tym? — Nie było żadnego.

— Allah niech będzie z tobą, żeby cię twoja pamięć nie opuściła!

— Byłem sam! — Gdzie to było?

— W obozie plemienia Abu Hammed.

— Tam by cię zabito!

— Ale tego nie zrobiono, jak widzisz. Nawet Zedar ben Huli zostawił mnie przy życiu.

— Jego także widziałeś?

— Owszem. Zastrzeliłem mu trzy konie. — Opowiedz, jak to było!

— Nie teraz i nie tylko tobie, gdyż musiałbym o wszystkim opowiadać kilkakrotnie. Zwołaj ludzi i wówczas usłyszysz o wszystkim w szczegółach!

Mohammed Emin odszedł spełnić moje życzenie. Kiedy chciałem wejść do jego namiotu, ujrzałem Anglika, pędzącego co tchu w moim kierunku.

— Dowiedziałem się właśnie, że pan wrócił, sir — wołał już z daleka. — Znalazł pan?

— Tak, wrogów, przysze pole walki i wszystko.

— Ba! A ruiny?

— Także.

— Pięknie, bardzo dobrze! Będę kopał, znajdował i wysyłał do Londynu. Wpierw jednak zapewne trzeba będzie walczyć?

— Tak, sir Dawidzie.

— Dobrze. Będę się bił jak Bayard. Ja też coś znalazłem.

— Co pan znalazł?

— Coś niezwykłego, pismo.

— Gdzie?

— Dziura, tu w pobliżu. Cegła. — Pismo na cegle?

— Tak. Pismo klinowe. Potrafi je pan odczytać?

— Mniej więcej.

— Ja nie znam pisma klinowego. Zechce pan zobaczyć.

— Gdzie jest ten kamień?

— W namiocie. Ja zaraz przynieść.

Lindsay wyszedł i niebawem przyniósł swoje cenne znalezisko.



— Tu, pan obejrzyć, czytać!

Kamień był niemal zupełnie rozkruszony; nieliczne znaki klinowe zwietrzałego napisu ledwie dało się odróżnić.

— No co? — spytał Dawid Lindsay zaciekawiony.

— Niech pan poczeka! To nie takie łatwe, jak się panu wydaje. Tylko trzy słowa tego napisu dałoby się ewentualnie odcyfrować. Jeśli się nie mylę, są to słowa: „tetuda Babrut ésis.”

— Co to znaczy?

— Wzniesiono na chwałę Babilonu.

Pocziwy Anglik rozdziawił usta na kształt czworokąta, od ucha do ucha.

— Czy pan to prawidłowo odczytał, sir?

— Tak sędzę.

— Co z tego wnioskować?

— Wszystko i nic.

— Hm! Przecież tu wcale nie Babilon.

— Niech sobie będzie choćby Rio de Janeiro. Niech pan sobie to sam rozwiąże. Ja teraz nie mam na to czasu.

— Ale po co pana zabrałem ze sobą?

— Dobrze. Proszę przechować tę ceglaną bryłę do chwili, kiedy znajdę trochę czasu!

— Dobrze. Co pan ma do zrobienia?

— Zaraz odbędzie się narada, podczas której mam opowiedzieć swoje przygody.

— Wezmę w niej także udział.

— Wpierw jednak muszę coś zjeść. Jestem głodny jak wilk.

— Chętnie również coś przekąszę. Lindsay wszedł ze mną do namiotu.

— Jak pan sobie radził ze swoją arabszczyzną? — spytałem.

— Marnie! Proszę o chleb — Arab przynosi mi buty; proszę o kapelusz — Arab przynosi sól; domagam się strzelby — Arab przynosi chustkę na głowę. Okropne, straszne! Więcej się panu nie pozwolę oddalać.

Po powrocie szejka nie czekałem długo na posiłek. Podczas jedzenia zgromadziła się starszyzna plemienna. Zapalono fajki, roznoszono kawę. Arabowie milcząco i cierpliwie czekali, aż zaspokoję swój głód. Wreszcie rozpocząłem:

— Postawiliście mi trudne zadanie, lecz wbrew obawom udało mi się z niego łatwo wywiązać. Poza tym przynoszę wam tak dokładne wiadomości, jakich na pewno nie oczekiwaliście.

— Opowiadaj! — poprosił szejka.

— Wrogowie ukończyli już swoje przygotowania do wojennej wyprawy. Wyznaczono miejsca, gdzie się mają zjednoczyć poszczególne plemiona i podano terminy, w których to ma nastąpić.

— Ale nie mogłeś się tego dowiedzieć.

— A jednak dowiedziałem się. Plemię Dżowari spotka się z plemieniem Abu Hammed w sobotę przy ruinach Khan Khernina. Oba te plemiona zejdą się potem w poniedziałek między wirami El Kaleb a krańcem gór Khanuke z Obeidami.

— Wiesz to na pewno?

— Tak.

— Od kogo?

— Od szejka plemienia Abu Mohammed,

— Rozmawiałeś z nim?

— Byłem nawet w jego namiocie.

— Plemiona Abu Mohammed i Dżowari waśnią się z sobą.

— Szejek mówił mi o tym. Zna twojego rumaka i jest twoim przyjacielem. Dlatego wraz z plemieniem Alabeidów przyjdzie ci z pomocą.

Słyszając to, wszyscy obecni na naradzie podskoczyli z radości. Ściskając, omal mnie nie udusili. Potem musiałem wszystko szczegółowo opowiedzieć. We wszystko uwierzyli, zdawali się jednak wątpić w to, że sam i w dodatku nocą upolowałem lwa. Arab zwykł atakować to zwierzę tylko podczas dnia i w możliwie liczonym towarzystwie. Pokazałem im w końcu lwią skórę.

— Czy w tej skórze jest dziura? — spytałem. Obejrzano moją zdobycz bardzo uważnie.

— Nie — orzekli.

— Kiedy wy zabijecie lwa, w jego skórze znajdzie się wiele dziur — kontynuowałem. — Ja natomiast poczęstowałem to zwierzę tylko dwiema kulkami. Przypatrzcie się! Pierwszy raz wycelowałem za wysoko, gdyż lew był zbyt daleko ode mnie, i w ciemności nie mogłem celować dokładnie. Kula drasnęła tylko skórę na głowie zwierzęcia i zraniła je w ucho. Tu jest to miejsce. Drugą kulę wystrzeliłem, kiedy lew znalazł się dwa do trzech kroków przede mną i szykował się powtórnie do skoku. Kula weszła mu w lewe oko. Widać to tu, gdzie skóra jest osmalona.

— Allah akbar, to prawda. Pozwoliłeś temu straszному zwierzęciu podejść tak blisko, że proch twojej strzelby spalił mu sierść. A gdyby cię ten zwierz pożarł?

— Byłoby to zapisane w księdze przeznaczenia. Przywiozłem tę skórę dla ciebie szejku. Weź ją ode mnie i niech będzie ozdobą twojego namiotu!

— Czy mówisz to poważnie? — spytał Mohammed Emin, ucieszony.

— Poważnie.

— Dziękuję ci efendi Kara ben Nemsi. Będę spał na tej skórze i odwaga lwa wejdzie w moje serce.

— Nie potrzeba skóry lwa, żeby w twoje serce wstąpiła odwaga, której będziesz niebawem potrzebował.

— Czy weźmiesz udział w walce przeciwko naszym wrogom?

— Tak. To są złodzieje i mordercy, i nastawali również na moje życie. Oddaję się pod twoją komendę, a mój przyjaciel postąpi tak samo.

— Nie. Ty nie masz słuchać, lecz rozkazywać. Będziesz dowódcą jednego z oddziałów.

— O tym pomówimy później! Teraz jednak pozwól mi wziąć udział w waszej naradzie!

— Masz rację. Musimy się naradzić, gdyż do rozprawy pozostaje jeszcze tylko pięć dni.

— Czyż nie powiedziałaś mi, że wystarczy ci jeden dzień, żeby zgromadzić wojowników plemienia Haddedińów?

— Tak jest istotnie.

— Na twoim miejscu rozesłałbym posłańców jeszcze dzisiaj. .

— Dlaczego jeszcze dzisiaj?

— Bo nie wystarczy, że wojownicy będą zgromadzeni. Trzeba ich jeszcze przysposobić do walki.

Mohammed Emin uśmiechnął się dumnie.

— Synowie Haddedińów — rzekł — już od chłopięcych lat są obeznani z walką. Pokonamy naszych wrogów. Ilu zdatnych do walki mężczyzn posiada plemię Abu Mohammed?

— Dziewięciuset.

— A plemię Alabeidów?

— Ośmiuset.

— Mamy więc razem dwa tysiące ośmiuset wojowników. Do tego trzeba wziąć pod uwagę

zaskoczenie, gdyż wróg się nas nie spodziewa. Musimy zwyciężyć!

— Albo zostaniemy pokonani.

— Co słyszę? Zabijasz lwa, a boisz się wroga w ludzkiej postaci?

— Mylisz się. Nie brakuje mi odwagi, lecz odwagę liczy się podwójnie, kiedy towarzyszy jej ostrożność. Czy nie uważasz za możliwe, że plemiona Alabeidów i Abu Hammed przybędą za późno?

— To jest możliwe.

— Wówczas naszych tysiąc stu będzie miało przeciwko sobie trzy tysiące wojowników. Wróg zniszczy najpierw nas, a potem naszych przyjaciół. Jak łatwo może się dowiedzieć, że chcemy mu wyjść naprzeciw! Odpadnie wtedy również zaskoczenie. A co na tym zyskasz, jeśli w walce odeprzesz tylko natarcie nieprzyjaciela? Gdybym był szejkiem Haddedińów, rozgromiłbym wroga tak, żeby przez długi czas nie mógł podnieść się z upadku i musiał mi płacić roczną daninę.

— Jak byś tego dokonał?

— Walczyłbym nie jak Arabowie, lecz jak Frankowie.

— A jak oni walczą?

I oto ja, o ironio, laik w wojennym rzemiośle, zacząłem wygłaszać mowę o europejskiej sztuce wojennej. Ale musiałem przecież pomóc tym dzielnym Haddedińom. Biorąc udział w ich sprawach, bynajmniej nie uważałem, że sprzeniewierzam się swoim ziomkom. Postanowiłem starać się łagodzić okrucieństwa, które zwykle towarzyszą zwycięstwom, odnoszonym przez tych półdzikich ludzi. Opisałem więc najpierw ich sposób walki i przedstawiłem jej ujemne skutki. Potem dopiero zacząłem wyjaśniać, na czym polegają korzyści europejskiego sposobu wojowania. Słuchano mnie uważnie. Długa cisza, jaka zapanowała, kiedy skończyłem swój wywód, pozwalała mi ocenić wrażenie, jakie wywarły moje słowa na zebranych. Szejek pierwszy zabrał głos.

— Twoja mowa jest dobra i prawdziwa; sposób, jaki podajesz, mógłby nam przynieść zwycięstwo i wielu naszym ludziom ocalić życie, gdybyśmy mieli czas na przygotowanie się do tego rodzaju walki.

— Mamy tyle czasu.

— Czyż nie mówiłeś, że potrzeba lat, aby wyszkolić taką armię?

— Tak powiedziałem. Ale nam nie chodzi przecież o całkowite wyszkolenie armii, lecz o przyswojenie sobie jedynie potrzebnych umiejętności, aby zaskoczyć wroga na określonym terenie; a do tego wystarczy przygotowanie dwudniowe. Jeśli dziś jeszcze roześlesz posłańców, wojownicy zbiorą się tu jutro. Nauczę ich zwartego ataku konnego, który z miejsca obali wrogie szeregi, oraz wyćwiczę ich w walce z bronią palną w rękę.

Zdjąłem ze ściany kijek do poganiania wielbłądów i wyrysowałem nim na ziemi plan sytuacyjny.

— Spójrz tutaj! Tu płynie Tygrys, tu znajdują się wiry El Kelab, tu wznoszą się góry Mukehil, a tutaj góry Khanuke. Wrogowie zbierają się w tym miejscu. Dwa połączone plemiona posuwają się będą w górę rzeki, wzdłuż jej prawego brzegu, za nimi pójdą niepostrzeżenie nasi sprzymierzeńcy, a plemię Obeidów nadejdzie od lewego brzegu. Aby dotrzeć do nas, musi przejść między tymi górami. Wszystkie te drogi prowadzą do wielkiego uedu Deradz, zwanego Doliną Stopni, ponieważ strome ściany tej suchej doliny pustynnej wznoszą się na kształt schodów. Do tej doliny jest tylko jedno wejście, a z niej tylko jedno Wyjście. Tu musimy oczekiwać wroga. Obsadzimy grzbiet doliny strzelcami, którzy ostrzelają nieprzyjaciela, sami pozostając poza zasięgiem jego wzroku. Wyjście z uedu zamkniemy nasypem, bronionym również przez strzelców, a tu, w tych dwóch bocznych wąwozach, ukryją się jeźdźcy, którzy wyskoczą, jak tylko wszyscy wrogowie znajdą się w dolinie. Przy wejściu do doliny zajdą ich od tyłu nasi sprzymierzeńcy. Gdyby ci przypadkiem nie przybyli na czas, to wróg i tak natknąłby się na nich podczas ucieczki.

— Maszallah, twoja mowa jest jak słowo Proroka, który zdobył świat. Skorzystam z twojej rady, jeśli wszyscy się na nią zgodzą. Kto jest przeciwny?

Nikt nie zaoponował, wobec czego szejk oznajmił:

— Natychmiast roześlę posłańców.

— Słusznie, szejku. Bądź jednak ostrożny. Niech posłańcy nie mówią wojownikom, o co chodzi. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że wróg dowiedziałby się o naszych zamiarach.

Mohammed Emin zgodził się z moim poglądem. Wszedł z namiotu. Sir Dawid Lindsay przysłuchiwał się tej długiej rozmowie z widoczną niecierpliwością. Teraz dorwał się do głosu.

— Sir, ja też tu jeszcze jestem.

— Widzę.

— Chciałbym także coś usłyszeć.

— O moich przeżyciach?

— Tak!

— Mógł pan przewidzieć, że nie będę wygłaszał odczytu w języku angielskim. Chętnie jednak teraz poinformuję pana o sprawach najważniejszych.

Opowiedziałem mu krótko o swoich przygodach i poinformowałem o treści narady. Był zachwycony.

— Ach! Więc nie dziki atak, lecz po wojskowemu! Taktyka! Strategia! Otoczyć wroga! Planowy atak! Wspaniale! Znakomicie! Będę uczestniczył. Pan będzie generałem, ja adiutantem.

— Cudownie byśmy się obaj prezentowali na tych stanowiskach. Generał, który tak się zna na prowadzeniu wojny jak hipopotam na siatkowych robótkach, i adiutant, który nie zna języka i wobec tego nie umie się z nikim porozumieć! Zresztą radzę panu, żeby się pan trzymał z dala od tej sprawy.

— Dlaczego?

— Z powodu wicekonsula w Mosulu.

— Ach! A to czemu?

— Przypuszcza się, że on macza palce w tej sprawie.

— To niech je wyjmie! Co mnie obchodzi konsul? Coś takiego! Wrócił Mohammed Emin. Wysłał posłańców, lecz zaczęły go prześladować różne nowe myśli.

— Czy szejk plemienia Abu Mohammed powiedział ci, jakiej części łupu oczekuje?

— Nie było mowy o podziale łupu.

— Czego żądają Alabeidowie?

— Nie wiem.

— Powinieneś być zapytać o to.

— Jako przywódca Haddedińców nie pytałbym o łupy.

— Maszallah! A o cóż by poza tym? Kto mi zwróci straty?

— Zwyciężony wróg.

— A więc będę jednak musiał najechać jego pastwiska, uprowadzić jego kobiety i dzieci oraz jego trzody.

— To nie jest konieczne. Chcesz prowadzić wojnę z kobietami? Jeńców, których mam nadzieję weźmiemy do niewoli, nie zwolnisz prędzej, dopóki nie otrzymasz tego, czego żadasz. Jeśli nasze zwycięstwo będzie zupełne, zrobisz najlepiej żądając rocznej daniny i zatrzymując szejka lub kilku jego krewnych jako zakładników.

Po naradzie, moja propozycja została przyjęta.

— A teraz jeszcze coś bardzo ważnego — dodałem. — Musimy koniecznie wiedzieć o wszelkich ruchach naszych nieprzyjaciół i naszych sprzymierzeńców. Trzeba więc stąd aż do Ed Deradz

wystawić posterunki.

— Jak to rozumiesz?

— W Ed Deradż ukryją się dwaj nasi wojownicy i to tacy, co do których jesteś przekonany, że są roztropni i wierni. Nie mogą się pokazywać nikomu i muszą bacznie obserwować wszystko, co się dzieje. Począwszy od Ed Deradż aż do miejsca, w którym się znajdujemy, rozstawisz ludzi w odpowiednich odległościach; wystarczy, czterech. Muszą uważać, żeby ich nikt z obcych nie zauważył. Będą nas informować o wszystkim, czego dowiedzą się ci dwaj pierwsi. Jeden drugiemu będzie zanosił wiadomości, a potem wróci na swój posterunek.

— Ten plan jest dobry — rzeki szejka. — Zastosuję się do niego.

— Taką samą sieć posterunków, lecz trochę rozleglejszą, rozciągniesz między naszym obozem a pastwiskami plemienia Abu Mohammed. Omówiłem już tę sprawę z ich szejkiem. Połowę posterunków obsadzi swoimi ludźmi. Jego najbardziej wysunięty posterunek będzie się znajdował przy ruinach El Farr.

— Ilu moich ludzi będzie potrzeba na tej przestrzeni?

— Tylko sześciu. Plemię Abu Mohammed wystawi tyluż swoich. Ilu wojowników masz tu w obozie?

— Około czterystu.

— Proszę cię, zwołaj wszystkich. Musisz jeszcze dzisiaj dokonać ich przeglądu, a potem będziemy mogli rozpocząć ćwiczenia.

Zrobiliśmy lustrację wojska i jego uzbrojenia. Wszyscy żołnierze byli konno. Każdy miał nóż, szablę i długą, ozdobioną piórami lancę, która po dobrym przeszkoleniu mogła być straszną bronią. Wielu posiadało niebezpieczną pałkę lub krótki oszczep. Broń palna pozostawiała wiele do życzenia. Niektórzy wojownicy wyposażeni byli w stare, skórzane tarcze, kołczany pełne strzał oraz w łuki. Inni mieli strzelby, zaopatrzone w lonty. Te mogły być niebezpieczniejsze dla ich właścicieli niż dla wroga. Pozostali żołnierze dzierżyli odtylcówki z bardzo długimi lufami.

Wszystkich z bronią palną zatrzymałem, a innych odesłałem polecając im, żeby stawili się na placu następnego dnia wczesnym rankiem. Strzelcom poleciłem zsiąść z koni i wykazać się swoją biegłością w strzelaniu. Na ogół mogłem być z nich zadowolony. Było ich około dwustu. Utworzyłem z nich dwa oddziały i rozpocząłem szkolenie. Mieli się nauczyć maszerować i biegać równym krokiem i utrzymywać szybki ogień. Haddedihowie byli przyzwyczajeni atakować tylko konno, prowadząc walkę zaczepną i nie stawiając wrogowi oporu stanowczo i do końca. Teraz należało doprowadzać do tego, by pieszo wytrzymali natarcie wroga.

Następnego ranka zająłem się pozostałymi wojownikami. Chodziło o to, żeby im przyswoić umiejętność zwartego atakowania lancami. po uprzednim ostrzelaniu nieprzyjaciela z broni palnej. Trzeba przyznać, że ludzie byli pojętni i pełni entuzjazmu.

Pod wieczór usłyszeliśmy o uzyskaniu połączenia z plemieniem Abu Mohammed i zarazem otrzymaliśmy wiadomość, że jego szejka został już poinformowany o mojej przygodzie w obozie plemienia Abu Hammed. Wysłaliśmy odpowiedź i od tej chwili utrzymywana była bezustannie łączność między posterunkami.

Było już prawie ciemno, kiedy ponownie dosiadłem rumaka, aby odbyć szybką przejażdżkę w step. Nie ujechałem daleko, gdy ujrzałem dwóch jeźdźców, zbliżających się z naprzeciwka. Jeden był średniego wzrostu, o pospolitym wyglądzie, postać drugiego natomiast rzucała się w oczy, był bowiem niezwykle mały. Zdawał się bardzo pochłonięty rozmową ze swoim towarzyszem. Wywijał przy tym rękami i nogami w powietrzu, jakby odganiał komary. Mimo woli przypominał mi mojego małego Halefa.

Zatrzymałem swego konia tuż przed jeźdźcami.

— Maszallah! Sihdi, czy to naprawdę ty? Tak, to był on, mały Hadzi Halef Omar!

— Ja — potwierdziłem. — Już z daleka cię poznałem.

Halef zeskoczył z konia i chwycił moją szatę, żeby ją z radości ucałować.

— Hamdulillah, chwała Bogu, że cię znowu widzę, sihdi! Tęskniłem za tobą jak dzień za słońcem,

— Jak się miewa czcigodny szejka Malek? — spytałem.

— Dobrze.

— A Amsza?

— Tak samo.

— A jak się czuje twoja przyjaciółka, Hanneh?

— O, sihdi, ona jest jak przedsiónek raj.

— A pozostali członkowie plemienia?

— Polecili mi cię pozdrowić, jeśli cię spotkam.

— Gdzie się znajdują?

— Zostali nad Eufratem i posłali mnie naprzód, abym uprosił szejka Haddedińów o przyjęcie nas do ich grona.

— Zatroszczyłem się już o was. Niedaleko stąd znajduje się obóz Haddedińów.

— Czy Mohammed Emin nas przyjmie? Znasz go?

— Znam go i już z nim o was mówiłem. Przypatrz się temu ogierowi! Jak ci się podoba?

— Już go podziwiałem, sihdi. To pewnie potomek klaczy z Koheli.

— Ten rumak należy do mnie. Jest prezentem od szejka. Z tego możesz wywnioskować, że Mohammed Emin jest moim przyjacielem.

— Oby Allah obdarzył go długim życiem! I twierdzisz, że nas przyjmie?

— Z otwartymi rękami. Jedźcie teraz za mną! Ruszyliśmy.

— Sihdi — odezwał się Halef. — Niezbadane są wyroki Allaha. Sądziłem, że długo będę musiał się o ciebie dopytywać, tymczasem pierwszym człowiekiem, którego spotkałem, jesteś właśnie ty. Jak trafiłeś do Haddedińów?

Opowiedziałem mu pokrótce swoje przygody, a potem zapytałem:

— Czy wiesz, kim jestem teraz u szejka Mohammeda Emina?

— No kim?

— Generałem.

— Generałem? Czy on ma armię?

— Niewielką. Lecz musi prowadzić wojnę.

— Przeciw komu?

— Przeciwko plemionom Obeidów, Abu Hammed i Dżowari.

— To są rozbójnicy, którzy mieszkają nad Zabem i Tygrysem. Dużo złego o nich słyszałem.

— Zbroją się przeciwko Mohammedowi Eminowi i chcą go napaść zniemacka. Dowiedzieliśmy się jednakże o tym i teraz jestem generałem, który przygotowuje wojowników szejka do tej wojny.

— Tak, sihdi, wiem, że znasz się na wszystkim i wszystko umiesz. To szczęście, że już nie jesteś giaurem.

— Naprawdę nie jestem giaurem?

— Przecież nawróciłeś się na prawdziwą wiarę.

— Kto ci to powiedział?

— Byłeś w Mekce i nosisz przy sobie wodę ze świętego źródła Zemzem. Stałeś się więc

prawowitym muzułmaninem. Czyż nie mówiłem ci zawsze, że cię nawrócę, niezależnie od twojej woli?

Dotarłszy do obozu, zsiadliśmy z koni przed namiotem szejka, którego zastaliśmy w otoczeniu jego rady.

— Es selam 'alejkum! — pozdrowił Halef.

Tak samo postąpił jego towarzysz. Mnie przypadło w udziale przedstawić obydwóch.

— Pozwól, szejku, przyprowadzam ci dwóch mężczyzn, którzy chcą z tobą mówić. Ten nazywa się Fehim, a ten drugi to Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah, o którym ci już opowiadałem.

— To o nim mi mówiłeś?

— Tak. Nie wymieniłem tylko wszystkich jego imion i tytułów, lecz nazwałem go krótko: Hadzi Halef Omar.

— To jest twój służący i towarzysz podróży?

— Tak.

— Ten, który zabił Abu Seifa, „ojca szabli”?

— Tak. Halef należy teraz do plemienia Ateibehów, których szejkiem jest twój przyjaciel, Malek.

— Witajcie mężowie Ateibeha! Witaj Hadzi Halefie Omarze! Jesteś człowiekiem drobnej postury, lecz wielkiej odwagi. Twoje męstwo jest godne podziwu. Oby wszyscy mężczyźni byli tacy jak ty. Czy przynosisz mi wiadomości od mojego przyjaciela Maleka?

— Tak jest. Pozdrawia cię i zapytuje, czy zechcesz przyjąć jego ludzi do plemienia Haddedihnów.

— Znam jego los, lecz przyjmę go z radością. Gdzie się teraz znajduje?

— Nad Eufratem, w okolicy Hitu. Słyszałem, że potrzebujesz wojowników?

— Istotnie. Między nami a naszymi sąsiadami zapanowały wrogie stosunki.

— Przyprowadzę ci sześćdziesięciu dzielnych ludzi.

— Sześćdziesięciu? Mój przyjaciel, Kara ben Nemsu powiedział mi przecież, że was jest mniej.

— Podczas wędrówki powiększyły się nasze szeregi o wojowników z rozproszonego plemienia.

— Jakie macie uzbrojenie?

— Szable, sztylety, noże i same dobre strzelby. Większość ma nawet pistolety. Mój pan powie ci, jak się umiem obchodzić z bronią. Czy ktoś z nas ma zaraz wyruszyć po szejka Maleka z jego ludźmi? Potrzebujecie przecież wojowników.

— Jesteście zmęczeni.

— Nie tak bardzo. Zaraz pojedę z powrotem.

Fehim wtrącił się do rozmowy.

— Znalazłeś swego pana i powinienesz przy nim pozostać. Ja pojedę.

— Posil się wpraw — rzekł szejk.

— Panie, mam na koniu bukłak z wodą i daktyle.

— Ale twój koń jest zapewne zmęczony. Weź od nas wypoczętego wierzchowca! Zanieś cię szybko do Maleka. Pozdrów go ode mnie!

Fehim zgodził się na wymianę konia i już po kilku minutach jechał z powrotem nad Eufrat.

— Efendi — zwrócił się do mnie szejk — czy wiesz, co mówią o tobie moi wojownicy?

— Jestem ciekaw.

— Że cię kochają...

— To mnie cieszy.

— ... i że zwyciężą, jeśli będziesz z nimi.

— Mam nadzieję. Jutro urządzimy wielkie manewry.

— Jak to sobie wyobrażasz?

— Dotychczas mamy tu zgromadzonych ośmiuset ludzi. Jutro rano przybędą ostatni. Tych się szybko przeszkoli, a potem zamarkujemy walkę, jaką mamy stoczyć z trzema wrogimi plemionami. Połowa odegra rolę Haddedińców, a połowa — wrogów. Ruiny po drugiej stronie będziemy uważać za góry Mukhil i Khanuke. Pokażę twoim wojownikom, w jaki sposób będą musieli walczyć z prawdziwym wrogiem.

Moja zapowiedź podniosła ogólny nastrój i kiedy wiadomość się rozeszła, cały obóz, wzmocniony już znacznie na skutek napływu posiłków, rozbrzmiewał radosnymi okrzykami.

Stało się tak, jak przewidziałem: następnego dnia byliśmy w komplecie. Mianowałem oficerów i podoficerów, którzy natychmiast szkolili każdego nowo przybyłego wojownika, z chwilą gdy wyznaczyłem mu jego miejsce w armii. Manewry rozpoczęły się późno po południu; udały się ku ogólnemu zadowoleniu. Piechota strzelała znakomicie, a jeźdźcy wykonali wszystkie przyswojone im przeze mnie ruchy i działania z nienaganną pewnością.

Jeszcze podczas ćwiczeń nadjechał wojownik, który był ostatnim ogniwem łańcucha wystawionych posterunków.

— Jaką przynosisz wiadomość? — spytał szejka, na którego twarzy malowało się zadowolenie.

— Wczoraj zjednoczyły się plemiona Dżowari i Abu Hammed, szejku.

— Kiedy?

— Pod wieczór.

— A co z wojownikami Abu Mohammeda?

— Posuwają się tuż za nimi.

— Czy wysyłali, jak radziłem, zwiadowców, żeby nie odkryto ich marszu?

— Wszystko odbyło się według twoich wskazówek, szejku.

Ten posłaniec jeszcze się nie oddalił, kiedy nadjechał następny. Był on ogniwem łańcucha posterunków, rozstawionych aż do doliny Deradż.

— Przynoszę ważną wiadomość — zameldował. — Obeidowie przy- . ślali tu zwiadowców znad Zabū, aby spenetrowali okolicę.

— Ilu ich było?

— Ośmiu.

— Jak daleko dotarli ci zwiadowcy?

— Przeszli przez dolinę Deradż.

— Czy zauważyli naszych ludzi?

— Nie, gdyż ci się dobrze ukryli. Potem Obeidowie rozłożyli się obozem w dolinie i rozmawiali o wielu sprawach.

— Szkoda, że nie udało się podsłuchać, o czym mówili.

— Udało się. Merwan ich podsłuchał.

Merwan był jednym z dwóch wojowników, którym powierzono pilnowanie doliny Deradż.

— Co usłyszał? Jeśli to coś ważnego, wynagrodzę go.

— Z rozmów wojowników obozujących w dolinie wynikało, że jutro w południe Obeidowie chcą przejść rzekę, aby spotkać się z plemionami Abu Hammed i Dżowari, które będą już na nich czekać. Potem mają się wspólnie posunąć aż do doliny Ed Deradż i obozować tam przez noc, gdyż są pewni, że nikt ich tam nie zauważy. Następnego ranka chcą na nas napaść.

— Czy naszych ośmiu zwiadowców już odjechało?

— Tylko sześciu. Dwóch musiało pozostać, żeby czuwać nad doliną.



— Jedź z powrotem i powiedz Merwanowi i jego towarzyszowi, że dziś jeszcze sam do nich przybędę! Jeden niech zostanie na miejscu, aby obserwować tych dwóch nieprzyjacielskich zwiadowców, a drugi niech mnie oczekuje przy ostatnim posterunku, aby mi wskazać drogę, kiedy się tam zjawię.

Posłaniec odjechał. Poprzedni czekał jeszcze na odpowiedź.

— Czy słyszałeś, co tamtem meldował? — spytałem go.

— Tak, efendi.

— Zanieś więc naszą prośbę do szejka plemienia Abu Mohammed. Niech się posuwa tuż za nimi, tylko niech im się nie pokazuje. Kiedy przeciwnik wejdzie do doliny Deradz, niech na niego natychmiast napadnie i niech go stamtąd nie wypuszcza. Należy obsadzić wszystkie doliny między El Mukehil i górami Khanuke. O resztę sami się zatroszczymy.

Posłaniec odjechał. My natomiast przerwaliśmy ćwiczenia, żeby pozwolić ludziom odpocząć.

— Chcesz udać się do Ed Deradz? — spytał mnie szejk, kiedy wracaliśmy do namiotu. — Dlaczego?

— Żeby wziąć do niewoli tych dwóch nieprzyjacielskich zwiadowców..

— Czy nie może tego załatwić ktoś inny?

— Nie. Ta sprawa jest tak ważna, że biorę ją na siebie. Jeśli tych dwóch się nie unieszkodliwi, to cały nasz piękny plan spali na panewce.

— Zabierz z sobą kilku ludzi.

— To zbyteczne. Dwóch naszych jest na posterunku, to wystarczy.

— Sihdi, pójdę z tobą! — odezwał się Halef, który nie odstępował mnie na krok od chwili, kiedy mnie odnalazł.

Wiedziałem, że będzie się upierał, abym spełnił jego prośbę, więc kiwnąłem głową przyzwalająco.

— Nie wiem tylko, czy twój koń wytrzyma tak szybką jazdę — rzekłem. — Musimy tej samej nocy wrócić.

— Pożyczę mu dobrego konia — ofiarował szejk swoją pomoc.

Godzinę później byliśmy już w drodze, ja na swoim rumaku, a Halef na złocistobrazowym wierzchowcu, który swym wyglądem przynosił zaszczyt swemu panu. Odcinek do ostatniego posterunku przebyliśmy w krótkim czasie. Na posterunku oczekiwał nas Merwan.

— Czy podsłuchałeś tych dwóch nieprzyjacielskich zwiadowców? — zapytałem go.

— Tak, efendi.

— Będiesz za to miał specjalny udział w łupach, jakie weźmiemy. Gdzie znajduje się twój towarzysz?

— Blisko zwiadowców wroga.

— Prowadź nas tam!

Jechaliśmy dalej. Panował półmrok i wkrótce ujrzeliśmy pasmo wzgórz, za którym rozciągała się dolina Deradz. Merwan skręcił w bok. Musieliśmy się wdrapać na postrzępione skały i dotarliśmy na skraj ciemnego zagłębienia.

— Tu stoją konie, panie.

Zeszliśmy z naszych wierzchowców i zaprowadziliśmy je także na to miejsce. Były tutaj tak bezpiecznie ulokowane, że nie trzeba ich było pilnować. Potem szliśmy pieszo grzbietem górskim dalej, aż rozwarła się u naszych stóp dolina.

— Uważaj, żeby nie potoczył się w dół żaden kamień, gdyż mogłoby to zdradzić naszą obecność.

Schodziliśmy ostrożnie, ja za przewodnikiem, a Halef za mną, stąpając po śladach idącego

przodem. W końcu znaleźliśmy się na dole. Ujrzelśmy postać, idącą nam naprzeciw. Był to Halil, towarzysz Merwana.

— Gdzie są zwiadowcy nieprzyjaciela? — spytałem Halila.

— Czy widzisz załom skały tam na prawo?

— Tak.

— Zwiadowcy leżą za nim.

— A ich konie?

— Uwiązali je nieco dalej z boku.

— Zostańcie tu, dopóki was nie zawołam! Chodź Halefie! Położyłem się na ziemi i czołgałem do przodu. Hadzi podążył za mną. Dotarliśmy do załomu nie zauważeni. Poczulem zapach tytoniu i posłyszałem rozmowę, prowadzoną półgłosem. Podpełznawszy niemal pod krawędź skały, mogłem rozróżniać poszczególne słowa:

— Dwóch przeciwko sześciu?

— Tak. Jeden miał na sobie ciemnopopielate ubranie, był wysoki i cienki jak lanca, a jego głowę okrywała popielata rura.

— To szatan!

— Nie, tylko zły duch, demon.

— Ten drugi był jednakże diabłem?

— Wyglądał jak człowiek, lecz był straszny! Z ust wydobywał mu się dym, a jego oczy płonęły. Podniósł tylko rękę i zaraz sześć koni padło martwych. Z pozostałymi czterema końmi te dwa demony — oby je Allah przeklął — w biały dzień uniosły się w powietrze i odjechały.

— Okropne! Niech nas Allah strzeże przed diabłem dziewięciokrotnie ukamienowanym! A potem zjawił się nawet w obozie plemienia Abu Hammed?

— Nie zjawił się sam, lecz go tam przyniesiono.

— Jak?

— Ludzie tego plemienia zwięzali go, sądząc, że jest człowiekiem, a jego koń wydawał im się słynnym rumakiem szejka Haddedihnów, Mohammeda Emina. Chcieli mieć tego konia; dlatego wzięli jeźdźca do niewoli. Kiedy go jednak przyprowadzili do obozu, poznał go syn szejka.

— Powinien był mu zwrócić wolność.

— Syn szejka łudził się jeszcze ciągle, że ten obcy może jednak być człowiekiem.

— I obcy zerwał swoje pęta?

— Nie. W nocy do obozu zakradł się lew i obcy powiedział, że sam upoluje lwa, jeśli mu oddadzą fuzję. Dano mu ją, w przekonaniu, że lew go pożre. Wyszedł w ciemną noc. Po jakimś czasie rozszalała się burza i rozległy się dwa strzały. Wkrótce obcy wrócił. Przez plecy miał przewieszoną skórę lwa, wsiadł na swojego konia i uniółszy się w powietrze, odjechał.

— Czy nikt go nie chciał zatrzymać?

— Ależ tak, lecz im się wymknął. A kiedy pognali za nim, z nieba spadły trzy kule i zabiły trzy najlepsze konie.

— Skąd to wiesz?

— Opowiadał o tym posłaniec, którego Zedar ben Huli przysłał do naszego szejka, Esli el Mahena. Czy wierzysz teraz, że to był szatan?

— To był on.

— Co byś zrobił, gdyby ci się ukazał?

— Strzelałbym do niego i odmawiałbym przy tym świętą Fatihę, Wtedy wyszedłem z za węgła i stanąłem przed nimi.

— Więc ją odmawiaj! — rozkazałem.

— Allah kerim! Allah akbar!

Poza tymi dwoma okrzykami dwaj Obeidowie nie wydobyli z siebie ani słowa więcej.

— Jestem tym, o którym mówiliście — kontynuowałem. — Nazywacie mnie szatanem. Biada wam, jeśli uczynicie najmniejszy bodaj ruch, żeby się bronić. Halefie, odbierz im broń!

Nie stawiali oporu. Zdawało mi się, że słyszę, jak im zęby dzwonią z przerażenia.

— Zwiąż im ręce ich własnymi paskami! — rozkazałem.

Halef szybko się z tym uporał i mogłem być spokojny, że nałożone Obeidom więzy się nie rozwiążą.

— Teraz — jeśli wam życie miłe, odpowiedzcie na moje pytania! Z jakiego jesteście plemienia?

— Jesteśmy Obeidami.

— Czy wasze plemię przekracza jutro Tygrys?

— Tak.

— Ilu macie wojowników?

— Tysiąc dwustu.

— Jak są uzbrojeni?

— Mają strzały i łuki oraz strzelby z lontami.

— Czy macie też inne strzelby, a może pistolety?

— Owszem, lecz niewiele.

— Jak przepawicie się przez rzekę — łodziami?

— Na tratwach. Łodzi nie mamy.

— Ilu wojowników posiada plemię Abu Hammed?

— Tylu, ilu my mamy.

— Jaką mają broń?

— Więcej strzał niż strzelb.

— A ilu wojowników przyprowadzi plemię Dżowari?

— Okrągły tysiąc.

— Mają strzały czy strzelby?

— Jedno i drugie.

— Czy tylko wojownicy mają przejść rzekę, czy też sprowadzicie również wasze trzody?

— Przejdą tylko wojownicy.

— Dlaczego chcecie napaść na Haddediwnów?

— Pasza nam kazał.

— On nie ma prawa wam rozkazywać, podlegacie bowiem namiestnikowi Bagdadu. Gdzie są wasze konie?

— Tam.

— Jesteście moimi jeńcami. Gdybyście próbowali uciekać, zastrzelę was. Merwanie, Halilu, chodźcie!

Obaj Haddediwnowie pospieszyli na moje wezwanie.

— Przywiążcie tych dwóch mocno do ich koni!

Obeidowie pogodzili się z losem. Bez wahania dosiedli swych koni, do których zostali tak przymocowani, że o ucieczce nie mogli nawet marzyć.

— Teraz idźcie po nasze konie — poleciłem towarzyszącym mi Haddediwnom — i zatrzymajcie się z nimi przy wejściu do doliny! Ty, Merwanie, zostaniesz tu w Ed Deradz, Halil natomiast z Halefem odprowadzą więźniów do obozu!

Obaj Haddediwnowieodeszli, żeby sprowadzić nasze konie w dół po krańcowym stoku doliny. Merwan pozostał na posterunku, a my, dosiadłszy koni, udaliśmy się w drogę powrotną.

— Pojadę naprzód — oznajmiłem. — Jedźcie za mną tak szybko, jak możecie!

Przynagliłem konia do biegu. Wyprzedziłem towarzyszy z dwóch powodów. Po pierwsze potrzebowano mnie w obozie, a po drugie miałem wreszcie okazję wypróbować najwyższy stopień sprawności rumaka oraz odkryć jego „tajemnicę”. Koń leciał lekko jak ptak przez równinę. Szybki bieg zdawał się sprawiać mu przyjemność, gdyż zarżał kilka razy radośnie. Nagle położyłem mu rękę między uszy i zawołałem:

— Rih!

Na to zawołanie koń stulił uszy, stał się jakby dłuższy i cieńszy i zdawało się, że chce sobą rozbić cząsteczki powietrza. Jego dotychczasowy galop, któremu nie dorównałoby sto świetnych koni, można by uważać za bezwietrzną ciszę lub gęsie dreptanie w porównaniu z obecnym biegiem. Był niczym porywisty wiatr lub lot jaskółki. Szybkobieżny wielbłąd nie dogoniłby tego zwierzęcia. Koń biegł przy tym lekko i równo. Naprawdę nie było przesadą to, co powiedział mi Mohammed Emin: „Ten koń przeniesie cię przez ciżbę tysiąca jeźdźców”. Czuję się szczęśliwy, że tak wspaniały wierzchowiec jest moją własnością.

Zdałem sobie jednak sprawę z tego, że nie wolno mi nadużywać sił rumaka. Ściągnąłem więc cugle i pozwoliłem zwierzęciu iść stępą, kładąc mu pieszczotliwie rękę na karku. Mądre zwierzę zarżało radośnie, wdzięczne za dowód uznania i dumnie zadarło głowę.

Kiedy dotarłem na miejsce, okazało się, że całą drogę z doliny Deradz do obozu przebyłem w ciągu jednej czwartej czasu, jakiego potrzebowałem na przebycie trasy z obozu do doliny. W pobliżu namiotu szejka spostrzegłem mnóstwo Arabów, zarówno na wielbłądach, jak i konno. Nie mogłem rozpoznać ich postaci, gdyż było już ciemno. W namiocie natomiast czekała mnie miła niespodzianka. Stał tam Malek, serdecznie witany przez Mohammeda Emina.

— Selam! — pozdrowił mnie szejk Arabów, wyciągając do mnie obie ręce. — Moje oczy cieszą się, że cię widzą, a moje uszy z zachwytem chłoną odgłos twoich kroków.

— Niech Allah błogosławi twoje przybycie, przyjacielu mej duszy — odpowiedziałem. — Uczynił zaiste cud, sprowadzając cię do nas już dzisiaj.

— Jaki cud masz na myśli?

— Nie mogliśmy się spodziewać ciebie już dzisiaj. Na przebycie drogi stąd aż w okolice miejscowości Hit nad Eufratem i z powrotem potrzeba przecież najmniej trzech dni.

— Masz rację. Fehim nie musiał jednak jechać aż nad Eufrat. Kiedy pożegnał się z nami i odjechał razem z Halefem, dowiedziałem się od zbłąkanego pasterza, że wojownicy Haddediwnów pasą tutaj swoje trzody. Ich szejk, sławny i dzielny Mohammed Emin, jest moim przyjacielem. Postanowiliśmy więc nie czekać do powrotu Halefa, lecz wyprzedzić jego poselstwo.

— Twoje postanowienie było dobre. Przyspieszyło bowiem nasze spotkanie.

— Twojego posła spotkaliśmy w drodze i serce moje ucieszyło się wielce, kiedy się dowiedziałem, że ciebie, przyjacielu, zobaczę u Haddediwnów. Allah miłuje jak widać ciebie i mnie, prowadząc nas po ścieżkach, na których się spotykamy. Powiedz mi jednak, gdzie się znajduje Hadzi Halef Omar, którego szanuję i Kocham?

— Jest w drodze do naszego obozu. Wyprzedziłem go, powierzając mu pieczę nad dwoma jeńcami. Wkrótce będziesz go mógł powitać.

— A więc poszczęściło ci się? — spytał mnie Mohammed Emin.

— Tak. Nieprzyjacielscy zwiadowcy są w naszych rękach. Nie mogą nam już szkodzić.

— Słyszałem — wtrącił Malek — że między Haddediwnami a rozbójnikami znad Tygrysu

wybuchły waśnie?

— Dobrze słyszałeś. Jutro, kiedy słońce dobiegnie zenitu, rozlegnie się szcęk i grzmot naszych strzelb i szable rozblyszą w naszych dłoniach.

— Napadniecie na waszych wrogów?

— Wrogowie chcą napaść na nas, my jednak przyjmujemy ich atak przygotowani.

— Czy Ateibehom będzie wolno przyłączyć się do was ze swoimi szablami?

— Wiem, że twoja szabla dorównuje szabli dsu'l-fikar, której nikt nie może się oprzeć. Jesteśmy ci wielce radzi oraz wszystkim, którzy przyszedli z tobą. Ilu jest wojowników?

— Sześćdziesięciu.

— Zapewne są zmęczeni?

— Czyż Arab może być zmęczony, słysząc szcęk broni i wrzawę walki? Daj nam wypoczęte konie, a pójdziemy z wami, dokąd nas powiedziecie!

— Znam was. Wasze kule są celne, a wasze lance nigdy nie chybiają. Tobie i twoim wojownikom powierzę obronę szańca, który ma zamknąć wyjście z pola bitwy.

Podczas naszej rozmowy ludzie Maleka, znajdujący się przed namiotem, zsiadli z koni. Z dochodzących odgłosów można było wnioskować, że podawano im posiłek. Do namiotu szejka wniesiono również bogaty zestaw potraw. Byliśmy jeszcze przy kolacji, kiedy wszedł mały Halef, meldując przyprawienie jeńców. Wprowadzono ich i postawiono przed szejkiem. Spojrzał na nich z pogardą i spytał:

— Jesteście z plemienia Obeidów?

— Tak jest, szejku.

— Obeidowie są tchórzami. Boją się walczyć sami z dzielnymi wojownikami Haddedihnów i dlatego sprzymierzyli się z plemionami

Abu Hammed i Dżowari. Liczebna przewaga miała nas zdusić, lecz my ich pokonamy. Czy wiecie, co jest obowiązkiem prawego wojownika, jeśli chce rozpocząć walkę z wrogiem? Obeidowie spuścili wzrok i milczeli.

— Uczciwy Arab nie przychodzi potajemnie, jak skrytobójca. Przysłała posłańca z otwartym wypowiedzeniem walki, żeby bój był uczciwy. Czy wasi przywódcy tak postąpili?

— Nie wiemy tego, szejku!

— Nie wiecie tego? Niech Allah skróci wasze języki! Usta wasze ociekają kłamstwem i fałszem! Mówicie, że tego nie wiecie, a przecież mieliście rozkaz pilnować doliny Deradż, abym nie otrzymał żadnej wieści o zamierzonym przez was napadzie! Postąpię z wami i z wszystkimi waszymi ludźmi tak, jak na to zasługujecie. Przywołać mi tu Abu Manssura z jego nożem!

Jeden z obecnych Haddedihnów oddalił się i wrócił wkrótce w towarzystwie mężczyzny, niosącego skrzynkę.

— Związać ich, żeby się nie mogli bronić, i zdjąć im maramehy! Gdy to zrobiono, Mohammed Emin zwrócił się do człowieka, trzymającego skrzynkę.

— Co jest ozdobą mężczyzny i wojownika, Abu Manssurze?

— Włosy, które upiększają jego oblicze.

— Na co zasługuje mężczyzna, który boi się jak kobieta i mówi nieprawdę, jak córa kobiety?

— Powinno się go potraktować jak kobietę i jak córę kobiety.

— Ci dwaj mężczyźni mają brody, lecz są kobietami. Postaraj się Abu Manssurze, żeby wyglądali jak kobiety!

— Czy mam im zgolić brody?

— Rozkazuję ci to zrobić!

— Niech cię Allah błogosławi, dzielny i mądry wśród dzieci Haddedińów! Jesteś przyjazny i łaskawy dla swoich, a sprawiedliwie oceniasz wrogów twego plemienia. Wykonam twój rozkaz.

Mówiąc to, otworzył swoją skrzynkę, która zawierała różne narzędzia i wyjął z niej dżanbiję, której obnażona klinga rozblęśla w blasku namiotowego ogniska. Abu Manssur był felczerem plemienia.

— Dlaczego nie chcesz użyć brzytwy? — spytał go szejk.

— Mam zgolić brody tym tchórzom brzytwą, a potem dotykać nią głów i włosów dzielnych Haddedińów, szejku?

— Masz rację! Czyń, jak postanowiłeś!

Związani Obeidowie bronili się jak mogli, gdyż pozbawienie wojownika brody jest dla niego największą hańbą. Ich opór na nic się jednak nie zdał. Przytrzymano ich, a sztylet Abu Manssura był tak ostry, że brody znikały za jego dotknięciem, jak pod ostrzem brzytwy.

— Teraz wyprowadźcie tych mężczyzn! — rozkazał szejk. — Są od tej chwili kobietami i mają być pilnowani przez kobiety. Dajcie im chleba, daktyli i wody! Gdyby jednak próbowali uciekać, strzelajcie do nich!

Zgolenie brody było dla jeńców nie tylko karą, lecz utrudniało im również ucieczkę. Nie mieli w każdym razie odwagi pokazać się w takim stanie u swoich. Szejk Mohammed Emin podniósł się ze swego miejsca. Z jego uroczystej miny wywnioskowałem, że teraz nastąpi coś nadzwyczajnego.

— La ilaha ill 'Allah — rozpoczął szejk. — Nie ma innego boga, prócz Allaha. On stworzył wszystko, co żyje, a my jesteśmy jego dziećmi. Dlaczego mają się nienawidzić ci, którzy się kochają i dlaczego mają się waśnić ludzie, którzy do siebie należą? W lesie szumi wiele gałęzi drzew, a na równinie rosną liczne źdźbła i kwiaty. Są sobie równe, dlatego się znają i rosną zgodnie obok siebie. Czyż my także nie jesteśmy sobie równi? Szejku Maleku ibn Achmedzie Chalidzie ben Abul Ali Abu Abdolatifie el Hanifi, jesteś wielkim wojownikiem i ja powiedziałem do ciebie: „Jedliśmy ze sobą sól”. Efendi Kara ben Nemsy, ty także jesteś wielkim wojownikiem i ja do ciebie powiedziałem: „Jedliśmy ze sobą sól”. Mieszkacie w moim namiocie, jesteście moimi przyjaciółmi i moimi towarzyszami, jesteście gotowi umrzeć za mnie, a ja za was. Czy powiedziałem prawdę? Zgadzaście się ze mną?

Przytaknęliśmy uroczyście i z powagą.

— Ale sól topi się i znika — kontynuował Mohammed Emin. — Sól jest symbolem przyjaźni. Z chwilą, kiedy się rozpuści i zniknie z organizmu, to i przyjaźń zanika i musi być odnowiona. Czy to dobrze? Czy to wystarcza? Moim zdaniem: nie! Dzielni mężowie nie zawierają przyjaźni za pomocą soli. Dlatego poleciłem, żeby w tym czasie, kiedy tu do was mówię, pragnąc byście zostali moimi braćmi, przed namiotami, przydzielonymi wam na mieszkanie, zabito po jednym baranie. Czy przyjmiecie mój podarunek?

— Przyjmujemy — oświadczyliśmy obaj.

— Tym samym uważam nasze braterskie przymierze za przypieczętowane — rzekł szejk. — Jako władca tego plemienia poleciłem sporządzić dla każdego z nas dokument, stwierdzający, że my trzej jesteśmy z sobą tak spokrewnieni, jakbyśmy byli rodzonymi braćmi.

Każdy z nas będzie tak postępował, jak by postąpili dwaj jego towarzysze. Bogu niech będą dzięki za ten dzień, który nam dziś zesłał! — Przyjmijcie teraz dokumenty z moich rąk!

Mohammed Emin wręczył nam pergaminy, które istotnie posiadały wartość dokumentów. Można było z nich nawet wywieść prawa i obowiązki, dotyczące wendety i wzajemnego dziedziczenia.

Z kolei ja wygłosiłem krótkie przemówienie, a potem Malek poszedł za moim przykładem. Następnie Mohammed Emin uściskał nas i ucałował, mówiąc do każdego z osobna:

— Teraz jesteś moim rafikiem, a ja twoim. Oby nasz związek trwał wiecznie, nawet gdyby się Allahowi spodobało rozłączyć nasze drogi!

Wiść o tym wydarzeniu rozeszła się szybko po całym obozie i kto choćby tylko w najmniejszym stopniu czuł się uprzywilejowany, przychodził do namiotu, żeby nam złożyć gratulacje. Pochłonęło to dość dużo czasu, tak że długo trwało, zanim zostaliśmy sami we trójkę.

Musieliśmy szejkowi Malekowi opisać teren, na którym przypuszczalnie miała się rozegrać walka. Zapoznaliśmy go również z naszym planem obrony. Zaaprobował go, zapytując jedynie na końcu:

— Czy nieprzyjaciel nie może umknąć na północ?

— Może się przebić między rzeką a górami Khanuke, to znaczy wzdłuż uedu Dżehennem — odpowiedziałem. — My jednak zagrodzimy mu także tę drogę. Szejku Mohammedzie Eminie, czy zarządziłeś, żeby było pod dostatkiem narzędzi do wzniesienia nasypu ziemnego.

— Narzędzia zostały przygotowane,

— Czy wybrałeś również kobiety, które będą nam towarzyszyć, żeby opatrywać rannych?

— Są w pogotowiu.

— Każ więc wybrać konie dla naszego rafika i jego ludzi! Musimy wyruszyć, gdyż wkrótce wszędzie dzień.

# XVI.

## BITWA NA PUSTYNI

Pół godziny później Haddedihowie wyszli z obozu, i to nie w nieregularnych luźnych grupach, podobnych do chmury, jak to jest w zwyczaju Arabów, lecz w zwartych uporządkowanych szeregach. Każdy znał swoje miejsce. Przed nami jechali na koniach wojownicy, za nami na wielbłądach kobiety, które miały pełnić obowiązki pielęgniarek przy rannych. Przewodziło im kilku krzepkich jeszcze starców. Na końcu szli ludzie, wyznaczeni do utrzymywania łączności z pastwiskiem oraz do pilnowania ewentualnych jeńców.

Kiedy tarcza słoneczna wychynęła zza horyzontu, wszyscy zsiadli z wierzchowców i padli na ziemię, aby odmówić poranną modlitwę. Wzniosły to był widok, kiedy setki ludzi leżały tak w prochu przed Bogiem, który dziś jeszcze każdego z nas mógł powołać do siebie.

Rozstawione posterunki informowały nas, że nic nowego nie zaszło. Dotarliśmy więc bez przeszkód do wydłużonego pasma gór Deradz, za którym rozciągała się od zachodu ku wschodowi dolina tak długa, że nie udałoby się jej przebyć w czasie krótszym od godziny. Wojownicy, wybrani na strzelców, zsiadli z koni, które przywiązano na równinie do kołków w odpowiednim porządku, aby w razie odwrotu uniknąć zamieszania. Nie opodal koni zdjęto ładunki z wielbłądów i rozbito namioty. Jak już wspomniałem, namioty były przeznaczone dla rannych. Wody w węzach było pod dostatkiem, brakowało natomiast materiałów opatrunkowych, co uważałem za godne pożałowania.

Po drodze zabieraliśmy ludzi z linii posterunków, łączącej nas z plemieniem Abu Mohammeda. Byliśmy więc przez cały czas w kontakcie z naszymi sprzymierzeńcami. Niemal co godzinę odbieraliśmy od nich meldunki. Z ostatniego meldunku wywnioskowałem, że wrogowie nie odkryli jeszcze naszego zbliżania się.

Lindsay był mało mówny wczoraj wieczorem i dziś. Nie miałem zresztą czasu, żeby się nim zająć. Teraz trzymał się w pobliżu mnie.

— Gdzie się bić, sir? Tutaj? — zapytał.

— Nie. Za tym wzniesieniem — odpowiedziałem. — Zostać przy panu?

— Jak pan sobie życzy.

— Gdzie pan jest? Piechota, konnica?

— Wśród konnych. Będziemy jednak tak samo strzelać, jak też używać broni siecznej w razie potrzeby.

— Zostanę przy panu.

— Wobec tego proszę tu poczekać. Mój oddział będzie stał w tym miejscu, dopóki po niego nie przybędę.

— Nie wejść do doliny?

— Nie, powyżej tego miejsca podążymy nad Tygrys, aby przeszkodzić nieprzyjacielowi w ucieczce na północ.

— Ilu wojowników?

— Stu.

— Dobrze! Bardzo dobrze, wspaniale!

Zadanie dla swojego oddziału wybrałem celowo. Co prawda byłem przyjacielem Haddedihow, lecz nie chciałem, choćby w otwartej walce, zabijać ludzi, którzy mi nic złego nie zrobili. Spór, który miał się tu rozstrzygnąć między Arabami, nic mnie nie obchodził, a ponieważ raczej nie należało się



spodziewać, że Arabowie podążą na północ, prosiłem, bym mógł dołączyć do oddziału, który miał nieprzyjacielowi utrudnić tamtędy ucieczkę. Najchętniej pozostałbym na placu opatrunkowym. To było jednak niemożliwe, gdyż mogło być poczytane za tchórzostwo.

Mohammed Emin prowadził właśnie swoją konnicę ku dolinie, więc przyłączyłem się do niego. Skierował jeźdźców w dwie boczne doliny, na lewo i na prawo. Potem przysła kolej na piechotę. Została podzielona na trzy części. Jedna trzecia żołnierzy obsadziła wzgórze po prawej, jedna trzecia po lewej stronie, ażeby z ukrycia za licznymi skałami móc napaść na nieprzyjaciela z góry. Ostatnia część pieszych, przeważnie ludzie szejka Maleka, pozostała przy wejściu w dolinę, ażeby po wtargnięciu do niej nieprzyjaciół, wznieść tutaj szaniec, spoza którego można by potem ostrzeliwać wroga. Teraz zawróciłem ze swoją setką wojowników.

Jechaliśmy prosto na północ, dopóki nie znaleźliśmy przełęczy, umożliwiającej przejście przez góry. Po godzinie ujrzeliśmy przed sobą rzekę. Nieco dalej na prawo, ku południowi, góry w dwóch miejscach dochodziły do samej wody, tworząc półkole, z którego trudno byłoby się wydostać. Ustawiłem tutaj swoich ludzi, gdyż w tym miejscu można było zatrzymać nawet dziesięciokrotnie silniejszego wroga.

Po wystawieniu czat, zsiadliśmy z koni na odpoczynek. Lindsay zapytał mnie:

— Zna pan tę okolicę?

— Nie, sir Dawidzie — odrzekłem.

— Może tutaj ruiny?

— Nie wiem.

— Zapytać!

Uczyniłem zadość jego prośbie i poinformowałem go, tłumacząc odpowiedź:

— Nieco dalej, w kierunku północnym.

— Jak się nazywać miejscowość?

— Kalat Szergat.

— Fowlingbulls tam są?

— Hm! Trzeba by sprawdzić.

— Ile jeszcze czasu do rozpoczęcia bitwy?

— Bitwa zacznie się chyba koło południa, albo nawet później. Może mój oddział wcale nie weźmie udziału w walce.

— To ja tymczasem obejrzę.

— Mianowicie co?

— Kalat Szergat. Wykopać, posłać do muzeum w Londynie, zyskać sławę. Well!

— To chyba teraz nie będzie możliwe.

— Dlaczego?

— Ponieważ musiałby pan tam jechać przeszło czterdzieści kilometrów.

— Ach! Hm! To niedobrze! Zostanę więc.

Lindsay położył się za krzakiem wilczomlecza, ja natomiast postanowiłem rozejrzeć się trochę po okolicy. Wydałem ludziom niezbędne instrukcje i pojechałem wzdłuż Tygrysu na południe.

Mój Kary, jak wszystkie konie Szammarów, świetnie się wspinał po skałach. Mogłem więc liczyć na to, że Rih wdrapie się na szczyt. Wypatrzywszy mniej strome podejście, jechałem pod górę, aby stamtąd objąć wzrokiem okolicę. Ze szczytu, kryjąc się oczywiście, zlustrowałem przez lornetkę widnokrąg na wschodzie. Za rzeką zauważyłem ożywiony ruch. Równina na południowym, a więc lewym, brzegu Małego Zabu, prawie po wzgórze Hamlia, roiła się od jeźdźców, a poniżej tego wzniesienia leżało kilka stosów bukłaków z koziej skóry, zapewne do budowy tratw, którymi

Obeidowie mieli przeprowić się przez rzekę. Brzegu leżącego z tej strony Tygrysu nie mogłem zobaczyć, gdyż zasłaniało go wzniesienie, za którym rozciągała się dolina Deradż. Mając dość czasu, postanowiłem wdrapać się również na tę górę.

Jadąc grzbietem pasma górskiego, zmęczyłem się i dopiero po godzinie dotarłem do wierzchołka góry. Po moim koniu nie było znać znużenia. Uwiązałem go, a sam przez pewnego rodzaju mur skalny wszedłem na szczyt. Dolina Deradż leżała u podnóża gór. W głębi uedu widziałem gotowy nasyp ziemny, za którym tkwili obrońcy. Za skałami skryli się strzelcy, a w dole, dokładnie naprzeciwko mnie, czatowała konnica.

Skierowałem lornetkę na południe.

Całe pole usiane było namiotami. Zauważyłem jednak, że właśnie zaczęto zwijać obóz. Biwakowały w nim plemiona Abu Hammed i Dżowari. Przyszło mi na myśl, że tam zapewne kiedyś obozowały także hufce Sardanapala, Kyaksaresa i Alyattesa. Tam klęczeli wojownicy Nabopolassara, kiedy w dniu piątego maja w piątym roku panowania tego władcy, po całkowitym zaćmieniu słońca, nastąpiło zaćmienie księżyca, co uczyniło bitwę nad rzeką Halys tak straszną. Tam też pewnie pojono konie w Tygrysie, kiedy Nabuchodonozor maszerował ze swoją armią do Egiptu, aby zdetronizować króla Chophrę, i zapewne były to te same wody, przez które niósł się śmiertelny śpiew Nerikolossara i Nabonida aż do gór Karaczok, Sibar i Sar Hasana.

Widziałem, że wiązano ze sobą nadmuchane kozie skóry i że na sporządzone z ich użyciem tratwy jeźdźcy wprowadzali za uzdy swoje konie. Widziałem, jak tratwy odbijały od tamtego a przybijały do tego brzegu. Wydawało mi się, że słyszę okrzyki, jakimi witali przybyłych sprzymierzeńcy, wskakując na swoje konie, żeby pochwalić się błyskotliwą pozorowaną potyczką.

Byłem zadowolony, że nieprzyjaciel męczy już teraz swoje wierzchowce, będą bowiem podczas prawdziwej bitwy znacznie osłabione.

Siedziałem tak chyba godzinę. Obeidowie przeprowili się już wszyscy przez rzekę. Stwierdziłem, że ruszyli na północ. Zszedłem ze swojego punktu obserwacyjnego, dosiadłem konia i zawróciłem. Zbliżała się chwila rozstrzygającej bitwy.

Upłynęło trochę czasu, zanim znalazłem dogodne zejście ze szczytu. Miałem już zamiar skręcić ku dolinie, kiedy daleko w tyle, na północnym skraju horyzontu, zauważyłem jakiś błysk. Wyglądało to tak, jakby promień słoneczny padał na szklaną płytkę. Nieprzyjaciela mogliśmy się spodziewać tylko od południa, mimo to sięgnąłem po lunetę, kierując ją w to miejsce, gdzie zobaczyłem podejrzany jasny blask. Znalazłem go i ujrzałem kilka ciemnych punktów, poruszających się z biegiem rzeki, tuż przy brzegu. Musieli to być jeźdźcy, a tułów jednego z nich odbijał po prostu blask słońca.

Czyżby to byli wrogowie? Znajdowali się mniej więcej w takiej odległości na północ od kryjówki moich ludzi, w jakiej ja znajdowałem się na południe od niej. Nie można było zwlekać, musiałem tych jeźdźców wyprzedzić.

Nie ociągając się, dałem Rihowi ostrogi. Koń schodził szybko po zboczu w dół, a potem, kiedy pod kopytami poczuł dno doliny, leciał przed siebie jak ptak. Byłem przekonany, że zdążę.

Kiedy dotarłem do mojego oddziału, zwołałem ludzi i poinformowałem ich, co zaobserwowałem. Wyprowadziliśmy konie z półkolistej kryjówki. Potem połowa Haddedihnów schowała się za południowym występem skalnym, a połowa pozostała, żeby kryjąc się za krzakami wilczomlecza i drzewami gumowymi, odciąć nadchodzącym drogę powrotną.

Niebawem dał się słyszeć odgłos kopyt. Lindsay leżał obok mnie i nadśluchiwał, z karabinem gotowym do strzału.

— Ilu ich jest? — spytał krótko.

— Nie udało mi się policzyć dokładnie — odparłem.

— Mniej więcej?

— Dwudziestu.

— Dlaczego więc zadawać sobie tyle trudu?

Sir Dawid wstał, zrobił kilka kroków do przodu i usiadł na skalnym bloku. Jego służący dołączyli do niego.

Zza załomu wysunęli się jeźdźcy. Na przedzie jechał wysoki, silnie zbudowany wojownik, który pod burnusem miał pancerz ze stalowych łusek. To od tego pancerza odbijał się blask, który spostrzegłem. Mężczyzna w pancerzu miał postać królewską. Zapewne nigdy dotąd w swoim życiu nie odczuwał strachu, gdyż nawet teraz, kiedy tak nieoczekiwanie wyłoniła się przed nim niezwykła postać Anglika, nie drgnęła mu nawet powieka i tylko ręką sięgnął niepostrzeżenie ku rękojeści swej krzywej szabli.

Podjechał bliżej, poczekał, aż jego świta się z nim zrównała, potem kiwnął na człowieka, który znajdował się u jego boku. Był to bardzo wysoki i szczupły mężczyzna i wisiał na koniu, jakby nie umiał jeździć. Na pierwszy rzut oka było widać, że nie jest Arabem. Ten chudzielec zapytał Anglika po arabsku:

— Kim jesteś?

Lindsay wstał, uchylił kapelusza i skłonił się lekko, nie powiedział jednak ani słowa.

Pytający powtórzył pytanie po turecku.

— Jestem Anglikiem — odpowiedział tym razem Lindsay.

— Pozdrawiam was, szanowny panie! — rzekł jeździec po angielsku. — To wielka niespodzianka spotkać w takim miejscu syna Albionu. Czy wolno mi zapytać, jak się pan nazywa?

— Dawid Lindsay.

— Czy to są pańscy służący?

— Tak

— Ale co pan tu robi?

— Nic.

— Przecież, bawiąc tu, musi pan mieć jakiś cel?

— Naturalnie!

— Jaki mianowicie?

— To dig — wykopywać.

— Co wykopywać?

— Fowlingbulls.

— Ach! — uśmiechnął się chudzielec wyniośle. — Do tego są potrzebne odpowiednie środki, czas, ludzie i zezwolenie. Jak pan się tu dostał?

— Statkiem.

— Gdzie jest ten statek?

— Odesłałem go do Bagdadu.

— Wysiadł pan więc z dwoma służącymi?

— Tak.

— Hm, dziwne. A dokąd chce się pan udać najpierw?

— Tam, gdzie się znajdują fowlingbulls. Kto jest z panem? Lindsay wskazał przy tym na Araba w pancerzu. Chudy jeździec przetłumaczył Arabowi przebieg rozmowy, a potem odpowiedział Anglikowi:

— To sławny człowiek, Esła el Mahem, szejka arabskiego plemienia Obeidów, którego pastwiska leżą tam, po drugiej stronie rzeki.

Bardzo mnie zdziwiła ta informacja. Wynikało z niej, że podczas wymarszu plemienia szejka nie było przy swoich.

— Kim pan jest? — pytał dalej Lindsay.

— Jestem Grekiem i tłumaczem z angielskiego, na służbie u wicekonsula w Mosulu.

— Ach! A dokąd się wybieracie?

— Chcemy uczestniczyć w wyprawie wojennej przeciwko arabskiemu plemieniu Haddediwnów.

— Wyprawa wojenna? Najazd? Walka? Dlaczego?

— Ci Haddediwnowie to krnąbrne plemię, które trzeba raz nauczyć porządku. Wzięli oni pod opiekę jezydów, kiedy pasza Mosulu zaatakował tych czcicieli szatana. Ale jak to się dzieje, że...

Mówiący przerwał, gdyż za występem skalnym zarżał jeden z naszych koni, a zaraz za nim drugi. Szejek natychmiast chwycił cugle, aby skoczyć naprzód i sprawdzić, co się dzieje. Wtedy podniosłem się z miejsca.

— Proszę pozwolić, że i ja się przedstawię! — rzekłem. Esla el Mahem zatrzymał się zaskoczony.

— Kim pan jest? — spytał tłumacz. — Także Anglikiem? Ubiera się pan jednak po arabsku!

— Jestem Niemcem i uczestniczę w przedsięwzięciu tego pana. Chcemy się tu zająć wykopaliskami, a zarazem zapoznać się z obyczajami tego kraju.

— Kim on jest? — spytał szejek Greka.

— Niemcem.

— Czy Niemcy to wierni?

— Są chrześcijanami — odpowiedziałem po arabsku.

— Mówisz naszym językiem?

— Tak.

— Należysz do tego Anglika?

— Tak.

— Jak długo już przebywacie w tej okolicy?

— Już kilka dni.

Brwi szejka ściągnęły się.

— Czy znasz Haddediwnów? — pytał dalej.

— Znam ich. Jestem nawet przyjacielem ich szejka.

— To jesteś zgubiony!

— Dlaczego?

— Biorę cię do niewoli, wraz z całą trójką.

— Jesteś mocny — odparłem ze spokojem — lecz Zedar ben Huli, szejek plemienia Abu Hammed, także był silny.

— Dlaczego go wymieniałeś?

— On mnie także uwięził, lecz nie udało mu się mnie zatrzymać.

— Allah akbar! Czy jesteś tym, który zabił lwa?

— Jestem nim.

— To jesteś mój. Mnie nie uciekniesz.

— Raczej ty jesteś mój i nie ujdiesz mi. Obejrzyj się! Obeida spojrział wstecz, lecz nikogo nie zauważył.

— Pokażcie się! — zawołałem.

Haddediwnowie wyrosli jak spod ziemi i wycelowali karabiny w szejka i jego ludzi.

— Jesteś chytry jak lis i potrafisz zabić lwa, mnie jednak nie schwytasz! — wykrzyknął.

Esła el Mahem wyszarpnął z pochwy swoją zakrzywioną szablę, natarł na mnie koniem i zamierzył się do śmiertelnego ciosu. Nie miałbym trudności odparować ciosu. Oddałem jednak strzał do konia przeciwnika — zwierzę padło na ziemię, a wraz z nim Esła el Mahem. Pochwyciłem go. Teraz jednak zaczęło się mocowanie, które mnie bardzo wyczerpało. Musiałem szejkowi zerwać turban z głowy i ogłuszyć go uderzeniem w skroń, żeby go unieszkodliwić.

Podczas gdy ja zmagalem się z szejkiem, Haddedihowie rozprawili się z jego ludźmi. Nie można tego było nazwać walką. Przygotowując zasadzkę, poleciłem Haddedihowi, żeby w razie spotkania z wrogiem strzelali tylko do koni. Wobec tego zaraz po pierwszej salwie wszystkie konie Obeidów zostały bądź to zabite, bądź też zranione, a na jeźdźców, którzy spadli z wierzchowców, Haddedihowie skierowali ze wszystkich stron swoje długie lance. Haddedihowie przewyższali siły przeciwnika niemal pięciokrotnie. Nawet rzeka nie dawała Obeidom okazji do ucieczki, gdyż nasze kule dosięgłyby każdego pływaka. Kiedy kłębowisko ludzkie się rozluźniło, wrogowie stali bezradnie obok siebie. Ich szejka oddałem już pod straż służących Lindsaya, a sam starałem się zakończyć tę awanturę bez rozlewu krwi.

— Nie trudźcie się wojownicy Obeidów, jesteście zdani na naszą łaskę! — zawołałem. — Was jest zaledwie dwudziestu, my natomiast mamy stu jeźdźców i wasz szejka jest w naszych rękach!

— Zastrzelcie go! — krzyknął Esła el Mahem, który szybko odzyskał przytomność.

— Jeśli ktoś podniesie na mnie broń, to ci dwaj zabiją waszego szejka — odkrzyknąłem.

— Zastrzelcie go, tego wilka, tego szakala, tego zająca! — krzyczał nadal Esła el Mahem, mimo mojej groźby.

— Niech wam to, broń Boże, nie przyjdzie do głowy, gdyż bylibyście zgubieni!

— Wasi bracia pomszczą was i mnie! — zachęcał ich szejka

— Wasi bracia? Obeidowie? A może także plemiona Abu Hammed i Dżowari?

Szejka spojrział na mnie zaskoczony.

— Co ci o nich wiadomo? — wykrzyknął.

— Tyle tylko, że w tej chwili zostali tak samo zaskoczeni przez wojowników plemienia Haddedihow, jak ty i twoi ludzie przeze mnie.

— Kłamiesz! Jesteś psem, który szczeka, lecz nikomu nie może szkodzić. Moi wojownicy pochwyć cię i wszystkich synów oraz córki Haddedihow i uprowadzą do niewoli.

— Niech Allah strzeże twojej głowy, żebyś nie postradał umiejętności myślenia! Czy czekalibyśmy tu na cię, gdybyśmy nie wiedzieli, jakie żywisz zamiary W stosunku do szejka Mohammeda Emina?

— Skąd wiesz, że odwiedziłem grób Hadzi Alego?

Nie wiedziałem o tym, postanowiłem jednak skorzystać z tej informacji i odpowiedziałem:

— Byłeś przy grobie Hadzi Alego, żeby prosić o powodzenie twojej wyprawy wojennej. Ten grób znajduje się jednak na lewym brzegu Tygrysu. Potem przeprawiłeś się na ten brzeg, aby w uedzie Murr wypatrzeć, gdzie się znajdują inne plemiona Szammarów.

Po wyrazie twarzy szejka poznałem, że swoim wnioskowaniem trafiłem w sedno. Wybuchnął wymuszonym śmiechem i zaprzeczył:

— Jesteś niespełna rozumu. Uwolnij nas, wówczas nic ci się nie stanie!

— A co nas czeka, jeśli tego nie zrobię?

— Moi ludzie będą mnie szukać i znajdą. Wtedy będzie źle z wami.

— Jesteś ślepy i głuchy. Nie słyszałeś, ani nie widziałeś, co się działo, zanim twoi ludzie przeszli na ten brzeg Tygrysu.

— A co takiego się stało? — spytał pogardliwie Esła el Mahem.

— Twoi ludzie są tak samo oczekiwani, jak ja oczekiwałem tutaj ciebie.

— Gdzie nas oczekują?

— W uedzie Deradż.

Widać było, że się przeraził. Dlatego dodałem:

— Widzisz więc, że twój plan został odkryty. Wiesz, że byłem u plemienia Abu Hammed. Przedtem odwiedziłem również plemię Abu Mohammed. Te plemiona, jak też Aiabeidowie, których tak często obrabowywaliście, zjednoczyły się z Haddediwnami, aby was okrążyć i zamknąć w uedzie Deradż. Posłuchaj tylko!

Słysząc było głucho terkotanie.

— Czy słyszysz strzelanie? Twoi ludzie są już zamknięci w dolinie i zostaną wybici do nogi, jeśli się nie poddadzą.

— Czy to prawda?

— Tak, to prawda!

— Zabij mnie więc!

— Jesteś tchórzem!

— Czy to tchórzostwo, jeśli pragnę śmierci?

— Tak. Jesteś szejkiem Obeidów, ojcem twego plemienia i obowiązkiem twoim jest pomagać mi w potrzebie. Ty natomiast chcesz opuścić swoich ludzi.

— Zwariowałeś? Jakżeż mogę pomóc swoim wojownikom, będąc w niewoli?

— Możesz im pomóc, swoją radą. Haddediwnowie nie są potworami, łaknącymi krwi. Chcą odeprzeć wasz napad, a potem zawrzeć z wami pokój. Narada nie może się odbyć bez szejka Obeidów.

— Pytam cię jeszcze raz: czy mówisz prawdę?

— Mówię prawdę. Stój!

Ten okrzyk skierowałem do Greka. Stał dotychczas spokojnie, teraz jednak przyskoczył nagle do jednego z moich ludzi, którzy tymczasem przybliżyli się, żeby słuchać mojej rozmowy z szejkiem, odepchnął go i rzucił się do ucieczki. Posypały się za nim strzały, lecz w pośpiechu nie celowano dokładnie. Grekowi udało się osiągnąć występ skalny i skryć się za nim.

— Zastrzelcie każdego, kto się ruszy!

Mówiąc to, pobiegłem za uciekinierem. Kiedy dotarłem do skalnego występu, zbieg oddalił się już od niego o jakieś sto kroków.

— Zatrzymaj się! — zawołałem.

Greki obejrzał się, uciekał jednak dalej. Było mi przykro, lecz musiałem strzelać do niego. Postanowiłem jednak zranić go tylko. Celowałem uważnie, zanim wystrzeliłem. Grek pobiegł jeszcze kilka kroków, wreszcie stanął. Wyglądało to tak, jakby jakaś niewidzialna ręka obróciła go nagle wokół jego własnej osi, potem upadł.

— Przynieście go! — rozkazałem.

Kilku Haddediwnów pobiegło i przytaszczyło Greka. Kula utkwiała mu w lewym udzie.

— Widzisz, Esla el Mahemie, że nie żartujemy — zwróciłem się ponownie do szejka. — Rozkaż swoim ludziom, żeby się poddali!

— A jeśli im nie dam takiego rozkazu? — zapytał szejka.

— To ich do tego zmusimy i popłynie krew, czego jednak pragniemy uniknąć.

— Czy zaświadczysz później, że poddałem się tylko z uwagi na waszą pięciokrotną przewagę oraz z powodu twojego oświadczenia, że moi sprzymierzeńcy zostali zamknięci w uedzie Deradż?

— Przysięgam ci, że to zrobię.

— Złóćcie więc broń! — wycedził szejka przez zęby. — Lecz Allah niech cię wtrąci do najgłębszego piekła, jeśli mnie okłamałeś! Obeidów rozbrojono.

— Sir! — zawołał nagle Lindsay.

— Co się stało? — spytałem, obróciwszy się do Anglika. Lindsay trzymał rannego Greka za ramię.

Podszedłem. Grek trzymał jeszcze kawałek papieru w zaciśniętej pięści.

— Ten drań pożera jakiś papier!

— Daj mi to! — wrzasnąłem.

— Nie dam!

— Ba!

Wystarczył mocny chwyt mojej ręki — Grek krzyknął i rozwarł palce. Skrawek papieru był częścią koperty. Dało się z niego odczytać tylko jeszcze jedno słowo: „Bagdad”. Resztę koperty i właściwy list tłumacz bądź to już połknął, bądź też miał jeszcze w ustach.

— Wypluj, co masz w ustach! — zażądałem.

Odpowiedzią był szydery śmiech, a zarazem zauważyłem, że facet podnosi nieco głowę, by łatwiej przełknąć zawartość jamy ustnej. Natychmiast chwyciłem go za gardło. Pod niezbyt delikatnym uściskiem mojej ręki, rozwarł usta ze strachu. Udało mi się teraz wydobyć na światło dzienne zbite w kulkę strzępy papieru, na których widniało zaledwie kilka zdań, napisanych szyfrem. Wydało się wprost niemożliwe złożenie tych strzępków w logiczną całość.

Spojrzałem groźnie na Greka i spytałem:

— Kto napisał ten list?

— Nie wiem — odrzekł.

— Kto go panu dał? — Nie wiem.

— Kłamco! — natarłem na niego po arabsku. — Czy masz ochotę tu pozostać i umrzeć?

Spojrzał na mnie przerażony, a ja zagroziłem mu:

— Jeśli nie odpowiesz, rana twoja nie zostanie opatrzona i pozostaniesz tu na pastwę sępów i szakali.

— Muszę milczeć — wyjaśnił.

— To milcz na wieki! Wstałem. To podziałało.

— Pytaj, efendi! — zawołał bojaźliwie.

— Kto ci dał ten list?

— Angielski wicekonsul w Mosulu.

— Do kogo był adresowany?

— Do konsula w Bagdadzie.

— Czy znasz treść listu?

— Przysięgam, że nie przeczytałem ani jednej litery!

— Przypuszczasz jednak, co zawierał?

— Sprawy polityczne.

— Mogłem się tego domyślić.

— Nic więcej nie mogę powiedzieć.

— Czy złożyłeś przysięgę?

— Tak.

— Hm! Jesteś Grekiem. Skąd pochodzisz?

— Z Lemnos.

— Tak przypuszczałem. Prawdziwy Turek jest uczciwym, prawym człowiekiem, a jeśli się

zmienia, lub już zmienił, to wy ponosicie winę, wy, którzy uważacie się za chrześcijan, a jesteście gorsi od najgorszych pogan. Jeśli gdzieś w Turcji popełnione zostaje jakieś oszustwo, czy szubrawstwo, to należy przypuszczać, że jakiś Grek maczał w tym swoje brudne palce. Złamałbyś swoją przysięgę, gdybym cię do tego zmusił lub zapłacił ci za jej złamanie, szpiegu! W jaki sposób doszedłeś do stanowiska tłumacza poselstwa w Mosulu? Milcz! Domyślam się, gdyż wiem, co powoduje, że stajecie się takimi, jakimi jesteście. Możesz spokojnie dotrzymać swojej przysięgi, znam bowiem politykę, o której mówiłeś. Dlaczego podjudzacie jedne plemiona arabskie przeciwko drugim? Dlaczego podburzacie raz Turków, innym razem Persów przeciwko nim? I tak postępują chrześcijanie! Ci, którzy naprawdę kierują się nauką Zbawiciela świata, z wielkim trudem wnoszą do tego kraju słowa miłości i przebaczenia, a wy siejecie chwasty w pszenicę, żeby dobre ziarno nie wzeszło, wasza siejba natomiast tysiącrotnie zaowocowała. Służyłeś także Rosjanom!

— Tak, efendi.

— Gdzie?

— W Stambule.

— No proszę! Widzę, że przynajmniej jesteś jeszcze zdolny wyznać prawdę, i dlatego nie przekażę cię Haddediham.

— Nie rób tego, efendi. Dusza moja będzie cię za to błogosławić.

— Nie trzeba mi twojego błogosławieństwa! Jak się nazywasz?

— Aleksandros Koletis.

— Nosisz sławne nazwisko, lecz z tym, który je rozślawił, nie masz nic wspólnego. — Bill!

— Sir! — odpowiedział zawołany.

— Czy umiecie opatrzeć ranę?

— Opatrzeć co prawda nie, lecz umiem przewiązać ranę.

— Dobrze. Przewiążcie mu ją. Irlandczyk zrobił to, jak umiał.

Kto wie, czy nie postąpiłbym inaczej, gdybym wówczas przewidział, w jakich okolicznościach miałem spotkać Greka ponownie. Zwróciłem się teraz do związanego szejka:

— Esla el Mahemie, jesteś dzielnym człowiekiem i przykro mi patrzeć na tak męznego wojownika, skrępowanego więzami. Czy przyrzekniesz mi, że będziesz się stale trzymał mojego boku i nie spróbujesz ucieczki?

— Dlaczego mam ci to przyrzec?

— Bo cię wtedy każę rozwiązać.

— Przyrzekam.

— Na brodę Proroka?

— Na brodę Proroka i na moją własną!

— Niech twoi ludzie złożą takie samo przyrzeczenie!

— Przysięgnijcie, że nie uciekniecie temu człowiekowi! — rozkazał.

— Przysięgamy! — zabrzmiało jednogłośnie.

— Efendi, jesteś wielkodusznym wojownikiem — rzekł szejka. — Kazałeś zabić tylko nasze zwierzęta, nas natomiast oszczędziłeś Niech cię Allah błogosławi! Życzę ci tego, chociaż mój koń był mi droższy od brata!

Szlachetne rysy szejka pozwalały wnioskować, że ten człowiek niezdolny jest do zdrady, podłości i wiarołomstwa; powiedziałem więc:

— Dałeś się nakłonić obcym do walki przeciwko członkom twojego narodu. Unikaj tego w przyszłości! Czy mam ci zwrócić szablę, sztylet i fuzję?

— Chcesz mi zwrócić moją broń, efendi? — zdziwił się.



— Oczywiście. Szejk winien być najszlachetniejszym członkiem swego plemienia. Nie chcę cię potraktować jak jakiegoś huteijeha lub chelawijeha. Powinieneś stanąć przed szejkiem Haddedihnów, Mohammedem Eminem, jak człowiek wolny, z bronią w ręku!

Oddałem oswobodzonemu z więzów jego szablę i pozostałą broń. Esla el Mahem zerwał się na równe nogi i wlepił we mnie wzrok. — Jak się nazywasz, efendi?

— Haddedihnowie nazywają mnie Kara ben Nemsu.

— Jesteś chrześcijaninem, efendi! Dziś mam okazję stwierdzić, że chrześcijanie to nie psy, lecz że bywają niekiedy bardziej wielkoduszni i mądrzejsi od mahometan. Wierz mi, że oddaniem mi broni pokonałeś mnie łatwiej, niżbyś to mógł uczynić, używając przeciwko mnie twojej. Pokaż mi swój sztylet!

Podąłem mu go, Zbadał jego ostrze i stwierdził:

— To żelazo złamałbym w rękach. Przypatrz się natomiast mojej dżanbii!

Wyciągnął szablę z pochwy. Była arcydziełem sztuki; obosieczna, lekko zakrzywiona, precyzyjnej roboty, a po obu jej stronach widniał napis w języku arabskim: „tylko po zwycięstwie do pochwy”. Ta szabla została zapewne wykonana przez jednego z owych sławnych płatnerzy w Damaszku, którzy już dawno wymarli i z którymi dziś już nikt nie może się równać.

— Podoba ci się? — spytał szejk.

— Posiada zapewne wartość pięćdziesięciu owiec!

— Można powiedzieć: stu, lub nawet stu pięćdziesięciu, gdyż tą szablą posługiwało się dziesięciu moich przodków i ona nigdy nie pękła. Jest twoją! Daj mi za nią twój sztylet!

Cieńko bym szejka obraził, gdybym się nie zgodził na tę zamianę. Podąłem mu więc swój sztylet.

— Dziękuję ci, Esla el Mahemie. Będę nosił tę szablę jako pamiątkę od ciebie i dla uczczenia twoich przodków.

— Nigdy się na niej nie zawiedziesz, jak długo będziesz zdolny władać ręką — zapewnił mnie Esla el Mahem.

Wtem dał się słyszeć tętent kopyt końskich i po chwili zza występu skalnego, zamykającego naszą kryjówkę od południa, ukazał się jeździec.

Był to mój Halef.

— Sihdi, przybywaj! — zawołał, ujrzawszy mnie.

— Jaka jest sytuacja, Hadzi Halefie Omarze?

— Zwyciężyliśmy.

— Ciężko było?

— Łatwo. Wszystkich wzięliśmy do niewoli! — Wszystkich?

— Tak, razem z ich szejkami! Hamdulillah! Brakuje tylko Esli el Mahema, szejka Obeidów.

— Widzisz — zwróciłem się do wymienionego — że powiedziałem ci prawdę?

Potem zapytałem Halefa:

— Czy wojownicy plemienia Abu Mohammed przybyli w porę?

— Tak, przyszli zaraz po wejściu plemienia Dżowari w dolinę. Zamknęliśmy więc dolinę tak, że nikt z wrogich plemion nie mógł się z niej wydostać. Kim są ci mężczyźni?

— To jest szejk Esla el Mahem, o którym mówiłeś, ze swoimi ludźmi.

— Są twoimi jeńcami?

— Tak. Zabieram ich z sobą.

— Na Allaha! Pozwól, że zaraz zawrócę i powiadomię o tym Mohammeda Emina i Maleka!

Nie czekając na moje zezwolenie, pogalopował z powrotem.

Szejk Esla el Mahem dosiadł jednego z naszych wierzchowców. Greka również wsadziliśmy na

konia. Reszta Obeidów musiała iść piechotą. Ruszyliśmy w drogę. Jeśli w uedzie Deradz nie przelano więcej krwi niż tutaj, to powinniśmy być zadowoleni.

Wymienioną już uprzednio przełęczą przedostaliśmy się na drugą stronę pasma górskiego. Potem równiną posuwaliśmy się szybko na południe. Byliśmy jeszcze dość daleko od doliny, kiedy zauważyłem czterech jeźdźców, podążających nam naprzeciw. Pospieszyłem ku nim. Byli to: Malek, Mohammed Emin oraz szejkwie plemion Abu Mohammed i Alabeidów.

— Wziąłeś go do niewoli? — zawołał Mohammed Emin.

— Eslę el Mahema? Tak.

— Allahowi niech będą dzięki! Brakowało właśnie tylko jeszcze szejka Obeidów. Ilu wojowników utraciłeś w walce?

— Nikt nie zginął.

— A ilu jest rannych?

— Nikt z moich ludzi. Jedynie jeden z wrogów został postrzelony.

— Allah był więc dla nas łaskawy. Mamy tylko dwóch zabitych i jedenastu rannych.

— A nieprzyjaciele?

— Mieli gorszą sytuację. Zostali zamknięci w dolinie, z której nie mogli się wydostać. Nasi strzelcy mieli dobry cel, a ich z kolei, ukrytych za skałami, trudno było trafić. Nasi jeźdźcy trzymali się w zwartych szeregach, tak jak ich uczyłeś. Stratowali wszystko, wypadłszy z wąwozów.

— Gdzie teraz znajdują się nasi przeciwnicy?

— Są uwięzieni w uedzie. Musieli oddać broń i nikt nie może uciec, gdyż dolina jest otoczona przez naszych wojowników. Ha, teraz widzę Eslę el Mahema! Ale cóż to, zostawiłeś mu broń?

— Tak. Przrzekł mi bowiem, że nie ucieknie. Czy nie wiesz, że dzielnego nieprzyjaciela należy szanować?

— Chciał nas zniszczyć.

— Za to zostanie ukarany.

— Zostawiłeś mu broń, widocznie wiesz, co robisz. A teraz chodź ze mną.

Udaliśmy się na pobojuwisko, a reszta pospieszyła za nami. Na punkcie opatrunkowym panował ożywiony ruch. Przed placem z rannymi grupa uzbrojonych Haddedińców utworzyła krąg, pośrodku którego siedzieli zwyciężeni i związani szejkwie. Kiedy Esla el Mahem znalazł się blisko mnie, spytałem go oględnie:

— Czy chcesz zostać przy mnie? Odpowiedział tak, jak się spodziewałem:

— Są moimi sprzymierzeńcami, moje miejsce jest wśród nich.

Mówiąc to, Esla el Mahem wszedł do kręgu i przysiadł się do szejków. Nie padło przy tym ani jedno słowo, lecz widać było, że obaj szejkwie zmartwili się na jego widok. Prawdopodobnie wiązali jeszcze z nim pewną nadzieję, spodziewając się, że jest na wolności.

— Zaprowadź swoich jeńców do uedu! — rzekł Mohammed Emin. Spełniłem jego życzenie. Kiedy schodziłem w dolinę, oczom moim

ukazał się malowniczy widok. Dla ułatwienia komunikacji zrobiono w nasypie wyłom, a po obu stronach zbiega uedu stanęły posterunki. Całe dno doliny roiło się od wziętych w niewolę ludzi i koni, a na dalszym planie, w głębi doliny, ulokowali się nasi sprzymierzeńcy. Haddedińcowie gromadzili konie nieprzyjaciół, aby je wyprowadzić na równinę, gdzie już leżała zebrana w wielki stos broń pokonanych.

— Czy zaopiekowano się rannymi naszymi nieprzyjaciół? — spytałem Mohammeda Emina.

— Opatrzono im rany, zgodnie z twoim życzeniem.

— Co masz teraz w planie?

— Z okazji zwycięstwa urządzimy dzisiaj tak wielką pozorowaną bitwę, jakiej jeszcze nie było.

— Czy mamy czas na takie świętowanie?

— A co, twoim zdaniem, jest teraz ważniejsze?

— Mamy dużo do zrobienia. Trzeba zadbać o wyżywienie zarówno przyjaciół jak wrogów.

— Wyznamy ludzi, którzy się tym zajmą.

— Jak długo chcecie tutaj trzymać jeńców?

— Do czasu, kiedy im będzie wolno wrócić do siebie.

— A kiedy to ma nastąpić?

— Możliwie jak najwcześniej. Przez dłuższy czas nie mielibyśmy czym ich wyżywić.

— Widzisz więc, że mam rację? Radosną uroczystość z okazji zwycięstwa można urządzić dopiero wtedy, kiedy będzie na to czas. Najpierw szejkowie muszą zebrać się dla omówienia pilnych spraw, a potem postanowienia tej narady powinny być jak najszybciej wykonane. Powiedz szejkom, że nie można trzymać tutaj długo sześciu tysięcy ludzi!

Mohammed Emin oddalił się. Zbliżył się Lindsay.

— Wspaniałe zwycięstwo! Nieprawda? — zagadnął ranie.

— Świetne!

— Jak ja wykonać swoje zadanie, sir?

— Doskonale!

— To ładnie! Hm! Dużo ludzi tutaj.

— Jak widać.

— Czy nie ma wśród nich przypadkiem osób, które wiedzą, gdzie znajdują się ruiny?

— Możliwe. Trzeba by się było dowiedzieć.

— Proszę zapytać, sir!

— Zapytam, jak nadarzy się okazja!

— Zaraz teraz, natychmiast!

— Wybacz pan, sir Dawidzie, nie mam teraz czasu. Być może, moja obecność na naradzie okaże się konieczna, a narada ma się wkrótce rozpocząć.

— Dobrze. Ale potem zapytać! Tak?

— Oczywiście. Odszedł ku namiotom.

Czekało mnie tam dużo pracy, gdyż trzeba było poprawić wiele opatrunków. Uporawszy się z tym, wszedłem do namiotu, w którym odbywała się narada szejków. Rozprawiano z ożywieniem. Obradujący już w podstawowych sprawach nie mogli dojść do porozumienia i moje pojawienie się bardzo im odpowiadało.

— Udzielisz nam informacji, efendi Kara ben Nemsu — rzekł Mohammed Emin. — Zwiedziłeś wszystkie kraje świata i wiesz, co słuszne i korzystne.

— Pytajcie, będę odpowiadał.

— Do kogo należy broń pokonanych?

— Do zwycięzcy.

— A ich konie?

— Także do zwycięzcy.

— A do kogo należy odzież pokonanych?

— Rozbójnicy zabierają odzienie dla siebie, ale prawdziwy wierny pozostawia je zwyciężonym.

— Komu przypadają w udziale pieniądze i kosztowności wziętych do niewoli?

— Prawdziwy wierny zabiera tylko broń i konie.

— A co z trzodami pokonanych wrogów?

— Jeśli wasi wrogowie nie posiadają nic prócz trzody, to pozostaje ona ich własnością, muszą jednak ponieść koszty wojny i płacić roczną daninę?

— Mówisz, jak przyjaciel naszych wrogów — zauważył sarkastycznie Mohammed Emin. — Myśmy ich zwyciężyli, wobec tego ich życie i wszystko, co posiadają, należy do nas.

— Mówię jak ich i wasz przyjaciel. Twierdzisz, że ich życie należy do was?

— Tak przecież jest istotnie.

— Chcecie je im zabrać?

— Nie. Nie jesteśmy mordercami.

— A mimo to chcecie zabrać zwyciężonym ich trzody? Czy mogą bez nich żyć?

— Nie.

— Jeśli im zabierzecie trzody, to tym samym zabierzecie im życie i ograbicie w dodatku siebie samych.

— Jak to siebie samych?

— Przecież zwyciężeni mają wam w przyszłości płacić daninę?

— Oczywiście.

— Z czego? Czy Arab może uiszczać daninę, nie mając żadnych zwierząt?

— Mówisz mądrze i rozsądnie.

— Dalsze moje uwagi! Jeśli zabierzecie pokonanym wszystko: odzież, kosztowności, trzody, to będą zmuszeni kraść i rabować, żeby nie umrzeć z głodu. A gdzie będą kraść? Najpierw u sąsiada, czyli u was. Gdzie będą rabować? Wpierw u tego, który ich wtrącił w biedę i tym samym zmusza do rabunku, a więc u was. Co jest lepsze, mieć za sąsiadów przyjaciół czy rabusiów?

— Pewnie, że przyjaciół.

— Zróbcie więc z waszych wrogów przyjaciół, a nie rabusiów! Pokonanym zabiera się tylko to, czym mogą szkodzić. Jeśli im weźmiecie broń i konie, to wzbogaciecie się o dziesięć tysięcy sztuk różnej broni i o trzy tysiące wierzchowców. Czy to mało?

— Jeśli się nad tym zastanowić, to rzeczywiście dużo.

— Wasi dotychczasowi przeciwnicy nie będą mieli wówczas ani wystarczającego oręża, ani dość koni, żeby prowadzić wojny. Będziecie nad nimi panować, a oni będą się musieli schronić pod waszą opiekę, w razie gdyby ich napadli inni wrogowie. Z kolei będą musieli udzielać wam pomocy przeciwko waszym nieprzyjaciółom. Powiedziałem wam więc, co ja o tych sprawach myślę.

— To jeszcze nie wszystko, o co chcieliśmy cię zapytać! Ile sztuk trzody możemy twoim zdaniem zażądać już dzisiaj?

— Tyle, ile wynosi szkoda, poniesiona przez was na skutek ich napaści.

— A jak wysoką daninę mają nam uiszczać?

— Trzeba tak ustalić wysokość daniny, żeby z tego, co im pozostanie, mogli się utrzymać. Mądry szejk zadba jednak o to, żeby znów nie urosli w potęgę i nie wzięli odwetu za porażkę.

— Pozostaje jeszcze sprawa wendety. Zabiliśmy wielu ich wojowników.

— A oni kilku waszych. Zanim zwolnicie jeńców, niech się zbiorą krewni zabitych i ustalą wysokość odszkodowania. Wy macie więcej do zapłacenia od nich i możecie ten dług potrącić od razu z wartości zdobyczy, jaka wam przypadnie w udziale.

— Czy mamy czekać, aż nam sami przyniosą odszkodowanie wojenne?

— Nie. Musicie iść po nie. Jeńcy muszą tu pozostać tak długo, dopóki nie otrzymacie wszystkiego, to się wam należy. Jeśli zwyciężeni daniny nie zapłacą, narażą swoich zakładników na niebezpieczeństwo.

— Oczywiście, zabilibyśmy ich. — Teraz jeszcze jedna sprawa! Jak rozdzielić odszkodowanie

wojenne i daninę między sprzymierzeńców? Bardzo trudno jest określić, ile się każdemu z nas należy.

— Uważam, że to można nawet bardzo łatwo ustalić, biorąc pod uwagę, że jesteście przyjaciółmi. Poślijcie zaraz po odszkodowanie, dopóki jesteście tu wszyscy zgromadzeni, rozdzielcie je potem między siebie według ilości tu obecnych.

— Tak będzie najlepiej!

— Są tutaj trzy wasze plemiona — kontynuowałem — i zwyciężonych także trzy. Liczba członków poszczególnych plemion jest prawie równa. Należałoby ustalić, które z waszych plemion od którego z plemion przeciwnika otrzymywać będzie roczny trybut. Jesteście przyjaciółmi i towarzyszami. Czy chcecie się kłócić i poróżnić z powodu ogona jednej owcy lub rogów jednego byka?

— Masz rację. Kto jednak ma się udać po zwierzęta na pastwiska pokonanych plemion?

— Należy wysłać tyle osób, ile do tego potrzeba i to dwie trzecie spośród zwycięzców i jedną trzecią spośród zwyciężonych. — Słusznie. A co ty otrzymasz z tego odszkodowania?

— Nic. Jadę dalej i nie potrzebuję żadnej trzody. Broń i konia posiadam.

— A trzej mężczyźni, którzy są z tobą?

— Oni też nic nie wezmą. Mają wszystko, co potrzebują.

— Wobec tego będziesz musiał przyjąć to, co ofiarujemy w podzięcie. Jesteś młodszy od niejednego z nas, a mimo to nauczyłeś naszych wojowników, jak zwyciężać potężnego wroga bez własnych strat.

— Podziękujecie mi w najlepszy sposób, jeśli zajmiecie się troskliwie wrogami, którzy leżą ranni w waszych namiotach, a poza tym rozejrzyjcie się, czy w pobliżu nie ma ruin, w których można by znaleźć posągi i kamienie z obcymi napisami! Mój towarzysz poszukuje takich rzeczy. Wiecie już wszystko, co chciałem i mogłem wam powiedzieć. Oby Allah oświecił wasze umysły, żebym się wkrótce dowiedział, coście postanowili.

— Pozostań z nami i weź udział w obradach!

— Nic innego nie mogę dodać ponad to, co już powiedziałem. Teraz już beze mnie znajdziecie odpowiednie rozwiązanie.

Wyszedłem i dopilnowałem, żeby uwięzieni szejkowie otrzymali daktylę i wodę. Potem, spotkawszy Halefa, poszedłem z nim do uedu Deradz, chciałem sobie bowiem obejrzeć teraz tę dolinę nieco dokładniej. Uwięzieni tam ludzie Abu Hammeda znali mnie. Kiedy przechodziłem koło nich, zaczęli szeptać między sobą. W głębi doliny obozowali zwycięscy wojownicy Abu Mohammeda. Pozdrowili mnie radośnie. Byli zachwyceni, że tak łatwo pokonali potężnych wrogów. Obchodziłem grupę za grupą i dlatego upłynęło kilka godzin, zanim znów znalazłem się przy namiotach.

Tymczasem posłańcy, wysłani na pastwisko Haddedińców, postarali się, żeby obóz został zwinięty i przeniesiony w pobliże uedu Deradz. Cała dolina roiła się od trzód. Było więc w bród baraniny na ucztę, które tego wieczoru miały się odbyć w każdym namiocie. Mohammed Emin już mnie poszukiwał:

— Twoje słowa są tak samo dobre, jak twoje czyny — stwierdził. — Posłuchano twojej rady. Obeidowie będą płacić daninę Haddedińcom, plemię Abu Hammed plemieniu Abu Mohammed, a plemię Dżowari Alabeidom.

— Jak wysokie odszkodowanie mają do uiszczenia poszczególne plemiona?

Mohammed Emin wymienił sumy. Były one pokaźne, lecz nie podyktowane okrucieństwem. To mnie bardzo ucieszyło, tym bardziej iż zdałem sobie sprawę z tego, że moje rady nie pozostały bez wpływu na złagodzenie zwyczajów, które na ogół stosowano w takich wypadkach. O przejęciu

niewolników nie było mowy.

— Czy mógłbym cię o coś prosić? — spytał szejk.

— Proszę. Spełnię twoje życzenie, jeśli to będzie w mojej mocy.

— Poślemy po części trzód zwyciężonych. Ludzie, których wysyłamy, muszą mieć mądrych i dzielnych przywódców Szejk Malek i ja musimy zostać tu, przy jeńcach. Potrzeba nam trzech przywódców: jednego do Obeidów, jednego do plemienia Abu Hammed i jednego do plemienia Dżowari. Szejkowie plemion Abu Mohammed i Alabeidów wyrazili już zgodę; brakuje nam trzeciego. Czy zechciałbyś nim być?

— Chętnie.

— Dokąd chcesz pójść?

— Dokąd idą tamci?

— Pozostawiają ci pierwszeństwo wyboru.

— Pójdę więc do plemienia Abu Hammed, bo już raz u nich byłem. Kiedy mamy wyruszyć?

— Jutro. Ilu ludzi chcesz wziąć ze sobą?

— Czterdziestu z plemienia Abu Hammed i sześćdziesięciu twoich Haddedińów. Hadzi Halef Omar będzie mi również towarzyszył.

— Wybierz więc sobie ludzi!

— Czy uzgodniliście już wszystko z szejkami pokonanych plemion?

— Jeszcze nie, lecz załatwimy to przed ostatnią modlitwą.

— Zatrzymaj tutaj co znamienitszych wojowników wrogich plemion, a z nami wyślij niewiele znaczących! Wystarczą do pędzenia trzód; dzielni wojownicy przedstawiają większą wartość jako zakładnicy.

Poszedłem, żeby dobrać sobie ludzi. Przy tej okazji spotkałem Lindsaya.

— Spytał pan? — zagadnął mnie.

— Jeszcze nie.

— Dlaczego?

— Nie ma potrzeby, gdyż poleciłem szejkom, żeby zainteresowali się tą sprawą.

— Wspaniale! Wyśmienicie! Szejkowie wiedzą wszystko. Znajdę więc ruiny.

— Tak sądzę. Czy chce pan przejechać się dla rozrywki ze mną?

— Dokąd?

— Aż poniżej miejscowości El Fatha, gdzie Tygrys przebija się przez góry Mukehil.

— W jakim celu?

— Po odszkodowanie wojenne w postaci trzód.

— U kogo mamy je odebrać?

— U plemienia Abu Hammed, które nam kiedyś zrabowało nasze konie.

— Wspaniale, sir! Jadę z panem! Ilu ludzi zabieramy?

— Stu wojowników.

— Dobrze! Wyśmienicie! Okazały poczet! Czy są tam ruiny?

— Liczne kurhany, lecz na lewym brzegu rzeki.

— Nie przejdziemy tam?

— Nie.

— Szkoda! Wielka szkoda! Moglibyśmy poszukać. Znaleźć fowlingbulls.

— Mimo to znajdziemy coś nadzwyczajnego.

— Co takiego?

— Smakołyk, którego brak odczuwaliśmy od dawna, mianowicie trufle.

— Trufle? Ach!

Lindsay rozdziawił usta tak szeroko, jakby chciał od razu spożyć cały pasztet z truflami.

— Rosną w wielkich ilościach w tamtej okolicy — wyjaśniłem mu — i dowiedziałem się, że eksportuje się ich dużo do Bagdadu, Basry, Kerkuku i Sulejmanije. Wysyła się je rzekomo nawet do Kermanszah.

— Jadę z panem, jadę z panem! Trufle! Hm! Wspaniale!

Powiedziawszy to, Lindsay oddalił się, żeby podzielić się tą wielką nowiną ze swoimi służącymi. Ja natomiast poszedłem wyszukać sobie ludzi, mających mi towarzyszyć w wyprawie po zwierzęta.

Pokonani szejkwowie zdawali sobie sprawę, że muszą przyjąć warunki zwycięzców i nim wieczór zapadł, zgodzili się na wszystkie ich żądania. Wreszcie rozpoczęła się uroczystość z wystawnym przyjęciem, na które zabito niejednego barana. Wokół panowała powszechna radość, ja zaś leżałem wśród wonnych traw. Do moich uszu docierał zgiełk tysięcy głosów, a mimo to czułem się osamotniony i różne myśli snuły mi się po głowie. Przed wielu wiekami oszczepnicy siali tutaj grozę swymi oszczepami. Tu, być może, stał namiot Holofernesa, cały ze złota i purpury, ozdobiony szmaragdami i innymi drogimi kamieniami. A tam w dali, na szumiących falach rzeki, kołysały się zakotwiczone statki, które Herodot opisuje w następujący sposób:

„Łodzie są kształtu kolistego i wykonane ze skór. Buduje się je w Armenii i w okolicach, leżących powyżej Asyrii. Wręgi sporządza się z wierzbowych witek i gałęzi, które pokrywa się skórą. Łodzie są okrągłe jak tarcze i nie ma różnicy między ich przodem a tyłem. Dno takiego statku żeglarze wykładają trzcina lub słomą. Te łodzie, załadowane towarami, a zwłaszcza winem palmowym, płyną w dół rzeki Mają dwa stery; każdy ster obsługuje jeden człowiek. Jeden sternik ciągnie ster ku sobie, a drugi swój ster od siebie odpycha. Statki te mają różne wymiary. Jedne są tak duże, że mogą nieść ciężar aż do pięciu tysięcy talentów. Mniejsze zabierają na pokład jednego osła, większe więcej tych zwierząt. W Babilonie załoga statku sprzedaje przywiezione dobra oraz wystawia na sprzedaż wręgi i trzcinę z łodzi. Potem marynarze obładują bukłakami osły i wracają z nimi do Armenii, gdzie budują nowe łodzie”.

Choć minęły wieki, łodzie pozostały takie same. Znikły natomiast ludy, które tutaj żyły. Ciekawy jestem, jak będzie, kiedy znowu upłynie tyleż czasu?

## OKROPNE ODKRYCIE

Następnego dnia, przed południem, wyruszyliśmy w drogę. Ja, Halef i jeden z wojowników plemienia Abu Hammed jechaliśmy na czele zastępu. Dawid Lindsay ze swoimi służącymi Billem i Fredem stanowili straż tylną.

Przejechaliśmy między górami Khanuke i Mukehil, i wkrótce ujrzelśmy na lewym brzegu Tygrysu mały, sztuczny pagórek, zwany Tell Hamlia. Na prawym brzegu, w pobliżu miejscowości Kalat el Dzebar, widoczne były ruiny, składającej się z kilku okrągłych wież, które się rozpadły. Wieże te połączone były wałami. Budowla nazwana została mianem: „zamek tyranów”. Następnie dotarliśmy do Tell ed Dahab, wzgórza na lewym brzegu rzeki, a dla spożycia obiadu zatrzymaliśmy się przy Brey el Bad, dość stromej skale. Pod wieczór przybyliśmy do El Fatha, gdzie Tygrys szerokim strumieniem przebija się przez góry Mukehil. Po sforsowaniu tej cieśniny, rozłożyliśmy się obozem na nocleg. Ludzie z plemienia Abu Hammed nie byli co prawda uzbrojeni, mimo to podzieliłem Haddedihnów na dwie grupy, które miały się zmieniać na warcie. Gdyby bowiem choć jednemu z jeńców udało się uciec, zawiadomiłby swoje plemię o naszym zbliżaniu się, a wówczas najlepsze zwierzęta zostałyby z pastwiska usunięte lub ukryte.

O świcie ruszyliśmy dalej. Tygrys był tu szeroki. Nurt jego opływał wiele wysp. Wzdłuż lewego brzegu rzeki wznosiły się liczne pagórki, na jej prawym brzegu natomiast rozciągała się przed nami rozległa równina, na której obozowały plemiona Abu Hammed.

— Czy macie tylko jedno pastwisko, czy też kilka? — spytałem przewodnika grupy wojowników plemienia Abu Hammed, których wiodłem z sobą.

— Tylko jedno.

Odniosłem wrażenie, że nie mówi prawdy.

— Kłamiesz.

— Nie kłamię, efendi.

— Dobrze więc. Będę się starał wierzyć w to, co mówisz. Jeśli jednak zauważę, że wprowadzasz mnie w błąd, strzelę ci w łeb.

— Nie zrobisz tego, gdyż powiem ci, że być może mamy dwa pastwiska.

— Albo trzy?

— Tylko dwa.

— Jeżeli znajdę trzy, będziesz zgubiony!

— Wybacz efendi! Nasi ludzie mogli przecież znaleźć tymczasem jeszcze jedno. Mogą więc być trzy.

— Acha! A więc może macie nawet cztery pastwiska?

— Chciałbyś, żeby ich było jeszcze dziesięć! — mruknął w odpowiedzi.

Zaprzeczyłem.

— Należysz do plemienia Abu Hammed i nie masz ochoty utracić tego, co zrabowałeś. Nie, będę cię więc dalej zasypywał pytaniami.

— Mamy cztery pastwiska, efendi — rzekł trwożliwie. — Dobrze. Milcz, gdyż sam się przekonam!

Przy pomocy lunety zbadałem obrzeże widnokręgu i w dali odkryłem liczne ruchome punkty. Przywołałem Saliha, dowodzącego grupą Haddedihnów. Wydawał mi się człowiekiem, na którym



można polegać.

— Mamy w naszym orszaku czterdziestu ludzi Abu Hammeda — wyjaśniłem mu. — Czy sądzisz, że z trzydziestoma naszymi wojownikami będziesz mógł ich upilnować?

— Nawet z dziesięcioma, efendi. Wojownicy Abu Hammeda nie mają przecież broni.

— Wybiorę się teraz z Hadżim Halefem Omarem na zwiad. Kiedy słońce znajdzie się dokładnie nad tamtym krzakiem, a my do tego czasu nie wrócimy, wyślesz trzydziestu Haddedińców, żeby nas odszukali! — przykazałem Salihowi.

Potem posłałem po Anglika. Zjawił się ze swoimi obydwoma służącymi.

— Powierzam wam ważne zadanie — powiedziałem.

— Dobrze! — skinął głową Lindsay.

— Pojadę przodem, aby spenetrować, jak daleko rozciągają się pastwiska plemienia Abu Hammed. Gdybym nie wrócił w ciągu dwóch godzin, trzydziestu Haddedińców wyjedzie moim śladem.

— Czy mam jechać z nimi?

— Nie. Pan pozostanie tu z pozostałymi wojownikami, aby pilnować jeńców. Gdyby któryś z nich próbował uciec, zastrzeli go pan.

— Tak jest! Jeśli jeden ucieknie, zastrzelę wszystkich.

— Dobrze, lecz nie więcej!

— Więcej nie — roześmiał się Anglik i dodał: — Ale sir, jeśli mówić z plemieniem Abu Hammed, to zapytać!

— O co?

— O ruiny i fowlingbulls.

— Oczywiście. — Naprzód, Halefie!

Pogalopowaliśmy prosto w kierunku punktów, jakie zaobserwowałem przez lunetę. Była to pasąca się trzoda owiec, której pilnował stary człowiek.

— Es selam 'alejku! — pozdrowiłem go.

— We 'alejku es selam! — odrzekł, nisko się kłaniając.

— Czy na twoim pastwisku panuje spokój?

— Jest spokojnie, panie.

— Należysz do plemienia Abu Hammed?

— Tak.

— Gdzie znajduje się wasz obóz? — Tam w dole, za zakrętem rzeki.

— Czy macie więcej pastwisk?

— Dlaczego o to pytasz, panie?

— Ponieważ mam do przekazania wiadomości wszystkim członkom twojego plemienia.

— Od kogo?

— Od twojego szejka, Zedara ben Huli.

— Hamdulillah! Zapewne przynosisz dobre wieści.

— O tym później. Powiedz więc, ile macie pastwisk!

— Sześć. Trzy tutaj nad Tygrysem, rozciągające się wzdłuż rzeki, i trzy na wyspach.

— Czy wszystkie wyspy są zamieszkałe?

— Wszystkie, za wyjątkiem jednej.

Zastanowił mnie ton tego zdania i wyraz twarzy starca. Nie dałem jednak poznać po sobie, że to zauważyłem i spytałem: — Gdzie leży ta niezamieszkała wyspa?

— Naprzeciwko nas możesz ujrzeć pierwszą, a ta, którą mam na myśli, jest czwartą, panie.

Postanowiłem mieć baczne oko na tę wyspę, tymczasem jednak pytałem dalej:

— Dlaczego ta wyspa jest niezamieszkała?

— Trudno do niej dotrzeć, bo prąd wokół niej jest silny i niebezpieczny.

— Hm! — Taka wyspa nadaje się świetnie na miejsce odosobnienia dla więźniów. Tak sobie pomyślałem i kontynuowałem:

— Ilu mężczyzn znajduje się w waszym obozie?

— Czy ty naprawdę jesteś wysłannikiem naszego szejka, panie? Jego niedowierzenie potęgowało również moją podejrzliwość.

— Tak. Rozmawiałem z nim oraz z szejkami Obeidów i Dżowari.

— Jakie przynosisz wieści?

— Wiadomość o pokoju.

— Dlaczego szejk nie wysłał z tą wiadomością kogoś z naszego plemienia?

— Ludzie z plemienia Abu Hammed zaraz tu przybędą.

Nie chciałem dłużej nagabywać starego i pojechałem naprzód, trzymając się jednak brzegu, żeby policzyć wyspy. Kiedy minęliśmy trzecią wyspę, Tygrys robił nagły zakręt i wówczas ukazały się nam namioty obozu. Cała równina wokół obozu roiła się od wielbłądów, bydła, kóz i owiec. Koni zauważyłem niewiele. Również mężczyzn ujrzałem tylko kilku, którzy w dodatku byli starzy i słabi, a więc nie byli niebezpieczni. Wjechaliśmy w drogę między namiotami.

Przed jednym z namiotów stała młoda dziewczyna i pieszczotliwie głaskała uwięzowanego tam konia. Zobaczywszy mnie, krzyknęła, skoczyła na wierzchowca i pognąła przed siebie. Czy miałem ją ścigać?

Nie zrobiłem tego. Byłoby to zresztą niemożliwe, gdyż zostałem otoczony przez wszystkich obecnych w obozie: starców, chorych, kobiety i dziewczęta. Jeden ze starców położył rękę na szyi mojego Karego i zapytał:

— Kim jesteś, panie?

— Jestem posłańcem Zedara ben Huli.

— Szejka! Z jaką wieścią cię przysyła?

— Powiem wam to, kiedy zgromadzicie się tu wszyscy. Ilu wojowników pozostawił tutaj szejk?

— Piętnastu młodzieńców. Ajema zapewne pojechała po nich.

— To pozwól, że zsiądę z konia! Ty natomiast — zwróciłem się do Halefa — jedź natychmiast dalej, gdyż plemię Dżowari musi otrzymać tę samą wiadomość!

Halef domyślił się, o co mi chodziło. Zawrócił konia i pogalopował z powrotem.

— Czy twój towarzysz nie mógłby tu zostać, żeby wypocząć i posilić się? — spytał stary.

— On nie jest zmęczony ani głodny — odparłem — a zadanie, jakie ma wykonać, nie cierpi zwłoki. Gdzie znajdują się młodzi wojownicy?

— Koło wyspy.

— Znowu ta wyspa — pomyślałem.

— Co tam robią?

— Oni — zająknął się stary, a potem powiedział — pasą trzodę.

— Czy ta wyspa znajduje się daleko stąd?

— Nie. Patrz, już są!

Istotnie od strony rzeki nadjeżdżała cwałem grupa uzbrojonych ludzi. Byli to najmłodsi członkowie plemienia, niemal jeszcze chłopcy. Pozostawiono ich w obozie razem ze starcami. Nie mieli broni palnej, lecz tylko dzidy i maczugi. Najokazalszy z młodzieńców, jadący na przedzie, wznosił maczugę i rzucił nią w moim kierunku, wołając:

— Ty psie, odważyłeś się przybyć do nas?

Na szczęście miałem w ręku swoją ciężką fuzję i jej kolbą mogłem odparować rzut maczugi. Jednakże dzidy wszystkich chłopców wymierzone były we mnie.

Nie przejąłem się tym zbytnio, napałem swym koniem na rumaka atakującego mnie jeźdźca. On wydawał się najstarszy spośród chłopców; mógł mieć około dwudziestu lat.

— Chłopcze, masz czelność atakować gościa twojego plemienia? Mówiąc to, wyrwałem go z jego siodła i usadowiłem przed sobą na moim ogierze. Zwisiał mi w ręku jak manekin. Sparaliżował go strach.

— No, a teraz uderzajcie, jeśli chcecie kogoś zabić! — krzyknąłem do pozostałych.

Nie odważyli się, gdyż zaskoczony i unieszkodliwiony przeze mnie młodzieniec był teraz dla mnie tarczą. Chłopcy nie byli jednak całkiem bezradni. Kilku z nich zsiadło z koni i próbowało zejść mi z boków i od tyłu, podczas gdy reszta usiłowała zaatakować mnie od przodu. Czyż miałem użyć broni? Nie chciałem zranić żadnego z chłopaków. Cofnąłem się więc z koniem aż pod ścianę jednego z namiotów, tak że nie można mnie było zaatakować od tyłu i spytałem.

— Co wam zrobiłem, że chcecie mnie zabić?

— Znamy cię — odpowiedział jeden z napastników. — Nie ujdiesz nam więcej, zdobywco lwiej skóry!

— Mówisz bardzo odważnie, chłopcze w skórze jagnięcej.

Wtem jedna ze starych kobiet, płacząc, wzniosła ręce w górę i zawołała:

— Czy to ten? Och! Nie walczy z nim, gdyż on jest straszny!

— Zabijemy go! — upierała się zgraja.

— Rozedrze was na kawałki, a potem uniesie w powietrze i zniknie!

— Nie zniknę, pozostanę tu — zaśmiałem się i rzuciłem swego więźnia w sam środek grupy napastników. Potem zeskoczyłem z konia i przemknąłem się do namiotu. Jednym cięciem sztyletu powiększyłem wejście do namiotu tak, żeby móc wciągnąć Riha do środka, nie narażając go na niebezpieczeństwo. W ten sposób uchroniłem siebie i konia przed ukłuciami lanc.

— Mamy go! Hamdulillah, mamy go! — rozległy się radosne krzyki przed namiotem.

— Otoczcie namiot! Nie wypuście go! — krzyczał ktoś.

— Zakłujcie go przez ściany namiotu! — wołał ktoś inny.

— Nie, weźmiemy go żywcem. Ma przy sobie Karego, którego nam nie wolno zranić. Szejk chce mieć tego konia.

Byłem pewny, że nikt nie odważy się wejść do namiotu. Usiadłem więc wygodnie i poczęstowałem się zimną pieczenia z półmiska, który zauważyłem w zasięgu ręki. Zresztą areszt, na który sam się skazałem, nie trwał długo. Halef przynaglił swego konia do biegu i wkrótce ziemia zadudniła pod kopytami wielu wierzchowców. Galopowało trzydziestu jeźdźców.

— Allah kerim! — wrzasnęli moi prześladowcy. — To wrogowie!

Wyszedłem na zewnątrz. Z mieszkańców obozu nie ujrzałem żywej duszy. Wszyscy pochowali się w namiotach.

— Sihdi! — dał się słyszeć głos Halefa.

— Tu jestem, Hadzi Halefie!

— Czy spotkało cię coś złego? — zawołał Halef.

— Nie — odrzekłem. — Obsadźcie obóz, żeby nikt z niego nie uszedł! Kto spróbuje uciekać, zostanie zastrzelony!

Wypowiedziałem to zdanie celowo dość głośno, żeby wszyscy usłyszeli te słowa. Chciałem tylko zastraszyć mieszkańców obozu. Potem poleciłem Halefowi obejść namioty i zwołać wszystkich

starców. Młodzieńców nie poprosiłem. Długo trwało, zanim się starcy zebrali. Nadchodzili strwożeni. Kiedy usiedli wokół mnie w bojaźliwym oczekiwaniu, zapytałem:

— Czy po tatuażu moich ludzi rozpoznaliście, do jakiego plemienia należą?

— Tak efendi, to są Haddediwnowie.

— Gdzie są wasi wojownicy?

— Zapewne wiesz, panie.

— Tak, wiem i chcę wam to powiedzieć: Wszyscy są jeńcami Haddediwnów i nikt nie uszedł z niewoli.

— Allah kerim!

— Tak, oby Allah zarówno dla nich, jak i dla was zechciał być łaskawy!

— On kłamie! — szepnął jeden ze starców, którego wiek nie pozbawił jeszcze całej odwagi.

Zwróciłem się do niego:

— Mówisz, że kłamie? Broda ci zbielała i twoje plecy zgięły się pod ciężarem lat; dlatego wybaczam ci twoje słowa. Dlaczego twierdzisz, że was okłamuję?

— Jakżeż jedno plemię Haddediwnów mogło wziąć do niewoli całe trzy plemiona?

— Nie dziwiłbyś się wiedząc, że Haddediwnowie nie byli sami. Sprzymierzyli się z plemionami Abu Mohammed i Alabeidami. Wiedzieli o wszystkim; i wówczas, kiedy zostałem przez waszych wojowników wzięty do niewoli, wracałem właśnie z obozu plemienia Abu Mohammed, gdzie omówiliśmy plan wojenny. Oczekiwaliśmy was w uedzie Deradz i tam was pokonaliśmy. Posłuchajcie teraz moich rozkazów!

Stałem u wejścia do namiotu, w którym się znajdowaliśmy i przywołałem Halefa.

— Jedź z powrotem i przyprowadź jeńców plemienia Abu Hammed!

Starców teraz naprawdę ogarnął strach, a zabierający uprzednio głos zapytał:

— Czy to możliwe, panie?

— Mówię prawdę. Wszyscy wojownicy waszego plemienia są u nas w niewoli. Zostaną zabici, jeżeli nie zapłacicie żadanego za nich okupu.

— Czy szejek Zedar ben Huli jest także jeńcem?

— On również.

— To powinienes z nim omówić sprawę okupu.

— Zrobiłem to.

— I co powiedział?

— Szejek Zedar chce zapłacić okup. Dał mi czterdziestu swoich ludzi, którzy mają ten okup od was odebrać.

— Niech Allah ma nas w swojej opiece! Jak wielki jest ten okup?

— Niebawem usłyszycie. Ile sztuk liczą wasze trzody?

— Tego nie wiemy.

— Kłamiecie! Każdy Arab zna ilość zwierząt, będących własnością jego plemienia. Więc odpowiadajcie! Ile macie koni?

— Dwadzieścia, poza tymi, które zostały zabrane na wojnę.

— Te są dla was stracone. Ile wielbłądów?

— Trzysta.

— Bydła?

— Tysiąc dwieście sztuk.

— Osłów i mułów?

— Około trzydziestu.

— Owiec?

— Dziewięć tysięcy.

— Wasze plemię nie jest bogate. Okup będzie wynosił: dziesięć koni, sto wielbłądów, trzysta sztuk bydła, dziesięć osłów i mułów i dwa tysiące owiec.

Starcy podnieśli okropny lament. Było mi ich żal, lecz nie mogłem niczego zmienić, a gdybym ilości, które wymieniłem, porównał z tymi, które wymieniono by w mniej korzystnych warunkach, to mogłem mieć spokojne sumienie. Chcąc położyć kres biadoleniu starców, zawołałem ostrzejszym tonem:

— Zamilczcie! Szejk Zedar ben Huli przyjął te warunki.

— Nie możemy tyle dać — brzmiała odpowiedź.

— Możecie. Łatwiej oddaje się to, co się zrabowało.

— Nie zrabowaliśmy niczego.

— Bądźcie cicho! Wiem, że jesteście haramijami i w dodatku z dumą posługujecie się tym tytułem, który przynosi wam wątpliwy zaszczyt. Czyż sam nie zostałem przez was napadnięty?

— To był tylko żart, panie.

— W takim razie stroicie sobie niebezpieczne żarty. Ile macie pastwisk?

— Sześć.

— Także na wyspach?

— Tak.

— Czy również na tej, koło której przedtem byli wasi młodzieńcy?

— Nie.

— Powiedziano mi przecież, że wypasali tam trzody. Kłamiecie w żywe oczy. Kto się znajduje na tej wyspie?

Zapytani spojrzeli na siebie zakłopotani, potem jeden z nich oznajmił:

— Tam są mężczyźni.

— Jacy mężczyźni?

— Obcy.

— Skąd?

— Nie wiemy.

— A kto to wie?

— Tylko szejk.

— Kto tych mężczyzn do was przyprowadził?

— Nasi wojownicy.

— Wasi wojownicy? I tylko szejk wie, skąd oni są? Widzę, że będę musiał zażądać od was nie dwóch, lecz trzech tysięcy owiec! Czy wolicie powiedzieć prawdę?

— Panie, nam nie wolno.

— Dlaczego?

— Szejk by nas ukarał. Niech się pan zlituje nad nami!

— Dobrze. Nie będę was narażał na taką przykrość.

Wtem między namiotami dały się słyszeć ciężkie, człapiące kroki. Byli to jeńcy Haddedińów wraz z eskortą. Na ten widok we wszystkich namiotach podniósł się wielki lament. Wstałem.

— Widzicie więc — rzekłem — że mówiłem prawdę. Czterdziestu waszych wojowników przybyło po okup. Obejdźcie namioty i zwołajcie wszystkich mieszkańców. Nic im się nie stanie. Wszystkim mam coś do powiedzenia.

Trudno było zebrać wszystkich starców, kobiety i dzieci. Kiedy się wreszcie zgromadzili przed

obożem, przemówiłem:

— Widzicie tu waszych ojców, wasze matki, siostry i dzieci! Są w mojej mocy i wyprowadzę wszystkich jak więźniów, jeśli nie spełnicie rozkazu, który zaraz otrzymacie. W pobliżu znajduje się sześć waszych pastwisk. Podzielę was na sześć grup, z których każda uda się pod nadzorem moich wojowników na jedno z pastwisk, aby przyprowadzić stamtąd zwierzęta. Wszystkie trzody muszą się tutaj znaleźć najpóźniej za godzinę!

Zgodnie z moim poleceniem, ludzie z plemienia Abu Hammed podzielili się pod nadzorem Haddedihnów na grupy. Na miejscu zatrzymałem tylko dwunastu naszych; między nimi Halefa.

— Oddalę się teraz, Halefie — powiedziałem do niego.

— Dokąd, sihdi?

— Na wyspę. Dopilnujesz tu porządku, a potem pokierujesz wyborem zwierząt. Zadbaj o to, żeby nie zabrano tym ludziom wyłącznie najlepszych sztuk. Selekcja musi być sprawiedliwa!

— Nie zasłużyli na to, sihdi!

— Ale ja sobie tego życzę. Rozumiesz mnie, Halefie? Podszedł do nas Dawid Lindsay.

— Czy pan zapytał?

— Jeszcze nie.

— Nie zapomnieć! — Nie. Chcę panu znowu zlecić pewną misję. — Dobrze.

— Proszę uważać na te kobiety!

— Tak jest!

— Jeśli pan spostrzeże, że któraś z nich ma zamiar opuścić obóz, to...

— ...zastrzelę ją.

— Ależ nie!

— A co mam zrobić?

— ...to pozwoli jej pan uciec!

— Dobrze, sir!

Lindsay wypowiedział te dwa słowa, lecz ust ze zdumienia nie zamknął, więc odwróciłem się, nie mogąc opanować śmiechu. Byłem zresztą święcie przekonany, że na sam widok drągała w kraciastym ubraniu, kobietom przejdzie ochota do ucieczki.

Z dwoma Haddedihnami skierowałem się ku Tygrysowi. Wkrótce ujrzałem czwartą wyspę. Była podłużna, wąska i gęsto porośnięta sitowiem, wysokością przewyższającym znacznie dorosłego człowieka. Z brzegu nie można było zauważyć na wyspie żadnej żywej istoty, lecz wyspa ta na pewno kryła jakąś tajemnicę, którą postanowiłem zgłębić za wszelką cenę.

— Poszukajcie tratwy! — poleciłem swoim towarzyszom.

— Dokąd się chcesz udać?

— Na wyspę.

— To niemożliwe, efendi. Czyż nie widzisz rwącego prądu rzeki? Każda tratwa się tam roztrzaska.

Człowiek mówiący te słowa, miał rację, a mimo to byłem przekonany, że między brzegiem rzeki a wyspą musi istnieć jakaś komunikacja i kiedy wyspie dokładniej się przypatrzyłem, zauważyłem, że na górnym cyplu sitowie jest zdeptane.

— Popatrzcie tam! Czy nie widzicie, że byli tam ludzie?

— Tak wygląda, efendi.

— A więc musi tu być także jakiś statek. Szukajcie!

Poszli wzdłuż brzegu tam i z powrotem, wrócili jednak z kwitkiem. Szukałem teraz razem z nimi, długo, lecz bezskutecznie. Wreszcie jednak odkryłem — co prawda nie tratwę ani statek, lecz

urządzenie, którego przydatność wydała mi się natychmiast jasna. Na pniu drzewa, rosnącego tuż na wodą, umocowana była długa, mocna lina, ukręcona z palmowych włókien. Jeden jej koniec owinięty był wokół pnia, sama lina natomiast ukryta była w gęstych zaroślach. Kiedy ją wyciągnąłem, na jej drugim końcu ukazał się worek z koziej skóry, na którym umieszczono poprzeczną belkę, służącą do trzymania się jej rękami.

— Patrzcie, tu jest ta tratwa. A ta nie może się rozbić. Popłynę na wyspę, a wy uważajcie, żeby mi nikt nie przeszkodził.

— To niebezpieczne, efendi.

— Inni też się tam przedostali.

Zdjąłem odzienie i nadmuchałem bukłak. Otwór zawiązałem sznurem.

— Trzymajcie linę i przepuszczajcie ją powoli przez ręce! Uchwyciłem mocno belkę i ześliznąłem się do wody. Natychmiast

porwał mnie prąd, który był tak silny, że mocny mężczyzna musiał wyteńczyć wszystkie swoje siły, żeby utrzymać linę. Do przewiezienia z wyspy lub na wyspę człowieka trzeba było chyba zjednoczonych sił kilku mężczyzn. Udało mi się przepłynąć i wylądowałem na wyspie szczęśliwie, chociaż prąd wodny mocno mnie uderzył. Pierwszym moim zadaniem było umocować linę w ten sposób, żeby jej nie porwał prąd. Potem ująłem sztylet, który trzymałem za pasem.

Od cypla wyspy poprzez gąszcz trzciny wiodła wąska, wydeptana ścieżka. Idąc nią, znalazłem się wkrótce przed małą chatą, sporządzoną z bambusa i sitowia. Chata była tak niska, że żaden człowiek nie mógłby w niej stać i nie było w niej nic, prócz kilku sztuk odzieży. Były to podarte ubrania trzech mężczyzn. Nic nie wskazywało na to, że właściciele tych ubrań byli tu niedawno. Ścieżka jednak wiodła dalej.

Kiedy posuwałem się nią, wydało mi się niebawem, że słyszę jęki. Przyspieszyłem kroku i dotarłem do miejsca, w którym trzcina była ścięta. Na tej małej polance zauważyłem trzy ludzkie głowy tkwiące w ziemi szyjami. Tak to przynajmniej wyglądało. Były niekształtnie spuchnięte, a przyczynę tego można było łatwo poznać, kiedy się bowiem zbliżyłem, w powietrze uniosła się chmura moskitów i komarów. Oczy i usta głów były zamknięte. Czyżby to były trupy czaszki, które tu z jakiegoś powodu ustawiono?

Schyliłem się i dotknąłem ostrożnie jednej z głów. Wówczas spomiędzy warg wydobył się cichy jak tchnienie jęk; oczy otwarły się i wpatrzyły we mnie szklanym wzrokiem. Rzadko coś mnie w dotychczasowym życiu przstraszyło, teraz jednak ogarnęła mnie taka zgroza, że cofnąłem się kilka kroków.

Po chwili zbliżyłem się ponownie, żeby zbadać sprawę. Rzeczywiście, trzech mężczyzn było zakopanych w wilgotnym, gnijącym gruncie aż po szyje.

— Kim jesteście? — spytałem głośno.

Wtedy wszystkie trzy głowy otwarły oczy i wlepiły we mnie obłąkany wzrok. Wargi jednego z zakopanych otwarły się:

— O Adi! — zaczął przeciągle.

Adi? Czy tak nie zowie się wielki święty jezydów, czczących rzekomo szatana?

— Kto was tu sprowadził? — spytałem.

Usta otwarły się ponownie, nie mogły jednak wypowiedzieć ani słowa więcej. Spiesznie przedarłem się przez gęsto rosnącą trzcinę do drogiego brzegu wyspy i nabrałem z rzeki wody w dłonie. Szybko wróciłem, i podałem wodę umęczonym. Chleptali ją łapczywie. Za jednym razem nie mogłem jej przynieść wiele, gdyż przeciekała mi między palcami. Musiałem więc często chodzić tam i z powrotem, zanim zakopani ugasilili choć trochę swoje okropne pragnienie.

— Czy jest tu jakaś motyka? — spytałem.

— Zabrali z sobą — wyszeptał jeden z nieszczęśliwych. Pobiegłem do górnego cypla wyspy. Po drugiej stronie rzeki stali moi towarzysze. Przyłożyłem rękę do ust, żeby przekrzyczeć szum wody i zawołałem:

— Przynieście łopatę i motykę, i sprowadźcie tych trzech Anglików — lecz po kryjomu!

Zrozumieli Halefa nie mogłem wezwać, gdyż był potrzebny po tamtej stronie rzeki. Czekałem niecierpliwie. Nareszcie zjawili się Haddedihowie z trzema Anglikami, którzy przynieśli z sobą motykę Lindsaya.

— Sir Dawidzie! — zawołałem. — Szybko do mnie! Bill i Fred także. Przynieście z sobą motykę!

— Moją motykę? Znalazł pan fowlingbulls?

— Zobaczymy!

Odwiązałem bukłak i zepchnąłem go do wody.

— Niech pan ciągnie za linę!

Po chwili sir Dawid zjawił się na wyspie.

— Gdzie? — zapytał.

— Proszę poczekać; trzeba wpierw tamtych też przetransportować!

— Dobrze!

Lindsay dał znak ludziom na drugim brzegu i wkrótce dwaj silni angielscy chłopcy znaleźli się przy nas. Bill niósł motykę. Przymocowałem ponownie skórzany worek do drzewa.

— Chodźmy, sir Dawidzie!

— No, nareszcie!

— Sir Dawidzie Lindsay — powiedziałem — czy zechce mi pan wybaczyć?

— Co mianowicie?

— Nie znalazłem fowlingbulls.

— Nie znalazł pan? — Lindsay zatrzymał się i rozwarł szeroko usta. — Żadnych? Ach!

— Odkryłem natomiast coś innego, coś okropnego, co wymaga pańskiej obecności tutaj. Chodźmy!

Wziąłem motykę i ruszyłem przodem.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, Anglicy cofnęli się nagle z okrzykiem przerażenia. Widok, jaki się nam ukazał, był teraz jeszcze straszniejszy niż przedtem, gdyż zakopani mieli teraz otwarte oczy i poruszali głowami, żeby odpędzić roje owadów.

— Tych ludzi zakopano — rzekłem.

— Kto to zrobił? — spytał Lindsay.

— Dowiemy się.

Posługiwałem się łopatą z takim pośpiechem, a moi towarzysze skrobali i drapali ziemię rękami tak pilnie, że już po upływie kwadransa trzech nieszczęśliwi ludzie leżeli przed nami, wydobyli z ziemi. Byli zupełnie nadzy; ręce i nogi mieli związane sznurami z łyka. Wiedziałem, że Arabowie swoich chorych, cierpiących na pewne określone dolegliwości, zakopują w ziemi aż po głowę, przypisując temu tak zwanemu „zapakowaniu” znaczną moc leczniczą. Ci mężczyźni byli jednak związani, a więc nie byli chorzy. Chorych zresztą nie pozostawiono by bez osłony przed napastującymi ich rojami komarów.

Zanieśliśmy uwolnionych nad rzekę i opryskaliśmy ich wodą. To ich trochę orzeźwiło.

— Kim jesteście? — zapytałem.

— Baadri! — brzmiała odpowiedź.



Baadri — to była nazwa wioski, zamieszkaney wyłącznie przez czcicieli szatana. A więc moje domysły były słuszne.

— Trzeba ich przeholować przez rzekę! — rozkazałem.

— W jaki sposób? — spytał Anglik.

— Najpierw ja przepłynę, aby pomóc ciągnąć sznur i zabiorę ze sobą ich odzież. Wy przepłyniecie zaraz za mną. Każdy z was zabierze jednego z nich.

— Dobrze! Ale to nie będzie łatwe.

— Umieście ich przed sobą w poprzek własnych rąk. Zawinąłem sobie odzież obcych jak turban wokół głowy. Potem kazałem się przeciągnąć na przeciwległy brzeg. Przetransportowanie pozostałych było zarówno dla mnie, jak i dla obydwóch Haddedihnów bardzo uciążliwe, a dla przeciąganych niebezpieczne. Mimo to udało się nam wyciągnąć szczęśliwie wszystkich sześciu na brzeg.

— Ubierzcie tych mężczyzn! — poleciłem. — Na razie pozostaną tu w ukryciu. Pan, sir Dawidzie, przyniesie im po kryjomu pożywienie, podczas gdy inni będą ich pilnowali.

— Dobrze! Niech pan zapyta, kto ich zakopał!

— Zapewne szejk!

— Zabić drania!

Cała przygoda zajęła nam przeszło godzinę. Kiedy znaleźliśmy się w obozie, równina roiła się od zwierząt. Wybieranie spośród nich odpowiednich sztuk na okup było trudne, lecz mały Hadzi sprostał temu zadaniu. Dosiadł mojego ogiera, zapewne po to, żeby móc się szybciej poruszać w terenie, a oprócz tego chciał, żeby go trochę podziwiano. Haddedihnowie byli zachwyceni zadaniem, jakie im powierzono. Natomiast wzięci do niewoli ludzie z plemienia Abu Hammed, którzy musieli im przy tym pomagać, nie potrafili ukryć żalu i złości. Zwłaszcza starcom, zarówno kobietom, jak i mężczyznom, płynęły z oczu gorące łzy, a ich wargi szeptały przekleństwa.

Dokonałem niezwykłego odkrycia. W grupie kobiet spostrzegłem niewiastę, która, o dziwo, ze źle ukrywaną radością przypatrywała się poczynaniom moich ludzi. Musiała mieć widocznie jakiś szczególny powód, żeby cieszyć się z krzywdy własnego plemienia. Postanowiłem porozmawiać z tą kobietą.

— Chodź ze mną! — zwróciłem się do niej.

— Miej litość, panie! Nic nie zrobiłam! — błagała wystraszona.

— Nic ci się nie stanie — uspokoiłem ją.

Zaprowadziłem kobietę do namiotu, w którym poprzednio przebywałem. Stanąwszy przed nią, spojrzałem jej przenikliwie w oczy i spytałem:

— Czy masz wśród ludzi swojego plemienia wroga, któremu życzysz strat na skutek waszej przegranej?

Spojrzała na mnie zaskoczona.

— Skąd o tym wiesz, efendi?

— Mów otwarcie! Kto to jest?

— A ty mu to powtórzysz.

— Nie, gdyż jest on również moim wrogiem. Nienawidzisz szejka Zedara ben Huli?

W oczach kobiety pojawiły się złe błyski.

— Tak efendi, nienawidzę go, gdyż kazał zabić ojca moich dzieci.

— Dlaczego?

— Mój pan podczas jednej z ostatnich wypraw rozbójniczych odmówił mu posłuszeństwa.

— Z jakiego powodu?

— Ponieważ szejk prawie cały łup zatrzymuje dla siebie.

— Czy jesteś biedna?

— Stryj moich dzieci wziął mnie do siebie. On także nie jest zamożny.

— Ile ma zwierząt?

— Jednego wołu i dziesięć owiec. Będzie musiał i to oddać, bo gdy szejk wróci, ciężar strat będą musieli ponieść biedni ludzie. Szejk i jego rodzina nic nie stracą. Zubożeje tylko plemię.

— Szejk Zedar ben Huli tu nie wróci, jeżeli będziesz ze mną szczerą. Zatrzymam go jako jeńca, a plemię Abu Hamed otrzyma sprawiedliwego i uczciwego szejka. Stryj twoich dzieci nie będzie musiał niczego oddawać.

— Efendi, okazujesz nam miłosierdzie. Czego chcesz się ode mnie dowiedzieć?

— Czy znasz tę wyspę na Tygrysie? Kobieta zbladła.

— Dlaczego o nią pytasz?

— Ponieważ chcę z tobą o niej pomówić.

— Nie rób tego, efendi! Kto zdradzi tę tajemnicę, tego czeka śmierć z ręki szejka.

— Jeżeli podzielisz się ze mną tą tajemnicą, to szejk nigdy tu nie wróci. Więc do jakich celów służy ta wyspa?

— Jest ona miejscem pobytu więźniów szejka.

— Jakich więźniów?

— On napada na ludzi, podróżujących lądem lub rzeką, i wszystko im zabiera. Jeśli nic nie mają, zabija ich. Jeżeli natomiast są bogaci, to ich zatrzymuje, aby wymusić za nich okup.

— Lokuje ich wówczas na tej wyspie?

— Tak, w chacie z trzciny. Więźniowie nie mogą uciec, gdyż krępuje się im ręce i nogi.

— A kiedy szejk już otrzyma okup?

— To mimo to zabija tych ludzi, żeby go nie mogli zdradzić.

— A kiedy nie chcą lub nie mogą zapłacić okupu?

— Wtedy ich torturuje.

— Jakie im zadaje katusze?

— Zedar ben Huli stosuje rozmaite tortury. Często każe więźniów zagrzebać w ziemi aż po szyję.

— Kto wykonuje te katowskie czynności?

— Szejk i jego synowie.

Ten, który pierwszej nocy naszego pobytu nad brzegiem Tygrysu skradł nam konie, a później poznał we mnie wziętego do niewoli wywiadowcę, też był synem szejka. Spostrzegłem go między pokonanymi w uedzie Deradz. Dlatego zapytałem:

— Ilu synów ma szejk?

— Dwóch.

— Czy jeden z nich jest tutaj?

— Tak. To młodzieniec, który chciał cię zabić, kiedy przybyłeś do obozu.

— Czy teraz na wyspie są jacyś więźniowie?

— Tak, dwóch lub trzech. Dokładnie nie wiem. Szczegółów dowiadują się tylko wojownicy, którzy biorą udział w napadzie na podróżnych.

— W jaki sposób ci ostatni wpadli w ręce szejka?

— Płynęli na tratwie z bukłaków w dół rzeki i wieczorem przybili niedaleko stąd do brzegu. Tu ich napadł.

— Ile czasu upłynęło od ich uwięzienia? Kobieta namyślała się chwilę, potem rzekła:

— Chyba około dwudziestu dni.

— Jak obchodził się szejek z uwięzionymi?

— Tego nie wiem.

— Czy macie tu dużo koszy, w których kobiety podróżują na wielbłądach?

— Jest ich sporo.

Wyjąłem z kieszeni kilka monet. Były częścią tych, które znalazłem w kieszeniach siodła Abu Seifa.

— Dziękuję ci — rzekłem do kobiety. — Weź to za udzielenie mi informacji.

— Panie, twoja łaska jest większa niż...

— Przestań! — przerwałem jej. — Czy stryj twoich dzieci jest także w niewoli?

— Tak.

— Będzie wolny. Idź do tego małego mężczyzny, który jeździ na czarnym koniu i powiedz mu z mojego polecenia, że ma ci oddać twoje zwierzęta! Szejek tu nie wróci.

— O panie...!

— Dobrze, dobrze. Odejdź i nie mów nikomu, o czym rozmawialiśmy!

Kobieta odeszła, a ja również wyszedłem przed namiot. Liczenie zwierząt już prawie ukończono. Odszukałem Halefa. Podjechał do mnie, kiedy nań skinąłem.

— Kto ci pozwolił dotrzeć do mojego Karego, Hadzi Halefie Omarze?

— Chciałem go przyzwycząić do moich nóg, sihdi!

— Rih nie będzie się ich zbytnio bał — odrzekłem. — A teraz uważaj, co ci powiem, Halefie! Przyjdzie do ciebie kobieta i zażąda zwrotu jednego wołu i dziesięciu owiec. Dasz jej te zwierzęta!

— Wykonam rozkaz, sihdi.

— Słuchaj dalej! Wezmiesz z obozu trzy kosze i umieścisz je na trzech wielbłądach!

— Kto ma jechać w tych koszach, sihdi?

— Skieruj wzrok ku rzece! Czy widzisz zarośla i drzewo tam z prawej?

— Widzę.

— Tam leżą trzej chorzy mężczyźni, którzy mają być transporter wani w tych koszach. Idź do namiotu szejka. Namiot jest twój wraz ze wszystkim co się w nim znajduje. Weź stamtąd koce i wymość nimi kosze, żeby chorzy mieli miękkie posłanie. Nikt jednak ani teraz, ani podczas drogi nie śmie się dowiedzieć, kto się znajduje na wielbłądach.

— Sihdi, wiesz, że wykonam wszystko, czego zażadasz. Sam jednak wszystkiemu nie podołam.

— Tam są Anglicy i dwaj wojownicy z plemienia Haddedihnów. Pomogą ci. Daj mi teraz ogiera!

Przejmę znów nadzór nad wszystkim.

Po godzinie byliśmy gotowi do drogi. Podczas gdy uwaga wszystkich skierowana była na trzody, Halefowi udało się umieścić chorych niepostrzeżenie na wielbłądach. Karawana stała gotowa do wymarszu. Poszukałem wzrokiem młodziana, który mnie dziś przywitał maczugą. Ujrzałem go pośrodku grupy towarzyszy i podjechałem do mego. W pobliżu stał Lindsay ze swoimi służącymi.

— Sir Dawidzie, czy pan lub pańscy służący nie macie przy sobie czegoś w rodzaju sznura?

— Sądzę, że tu się znajdzie wiele powrozów.

Mówiąc to, podszedł do koni mających pozostać w obozie. Były przywiązane linami do drążków namiotowych. Lindsay odciął kilku ruchami liny i powrócił z nimi do mnie.

— Czy widzi pan tego brązowego chłopca, sir Dawidzie? Dałem mu przy tym ukradkiem znak oczami.

— Widzę go, sir.

— Powierzam go pańskiej opiece. Nadzorował tych trzech nieszczęśników i dlatego pójdzie z nami. Niech mu pan ciasno zwiąże ręce na plecach, a linę przytroczy do swego siodła lub

strzemięcia. Niech się chłopak nauczy biegać.

— Dobrze, sir! Bardzo ładnie!

— Przez całą drogę do uedu nie dostanie jeść ani pić.

— Zasłużył na to!

— Pan go będzie pilnował. Jeśli panu ucieknie, koniec z naszą przyjaźnią i sam pan sobie wtedy będzie szukał fowlingbulls!

— Będę go mocno trzymał. Na noc zakopię go w ziemi!

— Naprzód więc! — zawołałem.

Anglik podszedł do młodzieńca i położył mu rękę na ramieniu.

— Pójdiesz z nami, obwiesiu!

Lindsay przytrzymał chłopca, a obaj służący związali więźniowi ręce. Zrobili to fachowo. Chłopak w pierwszej chwili osłupiał, potem jednak zwrócił się do mnie:

— Co to ma znaczyć, efendi? — Pójdiesz z nami.

— Nie jestem jeńcem, zostanę w obozie. Wtem przecisnęła się do nas stara kobieta.

— Allah kerim! Co chcesz zrobić z moim synem, efendi?

— Będzie nam towarzyszył.

— On? Gwiazda mojej starości, sława swych rówieśników, chluba swego plemienia? Co takiego zrobił, że wiążesz go jak mordercę, którego dosięgła krwawa zemsta?

— Szybko, sir Dawidzie! Przywiążcie go do konia i ruszamy!

Równocześnie dałem znak do wymarszu i odjechałem na czoło karawany. Z początku litowałem się nad tym tak ciężko ukaranym plemieniem, teraz jednak każda twarz tutaj budziła we mnie wstręt i kiedy obóz z jego lamentującymi mieszkańcami zniknął nam z oczu, poczułem się tak, jakbym umknął z jaskini zbójów.

Halef, z trzema wielbłędami niosącymi chorych, wysforował się na czoło karawany. Podjechałem do niego. — Czy ci mężczyźni leżą wygodnie? — Jak na otomanie padyszacha, sihdi. — Jedli coś? — Nie. Pili mleko.

— Tyra lepiej. Czy mogą mówić?

— Wymawiali tylko pojedyncze słowa, lecz w nieznanym mi języku, sihdi.

— To pewnie był kurdyjski.

— Kurdyjski?

— Tak. Przypuszczam, że są to czciciele szatana.

— Czciciele szatana? Niech nas Allah strzeże przed dziewięciokrotnie ukamienowanym szatanem! Jak można się modlić do szatana, sihdi?

— Oni się do niego nie modlą, jakkolwiek z nazwy, jaką sobie przybrali, można by tak wnioskować. To zacni, pracowici i uczciwi ludzie, na pół chrześcijanie, na pół mahometanie.

— Acha! Dlatego mówią językiem, którego żaden muzułmanin nie rozumie. Czy mówisz tym językiem, sihdi?

— Nie.

Halef aż podskoczył ze zdziwienia i niedowierzania.

— Nie mówisz tym językiem? Sihdi, to nieprawda! Ty wszystko umiesz!

— Mówię ci, że nie znam tego języka.

— Zupełnie nie?

— Hm! Znam język pokrewny kurdyjskiemu. Być może znajdę kilka słów, żeby się z tymi ludźmi porozumieć.

— Widzisz więc sihdi, że miałem rację, iż wiesz i umiesz wszystko?

— Tylko Bóg wie wszystko, wiedza ludzka natomiast jest niedoskonała — odpowiedziałem. —

Nie wiem przecież nawet, czy Han-

neh, światło twoich oczu, jest zadowolona ze swego Halefa.

— Zadowolona, sihdi? Na pierwszym miejscu u mej jest Allah, potem Muhammad, potem przyczepiony do łańcuszka i przechowywany przez szejka Maleka szatan, którego jej podarowałeś; zaraz potem jednak jest Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah.

— A więc liczysz się u niej dopiero po szatanie?

— Nie po szatanie, lecz po twoim prezencie, sihdi!

— Bądź więc wdzięczny twojej Hanneh i słuchaj jej!

Po tym napomnieniu pozostawiłem Halefa samego, pogrążonego w myślach.

Pędząc teraz trzodę, posuwaliśmy się naprzód o wiele wolniej, niż do obozu plemienia Abu Hammed. O zachodzie słońca dotarliśmy do miejsca, dość jeszcze odległego od Kalat el Dzebar. Miejsce to, gęsto porośnięte kwiatami i bujną, soczystą trawą, nadawało się świetnie na nocleg. Głównym zadaniem było teraz pilnować zarówno trzód jak i jeńców; przedsięwziąłem więc odpowiednie kroki. Późnym wieczorem, kiedy już owinąłem się kocem i ułożyłem do snu, zjawił się ponownie Lindsay.

— Okropne! Straszne, sir!

— Co się stało? Czy pański więzień się ulotnił?

— Nie! Leży mocno związany!

— No więc co jest takie straszne i niepojęte?

— Zapomnieliśmy o najważniejszym.

— Mianowicie? Niechżeż pan wreszcie powie, o co chodzi!

— Zapomnieliśmy o truflach! Wybuchnąłem śmiechem.

— To rzeczywiście okropne, sir Dawidzie, zwłaszcza że w obozie plemienia Abu Hammed widziałem worki pełne trufli.

— Skąd teraz wziąć trufle?

— Jutro będziemy mieli trufle, proszę mi zaufać!

— Pięknie! Dobranoc sir!

Nie rozmawiałem już tego dnia z chorymi. Zasnąłem. Udałem się do nich wczesnym rankiem. Kosze, w których leżeli, były tak ustawione, że mogli się wzajemnie widzieć. Wyglądali trochę lepiej i wypoczęli o tyle, że mówienie nie sprawiało im już trudności.

Stwierdziłem, że wszyscy trzej mówili dobrze po arabsku, jakkolwiek poprzedniego dnia wyszeptali tylko kilka słów naw w ojczystym języku. Kiedy się do nich zbliżałem, jeden z nich przyglądał mi się w radosnym podnieceniu.

— Niech cię Allah błogosławi! — zawołał, uprzedzając moje pozdrowienie. — To ty! Poznaje cię!

— Kim jestem, przyjacielu?

— To ty mi się ukazałeś, kiedy śmierć wyciągała już rękę po moje serce. O efendi Kara ben Nemsi, jakżeż ci jestem wdzięczny!

— Znasz moje nazwisko?

— Znamy je, gdyż kiedyśmy się ocknęli z omdlenia, Hadzi Halef Omar opowiedział nam o tobie i o twoich bohaterskich czynach.

— Ty plotkarzu! — rzekłem do Halefa.

— Sihdi, czyż nie wolno mi mówić o tobie? — bronił się Halef. — Tak. Lecz bez przechwałek!

Zwróciłem się ponownie do uratowanych:

— Czy czujecie się na siłach, żeby mówić?

— Tak efendi.

— Powiedzcie mi więc, kim jesteście!

— Ja się nazywam Pali, ten się zwie Selek, a tamten — Melaf.

— Skąd pochodzicie?

— Nasza ojczyzna nazywa się Baadri i leży na północ od Mosulu.

— Jak znaleźliście się w sytuacji, w której was zastałem?

— Nasz bej wysłał nas do Bagdadu z wieścią dla naczelnika.

— Do Bagdadu? Czy nie należycie do Mosulu?

— Panie, wielkorządca Mosulu jest złym człowiekiem, który nas bardzo gnębi. Namiestnik Bagdadu cieszy się zaufaniem sułtana; miał się za nami wstawić.

— Jak odbywaliście podróż? Do Mosulu, a potem z prądem rzeki?

— Nie. Zbudowaliśmy tratwę. Na niej dotarliśmy rzeką Gomel do rzeki Ghasir Su, potem na rzekę Zab el Kebir, która wpada do Tygrysu. Tam przybiliśmy do brzegu i podczas snu zostaliśmy napadnięci przez szejka plemienia Abu Hammed.

— Obrabował was?

— Zedar ben Hult zabrał nam wszystko, co mieliśmy przy sobie. Potem chciał nas zmusić, żebyśmy napisali do naszych bliskich prośbę o okup.

— Nie zrobiliście tego?

— Nie, gdyż jesteśmy biedni i nie możemy zapłacić żadnego okupu.

— Ale wasz bej byłby może za was zapłacił?

— Do niego mieliśmy również pisać, lecz odmówiliśmy także. Na pewno byłby zapłacił, lecz wiedzieliśmy, że byłoby to daremne, gdyż i tak by nas zgładzono.

— Mieliście rację. Pozbawiono by was życia, nawet gdyby okup został zapłacony.

— Męczono nas, bito, wieszano godzinami za ręce i nogi, i wreszcie zakopano po szyje w ziemi.

— I przez cały czas byliście związani?

— Tak.

— Czy wiecie, że wasz kat znajduje się w naszych rękach?

— Hadzi Halef Omar powiedział nam o tym.

— Szejk zostanie ukarany!

— Nie odpłacaj mu efendi złem za zło!

— Co? Za zbrodnie nie ma ponieść kary?

— Nie karz go! Ty jesteś muzułmaninem i pragniesz zemsty, my natomiast wyznajemy inną religię. Zostaliśmy przywróceniu życia imamy zamiar przebaczyć naszemu oprawcy.

Tacy więc byli czciciele szatana!

— Mylicie się — powiedziałem — nie jestem muzułmaninem, lecz chrześcijaninem.

— Chrześcijaninem? — zawołał jeden z nich, zdziwiony. — Jakim? Chaldejczykiem?

— Nie. Jestem Frankiem.

— Czy znasz Dziewicę, Matkę Bożą?

— Tak.

— Czy znasz Jezusa, syna Ojca i chrzest święty?

— Tak.

— Czy wierzysz także, że Jezus, syn Boży ponownie zstąpi z nieba?

— Wierzę.

— O panie, twoja wiara jest dobra! Cieszymy się, że cię spotkaliśmy. Okaż się więc miłosierny i

wybacz szejkowi plemienia Abu Hammed zło, które nam wyrządził!

— Zobaczymy! Czy wiecie, dokąd jedziemy?

— Tak Do uedu Deradż.

— Spotkacie się tam z Haddediwnami i będziecie mile widziani przez ich szejka.

Po tej krótkiej rozmowie, ruszyliśmy w dalszą podróż. W pobliżu Kalat el Dżebbar znalazłem dużo trufli, co wprawiło w zachwyty Lindsaya. Zebrał ich spory zapas i przyrzekł mi, że zaprosi mnie na pasztet z trufli, który sam przyrządzi.

Kiedy minęło południe, skręciliśmy między góry Khanuke i Mukehil, i skierowaliśmy się wprost ku dolinie Deradż. Chcąc sprawić niespodziankę Mohammedowi Eminowi, rozmyślnie nie wysłałem nikogo z wieścią, że wracamy. Straże plemienia Abu Mohammed spostrzegły nas jednak i dały sygnał do radosnych okrzyków, które wypełniły całą dolinę. Mohammed Emin i Malek natychmiast wyjechali nam naprzeciw i powitali nas serdecznie. Moja trzoda znalazła się pierwsza na miejscu.

Nie było innej drogi do pastwisk Haddediwnów, jak tylko przez dolinę. Tu znajdowali się jeszcze wszyscy jeńcy i można sobie wyobrazić spojrzenia wojowników plemienia Abu Hammed, kiedy obok nich pędzono liczne stada zwierząt, zabrane z ich obozu. Nareszcie znaleźliśmy się na równinie. Zsiadłem z konia.

— Kto jest w tych koszach? — spytał Mohammed Emin.

— Trzech mężczyzn — odparłem — których szejk Zedar ben Huli chciał zamęczyć na śmierć. Opowiem ci o nich później. Gdzie są szejkowie, wzięci do niewoli?

— Tu w namiocie. Właśnie nadchodzą!

Wyszli dopiero co z namiotu. Oczy szejka plemienia Abu Hammed rozbłysły złością, kiedy poznał swoją trzodę; podszedł do mnie.

— Przyprowadziłeś więcej, niż powinieneś?

— Masz na myśli zwierzęta?

— Tak.

— Przypędziłem tyle, ile mi kazano.

— Policzę.

— Zrób to — odpowiedziałem obojętnie. — Zresztą rzeczywiście przyprowadziłem więcej, niż mi polecono.

— Co mianowicie?

— Chcesz zobaczyć?

— Muszę to widzieć!

— To przywołaj tego tam!

Wskazałem przy tym na jego starszego syna, który właśnie ukazał się u wejścia do namiotu. Szejk skinął na niego.

— Chodźcie wszyscy ze mną! — rzekłem.

Mohammed Emin, Malek i trzech wzięci do niewoli szejkowie podążyli za mną do miejsca, gdzie odpoczywały trzy wielbłądy, obarczone koszami. Halef polecił właśnie wysadzić z koszy trzech mężczyzn, uratowanych przeze mnie od śmierci.

— Czy znasz tych mężczyzn? — spytałem Zedara ben Huli.

Na ich widok wzdrygnął się z przestraczem. Jego syn również.

— Jezydzi! — zawołał.

— Tak, to jezydzi, których chciałeś powoli zamordować, jak już wielu zamęczyłeś, ty potworze! Spojrzał na mnie oczami, iskrzącymi się jak ślepie pantery.

— Co zrobił? — spytał Esła el Mahem, szejk Obeidów.

— Pozwól, że ci opowiem! Zdziwisz się, kiedy się dowiesz, jakim człowiekiem jest twój towarzysz walki.

Opisałem, jak i w jakim stanie znalazłem tych trzech ludzi. Gdy zakończyłem relację, wszyscy odsunęli się od Zedara ben Huli. Odsłonił się wówczas widok na wejście do uedu, gdzie w tej chwili ukazało się trzech jeźdźców: Lindsay i jego dwaj służący. Przyjechali z opóźnieniem. Obok konia Anglika włókł się młodszy syn szejka.

Zedar ben Huli, zobaczywszy młodzieńca, natychmiast zwrócił się do mnie z okrzykiem:

— Allah akbar! Co to znaczy! Mój drugi syn uwięziony?

— Jak widzisz.

— Co zrobił mój syn?

— Pomagał ci przy twoich haniebnych czynach. Poza tym chciał się targnąć na mnie. Kazałem go obezwładnić, a teraz wam trzem zostanie wymierzona kara. Obaj twoi synowie będą pilnować głowy swojego ojca, zakopanego na dwa dni w ziemi. Potem będziesz wolny. Uważam, że jest to zbyt mała kara dla ciebie i twoich synów. Idź i odwiąż twojego młodszego!

Zedar podbiegł natychmiast do konia Anglika i złapał za sznur, którym jego syn był przywiązany do siodła. Sir Dawid, który właśnie zsiadł z konia, odepchnął ręką szejka i zawołał:

— Precz stąd! Ten chłopiec jest mój!

Wówczas Zedar ben Huli wyrwał Anglikowi jeden z jego ogromnych pistoletów z za pasa, wycelował i strzelił. Lindsay odchylił się błyskawicznie, mimo to kula drasnęła jego ramię. W następnej chwili padł drugi strzał. Irlandczyk Bill podniósł swoją fuzję w obronie swego pana i jego kula przeszła szejkowi głowę. Dwaj synowie szejka rzucili się na strzelca, zostali jednak pochwyceni i obezwładnieni.

Odwróciłem się ze zgrozą. Kara, którą obmyśliłem dla złoczyńców, byłaby niewspółmierna do popełnionych przez nich zbrodni. Teraz spełniła się także obietnica, jaką dałem owej kobiecie w obozie plemienia Abu Hammed: szejk nie wróci do swojego obozu.

Minęła spora chwila, zanim wszyscy odzyskaliśmy spokój. Wreszcie usłyszałem pytanie Halefa:

— Sihdi, gdzie mam umieścić tych trzech mężczyzn?

— O tym niech postanowi szejk Haddediń — odpowiedziałem. Wymieniony podszedł do trzech nieszczęśników.

— Marhaba — witajcie! Zostańcie u Mohammeda Emina, dopóki nie wypoczniecie po tych strasznych przeżyciach! Selek nagle podniósł wzrok i zapytał:

— Mohammed Emin?

— Tak się nazywam.

— Nie jesteś Szammarem, lecz Haddediń? — Haddedińowie należą do Szammarów.

— To mam dla ciebie wiadomość, szejku.

— Wiadomość?

— Tak. Było to w Baadri, zanim udaliśmy się w podróż. Poszedłem do strumienia, by zaczerpnąć wody. Opodal strumienia obozował oddział Arnautów pilnujący krzepkiego mężczyzny. Ten mężczyzna poprosił mnie, żebym mu podał wody do picia i udając, że pije, wyszeptał: „Idź do Haddedińów, do mojego ojca, Mohammeda Emina i powiedz mu, że przewożą mnie do Amadije!” To miałem ci powtórzyć.

Szejk był tą wieścią wyraźnie zaskoczony.

— Amad el Ghandur, mój syn! — zawołał. — To był on, to był on! Jak wyglądał?

— Był wysoki i tęższy od ciebie, a jego czarna broda sięgała mu aż do klatki piersiowej.

— To mój syn! Hamdulillah! Nareszcie, nareszcie znalazłem jego ślad. Cieszcie się ze mną! Dziś



będzie święto dla wszystkich przyjaciół i braci plemiennych! Kiedy rozmawiałeś z moim synem?

— Przed sześciu tygodniami, panie.

— Dziękuję ci. Sześć tygodni, to długi czas! Mój syn nie będzie dłużej cierpiał. Wydostanę go, choćbym musiał zdobyć miasto Amadije i obrócić je w perzynę. Kara ben Nemsy, pojedziesz ze mną, czy chcesz mnie opuścić?

— Pojadę z tobą.

— Niech cię Allah błogosławi! Chodźcie, oznajmimy tę wiadomość wszystkim Haddedihnom. Mohammed Emin pospieszył ku dolinie, a Halef podszedł do mnie i spytał:

— Sihdi, czy to prawda, że wybierasz się z nim w drogę?

— Tak, jadę z nim.

— Czy mogę ci towarzyszyć?

— Halefie, pomyśl o swojej żonie!

— Hanneh znajduje się pod dobrą opieką, lecz ty, panie, potrzebujesz wiernego służącego. Czy mogę jechać z tobą?

— Dobrze, zabiorę cię z sobą. Spytaj jednak wpierw szejka Mohammeda Emina i szejka Maleka, czy pozwolą ci iść z nami!

## U PASZY MOSULU

Tak więc znalazłem się w Mosulu i oczekiwałem na przyjęcie przez mutesarryfa okręgu regencyjnego, Szekiba Halila paszę.

Miałem z Mohammedem Eminem jechać w góry Kurdystanu, aby podstępem lub siłą wydostać jego syna, Amada el Ghandura, z twierdzy Amadije. Nie było to łatwe zadanie. Dzielny szejek Haddedihnów najchętniej wyruszyłby z wojownikami całego swojego plemienia, aby przebić się przez tureckie terytorium i zaatakować twierdzę otwarcie. Istniało jednak mnóstwo ważnych powodów, przemawiających przeciw tak ryzykownemu przedsięwzięciu. Jedna osoba mogła więcej zdziałać w tej sprawie niż cała horda Beduinów, Mohammed Emin przyjął więc w końcu moją propozycję, żeby wybrać się w trójkę, to znaczy on, Halef i ja.

Poza tym dużo wysiłku kosztowało mnie wyperswadowanie sir Dawidowi Lindsayowi, który mimo rany chciał wyruszyć z nami, że ze swoją nieznajomością języka i brakiem umiejętności Halci dostosowania się do każdej sytuacji, przyniósłby nam więcej szkody niż pożytku. W końcu zdecydował się oczekiwać naszego powrotu w obozie Haddedihnów. Tutaj mógł korzystać z usług tłumacza, rannego Aleksandra Koletisa, i poszukiwać fowlingsbulls. Haddedihnowie przyrzekli pokazać mu tyle ruin, ile sobie będzie życzył.

Spory między Haddedihnami a ich wrogami zostały definitywnie rozstrzygnięte. Trzy plemiona poddały się Haddedihnom, zostawiając zakładników. Obecność Mohammeda Emina w obozie nie była więc konieczna. Nie pojechał jednak z nami do Mosulu, gdyż mogło to być dla niego zbyt niebezpieczne. Postanowiliśmy spotkać się w ruinach Khorsabadu, czyli dawnego asyryjskiego Saraghum. Przebyliśmy razem ued Murr, aż do Khal Khan i El Kasr. Tam się rozstaliśmy. Ja z Halefem wyruszyłem do Mosulu, a szejek przeprowił się tratwą na drugą stronę Tygrysu i tam miał nas oczekiwać.

Czego właściwie szukałem w Mosulu? Czyżbym chciał odwiedzić przedstawiciela Anglii, aby zapewnić sobie jego opiekę? Nie przyszło mi to do głowy, gdyż czułem się tak samo pewnie bez jego opieki. Musiałem jednak koniecznie porozmawiać z paszą, chciałem bowiem przy jego pomocy zaopatrzyć się we wszystko, co mogło być potrzebne do realizacji naszego planu.

W Mosulu panował straszny upał. Termometr wskazywał czterdzieści sześć stopni Celsjusza w cieniu. Wynająłem więc jedną z piwnic, w których przeważnie o tej porze roku spędzali czas mieszkańcy miasta.

Halef siedział przy mnie i czyścił swoje pistolety. Długi czas milczeliśmy. Poznałem jednak po minie Halefa, że coś go trapi. I rzeczywiście, nagle obrócił się do mnie i powiedział:

— O tym nie pomyślałem, sihdi!

— O czym?

— Że już nigdy nie zobaczymy Haddedihnów.

— A dlaczegoż to mielibyśmy ich więcej nie zobaczyć? — Chcesz się przecież dostać do Amadije, sihdi?

— Tak., Wiesz przecież o tym od dawna.

— Wiedziałem o tym, lecz nie znałem drogi, która tam wiedzie.. Allah w'Allah! To jest droga do śmierci i do dżehenny!

Nie widziałem dotychczas u Halefa tak zafrasowanej miny.

— Aż tak niebezpieczna jest ta droga, Hadzi Halefie Omarze? — zapytałem.

— Nie wierzysz sihdi? Udowodnię to. Posłuchaj! Słyszałem, że po drodze chcesz odwiedzić Palego, Seleka i Melafę, to jest tych trzech, których uratowałeś na wyspie plemienia Abu Hammed, a którzy, wypocząwszy u Haddedińców, wrócili do swojej ojczyzny.

— Zgadza się.

— No to jesteście zgubieni. Ty i ja, obaj jesteśmy prawdziwymi wiernymi, a każdy wierny, który odwiedzi tych ludzi, straci życie i nie dostanie się do nieba.

— Nigdy o tym nie słyszałem, Halefie. Kto ci to powiedział?

— O tym wie każdy muzułmanin. Czy nie słyszałeś, że kraj, w którym ci ludzie mieszkają, zwie się Szejtanistanem?

Teraz pojąłem, co Halef miał na myśli. Bał się jezydów, zwanych czcicielami szatana. Mimo to udałem, że nie rozumiem i pytałem dalej:

— Szejtanistan, kraj szatana? Dlaczego?

— Mieszkają tam ridszal esz szejtan, czyli ludzie diabła, którzy modlą się do niego.

— Halefie, gdzie tu są ludzie, którzy czczą szatana?

— Istnieją tacy. Czy jeszcze nigdy o tym nie słyszałeś?

— O tak. Ale ci ludzie mieszkają daleko stąd, w kraju za wielkim morzem; Frankowie nazywają ten kraj Australią. Tam mieszkają dzicy ludzie, czczący szatana, którego zwą Jahu. Do niego się modlą. Tu jednak nie ma ludzi, którzy by to czynili.

— Sihdi, jesteś mądrzejszy ode mnie i od wielu, czasami jednak twoja mądrość i wiedza jakby się ulatniały. Zapytaj każdego, kogo spotkasz, a powie ci, że w Szejtanistanie oddaje się cześć diabłu.

— Czy byłeś przy tym, kiedy modlono się do szatana?

— Nie. Słyszałem jednak o tym.

— A ci ludzie, którzy ci to mówili, byli przy tym obecni?

— Słyszeli o tym od innych.

— To muszę ci oznajmić, że to wszystko jest tylko czczą gadaniną, gdyż jezydzi nie dopuszczają do swoich nabożeństw nikogo, kto nie wyznaje ich wiary.

— Naprawdę?

— Na pewno. Przynajmniej byłby to niebывały wyjątek, gdyby od tej zasady odstępili.

— A jednak wiadomo o wszystkim, co robią.

— Co mianowicie robią?

— Czy nigdy nie słyszałeś, że zwie się ich „tsziragh sóndiren”? Jak mi powiedziano, musi to być coś złego, co wskazuje na jakąś zbrodniczą działalność. Nie wiem, co oznacza.

— Znaczy tyle, co gaszący światło.

— No widzisz, sihdi! Gaszą światło podczas nabożeństw. Można z tego wnioskować, że zajmują się jakimiś ciemnymi sprawkami.

— Okłamano cię. Pomyłono jezydów z inną sektą. Co ci jeszcze naopowiadano?

— W ich świątyniach ustawiony jest kogut, lub paw, do którego się modlą, a to właśnie jest szatan.

— Ależ Halefie, jak możesz tak myśleć! Powiedz mi, czy jezydzi mają wiele świątyń?

— Naturalnie.

— I w każdej z nich stoi kogut?

— Tak.

— Iluż więc musiałoby być szatanów! Sądzę, że jest tylko jeden? — Tak, sihdi, jest tylko jeden, ale ten jest wszędzie. Oni mają jednak również fałszywe anioły.

— Pod jakim względem?

— Koran uczy, jak wiesz, że istnieją tylko cztery archanioły, mianowicie: Gabriel; Asrail, czyli archanioł śmierci, zwany także Abu Jahah; następnie Michał oraz Israfil. Czcciele szatana mają natomiast siedmiu archaniołów, których imiona są następujące: Gabriel, Michał, Rafael, Asrail, Dedrai, Asrafil i Szemkil. Czy to nie fałsz?

— Ja także wierzę, że jest siedmiu archaniołów.

— Ty? Dlaczego? — spytał Halef zdumiony.

— Napisano o tym w świętej księdze chrześcijan, a jej bardziej wierzę niż Koranowi.

— O sihdi, co słyszę! Byłeś w Mekce, jesteś pielgrzymem, a bardziej wierzysz księdze niewiernych niż słowom Proroka? Teraz już się nie dziwię, dlaczego chcesz odwiedzić jezvdów.

— Możesz przecież zawrócić, jeśli to dla ciebie takie straszne. Pojadę sam.

— Zawrócić? Nie. Być może Muhammad mówił tylko o czterech aniołach, ponieważ pozostałych mogło właśnie nie być w niebie, kiedy on tam przebywał. Mogły mieć w tym czasie jakieś zadania do spełnienia na ziemi, więc nie miał okazji ich poznać.

— Zapewniam cię, Halefie, że nie potrzebujesz się bać czcicieli szatana — uśmiechnąłem się. — Jezydzi nie modlą się do szatana, nie wymawiają nawet jego imienia. Są to ludzie porządni, wierni, wdzięczni, dzielni i prawi. Nie utracisz także łaski zbawienia, gdyż nie będą się wtrącać do spraw twojej wiary.

— Jezydzi nie będą mnie zmuszać do oddawania czci szatanowi?

— Nie. Zapewniam cię o tym.

— Ale oni nas zabijają.

— Nie zabijają ani mnie, ani ciebie.

— Zabili już jednak wielu innych, wprawdzie nie chrześcijan, lecz zwolenników nauki Proroka.

— Ci ludzie bronili się tylko, kiedy chciano ich wytępić, a zabijali muzułmanów, bo tylko ci ich atakowali. Chrześcijanie z nimi nie walczyli.

— Ja jednakże jestem muzułmaninem.

— Uważają cię za przyjaciela, ponieważ są moimi przyjaciółmi. Czyż nie opiekowałeś się trzema jezydami aż do ich wyzdrowienia?

— To prawda, sihdi. Nie opuszczę cię. Pojadę z tobą.

Wtem usłyszeliśmy, że ktoś schodzi do piwnicy. Weszło dwóch mężczyzn. Byli to albańscy agowie z ochotniczego oddziału paszy. Zatrzymali się u wejścia, a jeden z nich zapytał:

— Czy to ty jesteś niewiernym, któremu mamy towarzyszyć? Nie podobało mi się, że mi wymyślano od niewiernych. Pytający

oczekiwał odpowiedzi, ja jednak zbyłem jego pytanie milczeniem. Ba, udałem nawet, że go nie widziałem ani nie słyszałem.

— Czy jesteś głuchy i ślepy, że nie odpowiadasz? — spytał szorstko.

Arnauci są surowymi, nieopanowanymi i niebezpiecznymi prostakami, którzy pod najbliższym pretekstem nie tylko chwytają za broń, lecz robią z niej użytek. Mimo to nie miałem ochoty znosić bez słowa ich arogancji. Dlatego niby to od niechcienia wyjąłem z pasa rewolwer i zwróciłem się do Halefa z zapytaniem:

— Hadzi Halefie Omarze, powiedz mi, czy tu ktoś jest!

— Tak, dwóch mężczyzn.

— Kim oni są?

— Wysłańcami, którzy chcą z tobą mówić. — Kto ich przysłał?

— Szekib Halil pasza, oby Allah dał mu długie życie!

— To nieprawda. Pasza — niech Allah ma go w swej opiece! — przysłałby do mnie uprzejmych ludzi. Powiedz tym mężczyznom, którzy zamiast pozdrowienia traktują ludzi wyzwiskami, żeby sobie poszli. Niech temu, kto ich przysyła, powtórzą wszystko, co ci powiedziałem.

Obaj agowie chwycili za pistolety, spoglądając na siebie porozumiewawczo. Spokojnie skierowałem na nich lufę swej broni i groźnie zmarszczyłem czoło.

— Co ci poleciłem Hadzi Halefie Omarze?

Stwierdziłem, że moje postępowanie zaimponowało Halefowi. On także już dzierzył w rękę jeden ze swoich pistoletów, a teraz z dumną miną zwrócił się do stojących u wejścia.

— Słuchajcie, co wam chcę powiedzieć! Ten dzielny i sławny efendi nazywa się Kara ben Nemsy, a ja jestem Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah. Słyszeliście, co mój pan powiedział. Idźcie więc i wykonajcie jego polecenie!

— Nie odejdziemy! Musimy wykonać polecenie Szekiba Halila paszy.

— A ja wam mówię: wróćcie do paszy i zameldujecie mu, że ma nam przysłać grzecznych ludzi! Kto przychodzi do mojego pana, musi wpierw zdjąć obuwie, a potem go pozdrowić.

— U niewiernego...

W mig stanąłem przed nimi.

— Mamy... — zaczął postaniec ponownie.

— Wynosić się! — wrzasnąłem.

Zniknęli. Zrozumieli zapewne, że nie miałem ochoty pozwolić im się instruować. Trzeba umieć postępować z ludźmi Wschodu. Człowiek Zachodu, który czuje się lekceważony przez mieszkańca krajów Wschodu, jest sam sobie winien. Odrobina osobistej odwagi i możliwie sporo zuchwałej pewności siebie, podpartej tą kochaną cnotą, którą u nas nazwano by bezczelnością, dają w pewnych warunkach najlepsze rezultaty. Oczywiście istnieją czasem okoliczności, zmuszające człowieka do pogodzenia się z niektórymi, a nawet wieloma, sprawami i faktami. Wtedy wskazane jest udawać, że nic się nie zauważyło. Naturalnie, trzeba nie tylko znać miejscowe stosunki i umieć uwzględniać poszczególne wypadki, lecz mieć także doświadczenie i wprawę w rozróżnianiu, co w danym wypadku jest lepsze i rozsądniejsze: być aroganckim czy cierpliwym i opanowanym, chwytać za broń czy też mieć — otwartą kiesę.

— Sihdi, coś ty zrobił! — zawołał Halef zakłopotany.

Mimo swojej odwagi, obawiał się skutków mojego zachowania się.

— Co zrobiłem? Po prostu wyrzuciłem chamów za drzwi!

— Znasz przecież Arnautów. Są krwiożerczy i mściwi. Czyż nie widziałeś w Kairze, jak jeden z nich zastrzelił starą kobietę tylko dlatego, że nie ustąpiła mu z drogi? Była niewidoma,

— Widziałem to. Ale ci nas nie zastrzela.

— Ze względu na paszę? Czy go znasz?

— Szekib Halil jest bardzo dobrym człowiekiem.

— Och! Bardzo dobrym, sihdi! Połowa Mosulu opustoszała, bo wszyscy się go boją. Nie ma dnia, żeby dziesięciu lub nawet dwudziestu nie skazał na bastonadę. Kto bogaty, szybko traci życie, a jego majątek przechodzi na własność paszy. Szekib Halil szczuje poza tym plemiona arabskie jedne na drugie, a potem wyrusza przeciwko zwycięzcy, żeby mu odebrać łup. Swoim Arnautom nakazuje: „Idźcie, burzcie, mordujcie, lecz przynóście mi pieniądze!” Oni to robią, a pasza staje się bogatszy od padyszacha. Bywa tak, że dziś ktoś cieszy się jego względami i jest jego powiernikiem, a następnego dnia zostaje aresztowany i nazajutrz ścięty. Sihdi, co robisz z nami?

— Poczekajmy. Zobaczymy.

— Coś ci powiem, sihdi. Skoro się tylko zorientuję, że pasza chce nam wyrządzić jakieś zło,

zastrzelę go. Nie umrę, nie pozbawiwszy go wpiერw życia.

— Nie będziesz miał żadnej okazji, gdyż wybieram się do niego sam.

— Sam? Na to nie pozwolę. Idę z panem!

— Czyż mogę cię zabrać ze sobą, skoro on chce widzieć tylko mnie?

— No dobrze, wobec tego będę czekać tutaj. Ale przysięgam na Proroka i wszystkich kalifów: jeśli nie wrócisz do wieczora, każę powiedzieć paszy, że mam dla niego ważną wiadomość. On mnie przyjmie, a ja mu wpakuję w głowę obie kule z dubeltówki.

Halef powiedział to z całą powagą i jestem pewien, że ten dzielny, mały człowiek byłby to zrobił naprawdę. Nie złamałby swojej przysięgi.

— A Hanneh? — spytałem.

— Zapewne by płakała po mnie, lecz byłaby ze mnie dumna — oświadczył. — Nie powinna kochać mężczyzny, który pozwolił zabić swego pana, nie pomściwszy go.

— Dziękuję ci, mój dobry Halefie. Jestem jednak pewny, że do takiej ostateczności nie dojdzie.

Po chwili usłyszeliśmy znowu kroki. Wszedł żołnierz szeregowiec. Obuwie zdjął już na dworze.

— Saabahinis chajir olssun — Dzień dobry! — pozdrowił.

— Saabahinis chajir olssun! — odpowiedziałem. — Czego chcesz? — Czy jesteś tym efendi, który chce mówić z paszą?

— Tak.

— Szekib Halil pasza — oby Allah obdarzył go długim życiem — przysłał ci lektykę. Masz przyjść do niego.

— Idź na górę! Zaraz przyjdę.

Kiedy żołnierz wyszedł, odezwał się Halef:

— Widzisz, sihdi, że robi się niebezpiecznie?

— Z czego tak wnioskujesz?

— Pasza przysłała ci tyra razem zwykłego żołnierza!

— Być może. Ale nie martw się z tego powodu!

Przeszedłem kilka stopni, prowadzących z piwnicy na podwórze. Przed domem stał oddział, składający się z dwudziestu Arnautów. Dowodził nimi jeden z tych agów, którzy poprzednio byli u mnie. Żołnierze byli po zęby uzbrojeni. Dwaj tragarze trzymali w pogotowiu lektykę.

— Wsiadaj! — polecił mi aga z ponurą miną. Zrobiłem to możliwie jak najnaturalniej. Z eskorty wywnioskowałem, że jestem traktowany prawie jak więzień. Niesiono mnie szybko i zatrzymano się przed jakąś bramą.

— Wsiadź i idź za mną! — rozkazał aga.

Poprowadził mnie schodami w górę, a potem do pokoju, w którym stali oficerowie różnej rangi. Mierzyli mnie ponurym wzrokiem. Najbliżej wejścia siedziało kilku mieszkańców miasta, po których było widać, że nie czują się zbyt dobrze w tej jaskini lwa. Zostałem natychmiast zameldowany. Zdjąłem sandały, które włożyłem specjalnie na tę wizytę, i wszedłem.

— Es selam 'alejkum! — pozdrowiłem, krzyżując ręce na piersi i składając równocześnie ukłon.

— Al...

Szekib Halil pasza nie dokończył pozdrowienia i spytał:

— Twój posłaniec powiedział, że chce ze mną mówić jakiś Niemiec?

— Tak jest istotnie.

— Czy Niemcy są muzułmanami?

— Nie. Są chrześcijanami.

— A mimo to ważyłeś się na pozdrowienie muzułmanów!

— Ty jesteś muzułmaninem, ulubieńcem Allaha oraz padyszacha — oby Bóg miał nad nim pieczę! — Czy mam cię uczcić pozdrowieniem pogan, którzy nie mają Boga ani świętej księgi?

— Jesteś odważny, cudzoziemcze!

Spojrzał na mnie osobliwym, czyhającym wzrokiem. Pasza był nieduży i szczupły, a jego twarz można by uznać za pospolitą, gdyby nie dominował w niej pewien rys przebiegłości i okrucieństwa. Prawy policzek paszy był mocno spuchnięty. Obok paszy stała srebrna, napełniona wodą miska, która służyła mu za spluwaczkę. Ubiór paszy był z jedwabiu. Rękojeść sztyletu i spinka w turbanie wysadzone były brylantami; na palcach paszy błyszczały pierścienie, a fajka perska, którą palił, była jedną z najkosztowniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem.

Przez chwilę Szekib Halil lustrował mnie od stóp do głów, potem pytał dalej:

— Dlaczego nie przedstawiłeś się przez konsula?

— Niemcy nie mają konsula w Mosulu, a inni konsulowie są mi tak samo obcy jak ty. Konsul nie może mnie przedstawić jako lepszego ani gorszego niż jestem, a ty masz bystry wzrok. Nie potrzebujesz mnie poznawać przez konsula.

— Maszallah! Mówisz rzeczywiście bardzo odważnie, tak jakbyś był wielkim człowiekiem.

— Czy będąc kimś nieznanym, odważyłbym się odwiedzić ciebie? Było to oczywiście chętlive i bezczelne z mej strony, lecz zaraz stwierdziłem, że wywarło na paszy oczekiwane wrażenie.

— Jak się nazywasz? — spytał pasza.

— Mam różne nazwiska, ekscelencjo.

— Jak to różne? Sądzę, że człowiek ma tylko jedno nazwisko!

— Zazwyczaj tak. Ze mną jednak sprawa przedstawia się inaczej, gdyż w każdym kraju, który odwiedzałem, nazywano mnie inaczej.

— A więc zwiedziłeś wiele krajów i poznałeś liczne narody?

— Tak.

— Wymień te narody!

— Osmanowie, Francuzi, Anglicy, Hiszpanie...

Mogłem wymienić wiele narodów, a przez grzeczność na czele podałem mu Turków. Pasza coraz szerzej otwierał oczy ze zdziwienia. Wreszcie zawołał:

— Czok szej! Aż tyle narodów jest na świecie?

— Jeszcze znacznie więcej!

— Allah akbar! Stworzył tyle narodów, ile mrówek znajduje się w mrowisku. Jesteś jeszcze młody. Jak więc mogłeś zwiedzić już tyle krajów? Ile miałeś lat, wyjeżdżając z Niemiec?

— Miałem osiemnaście lat, kiedy przebywszy ocean, znalazłem się w Ameryce.

— A czym się trudnisz, jaki jest twój zawód?

— Piszę artykuły do gazet i książki, które potem są drukowane.

— O czym piszesz?

— Przeważnie opisuję to, co widzę i słyszę, i co przeżywam.

— Czy w tych gazetach wymieniasz także ludzi, z którymi się spotykasz?

— Tylko najznakomitszych.

— Mnie także wymienisz?

— Ciebie również.

— Co byś o mnie napisał?

— O paszo, jakżeż mam to już teraz wiedzieć? Mogę przecież tylko tak ludzi opisać, jak się w stosunku do mnie zachowali.

— A kto to czyta?

— Tysiące ludzi, biednych i bogatych, wysoko i nisko urodzonych.

— Paszowie i książęta też?

— Oni także.

W tym momencie doszedł mnie z podwórza odgłos bicia, któremu towarzyszyły jęki chłostanego. Mimo woli nadstawiłem uszu.

— Nie zwracaj na to uwagi — rzekł pasza. — To mój lekarz odbiera cięgi.

— Twój lekarz? — spytałem zdziwiony.

— Tak. Czy bolały cię kiedyś zęby?

— Owszem, kiedy byłem dzieckiem.

— To wiesz, jakie to okropne. Mam chory ząb. Ten pies miał mi go wyrwać, lecz robił to tak niezdarnie, że sprawił mi straszny ból. Za to teraz otrzymuje chłostę. Ja natomiast nie mogę zamknąć ust.

Nie może zamknąć ust? Czyżby ząb wyszedł już z dziąsła? Postanowiłem wykorzystać tę sytuację.

— Czy mógłbym zobaczyć ten chory ząb, paszo?

— Czy jesteś lekarzem?

— Okazyjnie.

— To zbliż się! W dolnej szczęce po prawej stronie. Szekib Halil otworzył usta, a ja do nich zajrzałem.

— Pozwolisz mi dotknąć tego zęba?

— Jeżeli nie będzie bolało.

Omam nie roześmiałem się w twarz srogiemu paszy. Chory ząb tkwił tak luźno w opuchniętym dziąśle, że wystarczyło ująć go palcami, żeby dokończyć przerwanej operacji.

— Ile kijów kazałeś dać lekarzowi?

— Sześćdziesiąt.

— Czy darujesz mu resztę chłosty, jeśli wyjmę ten ząb, nie sprawiając ci bólu?

— Tego nie potrafisz zrobić!

— Owszem, potrafię.

— Dobrze! Jeśli mnie jednak zaboli, to te kije, które jemu zostały darowane, dostaną się tobie.

Pasza klasnął w dłonie. Natychmiast zjawił się jeden z oficerów.

— Uwolnijcie lekarza! Ten obcokrajowiec wstawił się za nim. Oficer odszedł, nie kryjąc zdziwienia.

Teraz wsadziłem paszy dwa palce w usta, obmacałem trochę dla pozorów zdrowy ząb, znajdujący się obok chorego, a potem chwyciłem palcami wystający z dziąsła chory ząb i wyjąłem go. Namiestnikowi drgnęły powieki, nie przypuszczał jednak, że ząb już wyjąłem. Złapał mnie szybkim ruchem za rękę, odsuwając ją od swojej twarzy.

— Jeżeli jesteś lekarzem, to długo się nie namyślaj! Tu leży odpowiedni przyrząd!

Szekib Halil wskazał na podłogę. Schyliłem się, trzymając wyjęty ząb między palcami. Na ziemi leżała łapka do wyciągania gwoździ, a obok niej szczypce dentystyczne — ale jakie! Można by nimi wyjmować z ognia dusze do żelazka każdej wielkości. Trochę udawania nie powinno zaszkodzić. Włożyłem paszy łapkę do jego niezbyt małych-ust.

— Uważaj, czy zaboli! Bir, iki, ucz — raz, dwa, trzy! Oto jest ten nieposłuszny ząb, który sprawił ci tyle boleści!

Podał mi ząb. Spojrzał na mnie zdumiony.

— Maszallah! Przecież nic nie czułem!

— Tak Niemcy umieją wyrwać zęby — uśmiechnąłem się. Pasza obmacał sobie jamę ustną,



obejrzał wyrwany ząb i dopiero teraz był pewny, że się go pozbył.

— Jesteś znakomitym lekarzem! — powiedział. — Jak się nazywasz?

— Arabowie zwą mnie Kara ben Nemi.

— Każdy ząb usuwasz tak wspaniale?

— Hm! To zależy od okoliczności!

Szekib Halil klasnął znów w dłonie. Zjawił się znany mi już oficer.

— Popytaj w całym domu, czy ktoś nie cierpi na ból zębów! Oficer poszedł wykonać polecenie, a ja poczułem się tak, jakby mnie w tej chwili samego rozboleły zęby.

— Dlaczego nie przybyłeś zaraz z moimi posłańcami? — spytał pasza.

— Bo mnie znieważyli.

— W jaki sposób, opowiedz!

Opisałem zajście.. Słuchał uważnie, a potem podniósł rękę, jakby mi chciał pogrozić.

— Postąpiłeś niesłusznie. Powinieneś natychmiast zastosować się do wydanego przeze mnie rozkazu. Podziękuj Allahowi, że objawił ci, jak wyjmować chore zęby bez bólu!

— Dlaczego?

— W przeciwnym razie zostałbyś ukarany. W jaki sposób, tego teraz nie wiem.

— Ukarany! Tego byś nie zrobił.

— Maszallah! Dlaczegoż to nie? Kto by mi w tym przeszkodził?

— Sułtan.

— Sułtan? — spytał pasza zdumiony.

— Oczywiście. Nie popełniłem nic złego i mogę chyba żądać, żeby twoi agowie byli wobec mnie grzeczni. A może sądzisz, że nie potrzebujesz się liczyć z tym dokumentem? Proszę, przeczytaj!

Pasza wziął papier z moich rąk i rzuciwszy nań okiem, przyłożył go sobie ze czcią do czoła, ust i okolicy serca.

— Bujuruldu sułtana — niech go Allah błogosławi!

Szekib Halil przeczytał dokument, złożył i oddał mi go z powrotem.

— Znajdujesz się pod opieką sułtana! W jaki sposób uzyskałeś ten przywilej?

— Ty, paszo, jesteś namiestnikiem Mosulu. Jak do tego doszedłeś?

— Zaiste, jesteś bardzo śmiały. Jestem namiestnikiem tutejszego rejonu, ponieważ opromienia mnie słońce padyszacha.

— A ja znajduję się pod opieką sułtana, ponieważ oświeca mnie jego łaska i cieszę się jego zaufaniem. Padyszach dał mi zezwolenie na zwiedzanie wszystkich jego krajów. Potem będę pisał książki o tym, jak przyjmowali mnie jego poddani.

Moje słowa zrobiły na paszy wrażenie. Wskazał mi miejsce obok siebie na kosztownym smyrneńskim dywanie.

— Siadaj!

Potem polecił skulonemu przy nim na podłodze Murzynkowi, który obsługiwał jego fajkę, aby przyniósł kawę i fajkę dla mnie.

Siedzieliśmy tak obok siebie, paląc fajki i pijąc kawę, jakbyśmy byli starymi, dobrymi znajomymi. Szekib Halil zdawał się coraz bardziej zadowolony ze spotkania ze mną i chcąc dać temu wyraz, przywołał obydwóch agów, których poprzednio po mnie wysłał. Z wyrazem twarzy nie wróżącym nic dobrego zapytał:

— Mielicie przyprowadzić do mnie tego beja?

— Tak rozkazałeś, paszo — odparł jeden z nich.

— Nie pozdrowiliście go! Nie zdjęliście obuwia przed wejściem do jego mieszkania. A nawet

nazywaliście go niewiernym!

— Postąpiliśmy tak, gdyż sam go tak nazwałeś.

— Zamilcz psie i powiedz, czy naprawdę tak się o nim wyraziłem?

— Ekscelencjo, ty...

— Milcz! Czy nazwałem go niewiernym?

— Nie, paszo!

— A jednak tak twierdziłeś! Zejdźcie na podwórze! Każdy z was ma dostać pięćdziesiąt kijów w podeszwy. Zameldujcie to na dole!

To był istotnie nadzwyczaj miły dowód przyjaźni dla mnie. Pięćdziesiąt kijów? To była jednak za sroga kara. Dziesięć lub piętnaście kijów byłbym im życzył za ich arogancję. W tej sytuacji musiałem się jednak ująć za nimi.

— Wydajesz sprawiedliwe sądy, o paszo — rozpocząłem. — Twoja mądrość jest niezrównana, lecz twoja dobroć jest jeszcze większa. Łaskawość jest przywilejem wszystkich cesarzy, królów i panujących. Jesteś księciem Mosulu i zechciej pozwolić zabłysnąć twojej wspaniałomyślności w stosunku do tych dwóch agów.

— Mam okazać łaskę tym łajdakom, którzy cię obrazili? Czyż tym samym nie obrazili również mnie?

— Ekscelencjo, w swojej dostojności wznosisz się tak ponad nimi, jak gwiazdy ponad ziemią. Szakał wyje do gwiazd, ale one tego nie słyszą i świecą dalej. Na Zachodzie będą sławić twoją dobroć, jeśli opowiem, że przychyliłeś się do mojej prośby.

— Te psy nie są warte tego, żeby im przebaczyć. Aby cię jednak przekonać, że cię lubię, daruję im karę. Wyoście się i nie pokazujcie mi się dzisiaj więcej na oczy!

Kiedy agowie opuścili pokój, pasza spytał:

— W jakim kraju byłeś ostatnio?

— W Egipcie. A potem przez pustynię przybyłem do ciebie. Powiedziałem tak, nie chcąc skłamać, a nie mogłem mu przecież powiedzieć, że byłem u Haddedihnów.

— Przeszedłeś przez pustynię? Przez którą? No oczywiście przez synajską i syryjską? To zła droga. Ale dziękuj Bogu, że właśnie tamtędy szedłeś.

— Dlaczego?

— Bo w przeciwnym razie byłbyś trafił do arabskiego plemienia Szammarów, gdzie by cię zamordowano.

Gdyby wiedział, co przemilczałem.

— Czy Szammarowie są tacy źli, ekscelencjo? — spytałem.

— Są bezczelną, bandycką hałastrą, którą zamierzam poskromić. Nie płacą podatków ani innych danin. Właściwie już przedsięwziąłem odpowiednie kroki przeciwko nim.

— Wysłałeś przeciwko nim swoje wojsko?

— Nie. Arnautów należy używać do lepszych zadań.

Co to były za lepsze zadania, łatwo odgadnąć: okradanie poddanych, celem powiększenia majątku paszy.

— Ach! Zgaduję.

— Co masz na myśli?

— Mądry panujący oszczędza swych żołnierzy, a zwalcza swych wrogów, nastawiając jednych przeciwko drugim.

— Muszę przyznać, że Niemcy to niegłupi ludzie. Tak istotnie zrobiłem.

— I udało się?

— Niestety! A wiesz, kto temu winien?

— Kto?

— Pewien Anglik i pewien cudzoziemski książę. Haddedihowie są najbardziej wojowniczymi wśród plemion Szammarów. Mieli zostać pokonani bez przelania krwi moich wojowników. Wysłałem przeciwko nim trzy miejscowe plemiona arabskie. Tymczasem zjawił się Anglik z tym obcym emirem i zwerbował plemiona, które pomogły Haddedihowi. Wszyscy moi sprzymierzeńcy zostali wzięci do niewoli lub zabici. Pozostali przy życiu stracili większą część swoich trzód i muszą płacić daninę.

— Do jakiego plemienia należał ten emir? — spytałem.

— Nikt tego nie wie. Fama niesie, że on w ogóle nie jest człowiekiem. Sam w nocy zabił lwa. Jego kule trafiają do celu odległego o wiele mil, a jego oczy świecą w ciemności jak ogień piekielny.

— Czy nie możesz go pochwycić?

— Spróbuję, lecz nie robię sobie wielkiej nadziei w tej sprawie. Ludzie z plemienia Abu Hammed już go raz wzięli do niewoli; on im jednak uciekł, wzniosłszy się na koniu w powietrze.

Pocziwy pasza zdawał się być trochę przesądny. Ani mu przez myśl nie przeszło, że pije właśnie kawę z tym diabłem, o którym opowiada.

— Od kogo dowiedziałeś się tego wszystkiego, ekscelencjo? — zapytałem.

— Od człowieka z plemienia Obeidów, przysłanego do mnie, kiedy już właściwie było za późno. Haddedihowie zabrali już trzody zwyciężonym przez siebie plemionom.

— Ukarzesz ich?

— Miałem zamiar, muszę jednak przesunąć termin wyprawy przeciwko nim, chociaż zgromadziłem już wszystkie swoje oddziały. Czy zwiedziłeś już ruiny miejscowości Kujundzik?

— Nie.

— Tam stacjonuje wojsko, które ma wyruszyć przeciwko Szammarom. Teraz jednak wyślę je w inne miejsce.

— Czy mogę spytać, dokąd?

— To jest tajemnica. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Wiesz zapewne, że tajemnice państwowe muszą być zachowane.

Wszedł człowiek, którego pasza wysłał z poleceniem znalezienia osób, cierpiących na ból zębów. Starłem się wyczytać z jego twarzy wynik poszukiwań, gdyż nie byłoby mi wcale przyjemnie wrywać wojakom zęby łapką do wyciągania gwoździ lub monstrualnymi obcęgi — a zwłaszcza bezboleśnie, tak jak tego żądał pasza.

— No co? — spytał Szekib Halil.

— Wybacz paszo, nie znalazłem nikogo cierpiącego na ból zębów.

— Ciebie także zęby nie bała?

— Nie.

Odetchnąłem. Uprzejmy pasza zwrócił się jednak do mnie zawiedziony:

— Szkoda. Chciałem ci stworzyć okazję, żeby ludzie mogli podziwiać twoją sztukę. Może jutro lub pojutrze znajdzie się ktoś z bólem zęba.

— Jutro i pojutrze już mnie tu nie będzie — odrzekłem.

— Co takiego? Musisz zostać. Będziesz mieszkał w moim pałacu i korzystał z takiej samej obsługi, jak ja. — Idź już! — rzekł do oficera, który natychmiast się oddalił.

— A jednak muszę teraz odejść — wyjaśniłem. — Ale wrócę.

— Dokąd chcesz się udać?

— W góry Kurdystanu. — Jak daleko?

— Jeszcze nie zdecydowałem; być może aż do Tura Szina lub nawet do Dżulamerg.

— Co tam chcesz robić?

— Chcę zobaczyć, jacy ludzie tam żyją oraz jakie rośliny i zioła rosną w tamtych okolicach.

— Czy to takie pilne, że nie możesz przez kilka dni zatrzymać się i u mnie?

— Pilne, gdyż rośliny, których szukam, mogą tymczasem zwiędnąć.

— Ludzi nie potrzebujesz tam w górach poznawać. Są to kurdyjscy rozbójnicy i przeważnie jezydzi, których oby Allah potępił. A zioła? Do czego ci potrzebne? Ach tak, jesteś przecież lekarzem i potrzebujesz ziół do leczenia! A nie pomyślałeś o tym, że Kurdowie mogą cię zabić?

— Bywałem *już* u ludzi gorszych od nich.

— Bez eskorty? Bez żołnierzy lub innej ochrony?

— Tak. Mam dobrą broń i — poza tym mam przecież ciebie, paszo!

— Mnie?

— Tak. Twoja władza sięga przecież aż do Amadije?

— Właśnie tak daleko. Amadije jest twierdzą na granicy mojego okręgu. Mam tam działa i załogę, składającą się z trzystu albańskich żołnierzy.

— Amadije jest zapewne bardzo mocną fortecą.

— Nie tylko mocną, lecz nie do zdobycia. Chroni moje terytorium przed ewentualną napaścią wolnych Kurdów. Ale i podbite plemiona są krnąbrne i niesforne.

— Widziałeś moje bujuruldu i mam nadzieję, że użyczysz mi swojej opieki. Z tą prośbą przybyłem do ciebie.

— Otoczę cię swoją pieczę pod jednym warunkiem: wrócisz i będziesz moim gościem.

— Ten warunek przyjmuję z radością.

— Dam ci dla ochrony dwóch kawasów, którzy będą cię strzegli i obsługiwali. Czy wiesz, że będziesz musiał przejechać przez kraj jezydów, jak już ci wspomniałem?

— Wiem o tym.

— Jest to zły, nieposłuszny naród. Trzeba będzie ukrócić ich samowolę. Ci ludzie modlą się do diabła, gaszą światło i piją wino.

— Czy picie wina jest aż tak złe?

Pasza spojrział na mnie badawczo z ukosa. — Ty pijesz wino?

— Bardzo chętnie.

— Czy masz jakieś wino przy sobie?

— Nie.

— Sądziłem, że masz. — Wówczas... — odwiedziłbym cię przed twoim wyjazdem.

To, co usłyszałem, dowodziło, że poniekąd już zdobyłem zaufanie paszy. Skorzystałem więc skwapliwie z jego oświadczenia i rzekłem:

— Odwiedź mnie! Mogę się postarać o wino.

— Czy także o takie, które tryska? Pasza miał naturalnie na myśli szampana.

— Czy już kiedyś piłeś takie wino, paszo?

— O nie! Czy nie wiesz, że Prorok zakazał pić wino? Jestem wiernym wyznawcą zasad Koranu.

— Wiem. Ale takie musujące wino można zrobić sztucznie i wtedy właściwie nie jest winem.

— Potrafisz sporządzić takie perliste wino? — Tak

— Ale to trwa długo, może kilka tygodni, albo nawet miesięcy?

— Potrwa zaledwie kilka godzin.

— Czy zechciałbyś mi przyrządzić taki trunek?

— Chętnie, lecz nie mam składników, które są do tego potrzebne.

— Czego potrzebujesz?  
— Przede wszystkim butelek!  
— Butelki są w domu.  
— Cukru i rodzynek.  
— Otrzymasz jedno i drugie. — Octu i wody.  
— Mój kucharz ma tego pod dostatkiem.  
— Poza tym muszę mieć różne rzeczy, które można otrzymać tylko w aptece.  
— Czy to należy do grupy lekarstw?  
— Tak.

— Mój lekarz ma aptekę. Czy jeszcze ci czegoś potrzeba?  
— Nie. Musiałbyś mi jednak pozwolić sporządzić to wino w twojej kuchni.

— Czy mogę się przypatrywać, żeby się tego nauczyć?

— To prawie niemożliwe, paszo. Przygotowanie wina, które wolno pić muzułmaninowi, wina, które się perli i raduje duszę, to bardzo wielka tajemnica.

— Dam ci, czego zażadasz.

— Tak wielkiej tajemnicy się nie sprzedaje. Tylko przyjacielowi wolno ją zdradzić.

— Czyż nie jestem twoim przyjacielem, Kara ben Nemsy? Lubię cię i chętnie spełnię każde twoje życzenie.

— Wiem o tym ekscelencjo i dlatego podzielę się z tobą moją wiedzą. Ile butelek mam ci napełnić?

— Dwadzieścia. A może to za wiele?

— Nie. Chodźmy do kuchni!

Pasza Mosulu był na pewno cichym poddanym króla Bachusa. Włożyliśmy obuwie, fajki perskie zamieniliśmy na tureckie z długimi cybuchami i udaliśmy się do kuchni. Petenci, oczekujący w przedpokoju zdziwili się, ujrawszy mnie w takiej komitywie z ich panem; on natomiast nie zwrócił na nich wcale uwagi, Kuchnia znajdowała się na parterze. Było to wysokie i ciemne pomieszczenie, z olbrzymim paleniskiem pośrodku, nad którym wisiał duży kocioł, pełen wrzącej wody, przeznaczonej do parzenia kawy. Nasze wejście do kuchni wywołało nie tyle zdumienie, ile przerażenie. Na ziemi, paląc fajki, siedziało pięciu lub sześciu mężczyzn, a przed nimi dymiły czarki ze świeżo sparzoną kawą. Pasza zapewne dotychczas jeszcze nigdy nie był w kuchni, toteż jego pojawienie się tam spowodowało, że ludzie struchleli ze strachu. Nie ruszyli się z miejsca, patrząc na paszę osłupiałym wzrokiem.

Szekib Halil wszedł w sam środek tego kręgu i rozpędził siedzących kopniakami, wołając:

— Wstawać wałkonie, niewolnicy! Nie znacie mnie? Dlaczego nie wstajecie, kiedy wchodzę, lecz siedzicie nadal, jakbym był jednym z was?

Ludzie skoczyli na równe nogi, a potem padli paszy do stóp.

— Czy macie gorącą wodę? — spytał pasza.

— Gotuje się panie — odpowiedział jeden z obecnych, będący prawdopodobnie kucharzem, gdyż był najgrubszy i najbrudniejszy ze wszystkich.

— Przynieś rodzynek, chamie!

— Ile?

— Ile rodzynek potrzebujesz? — spytał mnie pasza. Sprawdziłem ilość wody i wskazałem na stojący w kuchni dzban. — Trzy takie pełne dzbany!

— A ile cukru?

— Jeszcze raz tyle.

— A octu?

— Może być jedna dziesiąta dzbana.

— Słyszeliście potwory! Pospieszcie się!

Służący wybiegli i wkrótce przynieśli wszystko, czego zażądałem. Poleciałem umyć rodzinę i wrzuciłem je wraz z cukrem do wrzątku. Producent szampana na Zachodzie byłby wyśmiał moje poczynania, ja jednakże miałem mało czasu. Musiałem sporządzać napój szybko, aby nie obciążać zbytnio pamięci szlachetnego paszy.

— Teraz do apteki! — poprosiłem go.

— Chodź! — powiedział.

Szedł przodem i zaprowadził mnie do komnaty, znajdującej się również na parterze. Siedział w niej biedny lekarz z obandażowanymi stopami. Jego również pasza poczęstował kopniakiem.

— Wstań, ty wstrętny człowieku, i okaż należny szacunek temu efendi oraz mnie! Podziękuj mu, gdyż to on wstawił się, bym darował ci resztę kijów, jakie ci się należały. Przyjmij do wiadomości, nicponiu, że to on wyjął mi ząb, a ja nie poczułem żadnego bólu. Podziękuj mu!

Co za rozkosz być przybocznym lekarzem paszy! Biedaczysko rzucił się przede mną na kolana i ucałował rąbek mojej starej narzutki. Szekib Halil zapytał go:

— Gdzie jest apteczka?

Lekarz wskazał na dużą skrzynię, którą jak było widać toczyły korniki.

— Tutaj, paszo!

— Otwórz ją!

Oczom moim ukazały się chaotycznie pomieszane torebki liści, puszek, przyklepców i różnych medykamentów, których rodzaj i przeznaczenie były mi zupełnie obce. Zapytałem o sodę oczyszczoną, i kwaśny winian potasu. Natronu było dużo, natomiast kamienia winnego niewiele. Wystarczyło mi to jednak.

— Czy masz teraz wszystko? — spytał mnie pasza.

— Tak.

Władca Mosulu pożegnał lekarza ponownym kopniakiem i przykazał mu:

— Postaraj się o większą ilość tych dwóch lekarstw i zapamiętaj sobie ich nazwy! Te leki będą mi bardzo potrzebne, jeśli zachoruje któryś z moich koni. Jeżeli zapomnisz nazw tych medykamentów, otrzymasz pięćdziesiąt kijów. Ani jednego mniej!

Wróciłem z paszą do kuchni. Służący przynieśli butelki, lak do pieczętowania, drut i zimną wodę. Potem pasza wypędził wszystkich z kuchni. Nikt poza nim bowiem nie miał poznać tajemnicy, jak się robi wino, które nie jest winem i które bez wyrzutów sumienia może pić każdy prawowierny muzułmanin.

Zabraliśmy się do roboty. Gotowaliśmy, przyrządzali, chłodzili, napełniali butelki, zamykaliśmy je korkami, a korki zalewaliśmy lakiem. Pot spływał po obliczu paszy.

Kiedyśmy skończyli, służącym wolno było znów wejść. Pasza polecił im ulokować butelki w najchłodniejszym miejscu piwnicy. Jedną z butelek wziął ze sobą, żeby skosztować wyprodukowanego płynu. Niósł ją własnoręcznie przez przedpokój do swojej komnaty, gdzieśmy wreszcie wygodnie usiedli.

— Skosztujemy? — spytał.

— Wino nie jest jeszcze dostatecznie ochłodzone.

— Wypijemy takie, jakie jest. — Ciepłe nie smakuje.

— Musi smakować!

Naturalnie na rozkaz paszy musiało smakować! Szekib Halil polecił przynieść dwie szklanki,

zabronił wchodzić komukolwiek i zdjął drut z szyjki butelki.

Puff! Korek wystrzelił z butelki pod sam sufit.

— Maszallah! — zawołał namiestnik przestraszony. — To wino naprawdę tryska!

Pieniąc się i pryskając, wypływało sztuczne wino z butelki. Chciałem prędko podstawić swoją szklankę, lecz pasza włożył sobie szyjkę butelki między wargi i odjął butelkę od ust, kiedy była prawie pusta. Otwór butelki zatkał palcem.

— Czok ala — wyborne! Kocham cię, przyjacielu! Twoje wino jest lepsze od wody ze źródła Zemzem.

— Tak sądzisz?

— Tak. Jest nawet lepsze od wody ze źródła Hawus Kewser, którą piją błogosławieni w raju. Dam ci nie dwóch, lecz czterech kawasów dla ochrony.

— Dziękuję ci. Czy zapamiętałeś, jak się to wino sporządza?

— Dokładnie Nie zapomnę.

Nie myśląc o tym, że są przecież dwie szklanki do napełnienia, pasza przytknął znów butelkę do warg i odjął ją dopiero, gdy była całkiem pusta.

— Bom bosz — zupełnie pusta! Wyszła. Szkoda, że nie była większa!

— Przyznajesz teraz, jak drogocenna była moja tajemnica? — zapytałem.

— Na Proroka, zdaję sobie z tego sprawę! Och, wy Niemcy jesteście mądrymi ludźmi! Lecz pozwól, że cię na chwilę opuszczę!

Namiestnik wstał i wyszedł z pokoju. Kiedy wrócił, niósł coś pod kaftanem. Były to dwie butelki. Roześmiałem się. — Sam po nie poszedłeś?

— Kendi — sam! Tego wina, które nie jest winem, nikomu oprócz mnie nie wolno dotknąć. Wydałem odpowiednie zarządzenie i od tej chwili, kto by tylko dotknął butelki z tym winem, zostanie zachłostany na śmierć.

— Chcesz jeszcze pić? — dopytywałem się.

— Nie powinienem? Czyż ten trunek nie jest wspaniały?

— Ale mówię ci przecież, że to wino ma dopiero wtedy właściwy smak i moc, kiedy całkiem ostygnie.

— Wyobrażam sobie, jak wówczas musi smakować, skoro już teraz jest tak doskonałe! Chwała Allahowi, który stworzył wodę, rodzynki, cukier i lekarstwa do orzeźwiania i pokrzepienie serc swoich wiernych!

I pasza pił, nie myśląc o mnie. Wyraz jego twarzy zdradzał ogromne zadowolenie, a opróżniwszy drugą butelkę, oświadczył:

— Przyjacielu, tobie nikt nie dorówna, ani z wiernych, ani z nie wierzących w Proroka. Czterech kawasów, to dla ciebie za mało, otrzymasz sześciu.

— Wielka jest twoja dobroć, ekscelencjo; doceniam ją i rozślawię.

— Czy opowiesz także o tym, co teraz piłem?

— Nie. Przemilczę to, gdyż nie powiem również o tym, co ja piłem.

— Oj, masz rację! Piję nie myśląc o tobie. Podaj mi swoją szklankę, otworzę jeszcze drugą butelkę.

Nareszcie mogłem skosztować swojego produktu. Miał taki smak, jaki powinien mieć trunek, sporządzony w ten sposób, a więc smak nieostudzonej wody sodowej, zmieszanej z rozgotowanymi rodzynekami i cukrem. Niewybrednemu podniebieniu paszy trunek ten sprawiał jednak prawdziwą rozkosz.

— Wiesz — powiedział, łyknąwszy sobie znów porządnie — że sześciu kawasów to ciągle

jeszcze za mało dla ciebie? Dam ci dziesięciu! .

— Dziękuję ci, paszo!

Gdyby to picie trwało dłużej, byłbym zmuszony wyruszyć w dalszą podróż z całym oddziałem kawasów, co w pewnych warunkach mogło mi nie wyjść na dobre.

— Więc chcesz jechać przez kraj czcicieli szatana — wrócił do tematu Szekib Halil. — Czy znasz ich język?

— Czy to kurdyjski?

— Jest to gwara kurdyjska. Niewielu z nich mówi po arabsku.

— Nie znam tej gwary.

— To weźmiesz ze sobą tłumacza.

— Może to niepotrzebne. Kurdyjski i perski to języki pokrewne, a perski znam.

— Ja nie znam ani jednego, ani drugiego, a ty musisz najlepiej wiedzieć, czy ci tłumacz potrzebny. W każdym razie nie zatrzymuj się długo w kraju jezydów! Nie wypoczywaj u nich, lecz przejedź szybko przez ich terytorium; w przeciwnym razie mogłoby ci się przydarzyć coś złego.

— Co mianowicie?

— To moja tajemnica. Powiem ci tylko, że właśnie z powodu ochrony, jaką ci dają, mogłoby ci tam zagrażać niebezpieczeństwo. Pij!

To właściwie była już druga tajemnica paszy.

— Czy twoi ludzie mogą mi towarzyszyć tylko do Amadije? — zapytałem.

— Tak, gdyż moja władza dalej nie sięga.

— Czyje terytorium rozciąga się za tą twierdzą?

— Kurdów z Berwari.

— Jak się zwie ich stolica?

— Gumri. Jest to silna twierdza, w której mieszka ich bej. Dam ci list do niego. Nie mogę ci jednak obiecać, czy to pismo przyniesie ci spodziewany pożytek. Ilu masz ludzi, którzy będą ci towarzyszyć?

— Tylko jeden człowiek będzie mi towarzyszył.

— Tylko jeden? A masz dobre konie?

— Tak.

— To dobrze, gdyż od konia zależy często wolność i życie jeźdźca.

Przykro by mi było, gdyby cię spotkało jakieś nieszczęście, gdyż posiadałeś piękną tajemnicę, a wyjawiałeś mi ją. Ale ja też chcę ci . okazać wdzięczność. Czy wiesz, co zrobię dla ciebie?

— Jestem ciekaw.

Pasza opróżnił butelkę do dna i rzekł, rzucając mi życzliwe spojrzenie:

— Czy wiesz, co to jest diszparassi?

— Jest to podatek, którego tylko ty możesz żądać.

Wyraziłem się bardzo delikatnie, gdyż tak zwane odszkodowanie za zużywanie się zębów jest daniną, pobieraną wszędzie tam, gdzie namiestnik zatrzymuje się w podróży. Podatek ten ściągany bywa za to, że dygnitarz ściera sobie zęby podczas żucia żywności, którą miejscowa ludność musi mu dostarczać bezpłatnie.

— Zgadłeś — powiedział. — Dam ci pismo, w, którym rozkazuję, żeby wszędzie, gdzie zawitasz, wypłacano ci diszparassi, tak jak mnie osobiście. Kiedy chcesz odjechać?

— Jutro rano.

— Poczekaj, pójdę po swoją pieczęć i zaraz każę sporządzić odpowiedni dokument.

Szekib Halil wstał i opuścił pokój. Ponieważ Murzynek musiał nieść za nim fajkę, pozostałem



sam. Obok miejsca, na którym pasza uprzednio siedział, leżały papiery, które zapewne przeglądał przed moim przyjściem. Między innymi zauważyłem mapę, a kiedy się jej bliżej przyjrzałem, stwierdziłem, że był to plan doliny, zamieszkaney przez ludzi szejka Adi. Czyżby ten plan miał jakiś związek z tajemnicami namiestnika? Dalsze snucie domysłów przerwało mi ponowne wejście paszy. Na jego rozkaz zjawił się pisarz, któremu polecił sporządzić trzy pisma: jedno do beja Kurdów, drugie do komendanta twierdzy Amadije, a trzecie do wszystkich zwierzchników i organów władzy regionu północnego. W piśmie tym stwierdzono, że mam prawo pobierać diszparassi i że mieszkańcy miejscowości, w których się znajdę, mają spełniać wszystkie moje żądania, tak jakby je stawiał sam pasza.

Czyż mogłem żądać więcej? Cel swojej wizyty w Mosulu osiągnąłem nadspodziewanie szybko i w zupełności, a ten cud zawdzięczałem nie tylko odważnej postawie, lecz przede wszystkim kwaśnemu węglanowi sodu.

— Czy jesteś ze mnie zadowolony? — spytał pasza.

— Niezmiernie, paszo! Twoja dobroć nie ma granic!

— Nie dziękuj mi teraz, zrobisz to później!

— Mam nadzieję, że będę to mógł kiedyś uczynić.

— Na pewno będziesz mógł.

— W jaki sposób?

— Mogę ci to już teraz powiedzieć. Jesteś nie tylko lekarzem, lecz także oficerem,

— Dlaczego tak przypuszczasz?

— Lekarz, lub człowiek piszący książki, nie odważyłby się odwiedzić mnie sam, bez konsula. Masz bujuruldu sultana, a wiadomo mi, że padyszach przyjmuje niekiedy obcych oficerów, którzy muszą objeżdżać jego kraje, żeby mu potem zdać wojskowe sprawozdanie. Przyznaj się, jesteś takim oficerem!

To błędne mniemanie paszy mogło być dla mnie tylko korzystne, nie byłoby więc rozsądnie zaprzeczać temu. Nie chcąc jednak kłamać, wysiliłem się na wykrętną odpowiedź:

— Nie mogę się do tego przyznać, ekscelencjo. Jeśli wiesz, że padyszach wysyła takich oficerów, to zapewne także słyszałeś, że odbywa się to przeważnie w tajemnicy. Czyż wolno im tę tajemnicę zdradzać?

— Nie, też wcale nie mam zamiaru cię do tego namawiać, lecz pod pewnym względem możesz mi wyświadczyć przysługę.

— Pod jakim względem?

— W charakterze oficera. Kiedy powrócisz z gór Kurdystanu, poślę cię do Arabów z plemienia Szammar, a zwłaszcza do Haddedihnów. Zwiedzisz obszar, który zamieszkują i zameldujesz mi potem, w jaki sposób mogę ich pokonać.

— Ach!

— Tak. Dla ciebie to zadanie będzie łatwiejsze, niż dla kogoś z moich ludzi. Wiem, że oficerowie Franków są mądrzejsi od naszych, choć sam byłem pułkownikiem i oddawałem padyszachowi znaczne usługi. Prosiłbym cię, żebyś przyjrzał się również okolicy, gdzie zamieszkują jezydzi, ale na to jest już właściwie za późno. Mam już stamtąd wszystko co mi było potrzebne.

Słowa paszy przekonały mnie, że moje poprzednie przypuszczenia były słuszne. Zgromadzone w Kujundżiku oddziały wojska stały w pogotowiu, aby napaść na czcicieli szatana.

— Przejedź szybko przez ich terytorium, nie czekając do dnia, w którym obchodzą swoje wielkie święto.

— Jakie święto?

- Na cześć ich świętego. Obchodzą je przy grobie szejka Adi. Tu masz twoje dokumenty. Niech Allah będzie z tobą! O której godzinie jutro rano opuścisz miasto?
- W czasie pierwszej modlitwy.
- Przyślę ci więc o tej porze do mieszkania dziesięciu obiecanych kawasów.
- Ekscelencjo, wystarczy mi dwóch.
- Nie rozumiesz tego. Lepiej mieć dziesięciu niż dwóch; zapamiętaj to sobie! Wracaj szybko i nie zapomnij, że obdarzyłem cię serdecznością i przyjaźnią.
- Szekib Halil dał znak, że mogę się oddalić. Wyszedłem z głową wysoko podniesioną z domu, do którego wszedłem przed kilku godzinami niemal jak więzień. Kiedy dotarłem do swojego mieszkania, zastałem Halefę w zbroi.
- Sihdi, dzięki niech będą Allahowi, że przybywasz — pozdrowił mnie. — Gdybyś nie wrócił do zachodu słońca, dotrzymałbym słowa i poszedłbym zastrzelić paszę.
- Zabraniam ci zabić paszę, Halefie. Pasza jest moim przyjacielem.
- Twoim przyjacielem? Jak tygrys może być przyjacielem człowieka?
- Oswoiłem go.
- Maszallah! To dokonałeś cudu. Jak do tego doszło?
- Łatwiej, niż mogłem przypuszczać. Jesteśmy pod ochroną paszy i otrzymamy od niego dziesięciu kawasów, którzy nam będą towarzyszyć.
- To dobrze.
- A może nie! Poza tym dał mi listy polecające oraz prawo pobierania diszparassi.
- Allah akbar, to stałeś się także paszą! Ale powiedz mi sihdi, kto teraz ma kogo słuchać, ja kawasów, czy oni mnie?
- Oni ciebie, gdyż nie jesteś służącym, lecz Hadżim Halefem Omarem, moim towarzyszem i obrońcą.
- To mnie cieszy i mówię ci, że mnie jeszcze poznają, gdyby im przyszło na myśl nie okazać mi szacunku!

## U CZCICIELI SZATANA

Pasza Szekib Halil dotrzymał słowa. Kiedy następnego dnia o świcie Halef wychylił głowę za drzwi, pozdrowiło go dziesięciu jeźdźców, czekających na podwórzu. Obudził mnie natychmiast, a ja postanowiłem przyjrzeć się tym opiekunom.

Było ich, zgodnie z przyrzeczeniem paszy, dziesięciu: pięciu Arnautów i pięciu żołnierzy. Ci ostatni ubrani byli jak zwykli tureccy żołnierze. Arnautci natomiast mieli na sobie wierzchnie kamizelki z czerwonego aksamitu, a pod nimi obramowane aksamitem zielone kamizelki, szerokie szarfy, czerwone spodnie z metalowymi ochraniaczami nóg, czerwone turbany i obwieszani byli taka. ilością zbroi, że ich nożami i pistoletami można było wyposażyć trzykrotnie liczniejszą gromadę ludzi.

Żołnierzami, zwanymi po turecku baszybozuk, dowodził stary buluk emini, Arnautami natomiast onbaszy, czyli kapral, rzucający wokół wściekłe spojrzenia.

Buluk emini wydawał się dziwakiem. Nie jeździł na koniu, lecz na osle, i symbol swego fachu, to jest olbrzymi kałamarz, nosił na rzemieniu, zapiętym wokoło szyi. W jego turbanie tkwiło kilka gęsich piór. Był małym, grubym człowieczkiem, któremu brakowało nosa. Tym większe wydawały się jego wąsy, zwisające mu z górnej wargi. Policzki miał prawie sine i tak zaokrąglone, że naskórek na nich omal nie pękał, a jego oczy otwierały się jak szparki, co zaledwie wystarczało, by przeniknęły przez nie do mózgu promyki światła.

Dałem Halefowi butelki rakii i poleciłem mu poczęstować nią na powitanie tych dzielnych bohaterów. Halef wyszedł, a ja usadowiłem się tak, by być świadkiem powitania.

— Ssabahinis chajir olssun — dzień dobry, zacni wojownicy! Witajcie!

— Ssabahinis chajir olssun — dzień dobry — odpowiedzieli chórem.

— Przybyliście, żeby towarzyszyć słynnemu efendi, Kara ben Niemsi, w jego podróży?

— Namiestnik przysłała nas w tym celu.

— To przyjmijcie do wiadomości, że nazywam się Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah. Jestem agą, marszałkiem w podróży i obrońcą tego, któremu będziecie towarzyszyć, i macie się stosować do moich wskazówek i poleceń. Jak brzmi rozkaz, który wam dał pasza?

Buluk emini odpowiedział falsetem, który zabrzmiał jak stara, zardzewiała trąbka:

— Jestem kompanijnym pisarzem padyszacha, którego oby Allah błogosławił, i nazywam się Ifra. Zapamiętaj sobie moje imię! Szekib Halil pasza, którego jestem najwierniejszym sługą, dał mi ten kałamarz i te pióra, jak również dużo papieru, abym zapisywał wszystko, co się wam i nam przytrafi. Jestem dzielnym przywódcą tych ludzi i udowodnię wam, że..

— Zamilcz, eszek-ssuwarjysy! Ty kawalerzysto na osle! — przerwał mu onbaszy, gładząc swego potężnego węża. — Czym jesteś? Naszym przywódcą? Ty karle! Jesteś panem swego kałamarza i gęsi, od których te pióra pochodzą! Tym jesteś i niczym więcej!

— Co? Jestem buluk emini i nazywam się Ifra. Moja odwaga i męstwo...

— Milcz, mówię ci! Twoja odwaga tkwi w nogach twojego osła, którego oby Allah spalił, gdyż to zwierzę ma okropny nawyk uciekać podczas dnia, a nocą ryczeć. Znamy ciebie i twojego osła, nie jesteśmy tylko pewni, czy nie zamieniłeś się rolami z tym zwierzęciem!

— Powściągnij swój język, onbaszy! Czyż nie wiesz, że jestem tak dzielny, iż odważyłem się

walczyć nawet tam, gdzie odcinają nosy? Przypatrz się mojemu nosowi, którego właściwie już nie ma, i zdziwi cię śmiałość, z jaką rzuciłem się w wir walki! A może nie znasz tej historii, historii o utraceniu przeze mnie nosa? To posłuchaj! Było to wówczas, kiedyśmy się starli pod Sewastopolem z Moskalami. Znalazłem się w największym bitewnym zgiełku i właśnie podniosłem ramię, aby...

— Milcz! Twoją historię słyszano już tysiąc razy. — I zwracając się do Halefa, Arnaut kontynuował: — Jestem onbaszy Ular Ali. Słyszeliśmy, że efendi Kara ben Nemsy jest odważnym człowiekiem. To nam się podoba. Dowiedzieliśmy się również, że ujął się za naszymi oficerami i to nam się jeszcze bardziej podoba. Będziemy go strzec i służyć mu oraz starać się, żeby był z nas zadowolony.

— Pytam więc jeszcze raz, jakie otrzymaliście od paszy rozkazy — wrócił Halef do tematu.

— Pasza polecił nam dbać o to, żeby twojego pana przyjmowano wszędzie jak jego najlepszego przyjaciela, ba, nawet jak jego brata.

— Zatem wszędzie będziemy otrzymywać bezpłatnie dach nad głową i pożywienie?

— Otrzymacie wszystko, co wam potrzebne, i my tak samo.

— Czy pasza powiedział wam również o diszparassi?

— Tak.

— Będzie się je pobierać w gotówce?

— Tak.

— Ile to wyniesie?

— Tyle, ile efendi zażąda.

— Allah niech błogosławi paszę! Jego rozum jest jasny jak słońce, a jego mądrość oświeca świat. Będzie wam z nami dobrze. Czy jesteście gotowi do podróży?

— Tak.

— Macie zapas żywności?

— Na jeden dzień.

— Ale namiotów zapewne nie posiadacie?

— Nie potrzebujemy żadnych, gdyż codziennie otrzymamy dobre mieszkanie.

— Czy wiadomo wam, że będziemy przejeżdżali przez kraj jezydów?

— Wiemy o tym.

— Boicie się czcicieli szatana?

— Bać się? Halefie Omarze, czy słyszałeś kiedy, żeby Arnaut czegoś się bał? Przecież czciciel szatana, to nie sam szatan. Powiedz swojemu efendi, że pragniemy go powitać!

Po chwili kazałem sprowadzić swego konia i wyszedłem z domu. Dziesięciu mężów stało na baczność, każdy przy głowie swego konia. Pozdrowiłem ich, dosiadłem swego rumaka i dałem znak, by jechali za mną. Nasz mały oddział ruszył w drogę.

Przejechaliśmy przez most pontonowy i znaleźliśmy się poza Mosulem, na lewym brzegu Tygrysu. Tam dopiero przywołałem onbaszego i spytałem go:

— Komu teraz służysz, mnie czy paszy?

— Tobie, efendi.

— Jestem z ciebie zadowolony. Przyślij mi tu buluka emini! Ular Ali odjechał, a po chwili zjawił się mały grubasek.

— Nazywasz się lira? Słyszałem, że jesteś walecznym żołnierzem.

— Bardzo walecznym! — zapewnił mnie grubas swoim skrzypiącym głosem.

— Umiesz pisać?

— Bardzo dobrze, bardzo ładnie, efendi!

— Gdzie służyłeś i walczyłeś?

— We wszystkich krajach świata. — Ach! Wymień mi te kraje?

— Po co, efendi? Byłoby to więcej niż tysiąc nazw.

— To musisz być sławnym pisarzem.

— Bardzo sławnym! Czy jeszcze nic o mnie nie słyszałeś?

— Nie.

— To zapewne niewiele świata w swym życiu widziałeś, w przeciwnym razie moja sława nie byłaby ci obca. Muszę ci na przykład powiedzieć, jak utraciłem swój nos. Było to wówczas, kiedy walczyliśmy pod Sewastopolem z Moskalami. Znalazłem się w największym zgiełku bitewnym i właśnie podniosłem ramię...

Ifra nie dokończył opowiadania, gdyż mój koń nie mógł znieść zapachu osła. Rih parskła gniewnie, jeżył grzywę i chciał ugryźć osła. Osioł, broniąc się przed ugryzieniem, stanął dęba, zrobił pół obrotu w bok i pognął przed siebie. Pędził przed nami na przełaj, nie po zwałając się jeźdźcowi zatrzymać. Gruby pisarz -ledwie mógł się utrzymać na grzbiecie zwierzęcia. Wkrótce osioł wraz z jeźdźcem znikli nam z oczu.

— Tak się zawsze dzieje! — poinformował onbaszy Halefa.

— Musimy jechać za nim — stwierdził Halef. — W przeciwnym razie go zgubimy.

— Jego? — zaśmiał się Arnaut. — Nie byłoby go szkoda. Lecz nie martw się o niego! Już tysiąc razy mu się przytrafiło, że osioł go poniósł i zawsze się odnalazł.

— No to dlaczego buluk emini jeździ na tym zwierzęciu? — Bo musi.

— Musi? Dlaczego?

— Jusbaszy sobie tego życzy. Ifra i jego osioł sprawiają mu ogromną uciechę.

Kiedy znaleźliśmy się między Kujundżikiem a klasztorem Świętego Jerzego, zobaczyliśmy buluka emini na osle przed nami. Gdy podjeżdżałem, zawołał:

— Efendi, sądziłeś może, że osioł poniósł?

— Oczywiście.

— Mylisz się, efendi! Wysforowałem się tylko naprzód, żeby zbadać drogę, którą pojedziemy. Czy obierzemy drogę wzdłuż rzeki Khausser, czy też drogę zazwyczaj używaną?

— Zostaniemy na drodze najbardziej uczęszczanej.

— Pozwól więc, że swoją przygodę opowiem ci później. Teraz posłużę wam za przewodnika.

Ifra wysunął się na czoło naszej grupy. Rzeczek Khausser wypływa z północnych krańców góry Maklub i płynąc w kierunku Mosulu nawadnia po drodze grunty licznych wiosek. Przecięliśmy tę rzeczkę, przeprawiając się przez mały most i jechaliśmy potem stale wzdłuż jej lewego brzegu. Ruiny i wioska Khorsabad, gdzie chcieliśmy spotkać się z szejkiem Mohammedem Eminem, znajdują się mniej więcej siedem godzin drogi na północ od Mosulu. Grunty w tej okolicy to przeważnie gleby marszowe, nad którymi unoszą się trujące opary. Spieszyliśmy się, by jak najprędzej znaleźć się u celu podróży. Mieliśmy chyba jeszcze dobrą godzinę drogi przed sobą, kiedy zauważyliśmy jadący **nam** naprzeciw oddział jeźdźców, składający się mniej więcej z pięćdziesięciu Arnautów. Na przedzie jechało kilku oficerów, a pośrodku oddziału spostrzegłem biały ubiór Araba. Zbliżywszy się, poznałem w nim Mohammeda Emina.

Biada! Wpadł w ręce tych ludzi, on, wróg paszy, który już pojmał Amada el Ghandura i osadził go w twierdzy Amadije. Przede wszystkim musiałem się dowiedzieć, czy, szejk się bronił. Szybkim wzrokiem obrzuciłem Arnautów, lecz nie zauważyłem wśród nich ani jednego rannego. Czyżby go zaskoczono zniemacka? Musiałem zrobić wszystko, żeby go uwolnić od tego niebezpiecznego towarzystwa. Stałem więc pośrodku drogi i czekałem, aż grupa jeźdźców zbliży się.

Towarzyszący mi żołnierze zsiadli z koni i ulokowali się na skraju drogi. Halef i ja pozostaliśmy w siodłach. Przywódca nadjeżdżających Arnautów odłączył się od swego oddziału i ostrym kłusem wyjechał nam naprzeciw. Tuż przede mną osadził konia i nie darząc nawet spojrzeniem moich ludzi, siedzących przy drodze, zapytał:

— Es selam 'alejkum! Kim jesteś?

— Alejkum es selam! Jestem efendi z Zachodu.

— Z jakiego plemienia?

— Z narodu Alemanów.

— Dokąd się wybierasz? — Na Wschód.

— Człowieku, odpowiadasz zbyt lakonicznie. Czy wiesz, kim jestem?

— Widzę.

— Więc odpowiadaj należycie! Jakim prawem tędy podróżujesz?

— Tym samym, co ty!

— Wallahi — na Boga, jesteś bardzo śmiały! Jadę tędy z rozkazu namiestnika Mosulu. To chyba jasne.

— A ja jadę tędy z rozkazu namiestnika Mosulu i padyszacha Konstantynopola. To chyba jasne.

Oficer rozwarł trochę bardziej oczy i rozkazał:

— Udowodnij to!

— Proszę!

Podałem mu swoje dokumenty. Rozłożył je zgodnie z przepisanyymi formalnościami i czytał. Złożył je potem starannie i oddając mi je, powiedział uprzejmie:

— Sam jesteś winien, że mówiłem do ciebie ostro. Widziałeś kim jestem i powinieneś mi udzielać odpowiedzi należycie.

— Ty sam ponosisz winę, że tak nie było — odrzekłem. — Widziałeś towarzyszący mi orszak, co dowodzi, że cieszę się przyjaźnią namiestnika i winienez stawiać pytania bardziej uprzejmie! Pozdrów ode mnie twójgo pana wielokrotnie! Życzę dobrego dnia!

— Wykonam twoje polecenie, efendi!

Odwróciłem się i odjechałem. Postanowiłem coś zrobić, żeby pomóc Mohammedowi Eminowi w pozbyciu się eskortujących go żołnierzy, lecz już na początku rozmowy z oficerem zauważyłem, że moje starania były niepotrzebne. Żołnierze, pilnujący Mohammeda Emina, pozostali nieco w tyle i zwracali większą uwagę na mnie niż na uwięzionego. Mohammed Emin natychmiast skorzystał z tej okoliczności. Miał tylko lekko związane ręce i siedział na chabcie. W ostatnim szeregu oddziału prowadzono jego wspaniałego wierzchowca, do siodła którego przytroczona była cała broń Araba. Spostrzegłem, że szejkowi udało się uwolnić ręce z więzów i właśnie, kiedy kończyłem rozmowę z oficerem, skoczył na grzbiet swojej szkapy.

— Halefie, uważaj! — szepnąłem małemu Hadziem, który tak samo jak ja wszystko uważnie obserwował.

— Między nich i szejka, sihdi! — odpowiedział również szeptem, zrozumiał bowiem natychmiast, co miałem na myśli. Teraz szejk Haddedihnów odważył się na kilka śmiałych skoków z grzbietu na grzbiet stojących za nim koni, których jeźdźcy nie spodziewali się takiej zuchwałości, i zanim go mogli pochwycić, dotarł do swojego wyścigowego konia, ulokował się w siodle, wyrwał cugle z ręki tego, który rumaka prowadził, i pognął w bok, nie drogą w górę lub w dół, lecz wprost ku rzeczce.

Zaskoczeni Arnaucci, wydali gromkie okrzyki zdumienia i złości.

— Twój więzień ucieka — zawołałem do dowódcy oddziału. — Szybko za nim!

Równocześnie zawróciłem konia i pogalopowałem za uciekającym szejkiem. Halef pędził tuż przy mnie.

— Nie tak blisko, Halefie. Więcej odstępów! — ostrzegłem go. — Jedź tak, żeby nie mogli strzelać, nie trafiając nas. Wtedy nie użyją broni.

Rozpoczęła się dzika pogoń. Na szczęście, ścigający myśleli z początku tylko o tym, żeby dogonić Mohammeda Emina, a kiedy się zorientowali, że jego wierzchowiec jest szybszy od ich koni i sięgnęli po broń, on uzyskał już znaczną przewagę. Poza tym trudno im było korzystać z broni palnej, gdyż ja i Halef nie galopowaliśmy w linii prostej przed siebie, lecz zygzakowato. Zadawałem sobie przy tym wiele truci, żeby pozorować płochliwość mojego rumaka. Mój koń zatem to zwalniał, to stawał dęba, to pędził przed siebie jak szalony, to stojąc na tylnych nogach obracał się wokół własnej osi, odbiegał nagle w prawo lub w lewo, a potem znów ostrym skretem zawracał we właściwym kierunku. Halef wyprawiał ze swym koniem podobne sztuczki, tak że goniący uciekiniera żołnierze nie mogli użyć broni w obawie, żeby nas nie postrzelić.

Szejk Haddedihnów odważnie wjechał na swym koniu w nurt rzeczki Khausser. Przedostał się szczęśliwie na jej drugi brzeg. Ja i Halef także. Zanim naszym prześladowcom udało się zrobić to samo, uzyskaliśmy znaczną przewagę czasu i przestrzeni. Pędziliśmy na naszych rączych koniach ciągle naprzód na północny zachód i po mniej więcej dwugodzinnej jeździe znaleźliśmy się na drodze, prowadzącej z Mosulu przez Tell Kef do Rabban-Hormusd i przebiegającej równolegle do drogi, którą uprzednio podążając, chcieliśmy osiągnąć Khorsabad, Dzerraije i Baadri. Dopiero tutaj Haddedihn wstrzymał swego rumaka. Zobaczył tylko nas dwóch, gdyż reszta pozostała daleko za nami.

— Chwała Bogu! — zawołał. — Efendi, dziękuję ci, że uniemożliwiłeś żołnierzom strzelanie. Co teraz zrobimy, żeby zgubili nasz ślad?

— W jaki sposób znalazłeś się w ich ręku, szejku? — spytał Halef.

— Szejk opowie nam o tym później — wtrąciłem się. — Teraz nie ma na to czasu. Mohammedzie Eminie, czy znasz bagnisty teren między Tygrysem a górami Maklub?

— Jechałem kiedyś, konno z miejscowości Baaszeika i Baasani przez Ras ul Ain do Dehuk.

— Czy te bagna są niebezpieczne?

— Nie.

— Czy widzisz tam, na północnym wschodzie, owo wzniesienie, które dałoby się może osiągnąć w trzech godzinach?

— Widzę.

— Tam ponownie się spotkamy, bo teraz musimy się rozstać. Nie możemy jechać drogą, gdyż łatwo by nas spostrzeżono i domyślano by się kierunku, w którym zmierzamy. Musimy jechać przez bagna, i to pojedynczo, ażeby nasi prześladowcy, gdyby jednak tu dojechali, nie mogli się zorientować, którym śladem winni podążać.

— A nasi Arnauci i żołnierze, sihdi? — spytał Halef.

— Ci nas teraz nic nie obchodzą. W ogóle bardziej by nam przeszkadzali, niż pomogli; nie zapewnią mi większej ochrony niż moje paszporty i listy. Halefie, zboczysz tutaj i obierzesz kierunek południowy. Ja pogalopuję środkiem, a szejk na północ. Musimy zachować przynajmniej półgodzinny dystans między sobą.

Rozłączyliśmy się więc. Ja zboczyłem z bitej drogi, obierając grunt bagnisty, po którym można było jednak jechać. Towarzysze zniknęli rai z oczu, a ja podążałem samotnie do celu, który sobie wytknęliśmy.

Już od kilku dni znajdowałem się w stanie psychicznego napięcia, jakiego od dawna u siebie nie

zaobserwowałem. Wpływał na to krajobraz, jaki się rozpościerał przede mną. Nie ma kraju na świecie, którego ziemia kryje tak liczne i głębokie zagadki, jak grunt, w który teraz zagłębiały się kopyta mego konia. Pominąwszy ruiny państwa asyryjskiego i babilońskiego, widoczne tu na każdym kroku, oczom moim ukazały się góry, których stoki i doliny zamieszkują ludzie, o dających się z wielką trudnością ustalić narodowościach i wyznający różne religie. Mieszkają tu: gasciele światła, czciciele ognia, czciciele szatana, nestorianie, Chaldejczycy, nahumici, sunnici, szyici, mutacylici, wahhabici, Arabowie, Żydzi, Turcy, Armeńczycy, Syryjczycy, Druzowie, Manonici, Kurdowie, Persowie, Turkmeni. Co krok można napotkać członków tych narodowości, plemion i sekt religijnych. Ileż więc błędów i uchybień może popełnić ktoś obcy, przejeżdżający przez to terytorium! Te góry dziś jeszcze dymią krwią tych, którzy padli ofiarą nienawiści między narodowościami, najdzikszego fanatyzmu religijnego, żądy podbojów, politycznego wiarołomstwa, łupiestwa i wendety. Tu mieszkania ludzkie zawieszono w pieczarach i szczelinach skalnych, jak gniazda sępów, zawsze skorych rzucić się na nic nie podejrzewającą zdobycz. Tu ucisk i bezwzględny wyzysk wytworzyły zawzięte rozgoryczenie, które już nie pozwala odróżnić przyjaciela od wroga, a pojednawcze słowa miłości, głoszone przez chrześcijańskich misjonarzy, rozwiały się jak plewy na wietrze. Choć amerykańscy głosiciele słowa Bożego mówią tu o sukcesach — mogą to być tylko sukcesy pozorne, gdyż gleba nie została przygotowana na przyjęcie ziarna gorczycznego. Choćby różni misjonarze robili wszystko, co możliwe, w górach Kurdystanu zlewają się najbardziej nieprzyjazne strumienie w jedną kipiącą toń, która uspokoić się może dopiero wówczas, kiedy jakiejś potężnej pięści uda się zdruzgotać rafy, które ten odmęt tworzą, pohamować nienawiść i położyć kros wstrętnemu, podstępному szachrowaniu ludzką krwią. Wtedy dopiero otworzą się drogi dla tych, którzy głoszą pokój i zbawienie. Wówczas żaden z mieszkańców tych gór nie będzie już mógł powiedzieć: „Stałem się chrześcijaninem, gdyż w przeciwnym razie aga wymierzyłby mi karę bastonady”. A ten aga był w całym znaczeniu tego słowa muzułmaninem, surowym wyznawcą islamu!

Góra przybliżała się, lub raczej ja zbliżałem się do niej. Grunt był co prawda pulchny i wilgotny, lecz tylko w niewielu miejscach kopyta końskie grzęzły w nim głębiej. Wreszcie wjechałem na suche podłoże. Strefa oparów Tygrysu pozostała już za mną. Ujrzałem teraz w pewnej odległości, po prawej stronie, jeźdźca, w którym rozpoznałem Halefa i zrównałem się z nim niebawem.

— Czy napotkałeś kogoś w drodze?

— Nie, sihdi.

— Czy nikt cię nie widział?

— Nikt. Natomiast daleko stąd na po ludnie, na drodze, z której zjechaliśmy, widziałem, że ktoś biegł, ciągnąc za sobą konia. Nie udało mi się jednak rozpoznać sylwetki.

— Czy poznajesz tego tam? — spytałem, wskazując na północ.

— Och, sihdi, to przecież nikt inny, jak szejek we własnej osobie!

— Tak, to Mohammed Emin. W dziesięć minut zrówna się z nami. Tak też było. Haddedihi nadjechał z wielką szybkością.

— Co zrobimy teraz, efendi? — zapytał.

— To zależy od tego, czego się dowiedziałeś — odparłem. — Czy ktoś cię widział?

— Nie. Tylko jakiś owczarz dość daleko ode mnie pędził swoją trzodę.

— Jak cię właściwie uwięziono?

— Umówiłeś się ze mną pod ruinami Khorsabadu. Do dzisiejszego ranka ukrywałem się po stronie południowej, potem jednak przybliżyłem się do drogi, żeby widzieć, jak będziesz nadjeżdżał. Tam zauważyli mnie żołnierze i otoczyli. Nie mogłem się bronić, gdyż było ich za dużo. Nie wiem, dlaczego wzięli mnie do niewoli.



— Czy pytali cię, jak się nazywałeś i z jakiego jesteś plemienia?

— Tak, lecz podałem im fałszywe dane.

— Ci ludzie nie są doświadczeni. Arab byłby cię rozpoznał po tatuażu. Wzięli cię do niewoli, ponieważ w ruinach Kujundżiku stacjonują oddziały wojska paszy, które mają wyruszyć przeciwko Szammarom.

Mohammed Emin przestraszył się:

— Przeciwko Szammarom? Niech nam Allah pomoże! Muszę więc natychmiast zawrócić.

— To nie jest konieczne. Znam plany namiestnika. Wyprawa przeciwko Szammarom jest na razie tylko pretekstem do koncentracji wojska. Namiestnik chce wpierw napaść na jezydów. Żeby uspić ich czujność, rozgłasza, że wybiera się przeciwko Szammarom. Później oczywiście ma zamiar napaść również na was.

— Czy wiesz to na pewno?

— Na pewno, gdyż rozmawiałem z Szekibem Halilem osobiście. Mam do niego wrócić i wysledzić, gdzie znajdują się pastwiska Szammarów.

— Jeśli jednak uwinie się z jezydami, skorzysta na pewno z okazji, żeby natychmiast wysłać wojsko przeciw Szammarom.

— Tak szybko pasza nie pokona jezydów, tego możesz być pewien. A wiosna trwa krótko. Nadejdą gorące dni, rośliny uschną i równina zamieni się w pustynię. Pasterze powędrują ze swoimi trzodami w góry Szammaru lub Sindżaru, a oddziały paszy musiałyby marnie zginąć, gdyby wówczas do was wtargnęły.

— Masz rację, efendi. Jedźmy więc spokojnie dalej. Nie znam jednak tej drogi.

— Na prawo prowadzi drogą do Ain Sifni — wyjaśniłem — a droga na lewo wiedzie do Dżerraije i Baadri. Aż do Baadri nikt nas nie śmie zobaczyć i dlatego wskazane jest, żebyśmy się trzymali ciągle brzegu rzeczki Khausser. Z chwilą, kiedy miniemy Dżerraije, nie będziemy się już musieli ukrywać.

— Jak daleko jest do Baadri?

— Stąd trzy godziny drogi.

— Efendi, jesteś z dalekiego kraju, a znasz tę okolicę lepiej ode mnie!

— Nie ma w tym nic dziwnego. Udajemy się do Amadije, rozpytałem się więc dokładnie o okolicę, przez którą musimy jechać. To wszystko. Teraz jednak naprzód!

Choć obydwie drogi, których chcieliśmy unikać, były oddalone od siebie zaledwie o pół godziny, nikt nas nie zauważył. Kiedy bowiem ujrzeliśmy ludzi po prawej stronie, zjeżdżaliśmy na lewo, a kiedy widzieliśmy ludzi z lewej strony, kierowaliśmy się w prawo. Wielkie usługi oddawała mi przy tym moja luneta i tylko jej mieliśmy do zawdzięczenia, że ujrawszy wreszcie Baadri, mogliśmy się czuć bezpiecznie.

Byliśmy już prawie dziesięć godzin w siodle i dlatego bardzo zmęczeni, kiedy dojechaliśmy do pagórków, u stóp których leżała wioska, będąca miejscem zamieszkania duchownego zwierzchnika czcicieli szatana, jak również świeckiego naczelnika plemienia. Pierwszego człowieka, którego napotkałem, spytałem po krótkim pozdrowieniu o nazwisko beja. Popatrzył na mnie zakłopotany. Zapomniałem, że jezydzi przeważnie nie mówią po arabsku.

— Beyin ady ne — jak się nazywa wasz bej? — spytałem po turecku.

— Ali bej — odpowiedział zapytany.

— Nerde orturior — gdzie mieszka?

— Gól, seni gótiririm — chodź, zaprowadzę cię do niego. Jezyda towarzyszył nam do budynku, zbudowanego z kamieni.

— Icerde torior — tu mieszka — powiedział i oddalił się.

Wioska tętniła życiem. Poza domami i chatami zauważyłem także liczne namioty, przed którymi uwiązane były konie i osły. Pomiędzy namiotami uwijało się mnóstwo ludzi. Było ich tak wielu i tak byli zajęci, że nikt z nich nie zauważył nawet naszego przybycia.

— Sihdi, spojrzij tu! — rzekł Halef. — Czy znasz to zwierzę? Wskazał na osła, uwiązanego przy wejściu do domu. Dalibóg, był to osioł naszego grubego buluka emini! Zsiadłem z konia i wszedłem do domu. Uszu moich doszedł cienki falset dzielnego Ifry:

— I ty mi naprawdę nie chcesz dać innego mieszkania?

— Nie mam innego — zabrzmiała sucha odpowiedź.

— Jesteś kjaja i musisz mi się postarać o mieszkanie.

— Powiedziałem ci już, że żadnego innego nie mam. W Baadri jest dużo pielgrzymów; nie ma już wolnego miejsca. Dlaczego twój efendi nie zabrał ze sobą namiotu?

— Mój efendi? Mój efendi jest emirem, wielkim bejem, sławniejszym od wszystkich waszych książąt.

— Gdzież on jest?

— Emir wkrótce przybędzie. Chce wpierw schwycić więźnia. — Schwycić więźnia? Czyś oszalał?

— Więźnia, który uciekł.

— Ach tak!

— Mój efendi ma przy sobie ferman, wydany przez sułtana i drugi, dany mu przez mutesarryfa wraz z licznymi listami, a tu jest także moje zaświadczenie.

— Niech twój pan sam przyjdzie!

— Co? Mój pan posiada diszparassi, a ty żądasz, żeby sam przyszedł? Chcę mówić z szejkiem.

— Jego tu nie ma.

— To porozmawiam z bejem. .

— Wejdz do niego!

— Owszem, wejdę. Jestem pisarzem sułtana, pensja moja wynosi trzydzieści pięć piastrów miesięcznie i żadnego sołtysa bać się nie potrzebuję. Czy słyszysz?

— Tak. Trzydzieści pięć piastrów miesięcznie! — powtórzył kjaja niemal wesoło. — A co otrzymujesz poza tym?

— Co jeszcze? Zaraz ci powiem. Dwa funty chleba, siedemnaście lotów mięsa, trzy loty masła, pięć lotów ryżu, jeden lot soli i półtora lota przypraw kulinarnych dziennie, poza tym mydło, olej i czernidło do butów. Rozumiesz? A jeśli się śmiejesz z mojego nosa, którego już nie posiadam, to opowiem ci, w jaki sposób go utraciłem. Było to wówczas, kiedy staliśmy pod Sewastopolem. Znalazłem się pod gradem kul i...

— Nie mam czasu słuchać twojego opowiadania. Czy mam powiedzieć bejowi, że chcesz z nim rozmawiać?

— Tak, powiedz mu! Nie zapomnij jednak nadmieniść, że nie dam się odprawić z kwitkiem!

Przedmiotem tej głośnej rozmowy była więc moja osoba. Wszedłem, a za mną Mohammed Emin i Halef. Kjaja miał właśnie otworzyć jakieś drzwi, odwrócił się jednak, słysząc, że wchodzimy.

— Oto emir we własnej osobie! — rzekł Ifra. — On ci pokaże, że masz go słuchać.

Zwróciłem się wpierw do buluka emini.

— Ty tutaj? Jak znalazłeś się sam w Baadri?

Tym pytaniem wprowadziłem Ifrę w chwilowe zakłopotanie, zdobył się jednak na rezolutną odpowiedź:

— Czy nie powiedziałem ci, ekscelencjo, że pojedę przodem?

— Gdzie są wszyscy pozostali?

— Kalkmisz gitmisz — zniknęli, ulotnili się, przepadli!

— Dokąd się udali?

— Nie wiem, wasza wysokość.

— Musiałeś, przecież wiedzieć, w którym kierunku się oddalili!

— Widziałem niewiele. Kiedy jeniec uciekał, wszyscy popędzili za nim; moi ludzie i Arnauci także.

— A dlaczego ty go nie ścigałeś?

— Benim eszek — mój osioł nie chciał biec ze wszystkimi, o panie. A poza tym musiałem przecież udać się do Baadri; żeby ci przygotować kwaterę.

— Czy przyjrzałeś się dokładnie uciekającemu jeńcowi?

— Jak to mogłem zrobić? Leżałem przecież z twarzą zwróconą do ziemi, a kiedy się podniosłem, aby podążyć za ścigającymi go, znikł mi z pola widzenia.

Ta odpowiedź mnie uspokoiła, dawała bowiem gwarancję, że buluk emini nie zna Mohammeda Emina.

— Czy pozostali wkrótce nadejdą?

— Któż to raczy wiedzieć! Niezbadana jest wola Allaha. Prowadzi on wiernych tu i tam, na prawo i na lewo, jak mu się podoba, gdyż drogi ludzkie wytyczone są w księdze opatrności.

— Czy Ali bej jest tutaj? — spytałem naczelnika.

— Tak. Bu kapunun iczinde — za tymi drzwiami!

— Powiedz mu, że chcemy z nim mówić!

Kiedy naczelnik udał się do drugiego pomieszczenia, Ifra szturchną! Halefa w bok i spytał cicho, spozierając na Mohammeda Emina:

— Kim jest ten Arab?

— Szejkiem.

Szejkie Skąd przybywa?

— Spotkaliśmy go po drodze. Jest przyjacielem mojego pana i pozostanie teraz z nami,

— Czok baksziszler werirmi — czy daje dużo napiwków?

— Bu kadar — tyle! — odparł Halef, pokazując wszystkie dziesięć palców.

To zadowoliło poczciwego buluka emini, jak można było wnioskować z promiennego wyrazu jego twarzy. Tymczasem wrócił naczelnik. Razem z nim wyszedł do nas młodzieniec, uderzająco pięknej postaci. Był wysoki i szczupły, miał regularne rysy twarzy i promienne oczy. Ubrany był następująco: wyszywane szarawary, ładny kaftan. Jego głowę nakrywał turban, spod którego wymykały się wspaniałe loki. Za jego pasem tkwił kindżał, o artystycznie zdobionej rękojeści.

— Chosz geldin — witam was! — powiedział, podając rękę najpierw mnie, potem kolejno szejkowi i Halefowi. Pisarza zdawał się wcale nie zauważać.

— Af 'bujurun, sultanum — wybacz mi, panie, że przestąpiłem próg twego domu — odpowiedziałem. — Wieczór zapada, i chciałem cię zapytać, czy na twoim terenie znajdzie się miejsce, gdzie byśmy mogli przenocować.

Bej przyjrzał mi się uważnie i odrzekł:

— Nie wypada pytać podróżnego skąd i dokąd idzie. Ale mój kjaja powiedział mi, że jesteś emirem.

— Nie jestem emirem. W ogóle nie jestem Arabem ani Turkiem, lecz Alamanem z dalekiego Zachodu.

— Jesteś Niemcem? Nie znam tego narodu i nie widziałem jeszcze żadnego z jego synów. Słyszałem jednak o pewnym Niemcu, którego bym chętnie poznał.

— Czy mogę spytać, dlaczego?

— Ponieważ trzech moich wojowników zawdzięcza mu życie. Wybawił ich z okropnej niewoli i zawiózł do Haddediwnów.

— Czy są tutaj w Baadri?

— Tak.

— I nazywają się Pali, Selek i Melaf? Ali bej, zaskoczony, cofnął się o krok.

— Ty ich znasz?

— Tak. Nazywam się bowiem Kara ben Nems i jestem tym Niemcem, o którym mówisz. Ten człowiek, to Mohammed Emin, szejka Haddediwnów, a ten drugi to Hadzi Halef, mój towarzysz podróży.

— Czy to możliwe? Co za niespodzianka! Seni kudsaklajim — muszę cię uścisnąć!

Ali bej przyciągnął mnie do siebie i ucałował w oba policzki; tak samo zachował się wobec Mohammeda. Halefa. także uścisnął, nie obdarzył go tylko pocałunkiem. Potem uchwycił moją rękę.

— Czelebig, munassib geldin — panie, przybywasz w samą porę. Obchodzimy wielkie święto, w którym na ogół obcy nie biorą udziału, ciebie jednak zapraszamy, żebyś się cieszył z nami, Pozostań tu przez cały czas trwania uroczystości, a także jak najdłużej po ich zakończeniu.

— Zostanę, jeśli to będzie po myśli szejka Mohammeda Ernina. Musisz wiedzieć, że gna go naprzód niepokój ojcowskiego serca, o czym ci jeszcze opowiemy.

— Wiem o tym. Ale pomimo to proszę was, żebyście się u nas zatrzymali. Mój dom jest waszym domem i mój chleb jest waszym chlebem. Bądźcie mi braćmi.

Wchodząc do domu, postyszałem słowa Ifry, wypowiedane do naczelnika:

— Czy słyszałeś, stary, jakim sławnym emirem jest mój elendi? Zasluguję więc również na twój szacunek!

Komnata, do której nas wprowadzono, była umeblowana z prostotą. Szejkowi i mnie wskazano miejsca obok Alego beja. Trzymał mnie jeszcze ciągle za rękę i przypatrywał mi się ponownie z uwagą.

— Więc to ty jesteś tym człowiekiem, który pobił wrogów plemienia Haddediwnów...!

— Czy chcesz, żebym się zarumienił?

— ...i który nocą bez niczyjej pomocy zabił lwa? Chciałbym być do ciebie podobny. Czy jesteś chrześcijaninem?

— Tak.

— Chrześcijan cechuje większa moc charakteru niż wyznawców innych religii. Ale ja też jestem chrześcijaninem.

— Czy jezydzi są chrześcijanami?

— Właściwie tak i nie. Ze wszystkich religii wybrali to, co najlepsze...

— Czy. wiesz to na pewno? Ali bej ściągnął brwi.

— Pozwól sobie powiedzieć, efendi, że w tych górach nie może panować jedna religia, bo nasz naród jest podzielony, nasze plemiona są rozbite, a nasze serca rozdarte. Dobra religia musi głosić miłość bliźniego. Lecz dobrowolna, z serca płynąca miłość nie może się u nas zakorzenić, gdyż gleba jest przepojona nienawiścią, żądzą zemsty, zdradą i okrucieństwem. Gdyby to było w mojej mocy, głosiłbym miłość nie słowem, lecz z mieczem w dłoni; gdyż tam, gdzie mają rosnać szlachetne rośliny, trzeba wpierw wyplenić chwasty. A może sądzisz, że słowo Boże jest w stanie przemienić trujące ziele w piękny goździk? Ogrodnik może co prawda nadać trującej roślinie piękny kształt i

barwę, lecz złośliwa trucizna pozostanie ukryta we wnętrzu kwiatu i działać będzie nadal. I powiadam ci, mowa mojego miecza przekształciłaby wilki w owieczki. Kto by sobie tę mowę wziął do serca, byłby szczęśliwy; a kto by się jej przeciwstawił, tego bym unicestwił. Potem dopiero mógłbym schować miecz do pochwy i wrócić do swojego namiotu, aby się cieszyć z dokonanego dzieła. Miłość, gdy raz zatryumfuje, to zgodnie z tym, co głosi święta księga chrześcijan — nie kończy się nigdy!

Oczy Alego beja błyszczały, na policzki wystąpiły mu rumieńce, a jego głos płynął z głębi serca. Ali bej był nie tylko pięknym, lecz także, szlachetnym mężczyzną. Znał smutną sytuację swego kraju i miał być może zadatki na narodowego bohatera.

— Sądysz więc, że chrześcijańscy misjonarze, przybywający z daleka, nie są tutaj w stanie nic zdziałać? — spytałem.

— Tak sędzę — odrzekł Ali bej z powagą. — My, jezydzi znamy waszą świętą księgę. Napisano w niej: „Chudanyń ssossi czekidźdir, kajalari eser — słowo Boże jest młotem, który kruszy skały”. Czy możesz jednak za pomocą młota zniszczyć wodę? Czy możesz młotem rozproszyć wyziewy, unoszące się z bagna i zabijające życie? Zapytaj misjonarzy, którzy tu przybyli z Ameryki! Nauczali i pięknie mówili; rozdawali i sprzedawali wspaniałe rzeczy; drukowali nawet pisma i książki. Ludzie słuchali, przyjmowali podarunki, dawali się ochrzcić, a potem znów, jak poprzednio uprawiali rabunek, złodziejstwo i mord. Święta księga została wydrukowana w naszym języku, lecz nikt tutaj nie umie pisać ani czytać. Czy sądzisz, że pobożni mężowie powinni nas byli nauczyć pisania i czytania? Naszym piórem może być teraz tylko ostra stal. Patrzysz na mnie ze zdziwieniem i jesteś przekonany, że pokój jest lepszy od wojny, a łopata lepsza od maczugi. Podzielam twoje zdanie. Czy możesz sobie jednak wyobrazić pokój, którego nie trzeba by zdobywać za pomocą miecza? Czy nie musimy tu wprawdzie używać pałek, by móc później pracować łopatami? Przypatrz się sobie, właśnie sobie! Nosisz przy sobie wiele broni, lepszej od naszej. Dlaczego ją nosisz? Czy w Almanni także tak się obwieszasz bronią, wyruszając w podróż po kraju?

— Nie — musiałem mu przyznać rację.

— No widzisz! Możesz chodzić do kościoła i bez obawy modlić się do Allaha. Możecie usiąść przy nauczycielu i spokojnie słuchać jego nauki. Możecie czcić rodziców bez strachu wychowywać dzieci. Żyjecie bez lęku w ziemskim raju, gdyż głowa waszego węża została zdeptana. My natomiast czekamy jeszcze na bohatera, który ma uciszyć „krzyk w górach”, o czym mowa jest w waszej księdze. A ja ci mówię, że ten bohater jeszcze się zjawi. Nie będzie to Rosjanin, ani Anglik, ani Turek, który nas wyzyskuje, i nie Pers, który nas tak uprzejmie okłamuje i oszukuje. Sądziliśmy kiedyś, że będzie to Bonaparte, ów wielki szach Francuzów. Teraz jednak wiemy, że lew nie powinien oczekiwać pomocy od orła, gdyż ich światy są zupełnie różne. Czy słyszałeś może, co wycierpieli jezydzi?

— Tak.

— Żyliśmy w pokoju i zgodzie na równinie, rozciągającej się u stóp gór Sindzar, zostaliśmy jednak stamtąd przepędzeni przez ciemnych. Było to wiosną. Rzeka wylała i most został przez wodę zerwany. Nasi starcy, kobiety i dzieci leżeli pod Mosulem nad rzeką. Wpędzano ludzi w huczące fale rzeki lub zabijano jak dzikie zwierzęta, a na wzniesieniach w mieście stali mieszkańcy Mosulu i radowali się widokiem naszego nieszczęścia. Ci z nas, którzy przeżyli, nie mieli gdzie złożyć głowy. Udawali się w góry Maklubu, do Buhtanu, Szejkhanu, Missuri, do Syrii i przekraczali nawet granicę rosyjską. Tam znaleźli sobie nową ojczyznę, tam pracują i na widok ich mieszkań, odzieży, zadbanych ogrodów i pól, to aż serce rośnie, panuje bowiem u nich pilność, porządek i czystość, podczas gdy wokół widać tylko brud i lenistwo. Gospodarność naszych ludzi przywabia

jednak leniuchów i kiedy im potrzeba pieniędzy, napadają na nas, rabując i niszcząc nasze szczęście. Za trzy dni obchodzić będziemy uroczystość na cześć naszego wielkiego Świętego. Od wielu lat nie mogliśmy obchodzić tego święta, ponieważ pielgrzymujący do Szeik Adi byliby narażeni na utratę życia. W tym roku jednak, zdaje się, że nasi wrogowie mają zamiar zachowywać się spokojnie; tak więc po długim czasie będziemy znów mogli uczcić naszego Świętego. Czelebim, munassib geldin — zjawiłeś się u nas we właściwym czasie, panie. Co prawda nie lubimy obcych podczas obchodów naszych świąt; ty jednakże jesteś dobroczyńcą moich współplemieńców i będziemy ci radzi.

Nie mogło być nic przyjemniejszego dla mnie od tego zaproszenia, dawało mi bowiem okazję, aby poznać zwyczaje i obyczaje zagadkowych czcicieli szatana. Opowiadano mi o nich nieprawdopodobne historie, a ja ujrzałem ich w zupełnie innym świetle. Zaprzagnąłem się więc przekonać, jacy są naprawdę.

— Dziękuję ci za twoje miłe zaproszenie! — odparłem. — Chętnie zabawiłbym u ciebie dłużej, musimy jednak wykonać pewne zadanie, które wymaga jak najspiesniejszego opuszczenia Baadri.

— Znam to zadanie — odpowiedział Ali bej. — Mimo to możesz wziąć udział w naszym święcie.

— Znasz zadanie, które mamy do spełnienia?

— Tak. Chcecie się dostać do Amada el Ghandura, syna szejka Mohammeda Emina. Amad el Ghandur znajduje się w Amadije.

— Skąd' wiesz o tym?

— Od tych trzech, których uratowałeś. Teraz go jednak nie będziecie mogli uwolnić.

— Dlaczego?

— Zdaje się, że namiestnik Mosulu obawia się najazdu wschodnich Kurdów; ściąga więc do Amadije liczne oddziały wojska, których część przybyła już do fortecy.

— Ile oddziałów już się tam znajduje?

— Dwa oddziały liczące dwustu żołnierzy z szóstego pułku piechoty Anatolii Ordussu z Diarbekr i trzy oddziały, a więc trzystu żołnierzy, z trzeciego pułku piechoty Irak Ordussu z Kerkuku; razem pięciuset żołnierzy.

— A do Amadije jedzie się stąd dwanaście godzin?

— Tak. Jednak drogi są tak złe, że w ciągu jednego dnia nie można tam dotrzeć. Zazwyczaj nocuje się w Kheloki lub Spinduri i dopiero rankiem przejeżdża się strome, trudne do przebycia góry Ghara, za którymi rozciąga się równina i wznosi się skalny stożek, na którym leży Amadije.

— Jakie oddziały stacjonują w Mosulu?

— Cześć drugiego pułku dragonów oraz część czwartego pułku piechoty dywizji irackiej. Te wojska już także ruszyły. Jeden oddział, ma być użyty przeciwko Beduinom, a drugi ma przejść góry, aby pomaszerować do Amadije.

— Jak liczny jest ten drugi oddział?

— Składa się z tysiąca żołnierzy pod dowództwem mirałaja, do którego przydzielony jest też ałaj emini.

— Mirałaja znam. Zabił niegdyś żonę i obydwóch synów pira Kameka. Nazywa się Omar Amed.

— Czy wiesz, gdzie koncentruje się wojsko?

— Oddziały, które mają zaatakować Beduinów, ukryte są w ruinach Kujundziku. Moi wywiadowcy poinformowali mnie, że te oddziały już pojutrze wyruszają. Reszta wojska będzie dopiero później gotowa do wymarszu.

— Sądzę, że twoi wywiadowcy źle cię poinformowali.

— Dlaczego?

— Czy naprawdę wierzysz, że Szekib Halil pasza sprowadzi oddziały wojska aż z Diarbekru, żeby ich użyć przeciwko wschodnim Kurdom? Czy do tego nie byłby lepszy drugi pułk piechoty Irak Ordussu stacjonujący w Sulejmanije? A czy trzeci pułk w Kerkuku nie składa się przeważnie z Kurdów? Czy myślisz, że pasza popełni taki błąd i pośle trzystu z nich przeciwko członkom ich rodu?

Ali bej zamyślił się, a potem oznajmił:

— Mówisz rozsądnie, lecz cię nie rozumiem.

— Czy oddziały, znajdujące się w Kujundżiku, są wyposażone w armaty?

— Nie.

— Wyprawiając się na równinę, zabiera się ze sobą armaty. Wojska, nie posiadające dział, są więc na pewno przeznaczone do walk w górach.

— W takim razie mój wywiadowca pomylił się. Wojska, przebywające w ruinach, nie pójda przeciwko Beduinom, lecz pomaszerują do Amadije.

— Czy mają wyruszyć już pojutrze? A więc właśnie w dniu waszego wielkiego święta przybędą tu.

— Efendi!

Jezyda wymówił tylko to jedno słowo, lecz tonem największego przerażenia.

— Pomyśl, że miejscowość Szeik Adi nie jest dla wojska dostępna ani od zachodu, ani od wschodu, lecz tylko od południa i północy! — kontynuowałem swoje wywody. — Pod Mosulem, w odległości dziesięciu godzin drogi stąd na południe zbierze się oddział, liczący tysiąc ludzi, a w Amadije, w odległości dwunastu godzin drogi stąd na północ, zejdzie się pięciuset żołnierzy. Miejscowość Szeik Adi zostanie okrążona i nawet mysz się stamtąd nie wyśliznie.

— Czyżby pasza miał takie plany, efendi?

— A ty naprawdę sądzisz, że oddział liczący pięciuset żołnierzy wystarczyłby, żeby wtargnąć na terytorium Kurdów i zająć okolice Berwari, Buhtanu, Tijari, Khal, Hakkiari, Tura Ghara, Bos Dagħ i Szirwanu?

— Masz rację, wyprawa została przewidziana przeciwko nam.

— Teraz, kiedy dałeś się przekonać, że to jest prawdopodobne, przyjmij do wiadomości, iż wiem z ust samego namiestnika, że chce was napaść w Szeik Adi.

Opowiedziałem Alemu bejowi o rozmowie z Szekibem Halilem i o wszystkim, co pozwalało mi wywnioskować, że pasza planuje wyprawę przeciwko jezydom.

Kiedy skończyłem, Ali bej wstał, przeszedł się kilkakrotnie tam i z powrotem i oświadczył:

— Dziękuję ci, efendi, wszystkich nas uratowałeś! Gdyby nas nieoczekiwanie napadło tysiąc pięciuset żołnierzy, bylibyśmy zgubieni. Teraz jednak będzie mi nawet na rękę, jeśli się zjawią. Pasza z premedytacją uspił moją czujność, stwarzając pozory naszego bezpieczeństwa, aby nas skusić do pielgrzymki. Chytrze sobie wszystko obmyślił. Nie uwzględnił tylko jednej okoliczności, że myszy, które zamierza złapać, będą tak liczne, iż mogą zadusić koty. Byłoby wskazane na razie nikomu nie wspominać o tym, o czym mówiliśmy. Pozwól, że się na chwilę oddalę!

Ali bej wyszedł.

— Jak on ci się podoba? — spytał Mohammed Emin.

— Tak samo jak tobie.

— I to ma być czciciel szatana? — zapytał Halef. — Jezydę wyobrażałem sobie z paszczą wilka, oczami tygrysa i pazurami wampira.

— Czy nadal jeszcze obawiasz się, że przez kontakt z jezydami utracisz niebo? — spytałem z uśmiechem.

— Poczekaj jeszcze, sihdi! Słyszałem, że diabeł przybiera często piękną postać, aby tym pewniej

oszukać wiernego.

Wtem otwały się drzwi i wszedł mężczyzna, którego postać wszystkich urzekła. Jego odzież była promiennie biała i śnieżnobiałe były również jego włosy, opadające mu na plecy w długich kędziorach. Mógł mieć chyba osiemdziesiąt lat. Jego policzki" były zapadnięte, oczy były osadzone głęboko, lecz wzrok miał

miały i bystry, a sposób, w jaki wszedł i zamknął drzwi, świadczył o niemal młodzieńczej sprawności tego człowieka. Pełna, kruczoczarna broda, zwisająca mu aż do pasa, dziwnie kontrastowała z jego białą głową. Poderwaliśmy się z miejsc, dla uczczenia jego wieku. Skłonił się i pozdrowił dźwięcznym głosem:

— Guneszinis hicz ssónmessun — oby wasze słońce nigdy nie zgasło! — I zaraz dodał: — Hun be kurmandzi zanin — czy mówicie po kurdyjsku?

Pytanie to zostało wypowiedziane w kurdyjskim narzeczu kurmandzi i kiedy mimo woli zwlekałem z odpowiedzią, spytał:

— Szima zazadsza zani? — Było to to samo pytanie w narzeczu zaza. W języku kurdyjskim oba te narzecza są najważniejsze. Nie znałem ich wówczas jeszcze. Nie rozumiałem więc słów, lecz odgadłem ich sens. Odpowiedziałem zatem po turecku:

— Allah ebreket werssyn — oby Bóg udzielił błogosławieństwa. Sseni anlamais — nie rozumiemy cię. Ridsza ederim turkce ssójle — mów, proszę, po turecku.

Ustałem mu swojego miejsca, jak tego wymagał szacunek wobec jego wieku. Zapytał mnie:

— Alaman ssen-min-ssin — czy to ty jesteś tym Niemcem?

— Tak.

— Musaade et, sseni sodszaklajim — pozwól, że cię uścisknę! Stary uściskał mnie serdecznie, nie przyjął jednak zaoferowanego

mu przeze mnie miejsca, lecz usiadł tam, gdzie poprzednio siedział Ali bej.

— Nazywam się Kamek — przemówił do nas. — Ali bej przysyła mnie do was.

— Kamek? Bej wspomniał nam o tobie.

— Z jakiej okazji?

— Sprawiłoby ci ból, gdybyśmy ci o tym powiedzieli.

— Ból? Kamek nigdy nie odczuwa bólu. Wszelkiej, goryczy życia, jaką zdolne jest znieść ludzkie serce, zaznałem w jednej jedynej godzinie. Jakież by więc jeszcze mogło mnie spotkać cierpienie?

— Ali bej powiedział nam, że znasz miralaję Omara Ameda. Ani jeden mięsień nie drgnął w twarzy Kameka, a jego głos zabrzmiał całkiem spokojnie, kiedy odpowiedział:

— Znam go, lecz on mnie jeszcze nie zna. Zabił mi żonę i synów. Co z nim?

— Wybacz, Ali bej sam ci o wszystkim powie!

— Wiem, że mieliście na razie nie mówić o tej sprawie, lecz Ali bej nie ma przede mną tajemnic. Powtórzył mi, co powiedziałaś o zamiarach Turków. Czy naprawdę jesteś przekonany, że tu przyjdą, żeby zakłócić spokój i porządek w obchodzie naszego święta?

— Jestem tego pewien.

— Znajdą nas lepiej przygotowanych, niż wówczas, kiedy utraciłem swoją duszę. Czy masz żonę i dzieci?

— Nie.

— Toteż nie możesz zrozumieć, dlaczego żyję, a jednak dawno umarłem. Ale postaram się ci to wyjaśnić. Czy znasz Tell Afar?



— Czytałem o tej miejscowości.

— Gdzie?

— W opisach tego kraju, a także w... jesteś pirem, sławnym świętym jezydów. Znasz zapewne także świętą księgę chrześcijan?

— Mam jej część, zwaną Starym Testamentem, w języku tureckim.

— To zapewne czytałeś także księgę proroka Izajasza?

— Znam tę księgę. Izajasz jest pierwszym z szesnastu proroków.

— Poszukaj w tej księdze rozdziału trzydziestego siódmego. Wiersz dwunasty brzmi: „Czy bogowie narodów, które moi ojcowie zniszczyli, uratowali je? Gozan i Choran, i Resef, i Edomitów, którzy byli w Telassar?” Otóż Telassar, to obecne Tell Afar.

Kamek spojrział na mnie zdumiony.

— To z waszej świętej księgi znacie miasta naszego kraju, które istniały już przed wielu tysiącami lat?

— Tak.

— Wasza święta księga przewyższa Koran. Lecz posłuchaj! Mieszkałem w Mikranie, u stóp góry Sindzar, kiedy na nas napadli Turcy. Uciekłem z żoną i dwoma synami do Tell Afar, gdyż był to warowny gród i ja miałem tam przyjaciela, który mnie przyjął i ukrył. Lecz i tu wtargnęła szalejąca zgraja, aby pozabijać wszystkich jezydów, którzy się tu schronili. Znalezione moją kryjówkę i rozstrzelano mojego przyjaciela za jego miłosierdzie. Mnie, moją żonę i synów związano i wywleczono za miasto. Tam płonął już ogień, w którym mieliśmy znaleźć śmierć, i płynęła krew torturowanych. Jeden z oprawców, chcąc bym bardziej cierpiał, przebił mi policzki swoim nożem. Przypatrzył się bliźnim, które mi pozostały. Moi synowie byli odważnymi młodzieńcami. Widzieli moją mękę i rzucili się na mojego dręczyciela. Związano ich i tak samo postąpiono z ich matką. Obydwu synom odrąbano prawą rękę, zawleczono ich do ognia i wrzucono żywcem w płomienie. Żonę moją również spalono, a ja musiałem patrzeć na jej męczarnię. Potem żołdak wyrwał nóż z moich policzków i wbił mi go powoli w pierś. Kiedy się ocknąłem z omdlenia, była noc, a ja leżałem między trupami. Ostrze noża nie dosięgło mojego serca, lecz leżałem we własnej krwi. Pewien Chaldeczyk znalazł mnie rankiem i ukrył w ruinach pod miejscowością Kara Tępe. Wiele tygodni minęło, zanim wyzdrowiałem, a włos mój zbielał w godzinie śmierci moich bliskich. Ciało moje ożyło, lecz moja dusza była martwa. Moje serce umarło. Na jego miejscu drga i bije tylko jedno imię — Omar Amed, gdyż tak zwał się ów siepacz. Teraz jest miralajem.

Pir Kamek opowiedział to wszystko jednostajnym, obojętnym tonem, który wstrząsnął mną bardziej od najsilniejszego wyrazu nieubłaganej zemsty. Opowiadanie brzmiało tak bezbarwnie, jakby je wygłosił lunatyk. Budziło przerażenie!

— Chcesz się zemścić? — spytałem.

— Zemścić się? Czymże jest zemsta? — odrzekł starzec tym samym spokojnym tonem, którym opowiedział rodziną gehennę

— Zemsta jest czynem złym i podstępny. Ukarzę miralaję, a potem ciało moje odejdzie tam, dokąd już przedtem odeszła moja dusza. — Czy zabawicie u nas podczas naszego święta?

— Nie wiemy tego jeszcze.

— Zostańcie! Jeśli teraz odejdziecie, może wara się nie poszczęścić wykonanie waszego zamiaru. Jeśli jednak zostanieie, możecie mieć nadzieję, że się wam powiedzie, gdyż wtedy już żaden Turek nie stanie wam na drodze, a jezydzi będą wam mogli łatwo pomóc.

Starzec mówił teraz już innym tonem i oczy jego odzyskały blask.

— Nasza obecność przeszkodziłaby w obchodach waszego święta — powiedziałem umyślnie,

mając nadzieję, że może jeszcze czegoś bliższego dowiem się o tej sekcie.

Kamek zaprzeczył ruchem głowy:

— Czy ty także wierzysz w te kłamstwa, które się o nas opowiada? W porównaniu z innymi znajdziesz u nas schludność i czystość. Dążymy do czystości ciała i czystości ducha, do czystości mowy i czystości doktryny. Czysta jest woda i czysty jest płomień. Dlatego ko-chamy wodę i chrzczymy nią. Dlatego czcimy światło jako atrybut czystego Boga, o którym mówi również wasza święta księga, że mieszka w świetle, do którego nikt dojść nie może. Wy uświęcacie się święconą wodą, a my się uświęcamy święconym ogniem. Wkładamy rękę do płomienia i dotykamy nią potem naszego czoła, tak jak wy to robicie ze święconą wodą. Wy mówicie, że Pan Jezus był już na świecie i znów kiedyś powróci na ziemię. My tak samo wiemy, że kiedyś żył wśród ludzi i wierzymy, że powróci, aby nam otworzyć bramy nieba. Wiemy, kiedy był człowiekiem, ale nie wiemy, kiedy się znowu pojawi na ziemi i dlatego czynimy to, co polecił swoim uczniom w ogrodzie Gethsemani, kiedy ich znalazł śpiących. Rzekł im wówczas: „Igwaja duszmemek itszun, ujanik durub dua ediniss — czuwajcie i módlcie się, abyście nie popadli w pokuszenie!” Dlatego obraliśmy koguta, który jest symbolem czujności. Czyż wy też tego nie robicie? Opowiadano mi, że chrześcijanie często umieszczają na dachach swoich domów i kościołów koguta z blachy pozłacanej. Używacie więc blaszanego koguta, a my żywego. Czy dlatego jesteśmy bałwochwalcami lub złymi ludźmi? Wasi księża są mądrzejsi i wasze nauki lepsze. My też korzystalibyśmy z lepszych nauk, gdybyśmy mieli mądrzejszych kapłanów. Jestem jedynym wśród jezydów, który umie czytać waszą świętą księgę i dlatego rozmawiam z tobą tak, jak tutaj nikt inny nie będzie z tobą mówić.

— Dlaczego nie prosicie o misjonarzy, którzy mogliby służyć waszym kapłanom odpowiednimi wskazówkami? — wtrąciłem się.

— Ponieważ nie chcemy brać udziału w waszej niezgodzie — wyjaśnił Kamek. — Nauka chrześcijan nie jest jednolita. Jeśli nam kiedyś będziecie mogli powiedzieć, że głosicie to samo i tak samo, przyjmiemy was z radością. Jeżeli natomiast chrześcijanie Zachodu przysyłają nam nauczycieli, z których każdy naucza inaczej, to sami sobie wyrządzają największą krzywdę. Jezus powiada w waszej księdze: „Tarik we hak i kat we hajat benim — ja jestem drogą, prawdą i życiem”. Dlaczego ludzie Zachodu mają tak wiele prawd i tak wiele dróg, skoro istnieje przecież tylko jedna droga, która jest życiem. To jest powodem, że nie spieramy się o Zbawiciela, który już był na ziemi, lecz spokojnie czekamy na odkupiciela, który dopiero przyjdzie.

Tymczasem wszedł znów Ali bej, z czego — prawdę mówiąc — byłem bardzo rad, gdyż moja żądza wiedzy, dotycząca czcicieli szatana, wprawiałaby mnie w rozmowie z tym Kurdem nieomal w zakłopotanie. Nie mogłem niestety odeprzeć zarzutu, że w mojej ojczyźnie istnieje różnorodność wyznań chrześcijańskich. Starzec rzekł, wstając:

— Allah niech będzie z tobą i ze mną! Idę drogą, którą iść muszę, lecz zobaczymy się niebawem znowu.

Kamek wyszedł. Ali bej, pożegnawszy go, powiedział do mnie:

— To jest najmądrzejszy człowiek wśród jezydów; nikt mu nie dorówna. Był w Iranie i w Indiach, w Jerozolimie i w Stambule, widział wiele i wiele się nauczył, a nawet napisał książkę.

— Napisał książkę? — spytałem zdziwiony.

— Tak. On jest jedynym pośród nas, który umie poprawnie pisać. Jego pragnieniem jest, żeby nasz naród stał się tak mądry i cywilizowany, jak narody Zachodu, a do tego możemy dojść jedynie, korzystając z wiedzy, zawartej w książkach Franków. Ażeby te książki mogły kiedyś zostać przyswojone naszemu językowi, Kamek zapisał setki słów w naszych narzeczach. To właśnie jest książka przez niego napisana.

— To przecież wspaniale! Gdzie znajduje się ta książka?

— W moim domu, w mieszkaniu Kameka. Wszyscy uważają pira Kameka za świętego. Wędruje po kraju i wszędzie witają go radośnie. Cały Kurdystan jest jego mieszkaniem, lecz zamieszkał u mnie.

— Myślisz, że zechce mi pokazać swoją książkę?

— Na pewno. Zrobi to chętnie!

— Poproszę go o nią zaraz. Dokąd poszedł?

— Nie znajdziesz teraz 'pira Kameka, gdyż poszedł czuwać nad swoimi. Książkę dostaniesz, przyniosę ci ją. Przedtem jednak przyrzeknijcie mi, że zostanieiecie!

— Jesteś zdania, że powinniśmy odroczyć termin wyjazdu do Amadije?

— Tak. Było tu trzech mężczyzn z Kaloni. Należą do bocznej linii Badyńców plemienia Missuri. Są zręczni, odważni, mądrzy, wierni i oddani mi całym sercem. Wysłałem ich do Amadije, żeby zasięgnęli informacji u Turków. Będą się również starali odnaleźć Amada el Ghandura. Poleciałem im to gorąco, żeby wam pomóc, i dopóki nie wrócą z wieściami, proszę, żebyście się u mnie rozgościli.

Wyraziliśmy zgodę. Ali bej uściskał nas z radości i poprosił:

— Chodźcie teraz ze mną, żeby również moja żona was poznała! Byłem zdziwiony tym zaproszeniem. Później dowiedziałem się, że jezydzi nie zamykają kobiet tak, jak to robią muzułmanie. Panuje u nich w ogóle inny duch i nigdzie dotąd na Wschodzie nie napotkałem atmosfery, która by mi tak przypominała życie rodzinne w ojczyźnie, jak tutaj. Naturalnie, prości ludzie wśród jezydów nie mieli tak jasnego poglądu na świat i religię, jak pir Kamek, lecz w porównaniu z pełnymi fałszu Grekami, szachrującymi Armeńczykami, żądnymi zemsty Arabami, leniwymi Turkami, obłudnymi Persami i chciwymi łupów Kurdami, musiałem odczuć szacunek dla często tak fałszywie i niesłusznie oczernianych czcicieli szatana. Ich kultura oscylowała między chaldeizmem, islamem i chrześcijaństwem, jednak chrześcijaństwo nigdzie nie znalazłoby tak podatnego gruntu, jak u jezydów, o ile pobożni posłańcy zechcieliby zrozumieć, że należy uwzględniać — niosąc słowo Boże — zwyczaje i obyczaje tych ludzi.

Przed domem siedział buluk emini obok swojego osła. Zarówno zwierzę, jak i jego pan posilali się. Osioł raczył się jęczmieniem, a baszybozuk jadł suszone figi Sindżaru, których kilka sznurów leżało przed nim. Gryząc figi, opowiadał licznym słuchaczom o swoich bohaterskich czynach. Halef przyłączył się do niego. My natomiast w trójkę udaliśmy się do pomieszczeń niewieścich.

Pani domu sprawiała wrażenie bardzo młodziutkiej. Piastowała małego chłopca. Jej piękne czarne włosy były zaplecione w liczne długie, zwisające warkocze, a jej czoło pokrywało mnóstwo błyszczących sztuk złota.

— Witajcie panowie! — pozdrowiła nas prosto i bez emfazy.

Ali bej wymienił jej imię, a potem nasze imiona. Jej imię wypadło mi niestety z pamięci. Wziąłem chłopca z jej rąk i pieściłem go. Przyjęła to jak zaszczyt i zdawała się z tego dumna. Mały bej był miłym chłopaczkiem, czysto utrzymanym i zupełnie niepodobnym do tych wcześniej dojrzałych dzieci, które często spotyka się u Turków. Ali bej zapytał mnie, gdzie chcemy spożyć posiłek; u siebie, czy tutaj, w mieszkaniu kobiet. Zdecydowałem natychmiast, że zostaniemy u pań. Mały czciciel szatana zdawał się zadowolony, że się nim zajmuję. Patrzył na mnie zaczepnie promiennym spojrzeniem swoich ciemnych oczek, czochrał mi brodę, wywijał z zadowolenia rączkami i nóżkami, i bełkotał od czasu do czasu jakieś słowa, których ani on, ani ja nie rozumieliśmy. Co się tyczy języka kurdyjskiego, to obaj byliśmy na tym samym poziomie, a więc nawet podczas jedzenia nie oddałem go matce, za co ona z wdzięczności podsuwała mi najlepsze kęski potraw, a po obiedzie oprowadziła

mnie po ogrodzie.

Najbardziej smakowało mi danie, zwane kursz, sporządzone ze śmietany zapiekanej a następnie posypanej cukrem i oblanej miodem, a w ogrodzie za najpiękniejsze uznałem owo cudowne kwiecie ognistej barwy, którym gęsto obsypane były gałęzie drzew. Arabowie nazywają te kwiaty „bint el onssul”, czyli córką konsula.

Wkrótce przyszedł Ali bej, żeby mi pokazać mieszkanie, które dla mnie przeznaczył. Znajdowało się ono na platformie dachu, skąd roztaczał się wspaniały widok. Kiedy wszedłem do pokoju, zauważyłem na niskim stole gruby zeszyt.

— To książka pira — wyjaśnił Ali bej w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie.

Natychmiast wziąłem zeszyt ze stołu i usiadłem na otomanie, żeby przejrzeć zapiski. Bej, uśmiechając się, wyszedł, żeby mi nie przeszkadzać w czytaniu. Zeszyt zawierał pokaźny zbiór słów i zwrotów, pisanych po arabsku, przełożonych na kilka kurdyjskich narzeczy. Zorientowałem się wkrótce, że opanowanie języka kurdyjskiego nie sprawiłoby mi dużej trudności. Postanowiłem wykorzystać w tym celu pobyt wśród jezydów.

Tymczasem zapadł zmierzch. Znad rzeczki, z której dziewczęta czerpały wodę, korzystając z pomocy chłopców, rozbrzmiewała piosenka następującej treści:

*Chrześcijanka nadchodzi, żeby czerpać wodę.*

*Stoję za jej plecami, chłonąc jej urodę.*

*Usta me pragną jej lica całować,*

*Choćbym xv kajdanach miał odpokutować.*

Była to rytmiczna i melodyjna piosenka, jaką rzadko się słyszy na Wschodzie. Słuchałem, spodziewając się dalszego ciągu, lecz niestety nie było drugiej zwrotki. Wstałem, żeby zejść ku rzece. Na dworze panował ożywiony ruch, gdyż ciągle przybywali obcy i ustawiano namiot przy namiocie. Można było wywnioskować, że zbliża się ważne święto. Wychodząc z domu, zobaczyłem licznie zebranych ludzi wokół buluka emini, który jeszcze ciągle, albo już znowu, głośno opowiadał:

— Walczyłem już pod miejscowością Saida — chwalił się — a potem na wyspie Kandia, gdzie pokonaliśmy buntowników. Potem brałem udział w walce w Bejrucie pod dowództwem sławnego paszy Mustafy Nuri, którego dzielna dusza przebywa teraz w raju. Wtedy miałem jeszcze swój nos, lecz straciłem go w Serbii, dokąd musiałem się udać z efendim Szekibem, kiedy pasza Kjamił przepędził Michała Obrenowicza.

Pocziwy baszybozuk zdawał się już sam dokładnie nie pamiętać, przy jakiej okazji pozbył się swego nosa.

— Napadnięto mnie mianowicie za Bukaresztem — kontynuował Ifra. — Bronilem się co prawda dzielnie — już ponad dwudziestu wrogów leżało na ziemi — wtem jeden z nieprzyjaciół zamachnął się szablą. Cios miał mi właściwie rozplatać głowę, ponieważ się jednak raptownie cofnąłem, trafił w mój nos...

W tym momencie rozległ się w pobliżu wrzask, jakiego jeszcze nigdy w swoim życiu nie słyszałem. Brzmiało to tak, jakby po wysokim, przenikliwym gwiździe syreny parowej nastąpiło gulgotanie indyka, a do tego gulgotu dołączyło się wielogłosowe, skrzypiące kwilenie, które daje się słyszeć w kościele, kiedy nagle miechy organów przestaną działać. Obecni z przerażeniem wlepili oczy w stworzenie, które wydawało te zagadkowe, przedpotopowe odgłosy. Ifra natomiast zwrócił się do wszystkich ze spokojem:

— Co się tak dziwicie? To mój osioł! Nie znosi ciemności, dlatego ryczy przez całą noc, dopóki się nie rozwidni.

Hm! Jeśli tak się rzecz miała, to ten osioł był istotnie bardzo miłą kreaturą. Jego głos zbudziłby

umarłego. Któż mógł. myśleć o śnie i wypoczynku, jeśli co noc trzeba było wysłuchiwać muzykalnych utworów tego czworonożnego śpiewaka operowego, który zdawał się mieć w płucach puzon, trąbiący dyszkantem, w gardle dudy, a w krtani piszczałki i klapki dziesięciu klarnetów.

Już po raz czwarty słuchałem opowiadania o nosie buluka emini. Chyba zostało „zapisane w księdze”, że pisarz nigdy tego opowiadania nie dokończy.

— Więc to zwierzę ryczy tak przez całą noc? — spytał ktoś ze słuchaczy.

— Przez całą noc — potwierdził buluk emini z rezygnacją męczennika. — Co dwie minuty.

— Musisz osła odzwyczaić od tego.

— Łatwo powiedzieć. W jaki sposób?

— Nie wiem.

— To zachowaj także swoją radę dla siebie! Wypróbowałem już wszystkiego. Biłem go, głodziłem, nie dawałem mu nic do picia. Bezskutecznie.

— Przemów więc osłu poważnie do sumienia, żeby sobie zdał sprawę, że postępuje źle!

— Przemawiałem już do niego poważnie i czule. Patrzy na mnie, słucha, kręci głową i krzyczy dalej.

— To dziwne. Zwierzę cię na pewno rozumie, lecz nie chce ci zrobić przyjemności.

— Tak, słyszałem, że zwierzęta rozumieją człowieka, gdyż niekiedy mieszka w zwierzęciu dusza zmarłego, skazana na to, by w ten sposób odpokutować swoje grzechy. Człowiek, który tkwi w tym osle, musiał być głuchy, lecz na pewno nie był niemy.

— Musisz się starać wybadać, do jakiego plemienia należał. W jakim języku rozmawiasz ze zwierzęciem?

— Po turecku.

— A jeśli dusza człowieka, wcielona w osła, należała do Persa, Araba albo nawet giaura, który nie zna języka tureckiego?

— Allah akbar, to prawda! O tym nie pomyślałem!

— Dlaczego osioł kręci zawsze głową, kiedy do niego mówisz? Widocznie jego duch nie zna tureckiego. Mów do niego w innym języku!

— sk Ale czy uda mi się trafić na właściwy? Poproszę naszego pana. Hadzi Halef Omar powiedział mi, że efendi zna języki wszystkich narodów. Może uda mu się odkryć, gdzie duch mojego osła przebywał przedtem. Salomon także rozumiał wszystkie zwierzęta.

— Byli także inni, którzy posiadali takie umiejętności. Czy znasz opowieść o bogatym człowieku, którego synowie rozmawiali nawet z kamieniem?

— Nie.

— To ci ją opowiem! — De vachtha beni Israil meru ki dauletlu hebu, mir; du lau wi man, male wi pur ma, haneki, wi ma. Va her du lavi wi va hania khoe parve dikerin pev czun, jek debee... —

— Dość! — przerwał mu Ifra. — W jakim języku mówisz?

— W naszym. To jest kurmandzi.

— Ja tego języka nie znam. Opowiadaj po turecku!

— A więc czujesz się właśnie tak samo, jak duch twojego osła, który także zna tylko swój język. Ale jak mogę kurdyjską historię opowiedzieć po turecku? Będzie brzmiała zupełnie inaczej!

— Spróbuj!

— Postaram się! A więc: Za czasów dzieci Izraela żył sobie bogaty człowiek, który zmarł. Pozostawił dwóch synów, wielkie bogactwo i dom. Kiedy synowie chcieli podzielić dom między siebie, popadli w spór. Jeden twierdził: „To jest mój dom”. Drugi twierdził: „To jest mój dom!” Wtedy za boskim zrządzeniem ze ściany domu wyszła cegła i przemówiła: „Wstyďte się! Ten dom

nie jest ani twój, ani jego. Ja byłam kiedyś potężnym królem, znanym na świecie przez długie lata. Po śmierci leżałam długo w grobie, zgniłam i rozsypałam się w proch. Z tego prochu jakiś człowiek uformował cegły. Z tych cegieł powstał dom. Przez czterdzieści lat byłam domem, po czym rozpadłam się. Siedemdziesiąt trzy lata przeleżałam na polu Wreszcie znowu jakiś człowiek wmurował mnie jako cegłę w ten dom. Tkwię tutaj trzysta trzydzieści lat i nie wiem, czym będę od tej chwili. Na razie nie odczuwam bólu duszy..."

Opowieść została przerwana. Osła, który, jak powszechnie uznano, nie znał języka tureckiego, zdumioło widocznie to opowiadanie. Otworzył pysk i wypuścił taki podwójny trył, który dał się jedynie porównać z odgłosem trąbki sygnałowej, zjednoczonym z odgłosem złamanej tuby. Wtem przez ciżbę zgromadzonych przecisnął się jakiś człowiek i wszedł do sieni. Zauważył mnie.

— Efendi, ty naprawdę przyszedłeś? Dowiedziałem się o tym dopiero teraz, gdyż cały czas byłem w górach. Jakże się cieszę! Pozwól, że cię powitam!

Był to Selek. Chwycił moją rękę i ucałował ją. Ten sposób okazywania czci jest u jezydów rozpowszechniony.

— Gdzie są Pali i Melaf? — spytałem.

— Spotkali pira Kameka i poszli z nim do Mosulu. Muszę Alemu bejowi przekazać pewną wiadomość. Czy zobaczę cię potem?

— Właśnie miałem zamiar iść do Alego beja. Czy wiadomość, którą masz dla niego, jest tajemnicą?

— Możliwe, lecz ty na pewno możesz ją usłyszeć. Chodźmy więc!

Weszliśmy do pomieszczenia dla kobiet, gdzie znajdował się właśnie Ali bej. Wstęp do mieszkania niewiast zdawał się tutaj dozwolony każdemu. Był tu również Halef. Pocziwy Hadzi już znowu był zajęty jedzeniem.

— Ali beju — informował Selek — byłem w górach, za miejscowością Bosan, i mam ci coś do powiedzenia.

— Mów wiec!

— Czy wszyscy mogą to usłyszeć?

— Wszyscy.

— Sądziłem, że namiestnik Mosulu chce pięciuset Turków osadzić w twierdzy Amadije dla ochrony przeciwko Kurdom. To jednak nieprawda. Dwustu żołnierzy, którzy przybyli z Diarbekru, pomaszerowało przez Urmeli i ukrywa się w lasach wokół Tura Ghara.

— Kto to powiedział?

— Pewien drwal z Mugaiszi, którego spotkałem. Był w drodze do Kara Kojuhli, gdzie znajdowała się jedna z jego tratw. A tych trzystu żołnierzy z Kcrkuku także nie podąża do Amadije. Pomaszerowali przez Altyn Kopru do Erbilu i Girdasziru, i stoją teraz pod Mar Mattci nad rzeką Ghasir.

— Skąd wiesz o tym?

— Powiedział mi to pewien Kurd, który podróżował wzdłuż rzeczki Kliausscr, aby przez Bosan dostać się do Dehuk.

— Kurdowie z okolic Zibaru to ludzie godni zaufania. Nigdy nie kłamią, a poza tym nienawidzą Turków. Wierzę w to, co mówili ci dwaj, napotkani przez ciebie. Czy znasz dolinę idis nad Gomelem, nieco z boku ponad Kaloni?

— Tylko niewielu zna tę dolinę. Ja natomiast byłem tam często.

— Czy można stąd przeprowadzić tam konie, bydło i owce, i tam je ukryć?

— Kto zna las dokładnie, temu się to uda.

— Ile trzeba by było czasu, żeby tani ulokować nasze kobiety, dzieci oraz zwierzęta?

— Pół dnia. Idąc przez Szeik Adi, wchodzi się za grobem Świętego wąskim parowem pod górę i żaden Turek nie może zauważyć przechodzących.

— Jesteś najlepszym znawcą tej okolicy. Porozmawiam z tobą jeszcze później; na razie nie wspominaj nikomu o naszej rozmowie! Chciałbym cię prosić, żebyś przy efendim pełnił honory gospodarza, lecz zapewne potrzebują cię gdzie indziej.

— Czy mógłbym przysłać w zastępstwie swojego syna, Jussufa? — Zrób to!

— Czy twój syn mówi dobrze po kurdyjsku? — spytałem.

— Jussuf zna narzecza kurmandzi oraz zaza.

— To przyślij mi go, będę mu bardzo rad.

Selek wyszedł. Zaczęto czynić przygotowania do biesiady. Ponieważ gościnność jezydów nie ma granic, udział w uczcie wzięło około dwudziestu osób. Ku czci Mohammeda Emina i mojej, przy jedzeniu przygrywała muzyka. Kapela składała się z trzech mężczyzn. Grali na instrumentach, które można by przyrównać do naszego fletu, gitary i skrzypiec. Muzyka była miła dla ucha. Później miałem możność zauważyć, że jezydzi mają lepiej wykształcony smak muzyczny niż zwolennicy islamu.

Podczas jedzenia przybył syn Seleka, Jussuf, z którym później poszedłem do swojego pokoju, żeby przy pomocy młodzieńca odczytać rękopis pira Kameka. Horyzont umysłowy Jussufa nie był zbyt szeroki. Młody człowiek posiadał jednak wystarczające informacje o tym, czego się chciałem dowiedzieć. Pir Kamek był wśród czcicieli szatana najlepiej obeznany z problemami ich religii i tylko u niego można się było spodziewać tej dojrzałości spojrzenia, jaką mnie zaskoczył. Inni członkowie sekty byli na ogół nieśmiali i nie należało się dziwić, że więcej wagi przywiązywali do symboli oraz pielęgnowali obyczaje bardziej z przyzwyczajenia i ze ślepej wiary niż z wewnętrznego przekonania. Fascynowała ich tajemniczość modłów i obrzędów. Wschód w ogóle skłania się bardziej ku temu co ciemne i zagadkowe niż ku temu co jasne i oczywiste.

Nasza rozmowa nie przebiegała bynajmniej bez przeszkód, gdyż w niemal regularnych, kilkuminutowych odstępach rozlegał się obrzydliwy, przejmujący do szpiku kości krzyk zwierzęcia, będący na dłuższą metę nie do zniesienia. Dopóki w Baadri panował ożywiony ruch na skutek napływu coraz to nowych pielgrzymów, znoszono jakoś ten wrzask, a nawet śmiano się z niego. Kiedy jednak inne hałasy coraz bardziej cichły, i ludzie udawali się na spoczynek, głośnie ryki długouchego stały się nie do wytrzymania. Podniosły się różne głosy; wpierw niechętne szemrania, które jednak wkrótce przeszły w donośne nawoływania i kłótnie.

Te gniewne reakcje zamiast osła zastraszyć i uspokoić, jeszcze bardziej go podniecały do coraz intensywniejszych wrzasków. Zapamiętał się wprost w swoich trylach. Przerwy między nimi stawały się coraz krótsze, aż wreszcie krzyki zlały się w trwałą kakofonię, którą można było nazwać wręcz piekielną.

Zastanawiałem się, jak złu zaradzić, kiedy na dole rozległ się dziwny hałas. Całą gromadą nacierano na małego buluka emini. Nie mogłem zrozumieć, czego od niego żądano. W każdym razie lira poczuł się tak przyparty do muru, że nie umiał sobie poradzić. Wkrótce posłyszałem jego kroki na schodach. Wszedł do mojego pokoju.

— Czy śpisz już, efendi?

Pytanie było właściwie zbędne, widział przecież, że siedzieliśmy nad książką. Mały grubas, wystraszony, nie znalazł widocznie lepszego zagajenia.

— Jeszcze pytasz? — odpowiedziałem. — Jak można spać przy tych okropnych wrzaskach twojego osła?

— O to właśnie chodzi, efendi! Ja przecież też nie mogę spać. Teraz wszyscy przychodzą do mnie

i żądają, żebym usunął zwierzę do lasu i tam je przywiązał do drzewa, w przeciwnym razie chcą je zastrzelić. Nie mogę do tego dopuścić, gdyż muszę osła zwrócić w Mosulu. Gdybym go utracił, wychłostano by mnie i odebrano by mi moje stanowisko w wojsku.

— No to wyprowadź zwierzę do lasu!

— To niemożliwe, emirze.

— Dlaczego?

— W lesie są wilki. Czy mam pozwolić, żeby go pożarły?

— To zostań przy nim w lesie i pilnuj go!

— Ależ wilki mogą mnie również pożreć!

— Wówczas ominęłaby cię bastonada.

— Żartujesz! A niektórzy radzili mi, żebym się udał do ciebie.

— Do mnie? A to dlaczego?

— Czy sądzisz, efendi, że osioł ma duszę?

— Ten na pewno ma — zażartowałem.

— Może ma inną duszę od swojej pierwotnej!

— Gdzież by miała być ta pierwotna? Może nastąpiła zamiana: osła dusza weszła w ciebie, a twoja w zwierzę. Teraz ty jesteś osłem i drżysz jak zając ze strachu, a osioł stał się bulukiem emini i ryczy jak lew. Co ja bym tu mógł poradzić?

— To zupełnie pewne, efendi, że mój osioł ma obcą duszę. Nie jest to jednakże dusza turecka, gdyż nie rozumie języka tureckiego. Ty natomiast mówisz wszystkimi językami świata, więc proszę cię, byś zechciał się pofatygować na dół. Jeśli porozmawiasz z osłem, odkryjesz, kto w nim tkwi, Pers, czy Turkmen, czy Ormianin.

— Czy naprawdę sądzisz, że...

W tym momencie zwierzę podniosło znowu wrzask, i to z taką siłą, że cała zdesperowana gromada ludzi zawtórowała chórem.

— Allah kerim, oni osła zamordują! Zejdź szybko, panie, w przeciwnym razie będzie zgubiony i jego dusza także!

Ifra zbiegł ze schodów, a ja podążyłem za nim. Po drodze zaświtał mi zabawny pomysł. Czy wypada mi jednak stroić sobie żarty z biednego człowieka? Może to nieładnie, lecz pogląd buluka emini na sprawę duszy u długouchego wprowadził mnie w nastrój, któremu nie umiałem się oprzeć. Kiedy znalazłem się przed domem, ludzie już na mnie czekali.

— Ko zna jakiś sposób, za pomocą którego można by to zwierzę uciszyć? — zapytałem.

Nikt nie odpowiadał. Tylko Halef stwierdził w końcu:

— Tylko ty, sihdi, potrafisz znaleźć na to sposób.

Mój Hadzi należał więc do „prawdziwie wierzących”.

Podszedłem do osła i chwyciłem za cugle. Zadałem mu głośno kilka pytań po niemiecku. Potem przyłożyłem ucho do jego nozdrzy i słuchałem. Następnie odpowiednim gestem udałem wielkie zdziwienie i zwróciłem się do Ifry z zapytaniem:

— Buluku emini, jak nazywał się twój ojciec?

— Nassyr Mehmed.

— To nie on. A jak się nazywał ojciec twojego ojca?

— Sulejman Czausz.

— To on. Gdzie mieszkał?

— W Hirmenlu, na północny zachód od Adrianopola.

— Zgadza się. Otóż twój dziadek jechał kiedyś z Hirmenlu do Khassoj i przywiązał swemu osłu,



żeby go zdenerwować, ciężki kamień do ogona. Prorok jednakże powiedział: „Kochaj swego osła!” Teraz duch twojego dziadka musi ten czyn odpokutować. Na moście „ssirat”, wiodącym do rajy, dziadek twój musiał zawrócić i wejść w osła. Ponieważ przywiązał swemu osłu kamień do ogona, może być wyzwolony tylko w ten sposób, że zwierzęciu, w którym teraz żyje, także zostanie przywiązany kamień do ogona. Czy chcesz go wybawić, Ifro?

— Chcę, efendi! — zawołał grubas. Był bliższy płaczu niż śmiechu, gdyż wyobrazenie, że jego dziadek poniewiera się w tym osle, sprawiało mu, jako prawowitemu muzułmaninowi, wielką udrękę.

— Powiedz mi, co muszę zrobić, żeby uratować ojca mojego ojca!

— Przynieś kamień i sznur! — poleciłem mu.

Osiół jakby zauważył, że się nim interesujemy. Otworzył pysk i zaryczał.

— Szybko, Ifro! To będzie ostatni jego lament!

Przytrzymałem ogon zwierzęcia, a baszybozuk przywiązał do niego kamień. Osiół, czując ciężar, obrócił łeb do tyłu, chcąc kamień usunąć pyskiem. Naturalnie mu się to nie udało. Teraz zwierzę próbowało odrzucić kamień ogonem. Kamień był jednak zbyt ciężki, tak że ogon mógł jedynie wykonać ruch wahadłowy, który jednak natychmiast ustał, ponieważ kamień obijał przy tym nogi zwierzęcia. Osiół znajdował się jakby w stanie osłupienia. Zerkał do tyłu, kręcił w zamyśleniu swymi długimi uszami, prychał i otworzył wreszcie pysk, aby zaryczeć — lecz nie mógł wydobyć głosu. Widocznie czuł, że jego największa ozdoba została uwięziona i obciążona tak, że nie mógł nią poruszać. Doprowadziło to osła do zamilknięcia.

— On naprawdę nie ryczy! — zawołał baszybozuk. — Efendi, jesteś najmądrzejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem!

Wszedłem znów na górę do swojego mieszkania, pożegnałem się z Jussufem i poszedłem spać. Pielgrzymi na dole stali jeszcze długo, chcąc się przekonać, czy osiół nadal będzie milczał.

Już wczesnym rankiem obudził mnie ożywiony ruch we wiosce. Ciągłe przybywali pielgrzymi. Jedni zatrzymywali się w Baadri, inni natomiast po krótkim odpoczynku szli dalej do Szeik Adi. Pierwszym gościem u mnie był w tym dniu Mohammed Emin.

— Czy spojrzalesz na dół, przed dom? — zapytał.

— Jeszcze nie.

— No to popatrz!

Podszedłem do krawędzi dachu i zerknąłem w dół. Setki ludzi stały przy osle. Patrzono na zwierzę i dziwiono się. Jeden opowiadał drugiemu, co się stało, a kiedy mnie spostrzegli, odeszli spod domu, kłaniając mi się z szacunkiem.

Tego nie przewidziałem. Sprawdziłem, jak zadziała mój zabawny pomysł, lecz w żadnym wypadku nie zamierzałem utwierdzać ludzi w ich naiwnych zabobonach.

Przyszedł również Ali bej. Przywitał mnie uśmiechem.

— Efendi, mamy ci do zawdzięczenia spokojną noc. Jesteś wielkim czarodziejem. Czy osiół będzie znów ryczał, kiedy mu się zdejmie kamień z ogona?

— Oczywiście, Zwierzę boi się ciemności i własnym głosem dodaje sobie otuchy. Udaremniłem mu to fortelem.

— Czy mogę was zaprosić na śniadanie?

Zeszliśmy do pomieszczeń niewieścich. Byli tam już: Halef, mój tłumacz z kurdyjskiego Jussuf oraz Ifra, który miał mocno strapioną minę. Żona beja wyszła mi na spotkanie i uśmiechnęła się do mnie.

— Sabah'l kher — Dzień dobry! — pozdrowiłem ją.

— Sabah'l kher — odrzekła. — Keifata czawa? — Jak się czujesz?

— Kandża! Tu czawa — dobrze! A jak twoje zdrowie?

— Szuker chode, kandża — Dzięki Bogu, mam się dobrze!

— Przecież ty posługujesz się narzeczem kurmandži! — zawołał Ali bej, zdziwiony.

— Zapamiętałem kilka słów, których wczoraj wieczorem nauczyłem się z książki pira. A to przecież niewiele.

— Siadajcie do stołu! — zaprosił nas bej.

Najpierw podano kawę z piernikiem, a potem pieczeń baranią, którą jadło się jak chleb, w cienkich, szerokich plastrach. Do tego piło się arpe, rodzaj cienkiego piwa, które Turek nazywa arpassuju, czyli napojem z jęczmienia. Wszyscy się posilali, tylko buluk emini przykucnął z boku, przygnębiony.

— Ifro, dlaczego nie siedzisz z nami? — zagadnąłem go.

— Nie mogę jeść.

— Co ci jest?

— Cierpię, efendi. Dotychczas jeździłem na swoim ośle, biłem go i beształem, rzadko go szcztokowałem i myłem, niekiedy nawet zapominałem go nakarmić, a teraz dowiaduję się, że jest on ojcem mojego ojca. Stoi na dworze i ciągle jeszcze ma przywiązany kamień do ogona!

Żal mi się zrobiło buluka emini. Obudziło się we mnie sumienie. Z drugiej strony jednak sytuacja była tak humorystyczna i dziwaczna, że nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

— Ty się śmiejesz? — zwrócił się do mnie buluk emini z wyrzutem w głosie. Płakałbyś, gdybyś miał osła, który byłby ojcem twego ojca. Mam cię zaprowadzić do Amadije, ale nie mogę; nie wsiądę bowiem nigdy więcej na ducha mojego dziadka.

— Nie potrzebujesz tego robić. Byłoby to zresztą niemożliwe, gdyż nikt nie może usiąść na duchu.

— To na czym właściwie mam jechać?

— Na swoim ośle.

Baszybozuk spojrział na mnie speszony.

— Ależ mój osioł jest przecież duchem. Wszak sam to stwierdziłeś.

— To był tylko żart.

— Och, mówisz tak teraz tylko, żeby mnie uspokoić!

— Nie. Mówię to, ponieważ jest mi przykro, że wzięłaś sobie mój żart tak do serca.

— Efendi, zapewne chcesz mnie jednak tylko pocieszyć! Dlaczego osioł tak często mnie ponosił? Dlaczego mnie wiele razy zrzucił z grzbietu? Ponieważ wiedział, że nie jest osłem i że ja jestem synem jego syna. I dlaczego kamień zaraz pomógł, kiedy zrobiłem to, co ci poleciła dusza osła?

— Niczego mi nie poleciła, i zaraz ci powiem, dlaczego mój środek pomógł. Czy nigdy nie zauważyłaś, że kogut zamyka oczy, kiedy pieje?

— Owszem, widziałem to.

— Spróbuj jakimś sposobem nie pozwolić mu zamknąć oczu, to nie będzie piał. A teraz zwróć uwagę na to, co powiem! Czy nie zaobserwowałaś, że twój osioł zawsze podnosi ogon, kiedy chce ryczeć?

— Tak, istotnie robi to, efendi! .

— Staraj się więc o to, żeby osioł nie mógł podnosić ogona; wtedy przestanie ryczeć!

— Czy tak jest naprawdę? — spytał grubas zdumiony.

— Naprawdę! Wypróbuj to jeszcze dziś wieczorem, kiedy ze strachu przed ciemnością zaczniesz ryczeć!

— Więc ojciec mojego ojca naprawdę nie jest zaczarowany?

— Zapewniam cię, że nie jest zaczarowany. Przecież Koran zabrania czarów.

— Hamdulillah! Allahowi niech będą tysiąckrotne dzięki!

Ifra wybiegł przed dom i usunął zwierzęciu kamień z ogona. Potem szybko wrócił, żeby, choć z opóźnieniem, wziąć udział w biesiadzie.

To, że jemu, jako podwładnemu, wolno było siedzieć razem z bejem przy stole, uświadomiło mi ponownie, jak patriarchalnie żyją jezydzi.

## WIELKIE ŚWIĘTO

Godzinę później, w jasny już poranek, wybrałem się z Jussufem na konną przejażdżkę. Mohammed Emin wolał zostać w obozie i w ogóle jak najmniej się pokazywać.

— Czy znasz dolinę Idis? — zapytałem swego towarzysza. Jussuf przytaknął.

— Jak długo się tam jedzie? — dopytywałem się dalej.

— Dwie godziny.

— Chciałbym zobaczyć tę dolinę. Czy pojechałbyś tam ze mną?

— Jak rozkażesz, efendi.

— Czy obierzemy prostą drogę, czy przez Szeik Adi?

— Hm! Co proponujesz?

— Prosta droga jest krótsza, lecz bardziej uciążliwa.

— Mimo to wybierzemy tę trudniejszą.

— Czy twój koń wytrzyma? Jest to tak szlachetne zwierzę, jakiego nigdy nie widziałem; i zapewne przyzwyczajony jest tylko do równiny.

— Właśnie dziś chcę wypróbować swojego rumaka.

Minęliśmy Baadri. Droga, której bynajmniej nie należy sobie wyobrażać jako wytyczonej i utorowanej ścieżki, prowadziła stromo w górę i równie stromo opadała w dół, lecz mój kary radził sobie na niej doskonale. Z początku jechaliśmy przez wzgórza, porośnięte krzakami, później ukazał się gęsty, ciemny las. Przedzieraliśmy się pod wierzchołkami liściastych i szpilkowych drzew. Wreszcie ścieżka stała się tak uciążliwa, że musieliśmy zsiąść z koni i prowadzić je za uzdę. Trzeba było dokładnie zbadać każde miejsce, zanim się na nim postawiło nogę. Koń Jussufa był przyzwyczajony do takiego terenu. Stąpał pewnie i widać było, że ma doświadczenie w odróżnianiu miejsc niebezpiecznych od bezpiecznych. Mój koń natomiast odznaczał się szczęśliwym instynktem i niezwykłą ostrożnością. Byłem pewny, że już po krótkiej wprawie stanie się dobrym alpinistą. Już dziś Rih pokazał, że się nie zmęczył, podczas gdy koń Jussufa pocił się i dyszał.

Po niecałych dwóch godzinach dotarliśmy do gęstwiny, poza którą widać było niemal strome ściany skalne.

— To jest ta dolina — oznajmił mój przewodnik.

— W jaki sposób można do niej zejść?

— Istnieje tylko jedna droga, tędy w dół.

— Czy ta ścieżka jest uczęszczana?

— Nie, jest nawet niewidoczna i nie można jej odróżnić od reszty terenu. Chodźmy!

Podążałem za Jussufem wzdłuż gęstych krzaków, zakrywających wokół całkowicie skraj doliny. Niewtajemniczony nie mógłby nawet przypuszczać, że posuwa się skrajem skał, za którymi rozciąga się dolina. Po jakimś czasie stanęliśmy w miejscu, gdzie przewodnik znowu zsiadł z konia. Wskazał ręką w prawo.

— Tędy przez las można dojść do Szeik Adi, lecz tylko jezydzi znają tę drogę. A tędy w lewo schodzi się w dolinę.

Jussuf rozchylił krzaki i wtedy ujrzałem w dole rozległą kotlinę o stromych ścianach, do której można było zejść jedynie z miejsca, gdzie się znajdowaliśmy. Tak samo droga z kotliny w górę prowadziła tylko tędy. Z trudem schodziliśmy w dół, trzymając konie za cugle. Będąc już na dole,

ogarnąłem dolinę wzrokiem. Była dość rozległa, aby kilka tysięcy ludzi mogło w niej znaleźć schronienie, - a liczne otwory pieczar obok innych oznak pozwalały przypuszczać, że niedawno przebywali tu ludzie. Dno doliny porastała obficie trawa, która mogła posłużyć do wypasu trzód. Kilka wywierconych studni zawierało dość wody pitnej.

Pozwoliliśmy paść się koniom, a sami ułożyliśmy się w trawie na odpoczynek.

Rozpocząłem rozmowę stwierdzeniem:

— Trudno by było znaleźć lepszą kryjówkę.

— Ta dolina służyła już temu celowi, efendi. Podczas ostatniego prześladowania jezydów znalazło tu schronienie przeszło tysiąc ludzi. Dlatego nikt z nas nie zdradzi tego miejsca. Możliwe bowiem, że znów zajdzie potrzeba korzystania z niego.

— Zdaje się, że to niebawem nastąpi.

— Wiem o tym. Tym razem nie chodzi jednak o prześladowanie nas z powodu naszej religii, lecz napaść ma nastąpić w celu obrabowania nas z naszych dóbr. Szekib Halil pasza wysłał przeciwko nam tysiąc pięciuset żołnierzy, którzy mają nas zaskoczyć; zawiedzie się jednak. Nie obchodziliśmy naszego święta od wielu lat, dlatego przybędzie dużo pielgrzymów. Będziemy więc mogli przeciwstawić Turkom kilka tysięcy gotowych do walki mężczyzn.

— Czy wszyscy pielgrzymi są uzbrojeni?

— Wszyscy. Sam się przekonasz, jak wiele się strzela podczas naszego święta. Namiestnik przez cały rok nie potrzebuje dla swoich żołnierzy tyle prochu, ile my w tych trzech dniach do radosnych wystrzałów.

— Dlaczego was prześladują?

— Rzeczono z powodu naszej wiary, efendi. Powiedziałem ci już jednak, że obecnie — a zresztą w ogóle — inne są tego przyczyny. Paszy religia jest obojętna. Zapatrzony jest tylko w jeden cel: wzbogacić się. Mają mu w tym dopomóc bądź to Arabowie, bądź to Chaldecyzy, albo też Kurdowie, czy jezydzi. A może sądzisz, że nasza wiara jest tak okropna, iż zasługuje na to, by ją wytępić?

Byłem zadowolony, że młodzieniec poruszył tę sprawę. Miałem bowiem nadzieję, że od niego dowiem się czegoś, czego jeszcze pir mi nie powiedział.

— Nie znam waszej wiary — odrzekłem.

— I nic jeszcze o niej nie słyszałeś?

— Bardzo mało, a w to, co słyszałem, nie wierzę.

— Tak efendi, mówi się o nas wiele rzeczy nieprawdziwych. Czy nie dowiedziałeś się także niczego od mojego ojca lub od Palego, czy Melafa?

— Nie, przynajmniej niczego istotnego. Sądzę jednak, że ty mi cośkolwiek powiesz.

— Nie mówimy nigdy z obcymi o naszej religii.

— Czy jestem dla ciebie obcym?

— Nie. Mojemu ojcu i jego towarzyszom uratowałeś życie, a teraz znowu ostrzegłeś nas przed Turkami, jak dowiedziałem się od beja. Jesteś jedynym, któremu udzielam informacji. Muszę ci jednak powiedzieć, że sam nie wszystko wiem.

— Czy są u was tajemnice, których nie wolno znać każdemu?

— Nie, Czyż jednak w każdej rodzinie nie ma takich spraw, które są wiadome tylko rodzicom? Nasi kapłani są naszymi ojcami.

— Czy mogę ci zadać kilka pytań?

— Pytaj! Proszę cię jednak, żebyś nie wymieniał jednego imienia.

— Wiem, co masz na myśli. Ale właśnie w tej sprawie chciałem się czegoś dowiedzieć. Czy

zechcesz mnie poinformować, jeśli będę unikał wypowiedziania tego słowa?

— O ile będę mógł.

Słowo, o którym napomknęliśmy, było imieniem szatana, którego jezyci nigdy nie wymawiają. Słowo „szatan” jest u nich w takiej pogardzie, że starannie unikają nawet słów brzmiących podobnie. Jeśli na przykład mówią o rzece, to używają zastępczego wyrazu „nahr”, a nigdy „szat”, ponieważ jest on pierwszą sylabą słowa „szatan”. Unika się także słowa „kejtan” (frędzla lub nitka), a również wyrazów „nal” (podkowa) i „nal-band” (kowal), gdyż przypominają wyrazy „lan” (przekleństwo) i „malun” (przeklęty). Czczyciele szatana mówią o nim tylko opisowo, i to z szacunkiem. Nazywają go „melek el kuth”, co znaczy „potężny król”, lub „melek ta'us”, czyli „król paw”.

— To obok dobrego Boga czczycie jeszcze inną istotę? — dociekałem dalej.

— Obok Boga? Nie. Istota, którą masz na myśli, nie jest równa Bogu. Ten meleklerin kyralyssy był najwyższą z istot niebiańskich, lecz Bóg był jego stwórcą i panem.

— Gdzież on jest teraz?

— Zbuntował się przeciwko Bogu i Bóg wygnał go z raju.

— Dokąd?

— Na ziemię i na wszystkie planety.

— Więc teraz ten meleklerin kyralyssy jest panem wszystkich, którzy przebywają w piekle?

— Nie, wy zapewne wierzycie, że on jest nieszczęśliwy po wieczne czasy?

— Tak.

— Czy wierzycie także, że Bóg jest nieskończenie dobry, łaskawy i miłosierny?

— Tak.

— Toteż Bóg przebaczy zarówno ludziom jak i aniołom ich grzechy przeciwko niemu. My w to wierzymy i dlatego uważamy tego, którego masz na myśli, za godnego pożałowania. Teraz może nam szkodzić, dlatego nie wymawiamy jego imienia. Później, kiedy odzyska swoją potęgę, będzie mógł ludzi wynagrodzić i dlatego nie mówimy o nim źle.

— Czczycie go? Modlicie się do niego?

— Nie, gdyż jest tworem Boga, jak i my. Staramy się jednak nie obrażać go.

— Co oznacza kogut, obecny podczas waszych nabożeństw?

— Ten ptak jest symbolem czujności. Czyż nie opowiedział wam Syn Boży o pannach, które oczekiwały oblubieńca?

— Oczywiście. Znam tę przypowieść.

— Pięć z nich zasnęło i nie dostało się do nieba. Owe panny nie były więc czujne. A znasz opowiadanie o uczniu, który zaparł się swego mistrza?

— Tak.

— W momencie, kiedy uczeń wypierał się znajomości z mistrzem, zapiał kur. To wszystko mamy w pamięci. Obraliśmy więc koguta za znak ku przestrodze, aby czuwać i oczekiwać wielkiego oblubieńca.

— Czy wierzycie w to, o czym głosi święta księga chrześcijan?

— Wierzymy, jakkolwiek nie wszystko jest mi wiadome, co zawiera.

— Czy nie posiadacie także świętej księgi, w której są spisane wszystkie wasze nauki?

— Mieliśmy taką księgę. Przechowywano ją w Baaszeika, lecz słyszałem, że zaginęła.

— Jakie są wasze święte obrządki?

— Poznasz je wszystkie w Szejk Adi.

— Czy możesz mi powiedzieć, kim był szejk Adi, od nazwiska którego wzięła nazwę miejscowość?

— Był świętym i mieszka u Boga.

— Czy modlicie się do niego?

— Nie. Czczymy go tylko w ten sposób, że u jego grobu modlimy się do Boga.

— Czy istnieje u was hierarchia kapłańska?

— Tak. Najwyższy stopień tej hierarchii — 'to pir. To słowo znaczy właściwie tyle, co „stary człowiek”. Tu jednak oznacza „świętego męża”.

— Jaki strój noszą pirowie?

— Mogą się ubierać, jak im się podoba. Wiodą bogobojny żywot i za ich pośrednictwem Bóg uzdrawia ciała i dusze ludzkie.

— Czy dużo jest pirów?

— Obecnie znam tylko trzech. Pir Kamek jest największym spośród nich.

— A następni w hierarchii?

— Następni są szejkwie. Muszą oni znać na tyle język arabski, żeby rozumieć nasze święte pieśni.

— Czy te pieśni śpiewa się po arabsku?

— Tak.

— A dlaczego nie w języku kurdyjskim?

— Tego nie wiem. Z grona szejków wybiera się strażników Świętego Grobu. Muszą przy grobie podtrzymywać ogień i przyjmować pielgrzymów.

— Czy wyróżniają się szczególnym strojem?

— Ubierają się na białło i na znak swego urzędu przepasują się czerwono-żółtymi szarfami. Po szejkach są kaznodzieje, którzy zwą się „kawali”. Oni grają na świętych instrumentach i wędrują z miejsca na miejsce, aby nauczać wiernych.

— Co się składa na święte instrumenty?

— Tamburyn i flet. Kawali śpiewają również podczas wielkich świąt.

— Jak się ubierają?

— Mogą nosić ubiór w każdym kolorze, przeważa jednak biały. Wówczas ich turbany muszą być czarne, żeby ich można było odróżnić od szejków. Następni w hierarchii kapłańskiej są fakirzy, którzy pełnią niższą służbę zarówno przy grobie, jak też gdzie indziej. Noszą przeważnie ciemny ubiór i czerwoną chustę w poprzek turbanu.

— Kto mianuje waszych kapłanów?

— Nikt ich nie mianuje, gdyż urząd kapłański jest dziedziczny. Jeśli kapłan umiera, nie pozostawiając syna, to urząd kapłański przechodzi na najstarszą córkę zmarłego.

Wydało mi się to oczywiście bardzo dziwne, zwłaszcza na Wschodzie.

— Kto jest najwyższym kapłanem?

— Szejk w Baadri. Nie widziałeś go jeszcze, gdyż przebywa już w Szeik Adi, aby przygotować nasze wielkie święto. Czy masz jeszcze jakieś pytania?

— Jeszcze wiele. Czy uznajecie chrzest?

— Chrzest i obrzezanie.

— Czy istnieją tak zwane nieczyste potrawy, których wara nie wolno jeść?

— Nie spożywamy wieprzowiny i nie barwimy nic na niebiesko, gdyż niebo jest tak wzniosłe i doskonałe, że nie uznajemy za stosowne nadawać jego barw ziemskim rzeczom.

— Czy obowiązuje was kibla?

— Tak. Modląc się, zwracamy się twarzą w kierunku, gdzie w danym dniu wzeszło słońce. Umarłych także grzebie się w ten sposób, żeby twarzą byli tam zwrócenii.

— Wiesz może, skąd pochodzą wasze wierzenia?

— Przyniósł je nam święty szejk Adi. Pochodzimy natomiast z krajów, leżących nad dolnym Eufratem. Potem nasi ojcowie zawędrowali do Syrii, w góry Sindzar i w końcu osiedliśmy tutaj.

Byłbym jeszcze chętnie stawiał dalsze pytania, lecz nagle z góry dał się słyszeć krzyk i kiedy podnieśliśmy wzrok, ujrzeliśmy Seleka, który właśnie zamierzał zejść w dolinie. Wkrótce znalazł się przy nas.

— Omal was nie zastrzeliłem — rzekł na powitanie.

rły Nas? Dlaczego? — spytałem.

— Z góry trudno mi było was rozpoznać, a nikt obcy nie śmie wtargnąć do tej doliny. Potem was jednak poznałem. Przychodzę się zorientować, czy będą tu potrzebne jakieś przygotowania.

— Do przyjęcia uchodźców?

— Uchodźców? — powtórzył zdziwiony. — My nie będziemy uciekać. Przeciwnie. Opowiedziałem bejowi, jak chytrze zwabiłeś nieprzyjaciół plemienia Szammarów do doliny, w której wzięliście wrogów do niewoli. My zrobimy tutaj tak samo.

— Chcecie tu zwabić Turków?

— Nie tu, lecz do Szejka Adi. W tej dolinie natomiast, podczas walki, która się tam będzie rozgrywała, mają zebrać się pielgrzymi, nie posiadający broni. Tak polecił Ali bej i szejk się z tym zgadza.

Selek zbadał wodę i pieczary, a następnie zapytał, czy nie zechcielibyśmy z nim razem wyjść z doliny. Wyprowadziliśmy więc nasze konie znowu w górę, dosiedliśmy ich i pogalopowaliśmy prosto w kierunku Baadri. Przybywszy tam, zastałem beja nieco podenerwowanego.

— W czasie, kiedy ciebie tu nie było, otrzymałem ważną wiadomość — powiedział. — Turcy z Diarbekru stoją już nad rzeką Gomel, a ci z Kerkuku także już doszli do tej rzeki, poniżej góry Maklub.

— Więc twoi wywiadowcy wrócili już z Amadije?

— Wcale tam nie dotarli, musieli się bowiem rozdzielić, aby obserwować nieprzyjacielskie wojska. Mamy więc już dowód, że napaść zaplanowano tylko na nas.

— Czy już wszyscy o tym wiedzą?

— Nie, bo wówczas nieprzyjaciel mógłby się dowiedzieć, że znajdzie nas przygotowanych. Oświadczam ci, efendi, że albo zginę, albo dam Szekibowi Halilowi paszy nauczkę, której nigdy nie zapomni!

— Zostanę u ciebie do zakończenia walki.

— Dziękuję ci. W bitwie jednak nie weźmiesz udziału!

— Dlaczego?

— Jesteś moim gościem. Bóg powierzył mi twoje życie.

— Bóg je najlepiej uchroni. Mam być twoim gościem, a pozwolić ci iść w bój samemu? Twoi ludzie powiedzieliby potem, że jestem tchórzem!

— Tego nigdy nie powiedzą. Czyż nie byłeś również gościem paszy? Czyż me otrzymałeś od niego paszportu i listów polecających? A teraz chcesz walczyć przeciwko niemu? A poza tym, czy nie musisz oszczędzać sił, aby uwolnić syna twego przyjaciela? Zresztą, czy nie możesz mi pomagać, nie zabijając moich wrogów?

— Masz rację. Nie myślałem o zabijaniu, lecz takim zadziałaniu, które pozwoliłoby uniknąć rozlewu krwi.

— Pozostaw to mnie, efendi. Nie jestem żadny krwi. Chcę tylko zmusić tyrana do odwrotu.

— Jak to chcesz osiągnąć?



— Czy wiesz, że do Szeik Adi przybyło już około trzech tysięcy pielgrzymów? Do rozpoczęcia uroczystości liczba ich wzrośnie do sześciu tysięcy osób albo i więcej.

— Ogółem mężczyzn, kobiet i dzieci?

— Tak. Kobiety i dzieci ulokują w dolinie Idis. Zatrzymam przy sobie tylko mężczyzn. Nieprzyjacielskie wojska z Diarbekru i Kerkuku połączą się w drodze z Kaloni, a wojska z Mosulu nadciągną przez Dżerraije lub Ain Sifni Mają w planie osaczyć nas w dolinie Świętego. My jednak wejdziemy w górę ponad grobem Świętego i otoczmy dolinę z chwilą, kiedy wojska do niej wkroczą. Moglibyśmy wówczas wybić nieprzyjaciela do ostatniego żołnierza gdyby się nie poddał. Jeśli się natomiast zdecyduje poddać, wyślę do paszy posłańca i postawię warunki, na jakich skłonny będę uwolnić wojska z pułapki. Pasza będzie się wówczas musiał usprawiedliwić przed sułtanem w Stambule.

— Szeikib Halil przedstawi zapewne sułtanowi sprawę w fałszywym świetle.

— Nie uda się namiestnikowi wprowadzić w błąd padyszacha, gdyż wysłałem już potajemnie poselstwo do Stambułu. Wyprzedzi ono posłów Szeikiba.

Musiałem przyznać, że Ali bej był nie tylko odważnym, lecz także mądrym i dalekowzrocznym człowiekiem.

— Jaką mi wyznaczysz rolę? — spytałem.

— Pójdiesz z tymi, którzy zaopiekują się naszymi kobietami i dziećmi oraz naszym majątkiem.

— Zabierzecie ze sobą wasz dobytek?

— Tyle, ile się uda przenieść. Jeszcze dziś wydam polecenie mieszkańcom Baadri, żeby wszystko przetransportowali do doliny Idis, lecz po kryjomu, aby nieprzyjaciel nie odkrył mego planu.

— A szejk Mohammed Emin?

— Szejk Haddedińnow pójdzie z tobą. Nie możecie się przecież teraz dostać do Amadije, gdyż droga w tamtym kierunku nie jest już wolna.

— Turcy musieliby uszanować bujuruldu sułtana i polecający list namiestnika.

— Zapewne. Wśród żołnierzy są jednak także ludzie z Kerkuku i bardzo możliwe, że któryś z wojaków zna Mohammeda Emina.

Podczas naszej rozmowy weszło do domu dwóch mężczyzn. Byli to moi znajomi, Pali i Melaf. Ujrzawszy mnie, nie posiadali się z radości i ucałowali moje ręce.

— Gdzie znajduje się obecnie pir? — spytał Ali bej.

— W grobowcu Jonasza pod Kujundżikiem. Poleciał nam powiedzieć ci, że nieprzyjaciel ma nas napaść w drugim dniu święta wczesnym rankiem.

— Czy pir Kamek zna pretekst, jaki ma posłużyć paszy do napaści na nas?

— Tak. Dwaj jezydzi zamordowali rzekomo Turka w miejscowości Malthaije. Szeikib Halil chce ująć sprawców w Szeik Adi.

— W Malthaije trzech Turków zamordowało dwóch jezydów. Taka jest prawda. Widzisz więc, efendi, jacy zakłamanymi i przewrotnymi są Turcy? Mordują naszych ludzi, aby mieć pretekst do wtargnięcia na nasz teren. Otrzymają odpowiednią nauczkę!

Udałem się ze swoim tłumaczem Jussufem na dach budynku, w którym mieściło się moje mieszkanie, aby kontynuować ćwiczenia językowe. Mohammed Emin towarzyszył nam przy tym milcząco, palił fajkę i dziwił się bardzo, że zadaję sobie tyle trudu, ażeby móc odczytać i zrozumieć książkę, napisaną w obcym języku. Ćwiczeniom językowym poświęciłem cały dzień do późnego wieczora. Następnego dnia przeszedł mi również na tym zajęciu.

Zauważyłem przy tym, że mieszkańcy Baadri wynosili swoje mienie, starając się robić to

możliwie po kryjomu.

W jednej z izb naszego domu odlewano kule karabinowe. Poza tym pragnę nadmienić, że przez cały czas nie było słycać ryku osła buluka emini. Widocznie jego pan przywiązywał mu regularnie z nastaniem zmierzchu kamień do ogona.

Tymczasem bezustannie przybywali pielgrzymi, bądź to pojedynczo, bądź to całymi rodzinami lub większymi grupami. Wielu pielgrzymów było biednych, zdanych na miłosierdzie i dobroczynność zamożniejszych. Ci przyprowadzali to kozę, to tłustego barana, jeszcze bogatsi ofiarowywali jednego lub dwa woły. Kilkakrotnie zaobserwowałem, że pędzono całe stada zwierząt rzeźnych. Były to podarunki i ofiary, składane przez zamożnych pielgrzymów u grobu Świętego, ażeby ich ubodzy bracia nie cierpieli głodu. Dużo ludzi przychodziło i odchodziło. Pośród nich nie- zauważyłem jednak przydanych mi przez paszę dla ochrony baszybozuków i Arnautów Przepadli bez wieści i nigdy się nie dowiedziałem, co się z nimi stało.

W trzy dni po rozmowie z Alim bejem, w pierwszym dniu rozpoczynających się świąt, siedziałem jak zwykle ze swoim tłumaczem nad książką. Słońce jeszcze nie wzeszło. Byłem tak pogrążony w lekturze, że nie zauważyłem wejścia buluka emini.

— Emirze! — zawołał grubas po kilkakrotnym chrząknięciu.

— O co chodzi?

— Trzeba się zbierać i wychodzić z miasta!

Teraz dopiero zauważyłem, że baszybozuk był już gotowy do drogi Oddałem książkę Jussufowi i skoczyłem na równe nogi. Zupełnie zapomniałem, że muszę się wykapać i włożyć czystą bieliznę, aby pojawić się godnie u grobu Świętego. Sięgnąłem więc po świeżą bieliznę i pobiegłem ku rzece za wioską. W rzece rojno było od kąpiących się ludzi i musiałem iść wzdłuż brzegu dośzyst daleko, by znaleźć miejsce, gdzie bym mógł swobodnie się wykapać, nie zwracając na siebie uwagi.

Znalazłem ustronie, wykapałem się i wdziałem świeżą bieliznę, co niezbyt często się udaje zrobić, podróżując po krajach Wschodu. Poczułem się więc jak nowo narodzony i już miałem wracać, kiedy zwróciło moją uwagę lekkie poruszenie się krzaków, rosnących wzdłuż brzegów rzeczki. Czyżby kryło się tam jakieś zwierzę, a może zaczął się człowiek? Znajdowaliśmy się w gotowości bojowej, a więc trzeba się było mieć na baczności. Postanowiłem zbadać sprawę. Udałem, że nic nie zauważyłem i zrywając jakby od niechcienia kwiaty, zbliżałem się na pozór nieumyślnie do miejsca, w którym spostrzegłem poruszenie się krzaków. Zwróciłem się przy tym plecami do zarośli. Nagle obróciłem się raptownie i jednym susem znalazłem się pośrodku gęstych krzewów... Przede mną siedział w kucki jakiś człowiek. Był młody, lecz miał wygląd żołnierza, chociaż jedyną bronią, jaką u niego zauważyłem, był nóż. Na prawym policzku tego człowieka widniała szeroka blizna. Podniósł się i chciał się szybko oddalić, lecz złapałem go za rękę i przytrzymałem.

— Co tu robisz? — spytałem.

— Nic.

— Kim jesteś?

— Jednym... jednym z jezydów — powiedział nieśmiało.

— Skąd?

— Nazywam się Lassa i jestem z rodu Dassini.

Słyszałem, że Dassini należą do najznamienitszych rodzin wśród jezydów. Człowiek z blizną nie wyglądał jednak jak czciciel szatana,

— Pytałem cię, co tu robisz?

— Chciałem się kąpać.

— Gdzie masz bieliznę?

— Nie mam żadnej.

— Byłeś tu przede mną, miałeś więc prawo tu pozostać i nie potrzebowałeś się ukrywać w krzakach. Gdzie spałeś tej nocy?

— U — u — u — nie znam jego nazwiska.

— Członek rodu Dassini nie wchodzi pod dach człowieka, którego nie zna. Chodź ze mną i pokaż mi swojego gospodarza!

— Muszę się wpierw wykąpać.

— Zrobisz to później. Naprzód!

Rzekomy Dassini próbował uwolnić rękę z mojego uścisku.

— Jakim prawem odzywasz się do mnie w ten sposób — warknął.

— Prawem człowieka ostrożnego. Nie ufam ci.

— Równie dobrze mógłbym nie dowierzać tobie.

— Oczywiście. Proszę cię nawet, żebyś mi nie ufał. Zaprowadź mnie do wsi i okaże się, kim jestem.

— Idź, dokąd ci się podoba!

— Tak też zrobię, lecz ty będziesz mi towarzyszył.

Jego spojrzenie zatrzymało się na moim pasie. Zauważył, że nie mam broni. Zdałem sobie sprawę, że miał zamiar zrobić użytek ze swego noża. Dlatego wzmocniłem uścisk wokół przegubu jego ręki i pchnąłem go, zmuszając do wyjścia z zarośli.

— Na co sobie pozwalasz? — ofuknął mnie.

— Pójdiesz ze mną; natychmiast!

— Puść moją rękę, w przeciwnym razie...! — Co w przeciwnym razie?

— Użyję siły!

— Bardzo proszę!

— No to...!

Wolną ręką wyrwał nóż z pasa i zamierzył się na mnie. Chwyciłem jednak błyskawicznie od dołu jego drugą rękę.

— Szkoda mi ciebie, gdyż zdaje się, że nie jesteś tchórzem — powiedziałem.

Wzmocniłem uścisk ręki, w której trzymał nóż, tak że był zmuszony rozewrzeć palce. Podniosłem szybko nóż, a człowieka złapałem za kurtkę.

— Teraz naprzód, bo jeśli nie pójdziesz...! Nieś moją bieliznę! Obcy próbował teraz uciec się do próśb.

— Panie, oszczędź mnie!

— Dziwi mnie twoje żądanie! — Czy jesteś jezydą?

— Nie.

— To dlaczego chcesz mnie zaprowadzić do wioski?

— Powiem ci, dlaczego. Jesteś tureckim żołnierzem, szpiegiem! Twarz obcego okryła się bledością.

— Mylisz się, panie! Skoro nie jesteś jezydą, to puść mnie wolno!

— Obojętnie, czy jestem jezydą, czy nie — naprzód!

Obcy wił się i szarpał w moim ręku, lecz iść musiał. W Baadri wywołaliśmy nie lada sensację. Wzburzony tłum towarzyszył nam aż do mieszkania Alego beja. Znajdował się w selamliku. Tam też wprowadziłem schwytanego przez siebie obcego.

Mój więzień nie zauważył stojącego blisko drzwi baszybozuka, który zrobił zdziwioną minę,

kiedy przechodziliśmy obok niego. Widocznie znał podejrzanego.

— Kogo mi przyprowadziłeś? — spytał Ali bej.

— Obcego, którego spotkałem nad rzeką. Ukrywał się w miejscu, z którego można obserwować całą wioskę, a także drogę do Szeik Adi.

— Kim on jest?

— Twierdzi, że nazywa się Lassa i pochodzi z rodu Dassini.

— To musiałbym go znać. Nie ma także wśród Dassinich nikogo o takim nazwisku.

— Ten człowiek zamierzył się na mnie sztyłem, kiedy go zmuszałem do pójścia ze mną. Oto on.

Zrób z nim, co chcesz!

Opuściłem pokój. Przed domem stał jeszcze buluk emini.

— Czy znasz tego człowieka, którego przyprowadziłem? — zapytałem.

— Tak. Co on zrobił, efendi? Pewnie się omyliłeś. On nie jest złodziejem ani rabusiem.

— A kim jest?

— To jest Nassyr aga, kolagassi z mojego pułku. Jest przyjacielem mirałaja Omara Ameda.

— Dobrze. Powiedz Hadzi Halefowi, żeby osiodłał mojego konia!

Wróciłem do selamliku, gdzie w obecności Mohammeda Emina i innych starszych mieszkańców wsi zaczęło się właśnie przesłuchanie więźnia.

— Od kiedy kryłeś się w krzakach? — spytał Ali bej.

— Od chwili, kiedy ten człowiek zaczął się kąpać.

— Ten człowiek, to efendi, zapamiętaj to sobie! Nie pochodzisz z rodu Dassini i w ogóle nie jesteś jezydą. Jak się nazywasz?

— Tego nie powiem!

— Dlaczego?

— Daleko stąd, w górach Kurdystanu czeka na mnie krwawa zemsta; muszę więc przemilczeć kim jestem i jak się nazywam.

— Od kiedy to oficer sztabowy ma coś wspólnego z wendetą wolnych Kurdów? — spytałem.

Nassyr aga drgnął i zbladł jeszcze bardziej niż przedtem nad rzeką.

— Oficer sztabowy? Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał rezolutnie.

— To — oparłem — że Nassyra agę, zaufanego mirałaja Omara Ameda znam tak dokładnie, że nie dam się zwieść.

— Ty... ty... mnie znasz? Wallahi, to jestem zgubiony! To moje nieszczęście!

— Nie, to nie jest twój kismet. Przyznaj się szczerze, co tu robiłeś; jeżeli powiesz prawdę, to może nic ci się nie stanie.

— Nie mam nic do powiedzenia. Bej, zirytowany, podniósł głos.

— To jesteś zgu...

Przerwałem mu szybkim ruchem ręki i zwróciłem się do więźnia:

— Czy to, co mówiłeś o wendecie, to prawda?

— Tak, efendi!

— Bądź więc w przyszłości ostrożniejszy. Jeśli mi przyrzekniesz, że niezwłocznie wrócisz do Mosulu i odsuniesz sprawę zemsty na później, będziesz wolny.

— Efendi! — zawołał bej przestraszony. — Zastanów się przecież, że my...

— Wiem, co chcesz powiedzieć — przerwałem mu ponownie. — Ten człowiek jest sztabowym oficerem padyszacha, wojskowym wysokiej rangi, który być może zostanie niebawem generałem, a ty żyjesz z paszą w przyjaźni i pokoju. Przykro mi, że zaczepiłem tego oficera, co nie byłoby się stało, gdybym go od razu poznał. Obiecujesz mi więc, że wrócisz niezwłocznie do Mosulu?

— Przymierzam.

— Czy twoja wendeta dotyczy kogoś z jezydów?

— Nie.

— Więc idź i niech cię Allah strzeże, żeby twoja zemsta nie obróciła się przeciwko tobie!

Nassyr aga stał zdumiony. Jeszcze przed chwilą był pewny, że nie uniknie śmierci, a teraz jest wolny.

— Efendi, dziękuję ci! Allah niech błogosławi ciebie i wszystkich twoich bliskich!

Rzekłszy to, błyskawicznie opuścił pokój. Prawdopodobnie żywił obawę, że moglibyśmy jeszcze pożałować naszej wspaniałomyślności.

— Coś ty zrobił? — rzekł Ali bej, bardziej zagniewany niż zdziwiony.

— Postąpiłem najlepiej, jak mogłem — odpowiedziałem.

— Najlepiej? Ten człowiek jest szpiegiem! Zasłużył na śmierć!

— Wszystko to prawda.

— A ty darowałeś mu wolność? Nie zmusiłeś go do przyznania się?

Inni obecni patrzyli na mnie również z ponurą miną. Nie przejąłem się tym jednak i zapytałem Alego beja:

— Czego byś się dowiedział od szpiega, wymuszając na nim zeznanie?

— Być może dużo.

— Chyba nie więcej od tego, co już wiemy. Poza tym Nassyr aga wydaje się człowiekiem, na którym nie można niczego wymóc. Umarłby raczej, niż wyznał cokolwiek.

— To byśmy go zabili.

— Co osiągnęlibyśmy tym?

— O jednego szpiega byłoby mniej.

— Tak, lecz pociągnęłoby to za sobą jeszcze inne następstwa. Przecież wysłano sztabowca, żeby się przekonał, czy spodziewamy się napaści. Gdyby nie wrócił do swoich, nieprzyjacieli miałby pewność, że zostaliśmy ostrzeżeni. Teraz jednak, kiedy Nassyr aga odzyskał wolność, miralaj Omar Amed będzie przekonany, że nie mamy zielonego pojęcia o zamierzonym przez paszę napadzie. Obaj pomyślą zapewne, że byłoby największą głupotą z naszej strony wypuścić na wolność szpiega, gdybyśmy wiedzieli o planowanym na nas napadzie. Czy nie mam racji?

— Wybacz, efendi! Nie byłem tak dalekowzroczny jak ty. Wyślę jednak za oficerem zwiadowcę, aby się upewnić, czy naprawdę odszedł. — Tego też nie zrobisz. Nassyr aga wtedy właśnie mógłby zacząć podejrzewać, że wypuszczenie go na wolność jest tylko manewrem z naszej strony, mającym na celu wprowadzić w błąd namiestnika. Na pewno nie zechce tu pozostać; zresztą napływa teraz dużo ludzi, od których będziesz się mógł dowiedzieć, czy go po drodze spotkali.

Przekonałem jezydów. Byłem zadowolony, że udało mi się osiągnąć w ten sposób podwójną korzyść. Uratowałem życie człowiekowi, który wypełniał przecież tylko swój obowiązek, a zarazem udaremniłem namiestnikowi wykonanie planu napaści na jezydów. Z tym przyjemnym uczuciem zadowolenia z siebie udałem się do komnaty niewieściej na śniadanie. Przedtem jednak wyjąłem ze swojego zbioru pamiątek, otrzymanego od Isli ben Maflei, bransoletkę, do której przytwierdzona była kapsułka.

Mały bej także już nie spał. Podczas gdy matka trzymała go na kolanach, próbowałem narysować jego śliczną twarzyczkę. Udało mi się to nie najgorzej, gdyż dzieci w pewnym wieku są na ogół do siebie podobne. Potem włożyłem rysunek do kapsułki i podałem matce bransoletkę.

— Noś to na pamiątkę po Alemanie — poprosiłem. — W puszcze bransoletki znajduje się twarz twojego syna; pozostanie ona na papierze wiecznie młoda, nawet kiedy twój syn się zestarzeje.

Obdarowana, przyjrząwszy się rysunkowi, była zachwycona. W ciągu kilku minut pokazała rysunek wszystkim mieszkańcom domu i wszystkim obecnym. Ledwie mogłem się opędnąć od gestów i objawów okazywanej mi wdzięczności. Wkrótce wyruszyliśmy, niestety nie w wesołym świątecznym nastroju, lecz z powagą, odpowiadającą sytuacji.

Ali bej przywdział swój najlepszy strój. Jechał ze mną na przedzie, a za nami podążali najznamienitsi mieszkańcy Baadri. Mohammed Emin jechał przy naszym boku. Był markotny, gdyż podróż do Amadije musiała zostać odroczone. Przed nami maszerował orszak muzykantów, grających na piszczałkach i tamburynach. Za muzykantami szły kobiety pędząc przeważnie osły, objuczone dywanami, poduszkami i najrozmaitszymi sprzętami domowymi.

— Czy poczyniłeś w Baadri odpowiednie przygotowania? — zapytałem Alego beja.

— Tak. Aż do Dzerraije rozstawione są posterunki, które mają mi meldować zbliżenie się wroga.

— Czy oddasz Baadri Turkom bez walki?

— Wojska tureckie przejdą zapewne cicho przez miasto, żeby nie zwrócić przed czasem naszej uwagi.

Wokół nas robiło się teraz gwarno. Otaczali nas jeźdźcy, popisujący się markowanymi pojedynkami, i ze wszystkich stron słychać było bezustannie strzały. Droga, którą posuwaliśmy się, stawała się coraz węższa i wiła się miejscami tak stromo w górę, że trzeba było zsiąść z koni i prowadzić je za uzdę gęsiego. Dopiero po upływie godziny osiągnęliśmy przełęcz, skąd można było rzucić okiem na zieloną, zalesioną dolinę miejscowości Szeik Adi.

Kto tylko ujrzał biały wierzchołek wieży grobowca, strzelał w powietrze. Z dołu odpowiadały bezustannie strzały. Wydawało się, że to bitwa, której odgłosy odbijają się w górach echem. Za nami przybywały nowe gromady ludzi, a kiedy zboczem schodziliśmy do doliny, ujrzeliśmy po prawej i lewej stronie licznych pielgrzymów, leżących pod drzewami. Wypoczywali tutaj po trudach wspinaczki, rozkoszując się widokiem świętego miejsca i wspaniałego górskiego krajobrazu, który mieszkańcom równin musiał się zapewne wydawać prawdziwym cudem.

Nie doszliśmy jeszcze do grobowca, kiedy naprzeciw nam wyszło kilku szejków z duchowym zwierzchnikiem jezydów, mirem Szejkiem chanem na czele. Powszechnie zwą go Hadzi Emirem. Pochodzi rzekomo od Omajjadów. Jego rodzina uchodzi za najznamienitszą wśród rodzin jezydów. Rodzina ta zwie się Posmir lub Bejsade.

Mir Szejk chan był krzepkim starcem o czcigodnym wyglądzie i wydawał się człowiekiem bardzo skromnym, gdyż uklonił mi się pierwszy i objął nawet jak syna.

— Aleik selam u rahmet Allah. Ser sere men at — pokój i miłosierdzie Boże niech będzie z tobą! Witam was! — pozdrowił.

— Chode szogholeta rast init — niech cię Bóg wspiera w sprawowaniu twego urzędu! — odpowiedziałem. — Czy nie zechciałbyś jednak mówić ze mną po turecku? Nie znam jeszcze dobrze języka waszego ludu.

— Rozporządzaj mną według twojej woli i bądź gościem w domu tego, przy którego grobie czcimy jego wszechmoc i łaskę.

Kiedy Szejk chan zbliżał się do nas, zsiadliśmy z koni. Na jego skinienie zaopiekowano się naszymi wierzchowcami, a my, to znaczy Ali bej, Mohammed Emin i ja, szliśmy z Szejkiem chanem w kierunku grobowca. Najpierw weszliśmy na otoczone murem podwórze, wypełnione już ludźmi. Potem znaleźliśmy się przy wejściu na wewnętrzny dziedziniec, dokąd jezydzi wchodzą tylko boso. Za ich przykładem zdjąłem obuwie, pozostawiając je przy wejściu.

Dziedziniec był obsadzony licznymi drzewami, w cieniu których pielgrzymi znajdowali ochłodę. Gęsty krzak oleandra obsypany był kwieciami, a ogromny krzew winorośli tworzył naturalną altanę,

ku której prowadził nas mir Szejk chan, abyśmy tam usiedli i odpoczęli. Kilku szejków w otoczeniu grupy mężczyzn siedziało w cieniu drzew. Poza tym byliśmy sami.

Na tym podwórku wznosi się właściwy gmach grobowca. Po jego obu stronach sterczą dwie białe wieże, odcinając się wyraziście od głębokiej zieleni doliny. Jest to miły widok dla oka. Szczyty wież są połączone, a liczne wręby w ich ścianach dają wspaniałą grę światła i cieni. Nad bramą wyryte są figury: lew, Wąż, topór, sylwetka mężczyzny i grzebień. Wnętrze budowli, jak później stwierdziłem, jest podzielone na trzy części. Jedna jest większa od dwóch pozostałych, stanowiąc hol, otoczony kolumnami i lukami. W tym holu znajduje się studnia, z której woda uchodzi za świętą. Tą wodą chrzci się dzieci. W jednej z mniejszych naw znajduje się właściwy grób Świętego. Nad grobem wznosi się duża obudowa o kształcie kostki, wykonana z gliny i powleczone gipsem. Sześcian grobowca okrywa — jako jedyna ozdoba — zielona haftowana chusta. Poza tym w tym pomieszczeniu pali się wieczna lampka. Gлина sześcianu wymaga od czasu do czasu uzupełnienia, ponieważ strażnicy grobu sporządzają z niej małe kulki, kupowane chętnie przez pielgrzymów na pamiątkę, a może także noszone przez nich na łańcuszkach jak wisiorki, gwarantujące błogosławieństwo Boże. Kulki znajdują się w naczyniu, umieszczonym na krzewie winnej latorośli, i są różnej wielkości, począwszy od ziarnka grochu do glinianych, czy też szklanych kulek, jakimi u nas bawią się dzieci.

W drugiej, mniejszej, nawie także jest grób. Jezydzi jednak sami nie wiedzą, co kryje.

W murze otaczającym świątynię znajdują się liczne wnęki, w których podczas świąt ustawia się lampki oliwne. Wokół grobowca stoją zabudowania, w których mieszkają kapłani i służba należąca do świątyni. Natomiast sama miejscowość Szeik Adi leży w wąwozie, wokół którego wznoszą się ze wszystkich stron strome skały. Poza świątynią znajdują się tam przede wszystkim budynki, przeznaczone dla pielgrzymów. Każdy ród, a nawet każda większa grupa jezydów, ma tutaj domek wyłącznie dla siebie.

Przed murami miejscowości odbywał się prawdziwy jarmark. Na gałęziach drzew wisały najrozmaitsze materiały i tkaniny. Oferowano różne gatunki owoców i wszelkiego rodzaju artykuły spożywcze. Można tu było również nabyć broń, biżuterię i orientalne rozmaiłości. W wiosce Świętego panowały tak ożywiony ruch i taka atmosfera swobody i niefrasobliwości, że gdyby nie wschodni strój pielgrzymów, miałbym wrażenie, iż znajduję się w ojczyźnie. Doprawdy czciciele szatana podobali mi się coraz bardziej. Podzielałam zdanie pewnego podróżnika, który spędził kilka tygodni w Tell Uskuf i spotkał się ze mną w Konstantynopolu. Oświadczył mi mianowicie:

„Oczernia się czcicieli szatana, ponieważ są lepsi od swych oszczerców. Gdyby czciciele szatana byli liczniejsi i nie tak rozproszeni, mogliby się stać Niemcami Azji i nigdzie chyba chrześcijaństwo nie znalazłoby podatniejszego gruntu niż u tych ludzi. Sądzę, że niektórzy zamorscy misjonarze przedstawiają jezydów w fałszywym świetle tylko dlatego, żeby w ten sposób wytłumaczyć swoje zbyt małe sukcesy w ich nawracaniu”.

Obserwując wszystko naokoło, starałem się trzymać na wodzy własną ciekawość, żeby nie być zbyt natrętnym i może właśnie dlatego moje rozmowy z jezydami przebiegały w tak serdecznej formie, jakbyśmy byli członkami jednej rodziny i znali się oraz szanowali od dziecięcych lat. Najpierw mówiliśmy o mającym nastąpić napadzie. Rychło jednak porzuciliśmy ten temat, gdyż okazało się, że Ali bej przedsięwziął już z największą starannością odpowiednie kroki w obronie kraju. Potem poruszyliśmy sprawę Mohammeda Emina i moją w niej rolę. Wreszcie rozmowa zesłała na nasze przeżycia i obecne zamiary.

— Być może znajdziecie się również w niebezpieczeństwie i będziecie potrzebowali pomocy — wyraził obawę mir Szejk chan. — Dam wam wsparcie i będę was wspierał — powiedział mi Szejk chan. — Dam wam wsparcie i będę was wspierał — powiedział mi Szejk chan.

jezydów, którym go pokażecie.

— Dziękuję ci. Czy to będzie list? — zapytałem.

— Nie, będzie to melek ta'us.

Usłyszawszy to, omal me podskoczyłem ze zdziwienia. To przecież była nazwa szatana, nazwa owego zwierzęcia, które według oszczerczych pogłosek znajdowało się podczas nabożeństw jezydów na ołtarzu i gasiło świece, kiedy miały się rozpocząć tajemne obrzędy! Była to także nazwa pełnomocnictwa, udzielanego przez mira Szejka chana kapłanowi, którego obdarzał jakąś specjalną misją. I to tajemnicze słowo, wywołujące liczne spory, mir Szejk chan wymawia wobec obcego tak spokojnie?

Przybrawszy możliwie najbardziej naturalną minę, zapytałem:

— Melek ta'us? Czy mogę spytać, co to jest?

Uprzejmie, mniej więcej tonem ojca wyjaśniającego coś synowi, duchowy zwierzchnik jezydów odpowiedział:

— Nazwą „melek ta'us” określamy tego, którego właściwego imienia u nas się nie wymawia. Melek ta'us zwie się również zwierzę, które uważamy za symbol odwagi i czujności, oraz jego wizerunek, którym obdarzamy ludzi zaufanych. Wiem, że opowiada się o nas niestworzone rzeczy, ale wiem także, że przed tobą bronić nas nie potrzebuję. Rozmawiałem kiedyś z człowiekiem, który zwiedził wiele chrześcijańskich kościołów. Powiedział mi, że znajdują się w nich obrazy Matki Boskiej, Syna Bożego i wielu świętych. Macie podobno także oko, oznaczające Boga Ojca, oraz gołębia, symbol Ducha Świętego. Modlicie się w miejscach, gdzie znajdują się te obrazy, lecz nigdy nie uwierzę, że modlicie się do tych obrazów. My oceniamy was właściwie, wy natomiast macie o nas fałszywe wyobrażenie. Kto więc jest rozsądniejszy: wy czy my? Przypatrz się figurom nad bramą grobowca. Czy sądzisz, że modlimy się do tych rzeźb?

— Nie.

— Widzisz tam lwa, węża, topór, męczyznę i grzebień. Jezydzi nie umieją czytać. Dlatego przemawiamy do nich tymi rzeźbami. Pisma by nie zrozumieli; tych obrazów natomiast nigdy nie zapomną, ponieważ zobaczyli je przy grobowcu Świętego. Szejk Adi był człowiekiem, dlatego nie modlimy się do niego. Gromadzimy się natomiast przy jego grobie, jak dzieci przy grobie ojca.

— Czy on był twórcą waszej religii?

— Święty wpoił w nas naszą wiarę, lecz nie przekazał nam zwyczajów. Wiara mieszka w sercu, zwyczaje natomiast rodzą się tam, gdzie żyjemy. Szejk Adi żył przed Muhammadem. Poza nauką Szejka Adi przyjęliśmy również te dogmaty Koranu, które uznaliśmy za dobre i zbawienne.

— Opowiadano mi, że szejk Adi czynił także cuda?

— Cuda może czynić tylko Bóg, lecz jeśli je czyni, to oczywiście ludzkimi rękami. Wejrzyj do holu! Znajduje się tam źródło. Szejk Adi sprawił, że zaczęło bić. Jeszcze przed Muliammadem był w Mekce. Już wówczas istniało tam święte źródło Zemzem. Szejk Adi przyniósł wodę z tego źródła i pokropił nią tę skałę. Natychmiast wytrysnęło z niej źródło. Tak się nam opowiada. Nie nakazujemy, żeby w to wierzone, bo cud i tak istnieje. Czyż bowiem nie jest cudem, jeśli z twardego, martwego kamienia zaczyna nagle płynąć żywa woda? Wodę uważamy za symbol czystości duszy i dlatego jest dla nas święta, a nie dlatego, iż rzekomo pochodzi ze świętego źródła Zemzem.

Mir Szejk chan przerwał, gdyż otwarto zewnętrzną bramę, aby wpuścić dużą gromadę pielgrzymów, z których każdy niósł lampkę. Te lampki były podarunkami i wotami, składanymi w podziękę za uzdrowienie lub uratowanie z jakiegoś niebezpieczeństwa. Składano je w ofierze szejkowi słońca, symbolowi boskiej jasności.

Wszyscy pielgrzymi byli uzbrojeni. Zauważyłem u nich między innymi osobliwe strzelby



kurdyjskie. Przy jednej z tych strzelb lufa i osada były spojone dwudziestoma mocnymi, szerokimi, żelaznymi pierścieniami, które uniemożliwiały trafianie do celu. Inna fuźja była rodzajem bagnetu w kształcie wideł, których dwa zęby sterczały po obu stronach lufy. Mężczyźni oddawali kapłanom swoje lampki i podchodzili kolejno do mira Szejka chana, aby ucałować jego rękę, przy czym pochylali przed nim swoją broń, lub ją odkładali.

Lampki używano do oświetlenia w wieczór świąteczny sanktuarium wraz z całym jego otoczeniem. Do lampek nie wolno było używać zwykłego oleju, a tym bardziej ropy, gdyż uważano te gatunki paliwa za nieczyste. Dopuszczalny był tylko olej sezamowy.

Kiedy pochód pielgrzymów oddalił się, ochrzczono i obrzezano około dwadzieścioro dzieci. Niektóre sprowadzone zostały z daleka.

Później przeszedłem się z Mohammedem Eminem po dolinie. Rzuciła się w oczy ogromna liczba pochodni, przeznaczonych na sprzedaż. Według pobieżnego szacunku mogło ich być około dziesięciu tysięcy. Kupcy robili korzystne interesy, gdyż towar wydzierano im wprost z rąk.

Staliśmy właśnie przed sprzedawcą przedmiotów ze szkła i sztucznych koralików, kiedy ujrzałem białą postać pira Kameka, schodzącego z gór. Chcąc dostać siem w do świętego miejsca, musiał przejść koło nas. Gdy nas zobaczył, przystanął:

— Witajcie, goście szejka Słońca! Poznacie Świętego jezyców. Skoro tylko Judzie dostrzegli pira Kameka, otoczyli go i każdy

starał się dotknąć i ucałować jego rękę lub skraj jego szaty. Pir Kamek przemówił do zebranych. Jego długie, białe włosy powiewały na porannym wietrze, oczy błyszczały, a jego gesty wskazywały, że ożywia go zapal i natchnienie. Równocześnie słychać było strzały, oddawane przez pielgrzymów schodzących z gór, oraz salwy, odpowiadające im z doliny. Niestety niewiele mogłem zrozumieć z tego, co pir mówił, ponieważ przemawiał po kurdyjsku i bardzo szybko. Po przemówieniu Kamek zaintonował pieśń, którą wszyscy podchwycili. Początek pieśni przetłumaczył mi Jussuf, który właśnie nadszedł:

„O miłościwy i wspaniałomyślny Boże, który żywisz mrówkę i pełzającego węża, który rządysz dniem i nocą, o żywy, najwyższy, nie mający początku ni przyczyny, który przydzielasz ciemność nocom a światło dniom! O mądry, panuj nad mądrością; o mocny, panuj nad mocą; o żywy Boże, panuj nad śmiercią!”

Kiedy pieśń się skończyła, tłum się rozproszył. Pir podszedł do mnie.

— Czy zrozumiałeś, co powiedziałem pielgrzymom?

— Niewiele. Wiesz, że nie znam waszego języka.

— Powiedziałem im że złożę ofiarę szejkowi Szems, wobec czego mężczyźni udali się do lasu, żeby przynieść drewno na stos ofiarny. Jeżeli chcesz wziąć udział w składaniu ofiary, to cię serdecznie zapraszam. Teraz jednak wybac, efendi. Nadchodzą już ofiarne byki.

Pir Kamek podązał w kierunku grobowca, ku któremu prowadzono właśnie dużą gromadę byków. Powoli szliśmy za pirem.

— Co się stanie z tymi zwierzętami? — spytałem swojego tłumacza.

— Zostaną zabite na ofiarę.

— Dla kogo?

— Dla szejka Szems.

— Czy Słońce może zjadać byki?

— Nie, lecz obdarowuje nimi ubogich.

— Tylko mięsem?

— Wszystkim. Biedni otrzymują mięso, kości, wnętrzności i skórę. Mir Szejk chan zajmuje się

rozdziałem.

— A co się dzieje z krwią?

— Krwi się nie spożywa. Zakopuje się ją w ziemi, gdyż we krwi mieszka dusza.

Był to starotestamentowy pogląd, że życie, czyli dusza, mieści się we krwi. Doszedłem do wniosku, że nie chodzi tu o jakąś pogańską ofiarę, lecz o dar dla biednych, żeby mogli obchodzić święto bez trosk i martwienia się o pożywienie.

Kiedy przybyliśmy przed świątynię, mir Szejk chan wychodził właśnie z bramy. Towarzyszyli mu pir Kamek, kilku szejków i dość duża liczba obsługujących świątynię. Wszyscy mieli noże. Placyk został otoczony wojownikami, trzymającymi w pogotowiu strzelby. Mir Szejk chan zrzucił z siebie wierzchnią szatę, wskoczył na jednego z byków i wbił mu nóż z taką pewnością między kręgi szyjne, że zwierzę natychmiast padło nieżywe. W tej samej chwili z ust setek zgromadzonych ludzi wyrwał się radosny okrzyk i dało się słyszeć wiele strzałów.

Mir Szejk chan cofnął się, a zastąpił go teraz pir Kamek. Ten starzec o białych włosach i czarnej brodzie przedstawiał osobliwy widok, kiedy tak skakał z jednego byka na drugiego i uśmiercał je po kolei jednym pewnym pchnięciem noża. Nie popłynęła przy tym ani kropla krwi. Następnie szejkowie przecinali zwierzętom żyły szyjne, a fakirzy podeszli z wielkimi naczyniami, w które zebrali krew. Potem przypędzono stado owiec, z których pierwszą znowu zabił mir Szejk chan. Następne owce ubijali fakirzy.

W pewnej chwili podszedł do mnie Ali bej.

— Czy chciałbyś mi towarzyszyć do Kaloni? — spytał. — Chcę się upewnić, czy w dalszym ciągu mogę liczyć na przyjaźń plemion Badyńców?

— Czy żyjecie z nimi w niezgodzie?

— Czy mógłbym wówczas wybrać spośród nich swoich wywiadowców? — odpowiedział Ali bej pytaniem na moje pytanie. — Ich przywódca jest moim przyjacielem. Bywają jednak przypadki, wymagające szczególnej ostrożności. Chodźmy więc!

Do dużego domu z nieogładzonych kamieni, w którym Ali bej mieszkał podczas święta, nie było daleko. Jego małżonka czekała już na nas. Na werandzie rozesłano dywany, na których usiedliśmy do śniadania. Można było stąd ogarnąć wzrokiem całą dolinę. Wszędzie obozowali ludzie. Każde drzewo spełniało funkcję namiotu.

Po przeciwnej stronie doliny, na prawo od nas, stała świątynia, poświęcona szejkowi Szems, bogu Słońcu. Była tak usytuowana, że pierwsze promienie słoneczne o brzasku musiały spocząć na niej. Kiedy później wszedłem do tego świętego przybytku, wzrok mój napotkał tylko cztery gołe ściany i żadnego śladu, który pozwalałby przypuszczać, że odbywają się tu jakieś bałwochwalcze obrzędy. Jedynie w wyżłobionym w posadzce korycie płynął strumień przezroczystej wody, a na śnieżnobiałym murze widniały słowa, wypisane w języku arabskim: „O słońce, o światło, o życie, dane przez Boga!”

Przed tą świątynią siedziało kilka rodzin bogatych koczowników. Mężczyźni mieli na sobie jasnobarwne kurtki, na głowach turbany, i nosili fantastyczne zbroje. Kobiety były ubrane w jedwabne szaty, a włosy miały zaplecione w długie warkocze, ozdobione różnokolorowymi kwiatami. Czoła okrywały im złote i srebrne monety, a wokół ich szyi zwisały długie sznury monet, szklanych paciorków i rżniętych kamieni.

Przede mną, oparty o pień drzewa, stał mężczyzna, przybyły z gór Sindżaru. Skóra tego człowieka była ciemnobrązowa. Jego odzież lśniła bielą i czystością. Bacznie obserwował okolice i od czasu do czasu odgarniał sobie długie włosy z twarzy. Jego fuzja miała stary, prymitywny zamek na lont, a jego nóż był oprawiony w surowe drewno. Mężczyzna ten robił wrażenie człowieka, który umie w

razie potrzeby skutecznie korzystać z tej prostej broni. Qbok niego przykucnęła jego żona, która piekła jęczmieńne placki na niewielkim ognisku, zaś w konarach drzewa baraszkowało dwóch półnagich, brązowych chłopców, także już zaopatrzonych w noże, które nosili na cienkich sznurach, owiniętych wokół ciała.

Niedaleko stąd obozowali liczni mieszkańcy miast, być może z Mosulu. Mężczyźni zaopatrywali w paszę swoje chude osły; kobiety, blade i mizerne, były żywym obrazem nędzy, trosk i ucisku, jakiego ci ludzie doznawali.

Spostrzegłem również mężczyzn, kobiety i dzieci z okolicy Szeik Chan, z Syrii, z Midiadu i Semsatu, z Mardinu i Nissibinu, z okolic Kendali i Delmamikan, z Kokan i Koczalian, a nawet z terytoriów Tuzik i plemion Delmagumgumuku. Starzy i młodzi, biedni i bogaci, wszyscy wyglądali schludnie. Jedni ozdobili swoje turbany strusimi piórami, inni nie mieli nawet czym okryć swojej nagości. Wszyscy jednak byli uzbrojeni. Obcowali z sobą jak bracia i siostry. Niewiasty nie zakrywały twarzy przed obcymi. Miało się wrażenie, że wszyscy są członkami jednej wielkiej rodziny, która tu się spotkała.

Nagle rozległa się salwa i zauważyłem, że mężczyźni w większych lub mniejszych grupach ruszyli w kierunku grobowca.

— Co ci ludzie tam robią? — spytałem Alego beja.

— Idą po mięso z byków ofiarnych.

— Czy to się odbywa pod jakimś nadzorem?

— Tak. Tylko biedni korzystają z tych darów. Ustawiają się w szeregach według rodów i miejsc zamieszkania. Towarzyszy im ich przywódca albo legitymują się jego zaświadczeniem.

— Czy wasi kapłani nic nie otrzymują z tego mięsa?

— Z mięsa pochodzącego od zwierząt ofiarnych kapłani nic nie otrzymują. W ostatnim dniu święta natomiast ubija się kilka byków, które muszą być całkiem białe. Ich mięso jest przeznaczone dla kapłanów.

— Mam jeszcze pytania! — kontynuowałem. — Czy wasi kapłani mogą popełniać grzechy?

— Dlaczegoż by nie? Są przecież ludźmi.

— Mir Szejk chan, pirowie i święci także? — Oni również.

— Czy sądzisz, że wielki Święty, szejk Adi, też grzeszył?

— On także był grzesznikiem, gdyż nie był Bogiem.

— Czy wasze grzechy nie ciążą na waszych duszach?

— Nie, gdyż pozbywamy się ich.

— W jaki sposób?

— Przez symbole czystości, to jest ogień i wodę. Wiadomo ci, że się już wczoraj i dzisiaj kąpaliśmy. Podczas kąpieli wyznajemy nasze grzechy i przyrzekamy zrzucić je z siebie. Wówczas zabiera je woda. A dziś wieczorem zobaczysz, że oczyszczamy nasze dusze także przez płomienie.

— Wierzysz więc, że dusza nie umiera razem z ciałem?

— Jak mogłaby umrzeć, skoro pochodzi od Boga?

— Jak mi to możesz udowodnić, skoro w to nie wierzę?

— Żartujesz. Czyż nie napisano w waszej świętej księdze: „We jusune hajat nefesini nefh ejledj — dmuchnął mu w nos ożywcze tchnienie”? .....

— No dobrze, jeśli więc dusza nie umiera, to gdzie się podziewa po śmierci człowieka?

— Powietrze, które wydychałeś, wdychasz z powrotem. Boskie tchnienie tak samo wraca do Boga z chwilą, kiedy zostało oczyszczone z grzechów. Teraz jednak musimy już ruszyć w drogę!

— Jak daleko jest do Kaloni? — Cztery godziny konno.

Nasze konie stały już przed domem. Dosiedliśmy ich i opuściliśmy dolinę bez niczyjej asysty. Jechaliśmy w górę wzdłuż stromej ściany skalnej. Kiedy stanęliśmy na szczycie, zobaczyłem przed sobą gęsto zalesioną górzystą krainę, poprzecinaną licznymi dolinami. Kraj ten zamieszkują Kurdowie-Missuri, do których należy również szczerp Badyńców. Droga nasza wiodła to w górę, to w dół, to między nagimi skałami, to znów przez gęsty las. Na stokach gór widzieliśmy kilka małych wiosek, lecz domki w nich były opuszczone. Tu i ówdzie musieliśmy pokonać zimne fale rwącego górskiego potoku, toczącego swe wody ku rzece Gomel, która z kolei wpada do rzeki Ghasir, ta natomiast do wielkiego Zabru, który pod miejscowością Eski Kuszaft łączy się z Tygrysem. Wymienione domki są otoczone winnicami. Obok winorośli udaje się tam również sezam, żyto i bawełna. Domki z zagrodami szczególnie ładnie wyglądają na tle kwiecistych i owocowych, troskliwie pielęgnowanych drzew figowych, orzechowych, granatowców, jabłoni, brzoskwiń, czereśni, drzew morwowych i oliwkowych.

Nie spotkaliśmy na naszej drodze nikogo, gdyż jezydzi, zamieszkujący tę okolicę, znajdowali się już w Szeik Adi.

Już dwie godziny byliśmy w drodze, kiedy usłyszeliśmy, że ktoś nas woła.

Z lasu wyszedł jakiś mężczyzna. Był to Kurd. Miał na sobie szerokie, dołem luźno puszczone spodnie, a jego białe stopy tkwiły w butach, wiązanych rzemieniami. Koszula, wycięta przy szyi w kształcie czworokąta, noszona na wierzch, sięgała mu aż do łokci. Gęste, kędzierzawe włosy opadały mu na plecy, a jego głowę okrywała osobliwa, pilśniowa czapka, mająca wygląd olbrzymiego pajaka, którego okrągły korpus tkwił na czubku głowy, a długie pajęczne nogi zwisały z tyłu i po bokach, aż na ramiona wieśniaka. Za pasem nieznamy miał wetknięty nóż, butelkę z prochem strzelniczym i woreczek z kulami; fuzji jednak nie dostrzegłem.

— Ni'vrol kjer — dzień dobry! — pozdrowił nas. — Dokąd chce jechać dzielny Ali bej?

— Chode t'aveszket — Niech Bóg cię ma w swojej opiece! — odrzekł bej. — Znasz mnie? Z jakiego jesteś plemienia?

— Z Badyńców, beju.

— Z Kałom?

— Tak, z Kalahoni. Tak nazywamy terytorium, które zamieszkujemy.

— Czy mieszkacie jeszcze w waszych domach?

— Nie. Przenieśliśmy się już do szałasów.

— Które znajdują się tu w pobliżu?

— Z czego to wnosisz?

— Kiedy wojownik oddala się znacznie od miejsca swego zamieszkania, zabiera ze sobą strzelbę. Ty jednak nie masz jej przy sobie.

— Zgadłeś. Z kim chcesz rozmawiać?

— Z twoim dowódcą, Husseinem agą.

— Zsiądź z konia i chodź ze mną.

Zsiadliśmy z naszych wierzchowców i prowadziliśmy je za cugle. Nie zrozumiałem co prawda wszystkiego, lecz z przyswojonego sobie dotychczas zasobu słów mogłem odgadnąć sens rozmowy. Kurd wprowadził nas do lasu, w głębi którego znajdował się mocny zasiek, wzniesiony ze ściętych drzew, za którym ujrzelśmy liczne szałasowe, sporządzone tylko z żerdzi, konarów i liści. W zasięku pozostawiono wąski otwór, którym mogliśmy wejść do środka. Zobaczyliśmy teraz mnóstwo dzieci, bawiących się między szałasami i drzewami, podczas gdy dorośli, zarówno mężczyźni jak kobiety, zajęci byli powiększaniem i umacnianiem zasięku. Na jednym z większych szałasów siedział mężczyzna. Był to przywódca, który zajął to miejsce, żeby ogarnąć wzrokiem całość i lepiej

kierować pracą. Hussein aga, spostrzegłszy nas w towarzystwie Kurda, zeskoczył z szałasów i wyszedł nam naprzeciw.

— Witaj; niech Bóg pomnaża twoje bogactwo!

Mówiąc to zwierzchnik plemienia Badyńców podał rękę mojemu towarzyszowi i dał znak kobiecie. Niewiasta rozłożyła koc, na którym usiedliśmy. Mnie zdawał się przywódca Badyńców w ogóle nie zauważać. Jezyda byłby na pewno uprzejmniejszy. Kobieta, która rozłożyła koc na ziemi, była zapewne żoną wodza. Przyniosła teraz trzy fajki, grubo ciosane z pomarańczowego drewna, a młoda dziewczyna postawiła przed nami miskę z winogronem i plasterkami miodu. Hussein wyjął zza pasa kapciuch z koziej skóry, otworzył go i położył przed Ali bejem.

— Taklif b'ela k'narek, au'beln ma'batal — Nie rób ceregieli, bo to zbyt ciężkie między nami! — powiedział.

Kurd sięgnął przy tym swoją brudną ręką do miski i wyciągnął z niej kawałek plastra miodu, wsadzając go sobie do ust. Ali bej nabił swoją fajkę i zapalił, rozpoczynając rozmowę.

— Czy między mną a tobą panuje przyjaźń? .

— Między mną a tobą jest przyjaźń — brzmiała prosta odpowiedź.

— Czy między twoimi a moimi ludźmi także?

— Również między nimi.

— Czy zwrócisz się do mnie o pomoc, jeśli zjawi się wróg, żeby cię zaatakować?

— Jeśli będę za słaby, by go odeprzeć, poproszę cię o pomoc. — A mnie także byś pomógł, gdybym cię o to poprosił?

— Uczynię to, jeżeli twój wróg nie okaże się moim przyjacielem.

— Czy pasza Mosulu jest twoim przyjacielem?

— Turek jest moim wrogiem; jest nieprzyjacielem wszystkich wolnych Kurdów. Jest rabusiem, który kradnie nam trzody i sprzedaje nasze córki.

— Czy słyszałeś, że Szeik Halil chce napaść na nas w Szeik Adi?

— Słyszałem o tym od swoich ludzi, którzy służyli ci za zwiadowców.

— Nieprzyjaciół będzie przechodził przez twoje terytorium. Co zrobisz?

— Widzisz przecież — Hussein aga wskazał na szałas wkoło. — Opuściliśmy Kalahoni i zbudowaliśmy sobie szałas w lesie. Teraz wznosimy mur, z którego będziemy się mogli bronić, jeżeli nas Turcy zaatakują.

— Nie zaczepią was.

— Skąd to wiesz?

— Tak przypuszczam. Jeśli wojskom paszy ma się udać napaść na nas z zaskoczenia, to muszą przedtem unikać wszelkich walk i hałasu. Turcy przejdą więc przez twoje ziemie cicho i spokojnie. Być może, będą nawet unikać otwartych dróg, a pójdą przez lasy, aby osiągnąć wzniesienie nad Szeik Adi niepostrzeżenie.

— Myślisz logicznie.

— Gdyby jednak Turcy nas pokonali to i was napadną.

— Ty się nie dasz pokonać.

— Czy chcesz mi w tym dopomóc?

— Chcę. Co mam robić? Czy mam ci posłać swoich wojowników do Szeik Adi?

— Nie, gdyż nas jest dość, żeby uporać się z Turkami. Masz tylko ukryć swoich wojowników i pozwolić spokojnie przejść tureckim żołnierzom, żeby się poczuli pewni i znikąd nie zagrożeni.

— I nie mam iść za nimi?

— Nie. Mógłbyś im natomiast zaniknąć drogę powrotną. Na drugim wzniesieniu między waszą wioską a Szeik Adi jest tak wąska przełęcz, że tylko dwóch ludzi może iść obok siebie. Jeśli tam wzniesiesz szaniec to z dwudziestoma wojownikami będziesz mógł zatrzymać nawet tysiąc Turków.

— Tak zrobię. Ale co mi dasz za to?

— Jeśli nie dojdzie do walki między twoimi wojownikami i wojskiem tureckim, tak że sam pokonam nieprzyjaciela, dostaniesz pięćdziesiąt strzelb. Gdybyś jednak musiał walczyć z wrogiem, dam ci sto tureckich fuzji, o ile spiszesz się dzielnie.

— Sto tureckich fuzji! — zawołał Hussein aga zachwycony. Z taką szybkością sięgnął do miski z miodem i tak wielki plaster miodu włożył sobie do ust, że miałem obawę, iż się nim udławi.

— Sto tureckich fuzji! — powtórzył jedząc. — Dotrzymasz słowa?

— Czy cię kiedyś okłamałem?

— Nie. Jesteś moim bratem, moim kompanem, moim przyjacielem, moim towarzyszem w walkach i ja ci ufam. Zasłużę sobie na te strzelby.

— Możesz sobie jednak tylko wtedy na nie zasłużyć, jeśli pozwolisz Turkom przejść bez przeszkód przez twoje terytorium.

— Nie zobaczą nikogo z moich ludzi!

— A tureckim żołnierzom przeszkodzisz potem w odwrocie, gdyby mi się nie udało otoczyć ich i zatrzymać.

— Obsadzę nie tylko przełęcz lecz także boczne doliny, żeby Turcy nie mogli się ruszyć ani w lewo, ani w prawo, ani w przód, ani w tył.

— To dobrze zrobisz. Jednakże nie chcę, żeby popłynęło dużo krwi. Żołnierze nie ponoszą winy, muszą przecież słuchać rozkazów swych dowódców. A jeśli będziemy okrutni, to padyszach w Stambule jest dość potężny, by wysłać przeciwko nam armię, która może nas zniszczyć.

— Rozumiem cię. Dobry wódz musi być przewidujący i zdawać . sobie sprawę, że chwilowy sukces może mieć tragiczne następstwa. Kiedy nadejdą Turcy?

— Ich dowódcy tak pokierują marszem wojsk, żeby jutro o świcie mogły napaść na Szeik Adi.

— Tureccy żołnierze zostaną zaskoczeni. Wiem, że jesteś dzielnym wojownikiem. Chcesz postąpić z Turkami tak samo, jak tam, na równinie, plemiona Haddedińców postąpiły ze swoimi wrogami. > — Słyszałeś o tym?

— Któż by o tym nie wiedział! Wieść o takich bohaterskich czynach rozprzestrzenia się szybko po górach i dolinach. Mohammed Emin uczynił swój ród jednym z najbogatszych.

Ali bej uśmiechnął się do mnie dyskretnie i rzekł:

— Nic jest łatwo wziąć do niewoli tysiące ludzi, nie stoczywszy walki.

— Tego czynu nie mógłby też Mohammed Emin dokonać sam, mimo swej siły i dzielności. Miał przy sobie obcego wodza.

— Obcego? — spytał bej.

Denerwowało go w każdym razie lekceważenie, jakie mi okazywał przywódca Badynańczyków. Skorzystał więc teraz z okazji, żeby go zawstydzić.

— Tak, obcego — odrzekł Hussein aga. — Nie wiesz o tym jeszcze?

— Opowiedz, jak to było!

„Szejk Haddedińców, Mohammed Emm, siedział przed swoim namiotem, aby odbyć naradę, ze starszyzną rodową. Nagle zza chmury wychynął jeździec. Jego koń dotknął ziemi kopytami właśnie w samym środku koła obradujących.

Nieznajomy pozdrowił wszystkich słowami:

— Es selam 'alejkum!

— Kim jesteś i skąd, przybyszu?

Koń jeźdźca był czarny jak noc, a jeździec miał na sobie kolczugę, zbroję, okrywającą mu ramiona, nagolenniki oraz na głowie hełm ze szczerego złota, owinięty szalem, utkanym przez rajskie hurysy, gdyż mienił się tysiącem gwiazd, krążących w oczkach tkaniny. Drzewce dzidy jeźdźca było z czystego srebra, a jej ostrze lśniło jak błyskawica. Pod ostrzem były umocowane brody stu zabitych wrogów. Sztylet jeźdźca błyszczał jak diament, a mieczowi tego człowieka nie oparłaby się nawet stal.

— Jestem wodzem z dalekiego kraju — odrzekł promienisty na pytanie Mohammeda Emina. — Jesteś mi drogi. Przed godziną dowiedziałem się, że twój ród ma zostać wytępiony. Dlatego dosiadłem swego rumaka, który pruje powietrze tak szybko, jak myśl ludzka, i przybyłem, żeby cię ostrzec przed niebezpieczeństwem.

— Kto chce zniszczyć mój ród? — spytał Mohammed Emin. Niebiański jeździec wymienił imiona wrogów Emina.

— Czy wiesz to na pewno?

— Moja tarcza informuje mnie o wszystkim, co się dzieje na ziemi. Spójrz tu!

Mohammed przyjrzał się złotej tarczy. W jej środku tkwił olbrzymi rubin, pięciokrotnie większy od dłoni mężczyzny. Mohammed ujrzał w tym kamieniu wszystkich swoich Wrogów, zbierających się na wyprawę wojenną przeciwko niemu.

— Co za armia! — zawołał. — Jesteśmy zgubieni!

— Nie, gdyż ja ci pomogę — pocieszył go obcy. — Zgromadź wszystkich swoich wojowników wokół terasowatej doliny i czekaj, aż ci przyprowadzę twoich nieprzyjaciół.

To rzekłszy, jeździec dał odpowiedni znak swemu koniowi, który natychmiast uniósł go w powietrze i znikł za chmurami. Mohammed Emin uzbroił swoich ludzi i pomaszerował na ich czele ku terasowatej dolinie. Otoczył ją wojownikami tak, że nieprzyjacielskie wojska mogły do niej wejść, lecz wydostać się z niej nie były w stanie. Następnego ranka obcy rycerz pojawił się znowu. Bił od niego blask, jak od stu słońc. To światło tak oślepiło nieprzyjaciół, że z zamkniętymi oczami weszli za jeźdźcem w dolinę. Kiedy wszyscy się w niej znaleźli, promienny jeździec odwrócił tarczę i wtedy zobaczyli, że znajdują się w dolinie, z której nie ma wyjścia. Musieli się więc poddać. Mohammed Emin darował życie swym wrogom, lecz zabrał im część ich trzód oraz zażądał bezterminowej daniny, która ma być rokrocznie uiszczana".

— A co się stało z tym obcym wodzem? — spytał Ali bej.

— Powiedział: „Es selam 'alejku!" — po czym uniósł się na swym czarnym koniu w niebo i zniknął w chmurach — brzmiała odpowiedź Kurda.

— Twoja opowieść jest piękna. Czy jesteś jednak pewny, że to wydarzenie miało naprawdę miejsce?

— Ta historia jest prawdziwa. Pięciu mężczyzn z Dżelu było w tym czasie w Selamije, gdzie usłyszeli o tym od Haddedińów. Potem, przechodząc tędy, opowiedzieli wszystko mnie i moim ludziom:

— Masz rację — oświadczył Ali bej — to się istotnie zdarzyło, lecz inaczej, niż słyszałeś. Czy chciałbyś zobaczyć czarnego rumaka tego seraskiera?

— To przecież niemożliwe, beju!

— Możliwe, gdyż ten koń stoi w pobliżu. To ten kary ogier!

— Żartujesz, beju!

— Nie żartuję, mówię prawdę.

— Koń jest wspaniały. Nie widziałem jeszcze takiego. Ale to przecież wierzchowiec człowieka,

który ci towarzyszy.

— A ten człowiek jest właśnie owym obcym seraskierem, o którym opowiadałeś.

— Niemożliwe! — Kurd ze zdziwienia rozdziawił usta.

— Niemożliwe mówisz? Czy cię kiedyś okłamałem? Zapewniam cię ponownie, że to on.

Oczy i usta Husseina agi otwierały się coraz szerzej. Wlepił we mnie wzrok jak urzeczony, wyciągając przy tym mimowolnie rękę do miski z miodem; chybił jednak i sięgnął obok do worka z tabaką. Nie zauważył omyłki, nabrał pełną garść tego narkotycznego zieleń i wsunął je między swoje lśniącobiałe zęby. Tabaka podziałała momentalnie. Przywódca Badyńców natychmiast rozwarł, szczęki i wypluł zawartość jamy ustnej Alemu bejowi w twarz.

— Na Proroka! Czy to naprawdę on? — spytał Kurd ponownie z największym zakłopotaniem.

— Przecież już cię o tym zapewnilem — roześmiał się opluty, wycierając sobie twarz końcem swojej szaty.

— O seraskierze — zwrócił się teraz Kurd do mnie — atina ta insziallah, keira — daj Boże, żeby twoja wizyta przyniosła nam szczęście!

— Zapewniam cię, że przyniesie ci szczęście — zaszwargotałem łamanym żargonem, ale on mnie zrozumiał.

— Twój czarny rumak jest tutaj — kontynuował Hussein aga — lecz gdzie jest twoja tarcza z rubinem, twoja zbroja, twój hełm, twoja lanca, twoja szabla?

— Posłuchaj, co ci powiem! Jestem tym obcym wojownikiem, który był u Mohammeda Emina, lecz nie zstąpiłem z nieba. Przybyłem z dalekiego kraju, ale nie jestem naczelnym dowódcą jego wojska. Nie miałem złotej ani srebrnej broni. Możesz tu natomiast zobaczyć broń, jakiej wy nie posiadacie. Ta broń pozwala mi nie obawiać się wrogów. Czy mam ci pokazać, jak się strzela z tych fuzji?

— Sere ta, ser babe ta, ser hemszer ta Ali Bej — na twoją głowę, na głowę twego ojca oraz na głowę twego przyjaciela, Alego beja, zaklinam cię, nie rób tego! — prosił wystraszony. — Odłożyłeś tamtą zbroję, dzidę, tarczę i miecz, zaopatrując się w inną, która być może jest jeszcze bardziej niebezpieczna. Nie wiem, czym cię obdarować; przyrzeknij mi jednak, że zechcesz zostać moim przyjacielem!

— Jakaż korzyść z twojej przyjaźni? W twoim kraju znane jest przysłowie: „Diszmini be akil szı yarı be akil cıtire — Rozumny nieprzyjaciół jest lepszy, niż przyjaciel bez rozumu”.

— Czy byłem nierozumny, panie?

— Nie wiesz, że należy przywitać gościa, zwłaszcza gdy przybywa z twoim przyjacielem?

— Masz rację. Ukaraleś mnie przysłowiem. Pozwól, że odpowiem ci innym: „Beczuk lasime thabe'i mesinan bebe — Mały musi słuchać wielkiego”. Bądź ty tym wielkim! Ja ci będę posłuszny.

— Bądź przede wszystkim posłuszny mojemu przyjacielowi, Alemu bejowi! On zwycięży, a ty otrzymasz przyrzeczone ci tureckie strzelby.

— Gniewasz się? Przebacz mi! Ser sere men; bu kalmeta ta czu taksir nakem — Na moją głowę; niczego nie pożałuję, żeby ci służyć. Weź to winne grono i jedź z niego do woli; weź, ile chcesz tytoniu, i pal!

— Dziękujemy ci — odpowiedział Ali bej w imieniu nas obu, przyzwyczajony do higieny i konsumpcji czystych potraw i łakoci. — Jadliśmy przed wyjazdem z domu, a poza tym nie możemy tracić czasu. Musimy jak najprędzej wrócić do Szeik Adi.

Wstał z rozścielonego dywanu i ja poszedłem za jego przykładem. Hussein aga odprowadził nas aż do ścieżki Żegnając się z nami, przyrzekł jeszcze raz, że wywiąże się ze swojego zadania jak najlepiej. Wracaliśmy tą samą drogą, którą przybyliśmy do Kurdów.



